


Aby rozpocząć lekturę,  
kliknij na taki przycisk ,  
który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym  
LITERATURA.NET.PL  
kliknij na logo poniżej.



**EUGENIUSZ SUE**

**Żyd wieczny tułacz**

**2**

Tower Press 2000  
Copyright by Tower Press, Gdańsk 2000

## Część pierwsza

### TRZYNASTY LUTEGO

#### ROZDZIAŁ I

##### DZIEDZIC

Gdy Samuel otworzył bramę, stanęli przed nim Gabriel i Rodin. Ten ostatni zapytał:

– Czy pan jest stróżem tego domu?

– Tak, panie – odparł Samuel.

– Ksiądz Gabriel de Rennepont, którego pan widzi – rzekł Rodin, wskazując swego towarzysza – jest jednym z potomków Mariusza de Rennepont.

– A, tym lepiej, panie – odrzekł Żyd mimowolnie, uderzony anielską fizjonomią Gabriela.

Patrzył na księdza z pełnym uszanowaniem, wkrótce jednak, spostrzegłszy, że kępowało to Gabriela, odezwał się:

– Notariusz przyjdzie dopiero o dziesiątej.

Gabriel spojrział ze zdziwieniem i zapytał:

– Jaki notariusz?

– Wszystko wyjaśni panu ksiądz d'Aigrigny – dodał szybko Rodin; a zwracając się do Żyda, zapytał: Czy nie moglibyśmy gdzieś zaczekać?

Za chwilę Gabriel i Rodin wprowadzeni zostali przez Samuela do pokoju, który zajmował na dole. Zostali sami.

Zamiast zwykłej łagodności, która nadawała twarzy młodego misjonarza niewymowny wdzięk, widniał na niej wyraz smutku i surowości. Od kilku już dni Rodin nie widział Gabriela, więc mocno uderzyła go zmiana w jego fizjonomii. Gabriel, jak zwykle ubrany był w długą czarną sutannę, przy której jeszcze mocniej odbijała przeźroczyta bladość jego twarzy. Po wyjściu Żyda odezwał się do Rodina:

– Czy wreszcie powie mi pan, dlaczego od kilku dni nie wolno mi było widzieć się z wielbnym księdzem d'Aigrigny?“. Jakież ja mogę mieć w tym interes, aby przebywać w tym domu?

– Niepodobna, abys tego nie wiedział – mówił Rodin, pilnie badając Gabriela. – Bo po cóż przychodziła wczoraj twoja przybrana matka?... Czyż nie mówiła ci o pewnych papierach rodzinnych?

– Nie – odrzekł Gabriel.

– A więc... twierdzisz, że nie po to przychodziła do ciebie wczoraj Franciszka Baudoin? – uporczywie powtarzał Rodin.

– Panie – odparł młody ksiądz, tłumiąc w sobie niecierpliwość. – Zapewniam pana, że mówię prawdę.

– Wierzę – rzekł Rodin. – Myśl taką nastęrczyło mi tylko szukanie przyczyny, jaka skoniła cię do przekroczenia rozkazu wielebnego księdza d'Aigrigny, zabraniającego ci wszelkiej styczności z obcymi osobami... Pozwoliłeś sobie wbrew naszym regułom zamknąć drzwi, które powinny być zawsze otwarte lub przymknięte, aby nie było przeszkody do wzajemnego kontrolowania.

– Drzwi zamknąłem dlatego, że chodziło o spowiedź.

– A cóż ją tak nagliło do spowiedzi?

– O tym dowie się pan, jak będę zdawał sprawę księdzu d'Aigrigny, jeżeli pozwoli ci być obecnym.

Słowa te wyrzekł tak dobitnie, że nastąpiło po nich dość długie milczenie.

Tak więc Gabriel nie wiedział o rodzinnych związkach łączących go z córkami marszałka Simona, z panną de Cardoville, z panem Hardy, z księciem Dżalmą i Leżynago; gdyby mu powiedziano, że jest spadkobiercą Mariusza Rennepona, sądziłby, że jest jedynym potomkiem tej rodziny.

Samuel wprowadził do pokoju księdza d'Aigrigny; Gabriel odwrócił się, Rodin zaś szepnął księdzu d'Aigrigny:

– On o niczym nie wie.

Mimo pozornej obojętności twarz pana d'Aigrigny była blada, przebijał się w niej niepokój.

Gdy Gabriel odwrócił się, odezwał się do niego przyjaźnie:

– Kochany synu, wiele mnie to kosztowało, żem ci do tej chwili odmawiał posłuchania; jednak zapewnić ci mogę, że postąpiłem tak jedynie dla twego dobra.

– Powiniennem wierzyć waszej wielebności – odparł misjonarz, kłaniając się.

Ksiądz d'Aigrigny, w którego ręce złożył przysięgę, łączącą go na zawsze z zakonem jezuitów, wywierał nań wpływ despotyczny i budził w nim lęk.

Po powrocie z Ameryki Gabriel dopiero pierwszy raz widział się z księdzem d'Aigrigny.

– Pragniesz, kochany synu, pomówić ze mną w ważnej sprawie?

– Tak, wielebny ojcze.

– I ja także chcę powiadomić cię o sprawie wielkiej wagi; posłuchaj więc najpierw mnie... Blisko dwanaście lat temu – mówił czule – spowiednik twój przybranej matki zwrócił się do mnie, za pośrednictwem pana Rodina, polecając cię mej uwadze. Twój łagodny, skromny charakter i wczesny rozwój umysłu zasługiwały na troskliwe zajęcie się tobą; za moim staraniem zostałeś przyjęty bezpłatnie do jednej z naszych szkół; w ten sposób ulżyło się zacnej kobiecie, która przyjęła cię pod swą opiekę, a dziecko, rokujące tak dobre nadzieje, otrzymało wszelkie dobrodziejstwa pobożnego wychowania... Czy nieprawda, synu?

– Prawda, wielebny ojcze – odpowiedział Gabriel, spuściwszy oczy.

– W miarę, jak dorastałeś, rozwijały się w tobie wyborne i rzadkie cnoty; byłeś przykładny; w naukach także robiłeś szybkie postępy. Byłem pewny, że będziesz zawsze wiernym synem kościoła. Nie pomyliłem się. Dowiedziawszy się, że twoja przybrana matka gorąco pragnie cię widzieć w stanie duchownym, szlachetnie odpowiedziałeś życzeniom zacnej niewiasty, której byłeś tyle winien. Stwórca, sprawiedliwy w rozdawaniu swych nagród, zaliczył cię w poczet wojujących członków naszego świętego kościoła.

Ksiądz d'Aigrigny mówił dalej:

– Drogi synu, wypadało mi skreślić ten krótki obraz przeszłości, aby przejść do tego, co powiem za chwilę, gdyż idzie tu... o silniejsze zaciśnięcie więzów, które cię łączą z nami.

– A więc... wielebny ojciec... – zawołał Gabriel, przerywając księdzu d’Aigrigny – nie mogę... nie powinienem cię już słuchać.

I młody ksiądz zbladł, a po zmienionych rysach jego twarzy widać było, że toczyła się w nim gwałtowna walka.

– Prawdziwie, synu, mocno mnie zadziwasz. Mój Boże!... Co się stało!?

– Wielebny ojciec, nie mam już prawa do twego zaufania, bo niedługo przedzieli nas od siebie przepaść.

Trudno byłoby określić spojrzenia, jakie d’Aigrigny i Rodin rzucili wzajemnie na siebie; Rodin wlepiwszy jaszczurcze oczki w Gabriela, zaczął gryźć paznokcie; d’Aigrigny zbladł; na czoło wystąpił mu zimny pot.

Myśl ta wprawiła go w przerażenie. Odpowiedział jednak łagodnie:

– Mój synu, trudno mi uwierzyć, aby ciebie i mnie przedzielać miała kiedyś przepaść...

– W rzeczy samej, minęło blisko dwanaście lat, wielebny ojciec – rzekł Gabriel poważnie – odkąd za twoim staraniem poszedłem do szkoły jezuitów... Poszedłem z ufnością. Ale jak pobudzano ten szlachetny instynkt dzieciństwa?... Pierwszego dnia rzekł do mnie przełożony, wskazując mi dwoje dzieci nieco starszych ode mnie: „Oto są towarzysze przeznaczeni dla ciebie; zawsze będziecie razem wychodzili; reguła zakonna nie dozwala rozmowy między dwoma; reguła także wymaga, abyś pilnie słuchał, co mówić będą twoi towarzysze, a następnie mógł mi wszystko powtórzyć, bo te kochane dzieci, mimo woli, mogą mieć złe myśli; a jeżeli będziesz kochał swych towarzyszy, ostrzeżesz mnie o ich złych zamiarach; lepiej zapobiec złemu aniżeli je potem karać”.

– Mój synu, takie są w istocie – rzekł d’Aigrigny – reguły naszych szkół.

– Wiem o tym – z żalem odpowiedział Gabriel – tak więc w trzy dni potem, ja, biedne, uległe i łatwowieczne dziecko, śledziłem moich towarzyszy, podsłuchując, zatrzymując w pamięci ich rozmowy i donosząc o wszystkim przełożonemu, który mi winał gorliwości... Była to niegodziwość, jaką mi nakazywano... a na dodatek, Bóg mi świadkiem, sądziłem, że dopełniam pobożnego uczynku... Kiedym pewnego dnia zawinił przekroczeniem reguł domu, przełożony rzekł: „Moje dziecko, zasłużyłeś na surową karę; ale będzie ci ona darowana, jeśli zdołasz odkryć jakieś przewinienie w którymś z twoich towarzyszy; kiedy schwytasz ich na nim i ściągniesz na nich zbawienną karę, odniesiesz dwojaką korzyść: bo wyświadczysz im wielką przysługę, a po wtóre, sam unikniesz kary, która ci za twoje starania o dobro bliźniego zostanie odpuszczona”.

– Mój synu – odparł d’Aigrigny – to wszystko jest zgodne z zasadami przyjętymi w naszych szkołach, gdzie wszyscy nawzajem kontrolują się, bez uszczerbku dla przyjaźni i wzajemnej miłości, dla większej chwały Boga.

– Wiem o tym; tak jednak w imię wszystkiego, co jest najświętsze, zachęcano mnie do złego!

– Synu, takie odezwanie się do mnie... jest wielce nieprzyzwoite. Przykro mi, gdy jestem zmuszony przypomnieć ci, mój synu, że nam jesteś winien swoje wychowanie.

– Takie też były jego owoce, ojciec – odrzekł Gabriel. – Stałem się donosicielem, aby uniknąć kary... A taka była moja wiara, pokora i ufność, iż przyzwyczaiłem się z całą naiwnością i z największą gorliwością do pełnienia tej podwójnie haniebnej roli. Pewnego razu, dręczony skrupułami, zadałem sobie pytanie: Czy pobożny cel, jaki wyznaczono tym donosom, był dostateczny do uniewinnienia mnie? Z moją wątpliwością zwierzyłem się przełożonemu; odpowiedział, że nie powinienem rozstrząsać, tylko po prostu słuchać i że na niego samego tylko spada odpowiedzialność za moje uczynki.

– Mów dalej, mój synu – rzekł ksiądz d’Aigrigny. – Niestety! Miałem słuszne powody, nie chcąc pozwolić ci udać się do Ameryki.

– Widać, że Opatrzność chciała, abym w tym kraju, dziewiczym i szczęśliwym, oświecony osobliwym trafem o przeszłości, teraźniejszości i przyszłości, przejrzał nareszcie! – zawołał

misjonarz. – Tak jest, w Ameryce, pośród niezmiernych pustyń, które przebiegłem... na widok takiej wspaniałości i wielkości natury złożyłem przysięgę... Zaraz, wielbny ojcze, wytłumaczę się; ale wierz mi, dzień ów, w którym potępić musiałem to, co tak długo błogosławiłem i czciłem, był dla mnie straszny...

– Znam twoje dobre serce, mój synu; mam nadzieję, że utwierdzimy twoją wiarę, zachwianą nieszczęściem i rozproszony chmury, które zaćmiły twój wzrok.

Kiedy tak mówił, Rodin dobył z kieszeni pugilares i coś w nim napisał. Gabriel był coraz bardziej wzruszony. Potrzeba mu było wielkiej odwagi, żeby to powiedzieć.

Zmienionym głosem mówił dalej:

– Zalecano mi ciągle unikać wzroku tego, kto do mnie mówi, aby tym lepiej ukryć wrażenie, które wywrzeć mógł swymi słowami, abym ukrywał wszelkie uczucia, abym na wszystko uważał i wszystko wokół podsłuchiwał. Tak doszedłem do lat piętnastu. Ponury, milczący i trwożliwy, w głębi tego smutnego i zimnego domu, poznałem, że coraz bardziej zamykano mnie przed miłym i wolnym światem; cały czas zajmowały mi zawile, bez żadnego pożytku nauki i mnóstwo drobiazgowych ćwiczeń i formuł. Zamiast owych boskich słów Zbawiciela: Kochajcie się nawzajem... wpajano: Nie ufajcie jedni drugim... Mówiono nam kiedy o rodzinnym kraju? O obowiązkach obywatela? Nie... bo na te słowa zaczyna bić serce, a właśnie u nas nie wolno było bić sercu... Przyszło do tego, że nic już nie czułem; od sześciu miesięcy nie widziałem ani przybranej matki, ani brata; wreszcie przyszli do kolegium... Kilka lat wcześniej byłbym ich przyjął z radością i rozrzewnieniem. Tym razem moje oczy pozostały suche, a serce zimne; matka i brat wyszli zapłakani; przecież jednak ten widok żalu uderzył mnie... zawstydziłem się wtedy swej nieczułości, która opanowała mnie od chwili, jak zamieszkałem w tym grobie, który nazywa się szkołą jezuicką. Przerażony, chciałem z niego wyjść, dopóki jeszcze starczyło siły... Wtedy, mówiłem ci, wielbny ojcze, o wyborze stanu... gdyż w owych krótkich chwilach przebudzenia, zdawało mi się, że słyszę w dali brzmiające życie, czynne, niezależne, życie dzielone z przyjaciółmi, z rodziną... Wtedy to, wielbny ojcze, powiedziałaś, że moja matka miała tylko jeden cel, jedno życzenie...

– Widzieć cię w stanie duchownym, mój synu – dokończył ksiądz d'Aigrigny.

– Dosyć, ojcze – przerwał Gabriel z oburzeniem – przykro mi słuchać cię podającego fałsz za prawdę: Franciszka Baudoin nigdy nie miała takiej myśli... Wczoraj powiedziała mi wszystko. I ja, i ona zostaliśmy oszukani.

Ksiądz d'Aigrigny odparł surowo:

– Słowom twej przybranej matki wierzysz więcej niż mnie?... Co sądzisz o...

Wielbny ojciec nie dokończył.

Wszedł bowiem Samuel i rzekł:

– Jakiś mężczyzna w starszym wieku chce mówić z panem Rodinem.

– To ja – odrzekł zdziwiony Rodin. Nim wyszedł, podał księdzu d'Aigrigny kartkę zapisaną ołówkiem.

Ksiądz d'Aigrigny i Gabriel pozostali sami.

## ROZDZIAŁ II

### ROZBRAT

Ksiądz d'Aigrigny wziął machinalnie bilet Rodina i trzymał go w ręku, nie pomyślawszy o przeczytaniu; wielbny ojciec z trwogą czekał końca rozmowy.

Według ustawy zakonu jezuitów, Gabriel nie mógł niczego posiadać na swoją wyłączną własność, a poza tym ksiądz d'Aigrigny uzyskał od niego na rzecz zgromadzenia wyraźne zrzeczenie się wszelkiego majątku; lecz wyglądało na to, iż wyraźnie chce zerwać związki, łączące go z zakonem; w takim razie nie miał obowiązku dotrzymać przyrzeczenia. Nadzieje księdza d'Aigrigny o zagarnięciu przez zakon olbrzymiego mienia rodziny Rennepont'ów zostałyby na zawsze zniweczone.

W niemym przestachu czekał zakończenia tej groźnej dla niego rozmowy.

Misjonarz zaś mówił dalej:

– Gdy wstąpiłem do jezuickiego seminarium, mego postanowienia nie dyktowało religijne powołanie... skłoniła mnie do tego chęć wywdzięczenia się przybranej matce. Jednak prawdziwy duch religii Chrystusa jest tak ożywczy, iż nabrałem chęci i gorliwości, gdy pomyślałem, że będę wypełniał boską naukę Zbawiciela. Tej wzniosłej i świętej nauce nikt się nie oprze, kiedy się jej nauczy ze łzami w oczach i sercem pełnym tkliwej miłości bliźniego!

– Mój synu, taki jest właśnie duch chrystianizmu: i uczyć się trzeba, i zgłębiać słowa Pisma Świętego – odparł ksiądz d'Aigrigny. – Dla tej nauki szczególnie przeznaczone są nasze seminaria. Wykład słowa jest dziełem rozbioru, karności i uległości, a nie dziełem serca i uczucia... dlatego, synu, porządek, uległość, dyscyplina są pierwszymi zasadami naszego towarzystwa.

– Niestety! Mój ojciec, nie było to życie, ale raczej śmierć, którą tak regulowano; pośród tego niszczenia wszelkich szlachetnych zasad, poświęciłem się nauce scholastycznej, nauce ciemnej, która zawsze budzi pragnienie niebezpieczeństw, walk, wojen, a nigdy myśli o pokoju, spokojności i szczęściu.

– Schlostyka, synu – odpowiedział surowo ksiądz d'Aigrigny – jest zarazem puklerzem i mieczem: puklerzem dla osłony i ochrony katolickiego dogmatu, mieczem zaś dla zwalczania herezji.

– Przy tym jednak, ojciec, Chrystus i jego apostołowie nie znali tej ciemnej nauki, a na ich proste, wzruszające słowa, ludzie odradzali się i zyskiwali zbawienie... Czy ewangelia, ta boska ustawa, nie wystarcza do nauczania ludzi, by kochali się wzajemnie? Lecz Niestety! Zamiast przemawiać do nas jej językiem, mówiono nam tylko o wojnach religijnych, obliczając potoki krwi, którą trzeba było przelać, aby przypodobać się Bogu i utopić herezję. Ta straszna nauka uczyniła jeszcze smętniejszym nasze życie; nasze związki z towarzyszami przybierały charakter goryczy, zawiści i podejrzliwości. Nałóg donoszenia rodził skrytą nienawiść, głęboką urazę. Nie byłem ani lepszy, ani gorszy od innych; wszyscy ugięci pod żelaznym jarzmem biernej uległości, odwykli od wszelkiej rozwagi, od własnej woli, pokorni, drżący przed swymi przełożonymi, wszyscy byliśmy jednakowo usposobieni, bezwładni, milczący... Wreszcie przyjąłem święcenia; przyjąłem je za twoją radą... Jak to się stało? Nie wiem... bo od dawna już nie miałem własnej woli. Musiałem się poddać i odbyć wszelkie próby... Kilka miesięcy w milczeniu spędziłem w mojej celi, odbywając specjalne, machinalne ćwiczenia, jakie mi naznaczono. Prócz waszej wielbności, nikt się do mnie przez ten czas nie zbliżył; żaden głos ludzki, prócz waszego, nie obił się o moje uszy... czasem w nocy czułem przestach... umysł mój, osłabiony postami, surowością, samotnością, trapiły dziwne, straszne



widziadła; innym znów razem przeciwnie: wpadałem w jakąś niemoc, w jakąś nieczułą obojętność, sądząc, że wykonać moje śluby znaczyło to samo, co pozbyć się na zawsze ciężaru woli i myśli...

– Przypomnij sobie, synu – odparł wielebny ojciec – przypomnij sobie, że w wigilię dnia wyznaczonego ci do złożenia tych ślubów, ofiarowałem ci wolność, zgodnie z ustawą naszego towarzystwa, abys zrzekł się przynależności do naszego zgromadzenia, zostawiając ci wybór, bo my przyjmujemy tylko dobrowolne powołanie.

– Prawda, mój ojciec – odpowiedział misjonarz ze smutkiem. – Kiedym wycieńczony, słaby na duchu przez trzymiesięczną samotność i próby, był bezwładny... otworzyłeś wtedy drzwi mej celi... mówiąc: „Jeżeli chcesz, wstań... wolno ci...” Niestety, brakło mi sił; jedynym życzeniem mej bezwładnej i od dawna już sparaliżowanej duszy był spoczynek w grobie... Złożyłem więc nieodzowne śluby i upadłem na twoje ręce jak trup.

– I aż dotąd, mój synu, nie upadłeś nigdy pod tym posłuszeństwem trupa...

Po chwili milczenia Gabriel mówił dalej:

– Zawsze, ojciec, ukrywałeś przede mną prawdziwy cel zakonu, do którego wstępowałem... Zupełnego wyrzeczenia się własnej woli, którą, zdałem na mych przełożonych, żądano ode mnie w imię chwały Boga... mówiłeś mi, że miałem być użyty do dzieła świętego, wielkiego, pięknego... Uwierzyłem ci, ojciec... Czekałem... Nieszczęsny przypadek zmienił moje przeznaczenie... Bolesna choroba, pochodząca z...

– Synu! Nie ma potrzeby przytaczać tych okoliczności.

– Przebacz mi, ojciec, muszę ci wszystko przypomnieć, mam prawo żądać, abys mnie wysłuchał...

– Mów więc – rzekł ksiądz d’Aigrigny, marszcząc brwi i nie mogąc ukryć obaw wobec tego, co miał powiedzieć młody ksiądz, którego blade dotąd lica pokryły się żywym rumieńcem.

– Na pół roku przed moim odjazdem do Ameryki – mówił dalej Gabriel, opuszczając oczy – powiedziałaś mi, że przeznaczasz mnie na spowiednika... i... żeby mnie przygotować do tej świętej posługi, dałaś mi książkę, zawierającą pytania, jakie kapłan może stawiać młodym chłopcom... paniąkom... mężatkom...gdy staną przed trybunałem pokuty... O, mój Boże! – dodał drżąc – nigdy nie zapomnę tej strasznej chwili... było to wieczorem... Pełen uszanowania, ufności i wiary... otworzyłem ową książkę. Z początku nie rozumiałem... Potem nareszcie... zrozumiałem... Wtedy przejęła mnie zgroza, osłupiałem; miałem ledwo tyle siły, aby zamknąć tę obmierzłą księgę... wyrzuciłem sobie, żem niechcący rzucił okiem na te karty hańby... które, pewno przez pomyłkę, dałaś mi w ręce.

– Kochany synu – odpowiedział wielebny ojciec poważnie – starałem się uspokoić twoje skrupuły. Ksiądz obowiązany słuchać wszystkiego pod pieczęcią spowiedzi, powinien wszystko poznać, o wszystkim wiedzieć i móc wszystko ocenić... tak więc nasze zgromadzenie zobowiązywało młodych księży, przeznaczonych na spowiedników, czytać tę książkę jako dzieło klasyczne.

– Uwierzyłem ci, ojciec; nałóg bezwładnego posłuszeństwa opanował mnie. Mimo wstrętu, który sobie wyrzuciłem jako wielkie przestępstwo, mając na myśli twoje słowa, zabrałem książkę do stancji i czytałem... O! Mój ojciec... jakież przerażające odkrycie wszystkiego, co tylko może być najwystępniejszego... Ach! Jaka noc! Jaka noc! Straszne obrazy przedstawiały się mej dotąd czystej wyobraźni... Świadkiem mi jest Bóg! Zdawało mi się, że czuję wyraźnie, jak rozum mi się mąci. Tak... Zmącił się zupełnie... gdyż wkrótce chciałem unikać tej piekielnej księgi i nie wiem, co za zgubny pociąg, jaka pożerająca ciekawość zatrzymywała mnie i przykuwała do kart zgrozy... Zdawało mi się, że umrę ze wstydu i hańby!... Straszna gorączka pozbawiła mnie do reszty zmysłów.

– Mówisz o tej książce z przyganą – rzekł surowo ksiądz d’Aigrigny – gdyż byłeś ofiarą zbyt silnej wyobraźni: jej to winieneś przypisać owe nieszczęsne wrażenia, jakich doznałeś, czytając wyborną książkę, której nic nie można zarzucić.

– A więc, ojcze – odpowiedział Gabriel z głębokim żalem – nie mam prawa żalić się, że moja, aż do tego czasu niewinna, czysta myśl, zbrukana została sprośnościami. Po tej strasznej nocy ciężko zachorowałem; mówiono mi, że obawiano się, abym nie dostał pomieszania zmysłów. Gdy wróciłem do zdrowia... przeszłość wydała mi się jak jakie przykre marzenie... Wtedy powiedziałaś mi, wielbny ojcze, że nie byłem dość dojrzały do pełnienia pewnych obowiązków... Wtedy to prosiłem cię usilnie, abym mógł udać się jako misjonarz do Ameryki... Długo nie chciałeś przychylić się do mej prośby, wreszcie pozwoliłeś... Odjechałem... Ujrzałem się między oceanem a niebem! Wydało mi się, że wyszedł jak więzień z ciemnej jaskini; pierwszy raz, po tylu latach, poczułem wolne bicie serca w swych piersiach! Pierwszy raz poczułem, że jestem panem swej myśli i ośmieliłem się zastanowić nad swoim dotychczasowym życiem... Wtedy to pojawiły się dziwne wątpliwości. Pytałem sam siebie, jakim prawem, w jakim celu tak długo we mnie tłumiono, niweczono używanie własnej woli, własnego rozumu, kiedy sam Bóg obdarzył mnie tą wolą, tym rozumem; lecz pomyślałem sobie... że może cele tego wielkiego dzieła, do którego się miałem przyczynić, zostaną mi kiedyś odkryte i nagrodzą mnie za moje posłuszeństwo i wyparcie się samego siebie...

W tej chwili wszedł Rodin.

Ksiądz d’Aigrigny zapytał go znaczącym spojrzeniem; Rodin zbliżył się i rzekł mu po cichu, tak iż Gabriel nie słyszał:

– Nic ważnego; doniesiono mi tylko, że ojciec marszałka Simona przybył do fabryki pana Hardy’ego.

Rodin zajął poprzednie stanowisko przy kominku.

– Mów dalej, mój synu... chciałbym wiedzieć, na czym zamierzasz skończyć? – rzekł d’Aigrigny.

– Powiem ci to niebawem, ojcze... Przybyłem do Charlestown... Przełożony naszego zakonu w tym mieście, któremu objawiłem moje powątpiewania o towarzystwie, oświadczył gotowość oświecenia mnie; z przerażającą otwartością odkrył mi cel, do którego uporczywie dążyli zwierzchnicy, od początku zawiązania zakonu... Przeląknęłam się... Czytałem kazuistów... Och! Wtedy to, mój ojcze, było to nowe, straszne dla mnie odkrycie, gdy na każdej karcie tych ksiąg, pisanych przez jezuitów, czytałem usprawiedliwienie kradzieży, potwarzy, gwałtu, cudzołóstwa, krzywoprzysięstwa itp. Kiedym wspomniał, że ja, kapłan Boga miłosierdzia, sprawiedliwości, przebaczenia i miłości, należałem do towarzystwa, którego przełożeni wyznawali takie zasady i chełpili się nimi, przysięgłem Bogu, że zerwę na zawsze łączące mnie z nim związki!...

Na te słowa ksiądz d’Aigrigny i Rodin spojrzeli na siebie przerażeni; uznali, że wszystko stracone, że zdobycz wymyka się im z rąk.

Gabriel, głęboko wzruszony wspomnieniami, nie dostrzegł ich pomieszania i mówił dalej:

– Pomimo postanowienia opuszczenia zakonu, bolesne było dla mnie dokonane odkrycie... Tak dalece cierpiałem... iż myśląc o niebezpieczeństwach mojej misji, spodziewałem się z tajoną radością, że może przy tej okoliczności Bóg mnie powoła do siebie... lecz przeciwnie, czuwał nade mną troskliwie...

Zadrzał na wspomnienie tajemniczej niewiasty, która mu ocaliła życie.

– Po skończeniu misji wróciłem tu, ojcze, postanowiwszy prosić cię, abyś mnie uwolnił od złożonych ślubów... Kilka razy, ale daremnie, żądałem spotkania z tobą... Wczoraj opatrność zrządziła, że mogłem rozmówić się z przybraną matką; od niej dowiedziałem się, jakiego to użyto podstęp, aby nakłonić mnie do wstąpienia do zakonu. Pojmujesz, wielbny ojcze, że gdybym mógł jeszcze wahać się w swym postanowieniu, to to, o czym się wczoraj dowiedzia-

łem, uczyniłoby postanowienie nieuniknionym... Lecz wyznać ci muszę, ojcze, że nie obwiniam całego zgromadzenia, gdyż zapewne należy do niego wiele osób, podobnie jak ja prostych, łatwowiernych i ufających... żałuję ich i będę prosić Boga, aby ich oświecił, tak jak mnie oświecił...

– A więc, mój synu – rzekł pobladły ksiądz d’Aigrigny – żądasz zerwania związków, które cię łączą z naszym zgromadzeniem?

– Tak, ojcze, złożyłem przysięgę w twoje ręce i proszę cię, abyś ją rozwiązał... abyś mnie uwolnił od ślubów.

– A wiesz, synu, że zgromadzenie może cię uwolnić... lecz ty sam nie możesz się uwolnić od niego?

– Mój postępek dowodzi, mój ojcze... jaką przywiązuję wagę do przysięgi, kiedy cię proszę, abyś mnie od niej uwolnił... Gdybyś mi jednak tego odmówił, przestanę uważać się za zobowiązanego tak w oczach boskich, jak i w oczach ludzi.

– To bardzo szczere... – rzekł ksiądz d’Aigrigny a głos zamierał mu na ustach, tak wielkie było jego przerażenie.

Wtem Rodin, jakby pod wpływem niespodzianej myśli, dostrzegł, że wielebny ojciec trzymał jeszcze w ręku jego bilet, nie przeczytany. Przystąpił więc do księdza i zapytał go po cichu:

– Wielebny ojcze... czyś nie czytał jeszcze mego biletu?...

– Nie pomyślałem o nim.

– Przeczytaj go więc...

Zaledwie ksiądz d’Aigrigny rzucił okiem na bilet, gdy promień nadziei zabłyśnął na jego twarzy; ścisnął z wdzięcznością rękę Rodinowi i rzekł po cichu:

– Masz słuszność... Gabriel jest nasz...

## ROZDZIAŁ III

### WDZIĘCZNOŚĆ

Ksiądz d'Aigrigny głęboko się namyślił, zanim odezwał się do Gabriela; jego twarz z wolna się wypogodziła. Zdawał się rozważać skutki mowy, którą miał rozwinąć z wybornego i efektownego tematu, który Rodin, widząc grożące niebezpieczeństwo, wskazał mu naprędce w kilku wierszach nakreślonych ołówkiem.. Rodin wrócił na swoje stanowisko przy kominku.

Jego trupia twarz przybrała zwykły spokój; wielkie powieki, podniesione na chwilę w gniewie i niecierpliwości, znowu opadły i zakryły do połowy małe, mętne oczy.

Ksiądz d'Aigrigny mimo wytwornych i płynnych słówek, mimo ułudy układnego obejścia, sympatycznej twarzy i całej powierzchowności wyrafinowanego światowca, gasł częstokroć w porównaniu z niezachwianą stałością i szatańską przebiegłością Rodina, który przecież rzadko kiedy wychodził poza obręb swej skromnej roli sekretarza i niemego słuchacza.

Jego wielebność, zręcznie ułożywszy plan ataku, przerwał wreszcie milczenie, westchnął głęboko, umiał swej fizjonomii przed chwilą surowej i zagniewanej, nadać wyraz ujmującej dobroci i uprzejmie zwrócił się do Gabriela:

– Przebac mi, synu, że tak długo milczałem... ale twoje nagłe postanowienie tak mnie zmieszało, obudziło we mnie tyle przykrych myśli... iż musiałem się przez chwilę zastanowić, aby dociec przyczyny twego postępu... i zdaje mi się, że ją znalazłem... Czy więc, mój synu, dobrze się namyśliłeś... dobrze wszystko rozważyłeś?

– Tak, ojczu.

– A jakież są twoje dalsze zamiary, mój synu?

– O! Mój Boże, zdaje mi się, że przy Twojej pomocy mógłbym w wiejskiej parafii wyświadczyć przysługę ludności. A więc, przykro byłoby mi, ojczu, gdybym widział, że mi odmawiasz tego, co...

– O! Bądź spokojny, mój synu – przerwał ksiądz d'Aigrigny – nie mam bynajmniej zamiaru opierać się dłużej twemu życzeniu odejścia od nas...

– A więc, ojczu... uwalniasz mnie od ślubów?

– Do tego nie mam władzy, kochany synu; napiszę jednak bezzwłocznie do Rzymu, do naszego generała, prosząc o upoważnienie.

– Dziękuję ci, wielebny ojczu...

– Wkrótce więc, drogi synu, będziesz uwolniony od związków, które są ci za ciężkie, a ludzie, których się wyrzekasz z taką goryczą, nie przestaną modlić się za ciebie... aby cię Bóg zachował od wszelkiego obłąkania... Sądzisz, mój synu, że się od nas odłączysz, a my nie sądzimy, abyśmy mogli odłączyć się od ciebie... nie tak łatwo zrywa się u nas ojcowskie przywiązanie. Przez wiele lat dawaliśmy ci, jako swemu ukochanemu dziecku, chleb duszy i ciała; dziś podobało ci się wyrzec nas, porzucić... nie tylko na to zezwalam... ale gdybym doszedł prawdziwego powodu twego rozbratu z nami, czuję się w obowiązku uwolnić cię od przysięgi.

– O jakim powodzie myślisz, wielebny ojczu?

– Niestety! Kochany synu, pojmuję twoją obawę... Wiesz, że dziś grożą nam niebezpieczeństwa...

– Niebezpieczeństwa?

– Niepodobna, żebyś nie wiedział, że od pewnego czasu prześladują nas, gnębią... Dlatego to, kochany synu, pojmuję i oceniam, jak należy, pobudki, które przywodzą cię do rozstania się z nami.

– Mój ojczy! – zawołał Gabriel z gniewem i żalem. – Tak o mnie nie myślisz... i myśleć nie możesz.

Ksiądz d'Aigrigny, bez względu na protest młodego misjonarza, kreślił dalej obraz urojonych niebezpieczeństw grożących zakonowi, których nie tylko nie było, lecz przeciwnie, zakon odzyskiwał powoli, skrycie swój dawny wpływ.

– Och! Gdyby nasze zgromadzenie, tak jak dawniej – prawil – doznawało jeszcze poszanowania i względów, jakie mu winni dobrzy katolicy, pomimo tylu bezecnych potwarzy, ścigających nas! Lecz dziś, kiedy jesteśmy słabi, uciskani, zagrożeni ze wszystkich stron, naszym obowiązkiem jest nie zmuszać cię do dzielenia z nami niebezpieczeństw...

Gabriel został rozbrojony; nie było na świecie szlachetniejszego, uczciwego serca.

– Wielebny ojczy – rzekł wzruszony i ze łzami w oczach – twoje słowa są okrutne... i niesprawiedliwe... bo wiesz, że nie jestem podły.

– Nie... – wtrącił krótko Rodin; a zwracając się do księdza d'Aigrigny i wskazując na Gabriela pogardliwym wzrokiem, dodał: – Syn waszej wielebności jest... roztropny.

Na te słowa Gabriel wzdrygnął się; lekki rumieniec wystąpił na jego blade lica; jego wielkie, błękitne oczy zaiskrzyły się szlachetnym gniewem; potem, wierny zasadom chrześcijańskiej pokory, poskromił to chwilowe uniesienie, schylił głowę i będąc zbyt wzruszony, aby móc odpowiedzieć, milczał, otarłszy tylko nieznacznie łzę.

Jeszcze inna pobudka zmusza nas, abyśmy się nie wahali uwolnić cię od twych ślubów, mój synu... – jest to kwestia dość drażliwa... Dowiedziałeś się zapewne wczoraj od swej przybranej matki, że powołany będziesz do odziedziczenia spadku... którego wartość jest jeszcze niewiadoma.

Gabriel podniósł żywo głowę i odparł:

– Nie rozumiem cię, ojczy.

– A przecież to bardzo proste...

– Łamiesz swoją przysięgę dlatego, że my jesteśmy prześladowani i że chcesz odzyskać swój dar – dodał Rodin piskliwym głosem, jak gdyby chcąc krótko i po grubiańsku przedstawić stosunek Gabriela do zakonu.

Na to haniebne oskarżenie Gabriel podniósł ręce do góry, wołając żalonym głosem:

– O! Mój Boże!... – Mój Boże!

Ksiądz d'Aigrigny, zamieniwszy spojrzenie z Rodinem, zwrócił się do niego, niby karcąc go za jego obraźliwą otwartość:

– Sądzę, że za daleko się posuwasz...

– Wielebny ojczy – odezwał się Gabriel, blady, wzruszony, drżąc i hamując swe słuszne oburzenie – dziękuję ci, żeś przynajmniej zawiesił swój sąd... Nie, nie jestem podły, gdyż Bóg mi świadkiem, że nie wiedziałem, aby waszemu zgromadzeniu zagrażało jakieś niebezpieczeństwo; nie jestem ani podstępny, ani chciwy, gdyż Bogiem się świadczę, że dopiero w tej chwili się dowiaduję, iż być może, powołany zostanę do odziedziczenia spadku i że...

– Jedno słowo tylko, drogi synu – przerwał ksiądz d'Aigrigny – o tej okoliczności dowiedziałem się niedawno, przypadkiem... A to z powodu papierów, które twoja przybrana matka oddała spowiednikowi i które nam zostały złożone przy twoim wstąpieniu do naszej szkoły. Jeszcze wczoraj wieczorem uważaliśmy cię za swego; nasza ustawa wymaga, aby żaden z nas nie posiadał nic na swoją wyłączną własność... A więc już nie ty, lecz zgromadzenie, w mojej osobie, wystąpiło jako spadkobierca, za ciebie i w twoim imieniu, opatrzone twymi dowodami, które mam tu przy sobie. Lecz teraz, mój synu, ponieważ opuszczasz nas... do ciebie należy stanąć; my przybyliśmy tu jedynie jako pełnomocnicy ubogich, którym ty dawniej rozdawałeś pobożnie mienie, kiedykolwiek mogące przypaść na ciebie. Teraz, przeciwnie, nadzieja pozyskania majątku zmienia twoje zamiary; odbierz więc swoją darowiznę,

Gabriel z niecierpliwością słuchał swego przełożonego; wreszcie zawołał:

– I ty, wielbny ojciec, sądzisz, że jestem zdolny cofnąć dotację, dobrowolnie zapisaną zgromadzeniu w dowód wdzięczności za udzielone mi wychowanie?...

– Spodziewałem się tego, mój synu. Potem skinął na Rodina.

– Pozwól pan – rzekł zimno Rodin – prawo nie uznaje naszego istnienia, nie zna także darów uczynionych zgromadzeniu... Mógłbyś więc odebrać jutro to, co dałbyś dzisiaj.

– A moja przysięga, panie! – zawołał misjonarz.

– Pańska przysięga? Wszak przysięgłeś wieczne posłuszeństwo zgromadzeniu i że go nigdy nie opuścisz; a dziś, jaką ma wagę ta pańska przysięga?

Gabriel zakłopotał się na chwilę, lecz nie odpowiedziawszy, z godnością zbliżył się do stołu, siadł i napisał:

„W obliczu Boga, który mnie słyszy; przed tobą, Wielbny ojciec i przed panem Rodinem, świadkami mej przysięgi, ponawiam teraz dobrowolnie, bez przymusu, darowiznę całą i zupełną którą uczyniłem dla towarzystwa jezuitów, w osobie księdza d’Aigrigny, wszelkich dóbr, jakie by kiedykolwiek do mnie należały i bez względu na ich wartość. Przysięgam, pod karą hańby, że obietnicy tej dotrzymam święcie, jako uiszczenie się z długu wdzięczności i pobożnej powinności.

Ponieważ celem tej donacji jest wynagrodzenie otrzymanych dobrodziejstw tudzież przyjsię z pomocą ubogim, przeto rozporządzenie to w żadnym wypadku zmienione być nie może. Wiedząc, iż prawnie mógłbym kiedyś żądać unieważnienia aktu, który teraz czynię z własnej, dobrej woli, oświadczam, że gdybym myślał kiedy, z jakichbądź powodów, o unieważnieniu go, zasłużyłbym na wzgardę u wszystkich uczciwych ludzi.

Dla lepszej wiary napisałem to i podpisałem 13 lutego 1832 roku w Paryżu, w chwili otwarcia testamentu jednego z mych przodków ojczystych.

Gabriel de Rennepont.”

Oddał następnie ten akt Rodinowi, nie mówiąc ani słowa.

Socjusz uważnie przeczytał dokument, po czym zwracając się do Gabriela, odezwał się ze zwykłą sobie oziębłością:

– To tylko przysięga napisana... Nic więcej.

Gabriel osłupiał na bezczelność Rodina.

– Panie! – przerwał, ledwie wstrzymując gniew.

– A więc dobrze – dodał zimno Rodin – ponieważ masz pan niezmiennie postanowienie uczynić tę donację ważną... to jakie mógłbyś mieć zastrzeżenia, aby otrzymała rękojmię prawną?

– Ależ, panie, nie mam żadnego zastrzeżenia – odparł z goryczą Gabriel – lecz gdy moje słowo, napisane i zaprzysiężone, nie jest dla pana dostateczne...

– Mój kochany synu – przerwał uprzejmie wielbny ojciec – wierz mi, że gdyby tu szło o donację na moją korzyść, ja przyjmując ją, znajdowałbym w twym słowie całkowitą rękojmię... Lecz tu zachodzą inne okoliczności... Bóg może cię powołać do siebie... dziś lub jutro... A kto zaręczy, że twoi spadkobiercy zechcą wypełnić twoją obietnicę?

– Słusznie mówisz, wielbny ojciec.

W tej chwili Samuel otworzył drzwi i rzekł:

– Panowie, przybył notariusz: Czy mogę go tu wprowadzić?

– Notariusz przybywa w samą porę – odezwał się Rodin. – Jeżeli więc trwasz w swych zamiarach, możesz swą donację zeznać przed tym urzędnikiem.

– Panie, cokolwiek by zaszło, uważać się będę niezmiennie za związanego tą napisaną przysięgą, którą proszę cię zachować, mój ojciec – rzekł Gabriel, oddając księdzu d’Aigrigny swą deklarację – zupełnie tak samo, jak aktem notarialnym, który mam podpisać – dodał, zwracając się do Rodina.

– To wystarcza, synu... Otóż i pan notariusz – odezwał się ksiądz d’Aigrigny.

Podczas ich rozmowy z notariuszem poprowadzimy czytelnika do wnętrza zamurowanego domu.

## ROZDZIAŁ IV

### CZERWONA SALA

Murarze, ukończywszy swoją robotę i chcąc być obecni przy otwarciu drzwi, oczekiwali wraz z dozorującym ich dependentem na przybycie Samuela, który nadchodził od strony ogrodu z pękiem kluczy w ręku.

– Teraz, moi przyjaciele – rzekł starzec, zbliżywszy się do schodków ganku – kiedyście ukończyli waszą robotę, udacie się do pana notariusza po zapłatę, a następnie wypuszczę was za bramę.

– A zmiłujże się, szanowny panie – odezwał się dependent – zważ przecie, że ja i ci ludzie znajdujemy się w najciekawszej chwili i radziłybyśmy widzieć wewnątrz tego osobliwego domu, a ty miałbyś serce odprawić nas z kwitkiem?... To niepodobna...

– Przykro mi bardzo, ale tak musi być, gdyż najpierw ja powinienem, i to sam, wejść do tego domu, zanim wprowadzę doń spadkobierców dla odczytania testamentu.

Widząc nieugiętość stróża, murarze z zalem zdecydowali się zejść ze schodów; dependent nie chciał tak łatwo dać za wygraną.

Zamiarowi temu przeszkodził notariusz, który z dziedzińca odezwał się donośnym i nagłym głosem:

– Panie Piston... Zbiegnij prędko do najbliższego magazynu i przynieś trzy lub cztery arkusze stemplowanego papieru, dla spisania aktu... Bieź co żywo, bo akt musi być spisany natychmiast, jeszcze przed otwarciem testamentu; czas nagli!

Tymczasem Samuel, idąc po schodach, dostał się do drzwi, które dopiero odmurowano.

Starzec z głębokim wzruszeniem, po odszukaniu w pęku potrzebnego klucza, włożył go w zamek, przekręcił, a otworzywszy, pchnął drzwi, które zaskrzypiały na odwiecznych zawiasach.

Natychmiast uderzyło go w twarz wilgotne, zimne powietrze, jak z piwnicy, która bardzo dawno nie była otwierana.

Odgłos jego ciężkich kroków rozlegał się pod wysoką kopułą sieni; wnuk Izaaka Samuela zadumał się, pomyślawszy, że pewnie kroki jego dziada były ostatnimi, które rozległy się w tym domu, gdy go zamykał przed stu pięćdziesięciu laty, wierny bowiem przyjaciel Rennepont'a, który mu pozornie sprzedał swój dom i następnie przekazał go dziadowi Samuela, umożliwił tym sposobem przechowanie tej nieruchomości dla dzisiejszych jego spadkobierców.

Do tych myśli dołączyło się jeszcze wspomnienie światła, widzianego dziś z rana w otworach ścian, okrywających taras; pomimo więc siły charakteru, starzec zadrzał, biorąc z kolei drugi klucz z napisem: „Do czerwonej sali” i otwierając nim podwoje, prowadzące do niej.

Jedyne w całym domu otwarte okno oświecało ten obszerny pokój, wybity ciemnopurpurowym adamaszkiem, którego kolor nie uległ zmianie; gruby kobierzec turecki pokrywał posadzkę; połączane krzesła, w stylu z czasów Ludwika XIV, rozstawione były wzdłuż ścian; drugie drzwi, prowadzące do następnego pokoju, znajdowały się na wprost drzwi wejściowych, ich boazerie jak i gzymsy okalające sufit, były białe ze złożonymi listwami.

Bogate kandelabry i ścienny zegar, w tym samym stylu co i meble, przeglądały się w wielkim weneckim zwierciadle.

Na środku salonu stał wielki stół, nakryty aksamitnym, karmazynowym kobiercem.



Zbliżywszy się do stołu, Samuel zobaczył arkusz białego pergaminu z następującym napisem:

„W tej sali ma być otwarty mój testament; inne pokoje pozostaną zamknięte aż do przeczytania mej ostatniej woli.”

„*M. de Re.*”

Głęboka cisza panowała w salonie.

Nagle rzecz, na pozór najnaturalniejsza, a przecież niesłychana, najdziwniejsza, jaką tylko sobie można wystawić, wyrwała Samuela z zadumy.

Usłyszał czysty, srebrny dźwięk głosu zegara w przyległym pokoju, bijącego dziesiątą godzinę.

I rzeczywiście była właśnie dziesiąta rano.

Samuel był zbyt rozsądnym i praktycznym człowiekiem, aby miał uwierzyć w perpetuum mobile, to jest w zegar chodzący od półtora wieku. Dlatego zastanowił się, równie zdziwiony jak przerażony, jakim sposobem ten zegar nie stanął od tyłu lat, a najbardziej zdziwiło go to, że z taką dokładnością wskazał właściwą godzinę.

Długo zastanawiając się nad tym nadzwyczajnym zjawiskiem i łącząc je z uprzednim ukazaniem się światła w otworach tarasu, wnioskował, że musi być jakiś tajemny związek między tymi dwoma zjawiskami.

Chociaż starzec nie mógł dociec ich prawdziwej przyczyny, usiłował przynajmniej tłumaczyć je po swojemu, domysłami o podziemnych korytarzach, które, jak niosło podanie, miały się rozciągać od tego domu do różnych odległych miejsc; w ten sposób nieznanne osoby mogły dostawać się tą drogą po kilka razy w ciągu każdego wieku.

Żywy promień światła słonecznego, przedarłszy się przez chmury, oświetlał dwa, zawieszane po obu stronach kominka, wielkie portrety, których starzec dotąd nie spostrzegł, a które, odmalowane w naturalnej, od stóp do głów, postawie, wyobrażały jeden kobietę, a drugi mężczyznę.

Po skromnym, ale zarazem silnym kolorycie tych malowideł, po śmiałym pędzlu łatwo było poznać, że to są mistrzowskie dzieła.

Kobieta zdawała się być w wieku od dwudziestu pięciu do trzydziestu lat; okazały czarny włos wieńczył białe, szlachetne, wysokie czoło; ubiór jej głowy, zamiast przypominać modę, której wzór dała pani de Sevigne dla wieku Ludwika XIV, przeciwnie, przywodzi na pamięć owe słynne ubiory głów na portretach Veronese'a; rodzaj tuniki, czyli sukni z czarnej, połyskliwej materii, zachodził aż na ramiona i po zgrabnej, wyniosłej kibici spadał aż na stopy, przykryte fałdami tej powłóczyściej odzieży.

W postawie tej kobiety widać było szlachetność, a zarazem wielką prostotę.

Rozkład obrazu, tudzież ciepły i żywy koloryt pierwszych płaszczyzn, które bez żadnego pośredniego przejścia odbijały od odległego tła, wszystko to pozwalało odgadnąć, że kobieta znajdowała się na wzgórzu, z którego mogła widzieć cały horyzont.

W wyrazie jej twarzy przebijało głębokie zamyślenie i troska. Szczególnie w jej wzroku, na wpół wzniesionym ku niebu, można było odczytać błagalną boleść.

Po lewej stronie kominka wisiał drugi, równie śmiałego pędzla obraz.

Przedstawiał mężczyznę wysokiego wzrostu, w wieku trzydziestu do trzydziestu pięciu lat. Pod obszernym, ciemnego koloru, kształtnie zarzuconym płaszczem, widać było kaftan zapięty pod szyję, na który wywinęty był biały kołnierz. Piękna, charakterystyczna głowa przedstawiała w swych rysach ród dzielny, a mimo że te rysy były surowe, jednak przebijały się przez nie cierpienia, rezygnacja i nade wszystko niewymowna dobroć; czarne brwi dziwnym zrzędzeniem natury rozciągały się od jednej do drugiej skroni jednym nieprzerwanym łukiem.

Tło obrazu przedstawiało zachmurzone niebo; lecz za paroma skałami widać było morze, którego widnokrąg jakby się łączył z ciemnymi chmurami.

– Co za szlachetne i piękne twarze! – rzekł do siebie staruszek. – Lecz czyje są te portrety?... Do rodziny Rennepont'ów nie należą, gdyż jak mówił ojciec, tamte mają być zgromadzone w sali żałobnej...

Po chwili rzekł zadumany:

– Trzeba pomyśleć o przygotowaniu wszystkiego do tego uroczystego zebrania... bo dziesiąta godzina już wybiła...

To mówiąc, poustawił złożone krzesła wokół stołu, a następnie rzekł zamyślony:

– Godzina zbliża się, a jednak nie ma jeszcze dotąd żadnego innego z potomków dobroczyńcy mego dziada, prócz tego młodego księdza... Czyżby więc tylko on jeden miał być przedstawicielem rodziny Rennepont'ów?... A ponieważ jest księdzem... czyżby rodzina ta na nim miała wygasnąć?...

Obrócił dwa razy klucz w zamku i otworzył podwoje.

Ze smutkiem ujrzał na ganku tylko Gabriela, mającego obok siebie z lewej strony Rodina, a po prawej księdza d'Aigrigny.

Notariusz i Jezabel, która ich przyprowadziła, stali za trzema pierwszymi.

Samuel, westchnąwszy głęboko, rzekł do przybyłych:

– Panowie... Wszystko przygotowane... Możecie wejść...

## ROZDZIAŁ V

### TESTAMENT

Gdy Gabriel, Rodin i ksiądz d'Aigrigny weszli do czerwonego salonu, zdawało się, że każdemu z nich towarzyszyły inne odczucia.

Gabriel, blady i smutny, był bardzo nieszczęśliwy; rad by jak najprędzej wyjść z tego domu, i zdawało mu się, że zrzucił z siebie jakieś ciężkie brzemię, od chwili, gdy uroczystym aktem dokonanym przed notariuszem, zrzekł się wszelkich praw do spadku na rzecz księdza d'Aigrigny.

Był to niewątpliwie człowiek, obdarzony niezwykłą mocą charakteru, skoro ten kwiat skrupulatnej uczciwości nie zwiadł pod zaraźliwym wpływem jego wychowania; lecz szczęściem dla niego, że jak zimno zachowuje niekiedy ciała od zepsucia, tak lodowata atmosfera, w której upłynęła część jego dzieciństwa i młodości, wprawiła go tylko w odretwienie, ale nie zniszczyła szlachetnych przymiotów, które niebawem odświeżyło i przywróciło do życia wolne powietrze.

Samuel był wielce strapiony... Nikt inny jako dziedzic, prócz Gabriela, nie pokazał się...

Nie ma wątpliwości, że starzec powziął wielką sympatię dla tego młodzieńca; ale ten młodzieniec był księdzem; z nim więc zgasłoby imię rodziny Rennepont'ów; a wówczas ogromny, tak pracowicie nagromadzony majątek, pewnie nie zostałby użyty tak, jak pragnął tego testator.

Uczestnicy tej sceny stali wokół wielkiego stołu. W chwili, kiedy na wezwanie notariusza mieli usiąść, Samuel, pokazując na zawierającą rejestr czarną teczkę, rzekł:

– Ten rejestr polecono mi tu złożyć; jest zamknięty.

– W rzeczy samej, tak nakazuje postąpić aneks do testamentu, który tu mamy – rzekł pan Dumesneil – a który został złożony w roku 1682 u Tomasza Le Semelier, radcy królewskiego, notariusza przy trybunale paryskim, zamieszkałego na Placu Królewskim Nr 13.

Pan Dumesneil wyjął z czerwonej safianowej teki wielką pergaminową kopertę, położył ją z czasem, do której jedwabną nicią przyczepiona była także pergaminowa kartka.

– Raczcie zająć miejsca, panowie – rzekł notariusz – przeczytam wam załączoną tu notę, która wskazuje, aby przed otwarciem testamentu dopełnić formalności.

Notariusz, Rodin, ksiądz d'Aigrigny i Gabriel zasiedli za stołem.

Ten ostatni, siadłszy tyłem do kominka, nie mógł widzieć umieszczonych nad nim portretów. Pan Dumesneil począł czytać:

„Dnia 13 lutego 1832 roku mój testament zaniesiony będzie na ulicę Świętego Franciszka Nr 3.

Punkt o godzinie dziesiątej z rana, drzwi do czerwonego salonu, leżącego na parterze, będą otworzone dla mych spadkobierców.

Skoro się zbiorą, przeczytany zostanie mój testament, a gdy wybije dwunasta, testament zostanie zamknięty na korzyść tych, którzy, według mego zlecenia, jak się spodziewam, dochowanego w mej rodzinie przez podanie, poczynając od dnia dzisiejszego, w ciągu stu pięćdziesięciu lat, stawiać się osobiście dnia 13 lutego przy ulicy Świętego Franciszka”.

Notariusz zatrzymał się chwilę, a następnie stwierdził uroczyście:

– Ponieważ ksiądz Gabriel Franciszek Maria de Rennepont legalnie udowodnił swoje pochodzenie i pokrewieństwo z testatorem i aż do tej chwili sam jeden z rodziny Rennepont'ów stawił się w tym miejscu osobiście, przeto otwieram testament w jego obecności.

To mówiąc, wy dobył z koperty testament.

Ksiądz d'Aigrigny nachylił się i oparł rękę o stół, wstrzymując oddech z niecierpliwości.

Gabriel gotów był słuchać raczej przez ciekawość, nie powodując się osobistym interesem.

Rodin usiadł w pewnej odległości od stołu. Cała uwaga socjusza dzieliła się między najmniejszym szelestem, jaki dobiegał z zewnątrz domu, a powolnym posuwaniem się wskazówek zegara, którego bieg jego małe oczka zdawały się pragnąć przyspieszyć, niecierpliwie bowiem oczekiwał godziny dwunastej.

Notariusz, rozłożywszy pergaminową kartę, pośród ogólnej ciekawości, czytał, co następuje:

*Wieś Villetaneuse, dnia 13 lutego 1682 r.*

„Śmierć dobrowolna ocalić mnie ma od hańby galerów, na które skazali mnie nieprzyjaciele mojej rodziny, jako odszczepieńca.

A wreszcie... nieznośnym jest życie od czasu, jak syn mój padł ofiarą tajemniczej zbrodni.

Umarł, mając lat dziewiętnaście... biedny Henryk... nieznani są jego zabójcy... nie... niezupelnie nieznani... jeżeli uwierzyć memu przeczuciu...

Chcąc zachować dla tego dziecka majątek, udałem, że się wyrzekam protestantyzmu... Dopóki żyło to kochane dziecko, dopełniałem na pozór ściśle katolickich obrządków... Oburzało mnie wprawdzie to oszukaństwo, ale chodziło o syna...

Przymus ten stał się dla mnie nieznośnym... od czasu, jak mi zgładzono syna... śledzono wszystkie me kroki; zostałem oskarżony i osądzony, jako odszczepieniec... mój majątek skonfiskowano, a ja skazany zostałem na galery.

O! W jakże okrutnych żyjemy czasach!

Nędza i niewola! Krwawy despotyzm i religijna nietolerancja... Ach! Miło mi jest rozstać się z takim życiem...

Tak, trzeba pomyśleć o krewnych, którzy żyją, albo raczej o tych, którzy żyć będą... w lepszych może czasach...

Suma pięćdziesiąt tysięcy talarów wynosząca – depozyt powierzony przyjacielowi – pozostała mi z tyłu moich dóbr...

Nie mam już syna... ale mam wielu krewnych, wygnanych, rozproszonych po Europie.

Suma ta, pięćdziesiąt tysięcy talarów, podzielona między wszystkich krewnych, byłaby dla nich bardzo małym zasiłkiem. Inaczej więc nią rozporządziłem.

A w tym trzymałem się rady mądrego człowieka... którego szanuję głęboko.

Dwa razy w życiu widziałem tego człowieka i to w nader okropnych okolicznościach... dwa razy winien mu byłem moje ocalenie... raz ocalenie ciała, drugi ocalenie mej duszy.

Rzecz niepojęta!... Kiedy się przekonał o moim postanowieniu odebrania sobie życia, mimowolnie wyrwało się z jego ust słowo, które kazało uwierzyć mi, że zazdrościł mi mego losu... śmierci...

Czyliż więc sam skazany jest, aby żył wiecznie?...

Tak... pewno się sam na to skazał, aby mógł być użytecznym dla ludzkości... a przecież ciąży mu życie; słyszałem bowiem, jak pewnego dnia w rozpaczny mówił: „Ach! Życie... życie... Któż mnie od niego uwolni!”

Oddalił się; jego ostatnie słowa sprawiły, że spokojnie wyobrażam sobie śmierć...

Jemu winienem, że moja śmierć nie będzie daremna.

Jemu należy się wdzięczność, że niniejsze słowa, napisane przez człowieka, który za kilka godzin przestanie żyć, wydadzą może coś wielkiego za półtora wieku. Tak, coś wielkiego, szlachetnego!... Jeżeli potomkowie ściśle wypełnią moją wolę.

Zeby zrozumieli i ocenili moje ostatnie życzenia, trzeba, żeby poznali prześladowców mej rodziny, żeby mogli pomścić swych przodków, ale pomścić szlachetnym sposobem.

Mój dziad był katolikiem; idąc nie tyle za religijną gorliwością jak za przewrotnymi radami, połączył się, chociaż świecki, z towarzystwem, którego potęga była zawsze równie straszna jak tajemnicza: z towarzystwem jezuitów”.

Przy tych słowach testamentu, ksiądz d'Aigrigny, Rodin i Gabriel, spojrzeli na siebie mimowolnie.

Nie zauważywszy tego, notariusz czytał dalej:

„Po kilku latach, w których nie przestawał dawać dowodów całkowitego oddania dla tego towarzystwa, okropne odkrycia nagle oświeciły go o ukrytym celu, jaki miało to towarzystwo, i o środkach, jakimi do niego dążyło.

Było to roku 1610, na miesiąc przed zabiciem Henryka IV-go.

Mój dziad, przerażony tajemnicą, jakiej powiernikiem stał się mimowolnie, porzucił wyznanie rzymskie i został protestantem.

Niezaprzeczone dowody, świadczące o współnictwie dwóch członków tego towarzystwa z Ravaillem, współnictwie równie dowiedzionym w czasie zbrodni Jana Chatel, królobójcy, znajdowały się wówczas w ręku mego dziada.

Taka była pierwsza przyczyna zajadłej nienawiści jezuitów przeciwko naszej rodzinie.

Mój ojciec także był wystawiony na skryte prześladowania; jego upadek, a może i śmierć, byłyby ich skutkami, gdyby nie pośrednictwo anielskiej kobiety, dla której zachował cześć niemal religijną.

Portret tej kobiety, którą widziałem przed kilku laty, równie jak portret mężczyzny, dla którego mam cześć najwyższą, odmalowane zostały przeze mnie na pamiątkę i umieszczone są w czerwonym salonie przy ulicy Świętego Franciszka”.

Od pewnego czasu Gabriel coraz uważniej słuchał testamentu; myślał, że dziwnym zbiegłem, jeden z jego przodków, przed dwoma wiekami, zerwał stosunki z jezuitami, tak jak on to zrobił przed dwiema godzinami... i że od tego rozbratu, sięgającego dwóch wieków... zaczynał się także pewien rodzaj nienawiści, z jaką towarzystwo jezuitów ścigało jego rodzinę.

Również wydało mu się rzeczą dziwną, że to dziedzictwo, przekazane mu przed stu pięćdziesięciu laty przez jednego z jego przodków, który padł ofiarą jezuitów, wracało znowu do tego towarzystwa, skutkiem jego dobrowolnego zrzeczenia się.

Gdy notariusz przeczytał wzmiankę o dwóch portretach, Gabriel, który siedział odwrócony tyłem do obrazów, obrócił się, chcąc im się przypatrzeć...

Zaledwie ujrzał portret kobiety, krzyknął nagle ze zdziwieniem i niemal przerażeniem.

Notariusz przerwał czytanie i zmieszany spojrzął na Gabriela.

## ROZDZIAŁ VI

### DRAMATY

Gabriel, drżąc, patrzył na portret kobiety z coraz większym zdumieniem.

Po chwili rzekł cicho, jakby sam do siebie:

– Mój Boże! Czy to możliwe, żeby los zdarzył takie podobieństwo!... Te oczy... tak śmiałe i smutne zarazem... to jej oczy... a to czoło... ta bladość... tak, to jej rysy; to rysy jej twarzy!...

– Cóż ci jest, kochany synu – zapytał troskliwie ksiądz d'Aigrigny, równie zdziwiony jak Samuel i notariusz.

– Osiem miesięcy temu – odpowiedział misjonarz – byłem w mocy dzikich Indian... między skalistymi górami... Przywiązano mnie do krzyża, zabierano się już do zdejmowania mi skóry z czaszki... byłbym zginął... gdy opatrność boska zesłała mi niespodziany ratunek... Tak, właśnie ta kobieta ocaliła mi życie.

– Ta kobieta!... – powtórzyli razem ze zdziwieniem Samuel, ksiądz d'Aigrigny i notariusz.

– Tak, ta sama kobieta – odparł Gabriel – ta kobieta... albo raczej tak do tej podobna, iż gdyby ten obraz nie znajdował się tu od przeszło stu pięćdziesięciu lat, sądziłbym, że to jej portret... gdyż nie mogę sobie wytłumaczyć ani przypuścić, żeby tak uderzające podobieństwo mogło być przypadkowe...

Po tych słowach Gabriel rzucił się zamyślony na krzesło, pośród głębokiego milczenia, które przerwał wkrótce ksiądz d'Aigrigny, mówiąc:

– To przypadkowe podobieństwo i nic więcej... kochany synu.

Rodin, kręcąc się z niecierpliwością jak w ukropie, zwrócił się do notariusza:

– Zdaje mi się, panie notariuszu, że cały ten romansik nie ma nic wspólnego z testamentem?...

– Słusznie pan mówi – odpowiedział notariusz. Po czym rozpoczął dalsze czytanie testamentu:

„Takich prześladowań ze strony jezuitów była przedmiotem moja rodzina.

Towarzystwo to posiada teraz, skutkiem konfiskaty, zabrane mi dobra. Ja umrę... Oby jego nienawiść zagasła z moją śmiercią i oby wolną była od jego pocisków moja rodzina... której los w tej uroczystej chwili jest moją jedyną, ostatnią myślą.

Dziś rano wezwałem tu człowieka od dawna doświadczonej poczciwości, Izaaka Samuela. Izaak Samuel, a po nim jego następcy, którym przekaże ten obowiązek wdzięczności, będą mieli staranie około korzystnego użycia i pomnażania tej sumy doliczaniem procentu aż do upływu stu pięćdziesięciu lat, licząc od dnia dzisiejszego. Suma ta, pomnażana tym sposobem, stać się może w przeciągu owego czasu ogromną.

Oby potomkowie moi chcieli zrozumieć i usłuchać mych życzeń co do podziału i użycia tej sumy.

W ciągu stu pięćdziesięciu lat, na nieszczęście, zdarza się tyle zmian, tak się przeistaczają losy następujących po sobie pokoleń rodu, iż prawie z pewnością powiedzieć można, że po upływie półtora wieku potomkowie moi należeć będą do różnych klas społeczeństwa i stanowić najrozmaitsze ogniwa społeczne.

Znajdą się może między nimi ludzie obdarzeni wielkimi umysłowymi zdolnościami lub wielką odwagą albo też nader cnotliwi; może tam będą uczeni, imiona sławne w wojnie lub sztukach; może też będą między nimi skromni rzemieślnicy, mieszczenie, a niestety, może także wielcy winowajcy!

Cokolwiek się zdarzy, najgorętszym, najmiłszym moim życzeniem jest, aby wszyscy moi potomkowie zbliżyli się z sobą, żeby utworzyli znowu jedną rodzinę, żeby między sobą wykonywali słowa Zbawiciela, który rzekł:

Kochajcie się nawzajem.

To zjednoczenie się dałoby zbawienny przykład... bo zdaje mi się, że ze zgody i połączenia się z sobą ludzi wyniknąć powinno przyszłe szczęście ludzkości.

Zgromadzenie, prześladowające mój ród, najmocniejszym jest dowodem potęgi stowarzyszenia, nawet w złym celu”.

Gabriel i d’Aigrigny rzucili na siebie pełne wymowy spojrzenia.

Notariusz czytał dalej:

Jeżeli bezecne zgromadzenie, ugruntowane na poniżeniu człowieka, na bojaźni, na despotyzmie, obciążone przekleństwem ludów przeżyło wieki i częstokroć rządziło światem przez podstęp i strach... czego by nie zdołało zdziałać towarzystwo, postępujące w duchu ewangelicznej, braterskiej miłości, które miałyby na celu uratowanie człowieka od poniżenia i zepsucia, przyczynienie się do szczęścia tych, co na ziemi znali tylko same cierpienia, niedostatek i pracę – które by zamierzyło oświecić skazanych przez ciemnotę, ułatwić swobodne i rozumne rozwijanie się wszelkich uczuć, którymi Bóg w swojej nieskończonej mądrości i niewyczerpanej dobroci obdarował człowieka; które by dążyło do pielęgnowania wszystkiego, co od Boga pochodzi... miłości równie jak macierzyńskiego uczucia, siły równie jak rozumu, piękności równie jak geniuszu; budząc w ludziach prawdziwą wiarę i głęboką wdzięczność dla Stwórcy; dając im pojęcie o wspaniałości natury i czyniąc ich godnymi uczestnikami jej skarbów?...

Och! Jeżeli niebo pozwoli, ażeby po upływie półtora wieku potomkowie mej rodziny, wierni ostatniej woli życzliwego ludzkości serca, połączyli się tym sposobem w świętą społeczność! Ileż by można było dać wspaniałych, wzniosłych przykładów światu. Jakież boskie posłannictwo! Na koniec, jak silny mogłaby nadać dla dobra ludzkości popęd rodzina tak zjednoczona, mogąca rozporządzać tak potężnymi środkami działania.

I wtedy takie zjednoczenie byłoby zdolne zwalczyć zgubne towarzystwo, którego jestem ofiarą, a które może po upływie półtora wieku nic jeszcze nie straci ze swej strasznej władzy.

A wtedy, po tym dziele ciemnoty, ucisku i złości, które ciążą nad światem, moi potomkowie będą mogli okazać dzieło światła, dobra i szczęścia.

Duch dobrego i duch złego stanęłyby naprzeciw siebie.

Rozpoczęłaby się walka, a Bóg wspierałby sprawiedliwych... Zeby zaś niezmiernie środki pieniężne, które nadałyby tyle władzy mej rodzinie, nie wyczerpały się, ale odradzały się z czasem, moi spadkobiercy, słuchając mej woli, powinni użyć na fundusz dwa razy taką sumę, jakiej ja dla zapewnienia im mienia użyłem...

Wreszcie w dużym biurku hebanowym, w żałobnej sali, znajdują się niektóre praktyczne myśli dotyczące takiego stowarzyszenia.

Taka jest moja ostatnia wola...

Jeżeli wymagam, aby moi potomkowie stawili się osobiście przy ulicy Świętego Franciszka w dniu otwarcia testamentu, to dlatego, aby zebrani w tym dniu uroczystym zobaczyli i poznali się.

Posyłając przed kilku dniami członkom mojej rodziny, których wygnanie rozproszyło po całej Europie, medaliony z datą zwołania mych spadkobierców za półtora wieku, musiałem zachować w tajemnicy prawdziwą tego przyczynę, oznajmiłem więc tylko... że moje potomstwo znajdzie w tym ważny interes, aby się w oznaczonym dniu i miejscu zebrało.

Takie postępowanie uznałem za potrzebne dlatego, że znam przebiegłość i zawziętość zgromadzenia, którego jestem ofiarą; gdyby mogło dowiedzieć się, że w tej epoce moi potomkowie będą mieli do podzielenia między siebie ogromne sumy, wtedy wielkie oszustwa, a

może wielkie niebezpieczeństwa groziłyby mej rodzinie, gdyż zgromadzenie jezuitów przekazywałoby sobie z pokolenia w pokolenie zgubne rozporządzenia.

Oby przeczorność moja odniosła pożądany skutek!

Oby moje życzenia, wyryte na medalionie, od pokolenia do pokolenia wiernie były przechowywane!

Po przeczytaniu mego testamentu osoba, w której ręku będzie znajdować się nagromadzony kapitał, zawiadomi o jego wartości, aby, gdy wybije dwunasta, kapitał ten był wydany i podzielony między spadkobierców, którzy się wtedy znajdą.

Wtedy pokoje domu zostaną im otwarte. Zobaczą tam rzeczy, mogące ich zająć, rzeczy godne ich politowania, szacunku... wszystko to w żałobnej sali.

Życzeniem moim jest, aby ten dom nie został sprzedany, żeby jego umeblowanie pozostało bez zmiany i żeby służył za miejsce zbierania się dla mych potomków, jeżeli, jak się spodziewam usłuchają mej ostatniej prośby.

Jeżeli, przeciwnie, rozdzieli się, jeżeli zamiast połączyć się przyczynić wspólnie do najszlachetniejszego przedsięwzięcia, jakim kiedykolwiek wiek jaki mógłby się odznaczyć, pójdą za samolubnymi namiętnościami; jeżeli bezowocną indywidualność przedkładać będą nad płodne zjednoczenie; jeżeli w tym ogromnym majątku upatrywać będą tylko możliwości płochego marnotrawstwa lub brudnego sknerstwa, przekleści niech będą przez tych wszystkich, którzy mogliby ich kochać i szanować za ich dobrodziejstwa... niech wtedy dom ten będzie zburzony, niech wszystkie papiery, których wykaz zostawi Izaak Samuel, równie jak dwa portrety, znajdujące się w czerwonej sali, będą spalone przez stróża mego domu.

Skończyłem...

W tym wszystkim poszedłem za radą człowieka, którego považam głęboko.

Wkrótce ten przyjaciel, który nie wie o moim zamiarze zakończenia życia, przyjdzie tu z notariuszem; w ich ręce, po dopełnieniu prawnych formalności, złożę niniejszy testament zapieczętowany.

Taka jest moja ostatnia wola.

Spełnienie jej oddaję pod opiekę opatrznosci.

Testament ten tajny, napisany własnoręcznie z dobrej woli, chcę, aby był skrupulatnie wykonany tak co do ducha, jako też i co do litery.

Działo się dnia 13 lutego 1682 roku, o pierwszej godzinie po południu.

*Mariusz de Rennepont.*”

W miarę jak notariusz czytał testament, Gabriel doznawał na przemian różnych uczuć.

Jego wzniosła dusza, łatwo pojawiały, jak rozległa, jak szczęśliwa mogłaby być idea wspólnego zjednoczenia się rodziny, tak usilnie zalecanego przez Mariusza Rennepont'a... uczuła głęboki żal, że wskutek jego dobrowolnego zrzeczenia się i ponieważ nie stawił się żaden inny spadkobierca, idei tej nie będzie można dopełnić i że olbrzymi majątek, daleko większy nad najśmielsze przypuszczenia, miał wpaść w ręce niegodnego zgromadzenia, które używać go może jako strasznego narzędzia wszelkiego zła

Myśli te bezustannie zajmowały jego umysł. Widok portretu tajemniczej kobiety; nie-szczęsne, smutne okoliczności, o których dowiedział się z testamentu; wzniosłość szlachetnych i słusznych idei w testamencie pana de Rennepont'a; tyle nadzwyczajnych wydarzeń – wprawiły Gabriela w niejakie osłupienie, w którym był jeszcze pogrążony, kiedy Samuel, oddając notariuszowi klucz od teczki zawierającej rejestr, rzekł:

– W tym rejestrze znajdzie pan rzeczywisty stan sum, będących w moim depozycie, a to wskutek kapitalizacji na procent składanych 150.000 franków powierzonych memu dziadowi przez pana Mariusza de Rennepont.



– Pańskiemu dziadowi... – zawołał d'Aigrigny, niezmiernie zdziwiony. – Więc to pańska rodzina ciągle zarządzała tą sumą?

– Tak, panie, a moja żona za chwilę przyniesie szkatułkę, w której są wszystkie papiery wartościowe. W kasie mam w papierach, mających kurs w kraju, sumę dwustu dwunastu milionów... sto siedemdziesiąt...

– Co pan mówi? – przerwał zdumiony margrabia.

– No, no, to sumka! – dodał Rodin drżącym głosem, uniósłszy się może pierwszy raz w życiu...

– Powiadam panu – odrzekł starzec – że mam w kasie papierów bankowych, kredytowych i gotówki na dwieście dwanaście milionów sto siedemdziesiąt pięć tysięcy franków, jak o tym przekona się pan notariusz. A otóż i moja żona, która je tu niesie.

W tej chwili weszła Jezabel, trzymając w ręku szkatułkę z cedrowego drzewa, w której zamknięte były owe sumy; postawiła ją na stole i spojrzawszy na Samuela, wyszła.

Gdy Samuel ogłosił niezmierną wartość majątku, jego słowa przyjęte zostały przez obecnych zdumionym milczeniem.

Gabriel, słysząc notariusza, czytającego ustęp testamentu, w którym była mowa o królewskiej fortunie i nie znając cudów kapitalizacji, obliczał tę kwotę na trzy lub cztery miliony. Dlatego słysząc o ogromie wymienionej sumy, osłupiał. I pomimo swojej przedziwnej bezinteresowności i prawości, doznał pewnego omamienia, szału, pomyślawszy, że ten ogromny majątek mógł by jego własnością... że on sam mógł być jego dziedzicem.

Notariusz, prawie tak samo zdumiony jak on, przejrzał rachunki; ledwie mógł uwierzyć swoim oczom.

Zyd stał milczący, zamyślony i wielce zmartwiony, że nikt więcej ze spadkobierców nie stawiał się.

Pośród głębokiego milczenia, zegar w przyległym pokoju zaczął powoli bić dwunastą...

Samuel zadrżał... potem głęboko westchnął.

Za kilka sekund upływał czas określony testamentem.

– Już dwunasta! – zawołał Rodin i prawie bezwiednie wyciągnął ręce do szkatułki, chcąc ją zabrać w posiadanie.

– Nareszcie! – zawołał d'Aigrigny z uniesieniem radości i triumfu, trudnych do opisanego, potem dodał, rzucając się w objęcia Gabriela i ściskając go w uniesieniu:

– Ach! Kochany synu, iluż to ubogich błogosławić cię będzie!...

– Podziękujmy najpierw opatrności – zawołał Rodin, padając na kolana – podziękujmy opatrności i módlmy się, aby pozwoliła użyć nam tych skarbów dla większej chwały imienia Pana Boga.

D'Aigrigny, jeszcze raz uściskawszy Gabriela, wziął go za rękę i rzekł:

– Rodin ma rację... Uklęknijmy, drogi synu i złożmy dzięki opatrności.

Po czym ukląkł i pociągnął za sobą Gabriela, który osłupiał, straciwszy głowę po wypadkach tak nagle po sobie następujących, ukląkł machinalnie, prawie nie wiedząc, co robi.

Wybiła godzina dwunasta.

Wszyscy powstali...

Wówczas notariusz rzekł:

– Ponieważ nikt więcej ze spadkobierców pana Mariusza de Rennepont nie stawiał się przed południem, przeto, spełniając wolę testatora, ogłaszam w imieniu prawa i sprawiedliwości pana Franciszka Marię Gabriela de Rennepont, tu obecnego, jedynym, wyłącznym dziedzicem i posiadaczem majątku ruchomego, nieruchomego i wszelkiego rodzaju wartości, pochodzących ze spadku testatora, którego to majątku urodzony ksiądz Gabriel de Rennepont, rozmyślnie i dobrowolnie zrzekł się mocą aktu notarialnego na rzecz księdza Fryderyka Emanuela de Bordeville, margrabiego d'Aigrigny, który tymże aktem zapis przyjął i tym sposobem jest prawnym posiadaczem tegoż majątku, w miejsce pomienionego Gabriela de Rennepont,

mocą donacji między żyjącym, spisanej dziś rano przeze mnie i podpisanej przez księży Gabriela de Rennepont i Fryderyka d'Aigrigny.

W tej chwili usłyszano dochodzący z ogrodu hałas, Jezabel wbiegła z pośpiechem i zmienionym głosem rzekła do męża:

– Samuelu... Jakiś żołnierz... chce...

W drzwiach ukazał się Dagobert. Był bardzo blady; wydawał się na pół omdlały, lewą rękę trzymał na chustce i wspierał się na ramieniu Agrykoli. Na widok Dagoberta obwisłe, sine powieki Rodina nabrzęły, jak gdyby nagle cała krew rzuciła mu się do głowy.

Po czym rzucił się na szkatułkę z uczuciem chciwości tak zapamiętałej, iż zdawało się, że gotów był, przykrywając ją swym ciałem, bronić choćby z narażeniem życia.

## ROZDZIAŁ VII

### DAROWIZNA

Ksiądz d'Aigrigny nie poznał Dagoberta; lecz domyślił się wszystkiego, gdy usłyszał radosny okrzyk Gabriela:

– I ty... mój bracie?... I ty... ojczy?... Jesteście?... Ach! Bóg, was tu zsyła...

Ścisnąwszy rękę Gabriela, Dagobert zbliżył się do księdza d'Aigrigny. Widząc groźną postawę żołnierza, d'Aigrigny mając za sobą prawo po wybiciu godziny dwunastej, cofnął się o krok i rozkazującym tonem odezwał się:

– Mój panie, kim jesteś i czego chcesz?

Zamiast odpowiedzi, żołnierz postąpił parę kroków naprzód potem, stanąwszy tuż przed księdzem d'Aigrigny, zaczął przypatrywać mu się z taką mieszaniną ciekawości, odrazy i zuchwalstwa, iż ex-pułkownik huzarów zmieszał się na chwilę i spuścił oczy przed rozognionym, wzrokiem weterana. Przewyciężywszy zmieszanie, w jakie wprawił go nieubłagany wzrok żołnierza, d'Aigrigny podniósł głowę i powtórzył:

– Mój panie, pytam, kto jesteś i czego chcesz?

– Więc mnie nie poznajesz?

– Nie, nie poznaję...

– Acha, rozumiem! Spuściłeś teraz oczy, boć pamiętasz, jak pod Lipskiem, gdzie walczyłeś przeciw Francuzom, generał Simon, okryty ranami, odpowiedział ci, gdy miałeś chęć żądać od niego szpady: „Nie oddam mej szpady zdrajcy” i zachołgawszy się do generała nieprzyjacielskiego, jemu ją oddał... Obok generała Simona był także ranny żołnierz... Tym żołnierzem byłem ja...

– Ależ, mój panie... czego chcesz?

– Chcę cię zdemaskować, ciebie, tu przed wszystkimi, który jesteś tak podły i obmierzły, jak ten tu Gabriel jest zacnym księdzem i przez wszystkich uwielbianym.

– Mój panie!... – zawołał margrabia, siniejac z oburzenia.

– Powtarzam ci, żeś podły. Aby zagarnąć dziedzictwo córkom marszałka Simona, pannie de Cardoville i Gabrielowi, użyłeś najhaniebniejszych środków.

– Co mówisz? – zawołał Gabriel. – Córki marszałka Simona?...

– Są twoimi krewnymi, moje dziecko, równie jak zacna panna de Cardoville... dobrodziejka Agrykoli... Ten ksiądz – i wskazał na d'Aigrigny'ego – jedną kazał zamknąć, jako wariatkę, w szpitalu... – a sieroty zabrać do klasztoru... Ciebie, drogie dziecko, nie spodziewałem się tu zastać, sądziłem, że nie dopuszczą cię, tak jak innych, do znalezienia się tu dziś rano; ale, dzięki Bogu, że tu jesteś... i ja zdążyłem na czas; nie mogłem przybyć wcześniej z powodu rany. Straciłem tyle krwi, że mdlałem całe rano. To nic... upadłem i skaleczyłem się... Mniejsza o to... Przecież wykryją się niegodziwości...

Niepodobna opisać ciekawości, niepokoju, zdziwienia lub obawy różnych aktorów tej sceny, gdy usłyszeli groźne słowa Dagoberta.

Lecz najbardziej ze wszystkich strapiony był Gabriel. Na jego twarzy widać było głębokie poruszenie, nogi drżały pod nim. Wiadomość, przekazana przez Dagoberta, uderzyła weń jak piorun; wreszcie zawołał przejmującym głosem:

– I to ja... Mój Boże!... To ja jestem przyczyną skrzywdzenia tej rodziny!...

– Ty, bracie? – spytał zdziwiony Agrykola.

– Dwunasta wybiła – mówił Gabriel. – Ja tylko jeden z całej rodziny byłem na miejscu; pojmujesz teraz?... Czas oznaczony upłynął... Inni spadkobiercy utracili swe prawa... na moją korzyść!...

– Na twoją korzyść – wykrzyknął Dagobert, ledwo posiadając się z radości. – Kochane dziecko... a więc wszystko uratowane! Podzielsz się z nimi... Ja znam twoje serce...

– Ale ja zrzekłem się całego tego majątku nieodwołalnie – odpowiedział zrozpaczony misjonarz.

– Zrzekłeś się... tego majątku? – zawołał osłupiały Dagobert. – A na czyją korzyść?... Na czyją?

– Na korzyść jego – odpowiedział Gabriel, wskazując księdza d'Aigrigny.

– Jak to?... Na jego korzyść? Na korzyść tego renegata!... Zdrajcy!... Co był wiecznym wrogiem całej twojej rodziny!

– Ależ, bracie – zawołał Agrykola. – Znałeś przecież swoje prawa do tego dziedzictwa...

– Nie – odpowiedział z bólem młody ksiądz – nie... usłyszałem o nich dopiero dziś rano od księdza d'Aigrigny... Powiedział, że dowiedział się o moich prawach niedawno z rodzinnych papierów, znalezionych przy mnie i oddanych przez twoją matkę jej spowiednikowi.

Kował jakby odkrywał nową dla siebie wiadomość i zawołał

– Teraz wszystko rozumiem... Jezuci wyczytali z tych papierów, że możesz być kiedyś bogatym... Zwabili cię do tej szkoły, gdzie nigdy nie mogliśmy się z tobą widzieć... a później niegodziwymi kłamstwami zmusili cię do wstąpienia do ich zakonu, aż w końcu doprowadzili do zrobienia tego zapisu... Ach! Ojciec miał słuszność... takie intrygi są haniebne, podłe!...

Podczas tej sceny d'Aigrigny i jego socjusz, z początku przestraszeni i zachwiani w swej bezczelności, powoli zaczęli odzyskiwać zimną krew.

Rodin, ciągle oparty łokciami na szkatułce, szepnął coś księdzu d'Aigrigny, ten więc, na czynione mu zarzuty, pokornie spuścił oczy i rzekł:

– Powinniśmy przebaczyć urazy... aby Bóg i nam odpuścił nasze winy.

Słowa Agrykoli nagle oświeciły Gabriela. Pierwszy raz w swym życiu mógł ogarnąć jednym rzutem oka wszystkie intrygi, których padł ofiarą; oburzenie i rozpacz przemogły lęk; z zaiskrzonymi oczyma i palającymi policzkami zwrócił się do księdza d'Aigrigny:

– Tak więc, kiedyś mnie umieszczał w swej szkole, nie zrobiłeś tego przez litość ani życzliwość, lecz jedynie w nadziei, że kiedyś uda ci się nakłonić mnie do zrzeczenia się tej sukcesji na korzyść twego zgromadzenia... Trzeba było zrobić mnie mimowolnym narzędziem niegodziwego oszustwa! Gdyby szło tylko o mnie... nie upominałbym się o nic; jestem kapłanem religii, która ukochała, uświęciła ubóstwo; zapis uczyniony przeze mnie, do was już należy... nic z niego nie żądam dla siebie i żądać nie będę... Lecz idzie tu o majątek, należący do biednych sierot, sprowadzonych z dalekiej północy przez mego przybranego ojca; nie chcę, żebyście je mieli wydziedziczyć!... Idzie tu także o dobrodziejkę mego przybranego brata... Idzie o ostatnią wolę umierającego, który przez swoją miłość do ludzkości, przekazał swym potomkom wielkie, święte dzieło miłości, zgody i wzajemnego uszczęśliwiania się. Nie... nie... i oświadczam ci, że ta misja musi być spełniona, choćby mi przyszło odwołać moje słowo.

Ksiądz d'Aigrigny i Rodin spojrzeli na siebie i lekko wzruszyli ramionami. Po czym wielbny ojciec, mając oczy ciągle spuszczone, odezwał się ze spokojem:

– W przedmiocie spadku po panu Rennepont zachodzi kilka okoliczności na pozór bardzo zawiłych; w istocie jednak nie ma nic prostszego. Mości księżu Gabrielu de Rennepont... proszę cię, zaprzecz moim słowom lub je sprostuj, jeśli bym w czymkolwiek uchybił najściślejszej prawdzie... Jegomość ksiądz Gabriel de Rennepont, zawdzięczając starania, które niegdyś dla jego wychowania podejmowało zgromadzenie, do którego mam zaszczyt należeć, uczynił mi, jako przedstawicielowi tegoż zgromadzenia, dobrowolnie, zapis majątku, jaki kiedyś mógłby spaść na niego, a o którego wartości ani on, ani ja, nic nie wiedzieliśmy...

– Tak – odparł młody ksiądz – zapis ten uczyniłem dobrowolnie.

– Dziś rano, skutek poufnej rozmowy, ksiądz Gabriel objawił mi znowu dobrowolne życzenie dotrzymania tego zapisu... nie powiem, dla mnie... gdyż ziemskie dobra mało mnie obchodzą.. ale na pobożne, święte, miłosierne uczynki, których nasze zgromadzenie miało

być wiernym szafarzem... Odwołuję się do prawości księdza Gabriela i błagam go, aby oświadczył, czy zobowiązał się lub nie, nie tylko najsolenniejszą przysięgą, ale nawet najprawdniejszym aktem, sporządzonym przed notariuszem panem Dumesneil, aktem, który jest w moim posiadaniu.

– To prawda – odpowiedział Gabriel.

– Akt został spisany przeze mnie – dodał notariusz.

– Ale Gabriel odstąpił tylko to, co do niego należało! – zawołał Dagobert. – Nie mógł przypuszczać, abyś chciał go użyć za narzędzie dla ograbienia innych!

D'Aigrigny mówił dalej:

– A więc, mocą podwójnego aktu, to jest przysięgi i zapisu notarialnego, ksiądz Gabriel potwierdził poprzednio uczynioną darowiznę; a nadto jeszcze – rzekł z naciskiem – gdy z wielkim jego, równie jak naszym zdziwieniem, została poznana ogromna wartość spuścizny, ksiądz Gabriel, podobnie jak ja, ukląkł dla podziękowania stwórcy, że natchnął go świętą myślą ofiarowania tego majątku na większą chwałę Pana Boga.

– To też prawda – odpowiedział Gabriel.

– W takich okolicznościach – mówił dalej d'Aigrigny – wybiła godzina oznaczona na zamknięcie postępowania spadkowego. Lecz gdy to się dzieje, ten pan – mówiąc wskazał na Dagoberta – w obłąkaniu, które szczerze mu przebaczymy i którego pewno będzie żałować, przybiega, grozi i obwinia mnie, jakobym ja kogoś gdzieś zamknął, jakichś krewnych, których nie znam, a to, żeby przeszkodzić im do przybycia tu... w oznaczonym czasie...

– Tak, obwiniam cię o tę niegodziwość – przerwał mu żołnierz, rozjątrzony taką bezczelnością.

– Ależ, zaklinam pana, abyś mi pozwolił skończyć... Potem mi odpowiesz – rzekł pokornie d'Aigrigny.

Mówił dalej słodkim głosem:

– Bez wątpienia, jeśli oprócz księdza Gabriela są jeszcze inni spadkobiercy, szkoda dla nich, że się nie mogli stawić w oznaczonym czasie. Ale, mój Boże! Gdybym zamiast bronić sprawy nieszczęśliwych i będących w potrzebie, bronił tylko własnego interesu, byłbym daleki od użycia na własną korzyść tego dobrodziejstwa losu; lecz, jako mandatariusz wielkiej rodziny ubogich, obowiązany jestem obstarzać przy swoich wyłącznych prawach do tego dziedzictwa i nie wątpię, że pan notariusz, uznając słuszność mego żądania, odda mi w posiadanie te sumy, które prawnie do mnie należą.

– Moim zadaniem jest – odparł notariusz – wykonać wiernie wolę testatora. Akt darowizny jest sporządzony prawnie; nie mogę więc odmówić wydania, w imieniu notariusza, sum stanowiących spuściznę...

– Ależ, panie – zawołał Dagobert, zwracając się do notariusza – tak nie może być... Nie możesz pozwolić na skrzywdzenie biednych sierot... Mówię to w imieniu ich matki i ojca. Przysięgam na honor żołnierza, że nadużyto zaufania i słabości mojej żony dla uprowadzenia córek marszałka Simona do klasztoru, żeby nie dopuścić ich tutaj dziś rano. Jest to taka prawda, iż zaniósłem skargę do policji.

– No i co panu odpowiedziano? – zapytał notariusz.

– Że moje zeznanie nie było wystarczające.

– Tak, panie – dodał Agrykola. – Tak samo postąpiono z panną de Cardoville, którą jako obłąkaną trzymają w lecznicy. Takie same uczyniłem za nią kroki, jak mój ojciec za córkami marszałka Simona.

– I co pan zyskał? – zapytał znowu notariusz.

– Na nieszczęście – odparł Agrykola – powiedziano mi, że na moje zeznanie nie można nic przedsięwziąć... choć miano się tym zająć.

W tej chwili Jezabel, usłyszawszy, że ktoś zadzwonił do bramy; wyszła z sali.

Notariusz zwrócił się do Agrykoli i jego ojca:

– Nie mam bynajmniej zamiaru, moi panowie, powątpiewać o waszej prawości, lecz sami zeznacie, że władza sądowa nie uznała za słuszne działać na podstawie waszych gołosłownych zeznań; postępując sumiennie, pytam was, czy mogę w tak ważnej okoliczności brać na siebie odpowiedzialność, jakiej ta władza nie śmiała podjąć się? Jeżeli osoby, za którymi obstawiacie, uważają się za pokrzywdzone, sprawa ta może stać się później przedmiotem dochodzenia prawnego przeciwko dziedziczącemu księdzu Gabrielowi... Tymczasem zaś moją powinnością jest wprowadzić go natychmiast w posiadanie sum... Stałbym się winny, gdybym postąpił inaczej.

Uwagi notariusza wydawały się być tak ściśle zgodne z prawem, iż Samuel, Dagobert i Agrykola struchleli. Co do Gabriela, po chwilowym zastanowieniu, jakby doprowadzony rozpaczą do ostatecznego kroku, rzekł do notariusza:

– Ponieważ dotychczasowe wyjaśnienia nie są dość silne dla obrony sprawiedliwości, zmuszony będę chwycić się ostatecznego środka; zanim do niego przystąpię, raz jeszcze pytam księdza d'Aigrigny, czy zechce poprzestać tylko na przypadającej na mnie części spadku, z warunkiem, aby reszta pozostała w pewnym ręku dopóty, aż spadkobiercy, w których imieniu zachodzą reklamacje, będą mieli możliwość udowodnić swoje prawa do niego.

– Na tę propozycję odpowiem, co już powiedziałem – odrzekł d'Aigrigny. – Nie idzie tu o mnie, lecz o wielką sprawę ludzkości; zmuszony więc jestem odrzucić cząstkową ofiarę księdza Gabriela i przypomnieć mu jego przyrzeczenie i uroczyste zobowiązanie.

– Tak więc odrzucasz pan taką ugodę? – zapytał Gabriel.

– Tak mi nakazuje obowiązek wobec ludzkości.

– A więc – odparł Gabriel wzruszonym głosem – ponieważ mnie do tego zmuszasz, odwołuję moje słowo; kiedym ci zapisywał, zapisałem jedynie część przypadającą na mnie, a bynajmniej nie miałem na myśli części należących do innych spadkobierców.

– Strzeż się, synu – zagroził d'Aigrigny – chciej pamiętać o tym, że mam w ręku przysięgę, napisaną przez ciebie.... formalną przysięgę...

– Wiem! Mniejsza o to, niech i tak będzie – mówił misjonarz z głębokim przekonaniem. – Wystawię się na wszelkie skutki mego wiarołomstwa, ogłoście je wszędzie; stanę się przedmiotem pogardy i odrazy wszystkich... lecz Bóg mnie sędzić będzie...

Młody ksiądz otarł łzy.

– O! Uspokój się! – zawołał Dagobert. – Wszyscy uczciwi ludzie będą po twojej stronie.

– Panie notariuszu – odezwał się piskliwym głosem Rodin. – Panie notariuszu... dajże pan do zrozumienia księdzu Gabrielowi, że może popełnić krzywoprzysięstwo, ile razy zechce, ale że nie tak łatwo jest przekroczyć przepisy kodeksu cywilnego, jak złamać obietnicę prostą i jedynie... świętą!... Chciejże pan przekonać księdza Gabriela, że darowizna między żyjącymi, taka, jaką uczynił na rzecz księdza d'Aigrigny, w trzech tylko przypadkach może być odwołana, nieprawda?

– Tak, panie, tylko w trzech razach – odpowiedział notariusz.

– Najpierw, z przyczyny narodzenia się potomstwa – wyszczególniał Rodin – a w obecnym razie wstydziłbym się przypuszczać takiego powodu nieważności. Drugą przyczyną unieważnienia byłaby niewdzięczność obdarowanego... Lecz ksiądz Gabriel może być pewny naszej prawdziwej i wiecznej wdzięczności. Trzecim wreszcie powodem unieważnienia byłoby niewykonanie życzeń darującego co do użycia darowizny. Lecz jakkolwiek ksiądz Gabriel powziął nagle o nas złe wyobrażenie, użyczy nam przynajmniej jakiegoś czasu, w którym moglibyśmy go przekonać, że jego dary, tak jak sobie życzy, użyte będą na dzieła, mające na celu największą chwałę Pana Boga.

– Teraz, panie notariuszu – odezwał się d'Aigrigny – pańskim obowiązkiem jest orzec, czy ksiądz Gabriel może lub nie odwołać zapis, który uczynił na moją rzecz.

W chwili, kiedy notariusz miał odpowiedzieć, weszła Jezabel, a z nią dwie nowe osoby.

## ROZDZIAŁ VIII

### DUCH OPIEKUŃCZY

Pierwszą z dwóch osób, których przybycie przerwało odpowiedź notariusza, był Faryngea. Na widok tego człowieka, na widok jego złowrogiej twarzy Samuel zapytał:

– Kim pan jest?

Rzuciwszy przenikliwy wzrok na Rodina, który zadrżał nieznacznie, Faryngea odpowiedział:

– Księżę Dżalma przybył niedawno z Indii w celu pojawienia się dziś w tym miejscu, jak to zalecał napis na medalu, który nosił na szyi...

– I on także! – zawołał Gabriel, który, jak wiadomo, był towarzyszem podróży morskiej Hindusa, zaczynając od Wysp Azorskich. – On również jest spadkobiercą?... Rzeczywiście... podczas podróży mówił, że jego matka pochodziła z Francji... Ach! Jaki to szlachetny młodzieniec; gdzie on jest?

Dusiciel rzucił okiem na Rodina i odparł cedząc słowa:

– Wczoraj wieczorem opuściłem księcia... Zwierzył mi się, że jakkolwiek wiele mu na tym zależy, aby się tu stawić, mogłoby jednak wypaść, że poświęci ten interes dla innych okoliczności... Przepędziłem noc w tym samym co i on hotelu... Dziś rano, gdym się doń udał, powiedziano mi, że już wyszedł... Moja życzliwość dla niego sprowadziła mnie tutaj w nadziei, że moje informacje o tym księciu będą może użyteczne.

Nie wspominając o pułapce, w jaką wpadł wczoraj, chciał usłużyć socjuszowi, spodziewając się, że za tę przysługę zostanie przez niego odpowiednio wynagrodzony. Zbyteczne chyba będzie objaśniać czytelnikowi, że Faryngea kłamał bezczelnie. Dziś rano, wydostawszy się z więzienia cudem przebiegłości i zręczności, pobiegł do hotelu, w którym zostawił Dżalmę; tam dowiedział się, że jakiś mężczyzna i kobieta w sędziwym wieku, mieniący się krewnymi młodego księcia, chcieli się z nim zobaczyć i że przerażeni stanem jego dziwnej senności, kazali go przenieść do swego powozu i zabrali do siebie, aby udzielić mu potrzebnej pomocy.

– Szkoda – rzekł notariusz – że i ten spadkobierca nie stawiał się; ale niestety, on także utracił już prawo do ogromnego spadku, o jaki tu chodzi.

W tej chwili weszła druga osoba.

Był to ojciec marszałka Simona, starzec wysokiego wzrostu, jeszcze rzeński i zdrowy; jego głowę okrywały białe włosy, krótko ostrzyżone; w twarzy wyczytać można było rozum, dowcip, łagodność i dzielność.

Agrykola wyszedł mu naprzeciw.

– I pan tu przyszedł, panie Simon? – zawołał.

– Tak, chłopcze – odrzekł starzec, serdecznie ściskając rękę Agrykoli. – W tej chwili wróciłem z podróży. Pan Hardy miał się tu sam znajdować, jak się domyślam, w sprawie spadku; ale ponieważ nie ma go jeszcze w Paryżu i może nieprędko się zjawi, polecił mi, abym...

– I on także... spadkobiercą?... Pan Franciszek Hardy?... – zawołał zdziwiony Agrykola.

– Ale jakiś ty blady i zmartwiony!... Moje dziecko... Co się tu dzieje?... – pytał starzec.

– O co idzie?... O pańskie wnuczki, które wyzuto z ich majątku! – zawołał zrozpaczony Dagobert. – Przyprowaździłem je z dalekiej Polski po to, aby z założonymi rękami być świadkiem potwornej niegodziwości.

– Pan?... – rzekł fabrykant. – Jeśli się nie mylę, pan jesteś...

– Dagobert...

– Więc to pan?... Co tak szlachetnie poświęciłeś się dla mego syna? – zawołał starzec, serdecznie ściskając rękę weteranowi. – Lecz mówił pan o córce mego syna, o panie Simon?...

– O córkach, panie – odrzekł Dagobert. – Te biedne dziewczęta są bliźniętami.  
– Gdzie one są? – zapytał starzec.  
– W klasztorze.  
– W klasztorze!?!...  
– Tak, panie, przez podstęp tego tu człowieka, który pozbawił je dziedzictwa.  
– A kto to jest?  
– Margrabia d’Aigrigny.  
– Najzaciętszy wróg mego syna! – zawołał starzec, patrząc z oburzeniem na margrabiego.  
– Ale to nie wszystko – dodał Agrykola. – Pan Hardy, mój pryncypał, na nieszczęście także utracił prawa do tego spadku.

– Co ty mówisz? – zawołał zdziwiony starzec. – Ależ pan Hardy nie wiedział, że tu szło o tak ważną dla niego sprawę... Odjechał spieszenie do swego przyjaciela, który go zawezwał.

Za każdą nową wiadomością rozpacz Samuela rosła; lecz nie mógł nic poradzić.

Ksiądz d’Aigrigny, mimo pozornego spokoju, oczekując niecierpliwie końca tej sceny, która go okrutnie dręczyła, zwrócił się do notariusza przejmującym głosem:

– Panie notariuszu, wypadałoby już zakończyć tę sprawę... Po co przypisywać haniebnym zabiegom niestawienie się spadkobierców, w których imieniu ten żołnierz i jego syn zanoszą skargi z taką dla nas obrazą? Dlaczego by ich nieobecność miała być dziwniejsza niż nieobecność młodego Hindusa i nieobecność pana Hardy, który, jak właśnie wyjaśnił jego powiernik, nie wiedział, że wzywały go tu ważne sprawy? Czy nie byłoby właściwiej przypuszczać, że córki marszałka Simona i panna de Cardoville nie mogły stawić się tutaj z przyczyn naturalnych?... Raz jeszcze powtarzam, że należy już kończyć; sądzę, że pan notariusz będzie tego co i ja zdania... Jestem, mimo niewczesnej opozycji, jedynym, wyłącznym posiadaczem tego majątku i wobec wszystkich tu obecnych raz jeszcze zobowiązuję się użyć go dla większej chwały Pana Boga... Chciej więc, panie notariuszu, wyrzec stanowcze słowo i zakończyć już tę przykrą dla wszystkich scenę.

– Panie – odpowiedział notariusz uroczystym tonem – w imię sprawiedliwości i prawa, jako bezstronny wykonawca ostatniej woli Mariusza de Rennepont, oświadczam, że wobec zapisu, uczynionego przez księdza Gabriela de Rennepont, jesteś pan, mości książe d’Aigrigny, jedynym, wyłącznym dziedzicem tych dóbr, których posiadaczem ogłaszam pana od tej chwili, abyś mógł użyć ich według życzeń testatora i donatariusza.

Samuel zbladł; ścisnął konwulsyjnie rękę Jezabel, która się do niego zbliżyła i rzęsiste łzy potoczyły się po twarzach dwojga starców. Dagobert i Agrykola pogrążeni byli w głębokim smutku; przekonywali się, że wypada zrzec się wszelkiej nadziei. Najwięcej cierpiał Gabriel; trapiiony zgryzotą, wyrzucał sobie, że stał się narzędziem obmierzłego ogołocenia wszystkich.

Dlatego, gdy notariusz, przekonawszy się o wielkości sum zawartych w cedrowej szkatułce, rzekł do księdza d’Aigrigny:

– Teraz możesz pan ją zabrać

Gabriel zawołał z głęboką rozpaczą:

– Niestety! Można by mniemać, że w tych okolicznościach nieubłagane przeznaczenie ciąży nad tymi wszystkimi, którzy godni są miłości i szacunku... O! Mój Boże! Twoja najwyższa sprawiedliwość i dobroć nie może pozwolić na triumf takiej niegodziwości!

Wydawało się nagle, że niebo wysłuchało tej prośby. Ledwie skończył mówić, stała się nadzwyczajna rzecz. W chwili, kiedy ksiądz d’Aigrigny i socjusz uważali się już za posiadaczy skarbu, drzwi pokoju, w którym słyszano tajemnicze bicie zegara, otworzyły się nagle.

Na progu ukazała się kobieta...

Na jej widok Gabriel wydał okrzyk zdziwienia i stanął jak rażony piorunem. Samuel i Jezabel padli na kolana, złożyli ręce jak do dziękczynnej modlitwy. Oboje wydawali się być ożywieni jakąś nadzieją.



Reszta stała w osłupieniu. Rodin... Nawet on... cofnął się i drżącymi rękami postawił szkatułkę na stole.

Nastąpiło głębokie milczenie. We wszystkich piersiach wstrzymał się oddech, serca zaczęły bić mocniej. Wszystkich ogarnęło zdziwienie, z którym łączyła się jakaś trwoga, bowiem kobieta wydawała się żywym wzorem portretu znajdującego się w tym salonie od stu pięćdziesięciu lat. Miała na sobie taki sam ubiór, długą, powłóczystą suknię, na jej twarzy malował się ten sam smutek i rezygnacja. Weszła powoli, jakby nie dostrzegając wrażenia, jakie wywarło jej pojawienie się.

Podeszła do jednego z dwóch biur, stojących przy drzwiach, dotknęła sprężyny ukrytej w rzeźbie złożonych brązów i tym sposobem otworzyła górną szufladę; wyjęła z niej zapieczętowaną pergaminową kopertę, po czym zbliżyła się do stołu i położyła ją przed notariuszem.

Popatrzywszy przez chwilę ze smutkiem i ujmującą dobrocią na Gabriela, który wydawał się jakby oczarowany jej obecnością, skierowała swe kroki ku drzwiom, prowadzącym do sieni.

Jej oddalenie się jakby zdjęło urok, któremu ulegli obecni. Gabriel pierwszy przerwał milczenie, szepcząc zmienionym głosem:

– To ona!... Znowu ona... Tu... w tym domu?

– Któż to taki... mój bracie? – zapytał Agrykola, zaniepokojony bladością i jakby obłąkaną twarzą misjonarza.

– Patrz!... – odparł misjonarz! – Już ponad sto pięćdziesiąt lat obrazy te wiszą w tej sali. I wskazał dwa portrety, naprzeciw których właśnie się znajdowali.

Agrykola, Dagobert i Faryngea zwrócili oczy na dwa portrety zawieszane po obu stronach kominka.

Dał się słyszeć trzykrotny okrzyk.

– To ona... to ta sama kobieta! – zawołał zdumiony kowal. – I jej portret znajduje się tu od stu pięćdziesięciu lat?!...

– Co ja widzę?... Przyjacieli i wysłaniec marszałka Simona! – zawołał Dagobert, przypatrując się portretowi mężczyzny. – Tak, to niewątpliwie twarz tej osoby, która była u nas w Polsce zeszłego roku...

– Moje oczy nie mylą mnie... nie, nie... To ten sam mężczyzna z czarną kreską na czole, któregośmy zadusili i zagrzebali na brzegach Gangesu – szeptał Faryngea, drżąc z przestrochu. – Ten sam, o którym mówił jeden z synów Bohwanii w zwaliskach Tchandi... zabity, a potem widziany przy bramie miasta Bombaj... A przecież malowidło to znajduje się tutaj już od stu pięćdziesięciu lat.

Co za niepojęte podobieństwo! – myślał d'Aigrigny, a potem, jakby uderzony nagłą myślą, zapytał Gabriela: – Czy to nie ta sama kobieta, co ocalała ci życie w Ameryce?

– Tak, ta sama... – odrzekł z drżeniem Gabriel, dodając: – Ależ wtedy powiedziała mi, że idzie na daleką północ.

– A skąd ona się wzięła w tym domu? – zapytał d'Aigrigny, zwracając się do Samuela. – Czy weszła przed nami, czy też razem z nami?...

– Wszedłem tu sam, gdy pierwszy raz, po półtora wieku, drzwi zostały otwarte – odpowiedział z powagą starzec.

– Ale powtarzam raz jeszcze, powinieneś wytłumaczyć obecność tej kobiety w tym domu – nastawał d'Aigrigny, sam nie wiedząc, dlaczego jest niespokojny. – Kim ona jest i jak się tu dostała?

– Wiem tylko, jak zapewniał mnie ojciec, że istnieją jakieś podziemne przejścia między tym domem a innymi w mieście.

Rodin, tak jak wszyscy, zdziwił się nagłym, niespodziewanym zjawieniem się tajemniczej kobiety; lecz gdy zobaczył, że położyła przed notariuszem opieczętowany pakiet, zamiast

myśleć o dziwnym zjawisku, zajęty był gwałtowną żądzą opuszczenia jak najspieszniej tego domu i uniesienia z sobą skarbów, które na zawsze miały pozostać własnością jezuitów; dręczył go jednak jakiś niepokój na widok koperty zapieczętowanej czarnym lakiem, którą dziwna opiekunka Gabriela położyła przed notariuszem, a którą ten machinalnie wziął do rąk.

Osądził więc, że jest to najdogodniejsza chwila, aby wśród ogólnego osłupienia i wciąż jeszcze trwającej ciszy, wymknąć się ze szkatułką; mrugnął więc na swego zwierzchnika i wzięwszy szkatułkę pod pachę, puścił się ku drzwiom.

– Za pozwoleniem!... Jeszcze chwilę – zawołał Samuel, zastępując mu drogę. – Proszę pana notariusza przejrzeć kopertę tylko co mu podaną... A potem pan wyjdzie.

– Ależ, panie – odparł Rodin, usiłując utorować sobie drogę – kwestia już została ostatecznie rozstrzygnięta na korzyść księdza d'Aigrigny... Pozwól więc...

– Powtarzam panu – rzekł starzec donośnym głosem – że ta szkatułka nie wyjdzie stąd, nim pan notariusz nie sprawdzi, koperty, którą przed nim położono.

Rodin zmuszony był wrócić na swoje miejsce. Notariusz, na wezwanie Samuela, uważnie obejrzał kopertę.

– O nieba!... zawołał nagle – Co ja widzę... Ha! Tym lepiej!...

– O! Czytaj pan... czytaj... – zawołał Samuel, składając ręce – Moje przecucia pewno mnie nie mylą.

– Ależ, panie! – spytał d'Aigrigny notariusza, zaczynając podzielać niepokój Rodina – co to za papier?

– Kodycyl. – rzekł notariusz – kodycyl, który rozstrzygnięcie całej sprawy odkłada na później.

– Jak to – zawołał oburzony d'Aigrigny, zbliżając się do notariusza. – Wszystko się odkłada?... A to jakim prawem?

– To nie może być! – dodał Rodin. – Protestujemy!

– Gabrielu... ojciec... słuchajcie – zawołał Agrykola – Jeszcze nie wszystko stracone... Jest jeszcze nadzieja... Gabrielu... słyszysz?... Jest jeszcze nadzieja!

– Panowie – odezwał się notariusz – uważam za swój obowiązek przeczytać wam napis na kopercie... Zmienia on, a raczej odracza wszystkie rozporządzenia testamentu.

– Gabrielu! – krzyknął Agrykola, rzucając się księdzu na szyję. – Wszystko odroczone, jeszcze nic nie stracone!...

– Słuchajcie panowie – odezwał się znowu notariusz i czytał, co następuje:

„Kodycyl niniejszy, z przyczyn wewnątrz w kopercie wyluszczonej, w niczym nie zmieniając rozporządzenia testamentu z dnia dzisiejszego, wykonanie go odracza do dnia 1 czerwca 1832 roku... Dom ma być znowu zamknięty, a sumy pozostaną nadal w ręku depozytariusza, do rozdziału w dniu 1 czerwca, komu z prawa przypadnie.

Villestaneuse, dnia 13 lutego 1682 roku, o godzinie jedenastej wieczorem.

*Mariusz de Rennepont*”.

– To fałszywy kodycyl! – wykrzyknął d'Aigrigny, siniejąc ze złości.

– Nie, panie – odparł surowo notariusz – porównałem obydwa podpisy i przekonałem się, że są identyczne... Zresztą... co mówiłem dziś rano względem nieobecnych spadkobierców, stosować się może do panów... Będziecie mogli wnieść skargę przeciwko autentyczności tego kodycylu; wszystko jednak musi pozostać w zawieszaniu i jako niedoszło... gdyż czas zamknięcia spadku odroczonej jest do trzech i pół miesięcy...

Kiedy wymawiał ostatnie słowa, paznokcie Rodina już broczyły krwią; jego sine usta pierwszy raz zaczerwieniły się.

– Och! Boże! Wysłuchałeś mnie... Ulitowałeś się nade mną – zawołał Gabriel, ukląkł i swą anielską twarz zwróciwszy ku niemu, gorąco dziękował Bogu. – Twoja najwyższa sprawiedliwość nie mogła pozwolić na triumf takiej niegodziwości.

– Wszystko cofnięte, ojczy – wołał Agrykola. – Czas do stawienia się oznaczony jest za przeszło kwartał od dzisiejszego dnia... A teraz, kiedy już ci panowie zostali zdemaskowani – tu wskazał na socjusza i jego zwierzchnika – nie ma się czego obawiać z ich strony; będziemy ostrożniejsi, a sieroty, panna de Cardoville, mój zacny pryncypał, pan Hardy i młody Hindus odziedziczą swój majątek.

Na próżno usiłowałibyśmy opisać radość Gabriela i Agrykoli, Dagoberta i starego Simona oraz Samuela i Jezabel.

Tylko Faryngea stał ponury i milczący przed portretem mężczyzny z czarną kreską na czole.

Trudno także wyrazić wściekłość księdza d'Aigrigny i jego sekretarza na widok Samuela, zabierającego znowu do siebie cedrową szkatułkę.

Obaj opuszczali dom przy ulicy Świętego Franciszka, wściekając się ze złości. D'Aigrigny, wsiadłszy do swego powozu, zawołał do służącego:

– Do pałacu Saint-Dizier.

Potem strapiiony, straciwszy głowę, rzucił się na poduszki, zasłonił twarz rękami i westchnął głęboko.

Rodin usiadł przy nim... i z gniewem i pogardą patrzył na tak słabego, upadającego człowieka.

– Nikczemny!... – pomyślał w duchu. – Już stracił nadzieję...

## ROZDZIAŁ IX

### PIERWSI SĄ OSTATNIMI, A OSTATNI PIERWSZYMI

Powóz księdza d'Aigrigny przybył wkrótce do pałacu Saint-Dizier. Przez całą drogę Rodin milczał i tylko przysłuchiwał się uważnie księdzu d'Aigrigny, który w długich monologach ciskał złorzeczenia na nieszczęsny cios przeznaczenia, co w jednej chwili niszczy najpiękniejsze nadzieje. W chwili przybycia pojazdu można było widzieć oczekującą za firanką w oknie księżną Saint-Dizier; usłyszawszy turkot powozu, zbiegła po schodach, śpiesząc naprzeciwko księdza d'Aigrigny, który zgnębiony powoli wstępował na ganek.

Na widok smutnej twarzy wielebnego ojca księżna zatrzymała się nagle i zbladła... domyśliła się, że wszystko stracone... Wzajemne spojrzenia na siebie tej wielkiej damy i jej dawnego kochanka nie pozostawiły już wątpliwości co do skutku, którego się obawiała.

Rodin postępował skromnie za księdzem d'Aigrigny.

Księżna, zamknawszy drzwi i zwróciwszy się do księdza d'Aigrigny, zawołała z przestachem:

– Co się stało?...

Zamiast odpowiedzi, d'Aigrigny z oczyma zaiskrzonymi z gniewu spojrzał księżnie w oczy.

– Próżne nasze starania! – zawołał, zgrzytnąwszy zębami. – Żal się Boże! A szło nie o czterdzieści, ale o dwieście dwanaście milionów...

– Dwieście dwanaście milionów! – powtórzyła zdumiona księżna, cofając się o krok. – To niepodobna... Ależ to niesłychany majątek... I wy wyrzekliście się już... i nie dobijacie się o niego wszelkimi sposobami... do ostatniej chwili?...

– Przeciwnie, zrobiłem wszystko, co tylko było można! Pomimo zdrady Gabriela, który porzuca zgromadzenie.

– Niewdzięcznik! – zawołała naiwnie księżna.

– Tak – z zalem odpowiedział ksiądz d'Aigrigny – posiadłość ta stała się dla nas snem, gdyż odkryto kodycył, który odracza jeszcze o ponad trzy miesiące wszystkie rozporządzenia testamentu; ale teraz wszystko się obudziło, rzuci się cała banda spadkobierców... Dowiedzieli się już o ogromnej sumie... Wszystko stracone.

– A któż dał znać o tym kodycyłu?

– Kobieta.

– Co za kobieta?

– Nie wiem, jakaś włóczęga!...

– Skąd wiedziała o istnieniu kodycyłu?

– Wszystko to, jak mi się zdaje, umówione było z niegodziwym Żydem, stróżem tego domu.

– A czy nie można zaskarżyć ważności tego kodycyłu?

– Zaskarżyć, prawować się... w tych czasach?... Wystawić się, nie będąc pewnym skutku, na tysiącne krzyki? I tak już przykro, że się to wszystko rozgłosi... Ach! To okropne... I w chwili, gdy się miało osiągnąć cel... po tylu zabiegach i troskach!... Sprawa popierana tak wytrwale od półtora wieku!

Potem, tupnąwszy z gniewu, mówił dalej: Powiadam ci, że na wspomnienie o tym, człowiek mało nie oszaleje!

– A więc już żadnej nadziei?

– Jedyne ta, żeby Gabriel nie odwołał swej darowizny w tym, co jego dotyczy. I to byłoby już wiele... gdyż część tylko na niego przypadająca, wynosiłaby koło trzydziestu milionów.

– To ogromna suma... – mówiła księżna. – A więc czegoż rozpaczacie?

– Bo nie ulega wątpliwości, że Gabriel wytoczy proces przeciw darowiźnie; jakkolwiek jest ona prawnie sporządzona, znajdą się sposoby do jej obalenia, teraz, kiedy już nas poznał,

kiedy nas poznał... Sądzę nawet, że roztropność nakazuje pisać do Rzymu, prosząc o pozwolenie opuszczenia Paryża na jakiś czas. Obmierzło mi już to miasto.

– Ocho! Tak, tak, i ja tak uważam... Już nie musi być nadziei... kiedy ty, mój przyjacielu... gotów jesteś prawie uciekać...

Przez cały czas tej rozmowy Rodin stał pokornie przy drzwiach, trzymając w ręku swój stary kapelusz.

Dwa lub trzy razy, w czasie niektórych zdań, wygłaszanych przez d'Aigrigny'ego i księżnę, trupia, zachmurzona gniewem twarz socjusza, lekko się zarumieniła; jego wielkie, obwisłe powieki zaczerwieniły się, jak gdyby krew rzuciła mu się do głowy wskutek gwałtownej wewnętrznej walki... po czym ponura fizjonomia znowu zbladła i zsiniała.

– Muszę natychmiast pisać do Rzymu o tym niepowodzeniu... które obala niezmiernie nadzieje – rzekł ksiądz d'Aigrigny.

I siadając w fotelu, wskazał Rodinowi na stół i rzekł rozdrażnionym, porywczym tonem:

– Pisz!...

Socjusz, milczący, nieruchomy, czekał, co podyktuje mu przełożony.

– Pozwolisz, księżno? – spytał d'Aigrigny, zwracając się do przyjaciółki i przytłumionym głosem dyktował, co następuje:

„Wszystkie nasze nadzieje, które już były prawie pewne, nagle zostały zniweczone. Sprawa Rennepont'ów, pomimo wszelkich starań, pomimo użytej dotąd zręczności, nie powiodła się, upadła bez ratunku. W takim stanie, w jakim obecnie znajdują się rzeczy, jest to coś gorszego niż niepomyślność... jest to wynik najzgubniejszy dla towarzystwa, którego zresztą prawa do tych dóbr, jako ukrytych podstępem przed konfiskatą na naszą korzyść, są niezaprzeczalne... Przynajmniej przekonany jestem, że robił wszystko, aż do ostatniej chwili, dla ochrony i zapewnienia naszych praw. Ale powtarzam, należy uważać tę sprawę za zupełnie i na zawsze straconą i trzeba o niej zapomnieć”. Socjusz, zamiast dalej pisać, co mu dyktowano, zerwał się nagle i rzucił pióro na stół, co usłyszawszy ksiądz, obrócił się ku niemu, spojrział groźnie i mocno zdziwiony zapytał:

– Hej!... Cóż to znaczy?

– To znaczy, że trzeba już skończyć! – rzekł socjusz sam do siebie. – Ten człowiek zwiariował!

– Cóż to znaczy?... Opuszczasz swoje miejsce... Nie piszesz? – pytał zdumiony d'Aigrigny. Potem zwracając się do księżny, dodał:

– Jak widzę... on stracił głowę...

– Siadaj na swoim miejscu i pisz – zwrócił się do Rodina tonem pogardliwego politowania.

Socjusz, obojętny na ten rozkaz, wyprostował się, założył ręce na krzyż na swym zatłuszczonym surducie i śmiało spojrział na księdza d'Aigrigny. Nie rzekł słowa, ale jego szpetna, zaczerwieniona twarz objawiła nagle wybitne poczucie wyższości. Ksiądz d'Aigrigny, znając dobrze zwyczaje swego zgromadzenia, zrozumiał, że nie bez przyczyny, a raczej nie bez pewnego prawa, jego najpokorniejszy, najuniżeńszy sekretarz, tak nagle przybrał ton wyraźnej wyższości... Za późno... zbyt późno domyślił się, że ten podwładny mógł być jednocześnie szpiegiem i pewnym rodzajem doświadczonego pomocnika, który, stosownie do ustaw zgromadzenia, miał prawo i obowiązek, w pewnych wypadkach usunąć i zastąpić niezdolnego członka, przy którym był umieszczony. Ksiądz d'Aigrigny nie mylił się; począwszy od generała, aż do prowincjałów, aż do rektorów kolegiów, wszyscy członkowie przełożeni zgromadzenia mają, każdy przy sobie, częstokroć przyczajonych, nie wiedząc o nich, w obowiązkach na pozór najniższych, ludzi bardzo zdolnych i gotowych do zastąpienia ich w stosownej chwili, a którzy w tym celu kontaktują się wprost z Rzymem. Zwykle wyniosłe, dumne obejście margrabiego zmieniło się nagle; rzekł z pewną nieśmiałością, pełną uszanowania:

– Zapewne masz prawo rozkazywania mi... mnie... co dotąd byłem twym przełożonym?

Rodin, zamiast odpowiedzi, dobył z zatłuszczonego, starego pugilaresu papier, złożony w czworo, z pieczęciami po obu stronach, na którym napisanych było kilka wierszy po łacinie. Ksiądz d'Aigrigny, przeczytawszy owe pismo, zbliżył je z uszanowaniem do ust, a potem oddał Rodinowi z głębokim ukłonem. Gdy następnie podniósł głowę, na twarz jego wystąpił rumieniec gniewu i wstydu; mimo iż przywykł do bezwarunkowego posłuszeństwa i poszanowania woli zgromadzenia, z twarzy jego można było wyczytać gwałtowne oburzenie, że go tak nagle strącono... A doznać tak poniżającej klęski wobec kobiety, było dla niego rzeczą podwójnie okrutną, gdyż, choć wstąpił do zakonu, nie przestał być człowiekiem światowym. Przy tym księżna patrzyła na Rodina z pewną ciekawością i zajęciem. Ciekawym i zajmującym okazał się dla niej ten człowiek, nieledwie w łachmanach, lichy, szpetny, niedawno jeszcze najuniżeńszy podwładny, a teraz górujący całą przewagą zdolności umysłowych, które mu pewno przyznano, górujący nad księdzem d'Aigrigny, wielkim panem z urodzenia, wytwornego obejścia i niedawno mającym tyle znaczenia w zgromadzeniu. Od tej chwili Rodin, jako ważna osoba, stracił zupełnie księdza d'Aigrigny w oczach księżny.

D'Aigrigny odezwał się z szacunkiem do Rodina:

– Czy będziesz łaskaw powiedzieć mi, w czym błędziłem?...

– Zaraz – odpowiedział Rodin ostrym, piskliwym głosem. – Długo, bardzo długo... wstrzymywałem się, chociaż widziałem tyle błędów w całej tej sprawie!... Cały szereg niedoleźnych pomysłów i niezręcznych sposobów w kierowaniu nią i całym postępowaniu!

– Panie, jesteś zanadto surowy – odparł urażony d'Aigrigny.

– Jestem sprawiedliwy... Alboż to trzeba cudów zręczności, żeby zamknąć kogoś na dwa spusty w izbie?... Ha?... A czy ty co innego zrobiłeś?... A córki generała Simona? Uwięzione w Lipsku... w Paryżu zamknięte w klasztorze; a Adrianna de Cardoville? – w szpitalu; Leżynago w więzieniu... Dżalma odurzony narkotykiem... Jeden tylko środek mądry, tysiąc razy pewniejszy, bo działał moralnie, nie materialnie, był to środek, użyty do oddalenia pana Hardy z Paryża... Co zaś tyczy innych sposobów... cóż mam o nich powiedzieć? Złe, głupie, szkodliwe lub niebezpieczne, wszystkie bez wyjątku... Dlaczego?... Bo były gwałtowne, a zwykle na gwałt odpowiada się gwałtem; wtedy już nie jest to walka ludzi przenikliwych, zręcznych, wytrawnych, widzących pośród ciemności, w której chodzą i działają... ale raczej walka gminu na pięści. Jak to? Chociaż działamy ciągle, nieustannie, jednak przede wszystkim powinniśmy starać się tak ukrywać, iżby nas nie spostrzeżono; a ty... jakżeś postępował? Nie umiałeś wymyślić nic lepszego, tylko zwracać na nas uwagę swymi dzikimi, niedorzecznymi środkami... Wzywałeś do pomocy gwardię miejską, komisarzy policji, odźwiernych... Aż litość bierze, gdy się o tym wspomni!... Chyba tylko pomyślnie zakończenie sprawy mogłoby zjednać ci przebaczenie niedoleźności! Ale nie osiągnąłeś sukcesu...

– Panie! – rzekł d'Aigrigny, dotknięty do żywego – Jesteś zbyt surowy... w swym sądzie... i mimo należnego ci ode mnie uszanowania, zmuszony jestem powiedzieć ci, że do takiego obchodzenia się nie jestem przyzwyczajony...

– W istocie! Wiele jest jeszcze rzeczy, do których nie jesteś przyzwyczajony – przerwał ostrym tonem Rodin – ale się do nich przyzwyczaisz... Byłeś zanadto zarozumiały; jest jeszcze w tobie zaród dawnej żołnierki i światowego trzpiotostwa, które zawsze jeszcze fermentuje i odbiera twemu rozumowi potrzebną zimną krew, przenikliwość i jasność. W obozie i wyprawach biłeś się, bankietowałeś, uganiałeś się za rozkoszami, za kobietami... Wszystko to cię zużyło. Nie możesz być już teraz zdatnym na nic lepszego, jak tylko na subalterna: już jesteś osądzony. Zawsze brakować ci będzie owej dzielności, bystrości umysłu, co to umie panować nad ludźmi i sytuacjami. Taką dzielność, taką bystrość umysłu, jeśli kto, to ja ją mam... A wiesz, dlaczego? Oto dlatego, że oddany wyłącznie usługom naszego zgromadzenia, byłem i jestem zawsze brzydki, brudny i nigdy nie znałem kobiet... tak, tak, nigdy nie znałem kobiet... w tym jest cała moja męskość...

Wymawiając te słowa z chełpliwym cynizmem, Rodin był przerażający. Za tę jednak zuchwałą, bezczelną śmiałość wydawał się w oczach księżny Saint-Dizier prawie piękny. D'Aigrigny, widząc, jak to szatańskie stworzenie niemiłosiernie panuje nad nim, chciał jeszcze doświadczyć ostatnich sił oburzenia i zawołał:

– E, panie, ta chełpliwość nie dowodzi jeszcze ani wartości, ani mocy... zobaczymy cię w czynach...

– Ja mówię – odrzekł wolno Rodin – że podejmuję się pokierować pomyślnie sprawą o dziedzictwo Rennepont'ów, którą ksiądz d'Aigrigny uważa za straconą.

– Pan!? – zawołał d'Aigrigny. – Pan?

– Ja...

– Ależ odkryto już nasze intrygi.

– Tym lepiej, będziemy musieli wymyślić zręczniejsze.

– Ależ nikt nam już nie zaufa.

– Tym lepiej... trudne skutki są najpewniejsze.

– Jak to? Czy spodziewasz się, że Gabriel nie odwoła swej darowizny... w której, zresztą, może jest pełno nieprawości?

– Zagarnę do kufrów zgromadzenia dwieście dwanaście milionów, których chciano nas pozbawić. Czy mówię jasno?

– To jasne, ale to niemożliwe.

– A ja mówię, że zupełnie możliwe... Więc nie pojmujesz, ciasna głowo – zawołał Rodin, uniósłszy się tak dalece, że jego trupia twarz zarumieniła się nieco – nie pojmujesz jeszcze, że teraz nie można się wahać... Albo dwieście dwanaście milionów będzie nasze, a wtedy przywrócimy nasz wpływ we Francji, gdyż mając takie sumy, można kupić wszystko na świecie, można rozniecić wojnę domową, można obalić jeden porządek rzeczy, a przywrócić drugi...

– To oczywiste – przytakiwała księżna, składając ręce z podziwem.

– Przeciwnie – mówił dalej Rodin – jeżeliby te dwieście dwanaście milionów miało pozostać w rękach rodziny Rennepont'ów byłoby to naszą zgubą; powstałoby wtedy plemię naszych zajadłych, nieprześlagnanych wrogów... Czy nie słyszałeś owych przeklętych życzeń Rennepont'a? Pomyśl tylko o ogromnych siłach, jakie by się wtedy zgromadziły koło tych milionerów: stanąłby tam marszałek Simon, działający w imieniu swoich córek; jest to człowiek z ludu, wyniesiony do godności księcia, wcielony bonapartysta, wyobraża jeszcze w oczach ludu tradycję honoru i narodowej sławy. Byłby tam ów Franciszek Hardy, liberalny, niezawisły, oświecony fabrykant, lubiący postęp i dobry byt robotników! Potem zaliczałby się tam Gabriel, dobry kapłan, godny wykładowca Ewangelii... i to nie w imię burzliwej i rewolucyjnej polityki, lecz w imię religii miłosierdzia, miłości i pokoju... Dalej następuje Adrianna de Cardovule, wzór wytworności, wdzięku, piękna. Tam wreszcie należy księżę Dżalma, rycerski młodzieniec, nieubłagany w zemście, niezachwiany w przywiązaniu, straszne narzędzie dla każdego, kto go potrafi użyć... Masz wreszcie w tej przeklętej rodzinie nawet nędznego Leżynago, który, podźwignięty, odrodzony przez styczość z tymi szlachetnymi, może wziąć wielki udział we wpływie tego zjednoczenia. Wszyscy ci ludzie, rozjątrzeni na nas, pójdą za przeklętymi radami heretyka Rennepont'a.

Czy nie rozumiesz, że gdy zjednoczą swoje siły, wszystkie środki działania wokół tego ogromnego majątku, wydadzą zaciętą walkę nam i naszym zasadom, będą najszkodliwszymi wrogami, jakich nam się mieć zdarzyło? Nigdy jeszcze zgromadzenie nie było tak strasznie zagrożone; jest to kwestia walki o śmierć lub życie; teraz już nie idzie o to, aby się bronić, ale o to, aby uderzyć i walczyć, aż do wytepienia tego przeklętego rodu Rennepont'ów, aż posiadziemy wszystkie jego miliony.

– Przyznaję – odezwał się d’Aigrigny – że nie myślałem o wszystkich zgubnych skutkach tego stowarzyszenia, zalecanego przez Rennepont’a... Niebezpieczeństwo jest wielkie i bardzo groźne; ale aby go uniknąć... co trzeba zrobić?

– Jak to? Masz do czynienia z ludźmi ciemnymi, odważnymi i egzaltowanymi jak Dżalma, zmysłowymi i dziwacznymi jak Adrianna de Cardoville, naiwnymi i niewinnymi jak Róża i Blanka Simon, otwartymi i prawymi jak Franciszek Hardy, czystymi i świątobliwymi jak Gabriel, grubiańskimi i prostymi jak Leżynago, i pytasz: Co robić?

– Prawdziwie, nie rozumiem cię – odparł d’Aigrigny.

– Wierzę! – rzekł z pogardą Rodin. – Używałeś środków ordynarnych, materialnych, zamiast działać na namiętności szlachetne, wzniosłe, różnymi podejściami, ułudami, zamachami! Jeszcze nie rozumiesz? – Tu Rodin wzruszył ramionami. – Zastanów się, czy ktoś umiera z rozpacz?

– O, tak!

– Czy wdzięczność uszczęśliwionej miłości może się posunąć aż do ostatnich granic najbardziej szalonej wspaniałomyślności?

– Tak jest.

– Czy nie zdarzają się tak okropnie zawiedzione nadzieje, iż samobójstwo jest jedynym lekarstwem przeciw strasznej rzeczywistości?

– Bez wątpienia.

– Czy zbytnia zmysłowość może zaprowadzić do grobu?

– I to się zdarza.

– Czy zdarzają się w życiu tak straszne okoliczności, iż najbardziej twarde charaktery, najbezbożniejsi ludzie... złamani nieszczęściami, udręczeni cierpieniami, rzucają się ślepo na łono religii i porzucają największe dobra tego świata, aby mogli oddać się całkowicie pokucie, modlitwie i rozmyślaniu?

– I tak bywa.

– Czy nie zdarzają się wreszcie tysiączne okoliczności, w których reakcja namiętności sprowadza nadzwyczajne zmiany, tragiczne rozwiązanie biegu rzeczy, tak w życiu mężczyzny, jak i kobiety?

– I to może się zdarzyć.

– Więc dlaczego pytasz, co robić?... A cóż byś powiedział, gdyby np. najniebezpieczniejsi członkowie rodziny Rennepont’ów... nim upłyną trzy miesiące, przyszli na klęczkach prosić o łaskę przyjęcia ich do tego zgromadzenia, do którego mają odrazę i od którego dziś odłączył się Gabriel?

– To niemożliwe! – odparł d’Aigrigny.

– Niemożliwe?... A czymże ty byłeś, mój panie, przed piętnastoma laty? – zapytał Rodin. – Światowcem, rozpustnikiem... a jednak przyszedłeś do nas i twoje dobra stały się naszymi... Jak to! My upokarzaliśmy książąt, królów, papieży, my wciągnęliśmy, przygasiliśmy w naszej jedności wzniosłe dusze, które będąc poza naszym obrębem, zanadto świeciły; panowaliśmy niemal nad dwoma światami; przetrwaliśmy czerstwi, bogaci i straszni aż do dziś dnia pośród wszelkich nienawiści, wszelkich proskrypcji, a nie mielibyśmy zwalczyć familii, która nam zagraża, a której dobra, zabrane naszemu zgromadzeniu, tak bardzo są nam potrzebne?... Jak to? Nie będziemy na tyle zręczni, aby osiągnąć ten cel bez użycia niezręcznych środków, gwałtów, bez dopuszczenia się jawnych zbrodni? Więc nie znasz potężnych środków wzajemnego niszczenia, jakie wywołać może gra namiętności ludzkich, wyrachowania, drażnionych, podniecanych uczuć... a nade wszystko gdy, dzięki potężnej pomocy – dodał z szatańskim uśmiechem – te namiętności mogą podwoić zapał i gwałtowność!...

– O jakiej pomocy mówisz? – zapytał d’Aigrigny, który, podobnie jak księżna Saint-Dizier, pod wpływem tych słów, uległ pewnemu zaskoczeniu i obawom.



– Tak, tak – mówił dalej Rodin, nie odpowiadając wprost na pytanie – gdyż ta potężna pomoc może sprowadzić straszne, przerażające zmiany, uczynić małymi i lęklivymi najbardziej nieugiętych, łatwowiernymi najbezbożniejszych... dzikimi, drapieżnymi najłagodniejszych... Jeśli nadejdzie – mówił dalej, jakby sam do siebie – młodzi, najsilniejsi... znajdą się w każdej chwili w niebezpieczeństwie, w jakim znajduje się umierający w chwili konania... Ta wreszcie pomoc... może zdziesiątkować ludność, okryć całunem, który za sobą wlecze, całą tę przeklętą rodzinę, będzie jednak musiała oszczędzać owe niezmierne, wielkie ciało, którego nigdy nie osłabia zmarłe członki... bo duch jego... duch zgromadzenia jezuitów jest wieczny...

– Ależ, na koniec, co to za pomoc?

– Otóż tą pomocą – mówił dalej Rodin – tą pomocą, która postępuje, zbliża się... wolnym krokiem, a której smutne przeczucia, wszędzie rozsiewane, oznajmią straszne przyjście...

– Jest to?...

– Cholera!

Na to słowo, wymówione przez Rodina urwanym, skrzypiącym głosem, księżna i d'Aigrigny zbledli i obojga przeszedł dreszcz. Wzrok Rodina był ponury i zimny jak wzrok trupa. Nastąpiła chwila ciszy. Rodin przerwał ją pierwszy. Nadał zimny, nieczuły, rozkazującym skinieniem pokazał księdzu stół, przy którym przed chwilą sam siedział jako skromny i pokorny sekretarz i rzekł krótko:

– Pisz!

D'Aigrigny wzdrygnął się na ten niespodziany rozkaz, przypomniawszy jednak sobie, że z przełożonego stał się podwładnym, wstał, skłonił się przed Rodinem, a usiadłszy przy biurku z piórem w rękę, rzekł:

– Jestem gotów...

Rodin dyktował, a d'Aigrigny pisał:

„Przez nieudolność księdza d'Aigrigny, sprawa o dziedzictwo Rennepont'ów poniosła dziś wielką szkodę. Spadek ten wynosi dwieście dwanaście milionów. Jednak, pomimo tego niepowodzenia, sądzimy, że zdołamy pozbawić rodzinę Rennepont'ów możliwości szkoderzenia naszemu zgromadzeniu i dokażemy tego, że te dwieście dwanaście milionów, jako prawnie naszemu zgromadzeniu należne, zostaną nam przywrócone. Oczekujemy tylko formalnego upoważnienia w tej mierze”.

W kwadrans po tym Rodin, wyszedłszy z pałacu Saint-Dizier, muskał łokciem swój stary kapelusz i zdjął go z głowy, kłaniając się nisko odźwiernemu.

## Część druga

### ROZDZIAŁ I

#### FAŁSZYWY PRZYJACIEL

#### NIEZNAJOMY

Nazajutrz, po dniu, w którym Rodin tak nielitościwie zepchnął księdza d' Aigrigny z piedestału, rozegrała się następująca scena:

Ulica Clovis jest najodludniejsza w okolicy Montagne-Sainte Geneviere. Dom nr 4 przy tej ulicy składał się z głównego korpusu; ciemny korytarz prowadził na posepne podwórko, w którego głębi wznosił się opustoszały, stary budynek.

Na froncie znajdował się, na pół wsunięty w ziemię, sklepik z węglem, wiązkami drzewa, jarzynami, mlekiem itp. artykułami.

Zegar wydzwonił akurat godzinę dziewiątą. Niemłoda przekupka, nazywana matką Arseni, stojąc na schodach, prowadzących do sklepiku, rozkładała swój towar. Sklepik ten, znajdujący się tuż przy sieni, służył zarazem za stróżówkę dla odźwiernego, gdyż przekupka jednocześnie pełniła i te obowiązki.

Wkrótce potem zgrabna i wesoła panienka wychodząc z domu wstąpiła do matki Arseni.

Panienką tą była Róża Pompon, zaufana przyjaciółka Bachantki, chwilowo wolna, a której, bachicznym wprawdzie, lecz szanownym fatygantem był, jak wiadomo, Nini Moulin, czyli Jakub Dumoulin, zawołany tancerz i jadowity paszkwilant, któremu wywijanie „burzliwego tulipana” nie przeszkadzało później ciskać piorunami jezuitów.

Róża Pompon, jak można było wnosić z jej niedbalej, porannej toalety, dopiero co opuściła łóżko. Od stóp do głowy tak obwinęła się salopą ze szkockiej kraty, nieco wypłowiałą, iż widać było, że pod nią nie było sukni. Łatwo też można było poznać, że pod salopą trzyma coś w ręku.

– Dzień dobry, panno Rózo! – odezwała się matka Arseni – cóż to dziś tak wcześnie wstałaś? Pewno nie tańczyłaś wczoraj?

– Nie wspominaj mi o tym, matko Arseni! Do tańców wcale nie mam ochoty; biedna Cefiza (Bachantka, siostra Garbuski) płakała całą noc, nie może się uspokoić, że jej kochanek siedzi w więzieniu.

– Właśnie – rzekła przekupka – muszę z panią pomówić o Cefizie. Czy nie sądzisz, że pan Filemon, jak wróci, może mnie wyłajać?

– Panią wyłajać?... A to za co?

– Za to, że panny zajmujecie jego mieszkanie...

– Cóż to znowu, matko Arseni? Alboż Filemon nie powiedział, że podczas jego nieobecności mogą być panią jego domu, jak byłam jego panią?

– Nie dotyczy to pani, ale twej przyjaciółki Cefizy, którą sprowadziłaś do mieszkania pana Filemona.

– Matko Arseni, gdzież by się ona podziała beze mnie? Od chwili, jak jej kochanek został aresztowany, nie mogła wrócić do swojego mieszkania, gdyż nie zapłacili komornego.

– Ha! Jeśli zapewniasz, że pan Filemon nie będzie się gniewał... niech i tak będzie.

– Gniewał, a za cóż by się miał gniewać? Ze mu się niszczy jego gospodarstwo? Śliczne to gospodarstwo! Wczoraj stłukłam ostatnią filiżankę... i ot, z czym musiałam przyjść po mleko!

I śmiejąc się do rozpuku, wysunęła białą rączkę spod salopy i pokazała matce Arseni kieliszek od szampańskiego wina, kolosalnej wielkości, w którym zmieścić by się mogła cała butelka.

– To kieliszek paradny Filemona, którym go obdarzono za jego bohaterskie czyny – rzekła z powagą.

– Wstyd mi jakoś nalewać w niego mleko, bo to będzie dziwnie wyglądało – zastanawiała się matka Arseni.

– A cóż dopiero mnie... A nuż spotkam kogo na schodach... trzymając ten kielich... To by mnie tak speszyło, że gotowa byłabym stłuc ostatni sprzęt gospodarski Filemona.

– Nie ma obawy spotkania kogoś; jeden lokator już wyszedł, a drugi wstaje późno.

– Ale, ale, kiedy mowa o lokatorach – rzekła Róża Pompon – czy nie ma do najęcia stancji w podwórzu na drugim piętrze? Myślę o Cefizie, jak wróci Filemon.

– Jest tam gabinecik... nad mieszkaniem tego tajemniczego staruszka... pana Charlemagne – odparła matka Arseni.

– Ale, ale, czy nic więcej nie dowiedziałaś się pani o tym panu Charlemagne? – spytała ciekawie Róża.

– Nic a nic... Dziś rano przyszedł równo ze świtem, zapukał w okiennicę i zapytał: „Czy nie odebrała pani wczoraj listu do mnie?” „Nie, panie”... – odpowiedziałam. „Kiedy tak, to przyjdę dowiedzieć się później; przepraszam panią!” – rzekł uprzejmie i odszedł.

– Więc on tu nigdy nie nocuje?

– Nigdy. Zapewne musi mieć drugie mieszkanie, gdyż tu przychodzi tylko co czwarty lub piąty dzień na kilka godzin.

– I zawsze przychodzi sam?

– Zawsze sam.

– Czy czasem nie przyjmuje ładnych kobietek?...

– Pan Charlemagne miałby przyjmować u siebie kobiety! Co za myśl... – odparła matka Arseni. – Ten kochany staruszek... Gdybyś go widziała w jego zatłuszczonym kapeluszu, wyszarzałym surducie, z połatanym parasolem i takim wyrazem twarzy... On wygląda raczej na świętego aniżeli...

– Ale przecież, matko Arseni, co on tu może sam jeden robić przez kilka godzin?

– A właśnie, o to ja się pytam sama siebie, co on tu może robić?... Całe umeblowanie jego mieszkania składa się z łóżka na pasach, stołu, żelaznego pieca, stołka i starego kuferka.

– Ha! To taki sam lokator jak Filemon – zauważyła Róża.

– A przy tym tak się boi, żeby się kto do niego nie dobrał, jakby wszyscy byli złodziejami, a jego meble szczerozłote: na swój koszt kazał założyć bezpieczny zamek; nigdy nie zostawia u mnie klucza, woli raczej sam sobie napalić w piecu niż pozwolić komu wejść do siebie.

– A przy tym podobno brzydki?

– Trudno sobie wyobrazić, co to za stworzenie: oczka malutkie, jak u jaszczurki, osadzone w twarzy trupiej bladeści i z takimiż ustami. Jest nadzwyczaj ugrzeczniejszy: tak nisko się kłania, że aż niemiło z nim się spotykać.

– Mniejsza o to! Zresztą... jeżeli Cefiza najmie nad nim tę stancjkę po powrocie Filemona, będziemy miały rozrywkę, bo koniecznie musimy dowiedzieć się o nim czegoś więcej... A ile chcą za najem tej stancjki?

– Och! Gospodarz wynajłaby ją za pięćdziesiąt franków rocznie, bo nie można postawić w niej pieca, a światło dochodzi tylko z dachu przez okienko małego dymnika.

– Biedna Cefiza! – rzekła Róża, kiwając głową – ona, co się tak bawiła, co tyle wydawała pieniędzy z Jakubem Rennepont, teraz będzie musiała, biedaczka, mieszkać w takim mieszkaniu i utrzymywać się z pracy rąk!...

– Oj! To prawda, że jest wielka różnica między tą stancjką a czterokonnym powozem...

– Biedna Bachantka... biedna hałaśnica!... Jeżeli teraz narobi hałasu, to chyba tylko płaczem...

– Oj młodzi... młodzi!... – pokiwała głową przekupka.

– Posłuchaj, matko Arseni, wszak kiedyś także byłaś młoda, nieprawda?

– Na pocziwość, powiadam, że prawie zawsze byłam taka, jaka jestem dziś.

– A kochankowie, matko Arseni?

– Kochankowie? Akurat mogłam myśleć o kochankach! Po pierwsze byłam brzydka, a po wtóre dobrze strzeżona.

– Więc to matka tak cię pilnowała?

– Nie to... lecz ja zawsze byłam w zaprzęgu...

– Jak to w zaprzęgu?

– Tak, tak, moja panienko! Zaprzęgano mnie i mego brata do beczki woziwody na 8 do 10 godzin dziennie. A w zimie podczas mrozów... wtedy było najgorzej... Musieliśmy się oboje podkuwać jak konie podczas gołoledzi.

– I to dziewczyny używać do takiej pracy!... A teraz to nawet psy zabraniają zaprzęgać!...

– Oj! To prawda! – rzekła matka Arseni. – Zwierzęta są czasami szczęśliwsze od ludzi! Oj! Ciężka, bardzo ciężka to była praca... Przez nią nabawiłam się choroby płuc. Muszę ci jednak wyznać, że gdybym miała okazję i gdybym była piękniejsza, byłabym może taka sama jak wiele innych dziewcząt, co to zaczynają od śmiechu, a kończą na...

– Płaczu... Ale, jakby nie było, kochana matko Arseni, trzeba się bawić, dopóki się jest młodą i przystojną... Nie zawsze będzie się miało siedemnaście lat... Oj! Moja matka, gdybym chciała, mogłabym podać przerażający przykład! Ale czy nie dość, że się przecierpiało zmartwienie?

– Jak to? Jesteś jeszcze taka młoda, taka wesoła, a już miałabyś zmartwienie?

– Ach! Matko Arseni, gdy miałam piętnaście lat, zdawało mi się, że we łzach się rozplęnę... i dopiero mając szesnaście, trochę się pocieszyłam...

– Uwiedziono cię, prawda?

– Och! Jeszcze gorzej... Krótka jest moja historia... Moi rodzice są wieśniakami z okolic miasta Saint-Yalery, ale tak ubodzy, iż z pięciorga rodzeństwa zmuszeni byli oddać mnie, ośmioletnią dziewczynkę, do ciotki, która tu, w Paryżu, służyła za gospodynię. Biedna kobieta przyjęła mnie z litości. Kiedy miałam jedenaście lat, oddała mnie do fabryki na przedmieściu Św. Antoniego. Tam małe dziewczynki i chłopcy pracują razem z dorosłymi kobietami i mężczyznami... Pomiędzy nimi znajdują się zawsze nicponie. Jaki to przykład dla dzieci? Cóż stąd wynika?... Oto wzrastają, przywykając do słuchania i oglądania co dzień rzeczy, do których już potem nie czują żadnego wstrętu. Co do mnie, gdy miałam piętnaście lat, byłam pociągająca... Pewnego dnia, zmuszona upominać się u oficjalisty o swoją należność, poszłam do jego gabinetu. Powiedział mi, że spełni moje żądanie i że nawet będzie się mną opiekować, jeśli będę go słuchać; chciał mnie pocałować... Nie pozwoliłam... Wtedy powiedział: „Nie chcesz, no to nie będziesz miała roboty w fabryce: odprowadzę cię”.

– A! Co za niegodziwiec!

– Wróciłam do domu zalana łzami. Nieszczęścia zawsze chodzą w parze! Ciotka zachorowała, nie było grosza w domu, cóż mogłam począć? Chcąc nie chcąc wróciłam do fabryki, aby prosić owego oficjalistę o przyjęcie mnie z powrotem. Bieda mi dokuczała; nie miałam roboty; ciotka była chora; oficjalista obiecywał, że się ze mną ożeni... Postąpiłam tak jak wiele innych...

– A kiedy później zażądałaś, aby się z tobą ożenił?

– Ma się rozumieć, wyśmiał mnie. Zalewałam się łzami... Zachorowałam... a potem... pocieszyłam się... Zdarzył mi się Filemon. Na nim mszczę się za innych... Jestem jego tyranem – dodała Róża pół żartem i widać było, jak rozpraszały się chmury, które zasepiły jej piękną twarz.

– To przykra prawda! – rzekła matka Arseni. – Zwodzą młodą, biedną dziewczynę... a kto ją obroni?...

– Otóż macie go!... Nini Moulin! – zawołała Róża Pompon, przerywając przekupce i patrząc na drugą stronę ulicy. – Jak to się wcześniej zerwał!...

W rzeczy samej Jakub Dumoulin zbliżał się w kapeluszu na bakier, z zaczerwienionym nosem, z roziskrzonymi oczyma; w jednej ręce trzymał grubą laskę, drugą miał zapuszczoną w boczną kieszeń paltota.

W chwili, gdy zbliżał się do sklepiku, spostrzegł Różę.

– Co widzę! Moja pupilka już wstała!?... To doskonale!... Bo ja przychodzę właśnie, aby ją pobłogosławić przy wschodzie jutrzemki !

I z otwartymi rękami ruszył na spotkanie Róży Pompon, która cofnęła się o krok.

– Co to?... Niewdzięczne dziecko... – zawołał żartobliwie. – Odrzucasz moje ranne ojcowskie uściśnienie?!

– Ojcowskie uściśnienia przyjmuję tylko od Filemona... Dostałam wczoraj list od niego, a przy nim baryłeczkę winogron, dwie gęsi, gąsiorek ratafii domowej roboty i węgorza. Zresztą mój „małzonek” przybywa z sumą 700 franków, których zażądał od swej szanownej rodziny pod pozorem, że będzie się uczył grać na basetli, na trąbce chromatycznej i na waltorni, żeby mógł robić efekt w porządnych towarzystwach i tym sposobem dobić się kariery dobrym ożenkiem... Chwacki chłopak... prawda?...

Nini-Moulin uderzył dłonią w kieszeń kamizelki, która odezwała się metalicznym brzękiem.

– Przychodzę zaproponować ci, abyś mi dziś uprzyjemniła życie, a nawet jutro i pojutrze, jeśli się to spodoba twemu sercu.

– Jeśli idzie o przyzwoitą, ojcowską zabawę, serce moje nie będzie od tego, pod warunkiem, że i biedna Cefiza zabawi się z nami.

– Niech będzie i Cefiza.

– Cóż to... Odziedziczyłeś spadek?

– Coś jeszcze lepszego, moja ty najpiękniejsza ze wszystkich róż. Rózo Pompon... Zostałem naczelnym redaktorem jezuickiego dziennika... A ponieważ muszę teraz zachowywać wielką powagę i ubrać się porządnie, zażądałem z góry miesięcznej pensji i po trzy dni urlopu na miesiąc.

– To dopiero będzie ładny dziennik, którego redaktor tańczy w kawiarniach zakazane tańce!

– Będzie on zabawny, tylko nie dla każdego! Wszyscy bogaci świętoszkwowie i bigoci będą opłacać jego koszta... Nie będą oszczędzili pieniędzy, byle tylko dziennik kąsał, drapał, dopiekał, kruszył, tępił.

Róża roześmiała się serdecznie.

– A jaki tytuł będzie miał ten twój dziennik? – zapytała.

– Miłość Bliźniego, czyli Pogromca Niedowiarków.

– Zechcesz więc pewnie poskromić także panią Sainte-Colombe... bo ona zdaje się być także niedowiarkiem i nie wierzy ci. A co z twoim małżeństwem?

– I owszem, mój dziennik i w tym mi pomoże. Wystaw sobie tylko, główny redaktor... to nie żarty. Bogaci będą mnie protegowali, wspierali, utrzymywali. Nabędę szacunek u pani Sainte-Colombe... ożenię się, a wtedy życie... Jakie życie!

W tej chwili wszedł do sklepiku listonosz i oddał przekupce list, mówiąc:

– Dla pana Charlemagne... porto opłacone... nic się nie należy.

– Popatrz! – rzekła Róża Pompon. – To dla tego tajemniczego staruszka, co ma tak osobliwy chód... Czy z daleka ten list?

– Zdaje mi się, że to, musi być z Włoch, z Rzymu – rzekł Nini-Moulin, spojrzawszy na kopertę, którą przekupka trzymała w ręku. – Ale, ale! – dodał – O jakim to staruszkę mówisz?

– Wyobraź sobie... – objaśniła Róża – ma dwie stacje w podwórzu; nigdy w nich nie nocuje, zamyka się w nich i siedzi po kilka godzin, nikogo nie przyjmując...

– Pewnie to jakiś spiskowiec albo fabrykant fałszywych pieniędzy... – domyślał się żartobliwie Nini-Moulin.

– Biedne człowieczysko! – rzekła matka Arseni. – A gdzież by tam były te pieniądze?... Zawsze płaci mi trzy grosze za kawałek chleba i drugie trzy na czarną rzodkiew. Ale cicho, kiedy o wilku mowa, bo wilk tuż.

– Gdzież ten wilk?

– Widzisz pan tam... tego małego czelczynę... co idzie wzdłuż muru; głowę przechylił na bok i pod pachą trzyma parasol.

– Rodin! – zawołał Moulin i nagle cofnął się, aby nie być widzianym.

– Jak pani mówi, że się nazywa ten jegomość?

– Pan Charlemagne.

– Co on tu robi pod przybranym nazwiskiem – zastanawiał się Nini-Moulin.

– Więc go znasz? – zapytała Róża z ciekawością. – Cóżżeś tak zamilkł?

– I ten jegomość ma tu wynajęte mieszkanie? I przychodzi tu po kryjomu?...

– Tak! – rzekła Róża. – Okna jego widać z gołębnika Filemona.

– Prędko, przejdźmy prędko przez sień, żeby mnie tu nie spotkał – rzekł Dumoulin.

I spiesznie przebiegł ze sklepiku do sieni, a z sieni na schody, prowadzące do mieszkania Róży Pompon.

– Dzień dobry panu, panie Charlemagne! – matka Arseni witała uprzejmie Rodina. – Cóż to za święto dzisiaj, że mam przyjemność widzieć pana po raz drugi?...

– Zbyt jesteś pani dla mnie łaskawa – odparł Rodin, kłaniając się nisko i wszedł do sklepiku przekupki.

## ROZDZIAŁ II

### KRYJÓWKA

Twarz Rodina, gdy wszedł do matki Arseni, tchnęła dobrocią i prostotą serca; oparłszy rękę na trzonku parasola, rzekł:

– Kochana pani, mieszkam na wsi, więc tylko niekiedy mogę zajrzeć do tego mieszkania dla załatwienia drobnych interesów.

– A właśnie przyszedł tu list dla pana, któregoś się dziś rano spodziewał; koperta spora i przychodzi z bardzo daleka.

– Dziękuję pani! – rzekł Rodin, odbierając list z pozorną obojętnością i wkładając go do bocznej kieszeni surduta, który następnie starannie zapiął.

– Czy wstąpi pan do mieszkania?

– Właśnie tam idę, droga pani.

– A więc muszę się zająć dostarczeniem panu żywności! Wzięła stary koszyk, włożyła weń trzy czy cztery wiązki drzewa, kilka kawałków węgla i przykryła to kapuścianym liściem; zszedłszy potem na dół do sklepiku, wyjęła z kosza duży bochenek chleba, ukrajała sporą kromkę i wybrała pyszną czarną rzodkiew, przekroiła i położyła starannie przy chlebie na liściu. Wyjąwszy z piecyka kilka żarzących się węgli, włożyła je w mały drewniany sandałek, napełniony popiołem i umieściła go również w koszyku.

Wszedłszy potem na schody, rzekła do Rodina:

– Oto pański koszyk.

– Uprzejmie dziękuję kochanej pani! – odparł Rodin, a wsunąwszy rękę w kieszeń surduta, wy dobył z niej piętnaście groszy, które wyliczył na dłoni przekupki.

Wsunąwszy parasol pod lewą pachę, w prawą rękę wziął koszyk, przeszedł małe podwórko i wszedł uradowany na drugie piętro; wyjął klucz z kieszeni i otworzył drzwi, które zaraz zamknął za sobą.

W pierwszym pokoju jego mieszkania nie było żadnych sprzętów; co do drugiego, trudno sobie wyobrazić nędzniejszy kąt. Obicie podarte, poobdrapywane, zasmolone; łóżko na pasach z płótna, na wierzchu stary materac i takąż wełniana kołdra, taboret, stoczony przez robaki, stół połatany, stary piecyk żelazny, a pod łóżkiem stary kuferek zamknięty na kłódkę – oto umeblowanie tego smutnego ustronia.

Małe okienko, z zabrudzonymi odwiecznym kurzem szybkami, słabo oświetlało tę stancję, do której powietrza i światła prawie nie dopuszczały wysokie sąsiednie mury; dwie stare, zatabaczone chustki, spięte szpilkami, służyły za zasłonę; zniszczona, jak klawisze wyginająca się pod stopami starca posadzka, uzupełniała to nędzne schronienie, aż nadto świadczące o niewrażliwości jego lokatora na wygody życia.

Zamknąwszy za sobą drzwi, Rodin rzucił parasol i kapelusz na łóżko, postawił koszyk na podłodze, wyjął chleb i czarną rzodkiew. Ukłękłszy przed piecem, ułożył w nim paliwo i rozniecił ogień.

Gdy węgle i drewnianka dobrze się rozpałyły, rozciągnął na szpagacie dwie chustki, służące mu za firanki w oknie; sądząc, że już należycie zabezpieczył się przed ciekawym okiem ludzkim, wy dobył z surduta list.

Wyciągnął zarazem z kieszeni kilka różnorodnych papierów; jeden z nich, zasmolony, porozdzierany, ułożony w pakiecik, upadł na stół i otworzył się; zawierał on srebrny krzyż Legii Honorowej, zaśniedziały ze starości; czerwona wstążeczka od krzyża niemal całkiem straciła pierwotny kolor.

Na widok tego krzyża, który natychmiast znów schował do kieszeni, wraz z medalionem, zabranym przez Faryngeę księciu Dżalmie, wzruszył ramionami i uśmiechnął się; potem wyjął srebrny zegarek i położył obok listu z Rzymu.

Oglądał ten list ze szczególną mieszaniną obawy i ciekawości.

Już zabierał się do rozpieczętowania koperty... lecz nagle rzucił ją znowu na stół, jak gdyby chciał przedłużyć jeszcze o kilka minut udrękę niepewności, jak zapalony gracz, który zwleka z obejrzeniem kart, drżąc jednocześnie z ciekawości i obawy...

Spojrząwszy na zegarek, postanowił nie odpieczętować listu, dopóki wskazówka nie stanie na godzinie wpół do dziesiątej: brakowało jeszcze siedmiu minut.

Powodowany zabobnym dziwactwem, pomyślał: Mam wielką ochotę otworzyć ten list, jeśli jednak wstrzymam się aż do wpół do dziesiątej, zawarte w nim wiadomości będą pomyślne.

Przeszedł się po stancji, wreszcie zatrzymał się przed dwoma starymi, pożółkłymi miedziorytami zawieszonymi na zardzewiałych kółkach, w na wpół spróchniałych ramach.

Jednym z tych artystycznych przedmiotów, jedynym ozdobnym sprzętem, którym Rodin przyozdobił swe mieszkanie, był niezgrabnie narysowany obrazek, pomalowany na czerwono, żółto, niebiesko i zielono, jakie zwykle sprzedają na jarmarkach; włoski podpis dowodził, że rysunek pochodził z Rzymu.

Wyobrażona była na nim kobieta, okryta łachmanami, z sakwami na plecach, trzymająca na kolanach dziecko; była to odrażająca wróżka, trzymająca rączkę małego dziecka, z której zdawała się czytać jego przyszłość, gdyż od ust jej ciągnął się dużymi głoskami napis: Sara Papa (będzie papieżem).

Drugi przedmiot sztuki zdawał się budzić w Rodinie ambitne myśli; była to wyborna, czarna rycina, której wykończenie, rysunek śmiały zarazem i poprawny, stanowił osobliwą sprzeczność z niezdarnym kolorytem pierwszego rysunku.

Ta rzadka rycina, za którą Rodin dał sześć luidorów (niesłychany zbytek), przedstawiała chłopca, okrytego gałganami. Brzydotę jego twarzy nagradzało wydatne znamię rozumu; siedział na kamieniu, wspierając łokciami brodę, a wokół niego pasło się stado świń.

Myśląca postawa tego młodzieńca, odzianego jak żebrak, przebiegłość malująca się na jego twarzy, zdawały się zapowiadać nieugiętą przedsiębiorczość, połączoną z wyższymi zdolnościami i zręcznością.

Godła władzy papieskiej otaczały medalion, na którym widać było głowę starca; wydatne rysy tej twarzy, mimo podeszłego wieku, przypominały aż do złudzenia obraz młodego pastuszka.

Portret ten nosił napis: Młodość Syxtusa V; obrazek zaś – Przepowiednia.

Rodin, przypatrując się tym obrazom, jak gdyby szukał w nich natchnienia i chciał wyczytać swoje przyszłe nadzieje, stał jakby przykuty do muru.

W takiej postawie stał niewzruszony przez kilka minut.

\* \* \*

Powiedzieliśmy już, że Rodin rzadko odwiedzał to mieszkanie. Według ustaw swego zakonu mieszkał dotąd razem z księdzem d' Aigrigny, nad którym powierzono mu nadzór; żaden bowiem członek zgromadzenia, a zwłaszcza członkowie niższego stopnia, na jakim Rodin pozostawał do tej chwili, nie mógł zamykać się w swoim mieszkaniu, nawet nie wolno mu było mieć sprzętu zamykanego na klucz; takim sposobem nic im nie przeszkadzało szpiegować się wzajemnie i bezustannie.

Rodin najął to mieszkanie z powodów osobistych, bez wiedzy swego zgromadzenia.

Z tej kryjówki korespondował wprost z członkami najwyższego kolegium rzymskiego.



Gdy pisał do Rzymu, że ksiądz d'Aigrigny, odebrawszy rozkaz wyjazdu z Francji bez wiedzienia swej konającej matki, wahał się, czy ma wyjechać (czytelnik przypomina sobie), dodał w post scriptum:

„Proszę oświadczyć księciu kardynałowi, że może polegać na mnie, ale też nawzajem wypada, aby mnie czynnie wspierał”.

Ten poufaly sposób kontaktowania się z najpotężniejszym dygnitarzem zakonu dowodził, że mimo swej pozornie niskiej pozycji, Rodin uważany był za ważną osobistość przez wielu kardynałów, którzy pisywali do niego do Paryża pod zmyślonym nazwiskiem, cyframi, ostrożnie podpisując swe listy.

Po chwilowej zadumie i przypatrywaniu się portretowi Syxtusa V, wolnym krokiem wrócił do stołu z owym listem.

A ponieważ brakowało jeszcze paru minut, żeby wskazówki zegarka wskazały wpół do dziesiątej, aby nie tracić czasu, wziął się do spożycia swego skromnego śniadania.

Gdy nadeszła oznaczona godzina, drżącą ręką odpieczętował list.

W kopercie znalazł dwa listy.

Przeżytał jeden i jak można było wnosić, treść jego nie odpowiedziała oczekiwaniom Rodina; ruszył ramionami, uderzył niecierpliwie trzonkiem noża w stół, z pogardą odsunął list i zaczął czytać drugi, trzymając w jednej ręce chleb, a drugą maczając rzodkiew w soli, rozsypanej na stole.

Im dalej czytał, tym większe zdziwienie malowało się na jego twarzy.

Zerwawszy się z taboretu, pobiegł do okna, jak gdyby przed powtórным przeczytaniem chciał się przekonać, czy się nie pomylił.

Z nadmiaru niespodziewanej radości stał jakiś czas osłupiały.

Dzięki cudom przebiegłości, obrotności i obłudy, dzięki mieszaninie podziwu, bojaźni i ufności, które jego geniusz umiał wzbudzić w wielu osobach, mających wielki wpływ, na koniec dzięki obietnicom przekupstwa, Rodin dowiedział się z urzędu papieskiego, że według wszelkiego prawdopodobieństwa będzie mógł starać się o władzę, która częstokroć wzbudzała obawę, nienawiść lub zazdrość wielu panujących, a którą czasem piastowali wielcy, zacni ludzie, czasem też ludzie występni lub pochodzący z najniższych warstw.

Lecz, żeby pewniej stanąć u celu swych marzeń, musiał koniecznie dopiąć swego, czego zobowiązał się dokonać bez użycia gwałtu, tylko za pomocą zręcznie kierowanych popędów namiętności, czyli:

Zapewnić zgromadzeniu jezuitów posiadanie majątku rodziny Rennepont'ów .

Posiadanie, które miało dla niego podwójną, a niezmierną wagę: bowiem Rodin, snując swoje plany, zamyślał ze swego zgromadzenia (którego przełożony był mu zupełnie oddany) zrobić sobie główny szczebel do wyniesienia się i otrzymać silne poparcie.

Gdy ocknął się z pierwszego wrażenia, zerwał się nagle, wziął do ręki list, który sprawił mu taką radość i poszedł pochwalić się nim przed obrazem młodego pastuszka, późniejszego papieża; potem, dumnie, triumfalnie potrząsając głową, wytrzeszczywszy na portret swój jaszczurczy wzrok i przyłożywszy brudne palce do godeł papieskich, dodał:

– A co... bratku?... I ja także... może...

Tak wygórowana i po części już usprawiedliwiona wypadkami ambicja, zamknięta w tak lichym, nędznym stworzeniu, przedstawiała niesłychanie wielką, a nade wszystko przerażającą sprzeczność.

Ksiądz d'Aigrigny, człowiek, choć nie nadzwyczajny, lecz przynajmniej mający niepospolite zdolności, dumny, z urodzenia już należący do najlepszego towarzystwa, nigdy nie ośmielił się nawet pomyśleć o tym, do czego dobijał się Rodin; jedynym marzeniem księdza d'Aigrigny, które i tak jednak uważał za nierealne, było pozyskanie godności generała zgromadzenia, ogarniającego cały świat.

Łatwo zaś wytłumaczyć różnicę szczytnych ambicji tych dwóch ludzi. Gdy mężczyzna wysokich zdolności umysłowych, zdrowej natury, uporczywie zachowuje się w granicach czystości i skromności, jak to właśnie czynił Rodin; gdy wyrzeknie się dobrowolnie wszelkiego dogadzania sercu lub zmysłom, wówczas człowiek taki ma zwykle jakąś potworną żądzę, piekielne bożyszcze, które domaga się od niego, za obiecaną straszną potęgę, aby zniweczył wszelkie uczucia serca, aby zatarł nawet instynkt, którym stwórca, w swej niedocieczonej mądrości, w swej niewyczerpanej dobroci tak hojnie obdarzył stworzenie.

Zajęty otrzymanymi wieściami, Rodin nie spostrzegł, że firanki w oknie trzeciego piętra budynku przyległego do tego, w którym się znajdował, lekko rozsunęły się i pokazała się za nimi figlarna twarzyczka Róży Pompon oraz Nini Moulin.

Dowodziło to, że Rodin, mimo zasłony z dwóch zatabaczonych chusteczek, nie zabezpieczył się dostatecznie przed ciekawym wzrokiem dwojga koryfeuszów „burzliwego tulipana”.

## ROZDZIAŁ III

### NIESPODZIEWANE ODWIEDZINY

Jakkolwiek Rodin mocno się ucieszył z wiadomości zawartych w liście z Rzymu, nie chciał jednak okazać tego w swej odpowiedzi. Skończywszy skromne śniadanie, napisał następującą notę:

„To, o czym mi donoszą, bynajmniej mnie nie dziwi.

Wahanie się i trwożliwość zawsze wywołują takie skutki. Dobrze. W Romanii tępią patriotów. I to dobrze. Nasze oddziały przestały tępić liberałów. To mi się nie podoba. Należy działać ciągle i bez wytchnienia...”

W chwili, kiedy kończył pisać ostatnie wyrazy, uwagę jego przerwał nagle świeży, dźwięczny głos Róży Pompon, która, znając na pamięć Berangera, w którym wyrażała się prawdziwie chrześcijańska tolerancja i życzliwość. Łagodność tych myśli tak była sprzeczna z zimnym, okrucieństwem objawionym w słowach napisanych przez Rodina, iż ten podskoczył i przygryzł wargi ze złości.

Nie śmiać wyjrzeć oknem, aby przekonać się, co to za natrętna śpiewaczka, wzruszył ramionami, wziął znowu pióro i pisał dalej:

„O! co trzeba zrobić; Należałoby podburzyć wszystkich niechętnych, rozdrażnić filozofów, rozdmuchać liberalizm – podburzyć przeciwko Rzymowi wszystko, co lubi krzyczeć. W tym celu trzeba by ogłosić światu, że nikczemnie i głupio jest pozwalać narodom korzystać ze swobody wyznania.

Skoro ogłoszone zostaną te hasła, wybuchnie burza. Powszechne powstanie przeciwko Rzymowi – rozdwojenie w Rzymie – Święte Kolegium rozdzieli się na trzy partie: jedna chwali, druga gani, trzecia drży – wszystko to dobrze, ba! bardzo dobrze. – Człowiek słaby złąknie się, będzie abdykował, a wtedy – rozumiesz?

Zamiast powierzyć generałowi dowództwo naszego zakonu, najlepszej podpory papieskiego tronu, ja sam dowodzić nim będę. – Wtedy już będę spokojny o to wojsko. – Przykłady: Janczarowie i gwardie pretoriańskie zawsze były niebezpieczne dla władzy. – Dlaczego? – Bo byli obrońcami władzy, a od niej niezależni... dlatego byli straszni. Klemens XIV? – Pognać, zhańbić, osłabić nasze zgromadzenie: błąd nedorzeczny. – Bronić go, uniewinnić, ogłosić się jego generałem – oto co mu wypadało uczynić. Wtedy zgromadzenie, zależne od jego władzy, pozwoliłoby na wszystko; – wtedy my bylibyśmy ulegli papieżowi... i nie miałby powodu lękać się... naszych usług! Klemens XIV umarł na kolki: nauka dla innych. – Ze mną tego nie będzie”.

Znowu dał się słyszeć dźwięczny głos panny Róży, która śpiewała inną piosenkę Berangera.

Nie znając jej, Rodin podniósł się z taboretu, wyciągnął szyję, wytrzeszczył oczy i słuchał, jak Róża Pompon, przelatując jak pszczołka, z kwiatka na kwiatek, zaczęła śpiewać inną zwrotkę, aż wreszcie umilkła.

Rodin usiadł i pisał dalej:

„Nigdy nie wierzyłem mocniej, jak w tej chwili, że wszystko się uda. Wczoraj przyszła mi nowa myśl. Należy działać zgodnie, wspólnymi siłami. – Ufundowałem im dziennik ultrakatolicki: Miłość Bliźniego.

Z jego fanatycznej zajadłości będą sądzić, że jest organem Rzymu. – Starać się będę, aby utwierdzić w tym mniemaniu. Nienawiść wybuchnie z nową siłą.

Jest to po mojej myśli.

Wznowię kwestię o wolności nauczania, tutejsi liberałowie będą mnie wspierać. – Głupcy, przypuszczają nas do prawa powszechnego, kiedy tymczasem nasze przywileje, nasze swo-

body, nasz wpływ, nasze posłuszeństwo dla Rzymu czyni nas niepodległymi ogólnemu prawu. – Głupcy, głupcy! Sądzą, że jesteśmy rozbrojeni, kiedy sami nie mają oręża przeciwko nam.

Drażliwa kwestia; nowe krzyki; nowy niesmak dla słabego człowieka. – Kropla do kropli utworzą potok. To dobrze.

Krótko mówiąc: – koniec, abdykacja.

Środki: Tortury moralne. – Spadek Rennepont'ów opłaci elekcję. – Chcesz – wierz, chcesz – nie wierz”.

Przestał nagle pisać, sądząc, że słyszy pukanie do drzwi; nadstawił więc ucha; wszystko ucichło, uznał, że mu się tylko zdawało i pisał dalej:

„Sprawę Rennepont'ów biorę na siebie – przedmiot, od którego zależą wszystkie doczesne kombinacje; trzeba je znowu rozpocząć: jako pośrednie dzieło postawić grę interesów – sprężynę namiętności, zamiast głupich, gwałtownych środków, jakich używał ksiądz d'Aigrigny; – takim sposobem omal wszystkiego nie zepsuł. – Ale on ma znajomość wyższego świata. W swojej sferze będzie pożyteczny.

Wiadomości fałszywe. – Przeszło 200 milionów; być może będzie pewne, co było wątpliwe, niezmiernie jest pole do działania. – Interes Rennepont'ów jest teraz podwójnie moim! – Żądałem władzy nieograniczonej; czas nagli, działałem tak, jakbym ją miał w ręku. Działajcie i wy! – Jest to rzecz bardzo ważna. Jutro znowu napiszę. Przesyłam tę notę jak zwykle, przez małego kupca”.

W chwili, kiedy Rodin wkładał list w podwójną kopertę i pieczętował, znowu zdało mu się, że słyszy pukanie do drzwi.

Zerwał się; pierwszy raz – prawie od roku, jak zajął to mieszkanie – pukano do jego drzwi. Schowawszy spiesznie do kieszeni surduta napisany list, pobiegł do starego kufereka pod łóżkiem, utworzył go, wyjął plik papierów, zawiniętych w podartą chustkę, włożył do niej dwa ostatnio otrzymane listy i starannie zamknął kuferek na kłódkę.

Pukanie nie ustawało.

Rodin wziął w rękę koszyk przekupki, wsunął pod pachę parasol i zaniepokojony poszedł sprawdzić, co to za gość natrętny.

Otworzył drzwi i zobaczył Różę Pompon, natrętną śpiewaczkę, która uprzejmie powitała go, zapytała:

– Czy pan Rodin?

## ROZDZIAŁ IV

### PRZYJACIELSKA PRZYSŁUGA

Mimo że Rodin tak niespodziewanie został zaskoczony, nie rozgniewał się jednak ani nie zmieszał.

– O kogo pytasz, panienko?

– O pana Rodina – śmiało odpowiedziała Róża, wytrzeszczając niebieskie oczy.

– To nie tu – odparł i postąpił ku schodom. – Nie znam. Trzeba pytać wyżej lub niżej.

– A to mi grzecznie!... Takie żarty w pańskim wieku! – rzekła Róża, wzruszając ramionami. – Jak gdyby nikt nie wiedział, że to pan się nazywa Rodin.

– Charlemagne – odrzekł były socjusz, kłaniając się. – Charlemagne, do pani usług.

– Nie jesteś pan do nich zdolny – odpowiedziała filuternie Róża. – Więc mamy coś do ukrywania?... Kiedy zmieniamy nazwisko...

– Moja panienko – rzeki Rodin po ojcowsku, uśmiechając się – trafiłaś jak kulą w płot... Pozwól mi odejść, gdyż mi się śpieszy...

– Panie Rodin! – rzekła Róża uroczyście. – Mam panu bardzo ważne rzeczy do powiedzenia, chcę zasięgnąć pańskiej rady w sprawie... serca...

– Więc nie masz się komu naprzykrzać, kiedy aż tu przychodzisz?

– Wszak ja tu mieszkam, panie Rodin!

– Nie wiedziałem o tak pięknym sąsiedztwie.

– Od sześciu miesięcy, panie Rodin.

– Więc to pani tak pięknie śpiewała?

– Ja, panie.

– Sprawiałaś mi wielką przyjemność.

– Zbytek grzeczności.

– I mieszka pani przy rodzinie?

– Zdaje mi się, panie Rodin... – odrzekła Róża ze skromną minką – mieszkam z dziadkiem Filemonem i babusią Bachantką.

Rodin, nieco zaniepokojony, usłyszawszy imię Bachantki, poczuł się wynagrodzony za nieprzyjemne spotkanie z Różą Pompon i odkrycie jego prawdziwego nazwiska; w istocie bardzo zależało mu, aby dowiedzieć się o miejscu zamieszkania Cefizy, siostry Garbuski, bo tę ostatnią zaczęto uważać za niebezpieczną od czasu, kiedy brała udział w zamiarze ułatwienia ucieczki pannie de Cardoville.

Ruchem rąk okazawszy zarówno zdziwienie jak ciekawość, zapytał:

– Moja złota panienko, proszę cię, nie żartuj, powiedz prawdę... Czyżby to miała być, przypadkiem, młoda osoba, siostra ułomnej dziewczyny?...

– Tak, panie, królowa Bachantek brzmi jej przezwisko; prawdziwe jej nazwisko to Cefiza Soliveau; to moja przyjaciółka.

– I pani ją lubi?

– Kocham jak siostrę... Biedna dziewczyna! Robię dla niej co mogę, ale to niewiele... Lecz, jak to, szanowny panie? W pańskim wieku znasz Bachantkę?...

– Moja pani, nie mam ochoty do żartów – przerwał jej Rodin ze smutkiem, tak że Róża prawie wyrzucając sobie swoją frywolność zapytała:

– Ale przecież, skąd pan zna Cefizę?

– Niestety! Moja panienko, nie znam jej... Ale znam dobrego chłopaka, który się w niej szalenie kocha!

– Jakuba Rennepont?... – Przewanego Leżynago... W tej chwili siedzi w więzieniu za długimi... – odparł Rodin z westchnieniem. – Widziałem go wczoraj.

– Jakże się ma? – zapytała Róża Pompon z wielkim przejęciem. – Kiedy tak, chodźmy natychmiast powiedzieć Cefizie o jej lubym...

– Moja panienko, chciałbym dać jej same dobre wieści o tym chłopaku, którego sam kocham, mimo jego wad. A któż jest od nich wolny... któż nie błądzi? Powiem więcej – dodał – lubię go za jego głupstwa: bo niech ludzie mówią, co chcą, tacy, co to wspaniałomyślnie rozrzucają pieniądze dla innych, zawsze mają dobre serce.

– Jak widzę, jest pan dobrym człowiekiem. Ale dlaczego nie chce pan odwiedzić Cefizy i powiedzieć jej cośkolwiek o Jakubie?...

– Po co mówić jej to, co ona i tak wie? Chciałbym wydzwignąć tego chłopca z jego nieszczęśliwego położenia...

– Ach, panie, zrób to, a ja i Cefiza ucałujemy cię serdecznie.

– Szkoda byłoby waszego trudu, moja panienko. Ja nie potrzebuję nagrody, gdy mogę komu coś dobrego zrobić.

– A więc ma pan nadzieję, że będziesz mógł wydostać Jakuba z więzienia?

Rodin kiwnął głową.

– Spodziewałem się... Lecz teraz... wszystko się zmieniło...

– A to dlaczego? – zapytała zdziwiona dziewczyna.

– Ten pusty żart, na jaki sobie pozwalasz, nazywając mnie panem Rodinem, musi ci się wydawać bardzo zabawny; rozumiem, że pani jesteś tylko czymś echem... Ktoś powiedział pani: Idź, powiedz panu Charlemagne, że się nazywa Rodin... Będzie to zabawne... I osoba, która wymyśliła taki niedorzeczny żart, nie wiedziała zapewne o tym, że tym sposobem zaszkodziła Jakubowi Rennepont...

– Ach, Boże!... Ale przecież, jaki związek może mieć ten żart z przysługą, którą chciałeś wyświadczyć Jakubowi?

– Nie wolno mi tego powiedzieć... Pozwól mi już odejść.

– Panie... – rzekła zakłopotana dziewczyna – gdybym panu powiedziała nazwisko osoby, która mnie namówiła, aby nazwać pana Rodinem...

– Nie staram się odgadywać niczych sekretów... miła panienko... Mimo, że Jakub Rennepont bardzo mnie interesuje, nie chciałbym, przyznasz to pani, robić sobie nieprzyjaciół, ja, biedny człowiek... Boże, uchwaj...

Róża Pompon zupełnie nie rozumiała powodów jego obaw.

– Posłuchaj mnie pan, to dla mnie za mądre; wiem tylko to, że bardzo by mnie zmartwiło, gdybym niewczesnym żartem miała zaszkodzić biednemu chłopcu; otwarcie więc powiem panu...

– Otwartość wyświeśla czasami najzawilsze rzeczy.

– A jeśli będzie źle – myślała głośno Róża – tym gorzej dla Nini-Moulin, sam sobie winien. Po co każe mi robić głupstwa, które mogą szkodzić kochankowi Cefizy? Otóż, panie: Nini-Moulin, wielki figlarz, spostrzegł pana przed chwilą na ulicy; dozorczyńni powiedziała, że pan się nazywa Charlemagne. On zaś powiedział do mnie: Nieprawda, on się nazywa Rodin; trzeba mu spłatać figła: idź do jego mieszkania, zapukaj i nazwij go panem Rodinem. Zobacysz, jak go to zdziwi.

Po usłyszeniu imienia Nini-Moulina, Rodin nie potrafił ukryć: zdziwienia. Nie miał powodu obawiać się tego paszkwilanta, któremu dopiero co kazał powierzyć redakcję dziennika Miłość Bliźniego; lecz Nini-Moulin, jako wielki gaduła, mógł go nabawić kłopotów.

– Tak więc, miła panienko, to pan Desmoulins namówił panią do tego niedorzecznego żartu.

– Nie Desmoulines... ale Dumoulin – odparła Róża. – On pisze artykuły do dzienników jezuickich i broni bigotów za pieniądze, które mu płacą, gdy rzeczywistymi jego patronami są muzyka i butelka, jak to zresztą sam mówi.

– To będzie ten sam... pan Dumoulin... Och!... Teraz mnie pani zupełnie uspokoiłaś: Już mnie nie obchodzi jego żart, to dobry człowiek ten pan Dumoulin, może trochę nadmiernie hołdujący rozkoszom.

– A więc postara się pan pomóc biednemu Jakubowi?

– Mam nadzieję... Może mi się uda..

– Ale nie muszę mówić Nini-Moulinowi, iż pan wie, że to on namówił mnie, abym nazwała pana Rodinem... nieprawda, panie?

– A czemuż by nie?

– Ależ, panie, Nini-Moulin jak najmocniej zalecił mi, abym panu nie wymieniała jego nazwiska...

– Moja panno, to dotyczy ciebie, a nie mnie... Postąpisz, jak będziesz uważała za stosowne.

– A Cefizie mogę powiedzieć o pańskich zamiarach względem Jakuba?

– Szczerść, droga pani, zawsze szczerść...

– Biedna Cefiza, jakże się ucieszy!

– Nie trzeba, aby sobie czyniła zbyt wiele nadziei; powiadam tylko, że postaram się... Zdaje mi się, że od chwili uwięzienia Jakuba ona znajduje się w przykrym położeniu...

– Niestety, panie, w bardzo przykrym.

– Kiedy tak, postaram się dla niej o małe wsparcie, które pani przyjaciółka dziś jeszcze otrzyma, aby mogła żyć uczciwie...

– Ach, dobry panie... Można powiedzieć, że jesteś jej aniołem opiekuńczym... Nie wiem, czy się pan nazywa Rodin czy Charlemagne, ale wiem, iż jesteś najzaczniejszym człowiekiem...

– Dajmy temu pokój, nie przesadzajmy! – przerwał skromnie Rodin – powiedz po prostu: dobry, uczciwy staruszek... i nic więcej. Wierz mi, pani, że całym szczęściem starych jest – patrzeć na radość młodych...

Słowa te wymówił tonem takiej dobroci, iż dziewczynie łzy stanęły w oczach.

– Zechciej mnie posłuchać, dobry panie. Cefiza i ja jesteśmy biedne dziewczęta; są cnotliwsze od nas, to prawda! Ale śmiem twierdzić, że mamy dobre serca; dlatego, jeśli pan – co nie daj, Boże! – Kiedyś zachorował, zawołaj nas; nie ma sióstr miłosierdzia, które by lepiej od nas usłużyły... nie mówiąc o Filemonie, którego doprowadzę do tego, że dałby się na sztuki porąbać dla pana: rękę za to honorem; Cefiza, tak jak ja za Filemona, zaręczy za Jakuba, że wszystko gotów będzie poświęcić dla pana.

– Widzisz więc, kochana panienko, że dobrze powiedziałem: trzpiotowata główka, lecz dobre serce... Bądź zdrowa, do widzenia.

– Daj mi pan ten koszyk, żeby łatwiej było panu zejść – rzekła dziewczyna, biorąc koszyk, mimo że Rodin się wzbraniał; po czym dodała: – Podaj mi pan rękę; schody są ciemne... mógłby pan upaść.

– Przyjmuję pani pomoc, bo jakoś nie czuję się zbyt rześki. I oparłszy się na ramieniu Róży Pompon, Rodin zszedł po schodach na podwórko.

– Spójrz pan tam wysoko, na trzecim piętrze, na tę wielką twarz, wlepioną w szybę! – rzekła z cicha Róża Pompon, zatrzymując się na środku podwórka. – To Nini-Moulin... Czy pan go poznaje?...

– Ten sam – rzekł Rodin, podniósłszy głowę i uprzejmie witając ręką Jakuba Dumoulin, który, zdumiony, szybko odsunął się od okna.

– Biedny chłopiec!... Jestem pewny, że się mnie boi... z powodu niedorzecznego żartu – rzekł Rodin z uśmiechem – a niepotrzebnie...

I wymówiwszy wyraz niepotrzebnie, przygryzł złośliwie usta.

– Ha! Teraz, kochane dziecko – rzekł, gdy weszli na korytarz – obejdę się już bez twojej pomocy. Wracaj szybko do swej przyjaciółki.

Róża pobiegła na schody.

Rodin wyszedł z korytarza.

– Oto koszyk, droga pani – rzekł, stanąwszy na progu sklepiku matki Arseni. – Najuprzejmiej dziękuję za jej dobroć.

– Nie ma za co, zacny panie. Czy prędko znów pana zobaczę?

– Spodziewam się... Ale czy nie mogłaby mi pani wskazać najbliższego kantoru pocztowego?

– Pójdzie pan ulicą w lewo, w trzecim domu, w handlu korzennym.

– Bardzo dziękuję.

– Założyłabym się, że to słodki bilecik do jakiej przyjaciółki.

– Ech! Co też pani przychodzi do głowy! – odrzekł Rodin z uśmiechem. – Uniżony z całego serca sługa pani...

I poszedł ulicą.



## ROZDZIAŁ V

### PRZESTROGA

Adrianna de Cardoville jeszcze ściślej została zamknięta w domu doktora Baleinier, od czasu, jak Agrykola z Dagobertem nachodząc w nocy ten dom i klasztor chcieli ją uwolnić; wówczas żołnierz, dość ciężko ranny, tylko dzięki poświęceniu syna i odwadze Ponurego zdołał wydostać się małą furtką ogrodową i uciec przyległymi bulwarami.

Była godzina czwarta po południu. Adrianna od dwóch dni była przeniesiona do izby na drugim piętrze.

Od czasu widzenia się z Garbuską dziewczyna spodziewała się z dnia na dzień, że dzięki staraniom swych przyjaciół zostanie uwolniona; lecz była bardzo niespokojna i martwiła się o Agrykolę i Dagoberta, nie wiedząc, jak zakończyła się ich wyprawa.

Te nowe zdarzenia jeszcze bardziej jątrzyły gniew panny de Cardoville na księżnę Saint-Dizier, księdza d'Aigrigny i ich współników.

Lekka bladeść na pięknej twarzy panny de Cardoville, jej żywe, a teraz nieco zmęczone oczy, świadczyły o nowych zmartwieniach; siedząc przed małym stolikiem i oparłszy czoło na dłoni, czytała książkę.

Nagle drzwi się otworzyły i wszedł doktor Baleinier. Doktor, jezuita, uległy i zawsze gotowy na wszystko narzędzie zgromadzenia, posiadał tylko połowę tajemnic księdza d'Aigrigny i księżny Saint-Dizier. Nie znał celu zatrzymania panny de Cardoville; wczoraj odebrał rozkaz od księdza d'Aigrigny (już wtedy podległego Rodinowi), aby jeszcze ściślej strzegł panny de Cardoville, aby podwoił surowość wobec niej.

Na jego widok panna de Cardoville nie mogła ukryć odrazy i pogardy.

Doktor, przeciwnie, zawsze uśmiechnięty, słodziutki, spokojnie przystąpił do Adrianny, zatrzymał się przed nią o kilka kroków, potem, jak gdyby zadowolony z poczynionych sposobów, odezwał się:

– Przecież nieszczęsne zdarzenia przedostatniej nocy wywarły mniej szkodliwy wpływ aniżeli się obawiałem. Jak widzę, masz się pani lepiej, cera prawie normalna... oczy jeszcze cokolwiek za żywe, ale już nie widać w nich niezwykłego blasku. Już byłaś pani na tak dobrej drodze!... Gdy nieszczęsne wypadki przeszłej nocy wprawiły panią w tym zgubniejszą egzaltację, że się ich nie spodziewałaś. Lecz dzięki naszym staraniom, pani wyzdrowienie nie opóźni się zbyt.

Panna de Cardoville nie mogła powstrzymać się od pogardliwej odpowiedzi:

– Jakże bezczelna jest ta pańska pocziwość! Jak podła gorliwość w zarabianiu pieniędzy!... Zawsze szalbierstwo, kłamstwo w pańskich ustach! Rzeczywiście, jeśli ta haniebna komedia trzusi pana do tego stopnia, w jakim mnie napelnia obrzydzeniem, przyznać trzeba, że nie dosyć jesteś za nią wynagrodzony.

– Niestety! – odparł doktor z politowaniem – zawsze ta sama nieszczęsna wyobraźnia, to samo uprzedzenie, że nie potrzebujesz naszej pomocy!... Ze ja gram komedię... Lecz prócz tej małej oznaki opornej chorobliwości, stan pani umysłu znacznie się polepszył; szybko zbliżasz się do zupełnego wyzdrowienia. Później pani dobre serce odda mi sprawiedliwość.

– Mam nadzieję, mój panie; tak, zbliża się chwila, w której zostaniesz osądzony, jak na to zasługujesz – rzekła Adrianna.

– Zawsze to samo marzenie – odparł doktor z pewnym politowaniem. Ale przecież bądź pani rozsądna... Pozbądź się tak dziecinnych myśli...

– Wyrzec się żądania zadośćuczynienia dla siebie, a kary dla ciebie, mój panie... Och! Nigdy... przenigdy!

– Pomówmy serio: Czy pani rzeczywiście ma zamiar udać się do sądu? – zapytał doktor z powagą.

– Bez wątpienia... Pan wie, że jak coś postanowię, to się nie cofam.

– A więc proszę panią, zaklinam, abys zaniechała tego zamiaru! – rzekł doktor tonem urazy. – A proszę panią o to dla jej własnego dobra...

– Zdaje mi się, że zanadto pan miesza swój interes z moim...

– Jak to! – zawołał doktor z udaną niecierpliwością. – Jak to?... Miałabyś tyle okrucieństwa, aby pogrzyżyć w rozpacz dwie osoby pełne dobroci i szlachetności?...

– Tylko dwie?... Żart byłby pełniejszy, gdybyś policzył trzy: siebie, moją stryjenkę i księdza d'Aigrigny...

– Co za przypuszczenie?... Nie idzie tu wcale o mnie ani o księżnę Saint-Dizier i księdza d'Aigrigny.

– O kogóż więc chodzi, mój panie?

– Idzie tu o tych dwóch biedaków, którzy, bez wątpienia wysłani przez ludzi, których pani nazywasz swymi przyjaciółmi, zakradli się przedwczorajszej nocy do przyległego klasztoru, z klasztoru zaś dostali się do mego ogrodu. Jeden z nich został ranny, ale niezbyt groźnie, tak przynajmniej wygląda, gdyż zbiegł przed ścigającymi go ludźmi.

– Chwała ci, Panie Boże!

– Nic chwalebniejszego niż radość, jaką pani okazuje; lecz dlaczego chcesz popełnić tak dziwną sprzeczność i narazić ich na ściganie sprawiedliwości?...

– O czym pan mówi?

– Bo jeśli zostaną zatrzymani, ponieważ stali się winnymi przejścia w nocy przez mur i gwałtownego włamania, czekać ich będą galery.

– O, nieba!... I to z mego powodu!

– A co gorsza, zostaliby wskazani przez panią.

– Dlaczego przeze mnie?

– Tak, niezawodnie, jeśli wytrwasz w zamiarze mszczenia się na swej stryjence i księdzu d'Aigrigny.

– Tłumacz się jaśniej!

– Co też za dziecko z pani – zawołał jezuita pewnym tonem. – Czy sądzi pani, że kiedy sprawiedliwość zajmie się jakąś sprawą, można będzie wstrzymać jej bieg, gdzie i jak się podobą? Po wyjściu stąd wniesiesz skargę do sądu na mnie i na swoją rodzinę, prawda?... Dobrze!... I co stąd wyniknie? Ten nocny napad, który dla uniknięcia zgorszenia przełożona klasztoru miała pokryć milczeniem, ten napad, mówię, którego ja także nie chciałem rozgłaszać, rozgłosić się musi; a ponieważ idzie tu o wielkie przestępstwo, o hańbiącą karę, sprawiedliwość będzie ścigać nieszczęśliwych; prędzej czy później zostaną wykryci i aresztowani.

– Ależ to byłoby okrutne!... To niemożliwe...

– Przeciwnie, całkiem możliwe – odrzekł Baleinier – i kiedy przełożona i ja staramy się przytłumić wieści o tej sprawie... pani... dla której ci nieszczęśnicy narazili się na niebezpieczeństwo galer, chce ich wydać w ręce sprawiedliwości.

W istocie Rodin, którego instrukcji, nic o tym nie wiedząc, trzymał się doktor, był zanadto przebiegły, aby pozostawić Adriannie wybór, mówiąc: Jeśli odezwiesz się w sądach z jakąś skargą, my wniesiemy oskarżenie na Dagoberta i jego syna. To samo można było osiągnąć, wpajając pannie de Cardoville przekonanie, iż wytoczenie sprawy będzie niebezpieczne przede wszystkim dla jej wybawców i w ten sposób odwieść ją od zamiaru wniesienia skargi.

A jednak myśląc o tym, co wycierpiała w tym domu, policzywszy słuszne urazy, okrutne wydało się Adriannie wyrzec się przykrej rozkoszy wykrycia i pomieszenia tyłu niegodziwych intryg.

– Wreszcie, panie Baleinier – rzekła Adrianna, nie mogąc ukryć niepokoju – przypuśćmy, że dla jakichś powodów skłonię się do zaniechania wszelkich skarg, że zechcę zapomnieć o wyrządzonych mi krzywdach, kiedy jednak stąd wyjdę?

– Nic o tym nie wiem, gdyż nie mogę wiedzieć, kiedy będzie pani zupełnie wyleczona – odparł łagodnie doktor. – Obecnie jest pani na najlepszej drodze... ale...

– Ciągłe ta sama beczelna, głupia komedia – przerwała z gniewem Adrianna. – Proszę chociaż powiedzieć, jak długo jeszcze mam być trzymana w tym obmierzłym domu?... Bo przecież... spodziewam się, że kiedyś stąd wyjdę?

– O, tak i ja mam taką nadzieję! – odrzekł jezuita – ale kiedy, tego nie wiem. Zresztą muszę panią otwarcie przestrzec, że przedsięwzięto wszelkie środki ostrożności, aby zapobiec takim napaściom jak tamtej nocy... Wszystko to dla pani dobra, aby ta nieszczęsna główka znowu nie wpadła w jakiś szal.

– A więc – spytała zaniepokojona Adrianna – w porównaniu z tym, co mnie czeka, minione dni były jakby swobodne?

– Chodzi tu przede wszystkim o pani dobro.

Panna de Cardoville widząc, jak bezsilne są jej gniew i rozpacz, boleśnie westchnęła i zakryła twarz rękami.

W tej chwili rozległy się szybkie kroki w korytarzu; zapukawszy do drzwi, weszła dozorczyńni.

– Panie doktorze! – rzekła z pewnym zaniepokojeniem. – Przyszli jacyś panowie i pragną natychmiast widzieć się z panem doktorem i z tą panią.

Adrianna uniosła głowę; oczy jej były zapłakane.

– Jak nazywają się ci panowie? – zapytał zdziwiony Baleinier.

– Jeden z nich powiedział – wyjaśniała dozorczyńni: – Idź i powiedz doktorowi, że jestem urzędnikiem i że przychodzę dopełnić polecenia sądu w sprawie panny de Cardoville.

– Urzędnik? – zawołał doktor, czerwieniąc się i nie mogąc ukryć niepokoju.

– Dzięki ci, Boże! – zawołała Adrianna, zrywając się z miejsca, a na jej twarzy, mimo łez, zajaśniały radość i nadzieja. – Widocznie moi przyjaciele nareszcie zostali zawiadomieni... Nadeszła godzina sprawiedliwości!

Doktor Baleinier, po pewnym namyśle, zwrócił się do dozorczyńni:

– Poproś tych panów.

Potem z widocznym niepokojem, podchodząc do Adrianny, rzekł z cicha ostrym, niemal groźnym tonem, zupełnie odmiennym od tego, jakim zwykle przemawiał:

– Strzeż się, pani!... Cieszyć się przedwcześnie!...

– Już teraz nie boję się ciebie! – odpowiedziała Adrianna niemal wesoło. – Pan de Montbron, wróciwszy do Paryża, dowiedział się o wszystkim i zapewne to on zjawia się obecnie z urzędnikiem, aby mnie stąd uwolnić.

Potem dodała uszczypliwym tonem:

– Żal mi cię, panie, i twoich współników również.

– Słuchaj, pani! – zawołał Baleinier, coraz bardziej niespokojny. – Powtarzam, strzeż się!... Los, honor tego żołnierza i jego syna zależą od ciebie... Zastanów się dobrze... Chodzi o galery. Powtarzam raz jeszcze, że jeśli poważysz się wnieść skargę, będzie po nich.

Adrianna zawahała się:

– Ależ, panie, jeśli urzędnik będzie mnie pytał, sądzisz, że będę kłamać?

– Odpowiesz mu, co jest prawdą... Powiesz, że przed kilkoma dniami byłeś w takiej egzaltacji, iż osądzono za rzecz słuszną, dla twego własnego dobra, przyprowadzić cię tu, mimo twej woli, ale że dziś stan twój tak dalece polepszył się, iż sama przyznajesz, że środek, który zastosowano wobec ciebie, okazał się wskazany dla twego własnego dobra. Zresztą tak było i jest rzeczywiście.

– O! Nigdy! – zawołała panna de Cardoville z oburzeniem. – Nigdy nie popełnię tak haniebnego kłamstwa.

– Oóż i urzędnik – zawołał Baleinier, usłyszawszy kroki za drzwiami. – Powtarzam, strzeż się!

Drzwi uchyliły się i ku wielkiemu zdziwieniu doktora wszedł Rodin, a z nim mężczyzna w czarnym ubiorze, poważnej fizjonomii i postawy.

Można sobie wyobrazić podwójne zdumienie doktora, gdy ujrzał urzędnika, którego niespodziewane przybycie i groźna postawa już go mocno zaniepokoiły, tym bardziej, gdy go ujrzał w towarzystwie Rodina, najpokorniejszego, najniższego sekretarza księdza d'Aigrigny.

Rodin, jak zwykle, niechlujnie ubrany, zaraz od drzwi, gestem pełnym szacunku a przy tym wyrażającym współczucie, wskazał urzędnikowi pannę de Cardoville. Potem cofnął się kilka kroków, gdy tymczasem urzędnik, nie ukrywając podziwu na widok rzadkiej piękności dziewczyny, przypatrywał jej się ciekawie.

Doktor Baleinier, zdziwiony do najwyższego stopnia i zmieszany, sądząc, że go Rodin zrozumie, mrugnął na niego, chcąc poznać powód niespodziewanego zjawienia się urzędnika.

Drugą przyczyną zmieszania doktora było to, że Rodin zachowywał się, jakby go nie znał i nie rozumiał jego znaków i tylko spoglądał na niego z udanym zdziwieniem.

Na koniec, kiedy zniecierpliwiony doktor podwajał swoje znaki, Rodin postąpił kilka kroków naprzód i zapytał:

– Czego pan chce, panie doktorze?

Na te słowa, które do reszty otumaniały doktora i które przerwały panujące od kilku chwil milczenie, urzędnik odwrócił się. Rodin nie tracąc ani na chwilę zimnej krwi, dodał:

– Od czasu naszego przybycia pan doktor daje mi jakieś znaki... Sądzę, że musi mieć coś bardzo ważnego do przekazania. Ja zaś, nie mając nic do ukrycia, proszę, aby się głośno wytłumaczył i powiedział otwarcie, o co mu chodzi.

Tą odprawą, udzieloną w sposób napastliwy, a przy tym z zimnym spojrzeniem, Rodin wprowadził doktora w taki kłopot, iż niesłychanie zdumiony, osłupiały, stał przez chwilę, nie mogąc słowa wykrztusić.

Urzędnik musiał być także zdziwiony, gdyż spojrzał surowo na doktora.

Panna de Cardoville, spodziewając się, że ujrzy hrabiego Montbron, również mocno zdziwiła się, gdy ujrzała kogo innego.

## ROZDZIAŁ VI

### OSKARŻYCIEL

Doktor Baleinier, zmieszany początkowo niespodziewanym zjawieniem się urzędnika i niepojętym zachowaniem Rodina, odzyskał wkrótce zimną krew i zwracając się do swego współbrata rzekł:

– Chciałem wyrazić panu moje zdziwienie z wizyty, o której nie byłem uprzedzony.

– To pani wytłumaczę powód mego milczenia, prosząc, abyś mi to wybaczyła – odezwał się urzędnik, skłoniwszy się Adriannie. – Złożono mi w sprawie pani ważne zeznanie... i wszystko zdaje się wskazywać o jego słuszności.

– Czy mogę wiedzieć – wtrącił doktor – z kim mam zaszczyt?

– Jestem sędzią śledczym, panie doktorze. Nazywam się Garnande.

– Racz pan uczynić mi zaszczyt udzielenia bliższych wyjaśnień – rzekł doktor.

– Cięży na panu zarzut dopuszczenia się czynu... bardzo zdroźnego, jeżeli mam panu oszczędzić przykrej nazwy... – odrzekł sędzia. – Co do rodzaju tego czynu wolę mniemać, że mógł pan raczej pomylić się w diagnozie.

– Gdy zechce pan mnie wysłuchać – odparł jezuita – nietrudno mi będzie dowieść, że na moim naukowym sumieniu jak również na sumieniu człowieka nie ciąży żaden zarzut.

– Proszę mi powiedzieć – Garnande zwrócił się do Adrianny – czy prawdą jest, że pani została podstępnie sprowadzona do tego domu?

Nie uczucie popolitej zemsty, ale słuszne oburzenie na haniebną obłudę powodowało Adrianną.

– Pozwól pan nawzajem postawić sobie pytanie. Czy odpowiedź, jaką mam panu dać, będzie uważana za formalne oskarżenie?

– Przede wszystkim przychodzę tu, aby wykryć prawdę... żadne więc względy nie powinny wstrzymać panią od jej wyjawienia.

– Niech i tak będzie! Lecz czy potem wolno mi będzie zaprzestać dochodzenia wskutek zeznań, jakie złożę przed panem?

– Nie ma wątpliwości, że wolno pani będzie zaniechać wszelkiego dochodzenia, ale sąd ujmie się za panią w imię sprawiedliwości, jeśli ta w osobie pani została obrażona.

– Czy nie pozwolono by mi przebaczyć moim prześladowcom?...

– Pani za swoją osobę będzie mogła przebaczyć, ale mam zaszczyt powtórzyć pani, że sprawiedliwość nie może okazać takiej pobłażliwości... Sposób pani tłumaczenia się, objawienie szlachetnych uczuć, godność w zachowaniu – wszystko to utwierdza mnie w przekonaniu, że powiedziano mi prawdę.

– Panie sędzio! – odezwał się doktor Baleinier, odzyskując zimną krew. – Czy raczy pan przynajmniej zakomunikować mi zeznanie, jakie panu złożono?

– Zapewniono mnie – odparł surowym tonem urzędnik – że panna de Cardoville została tu przyprowadzona podstępnie.

– Nie mogę zaprzeczyć – odparł jezuita po krótkim namyśle – że panna de Cardoville przywieziona została podstępem.

– A więc pan przyznaje?

– Tak, przyznaje, że musiałem się chwycić środka, którego na nieszczęście zwykło się używać, kiedy osoba, potrzebująca naszej pomocy, nie uznaje swego nieszczęśliwego stanu...

– Ależ, panie! – odparł sędzia. – Zapewniono mnie, że panna de Cardoville nigdy nie znajdowała się w stanie wymagającym pańskiej opieki.

– To przedmiot medycyny sądowej.

– Przedmiot ten istotnie będzie sumiennie badany i rozbierany.

– A mogę pana zapytać, w jakim celu – dodał doktor ironicznym tonem i lekko wzruszając ramionami – w jakim interesie miałbym popełnić taką niegodziwość?

– Miał pan tak postąpić w zмовie z rodziną panny de Cardoville, a to z powodu zakusów na jej majątek.

– A któż to, panie sędzio, śmiał wnieść tak potworne doniesienie? – zawołał Baleinier, zapalając się gniewem. – Kto był tak zuchwały, iż poważył się oskarżyć człowieka godnego szacunku, jakoby miał być współnikiem tak haniebnego zbrodni?

– To... ja... – rzekł z zimną krwią Rodin.

– Pan... pan?... – zawołał doktor.

I cofnąwszy się parę kroków, stanął jak rażony piorunem.

– To ja pana oskarżam – powtórzył Rodin krótko i dobitnie.

– Tak jest, ten pan – objaśniał urzędnik, cofając się o krok, by Adrianna mogła zobaczyć swego obrońcę.

Zwróciła na niego spojrzenie, w którym malowały się zarazem ciekawość, zainteresowanie, zdziwienie i wdzięczność.

Trupia twarz Rodina, jego odrażająca szpetność, brudna odzież, przed kilkoma dniami wzbudziłyby może wstępną w Adriannie; lecz obecnie, przypomniawszy sobie, że i Garbuska, uboga, szpetna, prawie gałganami tylko okryta, obdarzona była najszlachetniejszym sercem, panna de Cardoville nie myślała o tym, że jest brudny i brzydki, a widziała tylko, że jest stary, że wygląda ubogo i że przybywa jej na ratunek.

Co do doktora Baleinier, ten mimo swej przebiegłości, mimo bezczelnej obłudy, mimo przytomności umysłu, nie mógł ukryć pomieszania, jakiego nabawiło go wyznanie Rodina.

Rodin, najniższy sługa i powiernik księdza d’Aigrigny, oskarżył współników i sprowadził urzędnika sądowego dla uwolnienia Adrianny...

Rozjątrzony postępkami, który uważał za obmierzłą zdradę, Baleinier zawołał ponownie:

– I to pan... pan jest na tyle bezczelny, iż mnie oskarżasz... Pan... który... przed kilku jeshczymi dniami...

Potem, zastanowiwszy się, że oskarżać Rodina o współudział w występku było tym samym, co oskarżać siebie, udał, że poskramia swe uniesienie, i dalej mówił z żalem:

– Ach, panie, panie... jesteś ostatnim z ludzi, o którym mógłbym pomyśleć, że będziesz zdolny do tak haniebnego denuncjacji... To niegodziwe!...

– A któż bardziej ode mnie mógł donieść o tej niegodziwości? – odparł Rodin ostrym tonem. – Jakież był mój, uczciwego człowieka, obowiązek? Oto ostrzec pana... sędziego...

– Tym więc sposobem, panie sędzio – rzekł Baleinier – nie tylko oskarża mnie ten jego-mość, ale nadto śmie jeshczynie oskarżać...

Oskarżam księdza d’Aigrigny! – podchwycił Rodin, głośno i dobitnie, nie dając doktorowi skończyć. – Oskarżam pana, mości doktorze, że w haniebnym, podłym zamiarze wprowadziliście tutaj pannę de Cardoville i córki marszałka Simona do przyległego klasztoru... Czy to jasne?

Oskarżenie Rodina, dotyczące dwóch sierot, było nowym, strasznym ciosem dla doktora Baleinier. Miał już aż nadto oczywisty dowód, że zdrajca przeszedł do nieprzyjacielskiego obozu. Chcąc jak najprędzej zakończyć tę przykrą scenę, zwrócił się do sędziego, usiłując pomimo gwałtownego uniesienia zachować powściągliwość.

– Panie sędzio, mógłbym poprzestać na pogardzie dla takiego oskarżenia i pozostawić je bez odpowiedzi, dopóki proces sądowy nie nadałby mu jakiegoś znaczenia... Lecz mając czyste sumienie, odwołuję się do samej panny de Cardoville...

– I cóż to znaczy, mój panie? – odezwał się żywo Rodin, przerywając zuchwale doktorowi.

– Dajmy na to, że zacna pani, powodowana szlachetnym uczuciem, potwierdzi to, co pan mówi, cóż to będzie za dowód dla pana?... Żaden.

- Ależ, panie – usiłował wtrącić doktor.
- Ależ, panie! – przerwał mu Rodin, nie dając dojść do słowa. – Oczywiście, że w przewidywaniu tego, co się dzieje w tej chwili, aby zapewnić sobie wymówkę, udałeś, że jesteś przekonany o swym obmierzłym kłamstwie, nawet w oczach tej biednej ofiary, aby później zasłonić się swym mniemanym przeświadczeniem!...
- Więc to tak, mój panie! – zapytał doktor, zapalając się gniewem.
- Tak, tak, mój panie! – odparł Rodin jeszcze głośniejszym głosem. – Powiedz pan tak lub nie, że zachowujesz sobie wykręt zrzucenia tego haniebnego uprowadzenia na naukową pomyłkę? Rzecz bowiem dowiedziona, że rozum panny de Cardoville nigdy, ani na chwilę, nie był obłąkany...
- A ja, mój panie, mówię przeciwnie: że był obłąkany.
- Wstydzili byś się, mój panie... wstydzili byś się, powtarzam ci... gdyż jest szkaradną rzeczą tak utrzymywać w obecności pani i nikczemną, jeśli byś mówił prawdę, i równie nikczemną, jeśli kłamiesz – odparł oburzony Rodin.
- A cóż to za niepojęta zaciekłość! – zawołał z rozjątrzeniem doktor.
- Panie! – wtrącił surowo pan de Garnande. – Z tego wszystkiego okazuje się, nawet według pańskiego własnego wyznania, że stan zdrowia panny Cardoville jest o tyle uspokajający, iż jeszcze dziś może wrócić do domu.
- Nie widzę przynajmniej ważnej ku temu przeszkody, panie sędzio! – rzekł doktor.
- Nie mam więc potrzeby użycia swej władzy dla otwarcia drzwi tego domu pannie de Cardoville? – zapytał sędzia.
- Panna de Cardoville jest wolna... – odparł Baleinier – zupełnie wolna.
- Co zaś tyczy kwestii, czy pan wprowadził tu pannę de Cardoville pod pozorem, że cierpi na pomieszanie zmysłów... tym już zajmie się sprawiedliwość.
- Oto jestem spokojny! – odrzekł Baleinier.
- Szczerze panu tego życzę – zapewniał pan de Garnande. – Jakkolwiek zarzuty przeciw panu są poważne, byłibyśmy radzi, zwłaszcza gdy idzie o osobę na pańskim stanowisku, aby okazały się bezzasadne... – Potem, zwracając się do Adrianny, dodał: – A teraz pozwól, pani, zadać sobie jeszcze jedno pytanie: Ten pan (tu wskazał na Rodina), który tak szczerze, tak bezinteresownie zajął się pani obroną, dał mi do zrozumienia, jakoby pani życzyła sobie zająć się czasowo, do przyjazdu ich ojca, córkami marszałka Simona?... Natychmiast pójdę upomnieć się o nie w sąsiednim klasztorze, gdyż one także, jak słyszę, zostały tam podstępnie zamknięte.
- Istotnie, odrzekła Adrianna – jak tylko dowiedziałam się o przybyciu do Paryża córek marszałka Simona, chciałam, aby zamieszkały w moim domu. Panny Simon są moimi krewnymi.
- Sądzę, że dla ich dobra nie ma lepszego rozwiązania – dodał pan de Garnande.
- Potem, zwracając się do doktora Baleinier, zapytał:
- Czy pozwoli pan, abym tu przyprowadził panny Simon? Idę po nie do klasztoru, a tymczasem panna de Cardoville przygotowuje się do opuszczenia tego domu.
- Proszę!... Mój powóz będzie do jej dyspozycji.
- Po tych przykrych dniach pozostaje mi przynajmniej – rzekła Adrianna z godnością – miła pamiątka pańskiej życzliwości dla mnie i mam nadzieję, panie sędzio, że pozwoliś mi podziękować ci we własnym domu... A przy tym – dodała z uśmiechem – będę się starała dowieść panu, że moje tak zwane wyzdrowienie jest zupełnie rzeczywiste.
- Sędzia skłonił się Adriannie ze światową wytwornością i należnym szacunkiem. Rozmawiając tak przez chwilę, odwróceniem tyłem do doktora Baleiniera i Rodina. Ten ostatni, korzystając z tej sytuacji, szybko wsunął doktorowi w rękę karteczkę.
- Baleinier sporządził zdziwiony na Rodina.

Wszystko to odbyło się tak szybko, że gdy pan de Garnande odwrócił się, Rodin, oddalony o kilka kroków, patrzył na pannę de Cardoville z uszanowaniem i życzliwością.

– Pozwól, panie sędzio, towarzyszyć sobie – odezwał się doktor i wyszli obaj z pokoju. Rodin pozostał sam na sam z panną de Cardoville.

Odprowadziwszy pana de Garnande do ostatniej bramy swego domu, Baleinier przeczytał bilet, który mu podał Rodin; treść jego była następująca:

„Sędzia pójdzie do klasztoru ulicą: biegnij tam przez ogród i powiedz przełożonej, aby spełniła dane jej w sprawie sierot rozkazy, bo od tego bardzo wiele zależy.

Znak uczyniony przez Rodina i treść kartki przekonały doktora, że sekretarz wielbnego księdza d'Aigrigny'ego nie był zdrajcą, ale działał z pewnością dla dobra kongregacji.



## ROZDZIAŁ VII

### SEKRETARZ OSOBISTY O. D'AIGRIGNY'EGO

Zaledwie sędzia i doktor wyszli, panna de Cardoville, patrząc na Rodina z uszanowaniem i wdzięcznością, zawołała:

– Więc to z pana łaski jestem wolna... tak... wolna... Och! Nigdy dotąd nie czułam, ile jest uroku w tym słowie!

– Zaledwie od kilku dni znajduję się w tym okropnym domu... – mówiła dalej – ale dostatecznie poznałam, co znaczy zamknięcie, tak że złożyłam ślub co roku uwolnić kilku nieszczęśliwych, uwięzionych za długi.

Składam więc panu podwójne dzięki, gdyż ocaleniem mnie umożliwił mi pan podjęcie zbożnego dzieła. Czuję się tak szczęśliwa i zawdzięczam to panu.

Również Rodin, tak przed chwilą twardy i ostry wobec doktora, zdawał się rozplýwać w łagodnych, tkliwych uczuciach. Jak gdyby jednak chciał wydrzeć się tym wrażeniom, rzekł:

– Ale dajmy spokój temu rozczuleniu. Czas jest zbyt drogi... nie dopełniłem jeszcze swego posłannictwa... nie, nie dosyć jeszcze zrobiłem... Droga pani, później będziemy mówić o wdzięczności... Czy pani wie, co tu się dzieje?

Adrianna spojrzała ze zdziwieniem i rzekła:

– Nie wiem, co pan ma na myśli?

– Czy znane są pani rzeczywiste powody, dla jakich zostałam tu zamknięta?...

Odpowiedziała z żalem:

– Jestem przekonana, że pobudką dla księżny Saint-Dizier do takiego postępku wobec mnie jest nienawiść, jaką odczuwa dla mnie.

– Tak... nienawiść, lecz przede wszystkim chęć pozbawienia pani ogromnego majątku...

– Mnie... a to w jaki sposób?

– Więc pani nie wie, ile zależało od tego, abyś 13 lutego znajdowała się przy ulicy Świętego Franciszka dla odziedziczenia spadku?

– O tak, pojmuję teraz! – zawołała Adrianna. – Do nieprzejednanej nienawiści stryjenki dołączyła się, jak widzę, chciwość... Córki marszałka Simona, tak samo jak ja, zostały zamknięte...

– A jednak – zawołał Rodin – nie tylko pani i panny Simon byłyście ofiarami spisku...

– Kto jeszcze, prócz nas? Pewien młody Hindus...

– Księżę Dżalma? – zawołała Adrianna.

O mało nie został otruty... z tego samego powodu...

– Wielki Boże! – zawołała dziewczyna, składając ręce z przerażeniem. – To okropność!... On... on... ten młody książę, który, jak mówią, ma być taki szlachetny. Ależ ja posłałam do zamku Cardoville...

– Człowieka, któremu pani zaufała, który miał sprowadzić księcia do Paryża; wiem o tym, moja droga: lecz ten człowiek został podstępnie oddalony, a młody książę dostał się w ręce nieprzyjaciół.

– Ależ koniecznie trzeba go odnaleźć – rzekła wzruszona Adrianna. – Nie można niczego zaniedbać w tym względzie, usilnie pana o to proszę; to mój krewny... a jest sam jeden... bez opieki, bez pomocy.

– Zapewne – odpowiedział Rodin z politowaniem – biedny książę... taki młody, prawie dziecko... osiemnaście lub dziewiętnaście lat... sam jeden porzucony w Paryżu, w tym odmiecie!...

– Przede wszystkim trzeba go odnaleźć, a potem już zasłonimy go od wszelkich niebezpieczeństw. Księżę jest moim krewnym, winnam więc okazać mu grzeczność... przeznaczyłam dla niego pawilon, który zajmowałam u stryjenki.

– A pani?...

– Jeszcze dziś zamierzam osiedlić się w mieszkaniu, które już wcześniej kazałam sobie przygotować, decydując się rozstać z księżną Saint-Dizier i żyć sama według swoich upodobań. Tak więc, drogi panie, ponieważ pańskim posłannictwem jest być aniołem opiekuńczym naszego rodu, bądź zatem równie życzliwy dla księcia Dżalmy, sprowadź go do pawilonu, który ofiaruje mu nieznanemu przyjaciel, niech się o nic nie troszczy.

– Tak, będzie żył po księżecemu, dzięki pani hojności... Nigdzie też nie znalazłby dla siebie lepszego przytułku... Wystarczy tylko spojrzeć, jak sam widziałem, na jego piękną, melancholijną postać, żeby...

– A gdzie go pan widział?

– W dawnej pani własności, w zamku Cardoville, w pobliżu którego zagnała go burza... a dokąd udałem się, aby...

I po krótkim wahaniu, jakby go szczerłość zanadto uniosła, dodał:

– Ach, mój Boże! Dokąd udałem się dla spełnienia złego czynu... czynu haniebnego, niegodziwego... kiedy już mam wyznać całą prawdę.

– Pan?... Złego czynu?... W zamku Cardoville? – zawołała zdziwiona Adrianna.

– Tak, niestety, droga pani! – odparł z pokorą Rodin. – Miałem polecenie od księdza d’Aigrigny, by doprowadzić rządcę, dawnego pani rządcę do tego, żeby albo się oddalił, albo podjął się niegodziwości... tj. czegoś podobnego do szpiegostwa i potwarzy; lecz ten uczciwy, zacny człowiek odmówił...

– Kim więc pan jest? – spytała Adrianna coraz bardziej zdziwiona.

– Jestem... Rodin... były sekretarz księdza d’Aigrigny’ego, człowiek, jak pani widzi, niewielkiego znaczenia.

Trudno byłoby naśladować bardziej niewinny ton głosu niż ten, jakim jezuita wymówił te słowa, skłoniwszy się nisko.

Na to wyznanie Adrianna cofnęła się. Poczula jakąś nieufność, gdy dowiedziała się, że jej wybawca jest tym samym człowiekiem, który odgrywał tak niegodziwą rolę.

Z pewną ostrożnością prowadziła już dalszą rozmowę, którą rozpoczęła z taką otwartością.

Rodin spostrzegł, jakie wrażenie zrobiło na pannie de Cardoville jego wyznanie; był na to przygotowany, bynajmniej więc się nie zmieszał, gdy Adrianna, patrząc mu śmiało w oczy, odezwała się:

– Ach, to pan jesteście Rodin... – sekretarz księdza d’Aigrigny?

– Raczej pani mówić ex-sekretarz – odpowiedział jezuita – gdyż możesz być pewna, że u księdza d’Aigrigny noga moja więcej nie postanie... Zrobiłem sobie z niego nieprzejednanego wroga i zostałem na bruku...

Te słowa, wypowiedziane po prostu i z pewną godnością, wzbudziły litość Adrianny. Pomyślała: Cokolwiek by było, staruszek mówi prawdę. Tak wyjawiona niechęć do księdza d’Aigrigny musiała również i w nim budzić nieprzebraną nienawiść; wreszcie Rodin wcale na nią nie zważał, kiedy uczynił to wyznanie.

Mimo tych myśli rzekła oziębło:

– Skoro pan wiedział o haniebnym propozycjach, jakie miałeś przedstawić rządcy dóbr Cardoville, dlaczego podjąłeś się tak szkaradnego posłannictwa?

– Dlaczego?... Dlaczego? – odparł Rodin z pewną niecierpliwością. – Bo wtedy jeszcze nie mogłem oprzeć się urokowi księdza d’Aigrigny, człowiekowi, któremu równie zręcznego nie zdarzyło mi się nigdy spotkać. I muszę wyznać, że cel, jaki zdawał się nadawać swym zamiarom, był piękny i wielki; lecz przedwczoraj... okropnie się zawiodłem... zostałem jakby pora

zony gromem. Zresztą nie mówmy już o tej nieszczęsnej podróży do zamku Cardoville. Chociaż byłem tylko ślepym narzędziem, tak się jednak tego wstydzę, jakbym działał z własnego natchnienia...

Rodin wyznał swój błąd tak szczerze, tłumaczył go tak naturalnie, i tak szczerze go żałował, że Adrianna, której podejrzewania stawały się bezpodstawne, czuła, że jej nieufność coraz bardziej maleje.

– Tak jak pani, jak panny Simon, księżę nie stanie się ofiarą tego obmierzłego spisku, który, na nieszczęście zagrażał jeszcze innym osobom.

– Komu jeszcze groził?

– Panu Hardy'emu, człowiekowi ze wszech miar uczciwemu, również pani krewnemu, który, mając także prawo do spadku, haniebnym podstępem został oddalony z Paryża... Na koniec wziął się jeszcze na jednego, ostatniego dziedzica, biednego rzemieślnika, który wpadłszy w zręcznie zastawione sidła, został wtrącony za długi do więzienia.

– Ależ, panie! – zawołała nagle Adrianna. – Na czyją korzyść uknuto ten potworny spisek, który po prostu przeraża mnie?

– Na korzyść księdza d'Aigrigny! – odpowiedział Rodin.

– Panie! – rzekła Adrianna, otrząsnąwszy się całkiem z podejrzeń. – Chcę z panem mówić otwarcie. Jakim sposobem mogłam zasłużyć sobie lub wzbudzić w panu życzliwość, jaką mi okazujesz i którą rozciągasz na pozostałych członków mej rodziny?

– Więc dobrze, jeśli chce pani koniecznie wiedzieć!... Zająłem się panią, poświęciłem się dla niej, bo masz szlachetne serce, wzniosły umysł, niezależny charakter...

– Miło to słyszeć...

– W taki oto sposób mógłbym tłumaczyć moją życzliwość dla pani. Poza tym jednak, przyznam się, to nie byłoby wystarczające; byłaby pani po prostu panną de Cardoville, bardzo bogatą, szlachetnie urodzoną i bardzo piękną, młodą osobą, której nieszczęście, bez wątpienia, bardzo mnie przejęło; ale pomyślałem sobie: ta biedna istota zasługuje na litość, to prawda, lecz ja, ubogi człowiek, cóż mogę poradzić?... Jedynym dla mnie sposobem do życia jest sekretarzowanie przy księdzu d'Aigrigny, a przecież wypadałoby najpierw uderzyć w niego! On jest możliwy, a ja jestem niczym; walczyć z nim, znaczyłoby to samo, co dobrowolnie zgubić się, bez nadziei ocalenia tej nieszczęśliwej. Kiedy tymczasem, przeciwnie, wiedząc o tym, kim pani jest... zbuntowałem się w swoim umiłowaniu prawdy. Nie, nie, powiedziałem sobie, tysiąc razy: nie! Tak wzniosły umysł i tak wielkie serce nie będą ofiarą szkaradnego spisku.

Trudno opisać, z jaką przebiegłością, z jaką energią i uczuciem Rodin wymawiał te słowa.

Sprzeczność rozrzuca nas, pobudza do litości. Takiego właśnie odczucia doznała panna de Cardoville, patrząc na Rodina, bo o ile okazał się ostrym, przykrym i zuchwałym wobec doktora Baleinier, o tyle był skromnym, prostym i czułym dla niej.

– Daruj pan moją natrętą ciekawość... ale chciałabym wiedzieć...

– Jakim sposobem objawiłaś mi się, pani, ze strony moralnej, prawda?... Och! Droga pani, nic prostszego... W kilku słowach wyjaśnię to pani. Ksiądz d'Aigrigny uważał mnie tylko za maszynę do pisania, za tępe i nie widzące dalej narzędzie...

– Sądziłam, że ksiądz d'Aigrigny jest przezorniejszy.

– I ma pani rację. Jest to człowiek niesłychanie przenikliwy... Ale ja go zwodziłem... udając mniej niż prostotę...

– Tak, pojmuję ten rodzaj dumy – odpowiedziała panna de Cardoville, coraz bardziej dziwiąc się oryginalnemu tokowi myśli Rodina.

– Ale wróćmy do tematu, bardziej panią obchodzącego. W wigilię 13 lutego ksiądz d'Aigrigny dał mi papier zapisany stenograficznie i rzekł: Przepisz ten protokół, przy czym dodasz, że pismo to służy na poparcie decyzji rady rodzinnej, która stanowi, stosownie do opinii doktora Baleinier, że stan umysłowy panny de Cardoville jest tak zatrważający, iż wymaga jej zamknięcia w lecznicy.

– Tak – objaśniła smutnie Adrianna – była to długa rozmowa z księżną Saint-Dizier, moją stryjenką, a tę rozmowę spisywano bez mojej wiedzy.

– Sam na sam z ową notą, zacząłem ją przepisywać... Ledwie przepisałem dziesięć wierszy, zdumiałem się... Nie wiedziałem, czy śnię, czy jestem na jawie... Jak to! Oblakana?... Ależ wariatami są chyba ci, co śmia utrzymywać taką niedorzeczność... Coraz bardziej zaciekawiony, czytam dalej... wreszcie kończę... Och! Wtedy to, cóż mam pani powiedzieć?... Trudno wyrazić to, co czułem... Było to rozczulenie, radość, zapal!...

– Panie!... – zawołała Adrianna z niedowierzaniem.

– Tak, droga pani, zapal!... Niech ten wyraz nie obraża pani skromności; dowiedz się, że owe myśli – tak nowe, tak śmiałe, które wyjawiałaś wobec swojej stryjenki, podziela z panią prawie w równym stopniu, choć nie wiesz o tym, osoba, dla której poczujesz może kiedyś prawdziwy szacunek.

– O kim pan mówi? – spytała Adrianna z coraz większym zainteresowaniem.

Po chwili pozornego wahania Rodin mówił dalej:

– Nie... nie... nie ma potrzeby teraz pani o tym mówić... Mogę tylko dodać, że skończywszy czytanie, pobiegłem do księdza d'Aigrigny, chcąc go przekonać o błędzie popełnionym wobec pani... Niepodobna było widzieć się z nim... lecz wczoraj rano przekazałem mu swoje myśli; jedną tylko rzeczą zdawał się być zdziwiony, to jest spostrzegł, że i ja umiem myśleć... Pogardliwym milczeniem przyjął moje uwagi... Sądziłem, że może jego samego oszukano, że mi się uda przekonać go; nalegałem uporczywie, ale daremnie; kazał mi iść z sobą do domu, w którym miał być otwarty testament pani pradiada. Byłem tak zaślepiony wyglądem księdza d'Aigrigny, iż dla otwarcia mi oczu trzeba było przybycia żołnierza, następnie jego syna, a potem ojca marszałka Simona... Ich oburzenie odkryło mi rozległość uknutego nadzwyczaj śmiało i zręcznie spisku. Okazać zaraz na posiedzeniu całą zgrozę, jaką we mnie te odkrycia wzbudziły, byłoby tym samym, co całą rzecz zgubić... nie popełniłem takiego błędu. Podczas nieobecności księdza d'Aigrigny łatwo mi było przejrzeć całą korespondencję, dotyczącą tego dziedzictwa: w ten sposób zdołałem zrozumieć całą tę sprawę. O! Droga pani, zdumiałem się, struchlałem wobec dokonanych odkryć, o których, gdyby nie te zdarzenia, nikt by nie wiedział.

– Jakież to odkrycia pan poczynił?

– Straszne bywają tajemnice dla tego, kto je posiada. Dlatego, droga pani, nie nalegaj, abym ci wszystko tłumaczył; zorganizowany spisek, niegodne sprzysiężenie przeciwko pani i twoim krewnym objawiły mi się w całej swej zuchwałości. Opuściłem dom księdza d'Aigrigny... Przy tym wszystkim, ponieważ nieuczciwie byłoby z mej strony napadać bez uprzedzenia, po oddaleniu się zawiadomiłem księdza d'Aigrigny, że posiadając dostateczne dowody, zamierzam oskarżyć go przed sądem jawnie i prawnie, niech więc broni się, jeśli może... Pogrózkę moją wykonałem najdokładniej, a reszta jest pani znana...

W tej chwili otworzyły się drzwi, do pokoju weszła jedna z dozorczyń i rzekła do Rodina:

– Posłaniec, którego pan wysłał na ulicę Brise-Miche, wrócił...

– Czy oddał mój list?

– Właśnie przychodzę z tym... List został odniesiony zaraz na górę.

– Bardzo dobrze... Możesz odejść.

Dozorczyńi wyszła.

## ROZDZIAŁ VIII

### SYMPATIA

Gdyby panna de Cardoville miała jeszcze jakieś wątpliwości co do szczerości Rodina, usunęło je następujące, proste i nie podlegające żadnemu zarzutowi, rozumowanie.

Jak bowiem można myśleć o porozumieniu między księdzem d'Aigrigny i jego sekretarzem wobec faktu, że ten ostatni, odkrywszy wszystkie intrygi swego zwierzchnika, oskarża go i oddaje w ręce sprawiedliwości?... Wreszcie, jak mówił sam Rodin, kto mając choć trochę uczciwości, nie zająłby się losem Adrianny?

Dziwne uczucia... mieszanina ciekawości, zdziwienia i życzliwości łączyły się z wdzięcznością dla Rodina; przy tym jednak, poznawszy w skromnym, ubogim ciele wyższe zdolności, Adrianna poczuła nagle pewne podejrzenia.

– Panie! – odezwała się do jezuity. – Ludziom, których szanuję, przedstawiam zawsze wszelkie wątpliwości, jakie budzą we mnie, aby wytłumaczyli to, w czym mogę się mylić.

Rodin spojrział ze zdziwieniem na Adriannę.

– Chciałabym wiedzieć: Dlaczego, mimo wielkich zdolności, mimo rzeczywistej wartości, zajmował pan przy księdzu d'Aigrigny tak niskie stanowisko.

– Och! To prawda! – odpowiedział Rodin z uśmiechem. – Niestety! Przyznaję, że mam wielką wadę, która od czterdziestu lat niweczy wszystkie widoki na lepszy los.

– Jaka to wada?

– Ponieważ koniecznie chce pani wszystko znać, dowiedz się więc, że tą wadą jest... lenistwo... tak, lenistwo... wstręt do wszelkiej umysłowej czynności, do wszelkich własnych pomysłów. Z pobieranym od księdza d'Aigrigny tysiącem dwustu frankami rocznej pensji byłem najszcześniejszym człowiekiem; wierzyłem w szlachetność jego charakteru i w pełni podporządkowałem się jego woli. Po wypełnieniu swoich obowiązków wracałem do ubogiej izdebki, rozpałałem ogień na kominku, posilałem się jarzynami; potem, wzięwszy do ręki książkę, pozwalałem bujać myślom, które, cały dzień trzymane na uwięzi, tworzyły przeróżne teorie, najpociesniejsze utopie. Wtedy, uniesiony w zuchwałych marzeniach, wyobrażałem sobie, że panuję nad moim panem i nad wszelkimi geniuszami świata. Taka gorączka trwała zwykle parę godzin, potem spałem jak zabity; co rano szedłem raźnie do pracy, pewien, że jutro będę miał chleb, nie troszcząc się o przyszłość, przestając na małym, wyglądałem niecierpliwie rozkoszy wieczornej samotności, myśląc: Piszę jak bezrozumna, niema maszyna, He! He! He!... Ale... gdybym chciał...

– No, a teraz, kiedy jest pan bez pracy, jak będziesz żyć? – zapytała Adrianna, coraz bardziej zainteresowana tym osobliwym człowiekiem i chcąc przekonać się o jego bezinteresowności.

– O! Mam cokolwiek w woreczku! Wystarczy mi to na okres, dopóki nie rozwikłam ciemnego wątku księdza d'Aigrigny. Muszę to... zrobić koniecznie, za tak niegodziwe oszukanie mnie i spodziewam się, że trzy, cztery dni na to wystarczą. Potem, nie wątpię, że znajdę sobie skromną posiadkę na prowincji, u jakiegoś prywatnego poborcy. Niedawno nawet pewien życzliwy przyjaciel robił mi podobną propozycję; nie chciałem jednak opuszczać księdza d'Aigrigny, mimo że oferta zawierała znaczne korzyści... Wystaw sobie pani: osiemset franków!... Osiemset franków, stół i wszelkie wygody... Ale ponieważ jestem trochę odludek, wolałem mieszkać na ustroniu... gdy jednak dają mi aż tyle, będę musiał zgodzić się na tę małą niedogodność.

Trudno wyrazić, z jaką bezczelnością Rodin uzewnętrzniał swoje zamiary przed panią de Cardoville, w której znikło ostatnie podejrzenie.

– Jak to, panie? – rzekła z pewnym zaciekawieniem. – Zamierzasz opuścić Paryż?

– Tak sądzę, droga pani... – mówił tajemniczym tonem – a to z wielu powodów... lecz najdroższą byłoby dla mnie rzeczą – dodał poważnym tonem, spoglądając z rozczeniem na Adriannę – gdybym przynajmniej uniósł z sobą przekonanie, iż pani czuje życzliwość dla mnie za to, że odgadłem w pani zdolności i przymioty, które w naszych czasach niełatwo znaleźć w młodej osobie z takich sfer towarzyskich i w takim wieku jak pani...

– Czy być może?... Pan mnie coraz bardziej zadziwia...

– Nie pojmuję, dlaczego?... Wszak tylko szczerze spowiadam się przed panią z moich wrażeń; teraz, na przykład, doskonale pojmuję pani namiętne upodobanie do wszystkiego, co piękne, pogardę dla wielu zwyczajów, którym musi podlegać kobieta; tak jest, teraz jeszcze lepiej pojmuję szlachetną dumę, z jaką spoglądasz na ten tłum mężczyzn, próżnych, zarozumiałych, śmiesznych, dla których kobieta jest stworzeniem uzależnionym, podległym prawom, które oni stworzyli na swój obraz, a który wcale nie jest piękny. Według nich kobieta, stworzenie niższego rzędu, któremu ledwie raczono przyznać duszę, czyż nie powinna się uważać za szczęśliwą, gdy zostanie najniższą służką tych małych baszów, starych w trzydziestym roku, zadyszanych, odrętwiałych, którzy znudziwszy się wszelkiego rodzaju zbytkami, chcąc nareszcie odpocząć, myślą, jak mówią, o zakończeniu i dlatego poślubiają biedną dziewczynę, która przeciwnie, dopiero chciałaby zacząć żyć.

Panna de Cardoville uśmiechnęłaby się zapewne na cięte uwagi Rodina, gdyby nie zdziwiły jej jego poglądy, tak zgodne z jej wyobrażeniami.

Zamiast przerwać Rodinowi, słuchała go z uwagą i coraz większą ciekawością. On zaś będąc pewny skutku, jaki zamierzał osiągnąć, mówił dalej, udając zagniewanego:

– A pani stryjenka i ksiądz d’Aigrigny uważają cię za obłąkaną za to, że się zbuntowałaś przeciw przyszlęmu jarzmu tych tyranów! Za to, że pragnęłaś być niezależna, ze wszystkimi szlachetnymi przymiotami i cnotami wolności.

– Ależ, panie! – zawołała Adrianna, coraz bardziej zdziwiona. – Skąd znasz tak dobrze moje myśli?

– Najpierw, znam panią doskonale z owej rozmowy z księżną Saint-Dizier; a potem, jeśli by tak chciał los, abyśmy oboje dążyli do jednego celu, choć różnymi drogami?

– Nie rozumiem pana... O jakim celu pan mówi?

– O celu, do którego wszystkie wzniosłe, wspaniałe, niepodległe umysły dążą bezustannie... jedne, działając podobnie jak pani, przez skłonność, przez instynkt, nie zdając sobie może sprawy z wysokiego posłannictwa, do którego są powołane. Tak na przykład, kiedy ma pani upodobanie w najwyszukańszych rozkoszach, gdy otaczasz się tym, co podoba się twoim zmysłom... czy sądzisz, że ulegasz tylko samym wrażeniom piękna?... Samej tylko potrzebie wyszukanych rozkoszy? Nie, nie, po tysiąc razy nie... bo wtedy byłabyś tylko stworzeniem niedoskonałym, egoistycznym, zimnym samolubem, wyrafinowanego gustu... i niczym więcej... a więc rozumiemy się: czujesz ich cenę lub brak żywiej niż kto inny, prawda?

– Tak, w istocie – odpowiedziała Adrianna z żywym zainteresowaniem.

– A więc do pani wdzięczności i życzliwości mają prawo wszyscy ci, którzy dostarczają pani tych przyjemności.

– To uczucie wdzięczności jest we mnie tak silne – odparła Adrianna, ucieszona, że została tak dobrze zrozumiana – iż pewnego razu kazałam wyrzeć imię robotnika na pięknej robocie złotniczej w tym miejscu, gdzie zwykle mieści się imię sprzedawcy; był to biedny, nieznan artysta, który tym sposobem uzyskał należne mu miejsce.

– Widzi pani, że się nie myliłem; upodobanie w posiadaniu takich przedmiotów pobudza panią do wdzięczności dla tych, którzy ich pani dostarczają. Nieznośny byłby dla pani widok nędzy, gdybyś nie mogła wspierać tych, którzy cierpią niedostatek.

– Ach, mój Boże! – zawołała Adrianna coraz bardziej ulegając urokowi Rodina. – Im dłużej pana słucham, tym mocniej przekonuję się, że pan tysiąc razy lepiej ode mnie broni wy-

obrażeń, które tak ostro ganili we mnie księżna Saint-Dizier i ksiądz d'Aigrigny. Och! Mów pan... nie potrafię wyrazić, z jakim upodobaniem... z jaką dumą pana słucham.

– I pani się dziwi, że nie zrozumieli cię ani księżna Saint-Dizier, ani ksiądz d'Aigrigny! A cóż pani miała wspólnego z tymi hipokrytami, zazdrośnikami, obłudnikami, jak teraz ich oceniam? Czy chcesz mieć dowód ich nienawistnego zaślepienia?... Oto między tak przez nich nazwanymi pani szaleństwami, które według pani zdania było najgorsze, najwystępniejsze? Oto postanowienie samodzielnego życia, według własnego upodobania, rozporządzania dowolnie swoją terażniejszością i przyszłością; uważali to za rzecz bezpieczną i niemoralną. A przecież, czy takie postanowienie dyktowała pani niedorzeczna miłość swobody?... Nie! Czy przesadny wstręt do wszelkiego przymusu, wszelkiego jarzma?... Nie! Czy osobliwa żądza wyróżnienia się?... Nie! Bo w takich razach ostro zganiłbym panią.

– W samej rzeczy, mogę cię zapewnić, panie, iż kierowały mną inne pobudki – rzekła Adrianna, zadowolona z szacunku, jaki jej charakter budził w Rodinie.

– Och, jestem pewny, że pani pobudki były i musiały być dobre – odrzekł jezuita. Dlaczegoż to decyduje się pani na krok, wywołujący tak surową ocenę? Czy dla pogardy przyjętych zwyczajów? Nie! Szanowałaś je dopóty, dopóki nienawiść księżny Saint-Dizier nie zmusiła pani usunąć się spod jej nieznośnej opieki. Czyżbyś wreszcie chciała nadużyć swobody? Nie, raz jeszcze mówię: nie; kto zamierza cokolwiek złego, ten szuka ukrycia, odosobnienia, a tu przeciwnie, oczy wszystkich zwrócone były na panią. Dlaczego więc podjęłaś to śmiałe postanowienie, które pewnie jest trudne dla młodej osoby? Czy chcesz, pani, abym ci to powiedział?... Dobrze! Chce pani pokazać swym przykładem, że każda kobieta, mająca czyste serce, prawy umysł, stały charakter, niezawisłą duszę, nie potrzebuje dozoru i może być pozostawiona samej sobie... może dorównać mężczyźnie rozumem, mądrością, a przewyższyć go delikatnością i szacunkiem dla samej siebie... Otóż taki jest pani zamiar. Jest on szlachetny, wielki...

Oczy panny de Cardoville jaśniały dumnym blaskiem, policzki jej lekko się zarumieniły, podniosła piękną głowę z dumnym zadowoleniem; na koniec, zupełnie owładnięta wpływem tego człowieka-szatana, zawołała:

– Ależ, panie, kto ty jesteś, że tak poznałeś moje najskrytsze myśli, że czytasz w mej duszy wyraźniej aniżeli ja sama potrafiłabym w niej czytać; kim jesteś, panie?

– Kim jestem? – odpowiedział Rodin z poczciwym uśmiechem. – Powiedziałem już pani: jestem ubogi staruszek, który od czterdziestu lat służąc dzień w dzień za maszynę do pisania cudzych myśli, powraca co wieczór do swego ustronia, gdzie dopiero pozwala sobie obrabiać własne myśli; poczciwy człowiek, który ze swego poddasza towarzyszy, a nawet nieco należy do ruchu szlachetnych, wzniosłych umysłów, które dążą do udoskonalenia stosunków społecznych... Dlatego, droga pani, powiedziałem ci niedawno, że zmierzamy do jednego celu... pani, nie zastanawiając się nad tym i będąc tylko posłuszną swemu rzadkiemu, natchnionemu instynktowi. Dlatego, wierz mi pani, żyj! Żyj zawsze piękna, zawsze niezależna, zawsze szczęśliwa!... Taka jest twoja misja; nie przestawaj otaczać się arcydziełami sztuki, udoskonalonej zmysłowości, oczyszczaj gust wyborem rozkoszy, wznos się rozumem, wdziękiem nad ten niedołężny, szpetny tłum mężczyzn; widząc panią samą, wolną, otoczą cię rojem, uważać cię będą za łatwą zdobycz, przeznaczoną na ofiarę ich chciwości, ich egoizmu, głupoty... Żartuj sobie, śmiej się z tych nikczemnych roszczeń; bądź królową tego świata i okaż się godną poszanowania jak królowa... Kochaj... używaj... to jest twoja rola. Będzie ci się zdawało, że żyjesz dla samej rozkoszy... a będziesz żyła dla najszlachetniejszego celu, do jakiego dążyć może tylko wielka, piękna dusza... Może... za kilka lat zobaczymy się jeszcze; pani coraz piękniejsza i bardziej uwielbiana... ja zaś coraz starszy, nieznany; lecz mniejsza o to... wewnętrzny głos powie ci wtedy, mówi już teraz, jestem tego pewien, że między nami dwojgiem jest ukryty związek, tajemna wspólnota, której nic nie zniszczy!

Wymawiając ostatnie słowa tak wzruszonym głosem, iż Adrianna zadrżała, Rodin zbliżył się do niej nieznacznie, jego blada twarz nieco się zarumieniła, a odrażająca szpetota prawie znikła przy iskrzącym się blasku małych, jaszczurczych oczu, które uporczywie wlepił w Adriannę; ona słuchała, mając usta na w pół otwarte, przytłumiony oddech, również nie mogąc oderwać oczu od wzroku jezuity. On już nie mówił, a ona jeszcze słuchała.

Trudno określić wrażenie, jakiego ta młoda, piękna dziewczyna doznała na widok węża. Porównanie pospolite, ale w tym przypadku bardzo trafne.

Taktyka Rodina była zręczna i pewna.

Gdyby Rodin zaatakował miłość własną Adrianny, podstęp nie udałby mu się, gdyż nie była próżna, ale on uderzył we wszystko, co było egzaltowanego w sercu tej młodej kobiety;

to, co zdawał się zachęcać, podziwiać w niej, było rzeczywiście godne zachęcenia i pochwały. Jakże więc nie miała dać się uwieść słowom, pod którymi kryły się tak szatańskie zamiary?

Zdziwiona niezwykłą przenikliwością jezuity, Adrianna odezwała się z właściwą sobie otwartością:

– Człowiek tak zdolny i tak dobry, jak pan nie powinien być igraszką losu ani zależeć od okoliczności; kilka pańskich słów otwiera mi nowe horyzonty... Widzę, że w wielu sytuacjach pańskie rady mogą być mi użyteczne na przyszłość; na koniec, ponieważ poświęciłeś się i dla innych osób z mojej rodziny, ponieważ dałeś mi tyle dowodów życzliwości, zapomnieć o tym wszystkim, byłoby niewdzięcznością z mej strony... Zajęcie, wprawdzie skromne, ale pewne, stracił pan z mego powodu... pozwól więc, abym...

– Ani słowa więcej, kochana pani! – przerwał Rodin.

– Ależ panie, przeciwnie, to ja byłabym panu zobowiązana, gdybyś przyjął to, co pragnęłam panu ofiarować.

– Och! – odparł Rodin z uśmiechem – nie wątpię; nie mniej, powtarzam raz jeszcze, nic od pani nie mogę przyjąć... Kiedyś może... dowie się pani, dlaczego.

– Kiedyś?

– Więcej powiedzieć nie mogę.

– A wtedy, panie, nie wolno mi już będzie być ci wdzięczną?

– Nie... nie – rzekł Rodin z udanym oburzeniem. – Och! Wierz mi, pani... przyjdzie uroczysta chwila, w której będziesz mogła okazać mi swą wdzięczność w sposób godny i ciebie, i mnie.

Rozmowę tę przerwała dozorczyńca, która rzekła do Adrianny:

– Na dole czeka jakaś dziewczyna, garbata, która chce się widzieć z panią...

– Niech wejdzie! – rzekła Adrianna, która poznała z opisu Garbuskę.

– Pan doktor kazał, aby jego powóz był gotów na pani rozkazy; czy kazać zaprzęgać?

– Dobrze... za kwadrans – odrzekła Adrianna. A zwracając się do Rodina, dodała:

– Spodziewam się, że niedługo sędzia przyprowadzi panny Simon.

– Tak, zapewne – odparł Rodin. A potem zapytał obojętnym głosem: – Kim jest ta garbata dziewczyna?

– To przybrana siostra robotnika, który naraził się na wszystko, chcąc mnie stąd wyprowadzić – rzekła Adrianna ze wzruszeniem. – Ta biedna szwaczka jest stworzeniem rzadkiej dobroci; nigdy wznioślejsze myśli ani szlachetniejsze serce nie ukrywały się pod mniej powabną powierzchownością... Nie, nie tylko ta dziewczyna dowodzi, jak dalece szlachetność duszy przewyższa pozorne zalety, zależne od ślepego trafu lub dostatku.

W chwili, kiedy wymawiała ostatnie słowa, do pokoju weszła Garbuska.



## ROZDZIAŁ IX

### PODEJRZENIA

Adrianna pośpieszyła na spotkanie Garbuski, a chwytając ją za rękę, rzekła wzruszona:

– Chodź... chodź... Drogie dziecko... Nie ma już krat, które by nas rozdzielały!

Garbuska, znalazłszy się w objęciach panny de Cardoville, gdy na swoich bladych licach poczuła pocałunek świeżych, koralowych ust Adrianny, zalała się łzami, nie mogąc słowa wymówić.

Rodin, cofnąwszy się w kąt, przypatrywał się tej scenie z tajemniczym niezadowoleniem. Pomyślał, że nigdy nie trzeba lekceważyć czy to nieprzyjaciela, czy też przyjaciela, jaki by nie był mały.

Jego zaś nieprzyjacielem był każdy, poświęcający się dla panny Cardoville; poza tym Rodin, przy całej sile charakteru, podlegał pewnym zabobonnym słabostkom; czuł więc niepokój i bał się wrażenia, jakie zrobiła na nim Garbuska; przyrzekł sobie zapamiętać to wrażenie.

\* \* \*

Gdy Garbuska zalewała się łzami wdzięczności, Adrianna, wzięwszy haftowaną chustkę, otarła twarz biednej szwaczki.

Ten postępek panny de Cardoville oszczędził Garbusce niemałego kłopotu.

Może się ktoś pogardliwie uśmiechnie na te dziecinne szczegóły, lecz biedna Garbuska, nie śmiejąc sięgnąć do kieszeni po chuście-gałganek, musiałyby długo pozostać z zapłakanymi oczami, gdyby nie otarła ich panna de Cardoville.

– Pani jest taka dobra...

– Spójrz pan na nią... – odezwała się Adrianna do Rodina.

To skarb odkryty przeze mnie... – dodała z dumą. – Przypatrz się jej! Kochaj ją tak, jak ja ją kocham i szanuj, jak ja ją szanuję. Jest to serce... jakiego szukamy.

I jakie, dzięki Bogu, znajdujemy, kochana pani – odparł Rodin, schylając się przed Garbuską. Ta powoli podniosła oczy na jezuitę. Na widok jego trupiej twarzy, uśmiechającej się z przymileniem, dziewczyna zadrżała; rzecz dziwna! Nigdy tego człowieka nie widziała, a jednak od pierwszej chwili poczuła wstręt i obawę, tak samo jak on, gdy ją zobaczył. Zwykle nieśmiała i wstydliva, nie mogła oderwać wzroku od Rodina; serce jej zaczęło mocniej bić, jak gdyby zagrażało jej jakieś niebezpieczeństwo; a ponieważ ta szlachetna istota zwykła obawiać się przede wszystkim o tych, których kochała, machinalnie zbliżyła się do Adrianny, jakby chciała ją sobą zasłonić. On zaś, wprawny fizjonomista, niby nie dostrzegł, jakie wrażenie zrobił na szwaczce i tym większą poczuł do niej odrazę. Zamiast spuścić oczy przed jej natrętnym wzrokiem, począł nawzajem tak pilnie jej się przypatrywać, że aż zwróciło to uwagę panny de Cardoville.

– Przebacz mi, dobra panienko – zwrócił się Rodin do Garbuski, udając, że coś sobie przypomina – ale zdaje mi się... że się mylę... Czy nie chodziłaś przed kilkoma dniami do klasztoru Panny Marii... tu, w sąsiedztwie?

– Tak, panie...

– O! Słusznie powiedziała pani – odrzekł Rodin, wskazując na Garbuskę – że to złote serce, takie, jakich właśnie szukamy. Gdyby pani wiedziała, z jaką godnością, jak śmiało ta panienka, nie mając pracy – a dla niej nie mieć pracy, znaczy to samo, co cierpieć niedostatek –

odrzucała hańbiące propozycje, jakie jej czyniła przełożona klasztoru, mianowicie szpiegowania rodziny, u której zamierzała ją umieścić...

– Panie... – przerwała Garbuska z zakłopotaniem.

– Ho! Ho! Moja panienko, nie tak łatwo dam się odstraszyć od wypowiedzenia tego, co czuję... wszystko jedno, czy to ma być pochwała, czy nagana... Zapytaj o to tę zającą panią – mówił jezuita, wskazując wzrokiem Adriannę. – Otóż powiem ci bez ogródek, że mam równie dobre wyobrażenie o tobie jak o pannie de Cardoville.

– Wierz mi, drogie dziecko – dodała nieco, zakłopotana Adrianna – że są pochwały, które czynią zaszczyt... które stają się nagrodą... a takimi właśnie są pochwały pana Rodina... Jestem tego pewna... Powtarzam ci, jestem pewna!

– Zresztą, nie tylko mnie należy się zaszczyt takiego sądu...

– Jak to, panie?

– Czy nie jesteś przybraną siostrą Agrykoli Baudoina, uczciwego, energicznego rzemieślnika, popularnego poety?

– Słusznie pan mówi! – przyznała Adrianna. – Mówił mi o niej z takim zapalem, z takim przywiązaniem, iż od razu powzięłam szacunek dla osoby, która potrafi wzbudzić takie przywiązanie.

Te słowa Adrianny tak zmieszały Garbuskę, iż jej blada twarz okryła się żywym rumieńcem.

Wiadomo, że dziewczyna kochała Agrykolę, a kochała równie namiętnie jak skrycie.

Stąd ten niezwykły rumieniec na twarzy, stąd tak widoczne zakłopotanie, które nawet zdziwiło Adriannę.

Przenikliwy umysł, jakim był obdarzony Rodin, spostrzegłszy najmniejszy skutek, zaraz dochodził jego przyczyny. Sądząc przez porównanie, jezuita widział z jednej strony ułomną, upośledzoną dziewczynę, ale bardzo roztrofną i zdolną do namiętnego poświęcenia; z drugiej zaś strony przypomniał mu się przystojny rzemieślnik, śmiały, mądry i otwarty.

Pomyślał: – Z powodu braterskiej miłości nikt się tak nie rumieni.

Wpadłszy na ślad tego odkrycia, chciał dalej posunąć swoje badania. Spostrzegłszy, że zmieszanie Garbuski zdziwiło Adriannę, zwrócił się do niej, mrugnięciem zwracając jej uwagę na biedną dziewczynę:

– Czy widzi pani, jak to dziewczę się rumieni, kiedy mowa jest o przywiązaniu do niej dzielnego rzemieślnika?

Garbuska spuściła oczy, nie wiedząc, co począć ze wstydu. Dopiero co czerwona jak róża, zbladła jak ściana i zaczęła cała drżeć.

– Nie ma się pani czemu dziwić! – odezwał się znowu Rodin z najniewinniejszą miną. – To zupełnie naturalne; to dziecko przywiązane jest do brata jak dobra, życzliwa siostra. Tak go kocha, tak się z nim jednoczy, iż kiedy go ktoś chwali, zdaje jej się, że tym samym i ją chwali...

– A ponieważ jest równie skromna jak dobra – dodała Adrianna, biorąc Garbuskę za rękę – najmniejsza pochwała, czy to dla jej przybranego brata, czy też dla niej, miesza ją do tego stopnia jak w obecnej chwili...

Garbuska była pewna... i trzeba jej było tej pewności, aby nie umrzeć ze wstydu, że słowa Rodina były szczerze i że nie domyśla się jej miłości dla Agrykoli.

– Daruj mi, pani! – odezwała się do Adrianny. – Tak mało jestem przyzwyczajona do ła-skawego obchodzenia się ze mną, iż nie zasługuję na dobroć pani.

– Moja dobroć?... Biedna dziewczyno! – zawołała panna de Cardoville. – Nic jeszcze dla ciebie dobrego nie zrobiłam. Lecz dzięki Bogu! Od dzisiaj, jeżeli ci się to podoba, nie rozstaniemy się już. Jeśli zgodzisz się, potrafię pogodzić moją, może nieco samolubną, chęć zatrzymania cię przy sobie, z niezależnością twego charakteru, z twoim umiłowaniem pracy,

nawyknięciem do cichego, skromnego życia; spodziewam się, że uda mi się skłonić cię do pozostania przy mnie.

– Ach! Cóż ja takiego uczyniłam, aby zasłużyć na taką wdzięczność? – zapytała naiwnie Garbuska.

– Dostyc już... dostyc tego... – przerwała Adrianna – już tak sobie ułożyłam, że będziesz moją przyjaciółką... i będę się starać przekonać cię, że tak będzie... ale teraz chciałabym wreszcie dowiedzieć się, co cię tu sprowadza.

– Dziś rano pan Dagobert otrzymał list, w którym zapraszano go, aby tu przyszedł, i zapewniano, że usłyszy pomyślną wiadomość o tym, co go najwięcej zajmuje.

Adrianna spojrzała pytająco na Rodina, który skinął głową, i rzekł:

– Tak, droga pani, to ja napisałem ten list... ale bez podpisu i bez bliższych wyjaśnień; dlaczego, dowie się pani.

– A więc, moja droga, dlaczego przyszedłaś sama? – spytała Adrianna.

– Niestety, droga pani, byłam tak wzruszona twoim łaskawym przyjęciem, że nie zdążyłam wypowiedzieć swoich obaw...

– Jakich obaw? – zapytał Rodin.

– Widząc, że pani tu jest, sądziłem, że to pani napisała ten list do pana Dagoberta; powiedziałam mu o tym i uwierzył. Kiedy przyszedł, był tak niecierpliwy, iż zaraz w drzwiach zapytał, czy tu znajdują się sieroty, i opisał, jak wyglądają. Odpowiedziano mu, że tu ich nie ma. Wtedy, nie zważając na moją usilną prośbę, pobiegł do klasztoru.

– Co za nierozwaga! – zawołała Adrianna.

– Po tym wszystkim, co zaszło tamtej nocy... – dodał Rodin, wzruszając ramionami.

– Na próżno tłumaczyłam – mówiła Garbuska – że w liście nie ma mowy o tym, że zostaną mu wydane sieroty... ale prawdopodobnie otrzyma tylko o nich jakąś wiadomość; nie chciał słuchać, tylko powiedział: Jeśli niczego się nie dowiem... przyjdę za tobą... ale one jeszcze przedwczoraj były w klasztorze; teraz już wszystko się wykryło i nie mogą mi już odmówić ich wydania.

– Z takim człowiekiem – rzekł Rodin, uśmiechając się – nie ma co mówić po ludzku...

– Przez Boga żywego! Byle go tylko nie poznano! – zawołała przestraszona Adrianna, przypomniawszy sobie pogrożki doktora Baleinier.

– Nie przypuszczam, żeby to się stało... – mówił Rodin – nie wpuszczą go do klasztoru, pewno i na tym rzecz się skończy; zresztą sędzia wkrótce tu przybędzie z tymi pannami... Nie mam już potrzeby pozostawać tu dłużej... wzywają mnie inne obowiązki. Muszę odnaleźć miejsce pobytu księcia Dżalmy; racz więc pani powiedzieć, gdzie i kiedy będę mógł się widzieć z panią.

– Znajdzie mnie pan w domu, w moim nowym domu, do którego się udam wprost stąd, przy ulicy Anjou, w dawnym pałacu Beaulieu... Ale... zdaje mi się – rzekła Adrianna po pewnym namyśle – że z wielu względów nie będzie ani przyzwoite, ani roztropne umieszczać księcia Dżalmę w pawilonie, który zajmowałam w pałacu Saint-Dizier... Widziałam niedawno śliczny, umeblowany domek; w ciągu dwudziestu czterech godzin uzupełnią i urządkują w nim wcale piękne mieszkanie... Tak, tak będzie lepiej! – dodała po chwili. – W ten sposób będę mogła pewniej zachować incognito.

Jak to? – zawołał Rodin, którego plany niweczyło to nowe postanowienie panny de Cardoville – chce pani, aby o niczym nie wiedział?...

– Chcę, aby księżę Dżalma nie wiedział, kto jest nieznajomym przyjacielem, który mu przychodzi z pomocą; w ogóle życzeniem moim jest, aby nie słyszał mego nazwiska, aby nawet nie wiedział, że istnieję... Przynajmniej na razie... Później... może za miesiąc... zobaczą; okoliczności wskażą, jak mi wypadnie postąpić.

– Ale – zakwestionował Rodin, ukrywając niepokój. – Czy nie będzie pani miała zbyt wiele trudności w zachowaniu tego incognito?

– Gdyby księżę zamieszkał w pawilonie, sąsiedztwo stryjenki mogłoby mu wkrótce wyjaśnić rzeczywisty stan rzeczy; właśnie unikając tego, muszę zmienić swój pierwotny zamiar... Księżę zamieszka dość daleko... przy ulicy Białej. Któż mógłby mu powiedzieć to, o czym nie powinien wiedzieć? Tylko jeden z moich starych przyjaciół, pan Nerwał, pan i ta panienska – tu wskazała wzrokiem Garbuskę – na których dyskrecji mogę polegać, będziecie wiedzieli o mojej tajemnicy... więc będzie dobrze zachowana!... Zresztą, jutro pomówimy o tym obszerniej; najpierw, oby się panu udało odnaleźć księcia!

Rodin, choć bardzo niezadowolony z nagłego postanowienia Adrianny, ukrył jednak swoje rozczarowanie i rzekł:

– Będę się starał życzenia pani ściśle wypełnić i jutro, jeśli pani pozwoli, przyniosę, jak sądzę, pomyślne wiadomości...

– Więc do jutra... będę pana oczekiwać z niecierpliwością – rzekła Adrianna, serdecznie ściskając rękę jezuicie. – Musisz dla mnie być łaskaw, gdyż przewiduję, że przyjdzie mi jeszcze o wiele rad, o wiele przysług pana prosić... choć już tyle panu jestem winna...

– Nigdy, droga pani, nigdy mi za wiele nie będziesz winna – odparł Rodin, kłaniając się nisko i odchodząc do drzwi. W chwili, kiedy miał już wychodzić, spotkał Dagoberta.

– Ha! Tuś mi... Przecież mam choć jednego!... – zawołał żołnierz, silnie chwytając go za kark.

## ROZDZIAŁ X

### UNIEWINIENIE

Widząc, jak Dagobert gwałtownie chwycił Rodina za kołnierz, Adrianna krzyknęła przerażona i podbiegła do żołnierza.

– Na miłość boską! Panie... co robisz?

– Co robię? – ostro odpowiedział żołnierz, nie puszczając Rodina. – Korzystam ze sposobności; dusić będę tego nikczemnika z bandy renegata, dopóki mi nie powie, gdzie są moje dzieci...

– Zadusi mnie pan... – krzyczał jezuita, usiłując się wymknąć żołnierzowi.

– Gdzie są sieroty, kiedy ich tu nie ma? – krzyczał Dagobert piorunującym głosem. – I kiedy zamknięto przede mną drzwi klasztoru, nie chcąc mi nawet odpowiedzieć?

– Gwałtu... gwałtu!... – krzyczał Rodin okropnym głosem.

– Ależ to straszne! – zawołała Adrianna. I złożony błagalnie ręce, rzekła do Dagoberta: – Zmiłuj się, panie!... Posłuchaj mnie... posłuchaj jego...

– Panie Dagobercie! – dodała Garbuska, chwytając żołnierza za ramię swymi słabymi rączkami i wskazując Adriannę. – To panna de Cardoville... W jej obecności taki gwałt... A poza tym pan się myli... tak, mylisz się, panie Dagobercie.

Usłyszawszy nazwisko panny de Cardoville, żołnierz nagle odwrócił się i puścił Rodina.

– Daruj, pani – rzekł, podchodząc do Adrianny, bladej i przestraszonej – nie wiedziałem, kto pani jeste... lecz pierwsze oburzenie mimo woli uniosło mnie...

– Lecz, przebóg! Co pan masz przeciwko temu panu? – spytała Adrianna. Gdybyś chciał mnie wysłuchać, dowiedziałbyś się...

– Przebacz pani, że przerywam – rzekł żołnierz powściągliwym głosem, a zwracając się do Rodina, który już się nieco uspokoił, dodał: – Podziękuj pani i precz!... Jeśli tu dłużej zostaniesz, nie ręczę za siebie...

– Pozwól pan powiedzieć tylko słówko, drogi panie! – prosił Rodin. – Ja...

– Powtarzam, że nie ręczę za siebie, jeśli tu zostaniesz dłużej – zawołał Dagobert z wściekłością.

– Ależ na miłość boską! Powiedz przynajmniej, co cię tak uniosło... – odezwała się Adrianna – a przede wszystkim uspokój się i zechciej nas wysłuchać...

– Ja mam się uspokoić? – zawołał Dagobert z rozpaczą – wszak ja o jednej rzeczy tylko myślę... o przyjeździe marszałka Simona; on będzie tu dzisiaj, najdalej jutro...

– Czy to możliwe? – przerwała Adrianna. Twarz Rodina zdradzała również zdziwienie.

– Wczoraj wieczorem odebrałem list od marszałka... wysiadł na łąd w Hawrze; od trzech dni już chodzę, staram się, robię, co mogę, w nadziei, że nareszcie sieroty zostaną mi wydane, gdyż intrygi tych łotrów nie udały się – wskazał na Rodina nowym gestem oburzenia. – Lecz wszystko na próżno... Oni znowu knują jakiś haniebny spisek. Tego się spodziewałem.

– Ależ panie – usiłował wtrącić Rodin – pozwól, abym ci...

– Precz! – krzyknął Dagobert, którego rozdrażnienie rosło na myśl, że lada chwila może zjawić się w Paryżu marszałek Simon – Odejdź!... Mówię ci, bo... gdyby nie pani... przynajmniej zemściłbym się na jednym.

Rodin mrugnął na Adriannę, wskazując Dagoberta gestem życzliwego politowania i rzekł:

– A więc odchodzę, a czynię to tym chętniej, że właśnie miałem wyjść.

Potem zbliżywszy się do panny de Cardoville, szepnął:

– Biedny żołnierz! Żal wprawia w obłęd, nie byłby w stanie wysłuchać mnie ani zrozumieć. Racz wytłumaczyć mu, pani, wszystko, a przekona się, w jakim jest błędzie! – dodał.

Ale tymczasem – sięgnął do kieszeni i wyjął z niej małą paczkę – oddaj mu to... to jest moja zemsta... spodziewam się, że będzie dlań miła.

Po jego wyjściu Adrianna zbliżyła się do żołnierza i odezwała się łagodnym głosem, z wyrazem tkliwego współczucia:

– Tak nagle, niespodziewane przyście pana nie pozwoliło mi zapytać o najważniejszą rzecz... Jak pańska rana?

– Dziękuję pani! – odparł żołnierz, budząc się z zamyślenia. – Dziękuję pani! Mała to rzecz i nie mam czasu myśleć o niej... Przykro mi, że tak grubiańsko zachowałem się w pani obecności, że wypędziłem tego łotra... ale bo to przewyższa siły człowieka; na widok tych ludzi... krew się we mnie burzy.

– A ponadto, wierz mi pan, zbyt porywczo osądziłeś tego człowieka.

– Zbyt porywczo... wszak znam go nie od dzisiaj... On był razem z tym renegatem, księdzem d'Aigrigny.

– To prawda... ale to nie przeszkadza mu być uczciwym, dobrym człowiekiem...

– Jemu!? – zawołał Dagobert z powątpiewaniem.

– Tak, jemu... W tej chwili zajmuje się tylko jedną rzeczą... odzyskaniem pańskich dzieci.

– Kto?... On? – zawołał zdziwiony żołnierz, nie bardzo mogąc uwierzyć temu, co słyszy – On miałby mi wrócić moje dzieci!?

– Tak... może nawet prędzej niż sam się spodziewasz.

– On panią zwodzi! – zawołał nagle Dagobert. – Mylisz się pani, jeżeli wierzysz temu staremu oszustowi.

– Nie, nie! – zaprzeczyła Adrianna, uśmiechając się i potrząsając głową. – Mam dowody jego szczeroci... a przede wszystkim to dzięki niemu wychodzę z tego domu.

– Czy to możliwe? – zawołał żołnierz, nieco zmieszany.

– Tak, to prawda, a nadto jest tu coś jeszcze, co może pana pogodzić z nim – mówiła Adrianna, oddając Dagobertowi mały pakiecik, który wręczył jej Rodin. – Nie chcąc pana dłużej drażnić swoją obecnością, powiedział mi: Oddaj to pani temu uczciwemu żołnierzowi! Będzie to moja zemsta.

Dagobert patrzył ciekawie w oczy panny Cardoville, otwierając jakby od niechcienia mały pakiecik. Gdy rozwinął go i ujrzał swój poczerniały srebrny krzyż i wypłowiałą wstążeczkę, które skradzione zostały mu w oberży „Pod białym sokołem”, serce zaczęło mu mocniej bić ze wzruszenia i zawołał drżącym głosem:

– Mój krzyż!... Mój krzyż!... To mój krzyż!! I w uniesieniu radości przyciskał srebrną gwiazdkę do siwych wąsów.

Po chwili dodał:

– Po przysłudze wyświadczonej marszałkowi Simonowi, mojej żonie lub synowi... nie można było sprawić mi większej radości... I pani ręczy za tego człowieka! A ja go skrzywdziłem... sponiewierałem... słusznie należy mu się zadośćuczynienie... będzie je miał. O tak! Będzie je miał.

I stary żołnierz skoczył ku drzwiom, przebiegł dwa pokoje, wypadł na schody i dogonił Rodina na ostatnim stopniu.

– Panie! – zawołał wzruszony. – Proszę, aby pan się zaraz wrócił. Zbłądziłem, zawiniłem, a kiedy zawinię, staram się natychmiast swój błąd naprawić. Skrzywdziłem pana, obraziłem wobec świadków... Przepraszę pana wobec tych samych świadków...

– Ale, mój panie... i bez tego chcę panu to zapomnieć... śpieszę się... muszę już iść...

– Co mnie obchodzi, że się pan śpieszysz?... Chodź pan, chodź koniecznie, bo, jeżeli nie... – odrzekł żołnierz wzruszonym głosem, ściskając rękę jezuicie – bo jeśli nie pójdziesz, szczęście, jakieś mi sprawił, oddając krzyż, będzie niepełne.

– Ha! Jeśli tak panu na tym zależy, to wróćmy się...

– Otóż go mamy... otóż go mamy! – zawołał Dagobert, wchodząc. – Ledwie zdołałem go dogonić, już na samym dole.

– Teraz panie, dodał poważnie – oświadczam uroczyście przy paniach, że grubo zbłądziłem, że ci niesłusznie obraziłem: przepraszam cię więc najpokorniej i z radością wyznaję, że wiele ci winien... Och, tak, bardzo wiele... a kiedyś winien... to płacę!

I jeszcze raz wyciągnął swą pocziwą rękę do Rodina, który uściśnął ją uprzejmie, mówiąc:

– Ależ, mój Boże! O co tu idzie? Cóż to za wielka przysługa, o której mówisz?

– A to! – odparł Dagobert, pokazując swój krzyż Rodinowi.

– Więc pan nie wie, czym jest dla mnie też krzyż?!

– I owszem, domyślając się, że przywiązujesz doń wielką wagę, uznałem, że będę miał wielką przyjemność, gdy ci go oddam. Dlatego przyniosłem go... Lecz niech to zostanie między nami, zaraz na wstępie przywitałeś mnie tak... tak obcesowo... iż nie miałem nawet czasu...

– Panie – przerwał zawstydzony Dagobert – zapewniam cię, że diabelnie tego żałuję.

– Wierzę, przyjacielu... nie mówmy już o tym... Więc tak bardzo ceniłeś ten krzyż?

– Czy go ceniłem! – zawołał Dagobert i znów pocałował krzyż. – Wszak to dla mnie najdroższa rzecz... Ten, od którego go dostałem, mój dobroczyńca... ach, mój Boże! Wszak to on sam go dotykał...

– Jak to... – rzekł Rodin, udając, że patrzy na krzyż z zajęciem i uszanowaniem. – Jak to! Napoleon... wielki Napoleon własną ręką dotykał tego zaszczytnego znaku?

– Tak, panie, swoją ręką! To on umieścił go na zbroczonej krwi piersi jako lekarstwo na moją ranę... Dlatego zdaje mi się, iż gdyby mi przyszło umierać z głodu, wybierając między chlebem a tym krzyżem nie wahałbym się... aby, nawet umierając, mieć go na sercu... Ale dosyć już... Mówmy o innych rzeczach... A to głupi, stary żołnierz! – dodał Dagobert, przecierając ręką oczy; potem, jak gdyby wyrzucał sobie, że się wstydzi wzruszenia, już nie ukrywał łez i mówił dalej z ożywieniem: – Oj, tak, płacząc z radości, że odzyskałem krzyż... mój krzyż... który dał mi cesarz...

– Niech więc Bóg będzie wielbiony za to, że moja uboga ręka zwróciła ci ten skarb – rzekł Rodin z rozrzewnieniem i dodał: – Na pocziwość! Dzień ten będzie pomyślny dla wszystkich; właśnie napisałem to dziś w liście do pana...

– W tym liście bez podpisu? – zapytał coraz bardziej zdziwiony żołnierz. – Więc to pan go przysłał?

– Ja... tylko obawiając się nowej zasadzki ze strony księdza d'Aigrigny, nie mogłem, jak pojmujesz, tłumaczyć się jaśniej.

– No, tak... moje biedne sieroty... będą mi zwrócone? Rodin kiwnął potakująco głową. Po czym dodał:

– Jeżeli listu nie podpisałem, to tak nakazywała postąpić mi roztropność, gdyż obawiałem się, aby moje nazwisko nie wzbudziło w panu podejrzeń; jeżeli wreszcie prosiłem pana, abyś przyszedł tu, a nie do klasztoru, to z obawy, aby cię nie poznał odźwierny lub ogrodnik, gdyż wówczas pańska wyprawa minionej nocy mogłaby pociągnąć fatalne skutki.

– Lecz doktor Baleinier o wszystkim wie! – wtrąciła zaniepokojona Adrianna – a nawet groził, że doniesie o wszystkim, że oskarży pana Dagoberta i jego syna, jeślibym poważyla się skarżyć go.

Może pani być zupełnie spokojna: nie on pani, ale pani jemu będzie teraz dyktować warunki – odpowiedział Rodin. – Polegaj pani na mnie; co zaś tyczy pana Dagoberta, wszystkie jego żartowniostki, wszystkie udręki już się skończyły.

– Tak – odezwała się Adrianna, zwracając się do żołnierza – sędzia, człowiek zacny i ludzki, udał się do klasztoru po córki marszałka Simona, zapewne przyprowadzi je tu lada chwila; lecz sądzi, że byłoby przyzwoiciej, aby zamieszkały u mnie... Jednak na to potrzebna jest pańska zgoda... gdyż zostały powierzone panu.

– Jeśli chce pani zastąpić im matkę – rzekł Dagobert – wypada mi tylko serdecznie podziękować za tę łaskę dla mnie i dla biednych sierot... Tylko, nauczony przykrym doświadczeniem, będę prosić panią, ażebym mógł nie odchodzić od drzwi ich pokoju, tak we dnie jak w nocy. Jeżeli wyjdą gdzieś z panią, pozwolisz, abym szedł o kilka kroków za nimi, nigdy ich nie spuszczać z oka, tak właśnie, jak to zrobił Ponury, który okazał się lepszym ode mnie stróżem... Skoro przyjedzie marszałek... a to nastąpi lada dzień, wtedy stróż się usunie...

– Tak! – przytaknął Rodin – dałby Bóg, żeby zjawił się jak najprędzej, gdyż wypadnie mu pociągnąć księdza d'Aigrigny do ciężkiej odpowiedzialności za prześladowanie jego córek, mimo że marszałek jeszcze nie wie o wszystkim...

– I nie żałujesz pan tego renegata? – zapytał Dagobert.

– Nie żałuję podłych ani zdrajców – odpowiedział Rodin. – Niech tylko pan marszałek raczy mnie wysłuchać, niech mu wszystko opowiem, a wtedy oceni postępowanie księdza d'Aigrigny. Dowie się, że jego najlepsi przyjaciele, jak również i on sam, są przedmiotem nienawiści tego niebezpiecznego człowieka.

– Jak to? – zapytał Dagobert.

– Ależ pan sam – odparł Rodin – możesz posłużyć za dowód tego, o czym mówię.

– Ja!?

– Czy sądzi pan, że to przez, zwykły przypadek zaszły sceny w oberży „Pod białym sokolem”, niedaleko Lipska?

– Skąd pan wie o tym?

– Gdzie przyjął pan wyzwanie Moroka – opowiadał dalej Rodin, nie zważając na pytanie żołnierza – i wpadł w zasadzkę... gdzie odrzuciłeś potem wyzwanie i wtedy przytrzymano pana jako nie mającego urzędowych papierów, których w rzeczy samej nie miałeś, potem uwięziono pana jako włóczęgę, z tymi biednymi sierotami... Czy wie pan, co miały na celu wszystkie te gwałty?... Oto, aby ci przeszkodzić w przybyciu tutaj na dzień 13 lutego.

– Im dłużej pana słucham – odezwała się Adrianna – tym bardziej przeraża mnie zuchwałość księdza d'Aigrigny i rozległe środki, jakimi rozporządza... Gdyby pańskie słowa nie zasługiwały na zupełną wiarę...

– Nie uwierzyłaby pani temu? – przerwał Dagobert – podobnie jak ja nie mogę umierzyć, aby ten renegat, jakkolwiek nikczemny, miał związki z właścicielem menażerii w głębi Saksonii! A przy tym, skąd on mógł wiedzieć, że będę z dziećmi przejeżdżał przez Lipsk? To niepodobna.

– Istotnie – dodała Adrianna – obawiam się, czy odraza, jaką masz do księdza d'Aigrigny, jakkolwiek słuszna, nie unosi pana za daleko i czy z tego powodu nie przypisuje mu pan za wielkiej władzy i szeroko rozgałęzionych stosunków?

Po tych uwagach nastąpiło krótkie milczenie, podczas którego Rodin z politowaniem spoglądał to na Adriannę, to na Dagoberta, wreszcie zapytał:

– A jak inaczej ksiądz d'Aigrigny otrzymałby pański krzyż, gdyby nie stosunki z Morokiem?

– Rzeczywiście, dobrze, że mi pan to przypomina! – odrzekł Dagobert. – Bo z wielkiej radości nie zastanowiłem się nad tym, jakim sposobem mój krzyż dostał się do pańskich rąk?

– Właśnie drogą stosunków, jakie ksiądz d'Aigrigny miał w Lipsku.

– Ale jak mój krzyż dostał się do pana w Paryżu?

– Powiedz no pan: byłeś aresztowany w Lipsku dlatego, że nie miałeś papierów, prawda?

– Tak... a nigdy nie mogłem pojąć, jakim sposobem moje papiery i krzyż mogły zniknąć z tornistra... Sądziłem, że zgubiłem je przypadkiem.

Rodin wzruszył ramionami i rzekł:

– Zostały panu skradzione w oberży Pod białym sokolem przez Goliata, jednego z zaufanych sług Moroka, a ten przesłał je księdzu d'Aigrigny na dowód, że wykonał otrzymane zlecenie; niedawno dowiedziałem się o tych wszystkich szatańskich intrygach; krzyż i papiery znajdowały się w archiwum księdza d'Aigrigny; spodziewając się, że zobaczę pana dziś rano



i wiedząc, jak żołnierz ceni swój krzyż, nie zawahałem się i schowałem go do kieszeni. Niech mówi, co kto chce, pomyślałem sobie, będzie to po prostu zwrócenie rzeczy jej właścicielowi, a moja delikatność może przesądza pojęcie tego nadużycia zaufania.

– Nic lepszego nie mógł pan zrobić! – zawołała Adrianna – i ja również z życzliwości dla pana Dagoberta, jestem bardzo panu wdzięczna.

A po chwili namysłu dodała jakby z pewną obawą:

– Ale jak potężna musi być władza księdza d’Aigrigny... kiedy nawet w obcych krajach ma tak rozległe, tak straszne stosunki!

– Cicho! – odparł Rodin półgłosem, oglądając się na wszystkie strony z przestraszoną miną  
– Cicho... na Boga, proszę was, moi państwo, nie pytajcie mnie o to!

## ROZDZIAŁ XI

### WYJAŚNIENIE

Panna de Cardoville, mocno zdziwiona przestraczem Rodina, gdy zapytała go o wytłumaczenie potężnej władzy księdza d'Aigrigny, zawołała:

– A cóż jest tak nadzwyczajnego w pytaniu, które zadałam panu?

– Raz jeszcze panią proszę, nie pytaj mnie o to; mury tego domu mają uszy, jak to się mówi.

Adrianna i Dagobert patrzyli na siebie z coraz większym zdziwieniem.

Co do Garbuski, ta, przez nieokreślony bliżej instynkt, nadal czuła nieprzewyciężoną niechęć do Rodina. Czasem patrzyła nań ukradkiem, usiłując przeniknąć maskę człowieka, który ją przerażał.

– Nie, nie, droga pani! – powtórzył Rodin z westchnieniem, widząc, że jego milczenie dziwiło Adriannę. – Nie pytaj mnie o możliwości księdza d'Aigrigny.

– Ale proszę wyjaśnić mi – upierała się Adrianna – dlaczego tak się wahasz z odpowiedzią?... Czego się boisz?

– Ach! Droga pani! – westchnął Rodin – Ci ludzie są tak potężni!... Ich zemsta potrafi być straszna!

– Ależ, panie, czy nie lepiej znać niebezpieczeństwo, które nam zagraża?

– Kiedy się wie o manewrach przeciwnika, przynajmniej można się bronić – dodał Dagobert. – Lepszy otwarty atak niż zasadzka!

– Zresztą wierz mi – dodała Adrianna – że pańskie tajemnicze słowa przejmują mnie jakimś niepokojem...

– A więc, jeśli o to chodzi... – odrzekł jezuita, udając, że niechętnie ulega naciskowi – ponieważ gardzisz przestroga... wytłumaczę się jaśniej. Ale pamiętaj – dodał z powagą – iż twoje nalegania zmuszają mnie do odkrycia tego, o czym może lepiej byłoby nie wiedzieć.

– Mów, bardzo cię proszę – nalegała Adrianna. Rodin, dając znak, aby zbliżyli się, mówił po cichu, z tajemniczą miną:

– Nie słyszeliście nigdy, moi państwo, o potężnym stowarzyszeniu, które rozciąga swoje sieci po całej kuli ziemskiej, które ma swych członków, swych agentów, fanatyków we wszystkich warstwach społecznych... które miało i jeszcze ma silny wpływ na wysokich urzędników, nawet na osoby panujące... Towarzystwo to jest wszechwładne, bo jednym słowem spycha te osoby w nicość, z której ono tylko mogłoby je wydzwignąć.

– Przebóg! – zawołała Adrianna. – Cóż to za straszne towarzystwo? Nigdy dotąd o nim nie słyszałam.

– Wierzę pani, a mimo to pani nieświadomość bardzo mnie dziwi.

– Dlaczego dziwi?

– Gdyż byłaś ciągle przy swej stryjence i często widywałaś księdza d'Aigrigny.

– Mieszkałam u księżny Saint-Dizier, ale nie z nią, gdyż z wielu powodów czułam wstręt do niej.

– Tak, to prawda, moja uwaga jest bezzasadna; tam, bardziej niż gdzie indziej, zwłaszcza przed panią, wystrzegano się z mówieniem o tym towarzystwie... a jednak jemu to właśnie księżna Saint-Dizier zawdzięcza, że miała takie znaczenie i tak wielki wpływ za czasów restauracji... Za sprawą tego towarzystwa ksiądz d'Aigrigny jest człowiekiem tak niebezpiecznym; za pośrednictwem jego członków mógł śledzić, ścigać, dosięgać różnych członków pani rodziny, jednych na północy, drugich w Indiach, innych w górach Ameryki, gdyż, jak już pani powiedziałam, przedwczoraj przypadkiem tylko, przeglądając jego papiery, wpadłem na ślad,

a potem przekonałem się, że jest on członkiem tego towarzystwa, a nawet jednym z najczynniejszych i najzdolniejszych jego zwierzchników.

– A więc dobrze... Jest to... – i Rodin zaciął się.

– Ależ, panie, co to za towarzystwo? – zawołała Adrianna

– Jest to... jest to... – powtórzyła Adrianna, równie ciekawa jak pozostali.

Rodin obejrzał się wkoło, dał znak, aby jeszcze bliżej podeszli i rzekł po cichu, wolno wymawiając słowa:

– Jest to... zgromadzenie jezuitów. – I zadrzał.

– Jezuici! – zawołała panna de Cardoville, nie mogąc powstrzymać się od głośnego śmiechu, zwłaszcza że po tajemniczych słowach Rodina spodziewała się, że dowie się o czymś dużo straszniejszym. – Jezuici! – śmiała się dalej. – Ależ oni istnieją tylko w książkach! Są to postaci historyczne, na pewno bardzo niebezpieczne; ale dlaczego robić jezuitów z księżny Saint-Dizier i księdza d'Aigrigny? Czy nie wystarczy, że i bez tego budzą mój wstręt i pogardę?

Rodin, wysłuchawszy ze spokojem panny de Cardoville, odparł uroczystym tonem:

– Pani zaślepienie przeraża mnie; przeszłość powinna była uczynić panią przezorniejszą i ostrożniejszą na przyszłość, bo bardziej niż kto inny doświadczyła pani zgubnego wpływu tego zgromadzenia, którego istnienie uważasz za mrzonkę.

– Ja? – zapytała Adrianna z uśmiechem, choć zarazem nieco zdziwiona.

– Tak... pani.

– I w jakich okolicznościach?

– I pani mnie jeszcze o to pyta?... Przecież była pani tu zamknięta, jako obłąkana! Czy nie wystarczy uświadomić pani, iż zarządzający tym domem jest jednym z najgorliwszych świeckich członków tego zgromadzenia, ślepym narzędziem księdza d'Aigrigny.

– Więc to tak! – zawołała Adrianna, tym razem już nie śmiejąc się – doktor Baleinier...

– Był posłuszny księdzu d'Aigrigny, najgroźniejszemu zwierzchnikowi tego zgromadzenia... Swoich zdolności używa on dla złych celów; lecz trzeba mu przyznać, że jest niezwykle zdolny... Dlatego właśnie, gdy pani stąd wyjdzie, tak ty, jak i wszyscy członkowie pani rodziny, szczególnie na niego powinniście zwrócić całą uwagę, zachować największą ostrożność; bo, proszę mi wierzyć, ja go znam, on jeszcze nie uważa swoje sprawy za straconą... musicie się przygotować na nowe ataki, innego pewnie rodzaju, ale może jeszcze bardziej niebezpieczne...

– Dobrze, przyjacielu, że nas ostrzegłeś! – odezwał się Dagobert.

– I spodziewam się, że zostaniesz po naszej stronie.

– Niewiele mogę, ale to, co mogę, poświęcam na usługi zacnych ludzi – rzekł skromnie Rodin.

– Teraz – rzekła zamyślona Adrianna, w pełni ufając przekonującym słowom Rodina – rozumie przemożny wpływ mojej stryjenki.

– O ilu rzeczach pani jeszcze nie wie! – odparł Rodin. – Gdybyś wiedziała, jak ci ludzie osaczają cię, bez twojej wiedzy, wiernymi im agentami. W razie potrzeby, żaden twój krok nie ujdzie ich wiedzy. Potem zaczynają działać z wolna, przezornie, ostrożnie, w ukryciu; oszukują cię, podchodzą, zaczawszy od pochlebstwa aż do postrachu, wszelkimi sposobami, jakich tylko mogą użyć...

Rodin mówił tak przekonująco, że Adrianna struchlała; potem jednak, wyrzucając sobie ten przestrah, powiedziała:

– Mimo wszystko jednak nie... nie! Nigdy nie uwierzę w ich piekielną potęgę; raz jeszcze powtarzam, że władza tych dumnych księży dawno minęła... Dzięki Bogu! Oni zniknęli już na zawsze.

– Tak, to prawda, zniknęli... Ale oni umieją rozproszyć się i zniknąć, gdy wymagają tego okoliczności; ale właśnie wtedy bywają najgroźniejsi, bo każdy sądzi, że nie ma już z ich strony niebezpieczeństwa, a oni tymczasem nie przestają czuwać, knują spiski, stawiają sidła

w ciemnościach. Ach! Droga pani, gdybyś знаła ich szatańską przebiegłość!... Mam pani powiedzieć, że do tego stopnia potrafią posunąć swoją piekielną chytrą, iż często najbardziej obmyśli podstęp umięją ubarwić, pokryć najniewinniejszą, najszczerzą powierzchnością.

Tu celowo wzrok Rodina zatrzymał się na Garbusce; widząc jednak, że Adrianna nie dostrzegła tej aluzji, jezuita mówił dalej:

– Słowem, jeżeli obrali cię za cel swej napaści, jeżeli zależy im na tym, aby cię usidlić, uwikłać... Och! Od tej chwili nie ufaj nikomu, nie dowierzaj najserdeczniejszemu przywiązaniu, najczulszym dowodom życzliwości, bo te potrafią przekabacić twych najwierniejszych przyjaciół, i tym niebezpieczniejsze uczynić z nich narzędzie, im mocniej im zaufałaś.

– Ach! To niemożliwe! – zawołała oburzona Adrianna. – Przesadza pan... Nie, nie, piekło samo nie wymyśliłoby nic okropniejszego...

– Niestety!... Droga pani... Jeden z twoich krewnych... pan Hardy, człowiek znany z prawości, pełen szlachetności, w ten właśnie sposób stał się ofiarą haniebną zdrady... A na koniec, czy wie pani, czego dowiedzieliśmy się z testamentu twego pradziada? Tego, że umarł jako ofiara nienawiści tych strasznych ludzi i że jeszcze teraz, po upływie stu pięćdziesięciu lat, jego potomków ściga zawziętość tego, nigdy nie pokonanego zgromadzenia.

– Ach! Panie... To przejmujące zgrozą! – zawołała Adrianna. – Czy nie ma jednak broni przeciwko takiej napaści?...

– Roztropność, kochana pani, baczną ostrożność, niedowierzanie, a przy tym pilne obserwowanie wszystkich otaczających cię osób. Dlatego, pani i ty, zacny żołnierzu, zaklinam was na wszystko, co jest wam drogie, nie wiercie im... nie ufajcie lada komu, pamiętajcie, że o mało nie padliście ofiarą tych niegodziwców; zawsze będziecie w nich mieli nieprzejednanych wrogów... I ty także, dobra panienko – zwrócił się do Garbuski – słuchaj mojej rady, strzeż się ich... zasypiaj tylko na jedno oko, jak mówi przysłowie.

– Ja? – spytała Garbuska – A cóż ja zrobiłam?... Czego mam się obawiać?

– Co zrobiłaś?... Czy nie jesteś przywiązana do tej pani, twojej opiekunki?... Czy nie usiłowałaś jej pomóc? O! Kochana panno de Cardoville, nie myśl, że przesadzam, kiedy to mówię. Miej się zawsze na baczności, a nade wszystko, w każdym podejrzanym przypadku przychodź do mnie po radę. Z własnego doświadczenia dosyć poznałem ich sposób postępowania, toteż zawsze potrafię wskazać ci zasadzkę, podstęp, odkryć ewentualne niebezpieczeństwo i bronić w potrzebie.

Zgodnie z taktyką synów Lojoli, którzy albo zapierają się swego istnienia, aby w ten sposób ujść oka swych przeciwników, albo przeciwnie, głoszą zuchwale potęgę swego wiecznie żyjącego stowarzyszenia, aby zastraszyć lękliwych – Rodin śmiał się głośno w oczy owemu rządcy dóbr Cardoville, gdy ten mówił o istnieniu jezuitów; gdy teraz z kolei, opisując ich sposoby działania, usiłował i po części udało mu się zasiać w umyśle panny de Cardoville zaród niepokoju, który powoli, w miarę rozmyślania nad tym, co powiedział, miał się zamienić w strach, a wszystko posłużyć miało jego zgubnym, powziętym w stosunku do niej zamiarom.

Co się tyczy Garbuski, ta ciągle bała się Rodina; jednocześnie jednak, prawie mimowolnie była mu wdzięczna za rady, jakich udzielił pannie de Cardoville.

Znowu spojrzała nań ukradkiem, ale tym razem w jej oku malowała się już wdzięczność, połączona z pewnym podziwem.

Domyślając się tego wrażenia, chcąc je jeszcze umocnić, a przy tym usiłując zatrzeć początkowe uprzedzenie Garbuski, a poza tym chcąc uprzedzić odkrycie, które prędzej czy później miało nastąpić, jezuita udał, że zapomniał o czymś ważnym i uderzywszy się w czoło, zawołał:

– O czym to ja myślałem?

A zwracając się do Garbuski, zapytał:

– Nie wiesz, dziecko, gdzie obecnie jest twoja siostra? Zarumieniona Garbuska odrzekła:  
– Już od kilku dni nie widziałam siostry.  
– A więc, moje dziecko, powiem ci, że jest ona teraz w tragicznym położeniu. Przyrzekłem jej przyjaciółce postarać się dla niej o wsparcie; udałem się do pewnej hojnej osoby i oto, co mi dla niej ofiarowała.

Wydobył z kieszeni zapieczętowaną rolkę, którą podał Garbusce, równie zdziwionej jak zawstydzonej.

– Masz więc biedną siostrę... a ja o tym nie wiedziałam! – odezwała się żywo Adrianna. – To źle, moja kochana, to bardzo źle!

– Nie wiń jej, pani!... – rzekł Rodin. – Po pierwsze, nie wiedziała o tym, że jej siostra znajduje się w przykłej sytuacji, a po drugie, nie mogła żądać od pani, abyś się tym zajmowała, A gdy panna Cardoville spojrziała zdziwiona na Rodina, on, zwróciwszy się do Garbuski, rzekł:

– Prawda, droga panienko?

– Tak, panie! – odpowiedziała zawstydzona Garbuska; potem ze wzruszeniem dodała: – Ale gdzie pan widział moją siostrę? Gdzie ona jest?... I dlaczego mówi pan, że jest w przykrym położeniu?

– Za długo byłoby opowiadać o tym, moje dziecko... Idź raczej szybko na ulicę Klodowusza, do domu straganiarki, powiedz, że chcesz widzieć się z siostrą i że przychodzisz od pana Charlemagne lub Rodina, wszystko jedno, gdyż znają mnie tam pod moim chrzestnym imieniem, jak i rodzinnym nazwiskiem, a dowiesz się reszty... Powiedz tylko swej siostrze, że jeżeli będzie się przyzwocić prowadzić, jeżeli wytrwa w swym dobrym postanowieniu – będę pamiętać o niej i zajmę się nią.

Garbuska, coraz bardziej zdziwiona, chciała odpowiedzieć, gdy wtem otworzyły się drzwi i wszedł pan de Garnande.

Sędzia wyglądał poważnie i był zmartwiony.

– A gdzie córki marszałka Simona? – zapytała panna de Cardoville.

– Na nieszczęście... nie przyprowadzam ich pani – odpowiedział sędzia.

– A gdzie one są?... Co z nimi zrobiono? Przedwczoraj jeszcze były w klasztorze! – pytał Dagobert, zaniepokojony takim zawodem jego nadziei.

Ledwie wymówił te słowa, kiedy korzystając z poruszenia, które zgromadziło wokół sędziego wszystkich obecnych, Rodin wymknął się za drzwi tak, iż nikt tego nie zauważył.

Podczas gdy żołnierz, pogrążony w rozpacz, patrzył na pana de Garnande, niecierpliwie oczekując odpowiedzi, Adrianna zapytała:

– Ależ, na Boga! Co powiedziała panu przełożona, gdy zapytałeś o panny Simon?

– Przełożona odmówiła mi wszelkich wyjaśnień. „Nie mam panu nic do powiedzenia... Powiadasz, że jesteś upoważniony do prowadzenia śledztwa, więc dobrze, prowadź je...”

– Nie otrzymawszy żadnego wyjaśnienia – dodał – sprawdziłem wszystkie zakątki klasztoru, kazałem otworzyć wszystkie cele... ale, na nieszczęście, nigdzie nie znalazłem śladu tych dziewcząt...

– Pewno wysłano je gdzieś, w inne miejsce... – rozważał Dagobert. – A może są chore... O, mój Boże! Zamęczą je, zamorzą!... – wołał zrozpaczony.

– Mój Boże, co robić? Ach, panie, zmiłuj się, poradź nam – rzekła Adrianna odwracając się do Rodina.

Lecz spostrzegłszy, że go nie ma, zdziwiona zapytała Garbuskę:

– A gdzież pan Rodin?

– Nie wiem, pani – odpowiedziała szwaczka, rozglądając się wkoło – chyba gdzieś wszedł.

– Dziwne... – odrzekła Adrianna – zniknął tak nagle, bez słowa!...

– Nie mówiłem, że to zdrajca! – zawołał Dagobert, tupiąc nogą ze złości – Oni się wszyscy znają.

– Nie, nie – odpowiedziała – nie dopuszczaj pan takich myśli.

– Przyznam się, że polegałem na nim – rzekł pan de Garnande – i wróciłem tu, aby zawiadomić panią o niepowodzeniu moich poszukiwań, a również prosić tego zacnego człowieka, który nie wahał się odkryć tak haniebnych intryg, aby pomógł nam swoją radą.

Dziwna rzecz! Dagobert już od kilku chwil, głęboko zamyślony, nie zwracał uwagi na słowa sędziego; a nawet nie zauważył, kiedy ten wyszedł. Pan de Garnade, żegnając się z Adrianną, przyrzekł, że niczego nie zaniechże, aby odnaleźć zaginione sieroty.

Zaniepokojona jego milczeniem, pragnąc nadto jak najprędzej opuścić ten dom w towarzystwie żołnierza, Adrianna dała znak Garbusce i zbliżyła się do Dagoberta, gdy wtem usłyszała z zewnątrz szybkie, energiczne kroki i dźwięczny męski głos, wołający niecierpliwie:

– Gdzie on jest?... Gdzie jest?

Na ten głos Dagobert, jakby obudzony ze snu zerwał się i skoczył ku drzwiom.

W otwartych drzwiach, na progu, ukazał się marszałek Simon.

## ROZDZIAŁ XII

### PIOTR SIMON

Marszałek Piotr Simon, książę de Ligny, był mężczyzną wysokiego wzrostu. Ubrany był w skromny granatowy surdut, zapięty pod szyję.

Trudno spotkać fizjonomię bardziej uczciwą, postawę bardziej rycerską; miał szerokie czoło, orli nos, wydatną brodę, cerę ogorzałą od indyjskiego słońca. Krótko obcięte włosy zaczynały siwieć nad skroniami; lecz brwi jak i gęsty, opadający wąs, były czarne; żwawy, śmiały chód, pewne ruchy, świadczyły o jego wojskowym zapale; odważny i wykształcony, otwarty i szlachetny, chlubił się swoim niskim pochodzeniem, tak jak inni pysznią się swoim znaczeniem i pozycją.

Gdy wszedł do pokoju, w jego twarzy widać było głęboką troskę, na widok Dagoberta promień radości błysnął mu w oczach; rzucił się do żołnierza i zawołał:

– Przyjacielu!... Stary przyjacielu!

Dagobert odpowiedział milczącym rozrzewnieniem na to czule powitanie, potem marszałek, wydostawszy się z jego objęć, rzekł drżącym z rozczulenia głosem:

– A więc stanąłeś tu wcześniej, przed 13-ym lutego.

– Tak, generale... Lecz wszystko zostało odłożone na cztery miesiące...

– A moja żona?... A syn czy córka?...

Na to pytanie Dagobert struchlał, spuścił oczy i milczał.

– Czy ich tu nie ma? – spytał marszałek Simon, bardziej zdziwiony niż zaniepokojony. – Powiedziano mi u ciebie, że nie ma tam ani mojej żony, ani dziecka, ale że cię tutaj znajduję... przybiegłem... Więc i tu ich nie ma?

– Generale... – odezwał się blady jak chusta Dagobert. – Generale...

Wycierając krople zimnego potu z czoła, nie mógł wymówić ani słowa; zdawało się, jakby głos zamarł mu w piersiach.

– Ty mnie... przerażasz! – zawołał marszałek, blednąc tak samo jak żołnierz, którego chwycił za rękę. W tej chwili odezwała się Adrianna:

– Panie marszałku... jestem Adrianna de Cardoville... krewna pańskich córek.

Marszałek obrócił się żywo, równie zdziwiony niezwykłą piękną dziewczyny, jak i słowami, które wypowiedziała.

– Pani... krewna... moich córek?

Ostatnie słowo wymówił z przyciskiem, patrząc w osłupieniu na Dagoberta.

– Tak, panie marszałku... twoich córek! – dodała Adrianna – A miłość tych dwojga miłych bliźniąt...

– Siostry, bliźnięta! – krzyknął marszałek, przerywając pannie de Cardoville z oznakami żywej radości. – Dwie córki zamiast jednej!... Ach! Jakże szczęśliwa musi być ich matka...

Potem dodał, zwracając się do Adrianny:

– Przebacz, pani moją niegrzeczność, że tak źle odwdzięczam się za wiadomość, lecz wyobraź sobie, już od siedemnastu lat nie widziałem mojej żony... Przyjeżdżam... i... zamiast dwóch drogiej mi istot... zastaję trzy... Pozwól mi, pani, wyrazić całą wdzięczność, jaką ci jestem winien. Zlituj się nade mną... nad moją niecierpliwością... Racz je przygotować do spotkania ze mną jak najprędzej...

Dagobert, coraz bardziej poruszony, unikał wzroku marszałka i drżał jak liść.

Adrianna spuściła oczy.

Zdziwiony tym milczeniem, marszałek spoglądał to na Adriannę, to na żołnierza, wreszcie zawołał z niepokojem:

– Dagobercie... ty coś ukrywasz przede mną!...

– Generale... – bąknął żołnierz – zapewniam cię... zapewniam...

– Pani! – zawołał Simon. – Przez litość, zaklinam cię, wyznaj mi otwarcie... Co się stało? Moje córki... moja żona... są chore? Czy poważnie?... Och!... Powiedz mi!... Powiedz.

– Pańskie córki, panie marszałku – rzekła Adrianna – były trochę słabe po podróży, ale niebezpieczeństwa już nie ma.

– A więc moja żona, a więc to jej grozi niebezpieczeństwo?...

– Nie trać pan odwagi. Niestety! Wypada panu szukać pociechy w przywiązaniu dwóch pozostałych aniołków.

– Generale – dodał Dagobert mężnym głosem – przybyłem tu z Polski... sam... z dwiema córkami generała.

– A ich matka?... Ich matka? – pytał marszałek przejmującym głosem.

– Nazajutrz po jej śmierci puściłem się w drogę z dwiema sierotami – odpowiedział żołnierz.

– Umarła!... – zawołał marszałek, przejęty boleścią. – Umarła!...

Odpowiedzią było ponure milczenie.

Uderzony tym niespodzianym ciosem, marszałek zachwiał się, oparł o poręcz krzesła i padłszy na siedzenie, zasłonił oczy rękami. Przez kilka chwil słychać było tłumione łkanie, gdyż marszałek Simon kochał żonę do szaleństwa. Żona i dziecko... to były warunki niezbędne do szczęścia, którego się spodziewał; choćby żona przeżyła córki, to przecież nie byłaby mu ich zastąpiła, tak samo jak one nie mogły zastąpić utraconej żony.

Adrianna i Dagobert uszanowali żal tego nieszczęśliwego człowieka. Wreszcie marszałek podniósł głowę; twarz jego była blada jak marmur; otarł łzy, wstał i zwrócił się do Adrianny:

– Wybacz mi, pani... Nie mogłem przezwyciężyć pierwszego wrażenia... Pozwól mi oddalić się... Wypadnie mi wypytać o wiele bolesnych szczegółów przyjaciela, który do ostatniej chwili nie opuszczał mojej żony... Bądź pani łaskawa zaprowadzić mnie do moich dzieci... do biednych sierot!...

– Panie marszałku – odpowiedziała panna de Cardoville – w tej właśnie chwili oczekiwaliśmy twoich dzieci... ale, na nieszczęście, zawiedliśmy się w nadziejach.. Marszałek spojrział na Adriannę, nie odpowiedziawszy, jakby nie dosłyszał lub nie zrozumiał, co powiedziała.

– Ale uspokój się pan – dodała dziewczyna – nie trzeba jeszcze rozpaczać.

– Rozpaczać!... – odrzekł bezmyślnie marszałek, spoglądając na przemian na żołnierza i na Adriannę. – Rozpaczać? Dlaczego?... Na Boga!

– W tej chwili pańskich dzieci nie ma – usiłowała tłumaczyć Adrianna. – Pańska obecność jednak... obecność ojca... ułatwi ich odnalezienie...

– Odnalezienie?... – zawołał marszałek. – A więc moich córek tu nie ma?

– Nie, panie! – oświadczyła wreszcie Adrianna. – Wydarto je temu zacnemu człowiekowi, który sprowadził je z daleka i zaprowadzono do klasztoru.

– Nieszczęsny! – zawołał marszałek, postępując groźnie, z zapalczywością ku Dagobertowi. – Ty mi odpowiesz za wszystko!...

– Ach, panie! Nie obwiniaj go! – zawołała panna de Cardoville. – On nie jest winien...

– Generale! – dodał cicho Dagobert – Zasługuję na twój gniew... To moja wina.

– Ależ to niegodziwość!... – zawołał marszałek, wskazując na Dagoberta gestem rozpaczliwego gniewu. – Komu więc ufać... kiedy on mnie zawiódł!...

– Ach! Panie marszałku! – przerwała mu Adrianna – Nie miej do niego żalu, nie wierz mu; on naraził swoje życie, honor, chcąc wydostać z klasztoru twoje dzieci...

– Ale ten klasztor! – wykrzyknął marszałek z gniewem. – Gdzie jest ten klasztor?... Ci ludzie chyba nie wiedzą, co to jest ojciec, kiedy odważyli się zabrać mu dzieci?

W chwili, kiedy wymawiał te słowa, w drzwiach ukazał się Rodin, trzymając za rękę Różę i Blankę. Słyszając okrzyk marszałka, zdziwił się niezmiernie; promień szatańskiej radości roz-



promienił jego złowrogą twarz, bowiem nie spodziewał się, że spotka marszałka Simona w tak odpowiedniej chwili.

Panna de Cardoville pierwsza spostrzegła Rodina. Biegąc w jego stronę, zawołała – Ach, nie myliłam się... nasz duch opiekuńczy... zawsze... zawsze...

– Moje kochane dzieci – rzekł po cichu Rodin do dziewcząt, pokazując im marszałka Simona – oto wasz ojciec.

– Panie – dodała Adrianna, przedstawiając marszałkowi Różę i Blanę – oto twoje dzieci.

Dziewczęta rzuciły się ojcu w objęcia; nastąpiło głębokie milczenie, przerywane jedynie łkaniami, pocałunkami i okrzykami radości.

– Zbliź się pan przynajmniej i bądź uczestnikiem radości, którą sprawiłeś! – mówiła, ocierając oczy, panna de Cardoville do Rodina, opartego o futrynę drzwi i zdającego się przypatrywać tej scenie z wielkim wzruszeniem.

Dagobert, na widok Rodina, prowadzącego dzieci, w pierwszej chwili, osłupiał z zdziwienia, nie mógł się ruszyć, lecz słysząc słowa Adrianny, na pół przytomny ze szczęścia, rzucił się na kolana przed jezuitą i złożony ręce jak do modlitwy, zawołał przerywanym głosem:

– Przeprowadzając dzieci, ocaliłeś mnie...

– Niech cię Bóg błogosławi za wszystkie dobro, jakie czynisz! – zawołała Garbuska, idąc za ogólnym nastrojem.

– Moi przyjaciele – odezwał się Rodin, udając że tyle wzruszenia przechodzi jego siły – zanadto... prawdziwie, to za wiele... Przepróście za mnie marszałka... i powiedzcie, że wystarczy, gdy go widzę szczęśliwym.

– Proszę pana... racz się zbliżyć... – rzekła do jezuity Adrianna – niech przynajmniej marszałek pozna cię, niech cię zobaczy.

– Och! Zostań!... Zostań, panie, który nas wszystkich uszczęśliwiłeś – dodał Dagobert, chcąc także zatrzymać Rodina.

– Panie!... Duch opiekuńczy nie troszczy się już osiągniętym dobrem, ale tym, które jeszcze należy zrobić... – rzekł Rodin z udaną dobrocią, zwracając się do Adrianny. – Do widzenia, przyjaciele, do widzenia.

Skłonił się grzecznie Adriannie, Garbusce i Dagobertowi, a wysuwając się powoli za drzwi, wskazał im uradowanym wzrokiem marszałka, który oblewając łzami i całując córki, trzymał je przy piersi i nie wiedział, co się wokół niego dzieje.

W godzinę później panna de Cardoville z Garbuską, marszałkiem z córkami i Dagobert wychodzili z domu doktora Baleiniera.

## ROZDZIAŁ XIII

### HINDUSKI KSIĄŻĘ W PARYŻU

Minęły trzy dni, jak panna de Cardoville wyszła z domu doktora Baleiniera.

W małym domku przy ulicy Białej, do którego Dżalma został zaprowadzony w imieniu nieznanego protektora, rozegrały się następujące sceny:

Wyobraźmy sobie ładny salon, wybitą materiały indyjską, w purpurowe desenie, na popielato-perłowym tle, obciążane z rzadka złotą nitką; sufit nikał pod takimiż draperiami, podwiązanymi jedwabnym sznurem, u którego końców, spadających nierówno, zawieszono w kształcie żółędzia małe lampki, złote, misternej i filigranowej roboty. Te lampki dziwnym zwyczajem, dość często zdarzającym się w barbarzyńskich krajach, służyły także do palenia w nich wonnych kadzideł; lekkie obłoczki białawej pary unosiły się z nich bezustannie i szerzyły wkoło balsamiczny zapach.

Światło dochodziło do salonu (była wtedy godzina druga po południu) przez małą cieplarnię, którą widać było przez białą szybę, stanowiącą zarazem drzwi. Opuszczona chińska stora mogła to szkło zakryć lub efektownie odsłonić.

Światło, nieco przytłumione zasłoną z zielonych liści, przez które dostawało się do salonu, było nader miłe dla oka i robiło tym przyjemniejsze wrażenie, że mieszało się z lazurowym blaskiem lamp kadzielnych i czerwonych płomieni ognia, palącego się w wysokim porfirowym kominku.

W tym to salonie, wypełnionym miłą wonią kadzideł, pomieszaną z zapachem perskiego tytoniu, znajdował się mężczyzna o długich czarnych włosach, ubrany w długą, ciemnozieloną suknię, przepasaną pstrokatym, różnobarwnym pasem. Klęcząc na wspianym tureckim kobiercu, zapalał złotą fajkę, a długi, cienki cybuch, ciągnący się kilku zwojami na kobiercu jak szkarłatny wąż, upstrzony srebrnymi łuskami, kończył się w dłoni mężczyzny, wygodnie rozciągniętego na sofie. Łatwo domyśleć się, że był nim Dżalma.

Oparty łokciem na poduszce, prawą dłonią podpierał głowę, a ponieważ szeroki rękaw opadł mu aż za łokieć, przeto na delikatnej jak u kobiety ręce widać było tajemniczy napis, którym go niegdyś wytatuował dusiciel.

Syn Kadzi-Singa trzymał w lewej ręce bursztyn. Biała suknia z pięknego kaszmiru, której szlak w różnobarwne palmy sięgał kolan, przewiązana była nad biodrami pomarańczowym szalem.

Twarz Dżalmy, łagodna i męska, wyrażała ową melancholijną ciszę, do jakiej przywykli ludzie skłonni do odrętwiałego zamyślenia, obok gwałtownej energii w działaniu.

Żywe oczy księcia, podobne do czarnych diamentów oprawnych w błękitną perłową masę, błąkały się leniwie po kwiatach na suficie.

– Czy nałożyć fajkę? – zapytał klęczący człowiek, obracając się do Dżalmy i pokazując wydatne, złowrogie rysy twarzy Faryngei.

Książę nie odpowiedział, może ze zwykłej na wschodzie pogardy dla niższych ras, nie chciał mówić do Metysa, czy też, zatopiony w myślach, nie słyszał go.

Dlaczego Faryngea, ten fanatyczny sekciarz Bohwanii, bóstwa zbrodni, przyjął upokarzającą go służbę?

Skąd to przyszło temu człowiekowi niepospolitych zdolności, który siłą przekonywania pozyskał tyle zwolenników „dobremu dziełu”? Czemu zgodził się na przyjęcie tak niskiego stanowiska?

Dalszy bieg wydarzeń odpowie na te pytania.

Na razie tyle tylko można powiedzieć, że po dłuższej rozmowie z Rodinem dusiciel wyszedł od niego ze spuszczonego wzrokiem i pokorną miną.

Po długim milczeniu Dżalma, wodząc oczami za wznoszącymi się kłębam dymu, nie patrząc na Faryngeę, odezwał się z ów przenośny, a zarazem zwięzły sposób, jakim wschodnie ludy zwykły tłumaczyć swoje myśli:

– Mija godzina... a starzec o dobrym sercu nie przychodzi!.. ale przyjdzie... jego słowo jest słowem.

– Jego słowo jest u niego słowem, panie – powtórzył Faryngea. – Kiedy przed trzema dniami odwiedził pana w domu, gdzie niegodziwi ludzie dla swych występnych zamiarów zdradliwie zaprowadzili pana, uspionego, podobnie jak i mnie uspił... powiedział wtedy:

– „Nieznany przyjaciel, który posłał po Waszą Księżęcą Mość do zamku Cardoville, przysłał mnie teraz do Waszej Księżęcej Mości; proszę zaufać mi i udać się ze mną; zostało dla niego przygotowane mieszkanie, godne Waszej Księżęcej Mości”.

Dodał jeszcze:

– „Pozwoli Wasza Księżęca Mość prosić cię również, abyś nie wychodził z domu, dopóki nie wrócę; wymaga tego interes Waszej Księżęcej Mości; za trzy dni zobaczysz mnie znowu, wtedy wolno ci będzie wyjść dokąd i kiedy się podoba...”

Czekam na niego z niecierpliwością – rzekł Dżalma – gdyż przykrzy mi się ta samotność...

Po chwilowym milczeniu syn Kadzi-Singa odezwał się nagle do Faryngei tonem niecierpliwego sułtana:

– Powiedz no mi coś!

– O czym mam mówić?

– O czym chcesz! – rzekł Dżalma z pogardliwą obojętnością, wlepiwszy ociężałe oczy w sufit. – Jedna myśl nie odstępuję mnie!... Chcę się rozerwać...

Faryngea spojrział przenikliwym okiem na oblicze młodego księcia:

– Pan myśli o paryskich kobietach...

– Milcz, nędzniku... – rzekł Dżalma.

– Dlaczego unikać tych myśli, panie? Księżę ma dziewiętnaście lat, cały swój młodzieńczy wiek przepędził na wojnie lub w więzieniu – i jeszcze nie kochał...

Dżalma zareagował wyniośle i surowo:

– Nie chcę tutaj, wśród cywilizowanych ludzi, uchodzić za barbarzyńcę, jak zwykli nas nazywać... Dlatego chlubię się tym, że jestem czysty...

– Nie rozumiem, o czym księżę mówi.

– Kochałbym może kobietę tak czystą jak moja matka, gdy ją zaślubił mój ojciec – rzekł Dżalma. – A kto wymaga od kobiety czystości, winien być równie czysty jak ona.

Na tę niezwykłą uwagę Faryngea nie mógł się powstrzymać od złośliwego uśmiechu.

– Czego się śmiejesz, niewolniku? – rzekł wyniośle księżę.

– U ludzi cywilizowanych... jak księżę mówi, mężczyzna, który ożeniłby się w stanie zupełnej niewinności... byłby wyśmiany i wstydzony się.

– Kłamiesz, niewolniku! Byłby wyśmiany tylko wtedy, gdyby zaślubił dziewicę nie tak czystą jak on.

– Widziałem paryskie kobiety na Isle-de-France w Pondicheri, panie, potem dowiedziałem się wielu rzeczy podczas podróży.

– A więc cywilizowani mężczyźni wymagają od kobiet niewinności, której sami nie mają?

– Wymagają jej tym bardziej, im mniej sami mogą się nią chlubić.

– A kobietę, która zawiedzie... czy ją zabijają? – pytał Dżalma, wpatrując się dzikim, zapalczywym okiem w Faryngeę.

– Zabijają ją, jeżeli pochwycą na uczynku, mości księżę, tak samo jak u nas.

– O, despoty, jak my... To wszystko jest smutne, jeżeli mówisz prawdę – odparł Dżalma, zamyślony.

Potem dodał z pewnym uniesieniem:

– To co mówisz, martwi mnie... gdyż dwie krople rosy łączą się razem w kielichu kwiatu... bo dwa serca jednoczą się w dziewiczej czystej miłości... promienie ogniste łączą się w płomień niewygasły... w gorące i wieczne rozkosze dwojga kochanków, którzy stali się małżonkami... I wpadł w głęboką zadumę.

– A gdybyś ty – wtrącił Faryngea – dumny i smutny jak ptak królewski, sułtan naszych lasów, upodobał sobie, panie, urozmaicone rozkosze, zamiast samotnych rozpamiętywań. Wierz mi, książę, co jesteś tak ognistym, wspaniałym synem naszego kraju, staniesz się miłością, chlubą, bożyszczem tutejszych kobiet... i te kobiety, najponętniejsze w świecie... tylko na ciebie jednego zwrócą oczy, będą za tobą spoglądać i wzdychać.

Dżalma słuchał Faryngei w milczeniu, lecz chciwie. Wyraz twarzy młodego Hindusa zmienił się; nie był to już ów melancholijny młodzieniec, rumieniący się na wspomnienie dozwolonych rozkoszy prawego i uczciwego związku. Nie, nie, podszepty Faryngei obudziły w nim ukryty zapał; rozogniona twarz Dżalmy, jego oczy, na przemian roziskrzone, to omdlałe, przyśpieszony oddech, oznajmiły wrzące namiętności, tym silniejsze, że były dotąd powściągane.

Dlatego, zerwawszy się z sofy, giętki, silny i lekki jak młody tygrys, chwycił Faryngeę za gardło i zawołał:

– Twoje słowa są trucizną...

– Książę – rzekł Faryngea, nie stawiając oporu – książę, niewolnik pański jest jego niewolnikiem... Ta uległość rozbroiła księcia.

– Moje życie należy do pana – powtarzał Metys.

– To ja do ciebie należę, niewolniku! – zawołał Dżalma, odpychając go. – W tej chwili byłem uczepiony u twoich ust, pożerając te zgubne kłamstwa.

– Kłamstwa, panie?... Pokaż się tylko, książę, tym kobietom! Ich oczy potwierdzą moje słowa.

– Czy te kobiety kochałyby mnie... mnie, który żyłem dotąd na wojnie i w lasach? Ależ ja jestem dzikim barbarzyńcą!...

– Dlatego właśnie zobaczysz je pan u swych stóp; będą się zarazem ciebie bały i wzdychały za tobą, myśląc o tych wszystkich gwałtownościach, o tych uniesieniach nienawiści, namiętności i miłości, jakim mężczyzna pańskiej krwi, pańskiej młodości i pańskiego zapału musi podlegać. Dziś łagodny i tkliwy, jutro szalony i namiętny... takim będziesz, książę, takim trzeba być, żeby im się podobać, zniewolić je.

– A więc dobrze! – zawołał Dżalma z roziskrzonym wzrokiem, biegnąc po salonie, a raczej skacząc jak dziki zwierz.

– Myśląc o tym, drzę z radości, szczęścia i obaw... Niewolniku, prawdę mówisz! Ta miłość to będzie coś upajającego, straszego... Ale ta kobieta... ta kobieta... przed którą będę truchlał i która będzie truchleć, ujrawszy mnie... gdzie ona jest? – zawołał w większym jeszcze szale... – Znajdę ją!

– Kobieta, to wiele, panie – odparł Faryngea z sardoniczną oziębłością. – Kto szuka jednej kobiety, rzadko kiedy znajdzie ją w tym kraju; kto zaś szuka kobiet, ten będzie wiedział, którą z nich wybrać.

\* \* \*

W chwili, kiedy Metys wydawał tak niepoehlebną dla kobiet paryskich opinię, przed małą furtką ogrodu wokół domu, wychodzącą na odludną uliczkę, ukazał się odkryty powóz, nadzwyczaj wytworny, błękitno-lazurowy, z białym spodem i błękitnymi obwódkami.

W powozie siedziały dwie kobiety: panna de Cardoville i Floryna.

## ROZDZIAŁ XIV

### PRZEBUDZENIE

Aby wytłumaczyć przyjazd panny de Cardoville, trzeba wrócić do wcześniejszych wydarzeń.

Opuszczając dom doktora Baleinier, panna Cardoville udała się do swego pałacu przy ulicy Anjou. Podczas ostatnich miesięcy swego pobytu u ciotki, kazała potajemnie odrestaurować i umeblować to piękne mieszkanie, którego przepych i wytworność powiększyła wszelkiego rodzaju osobliwościami pawilonu pałacu Saint-Dizier.

Uważając, że do zajęcia się podrzędnymi sprawami domu, do jego dozoru i utrzymania, trzeba jej będzie wiernych ludzi, napisała do rządcy dóbr Cardoville i jego żony, aby natychmiast przybyli do Paryża; tak więc pan Dupont miał pełnić obowiązki intendenta, a pani Dupont szafarki, gospodyni. Dawny przyjaciel ojca panny de Cardoville, hrabia Montbron, starzec nader rozumny, niegdyś bardzo wzięty mężczyzna, a przy tym wielki znawca elegancji, doradził Adriannie, aby występowała jak księżna, aby przyjęła koniuszego, polecając jej na to stanowisko człowieka bardzo dobrze wychowanego, w wieku więcej niż dojrzałym, człowieka, który, będąc wielkim miłośnikiem koni, zrujnowawszy się w Anglii, w Newmarket, w Derby i u Tatersalla, sławnego handlarza koni, zmuszony był, jak się to często zdarza dżentelmenom, zostać stangretem dyliżansu. Takim był pan de Bonneville, protegowany hrabiego Montbrona.

Panna Cardoville przyjęła znowu dawne pokojowe: Hebe, Żorzetę i Florynę.

Ostatnia początkowo miała objąć służbę przy księżnie Saint-Dizier jako dozorczyń, z polecenia przełożonej klasztoru Panny Marii; lecz wskutek nowego kierunku, jaki Rodin nadał sprawie Rennepont'ów, postanowiono, aby Floryna, jeśli okoliczności pozwoliłyby, weszła na powrót do służby u panny Cardoville.

Co do Garbuski, dogadzając życzeniu panny Cardoville, uważając, że nie jest już potrzebna żonie Dagoberta, o której jeszcze będziemy mówić, zgodziła się na pozostanie w pałacu przy Adriannie, która przez rzadką przenikliwość serca, czym się szczególnie odznaczała, powierzyła młodej wyrobniczcy, która jednocześnie służyła jej za sekretarza, sprawy wsparcia i jałmużny.

Rzeczywiście, Garbuska bardziej niż ktokolwiek mogła przyjąć ofiarowane przez Adriannę posłannictwo; jej okrutne doświadczenie, dotkliwa bieda, anielska dobroć, rzadka uczynność, znajomość tajników nieszczęścia i doskonała znajomość ludzi ubogich, dawały rękojmię przezorności i taktu; zacna istota mogła doskonale wspierać szlachetne zamiary panny de Cardoville.

\* \* \*

Wróćmy jednak do wydarzeń, które poprzedziły przybycie panny de Cardoville do domu przy ulicy Białej.

Jest dziesiąta rano. Szczelnie zamknięte okiennice w sypialni Adrianny nie przepuszczały nawet promyka światła do pokoju, oświetlonego tylko kulistą lampą ze wschodniego alabastru, zawieszoną u sufitu na trzech srebrnych łańcuszkach.

Pokój ten, zbiegający się w kopułę, miał kształt namiotu o ośmiu ściętych ścianach.

Dwoje drzwi z kości słoniowej, nabijanej perłową masą, prowadziło – jedno do sali kąpielowej, drugie do buduaru.

Panna de Cardoville, dopiero przebudziwszy się, spoczywała na łożu pośród powodzi muślinu, koronek, batystu i jedwabiu.

Pograżona w porannym odrętwieniu, którego ciepła niemoc sprzyja marzeniom, oparła się na poduszce, mając głowę nieco pochyloną, co jeszcze lepiej uwydatniało idealny kontur jej szyi i obnażonych ramion.

Któż potrafiłby odmalować niewysłowiony urok przebudzenia Adrianny... ocknięcia się tak pięknej, czystej duszy, w równie pięknym i czystym ciele!

Ufna w szlachetność swego charakteru, dumna z przykładu, jaki miała dać innym kobietom, wiedząc, że oczy będą zwrócone na nią przez zazdrość, czuła się w pełni wolna i szczęśliwa, nie bojąc się ani siebie, ani swej przyszłości.

Bieg okoliczności czy też wybryk skłonił wkrótce Adriannę do zajęcia się Dżalmą.

Uszczęśliwiona dopełnieniem wobec niego, potomka królewskiego rodu, obowiązków należnej gościnności, wcale nie miała zamiaru czynić z młodego księcia bohatera swej przyszłości.

Myślała początkowo i słusznie, że to na wpół dzikie, prawie jeszcze dziecko, z burzliwymi namiętnościami, które choć z czasem dałyby się poskromić, jeszcze przecież nie były poskromione, przeniesione nagle w środowisko wyrafinowanej cywilizacji, wystawione być musi nieuchronnie na przykre doświadczenia i gwałtowne wstrząsy. Zaś panna de Cardoville, nie mając w charakterze nic męskiego, żadnej skłonności do panowania, nie chciała zajmować się cywilizowaniem młodego dzikusa. Nie chcąc go zostawić bezbronego wobec niebezpieczeństw paryskiego życia, prosiła hrabiego Montbrona, aby wprowadził księcia Dżalmę do najlepszych towarzystw w Paryżu i aby wspierał go swoim doświadczeniem.

– Co do mnie, drogi hrabio – zwróciła się do pana Montbron – moje postanowienie jest niezmiennie; sam mi pan powiedział, jakie wrażenie sprawi pojawienie się księcia Dżalmy, dziewiętnastoletniego Hindusa zachwycającej urody, wyniosłego i dzikiego jak lew; to jest coś nowego, nadzwyczajnego, jak powiedziałaś, hrabio; dlatego cywilizowana społeczność ścigać go będzie z natarczywością, której się obawiam; otwarcie zaś przyznam, iż nie wypada mi okazać, że chcę rywalizować w gorliwości z tylu pięknymi damami, które pewnie zechcą się wystawić na szpony tego młodego tygrysa.

A gdy pan Montbron zapytał, czy wygnanie indyjskiego tygrysa będzie długo trwało, odpowiedziała:

– Przyjmując u siebie prawie wszystkie osoby z towarzystw, do których pan go wprowadzi, będę miała sposobność bawić się różnymi zdaniem, jakie o nim usłyszę. Jeżeli znajdą się osoby, które powiedzą o nim wiele dobrego, znajdą się i takie, które będą mówić źle... tak się spodziewam. Słowem, opinia, jaką sobie w ten sposób wytworzę, skróci lub przedłuży, jak pan to nazywa, wygnanie mego królewskiego kuzyna.

\* \* \*

Tego ranka Adrianna, zajęta myślami o swojej przyszłości, porzuciła je wreszcie, usiadła na łożku i zadzwoniła na służące.

Na pierwszy głos dzwonka otworzyło się dwoje drzwi ze słoniowej kości.

Na progu ukazała się Żorzeta, a razem z nią wpadła, głośno szcękając, Lutyna.

Hebe wyszła z pokoju kąpielowego, w głębi którego, na kobiercu z zielonego kurdybanu, ze złotymi kwiatami, widać było obszerną kryształową wannę w kształcie podłużnej muszli. Widząc Hebe niosącą w delikatnych rękach ubiór kąpielowy, Adrianna spytała:

– A gdzie jest Floryna?

– Już dwie godziny, jak wyszła; zawołano ją, jak mówiła, w pilnej sprawie.

\* \* \*

Od przebudzenia minęły dwie godziny; Adrianna, kazawszy ubrać się, jak zwykle, z całą elegancją, dała pannom znak, aby się oddaliły i zawołały Garbuskę, której zawsze okazywała pewien szacunek i dlatego przyjmowała ją osobno.

Dziewczyna przybiegła szybko, blada, poruszona i rzekła drżącym głosem:

– Ach, pani!... Słuszne były moje przeczucia. Zdradzają panią...

– O jakich przeczuciach mówisz, moja droga? – spytała zdziwiona Adrianna. – I któż to mnie zdradza?

– Pan Rodin – odpowiedziała Garbuska.

## ROZDZIAŁ XV

### PODEJRZENIE

Słyszac to niespodziewane oskarzenie, panna de Cardoville popatrzyła na Garbuskę z nowym zdziwieniem.

Nim opowiemy tę scenę, nadmienimy krótko, że Garbuska porzuciwszy swoją ubogą odzież z woli Adrianny ubrała się na czarno, w sposób równie prosty jak gustowny. Ten smutny kolor zdawał się symbolizować, że Garbuska zrzekła się wszelkiej próżności ludzkiej, że serce jej przybrało żalobę, a jej obowiązki wymagały poświęcenia się dla wszelkiego rodzaju nieszczęśliwych.

Zmieszanie na twarzy Garbuski wyrażało wielką obawę.

Panna Cardoville, bardzo zdziwiona, zawołała:

– O czym ty mówisz?

– Pan Rodin panią zdradza.

– Och!... To niemożliwe!

– Nie wiem, pani, ale takie było moje pierwsze wrażenie, a moja obawa była tak silna, iż mimo względów, jakie pan Rodin okazał mojej siostrze, nigdy mu nie ufałam.

– To dziwne; ale skąd twoje podejrzenia zmieniły się dziś w przekonanie?

– Wczoraj poszłam do siostry, by zanieść jej pieniądze, które dał mi dla niej pan Rodin od jakiejś miłosiernej osoby... Nie zastawszy Cefizy u przyjaciółki, która ją przyjęła do siebie, prosiłam dozorczynię, żeby przekazała siostrze, iż przyjdę do niej dziś rano... Co rzeczywiście uczyniłam. Lecz daruj mi, pani, że muszę wyznać tu niektóre szczegóły.

– Mów, mów, moja droga.

– Dziewczyna, która przyjęła do siebie moją siostrę – rzekła zakłopotana Garbuska, spuściwszy oczy i zarumieniwszy się – prowadzi nie bardzo... przyzwoite życie. Pewien jegośmość, z którym miała zażyłość, niejaki pan Dumolin, powiedział jej prawdziwe nazwisko pana Rodina, który, mając w tym domu najęty pokój, kazał się tam nazywać panem Charlemagne.

– Właśnie mówił o tym u doktora Baleiniera.

– A więc wczoraj pan Rodin przyjmował u siebie księdza d'Aigrigny.

– Ksiądz d'Aigrigny? – zawołała panna Cardoville.

– Otóż, czego się dowiedziałam: ksiądz d'Aigrigny przyszedł rano odwiedzić pana Rodina; nie zastawszy go, zostawił u stróżki swoje nazwisko napisane na kawałku papieru, z tymi słowami: „Powrócę za dwie godziny”. Dziewczyna, o której mówiłam, widziała i czytała ten napis.

– Nie... nie... – rzekła Adrianna z niepokojem w głosie – to niepodobna, to jakaś pomyłka.

– Chcąc się dowiedzieć coś bliżej – ciągnęła Garbuska – pytałam dozorczynię, czy pan Rodin i ksiądz d'Aigrigny gniewali się; o ile mogła zauważyć, gdy ich widziała razem wychodzących z domu; powiedziała, że nie, ksiądz d'Aigrigny mówił tylko do pana Rodina, rozstając się z nim przy bramie: „Jutro... napiszę do pana... Zgoda, pamiętaj pan...”

– O, mój Boże! Czyżby to był tylko sen? – rzekła Adrianna, przykładając ręce do czoła. – Nie mogę wątpić w to, co mówisz, ale droga przyjaciółko, może obawiamy się niepotrzebnie, nie bądźmy zbyt skwapliwe w sądach... Starajmy się obie przekonać rozumowaniem: powtórzmy jeszcze okoliczności. Pan Rodin otworzył mi drzwi domu doktora Baleiniera, w mojej obecności wytoczył skargę na księdza d'Aigrigny... Wszystko to miało miejsce, prawda?

– Tak, bez wątpienia.



– Zastanówmy się teraz, czy może być jakaś możliwość zdrady. Schodzić się z księdzem d’Aigrigny, aby mnie zdradzić? Lecz zdradzić mnie? Gdzie? W czym?

– Ale w takim razie, jak tłumaczyć schadzkę dwóch ludzi, którzy mają tyle powodów do wzajemnej urazy i nienawiści... A zresztą, czy się za tym wszystkim nie kryje jaki szkodliwy zamiar? A potem, racz mi pani wierzyć, że nie tylko ja tak myślę...

– Jak to?

– Dziś rano, po powrocie do domu, byłam tak zmartwiona, iż panna Floryna spytała mnie, co się stało; wiem, jak jest do pani przywiązana.

– Trudno być bardziej życzliwą; niedawno, droga przyjaciółko, sama mi powiedziałaś, jak ważną wyświadczyła ci przysługę podczas mego pobytu w domu doktora.

– Tak więc, proszę pani, wróciwszy do domu, uważałam, że trzeba przestrzec panią jak najprędzej i opowiedziałam wszystko panie Florynie. Ona, podobnie jak ja, a może jeszcze bardziej przeraziła się wiadomością o spotkaniu pana Rodina z księdzem d’Aigrigny. Zastanowiwszy się nieco, rzekła:

„Sądzę, że nie ma potrzeby budzić pani; w ciągu paru godzin może się jeszcze dowiem czegoś więcej.”

Potem kazała zawołać dorożkę i pojechała.

– Floryna jest ząną dziewczyną – rzekła z uśmiechem panna de Cardoville – lecz myślę, że jej gorliwość i dobre serce zawiodły ją, równie jak ciebie. Ksiądz d’Aigrigny mocno się teraz lęka pana Rodina, szukał go więc w jego ustroniu, chcąc go przeprosić.

– Może tak być – rzekła Garbuska po krótkim zastanowieniu. – Ale mimo wszystko jednak nie wierz im, pani, zwodzą panią, tak, czuję, że cię zwodzą!... Choć wszystko zdaje się być przeciw temu, co mówię... Ale wierz mi, pani, że moje przeczucia są zbyt mocne, aby miały być błędne... A wreszcie, czy pani nie odgaduje najskrytszych skłonności mego serca, żebym ja nawzajem nie miała odgadnąć grożących ci niebezpieczeństw?

– O czym ty mówisz, kochana przyjaciółko? Co ja odgadłam? – odrzekła panna Cardoville, mimowolnie wzruszona i zdziwiona przekonującym i strwożonym tonem Garbuski, która ciągnęła dalej:

– Co pani odgadła? Kto doradził pani, kiedy chciałaś mnie posadzić u swojego stołu jako przyjaciółkę, mnie, ubogą wyrobnicę, w której chciałaś uszanować pracę, cierpliwość i poczciwość? Że będę szczęśliwa, jeżeli znajdzie się dla mnie małe, skromne mieszkanie w tym wspaniałym pałacu, którego blask mnie razi? Kto pani poradził, kiedy raczyłaś wybrać aż nadto piękne mieszkanie dla mnie? Kto pani powiedział, że nie zazdroszcząc wytworności ślicznym dziewczętom, które cię otaczają, a które kocham choćby dlatego, że panią kochają, że porównując się mimowolnie, będę się wstydzić samej siebie? Któż pani podszeptał, że byłaś tak łaskawa oddalać je zawsze od siebie, ile razy mnie wzywałaś? Któż wreszcie zawiadomił panią o przykrych i drażliwych okolicznościach mego wyjątkowego położenia? Kto pani to wszystko powiedział? Bóg pewno, który w nieograniczonej wielkości opatruje świat i wszelkie stworzenia, który pamięta o najdrobniejszym, czołgającym się w trawie robaczku. I nie chce pani, aby wdzięczne serce, które tak dobrze rozumiesz, wzniosło się do odgadnięcia wzajemnie tego, co by ci mogło szkodzić? Nie, nie, pani, jedni mają instynkt zachowania siebie samych, drudzy, daleko szczęśliwsi, obdarzeni są instynktem zachowania tych, których kochają... Taki instynkt Bóg mnie dał... Zdradzają panią, powtarzam... zdradzają panią!

W tej chwili zapukano do drzwi salonu i weszła Floryna. Widząc zmieszanie w twarzy swej pokojówki, panna Cardoville żywo odezwała się:

– Floryno!... Co powiesz nowego? Skąd wracasz?

– Z pałacu Saint-Dizier, proszę pani.

– A po co tam jeździłaś? – zapytała panna de Cardoville.

– Dziś rano, panna (tu Floryna wskazała na Garbuskę) zwierzyła mi swoje podejrzenia, które ja dzieliłam z nią. Odwiedziny księdza d’Aigrigny u pana Rodina uważałam za rzecz

groźną. Pomyślałam sobie, że jeżeli w tych dniach pan Rodin pójdzie do pałacu Saint-Dizier, będzie to znaczyło, że jest zdrajcą.

– Słusznie! – rzekła Adrianna, coraz niespokojniejsza. No i co?

– Ponieważ pani kazała mi przypilnować, gdy będą przynosili rzeczy z pawilonu, których zostało tam jeszcze sporo, dla otwarcia pokojów musiałam udać się do pani Grivois; miałam zatem powód, by wrócić do pałacu.

– Potem... Floryno... co potem?

– Staralam się naprowadzić panią Grivois na rozmowę o panu Rodinie; ale daremnie.

– Nie ufają pani – rzekła Garbuska. – Tego się można było spodziewać.

– Pytałam się, czy w tych dniach był w pałacu pan Rodin – opowiadała Floryna – odpowiedziała mi, aby zbyć. Wtedy, nie mając nadziei dowiedzenia się czegoś, wyszłam od pani Grivois i żeby mój pobyt tam nie wzbudził podejrzenia, poszłam do pawilonu; wtem, wychodząc z alei, co widzę? Kilka kroków ode mnie idzie ku furtce ogrodowej... pan Rodin, który pewno sądził, że wyjdzie tamtędy nie zauważony.

– Słyszysz, pani! – zawołała Garbuska, składając ręce z błagalną miną. – Przekonaj się pani!...

– On?... U księżny Saint-Dizier? – zawołała panna Cardoville, której wzrok, zwykle łagodny, zabłysnął gwałtownym oburzeniem.

– Na jego widok zatrzymałam się – rzekła Floryna – i cofnąwszy się, dostałam się do pawilonu, a nie będąc widziana, weszłam prędko do sionki od ulicy. Stamtąd okna wychodzą ku furtce ogrodowej, otwieram je, zostawiając zamknięte okiennice i widzę dorożkę czekającą na pana Rodina, który w kilka minut później wsiadł do niej, mówiąc do stangreta: „Na ulicę Białą 39”.

– Do księcia!... – zawołała panna Cardoville.

– Tak, pani – rzekła Floryna.

– Rzeczywiście Rodin miał go dziś odwiedzić – przypomniała sobie Adrianna.

– Nie ma wątpliwości, jeżeli panią zdradza, zdradza także i księcia... który znacznie łatwiej niż pani stanie się jego ofiarą.

– Niegodziwość!... Niegodziwość!. Niegodziwość! – zawołała panna Cardoville. – Gdyby to istotnie była zdrada!... Ach!... Wtedy już nie można by nikomu ufać, nawet sobie samej.

– Och, pani, to okropne! – rzekła struchlała Garbuska.

– Ależ w takim razie, po co było mnie ratować, mnie i moich krewnych, po co oskarżać księdza d'Aigrigny? – zastanawiała się panna Cardoville. – Prawdziwie, w głowę zajść trzeba. To otchłań! Och!... Ta wątpliwość jest okropna...

– Gdy wracałam – rzekła Floryna – przyszedł mi na myśl sposób, dzięki któremu mogłaby pani przekonać się o wszystkim... ale nie byłoby ani chwili do stracenia...

– Co chcesz powiedzieć? – rzekła Adrianna, patrząc z ciekawością na Florynę.

– Pan Rodin będzie wkrótce sam na sam z księciem – rzekła Floryna.

– Nie ma wątpliwości – odpowiedziała panna Cardoville.

– Księżę zawsze przebywa w małym salonie, od którego oszklone drzwi prowadzą do oranżerii. W tym salonie będzie przyjmować pana Rodina.

– I co dalej? – spytała Adrianna.

– Z tej oranżerii, którą urządziłam według pani rozkazów, tylko jedne małe drzwiczki prowadzą na przyległą uliczkę. Rośliny są tak rozmieszczone, iż zdaje się, że nawet wtedy, kiedy story zasłaniające okna nie są spuszczone, jeszcze można by, nie będąc widzianym, tak się zbliżyć, że byłoby słyszeć rozmowę, prowadzoną w salonie. Ostatnio zawsze wchodziłam do oranżerii tymi drzwiami. Ogrodnik miał jeden klucz... a ja drugi...

– Szpiegować?... – rzekła panna de Cardoville z oburzeniem, przerywając Florynie. – Nie zastanawiasz się nad tym, co mówisz...

– Przepraszam panią – rzekła dziewczyna, zawstydzona i zmieszana. – Pani miała pewne podejrzenia, byłby to, według mnie, jedyny sposób, aby je potwierdzić lub usunąć.

. – Poniżyć się... aż do podsłuchiwania czyjejs rozmowy? Nigdy – przerwała Adrianna.

Przewyciężając sama siebie, Garbuska, usiłując powściągnąć napływające łzy, odezwała się:

– Mimo wszystko jednak, ponieważ chodzi tu może o pani ocalenie, gdyż, jeżeli to jest zdrada... skutki jej mogą być straszne... ja tam pójdę... jeżeli pani pozwoli... dla...

– Tak – odpowiedziała Adrianna przerywając jej – jeżeli mają zamiar prowadzić ze mną wojnę... trzeba się do niej przygotować... i wreszcie byłoby to słabością, niedołężnością, nie mieć się na baczności. Floryno: salopę, kapelusz i pojazd... pojedziesz ze mną...

W pół godziny później powóz Adrianny zatrzymał się, jak widzieliśmy, przy wejściu do ogrodu, otaczającego dom młodego księcia.

Floryna weszła sama do oranżerii i niebawem powróciwszy, rzekła do swej pani:

– Stora spuszczone; pan Rodin dopiero co wszedł do salonu...

Tak więc panna Cardoville, choć nie widziana, była obecna przy następującej scenie, jaka rozegrała się między Rodinem a księciem Dżalmą.

## ROZDZIAŁ XVI

### LIST

Na kilka minut przed ukryciem się panny Cardoville w oranżerii, Rodin został wprowadzony przez Faryngeę do księcia Dżalmy, który, cały jeszcze opanowany namiętym uniesieniem, jakie wzbudziły w nim podżegania przewrotnego sługi, zdawał się nie spostrzegać przybycia jezuita. Ten zdziwiony silnym wzburzeniem, malującym się na twarzy Dżalmy i jego nieco obłąkanym wzrokiem, skinął pytająco na Faryngeę, który także ukradkiem odpowiedział, przyłożywszy wskazujący palec na serce i czoło, a następnie wskazał na żarzące się węgle w kominku; ta pantomima znaczyła, że głowa i serce Dżalmy były namiętnie rozognione.

Rodin zrozumiał tę mowę, gdyż nieznaczny uśmiech zabłysnął na jego ustach, potem rzekł głośno do Faryngei:

– Moim życzeniem jest zostać sam na sam z księciem... spuść storę i pilnuj, aby nam nikt nie przeszkadzał...

Metys skłonił się nisko i zbliżywszy się do szklanych drzwi, dotknął sprężyny, a te usuwały się w głąb muru w miarę, jak opadała stora, po czym skłoniwszy się znowu, wyszedł z salonu. W kilka minut po jego wyjściu panna Cardoville i Floryna weszły do oranżerii, oddzielonej od salonu tylko storą z białej jedwabnej materii, na której wyszyte były wielkie barwne ptaki.

Stuknięcie drzwiami, które Faryngea zamknął za sobą, zdawało się wracać Dżalmie przytomność; chociaż jego twarz była jeszcze rozpalona, odzyskał jednak zwykły spokój i łagodność.

– Wybacz, ojcze...

I zwyczajem młodych barbarzyńców, pełnych uszanowania dla starszych, Hindus wziął rękę Rodina i chciał przyłożyć ją do ust, jezuita nie przyjął jednak tego hołdu i cofnął się o krok.

– Po co, książę, robisz tyle ceremonii, aż mnie to kępuje – rzekł. – Jesteś w swoim domu, prawie jak w głębi Indii; szczerze pragniemy, abyś, książę, tak się tutaj czuł.

– Wiele rzeczy przypomina mi mój kraj – odparł Dżalma łagodnie i z powagą. – Wasza dobroć przypomina mi ojca i tego, który mi go zastępował – dodał, mając na myśli marszałka Simona, o którego przybyciu na razie jeszcze, z pewnych powodów, nic mu nie wspomniano.

Po chwilowym milczeniu, rzekł swobodnym tonem:

– Jesteś tu, jestem szczęśliwy, ojcze.

– Pojmuję radość księcia, gdyż uwolniłem go z więzienia... otworzyłem mu klatkę... Prosiłem księcia, aby się dobrowolnie poddał temu krótkotrwałemu zamknięciu, jedynie dla własnego dobra.

– Czy już jutro będę mógł wyjść?

– Nawet dziś, drogi książę.

Młodzieniec zamyślił się, po czym rzekł:

– Chodź, ojcze...

– Dokąd, książę?... – spytał zdziwiony jezuita.

– Podziękować moim przyjaciółom... Czekałem trzy dni... to długo.

– Pozwól, książę... mam wiele do pomówienia z tobą w tej sprawie, racz usiąść.

Dżalma usiadł na krześle, Rodin rzekł:

– Prawda... masz, książę, przyjaciół... czyli raczej masz przyjaciela; przyjaciele są rzadkością.

– A ty, kochany ojcze?

– Słusznie mówisz, książę... Masz więc dwóch przyjaciół, kochany książę: mnie, którego znasz... i drugiego, którego nie znasz... i który życzy sobie pozostać w ukryciu.

– Dlaczego?

– Dlaczego?... – rzekł Rodin trochę zakłopotany – bo szczęście, jakiego doznaje, dając ci dowody swej przyjaźni i spokój, przy takim sposobie postępowania... są dla niego nagrodą tej tajemnicy.

Twarz Dżalmy przybrała wyraz smutnej godności, podniósł dumnie czoło i rzekł poważnym, surowym głosem:

– Ponieważ ten przyjaciel ukrywa się, widać zatem, że powinienem się go wstydzić... Tylko od takich ludzi przyjmuję gościnność, takich, których jestem godny lub którzy godni są mnie... Opuszczam ten dom.

Mówiąc to wstał, ale Rodin zawołał:

– Ależ posłuchaj mnie, książę... pozwól sobie powiedzieć, że jesteś niezmiernie drażliwy... Chociaż staraliśmy się przywieść księciu na pamięć jego piękny kraj, jesteśmy jednak w środku Europy, w środku Francji, w Paryżu.

– Masz rację, ojczy, nie jestem we własnym kraju... tu są odmienne zwyczaje, będę o tym pamiętał.

Rodin zdziwił się, widząc go przez chwilę zamyślonego. Dżalma mówił dalej, tonem spokojnym, ale wyrażającym mocne postanowienie:

– Usłuchałem cię; zastanowiłem się, ojczy,

– Więc co, książę?

– W każdym kraju na świecie, pod żadnym pozorem, uczciwy człowiek, jeżeli jest przyjacielem innego człowieka, nie powinien się z tym ukrywać.

– A jeżeli jest dla niego niebezpieczne ujawniać się z tą przyjaźnią... – rzekł Rodin, niepokojny wobec takiego toku rozmowy. – A gdyby tak księciu groziło niebezpieczeństwo, w razie ujawnienia tej przyjaźni?

– Nie przyjmę nic od przyjaciela, który sądzi, że jestem zdolny zaprzecić się go...

– Ależ, na Boga! A gdyby chodziło o kobietę! – zawołał Rodin, podniecony do ostateczności, bojąc się, aby Dżalma nie opuścił domu i aby tym nie zniweczył jego planów.

Na ostatnie słowa Hindus zatrzymał się nagle.

– Kobieta? – zapytał drżącym głosem, z uszanowaniem, składając ręce.

I na jego twarzy odmalował się niewymowny, głęboki zachwyt.

– Kobieta?... – pytał dalej – Paryżanka?...

– Tak, drogi książę, kiedy zmuszasz mnie do szczerości, muszę wyznać, że jest to kobieta... zacna, godna matrona... pełna cnót, której podeszły wiek zasługuje ze strony księcia na najwyższy szacunek.

Po namiętnym uczuciu, jakie na moment zabłysło na twarzy księcia, pojawił się wyraz tkliwego uszanowania; spojrzął z rozrzewnieniem na Rodina i rzekł wzruszony:

– A więc ta kobieta jest dla mnie matką? Trudno opisać, z jakim melancholijnym wdziękiem wymówił słowo „matka”.

– Teraz, książę, pozwól sobie powiedzieć, jakie są życzenia twej szacownej przyjaciółki... Ten dom pozostanie zawsze do twojej dyspozycji, jeżeli ci się podoba; francuska służba, powóz i konie będą na twoje rozkazy; potrzeby twojego domu będą zaspakajane. Przy tym, ponieważ królewski syn powinien żyć po królewsku, zostawiłem w przyległym pokoju szkatułkę, zawierającą sto pięćdziesiąt luidorów: otrzymasz co miesiąc taką sumę; jeżeli ci nie wystarczy na tak zwane u nas, drobne wydatki, powiesz mi, a dostaniesz więcej.

Dżalma obruszył się, a Rodin dodał żywo:

– Pragnę cię jednocześnie uspokoić, książę, że twoja delikatność może być w tej mierze zupełnie spokojna. Najpierw... od matki... wszystko się przyjmuje... potem, ponieważ w ciągu trzech miesięcy odziedziczysz ogromny spadek, będziesz mógł, jeżeli ci ciążyło to dobro-

dziejstwo, zwrócić tę pożyczkę: nie żałuj więc niczego, użyj wszystkiego, co ci się spodoba... pragnieniem twojej przyjaciółki jest, abyś pokazał się w wielkim świecie paryskim tak jak wypada się pokazać synowi króla. Tak więc, powtarzam raz jeszcze, nie krępuj się niepotrzebną delikatnością... jeżeli ta suma nie wystarczy...

– Będę żądać więcej... moja matka ma słuszość, królewicz powinien żyć po królewsku – odpowiedział Dżalma z naiwną prostotą, nie okazując najmniejszego zdziwienia, że go tak hojnie wyposażono i tego właśnie należało się po nim spodziewać.

– A więc rzecz skończona, kochany książę! – rzekł jezuita. – Teraz, kiedy trzeba, byś zobaczył świat, żebyś wszedł do niego najlepszymi drzwiami, jak się zwykło u nas mówić... jeden z przyjaciół twojej opiekunki, hrabia Montbron, starzec należący do towarzyskiej elity, przedstawi cię w najznakomitszych paryskich domach...

– Dlaczego ty mnie nie przedstawisz, ojczu?

– Niestety! Drogi książę, przypatrz mi się, czy byłaby to dla mnie rola... A poza tym pan Montbron potrafi lepiej ode mnie znaleźć się w wielkim świecie, w którym ma... uchronić cię od sideł, jakie chciano by zastawić na ciebie. Bo masz wrogów, nikczemnych wrogów, którzy nadużywają twego zaufania, którzy naigrawają się z ciebie. A skoro, na nieszczęście, ich potęga dorównuje ich nienawiści, byłoby może dla ciebie roztropniejszą rzeczą unikać ich... chronić się...

Na wspomnienie wrogów, na myśl o unikaniu ich Dżalma wzdrygnął się cały, twarz jego zsiniała; oczy zaiskrzyły się tłumionym ogniem; nigdy pogarda, nienawiść, pragnienie zemsty, nie wystąpiły wyraźniej na twarzy ludzkiej...

Rodin zawołał:

– Kochany książę!... Co ci jest? Przerażasz mnie.

Dżalma nie odpowiedział; pochylony na krzesło, ścisnął ręce ze złości, zdawał się trzymać poręczy krzesła, aby nie poniósł go napad wzburzonego gniewu... Przypadek zdarzył, że w tej chwili cybuch fajki potoczył mu się pod nogi. Dżalma był tak silny, iż szybkim ruchem nogi skruszył bursztyn, mimo jego twardości.

– Ależ, na Boga! Książę, co ci jest? – zawołał Rodin.

– Tak zetnę moich nieprzyjaciół! – zawołał Dżalma, rzuciwszy na Rodina groźnym, roziskrzonym okiem.

Potem, jakby te słowa doprowadziły jego zapalczywość do najwyższego stopnia, zerwał się z krzesła i jak szalony biegał po sali, jakby szukał oręża. Była to bezsilna wściekłość dzikiego, miotającego się w klatce zwierzęcia, gdy łaknie krwi.

Młody Hindus był bardzo piękny i bardzo dziki; widać było po nim, że posiada wrodzony instynkt, ognisty, ślepy, nieustraszony, w owej chwili doprowadzony do najwyższego stopnia na wspomnienie ludzkiej podłości.

Ukrywając złośliwą radość, Rodin podziwiał popędliwość młodego Hindusa, który w stosownej okoliczności unieść się mógł strasznym wybuchem. Nagle, ku zdziwieniu jezuity, burza ucichła.. Dżalma zbladł, twarz jego przybrała ponury wyraz; potem, z zimnym spokojem, straszniejszym niż zapalczywość, jaką pałał niedawno, rzekł:

– Mój ojczu, zaprowadzisz mnie dziś do moich wrogów.

– A w jakim celu, drogi książę?... Co zamierzasz zrobić?

– Pozabijać tych nikczemników!

– Zabić ich! Nawet nie myśl o tym. Ależ, jeszcze raz powtarzam, pamiętaj o tym, książę, że nie jesteś nad brzegami Gangesu, gdzie nieprzyjaciół zabija się tak samo jak tygrysa na polowaniu.

– Wytępić szkodników jest powinnością.

– A więc... książę... zemsta?

– Ja się nie mszczę nad wężem – rzekł wyniośle Dżalma – ja go niszczę.

– Ależ, książę, tu nie ma zwyczaju pozbywać się w taki sposób nieprzyjaciół... Sąd zajmuję się twoją sprawą, rozbiera ją, sądzi i jeżeli trzeba, karze.

- W mojej sprawie ja sam jestem sędzią i katem.
  - Proszę cię, książę, zechciej mnie wysłuchać. Mógłbym ci powiedzieć: znam tych nieprzyjaciół, lecz z obawy, żebyś się nie dopuścił jakiej lekkomyślności, zataję przed tobą ich nazwiska. Lecz zapewniam cię, że jeżeli osoba, która kocha cię jak syna, uzna za słuszne i pożyteczne, abym wyjawiał ci te nazwiska... poznasz je, ale nie pędź, aż ona zdecyduje.
- Dżalma patrzył ponuro na Rodina.
- W tej chwili wszedł Faryngea i zwrócił się do Rodina:
- Jakiś człowiek przyniósł list do pana. Powiedziano mu, że pan tu jest. Czy mam przyjąć list?... Mówi, że jest od księdza d'Aigrigny.
  - Oczywiście! – rzekł Rodin, po czym dodał: – Jeżeli książę pozwoli?
- Dżalma skinął głową.
- Daruj, książę, spodziewałem się dziś rano ważnego listu; kiedym się go nie mógł doczekać, nie chcąc opóźnić swojej wizyty u księcia, zaleciłem w domu, aby mi tu przysłano ten list.
- Faryngea wrócił po chwili z listem, który oddał Rodinowi, po czym wyszedł.

## ROZDZIAŁ XVII

### ADRIANNA I DŻALMA

Rodin wziął list księdza d'Aigrigny w jedną rękę, a drugą zdawał się czegoś szukać w kieszeniach surduta, potem w spodniach; wreszcie, nigdzie nie znalazłszy, położył list na kolanach swych wytartych pantalonów, patrząc nań z żalem i niepokojem.

– Niestety! Książę! – rzekł – zdarzyła mi się rzecz najbagatelniejsza w świecie, a jednak sprawia mi wiele kłopotu... zapomniałem albo zgubiłem okulary, a przy tym półmroku, a nade wszystko z powodu nieszczęsnego wzroku, który straciłem: przez zbytnią pracę i z wiekiem, nie będę mógł przeczytać tego listu, a jest bardzo ważny, gdyż oczekują ode mnie natychmiastowej odpowiedzi...

– Mój ojciec – rzekł uprzejmie Dżalma – pozwolisz, abym cię wyreczył? Treść postaram się od razu zapomnieć.

– Czy naprawdę byłbyś łaskaw, książę, uczynić mi tę przysługę? Nie ośmieliłbym się prosić o nią.

Mówiąc to podał list Dżalmie, który czytał głośno:

„Dzisiejszy ranny pobyt pana w pałacu Saint-Dizier, według tego, co mi doniesiono, jest nowym najściem z jego strony.

Oto ostatnia propozycja, jaką panu oznajmiono; będzie ona równie daremna, jak mój postępek, którego użyłem wczoraj bezskutecznie, udając się na ulicę Klodoweusza.

Po tym długim i przykrym tłumaczeniu się, powiedziałem panu, że do niego napiszę; dostrzymuję obietnicy, oto moje ultimatum. Ale najpierw ostrzeżenie:

Strzeż się pan... Jeżeli chcesz uporczywie stawać do nierównej walki, wystawisz się nawet na nienawiść tych, których podejmujesz się bronić. Jest tysiąc sposobów zgubienia cię w ich; oczach, kiedy się ich zawiadomi o twych zamiarach. Łatwo będzie ich przekonać, że sam należałeś do spisku, który chcesz teraz wykrywać, a to nie przez wspaniałomyślność, ale przez chciwość”.

Chociaż Dżalma był delikatny i dobrze rozumiał, że wypytywanie byłoby wielkim nietaktem, nie mógł jednak opanować ciekawości; czytając ten ustęp, spojrzał na jezuitę.

– A kim są ci ludzie, których pan broni?

– Których ja bronie?... – rzekł Rodin, udając, że się waha. – Kim są moi protegowani?... He... He!... Powiem ci, książę... Są to... są to biedacy bez żadnego ratunku, ludzie małego znaczenia, ale ludzie poczciwi, mający za sobą słusność... w procesie, który muszą prowadzić, grozi im zguba ze strony ludzi możnych... bardzo możnych... Szczęście, że ja dobrze znam tych drugich, mogę więc zdemaskować ich... I cóż chcesz, książę? Ja, biedny człowiek, naturalnie biorę stronę biednych ludzi... Ale, czytaj dalej, proszę cię...

Dżalma czytał:

„Jeżeli więc nie przestaniesz występować przeciwko nam jako nieprzyjaciel, wielce się narazisz, a nic nie zyskasz, trzymając stronę ludzi, których nazywasz swymi przyjaciółmi. W tym wszystkim, jeszcze raz powtarzam, musi ukrywać się chciwość.

Jeżeli więc tak jest, to... można ci ofiarować hojne wynagrodzenie... Jeszcze tego wieczora, najdalej o dwunastej w nocy, opuścisz Paryż i zobowiązesz się, że wrócisz nie wcześniej jak za sześć miesięcy.”

Dżalma nie mógł ukryć zdziwienia i spojrzał na Rodina.

– To proste! – odpowiedział ten. – Proces moich protegowanych odbędzie się przed tym terminem, więc oddalając mnie, chcą mi przeszkodzić w opiece nad nimi; rozumiesz, książę –



rzekł Rodin, niby z wielkim oburzeniem. – Bądź łaskaw czytać dalej i darować mi, że ci przerywam, ale taka bezczelność oburza mnie...

Dżalma czytał dalej:

„Abyśmy byli pewni, że opuszczasz Paryż na sześć miesięcy, udasz się do jednego z naszych przyjaciół w Niemczech, przyjmiesz u niego wspaniałą gošcinę, ale będziesz musiał pozostać u niego aż do upływu rzeczonych czasu”.

– Tak... dobrowolne więzienie – rzekł Rodin.

„Pod tymi warunkami będziesz pobierał pensję, wynoszącą 1.000 franków na miesiąc, poczynając od dnia twego wyjazdu z Paryża, 10.000 franków na rękę, a 20.000 fr. po upływie sześciu miesięcy. Wszystko będziesz miał dostatecznie poręczone. Wreszcie po sześciu miesiącach, będziesz miał zapewnione miejsce równie zaszczytne jak niezależne”.

Gdy Dżalma przestał czytać, mimowolnie przejęty gniewem, Rodin poprosił:

– Czytaj dalej, książkę, trzeba przeczytać do końca; dowiesz się stąd, co się u nas dzieje, mimo naszej cywilizacji.

Dżalma podjął czytanie:

„Dostatecznie znany ci jest tok sprawy i wiesz, kim jesteśmy, ile możemy; pojmujesz, że oddalając się, chcemy się tylko pozbyć mniej groźnego, ale uprzykrzonego nieprzyjaciela; nie zaślepiaj się pierwszymi krokami, które ci się jako tako udały. Skutki twego doniesienia będą znikome, gdyż jest ono potwarzą; sędzia, który poważył się przyjąć je, będzie gorzko żałował swej haniebnej stronnictwa. Z niniejszego listu możesz zrobić użytek, jaki ci się podoba.

Wiemy, do kogo piszemy, co piszemy i jak piszemy. Odbierzesz ten list o godzinie trzeciej. Jeżeli o czwartej nie otrzymamy od ciebie wyraźnego przyzwolenia, z podpisem własnoręcznym tu, na dole tego listu... rozpocnie się na nowo wojna... nie jutro, ale jeszcze dziś wieczorem”.

Dżalma skończył i spojrzał na Rodina, który odezwał się:

– Pozwól książkę, zawołać Faryngeę.

I mówiąc to zadzwonił.

Metys wszedł.

Rodin wziął list z rąk Dżalmy, rozdarł go na dwoje, zgniótł w rękę, tak iż zrobiła się z niego gałka i podając go Metysowi, rzekł:

– Oddasz to posłańcowi, który czeka i powiesz mu, że taka jest moja odpowiedź na ten list; dodasz jeszcze: na ten niegodziwy, zuchwały list.

– Rozumiem... dobrze rozumiem – odpowiedział Metys i wyszedł.

– Może to niebezpieczna wojna dla ciebie, mój ojczu – rzekł przyjacielskim tonem młody Hindus.

– Tak, książkę, niebezpieczna, może nawet... Ale ja nie postępuję tak jak ty... książkę... nie chcę zabijać moich nieprzyjaciół dlatego, że są podli i złośliwi... pokonuję ich... pod tarczą prawa. Naśladuj więc mnie...

Potem, widząc rumieniec i oburzenie na twarzy Dżalmy, dodał:

– Myle się... nie będę ci już dawał rady... Zgódź się tylko ze mną, że tę kwestię oddasz pod osąd twojej godnej opiekunki. Jutro będę się z nią widział; jeżeli uzna za wskazane, wyjawię ci nazwiska twoich wrogów. Jeżeli nie... to nie.

– A ta kobieta... ta druga matka... – rzekł Dżalma – czy jest tak szlachetna, iż będę mógł spuścić się na jej sąd?

– Ona? – zawołał Rodin, składając ręce i mówiąc z uniesieniem. – Ona... wszak to najszlachetniejsza, najwspanialsza na ziemi istota... ona... twoja opiekunka, a choćbyś był jej prawdziwym synem, nie okazywałaby ci bardziej macierzyńskiej miłości i mimo to, gdyby chodziło o wybór między poniżeniem a śmiercią, powiedziała ci pewnie: „Umieraj! Gotowa jestem umrzeć z tobą”.

– O! Szlachetna kobieta!... Taką właśnie była moja matka! – zawołał z uniesieniem Dżalma.

– Ona!... – znowu zawołał Rodin z zapalem i zbliżywszy się do okna, zakrytego storą, na które rzucił z ukosa niespokojnym wzrokiem. – Twoja opiekunka... Wyobraź sobie uosobioną odwagę, prostotę charakteru, prawość. O! Nade wszystko prawość!... Jest to szczerść, otwartość szlachetnego mężczyzny, obdarzonego wielkim charakterem, połączona ze wzniosłą godnością kobiety, która w całym swym życiu nie tylko nigdy nie skłamała... ale która umarłaby raczej, aniżeli dopuściłaby się najmniejszej obłudy, najmniejszej nieuczciwości lub wybiegu, często właściwych kobietom.

Trudno opisać zdziwienie, jakie objawiło się na twarzy Dżalmy gdy usłyszał taki opis kobiety z ust Rodina; zaiskrzyły mu się oczy, twarz okryła się rumieńcem, serce zabiło z uniesienia...

– Dobrze, szlachetne serce! – dodał Rodin, znowu podchodząc do okna zasłoniętego storą. – Posłuchaj tylko, książę, przed kilku dniami... ta szlachetna kobieta powiedziała mi cenne słowa, których nie zapomnę: Panie, kiedy mam podejrzenie na kogo, a kogo szanuję lub Kocham...

Nie dokończył...

Tak gwałtownie z zewnątrz potrząsnięto storą, iż pękła sprężyna. Ku swemu wielkiemu zdziwieniu Dżalma ujrzał pannę Cardoville.

Wydała się ona Dżalmie tak zachwycająca, iż zdawało mu się, że chyba śni.

Złożywszy ręce, z szeroko otwartymi oczyma, lekko pochylony naprzód, jakby przyklęknął do modlitwy, stał osłupiały i zdumiony.

Panna Cardoville, wzruszona, choć nieco zmieszana, stała na progu drzwi, prowadzących do oranżerii. Wszystko to stało się tak nieoczekiwanie i szybko, że Rodin, udając zdziwienie, zawołał:

– Pani tu jest?

– Tak, panie... – rzekła zmieszana Adrianna – przychodzę, aby dokończyć zdanie, które zacząłeś. Powiedziałam panu, że gdy mi padnie na myśl podejrzenie, oznajmiam je głośno osobie, która je spowodowała. A więc przyznaję się, że o mało nie zbłądziłam: przyszedłam tu pana śledzić... Pierwszy raz w życiu poniżyłam się do podstępu... słabość ta godna jest kary, poddaję się jej, daję panu zadośćuczynienie: jeżeli zażadasz, przeproszę cię... Następnie – zwracając się do Dżalmy, dodała: – Teraz, książę, trudno dalej utrzymywać tajemnicę... Jestem twoją krewną, jestem Adrianna de Cardoville i spodziewam się, że przyjmiesz gościnność od siostry, jak przyjmowałeś od matki.

Dżalma nie odpowiedział.

Zapatrzony z zachwytem na niespodziewane zjawisko, pochłaniał z pożerającą chciwością rzadką urodę młodej dziewczyny.

Istotnie, nigdy dwie piękniejsze istoty nie stanęły naprzeciw siebie. Adrianna i Dżalma stanowili ideał piękności kobiety i mężczyzny. Zdawało się, że jest coś nierzeczywistego w zbliżeniu tych dwóch istot, tak młodych, tak świeżych... tak namiętnych i tak wyniosłych, które, rzecz dziwna, zanim jeszcze spotkały się, już poznały się na swojej moralnej wartości.

Spojrzawszy na księcia i chcąc go skłonić do odpowiedzi, Adrianna spotkała jego bystry, ognisty wzrok i spuściła oczy z pewnym przestachem, smutkiem i dumą; wieszowała sobie, że instynktownie odgadła potrzebę trzymania Dżalmy w oddaleniu od siebie, lękała się bowiem zapalczywej, gwałtownej natury księcia.

Chcąc zakończyć przykrą sytuację, panna de Cardoville zwróciła się do Rodina:

– Bądź tak dobry, panie... pomów z księciem... powtórz mu moją propozycję... Ja tu dłużej nie mogę zostać.

Z tymi słowami cofnęła się ku Florynie.

Przy pierwszym kroku Adrianny, Dżalma skoczył ku niej jak tygrys, któremu chcą wydrzeć łup. Dziewczyna, przestraszona dzikim wyrazem twarzy Hindusa, cofnęła się z krzykiem. Na ten krzyk Dżalma przyszedł do siebie i przypomniał sobie wszystko, co zaszło; wte-

dy, blednąc z żalu i wstydu, zmieszany, padł Adriannie do nóg i wyciągnawszy do niej błagalnie ręce, rzekł łagodnie, z uszanowaniem i lękiem, prosząc:

– O, zostań... zostań... nie opuszczaj mnie! Już od tak dawna czekam na ciebie...

Na tę szczerą, pokorną prośbę sprzeczną z dopiero co okazaną dzikością, Adrianna odpowiedziała, dając jednocześnie znak Florynie, aby się przygotowała do odejścia:

– Książę... nie mogę tu dłużej zostać...

– Lecz... wróci pani? – rzekł Dżalma, niemal z błaganiem. – Ujrzę cię znowu?...

– Och! Nie, nigdy!... – odpowiedziała panna de Cardoville przytłumionym głosem; potem, korzystając z gwałtownego wzruszenia, w jakie wprowadziła Dżalmę jej odpowiedź, zniknęła w oranżerii za klombem roślin.

W chwili, kiedy Floryna, idąc za panią, przechodziła koło Rodina, ten szepnął jej z pośpiechem:

– Jutro trzeba skończyć z Garbuską.

Floryna struchlała i nie odpowiedziawszy, skryła się za Adrianną w gęstwinie roślin.

Dżalma opuścił ręce na kolana i obrócił ku Rodinowi stroskaną twarz.

– Wiedziałem, że panna Cardoville jest zachwycająca i że w tym, co książę wieku łatwo można się zakochać – mówił Rodin – i dlatego chciałem uchronić księcia od tego nieszczęsnego spotkania, gdyż twoja piękna bohaterka zapamiętała kocha pewnego młodzieńca, zamieszkałego tu, w Paryżu...

Usłyszawszy te słowa, Dżalma przyłożył obie ręce do serca, jakby został w nie ugodzony i krzyknął boleśnie; po czym chwycił się z rozpaczą za głowę i jak bez czucia padł na sofę.

Rodin patrzył nań zimno, a następnie, odchodząc i głaszcząc łokciem zatłuszczony kapełusz, rzekł do siebie:

– Połknął haczyk!

## ROZDZIAŁ XVIII

### RADY

Zegar wybił dziewiątą wieczór.

Owego dnia, w którym panna de Cardoville pierwszy raz widziała się z Dżalma, Floryna, blada i niespokojna, weszła do sypialnego pokoju, umeblowanego skromnie, ale przyzwoicie i wygodnie. Pokój ten należał do mieszkania, zajmowanego przez Garbuskę, a mieścił się na dole. Prowadziły do niego dwa wejścia: jedno z ogrodu, drugie z dziedzińca; tędy przychodziły do Garbuski osoby szukające wsparcia.

Rzuciwszy okiem po pokoju, pokojówka zbliżyła się do mahoniowego biurka, na którym stała piękna biblioteczka; klucz był w zamku każdej szuflady: Floryna zrewidowała wszystkie trzy. Znajdowały się w nich różne prośby o wsparcie z wypisanymi gdzieś uwagami Garbuski.

Przy łóżku były małe drzwi, prowadzące do pokoju garderobianego; Floryna weszła tam i przeszukała wielką szafę. Znalazła tu starannie złożone stare, liche gałganki, w które ubrana była Garbuska, gdy przysłała do tego domu.

Mimowolne wzruszenie odbiło się na twarzy dziewczyny; pamiętając jednak, że chodzi tu o posłuszeństwo rozkazom Rodina, zawiązała na powrót zawiniątko, zamknęła szafę i wyszła z garderoby do sypialnego pokoju.

Znowu patrząc na biurko, wpadła nagle na nową myśl. Nie poprzestając teraz na przejrzeniu półek, wyjęła jedną szufladę, spodziewając się, że może znajdzie to, czego szukała; ale nic nie znalazła.

Kolejna próba lepiej jej się powiodła. Znalazła jakiś rękopis, otworzyła go i szybko przewracała karty. Przejrzawszy je okazała zadowolenie – i już chciała schować pismo do kieszeni, lecz pomyślawszy chwilę, położyła z powrotem i wyszła z mieszkania niepostrzeżenie, wiedząc, że Garbuska zabawi u panny Cardoville dłuższy czas.

Nazajutrz Garbuska siedziała wygodnie przy ogniu płonącym na kominku w jej pokoju.

Oparłszy ręce na poręczach krzesła, tonęła w rozkosznych uczuciach szczęścia, którego nigdy jeszcze tak zupełnie nie doznała do chwili znalezienia się w tym pałacu. Dla niej, przywykłej do dokuczliwego niedostatku, musiało być wielkim szczęściem, że mieszkała w tak wygodnym, cichym ustroniu; wygody te zawdzięczała swej odwadze i energii, jakie okazała pośród tylu przykrych prób, zakończonych szczęśliwie.

Do pokoju weszła kobieta w średnim wieku, o łagodnej twarzy, z woli Adrianny przeznaczona na usługi Garbuski i rzekła:

– Przyszedł jakiś młody mężczyzna i chce się widzieć z panią w bardzo pilnej sprawie... Nazywa się Agrykola Baudoin.

Na te słowa Garbuska nieco zarumieniła się, wstała i pobiegła do drzwi, prowadzących do salonu, gdzie czekał Agrykola.

– Dzień dobry, Garbusko – rzekł kowal, czule całując dziewczynę, której lica rozpały się pod braterskimi pocałunkami.

– Ach! Dla Boga! – zawołała nagle, wpatrując się w Agrykolę – co znaczy ta czarna przepaska na twoim czole?... Jesteś ranny?

– To nic – odparł kowal – nie zważaj na to... powiem ci zaraz... co mnie spotkało... A tymczasem chcę cię prosić o radę w bardzo ważnej sprawie.

– Chodź więc do mego pokoju, będziemy sami – rzekła Garbuska, idąc przed Agrykolą.

– A to mi się podoba, kochana Garbusko... takie mieszkanie dawno ci się należało; poznaję w tym pannę Cardoville... Jakie serce... jaka dusza... Ty nie wiesz... ona napisała do mnie...

dziękując za to, co dla niej zrobiłem... Przysłała mi złotą szpilkę, którą musiałem przyjąć, gdyż – jak pisała – nie ma innej wartości nad to, że nosiła ją jej matka. Gdybyś wiedziała, jak mnie wzruszył ten subtelny upominek.

– Nic nie powinno cię dziwić, co ma związek z tą szlachetną osobą. Ale twoja rana...

– Zaraz, moja kochana... tyle rzeczy mam ci do powiedzenia!... Zaczniemy od najpilniejszej, chodzi mi o twoją radę w ważnej dla mnie sytuacji.

– No, więc mów prędko.

– Od czasu, jak moja matka wyjechała z Gabrielem na prowincję, na probostwo, które dostał, i od czasu, jak ojciec mieszka z marszałkiem Simonem i jego córkami, jak ci wiadomo, mieszkałem w fabryce pana Hardy we wspólnym domu z kolegami. Lecz dziś rano... Ach! Muszę ci powiedzieć, że pan Hardy, po powrocie z długiej podróży, którą odbył niedawno, znów wyjechał za interesami. Dziś rano, w czasie śniadania, zostałem jeszcze przy robocie po ostatnim dzwonku; wychodząc z fabryki i idąc do jadalni, spostrzegam na dziedzińcu jakąś kobietę, która wysiadła z fiakra i idzie ku mnie spiesznym krokiem. Widzę, że jest blondynką; miła, piękna na twarzy i wytwornie ubrana jak znakomita dama. Ale zdziwiony jej bladością i niespokojną miną, pytam, czego sobie życzy? „Panie – odparła drżącym głosem, z pewnym przymusem i nieśmiałością – czy jest pan robotnikiem w tej fabryce?” Tak, pani. „Czy pan Hardy nie jest w jakimś niebezpieczeństwie?” – zawołała. Pan Hardy? Przecież on nie wrócił jeszcze do fabryki. „Jak to? – spytała – pan Hardy nie wrócił wczoraj wieczorem? Nie miał wypadku przy maszynie, gdy zwiedzał warsztaty?...” – Mówię pani; gdyby pan Hardy znajdował się w niebezpieczeństwie, nie byłbym tak spokojny, rozmawiając o nim z panią. – „Ach! Bogu dzięki!” – zawołała młoda dama. Potem jeszcze dziękowała mi, tak szczęśliwa, tak ucieszona, iż mnie samego wzruszyła. Lecz nagle, jak gdyby zawstydziała się swego postępu, spuściła woal i spiesznie oddaliła się. Wyszedszy z podwórza, wsiadła do fiakra, który ją przywiózł. Pomyślałem sobie: ta dama interesuje się panem Hardym i przstraszyła się jakąś fałszywą pogłoską.

– Pewnie go kocha – rzekła Garbuska – i z niepokoju może dopuściła się nieroztropnego kroku, przychodząc pytać o niego.

– Chyba masz rację. Patrę za nią ciekawie, jak siada do fiakra, gdyż jej wzruszenie zastanowiło mnie... Fiakier odjeżdża... ale co widzę niedługo potem? Kabriolet uliczny, którego dama nie mogła spostrzec, gdyż stał ukryty za murem. W chwili, gdy zawracał, wyraźnie widziałem mężczyznę, siedzącego obok stangreta i dającego mu znak, aby ruszył w tę samą stronę, w którą pojechał fiakier.

– A więc tę damę śledzono.

– Tak, bez wątpienia; dlatego puszczam się w pogoń za fiakrem; dopędzam go i przez spuszczone story mówię młodej damie, biegnąc obok jej drzwiczek: „Miej się pani na baczności, kabriolet cię ściga”.

– Dobrze!... Agrykolo... A co odpowiedziała?

– Słyszałem, jak zawołała z przerażeniem: „O Boże!” I fiakier pojechał dalej. Wkrótce przejechał koło mnie kabriolet; widziałem mężczyznę siedzącego obok stangreta, wysokiego, grubego, który, widząc mnie biegnącego za fiakrem, może się czegoś domyślił, gdyż patrzył na mnie niespokojnie.

– A pan Hardy kiedy wróci? – zapytała Garbuska.

– Jutro lub pojutrze; teraz, Garbusko, poradź mi... Ta młoda dama kocha pana Hardy’ego, to pewne. Musi to być chyba mężatka, gdyż była bardzo zakłopotana, gdy ze mną mówiła, a mówiła z wielką nieśmiałością i przestraszona krzyknęła przeraźliwie, gdy powiedziałem, że jest śledzona... Co mam robić? Przypuśćmy, że pan Hardy jutro wróci, mam mu powiedzieć, co zaszło?

– Zaczekaj!... – zawołała nagle Garbuska, przerywając Agrykoli – i zdając się coś sobie przypomnieć. – Gdy poszłam do klasztoru Panny Marii prosić przełożoną o pracę... propono-

wała mi, abym podjęła się chodzić do pewnego domu, w którym miałam... dawać baczność... czyli mówiąc po prostu... szpiegować...

– Nędznica!

– A wiesz – rzekła Garbuska – wiesz, do kogo poleciła mi wejść, aby pełnić tę haniebną posługę? Do pani de... Fremont czy Bremont, dobrze już nie pamiętam... kobiety bardzo pobożnej, którą miałam szpiegować; która, jak mówiła przełożona, często odbierała wizyty od pewnego fabrykanta.

– Co ty mówisz? – zawołał Agrykolo – Czyżby tym fabrykantem był...

– Pan Hardy... miałam powody, aby nie zapomnieć tego nazwiska, które przełożona wymówiła... Od tego dnia zaszło tyle wydarzeń, iż zapomniałam już o tej historii. A więc tak... jest duże prawdopodobieństwo, że ta młoda dama jest tą samą, o której mówiono mi w klasztorze.

– A jakież interes mogła mieć w tym szpiegowaniu przełożona klasztoru?... – zapytał kowal.

– Nie wiem... ale, jak widzisz, interes ten jest aktualny do dziś, kiedy tę młodą damę szpieguje ktoś dalej... A może w tej chwili jest oczerniona... zniesławiona... Ach! To straszne!

– Ale... wytłumacz się jaśniej, Agrykolo – rzekła Garbuska – w jaki sposób zostałeś raniony?... Proszę, powiedz mi.

– Właśnie chcę mówić o tym. Bo im więcej o tym myślę, tym bardziej sprawa owej damy zdaje się wiązać z innymi zdarzeniami.

– Co ty mówisz?

– Wystaw sobie, od kilku dni zaszły dziwne rzeczy w pobliżu fabryki... najpierw, ponieważ mamy wielki post, pewien ksiądz z Paryża, przystojny mężczyzna, jak mówią, przybył z kazaniami do miasteczka Villiers, odległego o ćwierć mili od naszej fabryki... Ksiądz ten wygadywał różne rzeczy na pana Hardy'ego.

– Jak to?

– Pan Hardy ułożył i kazał wydrukować w formie regulaminu wszystkie przepisy, dotyczące naszej pracy i podziału zarobków; do tego regulaminu zostały dodane różne maksymy zaczerpnięte z pism różnych chrześcijańskich wyznań... Ponieważ wybrał je nie z samych pism katolickich, ksiądz zaopiniował, że pan Hardy jest bezbożnikiem, nadto określił naszą fabrykę jako ognisko zguby i zepsucia, mówił nawet, że sąsiedztwo takiej zgrai bezbożników, jak nas nazwał, ściągnąć może gniew boski na cały kraj... że mówiono wiele o zbliżającej się cholery i że być może, iż z naszej przyczyny cała okolica zostanie dotknięta tą klęską.

– Ależ mówić takie rzeczy ciemnym ludziom – zawołała Garbuska – znaczy to samo, co pobudzać ich do rozruchów.

– Okoliczni mieszkańcy, podżegani pewnie jeszcze przez nasłanych burzycieli, już zaczynają krzywo patrzeć na nas. Ich działania już zaczynają wydawać owoce; między nami a mieszkańcami okolicy były już scysje. W jednej z tych potyczek dostałem kamieniem w głowę...

– A czy to niegroźne, czy rana nie jest niebezpieczna? – spytała niespokojnie Garbuska.

– Nie ma żadnego niebezpieczeństwa... ale nieprzyjaciele pana Hardy'ego nie poprzestali na samych kazaniach; chwycili się jeszcze innych, bardziej groźnych sposobów.

– Czego jeszcze?

– Niech sobie inni robią, co chcą, nas to nie obchodzi. Chcemy spokojnie żyć, a ojciec marszałka Simona, równie odważny jak jego syn, popiera nasze postępowanie. Cóż z tego, kiedy od kilku dni znajdujemy wszędzie, wkoło fabryki, w ogrodzie, na dziedzińcach, drukowane ulotki, w których mówią o nas:

– „Jesteście podli, samolubni; że los dał wam dobrego pana, to już jesteście obojętni na nieszczęście swych współbraci; dobrybył czyni was nieczułymi...”

– Ach, Agrykolo, co za zawzięta złośliwość!...

– O tak... i, na nieszczęście, takie wichrzenia już wywarły wpływ na wielu z naszych najmłodszych towarzyszy... już zaczęły się pojawiać niesnaski, rozłamy wśród robotników... Jeżeli ci powiem, że jestem niemal pewny, iż te ulotki, przerzucane przez mury fabryki, rozniesione zostały przez wysłańców księdza kaznodziei... czy nie uważasz, że wszystko to razem z tym, co spotkało dziś ową młodą damę, dowodzi, że pan Hardy od pewnego czasu ma wrogów?

– Podobnie jak ty, uważam to za przerażające – rzekła Garbuska. – Jest to na tyle ważne, iż tylko sam pan Hardy będzie mógł przedsięwziąć potrzebne środki... Moim zdaniem, twoim obowiązkiem jest przestrzec pana Hardy’ego... niech lepiej uprzedzi większe zło...

– Słusznie mówisz, Garbusko... pójdę za twoją radą; pan Hardy dowie się o wszystkim. Teraz zmieńmy temat... pomówmy wreszcie o mnie..., tak, o mnie... chodzi bowiem o coś, od czego może zależeć moje szczęście – dodał uroczystym tonem, który zdziwił Garbuskę.

– Wiesz – mówił dalej Agrykolo – że od dzieciństwa nic przed tobą nie ukrywałem... że wszystko ci mówiłem...

– Wiem – rzekła Garbuska, wyciągając rękę do kowala, który ją serdecznie uściśnął i mówił dalej:

– Kiedy mówię, że nic nie ukrywałem przed tobą, mylę się... zawsze ukrywałem przed tobą swoje miłości... a to dlatego, że, choć wszystko można powiedzieć siostrze... jednak są rzeczy, o których nie wypada mówić uczciwej dziewczynie. Lecz przez to że wstrzymywałem się mówić ci kiedykolwiek o moich miłościach, myślałem sobie: jeżeliby mi się zdarzyło coś naprawdę... gdyby pojawiła się miłość, prowadząca do małżeństwa!... Och! Wtedy moja Garbuska pierwsza wiedziałaby o tym.

– Och! Jaki jesteś dobry, Agrykolo...

– A więc... to coś, nastąpiło teraz... zakochałem się i myślę się zenić.

Garbusce zdawało się, że krew się w niej zatrzymała i ścięła jak lód; przez kilka chwil... myślała, że umrze... serce jej przestało bić, czuła, że się topi i niknie... Potem znalazła w sobie niesłychaną siłę; uniosła głowę, spojrzała Agrykoli spokojnie w oczy i prawie pogodnie odezwała się:

– Ach! Więc kochasz kogoś... naprawdę...

– To znaczy, Garbusko, od czterech dni... nie żyję... żyję tylko tą miłością...

– Dopiero od czterech dni... od czterech dni... zakochałeś się?...

– Nie więcej; ale tu czas się nie liczy.

– A twoja wybranka... jest piękna?

– Brunetka... o kibici nimfy, biała jak lilia... oczy niebieskie... wielkie, a tak miłe... tak dobre jak twoje...

– Pochlebiasz mi, Agrykolo.

– Nie, nie... ja pochlebiam Anieli... bo takie ma imię...

– Prześliczne!...

– A więc, wyobraź sobie, że to imię zdaje się być obrazem nie tylko jej postaci, ale jej serca... słowem... jest to serce, przynajmniej mnie się tak zdaje, równe twojemu.

– Ona ma moje oczy... moje serce... – rzekła Garbuska, uśmiechając się – to dziwne, jak jesteśmy do siebie podobne.

Agrykolo nie spostrzegł rozpaczliwej ironii w słowach Garbuski i mówił dalej, z równą szczerością:

– Czy sądzisz, Garbusko, że uwiódłbym się miłością naprawdę, gdybym w ukochanej osobie, w jej charakterze, sercu i duszy nie upatrywał zalet, które szanuję w tobie?...

– Dosyć, dosyć, mój bracie... – rzekła Garbuska, uśmiechając się; tak nieszczęśliwa miała tyle mocy, iż mogła się uśmiechnąć – jak widzę, braciszku, jesteś rzeczywiście zakochany. A gdzie poznałeś tę młodą osobę?

– Jest to, powiem ci otwarcie, siostra jednego z moich kolegów; jej matka jest dozorczynią fabrycznej szatni; potrzebowała nowej pomocnicy, a ponieważ pierwszeństwo otrzymania pracy w fabryce mają krewni... przeto pani Bertin, bo tak się nazywa, sprowadziła z Lilie swoją córkę, gdzie mieszkała przy ciotce i pięć dni temu przyszła do fabryki... Kocham ją zapamiętała... i postanowiłem ożenić się z nią... jeżeli takie będzie twoje zdanie... dziwi cię to... ale wszystko zależy od ciebie... nie będę prosił o pozwolenie ojca i matki, aż ty orzekniesz.

– Nie rozumiem.

– Wiesz, jakie zawsze miałem do ciebie zaufanie. Poprosisz pannę de Cardoville, żeby ci pozwoliła wyjść na kilka godzin; zaprowadzę cię do fabryki. Mówiłem już o tobie pani Bertin i jej córce, jako o swej kochanej siostrze... i według wrażenia, jakie sprawi na tobie widok Anieli, oświadczę się lub nie... Może uważać to będziesz za dzieciństwo z mej strony, ale tak właśnie postąpię...

– Nie żartuj, braciszku... – rzekła Garbuska – Przecież to ważna rzecz!... Idzie tu o twoje szczęście na całe życie...

W tej chwili zapukano do drzwi.

– Proszę – rzekła Garbuska.

Weszła Floryna.

Garbuska wstała i zwracając się do kowala, rzekła:

– Chcesz poczekać chwilę, Agrykolo? Zapytam pannę Cardoville, kiedy będę mogła wyjść i wrócę powiadomić cię. – To mówiąc, wyszła, zostawiając Agrykolę z Floryną.

– Pragnąłbym podziękować pannie Cardoville – rzekł Agrykolo – ale obawiam się, żebym się nie naprzykrzał.

– Pani jest trochę słaba – rzekła Floryna – i nikogo dziś nie przyjmowała; lecz jestem pewna, że skoro poczuje się lepiej, z przyjemnością będzie pana widzieć u siebie.

Garbuska wróciła i rzekła do Agrykoli:

– Jeżeli chcesz, przyjdź po mnie jutro o trzeciej; pójdziemy do fabryki, a wieczorem odprowadzisz mnie.

\* \* \*

Wieczorem, gdy w pałacu wszystko ucichło, Garbuska zamknęła drzwi sypialni na klucz, po czym rzuciła się na kolana przed krzesłem i zaczęła rzewnie płakać.

Biedna dziewczyna długo płakała.

Wreszcie otarła oczy, podeszła do biurka, otworzyła szufladę, wyjęła schowany w skrytce dziennik, który poprzedniego dnia przejrzała Floryna i pisała do późnej nocy...



## ROZDZIAŁ XIX

### DZIENNIK GARBUSKI

*Piątek, 3 marca 1832 r.*

Dzisiejszej nocy nie zakłócił mi żaden przykry sen; wstałam rano, nie przeczuwając nic smutnego.

Byłam spokojna, szczęśliwa, gdy przyszedł Agrykola. Nie wydawał się wzruszony; był, jak zwykle, prosty, skromny i grzeczny. Mówił mi najpierw o wypadku dotyczącym pana Hardy'ego, a potem, bez wstępnych słów, rzekł:

– „Od czterech dni jestem zakochany... Moje uczucie jest tak poważne i szczere, iż myślę żenić się... Przyszedłem poradzić się ciebie”.

Ach! Mój Boże... mój Boże... zachodzę w głowę...

\* \* \*

Czuję, że jestem spokojniejsza... Nic, to nic, uspokój się, biedne serce... Uspokój się; jeżeli znowu będzie mnie dręczyć smutek, powiem sobie: Czymże jest obecne zmartwienie w porównaniu z tym, jakiego doznałam? Agrykola życzył sobie, abym poszła jutro zobaczyć dziewczynę, w której zakochał się tak zapamiętale i którą poślubi, jeżeli mu tak doradzi domyślność mego serca... To małżeństwo... ta myśl jest dla mnie najsroźsza ze wszystkich, jakie mnie mogły dręczyć...

Dziwna rzecz! Nigdy mi się nie wydawał piękniejszy niż dziś rano... Jakie w jego męskiej twarzy malowało się wzruszenie gdy mówił o niepokoju owej młodej damy... Serce biło we mnie gwałtownie, gdy go słuchałam, kiedy mówił o nieszczęściu kobiety, narażającej się na zgubę dla mężczyzny, którego kocha... ręce mi się paliły... jakaś niemoc mnie opanowała... zdawało się, że umieram... Rzecz godna śmiechu! Czyż ja mam prawo się rozczulać?

\* \* \*

Tak... co się stało dziś, stać się mogło i później – prędzej czy później... wszystko jedno.

Tak, i to jest pocieszające... dla tych, co lubią życie... myśl, że śmierć nie jest... straszna, że i tak prędzej czy później musi nastąpić. Wstrzymywało mnie zawsze od samobójstwa uczucie obowiązku... Nie trzeba myśleć tylko o sobie.

Tak więc... dziś... miałam chęć skończyć z sobą... Ani Agrykola, ani jego matka... nie potrzebują już mojej pomocy... Tak... ale ci nieszczęśliwi, których mi powierzyła panna Cardoville?... Ależ nawet moja dobrodziejka, choć mnie łąjała za moje uporczywe podejrzenia względem tego człowieka... Teraz bardziej jednak niż kiedykolwiek... przeczuwam grożące jej niebezpieczeństwo... bardziej niż kiedykolwiek wierzę, że moja obecność przy niej może być jej potrzebna...

Trzeba więc żyć...

Żyć, aby pójść jutro zobaczyć tę dziewczynę... którą kocha Agrykola.

Ach, mój Boże!... Dlaczego ja zawsze doznaję tylko bólu, a nigdy nienawiści?... Musi być gorzka rozkosz w tej nienawiści!... Tylu ludzi nienawidzi!... Może i ja będę nienawidziła... tę dziewczynę... Anielę... jak on ją nazywa... mówiąc naiwnie: „Prześliczne imię... Aniela... prawda, Garbusko?”

Ja nienawidzę tę dziewczynę?... A za co? Czy ona ukradła mi urodę, która uwodzi Agrykolę? Mogę mieć jej za złe, że jest piękna?

Boję się tylko, abym się nie rozpląkała na widok tej dziewczyny, aby mi nie zabrakło sił do przewyciężenia wzruszenia. Bo wtedy, o Boże! Mój płacz zdradziłby mnie przed Agrykolą! Jemu... odkryć nierozsądną miłość, jaką we mnie wzbudził... O! Nigdy... Dzień, w którym by się dowiedział, byłby ostatnim dniem mego życia... Wtedy byłoby dla mnie coś wyższego nad powinność, dla uniknięcia wstydu, który by mnie piekł zawsze jak rozpalone żelazo...

Nie, nie, będę spokojna... A wreszcie, czyż nie wytrzymałam mężnie wobec niedawnej strasznej próby? Będę spokojna... Nie zdradzę swoich uczuć...

Gdy wspomnę moje poświęcenie dla niego, ileż to razy, w największej skrytości serca, stawiałam sobie pytanie, czy przyszło mu kiedy na myśl kochać mnie inaczej niż kocha się siostrę, czy pomyślał kiedy, jak przywiązaną miałby ze mnie żonę?

Ale cóż?... Mnie być jego żoną? Przebóg!... To marzenie równie niedorzeczne jak trudne do opisanie. Te myśli o miłości małżeńskiej i macierzyństwie są dla mnie wzbronione pod karą wystawienia się na pośmiewisko równie wielkie, jak gdybym ubrała się w piękne suknie lub włożyła strój, którego nie pozwalają mi nosić szpetność i ułomność?

A zresztą, chociażby Agrykola chciał, bym została jego żoną... czy mogłabym być tak samolubna, żebym na to pozwoliła...”

\* \* \*

Na tym kończył się dziennik. Widać było z licznych śladów, że często musiała płakać...

Garbuska znalazła jednak dość sił, aby spełnić prośbę Agrykoli. Nazajutrz udała się z nim do fabryki pana Hardy’ego. Floryna, dowiedziawszy się o wyjściu Garbuski, ale zatrzymana przez część dnia na usługach przy pannie Cardoville, będąc pewna, że jej nikt nie spostrzeże, po nadejściu zmierzchu weszła do pokoju wyrobniczy... Wiedząc już, gdzie znajdzie rękopis, podeszła do biurka, otworzyła skrytkę, potem, wyjąwszy z kieszeni zapieczętowany list, włożyła go w miejsce, z którego zabrała rękopis. Dobrze czuła nikczemność swego postępuku, lecz strach przed Rodinem przewyższał odzywające się w niej skrupuły. Schowawszy zeszyt pod fartuch, wyszła ukradkiem z pokoju Garbuski.

## ROZDZIAŁ XX

### PAMIĘTNIK

Wróciwszy do pokoju, w parę godzin po schowaniu skradzionego rękopisu Garbuski, powodowana ciekawością, postanowiła go przejrzeć.

„Dziś były moje imieniny. Aż do wieczora miałam próżną nadzieję. Wczoraj zaszłam do pani Baudoin, aby opatrzyć jej rany na nodze. Gdy weszłam, zastałam Agrykołę. Pewno mówił o mnie z matką, bo gdy mnie ujrzeli, umilkli natychmiast i tylko z uśmiechem spojrzeli na siebie, a potem spostrzegłam na komodzie piękne tekturowe pudełko, a na jego nakrywce ładną poduszczkę... Poczułam, jak ze wzruszenia wystąpił mi na twarz rumieniec... Myślałam, że to podarunek przeznaczony dla mnie, ale udałam, jakbym nic nie wiedziała.

Lecz próżne były moje nadzieje. Minął dzień... Nadszedł ten wieczór... Nic... Piękne pudełko nie było przeznaczone dla mnie. Na jego nakrywce była poduszcзка... Więc było przeznaczone dla kobiety... Komuż więc podarował je Agrykola?...

W tej chwili jestem cierpiąca. Moje marzenie, że Agrykola będzie wieszował mi imienin, jest bardzo dziecinne, wyznaję to ze wstydem... ale byłoby mi dowiodło, iż nie zapomniał, że mam jeszcze inne imię prócz Garbuski.

Dlatego mocno ucieszyłabym się, gdyby Agrykola, w dniu moich imienin, nazwał mnie choć raz właściwym imieniem... Magdalena.”

\* \* \*

Coraz bardziej wzruszona Floryna, przewróciła kilka kartek i czytała dalej:

Wzbronione są nam materialne rozkosze z powodu naszego ubóstwa. Czy więc ludzkie jest wzbraniać nam rozkoszy duchowych?

Czy Agrykola jest mniej dobrym rzemieślnikiem dlatego, że poświęca dni świąteczne na pisanie owych śpiewek popularnych, którymi rozrywają się przy pracy robotnicy? Czy byłoby lepiej, gdyby spędzał ten czas na hulankach w szynkowni? Ach! Mylą się ci, którzy wzbraniać chcą nam tych niewinnych rozrywek, dlatego, że jak mówią, w miarę, jak oświeci się i wykształci nasz. rozum, nie będziemy tak cierpliwie znosić niedostatku i biedy, iż że przez to staniemy się niebezpieczni.

Ale nie, przeciwnie, między ludźmi ustają zwady, nienawiść, w miarę, jak ich rozum rozwija się, skłonniejsi są wtedy do zgody i wzajemnej miłości; wtedy to poznajemy, że bogaci i dostojni ludzie miewają częstokroć przykre dolegliwości i uczymy się wzajemnego pobłażania i litowania nad sobą.

\* \* \*

Poszłam odnieść pilną robotę; przechodziłam przez plac du Tempie; o kilka kroków przede mną dziecko, mające najwyżej dwanaście lat, z gołą głową i boso, mimo zimna, w gałganki tylko ubrane, prowadziło wielkiego, bez zaprzęgu, ale z uprzężą na szyi, konia od wozu... Koń co chwila stawał uporczywie, nie chcąc iść... dziecko, nie mając bata do popędzania,

nadaremnie ciągnęło za uzdę... koń nie chciał ruszyć... Wtem biedny malec krzyknął: „O! Mój Boże! Co ja teraz zrobię”... i rzeczywiście płakał... oglądając się naokoło, czy mu nie pomoże ktoś z przechodzących.

– „Mój pan zbije mnie! – wołał biedny chłopczyna – Już o dwie godziny spóźniłem się, bo koń nie chce iść, i ot, porwał postronki... Mój pan mnie zbije i wypędzi. Co ja zrobię... O! Mój Boże!... Nie mam ani ojca, ani matki”...

Na te słowa, wymówione z płaczem, poczciwa przekupka z Tempie, znajdująca się między ciekawskimi, zawołała miłosiernie: „Ani ojca, ani matki!... Nie martw się, dziecko, znajdzie się ratunek w Tempie! A jeśli moje kумы są takie, jak ja – nie odejdziesz z gołą głową i boso na takie zimno”.

Przechodnie zajęli się chłopcem; naprawiono uprząż, potem jedna przekupka dała czapkę, druga parę pończoch, inna trzewiki, tamta spencerek, ta spodenki i w kwadrans chłopiec był ciepło ubrany, uprząż naprawiona. Ta scena miłosierdzia ludu uradowała mnie; patrzyłam, dopóki okiem mogłam sięgnąć, za malutkim chłopczyną, który teraz ledwo mógł zdążyć za koniem, gdy ten poczuł bicz nad sobą.

Tak! Ludzie są z natury dobrzy!

\* \* \*

Szczęśliwy był dla mnie dzisiejszy dzień; spodziewam się, dostanę pracę, a szczęście to będę winna młodej osobie, pełnej dobroci; jutro ma mnie zaprowadzić do klasztoru Panny Marii, gdzie, jak twierdzi, znajdą dla mnie zatrudnienie...”

Floryna, głęboko wzruszona czytaniem dziennika, zadrżała, gdy doszła do miejsca, w którym Garbuska mówiła o niej i czytała dalej:

„Nigdy nie zapomnę, z jaką delikatną uprzejmością przyjęło mnie to dziewczę, mnie, tak ubogą, tak nieszczęśliwą. To mnie zresztą nie dziwi: ona była przy pannie de Cardioville. Powinna być godną zbliżenia się do dobrodziejki Agrykoli. Wspomnienie jej imienia zawsze będzie dla mnie drogie, ale bo też jest piękne jak jej twarz, jej imię... Floryna... Ja niczym nie jestem, nic nie mam, lecz jeżeliby gorące życzenia przejętego wdzięcznością serca mogły być wysłuchane, Floryna byłaby szczęśliwą, bardzo szczęśliwą.”

Te kilka wierszy, tak naiwnie, tak szczerze wyrażających wdzięczność Garbuski, zadały ostatni cios wahaniom Floryny; nie mogła się już dłużej opierać szlachetnym pobudkom, jakie nagle poczuła.

Podeksytowana wszystkim, co było pełne szlachetności w piśmie, które przeczytała, idąc za dobrym popędem, który budził się w niej czasami, Floryna wyszła z pokoju, wzięwszy z sobą rękopis, gotowa, gdyby Garbuska jeszcze nie wróciła, położyć go na powrót w miejscu, skąd go wzięła i zdecydowana powiedzieć Rodinowi, że daremnie szukała dziennika Garbuski.

## ROZDZIAŁ XXI

### ODKRYCIE

Po długiej rozmowie z Anielą, ujęta, podobnie jak Agrykola, wdziękiem, rozsądkiem i dobrocią tej dziewczyny, Garbuska miała tyle siły, iż doradziła kowalowi, aby ożenił się z Anielą. Następna więc scena działa się w chwili, gdy Floryna kończąc przegląd dziennika młodej wyrobniczki, już zdecydowała się na odniesienie go w miejsce, skąd wzięła. Była godzina dziesiąta wieczorem. Garbuska, wróciwszy do pałacu panny Cardoville, dopiero co weszła do swego pokoju i utrudzona tylu bolesnymi przeżyciami, usiadła na krześle.

Rozmyślała smutnie, lecz spokojnie. Wreszcie wstała i wolno podeszła do biurka.

– Jedyną dla mnie pociechą – rzekła – że ta młoda dziewczyna będzie zdolna zapewnić szczęście Agrykoli... Powiedziałam mu to z całą szczerością... Kiedyś... kiedyś, odczytując te kartki, znajduję w nich może nagrodę obecnych cierpień.

Otworzyła skrytkę. Nie znalazłszy w niej rękopisu, zawołała niespokojnie:

– Co się stało?

Lecz jakże się przeraziła, gdy w miejscu dziennika zobaczyła list, adresowany do niej.

Biedna dziewczyna zbladła jak trup; nogi pod nią zdrząły; o mało nie zemdląła; ale przerażenie dodało jej siły – rozpieczętowała złowrogi list.

Wypadł z niego banknot 500-frankowy, a treść listu była następująca:

„Mościa Panno!

W czytaniu jej pamiętników, zawierających historię jej miłości do Agrykoli, jest coś tak wspaniałego, iż nie można sobie odmówić przyjemności odkrycia mu tej wielkiej namiętności, na którą pewnie okaże się wrażliwy.

Korzystać też będziemy ze sposobności przysłużenia się wielu osobom przyjemną rozrywką, jaką znajdą w czytaniu dziennika Panny. Jeżeli nie wystarczą odpisy i wyjątki, każemy wydrukować go; że dziennik Panny zrobi furorę... za to ręczymy.

Ponieważ prawdopodobnie jesteś Panna gotowa uniknąć swego triumfu i ponieważ miałas na sobie same tylko gałganki, gdy cię przyjęto z litości do tego domu, w którym chcesz grać rolę damy, co nie przystoi ci z wielu względów, załączamy ci przy niniejszym liście 500 franków.

Prawdziwy Garbusek”.

Grubiańsko-szyderczy ton tego listu, napisanego – jak można było sądzić – przez jakiegoś lokaja, zawistnego z powodu przybycia do domu nieszczęsnej dziewczyny, pomyślany został z szatańską zręcznością i niezawodnie miał pociągnąć za sobą spodziewany skutek.

– Ach! Mój Boże!...

Były to jedyne słowa, które zdołała wymówić biedna dziewczyna.

Cios był tak straszny, iż biedna Garbuska nie mogła mu się oprzeć.

Zdawało jej się tylko (jak się tego spodziewano), że ta niegodziwość musi być dziełem jakichś podrzędnych sług, zazdrosnych o sympatię, jaką okazywała jej panna Cardoville.

Tak sobie pomyślała Garbuska w strasznej rozpaczce. Te karty, tak boleśnie poufne, iż nie ośmieliłaby się powierzyć ich najczulszej i najprzywiązańszej matce, gdyż, pisane krwią jej ran, aż nadto wiernie malowały i odsłaniały najtajniejsze rany jej zbolełego serca... te karty miały służyć... już może w tej chwili służyły... za igraszkę sługom tego pałacu.

\* \* \*

Dołączone do listu pieniądze i szyderczy sposób, w jaki były ofiarowane, mocniej jeszcze utwierdzały ją w tym domyśle.

Chciano, aby strach przed nędzą nie przeszkadzał jej w odejściu stąd.

Powzięła decyzję ze zwykłym sobie spokojem i niezachwianą wolą. Wstała; w jej żywych, jakby obłąkanych oczach, nie pokazała się ani jedna łza; dosyć bowiem napłakała się od wczoraj. Drżącą ręką napisała na kartce, którą położyła przy banknocie 500-frankowym, następujące słowa:

„Niech Bóg błogosławi pannę Cardoville za wyświadczone mi dobrodziejstwa; przepraszam Ją, że opuszczam dom, w którym dłużej nie mogę pozostać.”

Potem rzuciła w ogień ów hańbiący list, który zdawał się palić jej ręce...

Postanowiwszy opuścić ten dom, już postąpiła ku drzwiom; przechodząc przed kominem, niechcący zobaczyła się w zwierciadle, bladą jak śmierć i czarno ubraną... pomyślała, że nosi ubiór nie należący do niej... i przypomniała sobie ustęp listu, w którym wyrzucano jej, że same tylko głagany miała na sobie, gdy przybyła do tego domu.

– Słusznie mówi – rzekła z gorzkim uśmiechem – nazwaliby mnie złodziejką...

I wzięwszy świecę poszła do garderoby, tam włożyła na siebie swoją ubogą odzież, którą chciała zachować jako pamiątkę poprzedniej niedoli. W tej chwili rześiste łzy puściły się jej z oczu... Padła na kolana na środku pokoju i zwracając się myślą do panny Cardoville, zawołała głosem, przerywanym konwulsyjnym płaczem:

– Żegnam... żegnam na zawsze!... Ciebie, pani, któraś mnie nazywała swoją przyjaciółką... swoją siostrą...

Nagle, przestraszona, wstała; usłyszała ciche stąpanie na korytarzu. Była to Floryna, która, na nieszczęście, za późno odnosiła rękopis. Przerażona tym odgłosem, Garbuska opuściła pokój, wbiegła do przedpokoju, przebyła dziedziniec i zapukała w okienko odźwiernego. Drzwi otworzyły się i po chwili zamknęły za nią. Tak opuściła pałac panny Cardoville.

\* \* \*

I oto Adrianna straciła wiernego sobie, czujnego stróża. Rodin pozbył się przenikliwej antagonistki, której zawsze i słusznie się obawiał.

\* \* \*

Powiedzieliśmy, że Floryna, za późno przejęta sprawiedliwym żalem, weszła do pokoju Garbuski w chwili, kiedy ta, przerażona, opuszczała pałac. Spostrzegłszy światło w garderobie, pobiegła tam i spostrzegła na krzeselku czarną suknię, którą dopiero co Garbuska zdjęła z siebie, a parę kroków dalej otwartą, próżną walizkę, w której chowała starą odzież.

Uznając, że już na nic się nie przyda spóźniony żal, westchnąwszy, postanowiła doręczyć Rodinowi rękopis; potem, zniewolona swym nieszczęsnym położeniem, starała się pocieszyć mniejszym złem; pomyślała, że przynajmniej jej zdrada będzie dla niej mniej niebezpieczna, kiedy już Garbuska opuściła ten dom.

Następnego dnia Adrianna odebrała od Rodina bilet, odpowiadający na list, w którym donosiła mu o niepojętym i nagłym zniknięciu Garbuski.

„Kochana Pani!

Zmuszony udać się dziś rano do fabryki zacnego pana Hardy, dokąd powołuje mnie ważny interes, nie mogę mieć pożądanego sposobności złożenia pani mego uszanowania. Pytasz mnie pani, co myślę o zniknięciu biednej dziewczyny. Prawdziwie nic w tej mierze powiedzieć nie umiem... Przyszłość wyjaśni może wszystko na jej korzyść... jak się spodziewam... Tylko racz sobie pani przypomnieć, co jej powiedziałem u doktora Baleiniera odnośnie pewnego towarzystwa i tajemnych emisariuszy, którymi tak zręcznie umie otaczać osoby i szpiegować je za ich pośrednictwem.

Nie miała nic... a znaleziono 500 franków w jej biurku.

Nie wyprowadzam stąd żadnych wniosków, kochana pani... Mam zawsze wstręt do obwiniania bez podstaw... lecz zastanów się pani, dobrze i miej się na baczności... Uniknęłaś może wielkiego niebezpieczeństwa. Nie dowierzaj nikomu; taką radę daje pani jej najuniżeńszy i najwierniejszy sługa

– *Rodin.*”

## ROZDZIAŁ XXII

### SCHADZKA WILKÓW

Była niedziela rano.

Dwaj mężczyźni rozmawiali z sobą, siedząc w karczmie w wiosce Yilliers, położonej niedaleko fabryki pana Hardy'ego. Wieś ta zamieszkała była w większości przez robotników, wydobywających i obrabiających kamienie w przyległych kopalniach. Nic przykrzejszego i mniej zyskowego nad pracę tych wyrobników. Nieszczęście i ciemnota bywają zawsze przyczyną wielkiego zła, zazdrozczono bowiem szczęścia robotnikom pana Hardy, ale jeszcze nie było powodu nienawidzić ich, jak to miało miejsce obecnie. Od czasu, jak skryci wrogowie fabrykanta, związani z panem Trippeaud, jego konkurentem, zaczęli mieć w tym własny interes, aby ten spokojny stan rzeczy zmienił się... dokazali tego swymi zabiegami. Korzystając z coraz większego strachu przed zbliżającą się cholera, rzucano posiew w słabe i łatwowierne umysły, wskazując fabrykę pana Hardy'ego jako ognisko zepsucia, mogące sprowadzić pomstę niebios na całą okolicę. Już i tak rozjątrzonych zawiścią mężczyzn podburzały jeszcze bezustannie ich żony, które, obalamucone kazaniem księdza, przeklinały to gniazdo bezbożników, mogące ściągnąć klęskę na cały kraj. Wielu robotników pana Hardy'ego, nim jeszcze przyszli do jego fabryki, było członkami towarzystwa rzemieślniczego, nazwanego Żarłokami; kiedy tymczasem wielu innych robotników, kamieniarzy i kopaczy, należało do towarzystwa Wilków; od dawnych zaś czasów istniała rywalizacja i zawiść między Wilkami i Żarłokami, sprowadzając częste między nimi walki. Od tygodnia już Wilcy, podburzani różnymi podszeptami, pałali chęcią znalezienia okazji i pozoru do spotkania się z Żarłokami; ale ci, nie chodząc do karczmy i prawie nigdy nie oddalając się poza obręb fabryki, przez cały tydzień, aż do owego czasu, nie nastęrczali im tej pożądanej sposobności; tak więc Wilcy zmuszeni byli cierpliwie czekać niedzieli. Takie więc było wzburzenie mieszkańców wsi Yilliers wtedy, kiedy wspomniani dwaj mężczyźni siedzieli w karczmie. Mężczyźni ci zażądali osobnej stancji, gdzie mogliby pomówić sam na sam. Jeden z nich był jeszcze młody i dosyć porządnie ubrany, choć rozchełstana koszula poplamiona winem, zaczerwienione oczy, dowodziły, że poprzednią noc spędził na hulance. Młodzieniec, patrząc surowo na towarzysza, spytał:

– Po coście wydostali mnie z więzienia? Co chcecie ze mnie zrobić?

– Wesolego towarzysza, który rozrzuca pieniądze, nic nie robiąc, smacznie zajada, bawi się z młodymi dziewczętami i wyśpiewuje wesołe piosenki... Czy to złe zajęcie?

Nic nie mówiąc przez chwilę, zapytał znowu:

– Dlaczego to wczoraj, kiedy wychodziłem z więzienia, postawiliście mi za warunek mojej wolności, abym napisał do mej kochanki, że już nigdy nie chcę jej widzieć? Dlaczego żądaliście, abym wam oddał ten list?

– Wspomnienie!... Więc jeszcze o niej myślisz?

– Zawsze...

– Niepotrzebnie... twoja kochanka jest w tej chwili daleko od Paryża... widziałem, jak siadała do dylizansu, nim jeszcze wydostałem cię z więzienia.

– No, a po diabła przywlokłeś mnie tutaj?

– Chcę, abyś porozmawiał z robotnikami pana Hardy, którzy niedługo tutaj przyjdą... i namówił ich do zrobienia czegoś...

– Do czego? – zapytał młodzieniec. Przy tej rozmowie obaj mężczyźni opróżniali raz po raz kielichy, toteż młodszemu myśli już się plątały. Starszy, odporny na działanie alkoholu, mówił spokojnie:



- Do opuszczenia tej fabryki, gdzie niewieścieją, nie myśląc o swych współpracownikach.
- Ale jak opuszczają fabrykę, z czego będą żyli?
- Pomyślą o tym inni... w swoim czasie. A więc pomożesz mi?
- Pomogę wam... tym bardziej, że zaczynam już... ledwo trzymać się na nogach... Mnie tylko Cefiza utrzymywała na świecie; czuję, że jestem już na złej drodze... a wy mnie jeszcze popychacie... Idź na złamanie karku!... Tak czy owak zginąć, wszystko jedno... Do ciebie!...
- Pijmy na uciechę następnej nocy... bo przeszłej tylko piliśmy jak fryce.
- Ale powiedzcie no, kim wy właściwie jesteście? Patrzyłem na was; ani przez chwilę nie widziałem was zarumienionego lub śmiejącego się... aniście się wzruszyli... siedzieliście jak kamień.
- Nie mam już piętnastu lat; czego innego potrzeba do rozśmieszania mnie... lecz następnej nocy będę się śmiać.
- Nie wiem, czy to gorzalka... ale niech mnie kaci kołyszą, jeżeli ty mnie nie przestraszysz, gdy mówisz, że będziesz śmiać się tej nocy!
- Zapukano do drzwi. Wszedł gospodarz.
- Przyszedł jakiś młodzian, nazywa się Olivier, pyta o pana Moroka.
- To ja jestem, niech przyjdzie. Karczmarz wszedł.
- To jeden z naszych, ale sam? – rzekł Morok, w którego surowej twarzy malował się zawód. – Sam... to mnie dziwi... spodziewałem się ich wielu... Znasz go?
- Oliviera?... Tak, znam... blondyn, zdaje się...
- Zobaczymy... właśnie idzie.
- I ty tutaj, Leżynago? – zawołał przybyły, ujrawszy współbiedaka Moroka.
- Tak, ten sam. Wieki już, jak cię nie widziałem, Olivierze.
- Rzecz prosta, kolego... nie w jednym i tym samym miejscu pracujemy.
- Ale jesteś sam? – zapytał Morok. I pokazując na Leżynago, rzekł:
- Przy nim można mówić... on jest z naszych. Ale dlaczego sam tylko przyszedłeś?
- Przychodzę sam, ale w imieniu kolegów.
- Aha... – odetchnął Morok – zgadzają się?
- Nie chcą!... I ja także.
- Jak to nie chcą?... A więc braknie im odwagi, jak babom? – zawołał Morok.
- Posłuchajcie mnie... – rzekł chłodno Olivier. – Odebraliśmy wasze listy, widzieliśmy wasze pieniądze, przekonaliśmy się, że ma to związek z jakimiś tajemnymi zamiarami... Lecz dziś rano ojciec Simon zawołał nas do siebie; wyłożył nam nasze pretensje; przekonał nas... będziemy czekać...
- Cicho! – zawołał Leżynago, przysłuchując się i chwiejąc na nogach: – Zdaje mi się, że słychać jakieś krzyki...
- Istotnie, najpierw słychać było niewyraźne, potem coraz głośniejsze krzyki, które wkrótce zamieniły się w okropną wrzawę.
- Co to jest? – rzekł Olivier.
- Teraz – odrzekł Morok, uśmiechając się złośliwie – przypominam sobie, że gospodarz powiedział, że we wsi panuje wielkie wzburzenie przeciwko fabryce.
- Więc ta schadzka była pułapką, zastawioną dla nastawienia jednych przeciwko drugim, robotnikom pana Hardy?! – zawołał Olivier. – Toście myśleli, że my staniemy razem z ludźmi, których podburzają przeciwko fabryce i że...
- Nie dokończył. W tej chwili otworzyły się drzwi i karczmarz, blady i drżący, wpadł do stancji.
- Panowie!... Czy jest między wami ktoś z fabryki pana Hardy'ego?
- Ja – odezwał się Olivier.
- A więc zginąłeś!... Wilki nacierają tłumem, krzyczą, że tu są Żarłoki z fabryki pana Hardy i chcą się z nimi rozprawić... Jeżeli Żarłoki nie odstąpią fabryki i nie połączą się z nimi.

– Teraz jasne, że to była zasadzka!... – zawołał Olivier, patrząc groźnie na Moroka i Leżynago. – Chciano nas skrzywdzić, gdyby przyszli moi towarzysze!

– Chodź! – zawołał karczmarz.

I nie dając Olivierowi czasu na odpowiedź, chwycił go za barki i otworzywszy okno wychodzące na daszek, rzekł:

– Zmykaj, póki czas...

Krzyki, gwizdania, wycie stawały się coraz głośniejsze:

– Wojna Żarłokom!

– Uciekaj, Olivierze! – zawołał Leżynago, niemal wytrzeźwiały wobec zagrażającego niebezpieczeństwa.

Ledwie wymówił te słowa, gdy drzwi do sąsiedniej izby otworzyły się ze strasznym łoskotem.

– No i są! – zawołał karczmarz, załamując ręce ze strachu. Potem skoczywszy do Oliviera, wypchnął go oknem, bo stojąc jedną nogą w futrynie, robotnik jeszcze się wahał.

Kamieniarz, herkulesowego wzrostu i siły, z głową przewiazaną czerwoną chustką, okryty kozią skórą, wywijając żelaznymi kleszczami i zdawał się dowodzić całą zgrają; z zaczerwienionymi oczami i groźną, dziką postawą ruszył ku stacji, udając, że chce odepchnąć Moroka i wołając piorunującym głosem:

– Gdzież tu są Żarłoki?... Wilki chcą ich zjeść. Karczmarz otworzył co żywo drzwi do stacji, mówiąc:

– Nie ma nikogo, przyjaciele... nikogo nie ma... zobaczcie sami.

– Prawda! – rzekł zdziwiony kamieniarz, rozejrzawszy się po stacji – No, to gdzie są? Powiedziano nam, że jest tu ich z piętnastu. Albo musieliby pójść z nami do fabryki, albo byłaby bitwa, a Wilcy kąsałyby mocno!

– Byle tylko Wilcy nie zlekli się Żarłoków! – dodał Morok.

– Ponieważ posądzasz nas o strach... to pójdziesz z nami i zobaczysz, jak się spotkamy! – zawołał straszny kamieniarz, postępując ku Morokowi.

I mnóstwo głosów odezwało się za nim:

– Wilcy mieliby się przestraszyć Żarłoków?

– To się jeszcze nigdy nie zdarzyło.

– Bitwa!... Bitwa!... I koniec z nimi!

– Dostyc już tego!... Dlaczego tyle biedy dla nas, a tyle szczęścia dla nich?

– Bitwa!... Bitwa!... – krzyczano chórem.

– A więc do fabryki, moje Wilki!... – krzyczał Morok głosem prowokatora – Do fabryki!

– Tak jest, do fabryki! Do fabryki! – powtórzyła zapalczywa tłuszcza, gdyż powoli wszyscy, którzy mogli wleźć na schody, wtoczyli się do izby.

Na te okrzyki, całkiem już odzyskawszy przytomność, Leżynago rzekł po cichu do Moroka:

– A, to ja widzę, wy chcecie morderstw? Nie chcę brać w tym udziału...

– Będziemy mieli czas zapobiec temu w fabryce. Opuścimy ich w drodze – odrzekł Morok. Potem zawołał głośno do gospodarza, przestraszonego tym zbiegowiskiem:

– Gorzałki! Trzeba wypić za zdrowie walecznych Wilków!

Ja funduję!

Niebawem zgraja, dostatecznie już upojona, pobiegła hurmem w stronę fabryki pana Hardy'ego.

Na jej czele szedł olbrzymi kamieniarz, wywijając ogromnymi kleszczami; za nim pomieszani, w nieładzie, jedni uzbrojeni w kije; drudzy w kamienie, postępowali tłumem robotnicy.

Morok i Leżynago zniknęli w chwili, gdy tłuszcza wychodziła z podwórza, kierując się ku fabryce.

## ROZDZIAŁ XXIII

### WSPÓLNY DOM

Agrykola, nie wiedząc o zniknięciu Garbuski, pograżył się w marzeniach na wspomnienie swej Anieli i kończył właśnie toaletę, wybierając się do narzeczonej.

Raz jeszcze z zadowoleniem przejrawszy się w lustrze, uczesawszy suty wąs i bródkę, udał się korytarzem do budynku pralni, w którym mieszkała Aniela; korytarz był szeroki, oświetlony a jego posadzka z sosnowych desek była bardzo czysta. Zbiegłszy ze schodów, przeszedł przez podwórze, przez obsadzony drzewami trawnik, w środku którego tryskała fontanna i dostał się do drugiego pawilonu. Przebiegłszy obszerną salę do szycia o kilku oknach wychodzących na ogród, zapukał do drzwi mieszkania Anieli.

Ponieważ mieszkanie było oddalone od kuchni, która, urządzona na wielką skalę, mieściła się w innej części budynku, można je było utrzymać w największym porządku. Aniela była ładną dziewczyną, lat najwyżej siedemnastu, świeżą i zwracającą uwagę tak ubiorem jak i prostotą zachowania. Gdy ujrzała Agrykolę, zarumieniła się lekko.

– Pani – rzekł kowal – przychodzę spełnić obietnicę, jeżeli pani mama pozwoli.

– Dobrze, panie Agrykolo, pozwalam – uprzejmie odpowiedziała matka dziewczyny. – Aniela nie chciała zwiedzić wspólnego domu ani z ojcem, ani z bratem, aby mieć przyjemność obejrzeć go z panem dziś, przy niedzieli... już od godziny wygląda pana niecierpliwie!

– Racz mi, pani, wybaczyć – rzekł Agrykola – że myśląc o przyjemności spotkania... zapomniałem o godzinie... Więcej nie mam do powiedzenia na moje usprawiedliwienie.

– Ależ, mam... – dziewczyna zwróciła się do matki z niejakim żalem i cała w pąsach – po co mama mówi takie rzeczy?

– No, no, może to nieprawda? Wszak ja ci nie przyganiam, i owszem, idź dziecko! Pan Agrykola wytłumaczy ci wszystko lepiej niż ktokolwiek inny; zobaczysz, ile to robotnicy w fabryce pana Hardy zawdzięczają mu.

– Panie Agrykolo – rzekła Aniela, zawiązując wstążki swego czepeczka – jaka szkoda, że nie będzie z nami pańska przybrana siostrzyczka!

– Garbuska? Szkoda, ale co się odwlecze, to nie uciecze. Pocałowawszy matkę, Aniela podała rękę Agrykoli i wyszli oboje.

– Ach! Panie Agrykolo – rzekła – jak się bardzo zdziwiłam, gdy pierwszy raz weszłam do tego pięknego domu, ja, co się przyzwyczaiłam patrzeć na nędzę wyrobników w naszej prowincji... Doprawdy, jest to rozkoszne mieszkanie: zdaje mi się, że to marzenie i kiedy pytam mamę, aby mi to wszystko wytłumaczyła, odpowiada mi tylko: pan Agrykola zrobi to najlepiej.

– A wie pani, dlaczego jestem szczęśliwy, że mogę dopełnić tego obowiązku? – spytał poważnie i zarazem czule Agrykola. – Dlatego, że jest to bardzo dogodna dla mnie chwila.

– Pokażę pani ten dom, wyjaśnię wszystkie korzyści naszego stowarzyszenia, będę miał sposobność powiedzenia: tu robotnik, spokojny o teraźniejszość, spokojny o przyszłość, nie jest zmuszony jak tyłu jego biednych współbraci, zrzec się potrzeb własnego serca... a to... z obawy, aby ze swoją nędzą nie połączył drugiej nędzy.

– Panie... Agrykolo – odparta Aniela, rumieniając się jeszcze bardziej – gdybyśmy zaczęli nasz spacer...

– Zaraz, pani – odpowiedział uradowany jej zmieszaniem – Zbliżamy się do sypialni dziewcząt; wejdźmy tam.

– Ach! Jaki tu porządek! – zawołała Aniela. – A jaka czystość! Kto dba o to wszystko i utrzymuje w takim ładzie?

– Same dziewczęta, nie ma tu służby; trudno uwierzyć, jakie istnieje między nimi współzawodnictwo; jedna przed drugą ubiegają się, która najporządniej pościeli swoje łóżko.

– Ach! Panie Agrykolo! – rzekła nieśmiało Aniela. – Kiedy te piękne, zdrowe i ciepłe sypialnie porówna się z owymi nędznymi, zimnymi i ponurymi kątami, w których dzieci, pomieszane co do płci, śpią na lada jakim posłaniu, drżą z zimna, jak się to widzi prawie u wszystkich w naszym kraju robotników!

– A w Paryżu, pani... może jest jeszcze gorzej.

– Jakże pan Hardy musi być dobry i miłosierny, a nade wszystko bogaty, że wydaje tyle pieniędzy na dobre uczynki!

– Zdziwi się pani – rzekł, uśmiechając się, Agrykolo – gdy powiem, a może zdziwisz się tak dalece, że nie zechcesz mi uwierzyć.

– A dlaczegóż to, panie Agrykolo?

– Nie ma pewnie na świecie lepszego i wspanialszego człowieka nad pana Hardy; on czyni dobro, nie myśląc o własnej korzyści; a jednak ręczę pani, że choćby był najsamolubniejszym, najinteresowniej szyna człowiekiem... to jeszcze zyskałby wielką korzyść z opieki, jaką nas otacza.

I otwierając drzwi, wprowadził Anielę do dużej sali, zastawionej półkami, na których porozkładane były zimowe owoce, a gromadka siedmio-ośmioletnich, schludnie i ciepło ubranych dzieci, przebierała zepsute owoce.

– Widzisz, pani – rzekł Agrykolo – gdzie tylko można, staramy się z korzyścią używać dzieci; takie zajęcia są dla nich zabawą.

– To prawda, jak to wszystko jest mądrze urządzone!

– A gdybyś pani widziała tych malców w kuchni, jak tam się krzątają! Pod kierunkiem jednej lub dwóch kobiet robią tyle, ile by osiem lub dziesięć musiało robić.

– Im bardziej się zastanawiam, tym mocniej przekonuję się, jak tu wszystko jest mądrze pomyślane, dla dobra wszystkich – rzekła Aniela ze zdziwieniem.

– A niełatwo było osiągnąć to wszystko, trzeba było przełamać przesady, nawyki. Ale właśnie znajdujemy się przed wspólną kuchnią – dodał z uśmiechem – Przypatrz się, pani, czy nie jest piękna?

– Dzień dobry, pani Bertrand! – zwrócił się do poważnej matrony, która przypatrywała się powolnym obrotom pieczeni wołowych i cielęcych na rożnach – Nie zamierzam przestąpić za próg chcę tylko pokazać kuchnię tej pani, która dopiero od paru dni u nas pracuje.

– Proszę, proszę się przyjrzeć.

I wskazała trzonkiem od warzących na grupę kuchcików obojga płci, siedzących koło stołu i pilnie zajętych pracą, obieraniem kartofli, przebieraniem zieleniny itp.

Znowu nie mogę nadziwić się – rzekła Aniela, idąc obok Agrykoli – gdy skąpe i niezdrowe pożywienie robotników w naszych stronach porównam z tutejszą strawą.

– I wcale nie kosztuje nas to dziennie więcej niż pięćdziesiąt centymów na osobę, a mamy lepszy stół niż moglibyśmy mieć za dwa franki w Paryżu. Ale otóż i jadalnia, której pani nie zna, gdyż twoja rodzina, jak wiele innych, wołała kazać przynosić sobie jedzenie do mieszkania... Popatrz, co za piękna sala, a jaka wesoła! Wystawiona na ogród na wprost fontanny.

– Ale to jeszcze nie wszystko, sala ta jeszcze bardziej się pani spodoba, kiedy dowie się pani, że co czwartek i co niedziela zamienia się ona w salę zabaw, a we wtorek i sobotę w salę koncertową!

– Jak to wszystko mądrze pomyślane! A ten budynek po drugiej stronie, do czego służy?

– Tam jest pralnia z bieżącą wodą.

– Wyjaśnij mi jednak, panie Agrykolo, w czym tkwi sedno tych wszystkich wspaniałości? – spytała Aniela.

Ciekawość jej nie została jednak zaspokojona; znajdowali się właśnie naprzeciw sztachet, dzielących ogród od strony wielkiej alei, prowadzącej z warsztatów do wspólnego domu. Sil-

ny powiew przyniósł z daleka wojenną wrzawę i odgłos wojskowej muzyki; potem słychać było tętent galopujących koni, coraz bliżej i wkrótce zjawiał się generał na karym, pięknym koniu, okrytym karmazynowym czaprakiem; podobnie jak za cerastwa, miał na nogach wysokie, palone buty z ostrogami; jego granatowy mundur błyszczał złotymi haftami, miał na sobie wielką wstęgę Legii Honorowej, na prawym ramieniu cztery gwiazdki, na głowie kapelusze obszyty szerokim galonem z białymi piórami, oznaką marszałków Francji. W chwili, kiedy marszałek Simon, bowiem to on był, znalazł się przy młodej parze, zatrzymał nagle konia, zsiadł z niego i rzucił cugle masztalerzowi, który mu towarzyszył konno.

– Gdzie mam czekać na księcia? – zapytał masztalerz, stając na baczność.

– Na końcu alei – odpowiedział marszałek.

I zdjawszy kapelusze pośpieszył naprzeciw osoby, której Aniela i Agrykola nie dostrzegli wcześniej. Był to starzec dziarskiej jeszcze postawy, miał na sobie schludną bluzkę, sukienną furażerkę na głowie, pokrytą białym włosem.

– Dzień dobry, ojczyste! – rzekł z uszanowaniem marszałek, całując z uczuciem starego rzemieślnika. – Byłem w pobliżu... i skorzystałem ze sposobności, aby odwiedzić ojca.

Widząc, że ten ważny generał, którego nazywano księciem, ma ojca rzemieślnika, Aniela była tak zdumiona, iż spojrzawszy osłupiała na Agrykolę, zapytała:

– Jak to!... Ten stary robotnik?...

– Jest ojcem marszałka, księcia de Ligny... przyjaciela... tak, mogę tak powiedzieć – dodał Agrykola – przyjaciela mego ojca, który służył i wojował pod jego komendą przez dwadzieścia lat.

– Być na tak wysokim stanowisku i okazywać tyle uszanowania dla ojca rzemieślnika – dziwiła się Aniela. – Marszałek musi mieć szlachetne serce, ale dlaczego pozwala swemu ojcu być rzemieślnikiem?

– Bo ojciec Simon nie opuściłby swego stanu i fabryki za nic w świecie; urodził się rzemieślnikiem, chce umrzeć rzemieślnikiem, choć ma syna księcia, marszałka Francji.

A odpowiadając na jej wcześniejsze pytanie, wyjaśnił:

– A więc proszę mnie posłuchać: pan Hardy jak prawdziwy czarodziej, utworzył te wszystkie dziwy, które pani widzi, dla naszej korzyści, ale jednocześnie dla swojej.

– Nie bardzo rozumiem – przerwała Aniela.

– Wyobraź sobie, pani, gdyby pan Hardy był tylko zimnym spekulantem, powiedziałyby sobie tak: Moi robotnicy, mieszkając daleko od fabryki, będą tracić czas na dojście do pracy, mniej się wyśpią, jeżeli będą musieli wcześniej wstawać; zabierać im tak potrzebny sen? Zła to rachuba; stracą na siłach i ucierpi na tym praca. Potem niepogody będą utrudniać im dalekie chodzenie; robotnik przyjdzie do fabryki drżący z zimna, zmęczony jeszcze przed rozpoczęciem roboty, a wtedy... jaka będzie jej wartość? Dlatego, panno Anielo, spekulant powie: – Jeżeli umieszczę swoich robotników blisko mojej fabryki, zaradzę w ten sposób wszystkim niedogodnościom. Należycie postawiony budynek, dla pomieszczenia tych ludzi, kosztować mnie będzie najwyżej 500.000 franków. W ten sposób mój kapitał przyniesie rocznie najmniej 5 procent i ten dochód będzie pewny, gdyż oparty na płacy za robotę.

– Wreszcie, panie Agrykolo, zaczynam rozumieć, jak można robić wiele dobrego nawet z własną korzyścią.

– A ja, pani, jestem pewien, że interesy prowadzone uczciwie i sprawiedliwie, z czasem prawie zawsze stają się dobre. Ale wróćmy do naszego fabrykanta. Tak więc pomyśli sobie: moi robotnicy mieszkając blisko fabryki, przychodzić będą do niej wypoczęci, raźni, a ich mieszkania będą zdrowe, wesole i ciepłe, Gdyby tych dwustu sześćdziesięciu robotników, zamiast prowadzić oddzielne, biedne kuchnie, założyło jedną wspólną dla wszystkich, dobrze urządzonej kuchnię, ile by stąd wynikło korzyści dla mnie i dla nich!... Przy tak urządzonej, oszczędnym gospodarstwie, robotnicy mieliby za czterdzieści, najwyżej za pięćdziesiąt centymów dziennie, zdrowy, smaczny i dostatni wikt.

– O! Teraz już wszystko pojęłam.

– Wydawałoby się, że nic prostszego... to wspaniałe, piękne, a jednak nikt o tym nie pomyśli... A co powiesz, panno Anielo, kiedy dowiodę, że nasz fabrykant ma jeszcze większe korzyści z tego, że nie tylko płaci robotnikom uzgodnioną płacę za robotę, ale jeszcze odstępuje im część czystych dochodów.

Tak rozmawiając zbliżyli się do bramy prowadzącej do ogrodu wspólnego domu. Skromnie, ale porządnie ubrana, starsza kobieta, podchodząc do Agrykoli, rzekła:

– Czy pan Hardy już wrócił?

– Nie jeszcze, ale oczekują go lada chwila.

– Może dziś jeszcze wróci?

– Dziś albo jutro.

– A nie wie pan, o której godzinie może być?

– Nie, ale może dozorca będzie mógł powiedzieć coś na ten temat.

– Dziękuję panu.

– Nie ma za co.

– Panie Agrykolo – rzekła Aniela, gdy kobieta oddaliła się – czy uważałeś, jaka ta jejmość była blada i wzruszona?

– Zauważyłem to samo, a nawet wydawało mi się, że miała lzy w oczach.

– Wyglądała, jakby płakała. Biedna kobieta! Może przychodziła prosić pana Hardy’ego o wsparcie? Ale cóż to? Zdajesz się być tak zamyślony?

– Daruj mi, panno Anielo – odparł Agrykolo – ale widok tej kobiety przypomniał mi okoliczność, o której, niestety, nie mogę pani powiedzieć, bo to jest sekret dotyczący nie mnie, a kogoś innego.

– Och! Bądź pan spokojny! – odpowiedziała dziewczyna z uśmiechem. – Nie jestem ciekawa; a to, co mi pan powiedział, jest tak zajmujące, że nie żądam zdradzania cudzych tajemnic.

– A więc powiem jeszcze kilka słów. Widzisz, panno Anielo, jakim to sposobem fabrykant urządziłby swoje warsztaty, tak żeby się wstydzili i zazdrościli mu konkurenci! Gdyby teraz była mowa nie o zimnym spekulancie, ale gdyby to był człowiek łączący z umiejętnością dobrego rachowania szlachetne uczucie, zacne serce, wspaniały umysł, który by swoją troskliwość rozciągał nie tylko na materialne korzyści, ale i na moralną poprawę bytu robotników, gdyby szukał sposobów rozwinięcia ich pojęć, uszlachetnienia ich charakterów i gdyby będąc pewny władzy, jaką dawałyby mu jego dobrodziejstwa, wtedy, panno Anielo, taki człowiek... to... Ale domyśl się, sama zgaduj... aby mógł się zjawić między nami nie inaczej, jak wśród błogosławieństw... Otóż taki jest właśnie pan Hardy!

– Ach! Panie Agrykolo! – rzekła wzruszona Aniela. – Rzeczywiście zasługuje na najwyższą wdzięczność.

– Zwróć tylko uwagę, panno Anielo... czy ta szlachetna twarz nie jest obrazem jego zacnej duszy!

W tej chwili na dziedziniec wjeżdżał właśnie powóz pocztowy, w którym znajdował się pan Hardy z panem Blessac, niegodnym przyjacielem, który go tak haniebnie zdradzał. Wkrótce potem z daleka, od strony Paryża dał się widzieć skromny, mały fiakier, zdążający także w stronę fabryki. W fiakrze siedział Rodin.

## ROZDZIAŁ XXIV

### OSKARŻENIE

Pan Hardy, wysiadłszy z powozu ze swym przyjacielem, wszedł do gabinetu, który zajmował przy przedzalni.

Blessac, jego przyjaciel, długo zasługiwał na jego braterskie przywiązanie; ale widzieliśmy już, jakim to szatańskim sposobem d'Aigrigny i Rodin potrafili go przerobić na narzędzie swych piekielnych intryg. Dwaj przyjaciele, doznawszy w drodze przejmującego zimna północnego wiatru, grzali się przy ogniu, rozpalonym w gabinecie.

– Ach! Drogi Marceli, wcale nie żartem zaczynam się starzeć – odezwał się pan Hardy z uśmiechem – coraz bardziej staję się domatorem...

– A kiedy pomyślę – odparł Blessac, nie mogąc wstrzymać się od lekkiego zmieszania – kiedy pomyślę, przyjacielu, że to dla mnie odbyłeś tak długą podróż!...

– I cóż stąd, Marceli... Czy dla odmiany nie towarzyszyłeś mi w wycieczce, która bez ciebie byłaby nudna?

– Drogi przyjacielu, nie można tego porównywać! Zaciągnąłem wobec ciebie dług, z którego się nigdy nie zdołam wypłacić.

– Cóż znowu, Marceli... czy między nami jest jakaś różnica; co twoje, to i moje.

– Szlachetne serce... szlachetne serce!

– Powiedz raczej, szczęśliwe serce... Och, tak, bardzo szczęśliwe, dzięki przywiązaniu tych, którzy mnie otaczają...

– A któż inny, zaiste, godzien byłby większego szczęścia... jeśli nie ty, przyjacielu, z twoim silnym charakterem, tak skory do pomocy, którego widziałem tak dzielnie walczącego, aby odnieść zwycięstwo w szlachetnym, sprawiedliwym przedsięwzięciu?

– Tak, lecz im dalej się posuwam, tym bardziej rzeczy niegodne, haniebne, budzą we mnie odrazę i czuję, że tracę siły do walki z nimi.

– Gdyby zaszła potrzeba, znalazłbyś dość siły i odwagi.

– Kochany Marceli – odpowiedział pan Hardy – mówiłem ci często: moją odwagą była matka. Szczęściem, Bóg tak chciał, abym po jej stracie mógł poświęcić życie dla przyjaźni, bez której rej, wyznam szczerze, byłbym słaby i bezbronny, gdyż nie uwierzyłbyś, jaką moc, jaką podporę odnajduję w naszej przyjaźni.

– Nie mówmy o mnie – odparł Blessac, starając się ukryć zmieszanie. – Mówmy o innej przyjaźni, której wspomnienie jest niemal tak miłe jak wspomnienie matki.

– Rozumiem cię, drogi Marceli! – odpowiedział pan Hardy. – Nic ukryć nie mogłem przed tobą, gdyż w trudnej sytuacji uciekłem się do ciebie po radę. Masz rację, przyjacielu. Istotnie, zdaje mi się, że z każdym dniem rośnie moja miłość do tej kobiety, jedynej, którą naprawdę kochałem, jedynej, którą kochać będę zawsze...

– A między panią de Noisy a tobą zachodzi tak dziwne podobieństwo... choćby jej przywiązanie do matki!

– Słusznie! To jej wyrzeczenie się samej siebie było dla mnie przedmiotem podziwu i udręki... Ile razy mówiła: „Wszystko poświęciłam dla ciebie, ale i ciebie poświęciłabym dla matki”.

– Dzięki Bogu! Nie będziesz miał nigdy potrzeby widzieć panią Noisy wystawioną na taką próbę... Powiedziałeś mi, że jej matka dawno już porzuciła myśl o powrocie do Ameryki, gdzie pan Noisy, nie troszczący się o żonę, zdaje się, postanowił osiąść na stałe. Dzięki przywiązaniu tej dzielnej kobiety, która wychowała Małgorzatę, twoją miłość pokrywa największa tajemnica... Kto mógłby ją ujawnić?

– Och! Nie, nie!... – zawołał pan Hardy. – Jestem prawie; pewny, że mogę być o to spokojny... W tej chwili wszedł służący i rzekł:

– Przyszedł jakiś starszy pan i pragnie widzieć się z panem w pilnej sprawie.

– Już!... – rzekł pan Hardy z pewną niecierpliwością. Pozwolisz, przyjacielu?

Służący wyszedł i niebawem wprowadził Rodina, którego Blessac nie znał, gdyż zwykle umawiał się z nim pośrednik.

– Pan Hardy? – rzekł Rodin, kłaniając się nisko i kolejno pytając okiem obydwóch.

– To ja – odezwał się fabrykant.

– Mam panu przekazać ważną wiadomość – rzekł Rodin.

– Może pan mówić... Ten pan jest moim przyjacielem rzekł fabrykant, wskazując na Blessaca.

– Ale chciałbym porozmawiać z panem sam na sam – odparł Rodin.

– A więc – odrzekł nieco zdziwiony pan Hardy – może pan mówić... między mną a tym panem nie ma tajemnic.

Po chwili milczenia Rodin odezwał się:

– Przychodzę, aby odkryć panu niegodziwą zdradę, której był pan ofiarą.

– Zdaje mi się, że pan się myli.

– Mam dowody na to, co mówię.

– Dowody?

– Dowody na piśmie... zdrady, którą odkryłem... mam je z wszelką pewnością; krótko mówiąc, człowiek, którego uważał pan za swego przyjaciela... niecznie pana oszukiwał.

– A kto to jest?

– Marceli Blessac – rzekł Rodin.

Blessac struchlał, zbladł i osłupiał. Hardy, podchodząc do Rodina, któremu ciągle się przypatrywał, rzekł z pogardą:

– Ach!... Pan obwinia pana Blessac?

– Obwiniam go – odpowiedział dobitnie Rodin.

– Czy pan go zna?

– Nigdy go nie widziałem...

– A co ma pan mu do zarzucenia?... Jak śmie go pan oskarżać?

– W moich oczach zdrady pewnego rodzaju są równie występne jak zbrodnia... I dlatego przychodzę, aby stanąć między zabójcą i ofiarą...

– Zabójcą? Ofiarą? – powtórzył pan Hardy z coraz większym zdziwieniem.

– Pewno zna pan pismo pana Blessac – rzekł Rodin.

– Oczywiście...

– A więc przeczytaj to pan.

Wyjął z kieszeni list, który podał panu Hardy'emu.

Rzuciwszy okiem na pismo Blessaca... fabrykant cofnął się o krok... przerażony śmiertelną błądzącością przyjaciela, który jakby skamieniał ze wstydu i nie mógł wymówić słowa, nie był bowiem tak bezczelny, żeby nie czuć ohydy swej zdrady.

– Marceli!... – zawołał przerażony pan Hardy, zmieszany tym niespodziewanym ciosem... Marceli!... Jaki jesteś błąd!... Nie odpowiadasz...

– Marceli?... A więc to o panu mowa! – zawołał Rodin, udając przykre zdziwienie. – Ach, gdybym wiedział...

Blessac nie rzekł ani słowa. Pan Hardy, nie mogąc uwierzyć w to, co widział i słyszał, drżącą ręką otworzył list i przeczytał kilka wierszy, przerywając tu i ówdzie czytanie wykrzyknikami oddającymi przerażenie i zdziwienie. Zachwiał się na nogach. Obmierzły list wypadł mu z ręki. Lecz wkrótce, podniecony gniewem, oburzeniem, pogardą, rzucił się do pana Blessac, błądząco i straszny.

– Nędzniku!... – krzyknął z groźnym gestem.

Potem, wstrzymując się od uderzenia, rzekł ze strasznym spokojem:



– Nie, splamiłbym... swojej ręki...

I zwrócił się do Rodina, który skoczył, chcąc ich przegrodzić:

– Nie wymierzyć szkaradny policzek... ale pańską rękę powinienem uścisnąć... Pan bowiem byłeś tak dobry, iż odkryłeś mi podłego zdrajcę.

– Panie! – zawołał Blessac, kuląc się ze wstydu. – Jestem na pańskie rozkazy... i...

Nie dokończył.

Za drzwiami rozległ się głos, weszła jakaś kobieta, pomimo oporu służącego.

– Powiadam ci – mówiła do niego – że natychmiast muszę się widzieć z twoim panem.

Na widok tej kobiety pan Hardy, zapominając o swoich gościach, cofnął się, wołając:

– Pani Duparo! Pani tu?... Co się stało?

– Ach! Panie... nieszczęście...

– Małgorzata!... – krzyknął przeraźliwie pan Hardy.

– Odjechała!... Panie...

– Odjechała?... – powtórzył jak rażony piorunem.

– Małgorzata odjechała?! – powtórzył jeszcze raz.

– Wszystko się wydało. Matka zabrała ją... trzy dni temu – rzekła kobieta słabnym głosem.

– Odjechała... Małgorzata... to nieprawda, zwodzą mnie!... – zawołał pan Hardy.

I nie słuchając, strapiiony, pełen obaw, wybiegł na dziedziniec, gdzie stały powozy i wsiadłszy co żywo do swojego, zaprzęzonego w parę koni, zawołał na stangreta:

– Do Paryża, jak najszybciej, co tchu!...

\* \* \*

W chwili, gdy powóz pędem błyskawicy spieszył do Paryża, silny wiatr przyniósł daleką wrzawę i śpiewy Wilków, którzy ruszyli do fabryki...

## ROZDZIAŁ XXV

### NAPAD

Gdy pan Hardy oddalił się, Rodin, nie spodziewając się tak nagłego odjazdu, poszedł powoli do fiakra; lecz gdy właśnie miał wsiadać, zatrzymał się i zdziwiony podskoczył z uciechy, spostrzegłszy marszałka Simona.

– Bardzo dobrze! – pomyślał. – Coraz lepiej; byle tylko tamtemu udało się wyforować i przekonać Różę Pompon.

Zajęty myślami wsiadł do dorożki. Jednocześnie coraz bardziej wzmagający się wiatr doniósł do jego uszu zbliżający się zgiełk wrzaskliwych nawoływań i śpiewu Wilków.

Dorożka puściła się ku rogatom.

\* \* \*

Kilku robotników, w chwili, gdy mieli udać się do Paryża z odpowiedzią na propozycje swych towarzyszy, wpierw chciało naradzić się z ojcem marszałka Simona; dlatego nie miał on jeszcze czasu porozmawiać ze swoim synem. Teraz marszałek, uściskawszy ojca, odezwał się do niego tak przejętym głosem, że starzec aż się wzdrygnął.

– Ojcie... jestem bardzo nieszczęśliwy.

– Ty... nieszczęśliwy? – zawołał ojciec Simon, patrząc z niepokojem na syna.

– Opowiem ci wszystko... – odparł marszałek zmienionym głosem – potrzebuję bowiem twojej rady.

– W sprawach honoru nie potrzebujesz niczyjej rady!

– Tak, ojcie, ty jeden możesz mnie wyprowadzić z niepewności, która jest dla mnie prawdziwą męczarnią.

– Mów więc otwarcie... słucham.

– Od kilku dni moje córki są dziwnie milczące, takie skryte, ponure!... W pierwszych chwilach naszego spotkania nie posiadały się z radości, były takie szczęśliwe... Nagle zmieniły się, są coraz smutniejsze... wczoraj zastałem je zapłakane; wzruszony, przycisnąłem je do piersi, ucałowałem i prosiłem, żeby wyznały mi przyczynę swego smutku... Nic nie mówiąc, rzuciły mi się na szyję, zaczęły mnie całować i płakać.

– To osobliwe!... Ale co jest powodem tej zmiany?

– Czasami obawiam się, czy nie dosyć ukrywam przed nimi żal po śmierci ich matki... i biedne martwią się może, że nie potrafią mnie uczynić szczęśliwym. A poza tym zdaje mi się, że nie tylko pojmują, ale dzielają mój żal... Jeszcze wczoraj Blanka powiedziała: „O ileż bylibyśmy szczęśliwsi, gdyby wśród nas była mama!...”

– A więc dzielą z tobą żal, nie mogą ci wyrzucać... Musi być inna przyczyna ich zmartwienia.

– Też tak myślę, lecz jaka to przyczyna? Na próżno usiłuję odgadnąć. Ale to nie wszystko... Czasami mam wrażenie, czy jakiś zły duch nie wmieszał się między nas... Jest to niedorzeczne, głupie, wiem, ale co począć?... Kiedy zdrowy rozum nie wystarcza, człowiek posuwa się często do nierozsądnych podejrzeń.

– Któż mógłby mieszać się między ciebie i twoje córki?

– Nikt... wiem o tym.

– A więc, Piotrze, zaczekaj... bądź cierpliwy, obserwuj te biedne, młode serca z właściwą ci troskliwością, a jestem pewny, że odkryjesz jakąś całkiem niewinną tajemnicę.

– Tak – rzekł marszałek, wpatrując się w ojca – tak, ale... chcąc dociec tej tajemnicy, wypadłoby nie opuszczać ich...

– O czym mówisz?

– Posłuchaj najpierw ojcze, o obowiązkach, które mnie tu zatrzymują... a potem dowiesz się o tych, które mogłyby oddalić mnie od ciebie, od córek i od jeszcze innego mojego dziecka...

– Jakiego dziecka?

– Syna mego dawnego przyjaciela, hinduskiego księcia.

– Dżalmy? Czyżby mu coś groziło?

– Ojcze... boję się o niego...

– O niego?

Nagle straszny krzyk dał się słyszeć z daleka; krzyk ten przyniesiony z wiatrem był tak potężny, iż marszałek przerwał i spytał ojca:

– Co to znaczy?

Wsluchując się przez chwilę głosom, które dolatwały i znowu niknęły z wiatrem, starzec odpowiedział:

– To jacyś podochoceni śpiewacy idą od rogatek.

– O czym to mówileś? – rzekł stary rzemieślnik. – Że ten młody Hindus przyprawia cię o niepokój? A niby z jakiego powodu?

– Powiedziałem ci, ojcze, o jego gorącej, nieszczęśliwej miłości do panny Cardoville.

– I to cię przeraża? – rzekł starzec, spojrzawszy ze zdziwieniem na syna. – Dżalma ma dopiero osiemnaście lat...

– Nie masz, ojcze, wyobrażenia o spustoszeniach, jakie powoduje taka namiętność w gorącym, niepohamowanym chłopcu; czasami z bezsilnego osłabienia wpada w dzikie uniesienie. Wczoraj, gdy się mnie nie spodziewałem, zastałem go z zaognionymi oczyma, zmienionego na twarzy; uniesiony szałem namiętności, przeszywał puginałem poduszkę z czerwonego sukna, krzycząc:

– Zabijam człowieka! – Tak nazywa swego domniemanego rywala.

– Rzeczywiście straszna jest taka namiętność!... – zgodził się starzec.

– Innym razem – mówił dalej marszałek – jego wściekłość burzy się przeciwko pannie Cardoville; kiedy indziej przeciw samemu sobie. Musiałem kazać uprzątnąć jego broń, gdyż przybyły z nim człowiek z Jawy, jak się wydaje, bardzo do niego przywiązany, powiedział mi, że dostrzega w nim jakiś zamiar samobójstwa.

– Biedny chłopiec!..

– Otóż, drogi ojcze – rzekł marszałek Simon z żalem – właśnie w chwili, kiedy moje córki i ten przybrany syn wymagają mojej szczególnej troskliwości... zmuszony będę, może już jutro, opuścić ich..

– Opuścić?!...

– Tak... dla spełnienia jeszcze świętszego obowiązku niż obowiązek wobec dzieci i przyjaciela – rzekł głosem tak poważnym i uroczystym, iż wzruszony ojciec zawołał:

– Cóż to za obowiązek?!

– Drogi ojcze – odparł marszałek – kto zrobił mnie tym, kim jestem? Kto mi dał książęcy tytuł, marszałkowską buławę?

– Napoleon...

– Tak, ojcze! Kiedy został skazany na wygnanie... chciałem podzielić z nim jego niedolę; odmówiono mi tej łaski... Pozostał jego syn; wydziedziczone dziecko zdolne jest teraz władać orężem... swego ojca...

– Napoleon II – zawołał starzec, spoglądając na syna z podziwem – król rzymski!...

– Król! On już nie jest królem... Napoleon?... On już nie nazywa się Napoleonem... on cierpi... jest nieszczęśliwy.

– Kto ci to powiedział?...  
– Och! Ktoś, kto dobrze wie o wszystkim... a kto powiedział prawdę... Tak, syn cesarza walczy wszelkimi sposobami, by uchronić się od przedwczesnej śmierci; zwraca oczy na Francję... czeka... a nikt nie przychodzi... nikt...

– I ty... ty?...

– Tak, bo jemu złożyłem przysięgę...

– To spisek przeciw obecnemu rządowi... Pod chorągwią Napoleona II, to nie żarty.

– Powiedziałem ci, ojcze, że jestem bardzo nieszczęśliwy; osądź więc – zawołał marszałek. – Nie tylko sam siebie pytam, czy mam opuścić dzieci i ciebie, a rzucić się na tak śmiałe przedsięwzięcie... ale nadto pytam... czy nie jestem zobowiązany wobec obecnego rządu, który, przyznając mi tytuł i stopień, nie wyświadczył mi łaski, ale tylko wymierzył mi należną sprawiedliwość... Co począć? Opuścić wszystko co kocham albo pozostać nieczułym na cierpienia cesarskiego syna... syna cesarza, któremu wszystko zawdzięczam, któremu osobiście przysiągłem wierność i jemu, i jego dziecku? Powiedz, osądź ojcze, sam; ty sam, powtarzam... możesz mi wskazać drogę.

Starzec chciał odpowiedzieć, gdy nagle ktoś otworzył drzwi, prowadzące z ogrodu i wpadł zdyszany do pokoju. Był to Olivier, młody robotnik, któremu udało się wymknąć z szynku, gdzie się zbrali Wilcy.

– Panie Simon... Panie Simon... – wołał zdyszany – Idą... będą atakowali naszą fabrykę.

– Któż taki?... – zawołał starzec, zrywając się.

– Wilcy, z nimi trochę kamieniarzy i robotników cegielni, do których po drodze przyłączyło się mnóstwo włóczęgów. Posłuchaj tylko, a usłyszysz ich... O! Jak krzyczą: Śmierć Żarłokom!

Istotnie, krzyki było słychać coraz bliżej, coraz wyraźniej.

– Czyżby to był napad? – rzekł marszałek do ojca, który wydawał się coraz bardziej niespokojny. – Trzeba dobrze zatarasować wszystkie drzwi... a potem...

Nie dokończył.

Nagle, razem ze wzmagającym się krzykiem, grad kamieni stłukł kilka okien na pierwszym piętrze, odbił się od muru i upadł wokół marszałka i jego ojca.

Nieszczęśliwym trafem starzec, ugodzony w głowę dużym kamieniem, zachwiał się... pochylił do przodu i cały skrwawiony, oparł się na rękę syna, kiedy tymczasem za murem rozlegały się groźne okrzyki: „Bitwa i śmierć Żarłokom!”

## ROZDZIAŁ XXVI

### WILKI I ŻARŁOKI

Straszne było widzieć tę rozhukaną tłuszcę!

Pawilon wspólnego domu, do którego dotykał mur ogrodu, obrócony był frontem do pola; z tej strony Wilki rozpoczęły atak.

Rzuciwszy na początku grad kamieni, większość zaczęła natychmiast szukać wkoło siebie nowych pocisków; pozostali tymczasem trzymali kije w zębach, inni poustawiali je pod murem; tu i ówdzie widać było grupy zbierające się koło przywódców tej bandy; lepiej ubrani mieli na sobie bluzy lub spencerki i czapki na głowach, inni byli okryci łachmanami, gdyż powiedzieliśmy już, że do Wilków przyłączyła się spora liczba włóczęgów, którym źle parzyło z oczu i z całej postaci; kilka obszarpanych kobiet, które nie odstępowały tych nędzników, szło za nimi i swymi wrzaskami i wymyślaniami jeszcze podniecało rozjątrzone umysły.

Wkrótce Wilcy stanęli u potężnej, dębowej bramy. W chwili, kiedy jeden z przywódców podnosił ogromny młot, chcąc nim uderzyć na skrzydło bramy... ta nagle się otworzyła.

Przez uchyloną bramę widać było zebranych robotników, których, nieszczęściem, było niewielu, ale gotowych, jak można się było domyśleć, do obrony; uzbrojeni byli naprędce w żelazne widły, kleszcze i kije, a stojący na ich czele Agrykola trzymał w ręku potężny młot kowalski.

Młody rzemieślnik był bardzo blady; widać było po jego ognistych oczach, po niezachwianej gotowości na wszystko, że krew ojca wre w jego żyłach i że w podobnej sytuacji może być straszny... Mimo to jednak potrafił pohamować się i rzekł śmiało do kamieniarzy:

– Czego chcecie?

– Bitwy! – ryknął przywódca pewnym głosem.

– Z kim?

– Z Żarłokami.

– Tu nie ma Żarłoków – odpowiedział Agrykola – są spokojni robotnicy... Odejdźcie...

– Tak sądzisz? – zapytał drwiąco kamieniarz. – A więc dobrze! Wobec tego Wilcy zjedzą tych spokojnych robotników!

– Nie zjedzą nikogo – rzekł Agrykola, patrząc w oczy kamieniarzowi, który zbliżył się z groźną miną. – Wilków złęką się chyba tylko małe dzieci. My nie chcemy bitwy! Nie wyjdziemy stąd; lecz jeżeli, na wasze nieszczęście, poważycie się wejść tu, przekroczyć ten próg – i Agrykola, rzuciwszy na próg czapkę, stanął na niej nieustraszenie – będziecie napastować nas w naszym domu... wtedy odpowiecie za wszystko, co stąd wyniknie.

– Czy to u ciebie, czy gdzie indziej, dość, że będziemy mieli bitwę: Wilki chcą zjeść Żarłoków... Oto masz za twoją zuchwałość! – zawołał kamieniarz, podnosząc młot na Agrykolę.

Lecz ten, robiąc zręczny unik, uchylił się od wymierzonego ciosu i młotem uderzył kamieniarza prosto w piersi; ten na chwilę zachwiał się na nogach, ale wkrótce wracając do równowagi, rzucił się zapamiętale na Agrykolę, krzycząc:

– Za mną, Wilki!

## ROZDZIAŁ XXVII

### POWRÓT

Napad na Agrykołę stał się hasłem do ogólnej, strasznej i zaciętej walki; tłum napastników, biegnący za kamieniarzem, rzucił się na bramę, z zapamiętałą wściekłością. Kilku napastników, obróciwszy się we drzwiach, zatarasowało sobą wejście i tak go silnie broniło, iż robotnicy fabryczni nie mogli dostać się na schody. Tymczasem jedna z kobiet, uczestniczących w napadzie, ohydna megiera zwana Cebulą, z trzema czy czterema kamratami i tyluż nie mniej drapieżnymi obdartusami, zaczęli plądrować izby, tłukąc co napotkali po drodze. Znalazłszy przy którychś drzwiach opór, wyłamali je: Cebula wpadła do pokoju z kijem w rękę, rozczochrana, miotająca się, jak furia piekielna. Młoda, urodziwa dziewczyna (a była to Aniela), która, zdawało się, chciała bronić przystępu, załamując ręce, błagała:

– Nie róbcie nam krzywdy, dajcie spokój mojej matce.

– Najpierw ciebie ukatrupię, a potem twoją matkę! – krzyczała straszna baba, rzuciwszy się na dziewczynę, chcąc jej podrapać twarz drapieżnymi paznokciami. Tymczasem inni napastnicy, zbieranina włóczęgów, tłukli lustro, zegar i wszystko, co wpadło im w oczy, zabierali. Aniela krzyczała przeraźliwie, broniąc się przed Cebulą i ciągle usiłowała nie wpuścić jej do pokoju, gdzie schroniła się matka, która, wychyliwszy się za okno, wołała na ratunek Agrykołę. Młody kowal bił się ze straszonym kamieniarzem.

– Puść mnie... daję ci słowo... będziemy jutro się bić... kiedy zechcesz – rzekł, słysząc wołanie.

– Nie lubię odgrzewanego... ja jadam na gorąco – odparł kamieniarz i chwyciwszy potężną ręką kowala za szyję chciał oprzeć się kolanami na jego piersiach.

– Ratunku!... Zabijają mi córkę! – krzyczała rozpaczliwie matka Anieli.

– Puść mnie!... proszę cię, puść mnie!... – prawie błagał Agrykola.

– Jestem zbyt głodny! – odpowiedział kamieniarz. Wtem poczuł, jak go ktoś ugryzł ostrymi zębami w udo i jednocześnie dostał w głowę trzy czy cztery potężne kije. Puścił zdobycz i padł na kolano i na rękę, chcąc zakryć się drugą od ciosów, które ustały, gdy Agrykola się wydostał.

– Och, ojczec... to ty mnie bronisz... Byle tylko dla Anieli nie było za późno – zawołał kowal podnosząc się.

– Leć prędko, nie myśl o mnie – odpowiedział Dagobert. I Agrykola pobiegł do domu. Dagobert, a za nim Ponury, zjawili się, odprowadzając córki marszałka do dziadka. Agrykola tymczasem zdołał poroztrącać mężczyzn, broniących przystępu do schodów, wbiegł na korytarz, gdzie wychodziły drzwi do mieszkania Anieli. Wszedł właśnie w chwili, kiedy Aniela machinalnie zasłaniała twarz od paznokci Cebuli, która zamierzała pokaleczyć twarz swojej ofiary. Rzucił się na megierę i chwycił ją krzepko za rudy warkocz, odepchnął w tył, a potem, kopnąwszy silnie nogą, przewrócił ją na wznak – wszystkiego tego dokonał w mgnieniu oka. Cebula, potężnie ugodzona w głowę, więcej się nie podniosła. Kilku robotników wbiegło za Agrykołę i kiedy podniósł zemdloną Anielę i zaniósł ją do przyległego pokoju, przepędzili z domu bandę.

Po pierwszym zapale, część prawdziwych Wilków, jak mówił Agrykola, uczciwych zresztą robotników, którzy nieopacznie dali się wciągnąć do wyprawy, widząc, czego dopuszcza się hałastra, przeszła na stronę Żarłoków.

– Nie ma tu Wilków ani Żarłoków! – mówił jeden, który obronił Oliviera od pazurów jakiegoś włóczęgi. – Są tylko uczciwi robotnicy, którzy powinni się połączyć, żeby wypędzić tę zgraję łotrów i nikczemników.

Kiedy się to działo, mieszkanie ojca Simona przedstawiało smutny widok. Stary człowiek leżał rozciągnięty na łóżku, z głową przewiazaną chustką, spod której wyglądały siwe włosy, zbroszone krwią; twarz jego była blada, oddech ciężki, oczy osłupiałe. Marszałek, stojąc przy łóżku, schylony nad ojcem, z rozpaczą śledził najmniejsze oznaki życia umierającego starca, a doktor macał słabnące bicie pulsu. Doktorem tym był Baleinier.

Nagle doktor dał znak. Marszałek Simon, nie spuszczać z niego oczu, zawołał:

– Nadzieja!

– Mości księżę, puls wzmacnia się nieco...

– A więc przyjdzie do siebie – rzekł marszałek.

– Nie trzeba się jeszcze upewniać w nadziei, mości księżę – rzekł poważnie doktor – puls się wzmacnia, to skutek mocnych, przyłożonych do nóg, synopizmów, ale nie wiem jeszcze, jakie będą skutki tego przesilenia...

– Ojcie! Ojcie!... Słyszysz mnie? – zawołał marszałek, widząc, jak starzec poruszył nieco głową i lekko ściągnął powieki.

– Jesteś tu... Piotrze... – rzekł starzec słabym głosem – podaj mi rękę...

Piotr, nie posiadając się z radości, ukląkł i zaczął całować ojca w ręce, w twarz, w głowę, wołając:

– Żyje!... Bogu dzięki!... Żyje!... Wyzdrowieje!...

W tej chwili uszu konającego doszły krzyki walczących.

– Piotrze – rzekł starzec słabnącym głosem – pytałeś mnie... niedawno... o radę... w rzeczy bardzo ważnej... Zdaje mi się... że chęć objaśnienia cię... o twoich obowiązkach... na chwilę wróciła mi życie... Gdybym wiedział... że zostajesz... na drodze niegodnej... ciebie... mnie... Słuchaj więc, synu!... W tej ostatniej chwili... ojciec nie myli się... masz wielki obowiązek do spełnienia... jak przystoi na człowieka honoru... spełnienia mojej ostatniej woli... powinie- nieś... bez wahania...

Głos starca słabł coraz bardziej...

Jedyne słowa, które marszałek Simon mógł jeszcze zrozumieć, brzmiały:

– Napoleon... Przysięga... hańba... mój synu... Potem poruszył jeszcze machinalnie ustami i na tym skończył. W chwili, kiedy skonał, zupełnie się zmierzchno i nagle rozległy się przeraźliwe krzyki:

– Gore... gore... Pożar wybuchł w jednym z warsztatów. W tym samym czasie słyhać było w oddali bębnienie, oznaczające, że od rogatek nadchodzi oddział wojska.

\* \* \*

Już od godziny, mimo wszelkich sposobów ratunku, płonie fabryka. Noc jest widna, gwiazdzista, zimna: gwałtowny wiatr wieje od północy. Przez pola między wzgórzami tak wyniosłymi, iż nie widać pożaru, idzie mężczyzna, powoli, nierównym krokiem. Mężczyzną tym jest pan Hardy. Chciał wrócić pieszo, polem, spodziewając się tym uśmierzyć gorączkę. Nie oszukano go; uwielbiana kobieta opuściła Francję. Pan Hardy wszedł zadumany na szczyt pagórka. W tej chwili pożar, przytłumiony przez jakiś czas, znowu wybuchnął z wściekłością i szeroko oświetlił horyzont.

Fabrykant patrzył z osłupieniem.

Nagle wybuchnął ogromny snop iskier. Powiewy silnego, północnego wiatru, miotające płomieniami i rozdmuchujące pożar, przyniosły wkrótce do jego uszu odgłos dzwonu, wzywającego na ratunek jego gorejącej fabryki.

## ROZDZIAŁ XXVIII

### POŚREDNIK

W kilka dni po pożarze fabryki, przy ulicy Klodoweusza, w domu, gdzie mieszkał do niedawna Rodin, gdzie mieszkała również Róża Pompon, rozporządzając gospodarstwem swego przyjaciela Filemona, rozegrała się następująca scena. Było południe. Róża Pompon, sama w mieszkaniu ciągle nieobecnego akademika, z apetytem zjadała śniadanie.

Nie było zbyt wykwintne. Na małym stoliku stała miedniczka, w której niedawno umyła swoją świeżą twarzyczkę; teraz przygotowała sobie napój – wodę z sokiem porzeczkowym. Czubaty talerz sałaty oraz tuzin oliwek stanowiły pożywienie.

Schrupawszy sałatę, Róża zabierała się już do oliwek, kiedy ostrożnie zapukano do drzwi..

– Kto tam? – zapytała.

– Przyjaciel... stary przyjaciel – odpowiedział dźwięczny, radosny głos. – Więc panna się zamyka?

– Aha! To ty, Nini-Moulin?

– Tak jest, moja miła... Otwórz jak najprędzej... Bardzo się śpieszę.

Róża otworzyła drzwi, a gdy Nini-Moulin stanął na progu, spojrział ze zdziwieniem na wypchane kieszenie jego palta.

– Aj! Aj! Jakie masz ogromne kieszenie... Co w nich jest?

– Rzeczy, które mogą cię zainteresować.

– Mnie?

– Różo Pompon – rzekł nagle z wielką powagą Nini-Moulin – czy chcesz mieć ekwipaż? Czy chcesz, zamiast mieszkać w tej nędznej ruderze, mieć wspaniałe apartamenty? Ubierać się jak księżniczka?

– Masz go... znowu głupstwa... Będziesz jadł oliwki?... Bo, jeżeli nie, zjem wszystkie...

Nini-Moulin, nie odpowiedziawszy, sięgnął do kieszeni, wyjął pudełeczko, w którym była bransoletka i zaczął nią migać przed oczami dziewczyny.

– Ach, jaka piękna! – zawołała, klaszcząc w ręce. – Zielony wąż trzymający się za ogon... To znak mojej miłości dla Filemona.

– Nie mów mi o Filemonie... to mnie krępuje... – rzekł Nini-Moulin, zapinając bransoletkę na rękę Róży.

– Ktoś polecił ci to kupić, a ty, gruby apostoł, chcesz spróbować na mojej ręce, jak wygląda.

– Różo Pompon, czy chcesz mieć sługi, lożę w operze i tysiąc franków miesięcznie?

– Daj pokój! Po co te żarty?

Moulin sięgnął znowu do kieszeni, wyjął z niej równie wspaniałą łańcuch i włożył na szyję Róży.

– Ach! Jaki piękny! – zawołała dziewczyna, spoglądając kolejno to na klejnoty, to na pisarza.

– Różo Pompon! – rzekł Nini-Moulin uroczystym tonem. – Te drobiazgi są niczym w porównaniu z tym, co możesz mieć, jeżeli posłuchasz rad starego przyjaciela...

Zanurzył rękę w przepaścistej kieszeni, wyciągnął z niej jakiś pakiet i rozwinął go ostrożnie; była to śliczna mantyla z czarnych koronek.

– Wszystko to może być twoje, jeśli mnie wysłuchasz – kuśił.

– Jak to? – rzekła zdumiona Róża Pompon. – Mówisz poważnie?

– Posłuchaj tylko... – zawołał Dumoulin komicznie powściągliwym tonem – moja kochana! Aż nadto mnie znasz, żebyś mogła przypuścić, że namawiam cię na czyn nieprzystojny...



Aż nadto troszczę się o własny szacunek... z drugiej strony nie zawiódłbym Filemona, który powierzył mi straż nad twoją cnotą.

- A twoje propozycje, są uczciwe?
- Nie można żądać uczciwszych.
- Nie będę narażona na zarzut sprzeniewierzenia się Filemonowi?
- Nie.
- Lub mam być komuś wierną?
- Żadnego obowiązku.

Róża Pompon zastanowiła się chwilę i rzekła:

– Dajmy spokój tym żartom. Nie jestem tak głupia, żeby sądzić, że ktoś mnie będzie utrzymywać jak księżniczkę jedynie dla mych pięknych oczu... Do czego ja ze swej strony będę zobowiązana?

– Do niczego.

– Ale przecież coś będę musiała robić?

– Okazywać się zawsze ładną, hożą, cackać się, bawić się, jeździć powozem na spacer. Widzisz, że to wcale nie będzie trudne... a przyłożysz się do dobrego uczynku.

– Żyjąc jak księżniczka?

– Tak jest... namyśl się; nie pytaj o szczegóły... nie mógłbym ich wymienić... zresztą nie będziesz do niczego, wbrew twojej woli, przymuszona... spróbuj życia... jakiego ci życzę... Jeżeli ci się spodoba... wolno ci będzie używać go; jeżeli nie, wrócisz do swego dotychczasowego życia.

Nini-Moulin podszedł do okna, otworzył je.

- Popatrz... przed bramą.
  - Ładny powóz, rzeczywiście.
  - Ten powóz jest twój. Czeka na ciebie.
  - Jak to? Na mnie czeka? – zdziwiła się Róża. – Więc mam być zaraz gotowa?
  - Natychmiast.
  - Ale dokąd mam się udać?
  - Albo ja wiem? Stangret wie, dokąd ma jechać.
  - Wiesz, mój kochany, że to trochę śmieszne!
  - Zgadząc się, uczynisz mi wielką przysługę.
  - Tobie? A to z jakiego powodu?
  - Mniejsza o powód... Jedziemy?
  - No... przecież... nie zjedzą mnie tam – rzekła śmiało Róża Pompon.
- I zakrzętnąwszy się, wzięła różowy kapelusik i włożyła go zgrabnie na blond włosy.
- Fi... z salopą – odrzekł i jeszcze raz sięgnąwszy ręką do kieszeni, jak do jakiegoś skarbcza, wyciągnął z niej paradny szal kaszmirowy i zarzucił go na ramiona Róży.
- Kaszmir! – zawołała dziewczyna, nie posiadając się z radości i zachwytu.

I wyszła lekkim krokiem a za nią Nini-Moulin. Zieleniarka stała w swym sklepiku.

- Dzień dobry, wybrała się dziś panna tak wcześnie – rzekła.
- Tak, matko Arseni, proszę przyjąć mój klucz.
- Dobrze.
- Ach! Dla Boga!... Jak sobie pomyślę – rzekła nagle Róża, odwracając się do Nini-Moulin
- gdy pomyślę o Filemonie... bo może tam długo zabawię!
- Ze trzy miesiące, nie dłużej.
- A więc dobrze!

Wróciwszy do zieleniarki, poprosiła:

– Matko Arseni, gdyby przyjechał Filemon, powiedz mu, że... wyjechałam... za interesami... żeby cierpliwie czekał na mnie... Do widzenia, matko Arseni.

s– Do widzenia, panno Rózo.

Róża Pompon wsiadła triumfalnie do powozu.

– Niech mnie kaci porwą, jeżeli wiem, czym się to skończy – myślał Jakub Dumoulin, kiedy powóz szybko oddalał się z ulicy Klodoweusza. – Naprawiłem przecież swój błąd; teraz śmieję się z reszty.

## ROZDZIAŁ XXIX

### TAJEMNICA

Panna Cardoville siedziała zamyślona w gabinecie, wybitym zieloną tapetą, gdzie stała hebanowa biblioteka, wsparta na dużych kariatydach z pozłocistego brązu. Wpół leżąc, opierała się łokciem na kozetce okrytej zieloną materią. Przyjemny zapach, jakby łagodna mieszanina fiołków i jaśminu, rozchodził się z kwiatów prześlicznej kompozycji. Rzecz osobliwa, wielka liczba nowiuteńkich książek (dopiero przed dwoma lub trzema dniami kupionych), świeżo porozcinanych, leżało koło niej, jedno na kozetce, inne na małym stoliku; kilka atlasów z rycinami leżało na kosztownym sobolowym kobiercu, rozesłanym przy kanapie. A co dziwniejsze, wszystkie te różnego formatu i autorów księgi i atlasy dotyczyły jednego przedmiotu.

W zachowaniu Adrianny dostrzegało się jakieś melancholijne znużenie. Było wiele powodów tego smutku, a między innymi zniknięcie Garbuski, chociaż nie dawała zupełnej wiary chytrym podszeptom Rodina. Mówiono tylko o 500-frankowym banknocie, znalezionym na jej biurku, a ta, trudna do wyjaśnienia okoliczność, nasuwała drażliwe podejrzenia w myślach Adrianny. Już zaczynała odczuwać nieufność wobec wszystkiego, co jej doradzał Rodin; miała sekret, z którym musiała się kryć... sekret, który nabawiał ją szczęścia, wstydu i udręki.

Na pół leżąc na sofie, zadumana, udręczona, spoglądała na niedawno zakupione dzieła; wtem krzyknęła ze zdziwieniem, ręka, w której trzymała książkę, zadrżała jak liść i od tej chwili zaczęła czytać z natężoną uwagą, z jakąś nadzwyczajną ciekawością. Wkrótce oczy jej zaiskrzyły się, w uśmiechu przebijała niewymowna słodycz: była jednocześnie ucieszona, szczęśliwa i jakby z czegoś dumna... lecz w chwili, gdy przewróciła ostatnią kartkę, na twarzy jej pojawił się smutek i niezadowolenie.

Zamyśliła się a wzrok jej zatrzymał się na precudnej płaskorzeźbie stojącej przy oknie na hebanowym postumencie. Przepyszny ten brąz, świeżo odlany według wzoru, zaczerpniętego z antyku, przedstawiał triumf Bachusa Indyjskiego. Nigdy podobno sztuka grecka nie doszła do tak rzadkiej doskonałości. Młody wojownik, na pół odziany lwią skórą, która pozwalała podziwiać urodę jego młodzieńczych kształtów, jaśniał nadludzką pięknnością. Stojąc na wozie, ciągniętym przez dwa tygrysy, w wyniosłej postawie, jedną ręką wsparty na tygrysie, drugą kierował majestatycznie swym dzikim zaprzęgiem.

Dziewczyna wstała i wolno zbliżyła się do płaskorzeźby. Lekki rumieniec zaczynał występować na jej twarzy, okrył ją całą i szybko rozszerzył się na czoło i szyję. Wysunęła drżącą rękę, chcąc końcami palców dotknąć czoła brązowego indyjskiego Bachusa. Lecz wstrzymało ją jakieś powściągliwe wahanie. Wreszcie pokusa przemogła, uległa jej... alabastrowy palec, pogłaskawszy delikatnie blado-złocistą twarz młodego pół-bożka, spoczął śmieiej na jego czystym, szlachetnym czole... Potem, jakkolwiek dotknięcie było lekkie, Adrianna poczuła jakby przebiegający ją prąd; przejął ją dreszcz; omdlała i lekko wilgocią pokryte oczy wzniosły się ku niebu, a potem ociężałe przymknęły...

– Pierwszy raz w życiu poczułam się słaba i niedołączna... O, tak!... Niedołączna... bardzo niedołączna! – szepnęła wreszcie.

\* \* \*

Do gabinetu weszła Żorzeta i zapytała:  
Czy zechce pani przyjąć hrabiego Montbron?

- Powiedziałaś panu hrabiemu, że jestem w domu?
- Tak, pani.
- Więc poproś go.

## ROZDZIAŁ XXX

### WYZNANIE

Chcąc ukryć przyczynę gwałtownych uczuć, jakich w tej chwili doznawała, Adrianna przyjęła pana Montbron z udaną wesołością. Popatrzawszy na nią chwilę, pan Montbron kiwnął głową i rzekł, westchnąwszy:

– Moje dziecko... nie cieszy mnie to...

– Cóż to?... Jakiś ciężar na sercu... czy żałoba, drogi hrabio – rzekła z uśmiechem Adrianna.

– Choruję na serce... a tej choroby pani mnie nabawiła... Nie szanujesz swej urody... Tak jest, zobacz tylko swoją bladą twarz! Od paru dni jesteś smutna... masz jakieś zmartwienie...

– Kochany panie Montbron, jest pan tak przenikliwy, ale choć raz wolno panu pomylić się... a to właśnie zdarza się... dziś... Nie mam żadnego zmartwienia... i powiem zrozumiacie, nigdy nie uważałam się za piękniejszą.

– Czy chce pani dać do zrozumienia, że chlubisz się zmianą w rysach swej twarzy dlatego, że jesteś dumna z udręk swego serca? – rzekł pan Montbron, uważnie przypatrując się Adriannie. – Niech i tak będzie; słusznie więc powiedziałem: Pani ma zmartwienie...

– Bądź pan spokojny, jestem najszczęśliwsza, ciągle bowiem cieszę się świadomością, że jestem wolna... zupełnie wolna... w moim wieku.

– Ja jednak pragnąłbym widzieć panią tysiąc razy bardziej wolną niż jesteś teraz, radziłbym... szczerze...

– Wyjść za mąż...

– Tak, bez wątpienia, w ten sposób zachowałabyś pani tak drogą jej wolność... ze wszystkimi jej skutkami... tylko zamiast nazywać się panną de Cardoville... nazywałabyś się: pani de... Znaleźliśmy dla pani właściwego męża, który byłby odpowiedzialny za jej niezależność.

– A kto byłby odpowiedzialny za tego męża? Może ja? rzekła Adrianna z niejakim oburzeniem. – Nie, nie, kochany hrabio; za dobre i za złe, ja sama zawsze odpowiem za moje postęпки; do mojego imienia przywiązana będzie zawsze, dobra czy zła, ale przynajmniej taka opinia, jaką sama sobie stworzę. A ponieważ i ręczyć, i odpowiadać można tylko za siebie samą... zachowam więc własne imię.

– Pani jedyna masz takie wyobrażenie.

– A to dlaczego? – rzekła ze śmiechem Adrianna. – Zdaje mi się... że nieprzyjemnie jest widzieć młodą dziewczynę, że tak powiem, niksą w jakimś brzydkim i samolubnym mężczyźnie. Och! Przyznaj hrabio... że jest to szkaradna metampsychoza... małżeńska – dodała, śmiejąc się coraz głośniejsze.

Sztuczna, gorączkowa wesołość Adrianny była tak dziwnie sprzeczna z jej bladymi, zmienionymi licami; tak łatwo spostrzec było można, że wymuszonym śmiechem usiłowała przytłumić głębokie zmartwienie, iż zaniepokoiło to pana Montbron.

– Otóż masz, kochana trzpiotko... nowe głupstwo... Przypuśćmy, że mam dwadzieścia lat i że chciałabyś zrobić mi zaszczyt oddaniem swej ręki... Wtedy, przypuszczam, że nazwano by cię panią Montbron?

– Może...

– Jak to może? Nie nosiłabyś mego nazwiska, choćbyś mnie poślubiła?

– Mój kochany hrabio – rzekła Adrianna uśmiechając się – dajmy spokój przypuszczeniu, które pozostawiłoby mi tylko... żal.



– Rodin... to pani powiedział... – zawołał pan Montbron, jakby coś sobie przypomniał. –  
Wszak to on właśnie powiedział Dżalmie... że pani jesteś w kim innym zakochana.

– Ja?...

– I to właśnie przyprawiło biednego księcia o taką rozpacz...

– To również było przyczyną mojej rozpacz!

– A więc pani kocha go tak samo jak on panią! – zawołał uradowany hrabia.

– Czy ja go kocham?! – rzekła panna Cardoville.

Lekkie pukanie do drzwi przerwało tę rozmowę.

– Proszę – rzekła Adrianna.

Weszła Floryna.

Przyszedł pan Rodin... Bojąc się naprzykrzać pani, nie chciał wejść; ale wróci za pół godziny... Czy przyjmie go pani?

– Dobrze... – rzekł hrabia do Floryny – i choćbym był jeszcze u pani, można go wprowadzić...

A zwracając się do Adrianny, zapytał:

– Czy zgadza się pani?

– Zgadzam się...

W jej oczach błysnął gniew, gdy pomyślała o przewrotności Rodina.

– Och! Stary łotr!... – rzekł pan Montbron. – Nigdy nie wierzyłem tej kreaturze!

## ROZDZIAŁ XXXI

### MIŁOŚĆ

W pannie Cardoville zaszło przeobrażenie; pierwszy raz jej uroda ukazała się w całym swym blasku. Lekkie podrażnienie podstępem Rodina przemknęło jak cień na czole dziewczyny. Jakie znaczenie miały teraz dla niej te kłamstwa, zdrady? Czy nie zostały już zniweczone?

Skinawszy panu Montbron, zaprowadziła go do Indyjskiego Bachusa.

– Jak on jest do niego podobny! – rzekła.

– Rzeczywiście! – zawołał hrabia – to osobliwe!

– Osobliwe? – odparła z dumnym uśmiechem Adrianna – osobliwe, że bohater, półbożek, ideał piękności podobny jest do Dżalmy?...

– Jak go pani kocha!... – rzekł hrabia, głęboko wzruszony, widząc uszczęśliwioną Adriannę.

– Wiele musiałam cierpieć...

– A gdybym dziś tu nie przyszedł, co mogłoby się stać?

– Nie wiem... może bym już umarła z rozpacz... gdyż rana była trudna do wyleczenia (przyłożyła rękę do serca). Ale teraz będzie dla mnie życiem to... co by mi zadało śmierć...

– To było okropne! – dodał hrabia z drżeniem. – Taka namiętność, rozbudzona w pani, w pani, która jesteś tak dumna...

– Tak, dumna!... Ale daleka od pychy... Dlatego też, dowiedziawszy się o jego miłości do innej... słysząc, że wrazenie, jakiego, zdawało mi się, doznał podczas pierwszego spotkania ze mną, zatarło się... wyrzekłam się wszelkiej nadziei, nie mogąc przecieżyć miłości.

– Pojmuję teraz, co znaczy ta indyjska biblioteka. Zamiast odpowiedzi, rzekła, uśmiechając się z niewypowiedzianą radością:

– Niepotrzebnie zapierałam się; teraz czuję się dumna. Zobacz pan... czytaj... głośno... proszę...

I pokazała hrabiemu urywek, podając mu książkę.

Pan Montbron zaczął czytać fragment dziennika podróży po Indiach.

„...Gdy byłem w Bombaju, w 1829 roku, we wszystkich angielskich towarzystwach mówiono tylko o pewnym bohaterze, synu pewnego...

Hrabia przerwał, nie mogąc przeczytać trudnego do wymówienia nazwiska ojca Dżalmy, Adrianna dodała żywo:

– Synu Kadzi-Singa.

– Co za pamięć! – rzekł z uśmiechem. I czytał dalej:

„Młody bohater, syn Kadzi-Singa, króla Mundi. Powróciwszy z dalekiej, krwawej wyprawy w góry, przeciwko temu królowi indyjskiemu, pułkownik Drake był pełen uznania dla syna Kadzi-Singa, nazwiskiem Dżalma. Ledwo wyszedł z dzieciennego wieku, młody książę dał w tej zawziętej wojnie dowody tak nieustraszonej rycerskiej odwagi, tak szlachetnego charakteru, iż jego ojca nazwano „Ojcem Wspaniałego”.

Hrabia czytał dalej opisy zdarzeń, w których Dżalma złożył liczne dowody męstwa, siły, dzielności i szlachetności.

– Chciałam, abys to przeczytał – rzekła Adrianna, przerywając mu – i pojął... mój szacunek dla niego; bo jego odwagę, heroiczną dobroć poznałam podczas rozmowy, niespodziewanie usłyszanej, zanim go zobaczyłam. Od tego dnia byłam przekonana, że jest równie szlachetny jak nieustraszony, równie delikatny i czuły jak energiczny i śmiały... Dostrzegłam,



jakie sprawiłam na nim wrażenie... i jakiego sama doznałam... poczułam, że moje życie związane jest z tą miłością.

– A teraz, jakie są pani zamiary?

– Chcę, aby Dżalma, dowiedziawszy się o moim szczęściu, czuł taką samą rozkosz, jakiej ja doznaję...

– Kiedy chcesz, pani, ujrzeć Dżalmę?

– Jutro. Tak, jutro.

– A dzisiaj, co będzie pani robić?

– Nie wiem jeszcze. Muszę przemyśleć wszystko, o czym mówiliśmy.

– Może spędzimy ten dzień razem. Otóż nadarza się wspaniała okazja; teraz jest godzina druga... o wpół do czwartej przybędzie tu powozem moja siostrzenica; dzień jest bardzo piękny... mnóstwo ludzi będzie dziś w Lasku Bulońskim; użyje pani wybornej przejażdżki; otwarte, wolne powietrze, ruch, złagodzą twoją gorączkę... A wieczorem zaprowadzę panią do Indii...

– Do Indii?

– Do dzikiego lasu, gdzie słychać ryk lwów, rysiów i tygrysów...

– Doprawdy?... To chyba żarty.

– Wcale nie, przyrzekam pani, że pokażę jej w naturze owe drapieżne zwierzęta, straszliwych mieszkańców kraju naszego półbożka... mrużące tygrysy... ryczące lwy...

– Ależ...

– A więc muszę pani odkryć tajemnicę mojej nadprzyrodzonej władzy; po spacerze zatrzyma się pani u mojej siostrzenicy, a potem pojedziemy na ciekawe widowisko, odbywające się w Paryżu przy bramie św. Marcina... Pogromca zwierząt, bardzo osobliwy, pokazuje tam dzikie zwierzęta w lesie (jest to wprawdzie tylko złudzenie) i odbywa z nimi: z tygrysami, lwami, rysiami prawdziwe walki. Cały Paryż biegnie na te widowiska i ujrzy tam panią piękniejszą, bardziej niż kiedykolwiek zachwycającą.

– Dobrze... chętnie... jestem gotowa... ma pan rację. Największą przyjemnością będzie dla mnie oglądać te dzikie zwierzęta, bo mi będą przypominać te, które mój półbożek tak bohatersko zwalczał. Zgadzam się jeszcze na pańską propozycję i dlatego, że pierwszy raz w życiu pałam chęcią okazać się jak najpiękniejszą... wszystkim i dla wszystkich... Przyjmuję... wreszcie i dlatego... że...

Przerwało jej lekkie pukanie do drzwi, po czym weszła Floryna, oznajmiając przybycie Rodina.

## ROZDZIAŁ XXXII

### ZDEMASKOWANIE RODINA

Rodin wszedł do gabinetu, rzuciwszy bystrym okiem na pannę Cardoville i pana Montbron, odgadł, że znajdzie się w niemiłej sytuacji.

Na jego widok Adrianna prawie zdziwiła się, że nie czuła ani gniewu, ani nienawiści. Gorący płomień, jakim w tej chwili pałało jej serce, oczyścił je z wszelkiego uczucia zemsty. Przeciwnie, uśmiechnęła się jeszcze, bowiem rzuciwszy czule i dumne spojrzenie na indyjskiego Bachusa a potem na samą siebie, zastanawiała się: czego mają się w tej chwili obawiać dwie istoty tak piękne, młode i kochające się, ze strony tego starego, brudnego nikczemnego człowieka, który chodził i działał, zawsze czołgając się jak obmierzła gadzina. Słowem, zamiast czuć gniew lub odrazę do Rodina, dziewczynę opanował szyderczy śmiech, a jej oczy, skrzące się szczęściem, zaczęły tryskać dowcipną ironią. Hrabia pierwszy rozpoczął atak; obejrzwawszy się przez ramię na Rodina, rzekł:

– Ach!... Ach!... Jesteś, panie pocziwcze!

– Zbliź się pan... proszę – rzekła Adrianna z uszczypliwym uśmiechem. – Pan, który jesteś perłą przyjaciół, pan, wzór filozofów... Pan, nieprzejednany wróg obłudy i kłamstwa, należą się panu ode mnie tysięczne dzięki.

– Kochana pani, wszystko od niej przyjmuję... nawet niezasłużone grzeczności – rzekł jezuita, usiłując się uśmiechnąć. – Ale czy mogę wiedzieć, czym miałbym sobie zasłużyć na taką wdzięczność?

– Swoją przenikliwością... a jest ona bardzo rzadka – odpowiedziała Adrianna.

– A ja, panie – dodał hrabia – składam hołd prawdomówności... nie mniej rzadkiej...

– Miło jest czynić dobrze, nawet nie wiedząc o tym – odparł Rodin – ale mógłbym wiedzieć, za co jestem tak chwalony...

– Wdzięczność każe mi powiedzieć panu – rzekła Adrianna uszczypliwie: – To pan odkrył i powiedział księciu Dżalmie, że ja namiętnie kogoś kocham... A więc... może się pan chlubić swoją przenikliwością... bo mówiłeś prawdę.

– Powiedział pan również panie de Cardoville, że księżę Dżalma kocha namiętnie... kogoś – rzekł hrabia – a przeto pochłubić się pan może swoją prawdomównością.

Rodin zmieszał się.

– Tym kimś, którego tak, namiętnie kocham – rzekła Adrianna – jest księżę...

– A osobą, którą księżę kocha równie namiętnie – mówił hrabia – jest pani...

Jezuita powoli odzyskał zimną krew, a jego powierzchowny spokój oburzył pana Montbron, który, gdyby nie było Adrianny, inaczej pogadałby sobie z Rodinem.

– Zaszła pomyłka – rzekł Rodin – we wszystkim, o czym pani raczyłaś mówić. Jak żyję, nie mówiłem o przyzwoitszej miłości nad tę, jaką przejęta jest pani dla księcia Dżalmy...

– Prawda – przytaknęła Adrianna – że powodowany delikatnymi skrupułami, mówiąc mi o wielkiej miłości księcia... aż do tego stopnia byłeś taktowny, iż powiedziałaś, że... nie mnie, ale kogoś innego kocha...

– I z tego samego powodu powiedział pan księciu, że panna Cardoville kocha kogoś innego...

– Panie hrabio – odrzekł obojętnie Rodin – wystarczyłoby powiedzieć panu, że nie mam żadnej potrzeby mieszać się do intryg miłosnych.

– A więc!... Bądź pan ostrożniejszy w swych zacnych postępkach.

– Tymczasem przykro mi słuchać pańskich insynuacji.

– Cóż to! Mój panie – odrzekł hrabia z pogardą. – Nie wiesz, że wolno użyć wszelkich środków dla ukarania zuchwalców i szalbierzy?

Rodin odpowiedział ze spokojem:

– Nie znajduję nic zaszczytnego w tym, gdy ktoś nazywa zuchwałym napastnikiem uczciwego starego człowieka, jakim się czuję.

– Panie Rodin – rzekł hrabia – primo: biedny starzec, jakim pan się czuje, robi źle, zasłaniając się starością, którą hańbi i na podwójną zasługuje karę; secundo: co do wieku, nie sądzę, aby strzelcy mieli się schylać z uszanowaniem przed skórą starych wilków i przed siwymi włosami starych łotrów.

– Czuję się wolny od zarzutu, iżbym miał być starym wilkiem, a tym bardziej starym łotrem... – rzekł spokojnie Rodin – pozwolisz, panie hrabio żądać, abyś mnie przestał ścigać przez strzelców i żandarmów; co do zarzutów... nigdy się nie usprawiedliwiam.

– Doprawdy? – rzekł hrabia.

– Nigdy! – rzekł zimno Rodin. – Moje czyny uniewinniają mnie, więc odpowiem po prostu, że widząc głębokie, gwałtowne, niemal przerażające wrażenie, jakie sprawiła pani na księciu... powinienem był mu powiedzieć, że pani kocha kogoś innego, jak również musiałem powiedzieć pani, że on kocha inną osobę... to dla waszego wspólnego dobra... Że moje przywiązanie do pani obłąkało mnie... byś może, nie jestem nieomylnym... lecz, moim dotychczasowym postępowaniem wobec pani, może zasłużyłem na prawo innego ze mną obejścia...

– A cóż to? Mój panie! – zawołał urażony hrabia – swymi kłamstwami pogrążyłeś księcia w taką rozpacz, iż dwukrotnie już chciał targnąć się na swoje życie; swymi kłamstwami wprowadziłeś także pannę Cardoville w taki obłęd, iż gdybym dziś nie podjął kroków zaradczych, obłęd ten trwałby dłużej i mógłby pociągnąć za sobą zgubne skutki!

Adrianna przysłuchiwała się z uwagą. Nagle zerwała się i jakby sobie o czymś przypomniała. Po chwili milczenia odezwała się do Rodina, bez złości, bez urazy, ale ze spokojną łagodnością:

– Gdyby pan chciał spojrzeć na rzeczy z mego punktu widzenia, pozwól przypomnieć sobie niektóre zdarzenia: Garbuska była mi bardzo oddana, dała mi niezaprzeczone dowody przywiązania... lecz czuła nieprzewyciężony wstręt do pana... Nagle znikła nie docieczonym dotąd sposobem... i pan starał się obudzić we mnie podejrzenie wobec niej. Pan Montbron raczy mi dawać dowody ojcowskiego przywiązania; lecz muszę panu wyznać, że mało ma dla pana sympatii; starałeś się także posiać nieufność między mnie a niego... W końcu księżę Dżalma ma do mnie żywą skłonność... a pan używa najszkaradniejszych podstępów dla zniszczenia w nim tego uczucia; w jakim więc celu pan tak postępuje?... Tego nie pojmuję; lecz nabieram pewności że pańskie działania nie są dla mnie przychylne...

– Pani, zdaje się – rzekł Rodin surowym tonem – do swojej nieświadomości rzeczy dołącza zapomnienie moich usług.

– Nie zaprzeczam, że wydobył mnie pan z domu doktora Baleiniera... lecz bądź co bądź, w kilka dni później byłby mnie tak samo uwolnił pan Montbron, którego pan tu widzi...

– Oczywiście! – rzekł hrabia.

– Wiem, że nie tylko mnie okazał pan swoją troskliwość.... Córki marszałka Simona zostały tu przyprowadzone dzięki pana staraniom... lecz z pewnością sądzić należy, że upomnienie się marszałka Simona, księcia de Ligny, w sprawie jego dzieci nie byłoby daremne; postarał się pan nawet o to, że staremu żołnierzowi oddany został krzyż cesarski, droższy mu nad życie; jest to rzecz bardzo wzruszająca... W końcu zdemaskował pan doktora Baleiniera i księdza d'Aigrigny... ale ja sama także byłam gotowa zdemaskować ich... Zresztą wszystko to dowodzi, że jest pan człowiekiem niezmiernie przenikliwym, zdolnym..

– Dziękuję za uznanie! – beczelnie odpowiedział Rodin.

– Tak, panie! – rzekła Adrianna – Liczne... przysługi, jakie wyświadczyłeś mnie i moim krewnym, otworzyły mi nagle oczy albo raczej – dodała poważnym tonem – wyobraź pan

sobie, że Bóg, dając matce instynkt bronienia swego dziecka... dał mi, wraz z moim szczęściem, instynkt zachowania tego szczęścia i że jakieś przeczucie, wyświatlając tysiączne okoliczności, nieznanne mi do tej pory, nagle ostrzegło mnie, iż zamiast przyjacielem, jesteś może najniebezpieczniejszym moim i mojej rodziny wrogiem.

– A więc przechodzimy do przypuszczeń – rzekł ciągle nie zmieszany Rodin.

– A od przypuszczeń, mój panie, do najpewniejszego przekonania – mówiła Adrianna z niezachwianą godnością. – Tak, teraz wierzę, że przez jakiś czas byłam pana igraszką... mówię to bez nienawiści, bez gniewu, ale z żalem; przykro widzieć tak zdolnego człowieka... poniżającego się do takich intryg, który po tylu szatańskich zabiegach, w końcu okrywa się śmiesznością... nic bowiem śmieszniejszego, jak zostać zwyciężonym przez dziewczynę, której jedynym orężem jest... jej miłość. Od dzisiejszego dnia uważam pana za nieprzeblaganego wroga; nie wiem jeszcze, jakimi chcesz zdążyć drogami; nie wątpię, że godne będą przeszłości, a przecież... ja się pana nie boję. Od jutra moja rodzina zostanie o wszystkim powiadomiona i zabezpieczymy się, gdyż idzie tu o owo ogromne dziedzictwo, którego już o mało nam nie wydarto. Pan sam mi powiedział, że moi wrogowie są tak niebezpiecznie zręczni, iż bezustannie trzeba wszystko przewidywać; będę pamiętała usłyszeć. ~~Byłoby niezasadne~~ i dziwne, gdybym chciał być pani wrogiem – rzekł Rodin, ciągle ze spokojem.

– Dam panu jeszcze radę: będzie krótka; nie próbuj walczyć ze mną, bo wyobraź sobie, że napotkałbyś coś silniejszego od siebie i swoich współników, to jest kobietę broniącą swego szczęścia.

Piękne jej oczy iskrzyły się takim szczęściem i determinacją, iż Rodin poczuł obawę.

Nie dał jednak poznać swego zmieszania.

– Droga pani, według wszelkiego prawdopodobieństwa nigdy się już nie zobaczymy... przypomnę tylko pani jedną rzecz, którą proszę zapamiętać: nigdy się nie usprawiedliwiam... zajmie się tym za mnie przyszłość... Jestem jej uniżonym sługą.

I ukłonił się nisko.

– Panu hrabiemu... moje najniższe uszanowanie – dodał, kłaniając się jeszcze niżej.

Ledwie wyszedł, kiedy Adrianna, pobiegłszy do biurka, coś napędce napisała, zapieczętowała i rzekła do pana Montbron:

– Nie zobaczę księcia do jutra... tak przez zabobon jak i dlatego, że chciałabym, aby to spotkanie odbyło się uroczyście... Napiszę teraz do niego... bo z takimi, jak Rodin trzeba wszystko przewidywać.

– Słusznie, moje dziecko... trzeba więc spiesznie posłać mu list.

Adrianna podała mu list.

– Napisałam kilka słów dla ukojenia jego cierpień... nie tyle jednak, żeby pozbawić się radości z niespodzianki, jaką mu gotuję na jutro.

– We wszystkim postępuje pani roztropnie i delikatnie; biegnę do księcia, aby oddać mu pani bilet... i wrócę zabrać panią i panią Morinval na Pola Elizejskie.

I hrabia wyszedł spiesznie z domu panny Cardoville, ucieszony, wesoły, jak przedtem był smutny, przygnębiony.

## ROZDZIAŁ XXXIII

### POLA ELIZEJSKIE

Blisko dwie godziny upłynęły od rozmowy Rodina i panny Cardoville; mnóstwo spacerujących, wywabionych na Pola Elizejskie piękną pogodą wiosennego dnia (było to przy końcu marca) zatrzymywało się, aby podziwiać śliczny ekwipaż Adrianny.

Pan Montbron nie mógł doręczyć Dżalmie listu panny Cardoville, gdyż księżę z rana jeszcze, jak mówił Faryngea, wyjechał na wieś z marszałkiem Simonem, lecz miał wrócić na wieczór i wtedy list zostałby mu oddany. Spokojna o Dżalmę, Adrianna, słuchając rady pana Montbron, udała się na spacer swym powozem, aby przekonać paryski świat, że postanowiła, mimo oszczerczych, przez księżnę Saint-Dizier rozsiewanych wieści, niczego nie zmienić w swym postanowieniu: prowadzić osobny dom.

Tak zwany świat nie mógł uwierzyć własnym oczom, widząc tę osiemnastoletnią dziewczynę, należącą do najwyższej arystokracji, występującą wobec wszystkich w swym własnym ekwipażu, aby pokazać, że rzeczywiście żyje zupełnie niezależna, wbrew wszelkim zwyczajom. Ten rodzaj emancypacji wydawał się czymś osobliwym, nadzwyczajnym i zdumiewano się, że całe ułożenie i zachowanie, pełne powabu, wdzięku i godności, zupełnie zbijało rozsiewane przez księżnę Saint-Dizier i jej przyjaciół potwarze co do rzekomego obłąkania jej siostrzenicy.

Wielu elegantów, korzystając ze znajomości z margrabiną Morinval lub panem Montbron witało ich, przez jakiś czas towarzysząc konno, aby mieć sposobność widzieć, podziwiać a może i usłyszeć pannę Cardoville. Ona chętnie spełniała te życzenia, rozmawiając ze zwykłym sobie wdziękiem i dowcipem. Z głębi swego powozu bawiła się przypatrywaniem migającym w jej oczach tłumom różnobarwnej publiczności paryskiej; lecz pośród tej błyskotliwej mieszaniny wypatrywała łagodnych, melancholijnych rysów Dżalmy. Wtem coś spadło jej na kolana... wzdrygnęła się.

Był to bukiet zwiędłych już nieco fiołków.

W tejże chwili usłyszała dziecinny głos:

– Na miłość boską... łaskawa pani... grosik.

Adrianna obejrzała się i spostrzegła małą, bladą, zziąjaną dziewczynę o łagodnej smutnej twarzy, ledwo okrytą gałgankami, która wyciągała ręce i błagała o wsparcie. Chociaż ta uderzająca sprzeczność największej nędzy z największym zbytkiem była tak pospolita, iż prawie nie wpadała w oko, Adrianna jednak wyczuła ją:

– Ach! Niechże ten dzień – pomyślała – nie tylko dla mnie będzie dniem szczęścia.

Wychylając się z powozu, spytała:

– Masz matkę, moje dziecko?

– Nie, pani; nie mam już ani matki, ani ojca...

– A kto się tobą zajmuje?

– Nikt... proszę pani... dają mi bukiety fiołków do sprzedania; muszę oddać za nie grosze...

A jeżeli nie... biją mnie...

– Biedne dziecko!

– Choć grosik... pani – mówiło dziecko, biegnąc obok powozu.

– Mój kochany hrabio – rzekła Adrianna, uśmiechając się do pana Montbron – nie pierwsze to pewnie będzie dla pana porwanie... Bądź tak dobry, wychyl się trochę i podaj ręce temu dziecku: podnieś ją pan szybciotko... ukryjemy ją między panią Morinval a mną... oddalimy się potem tak, iż nikt nie spostrzeże tego porwania.

– Jak to? – rzekł zdziwiony hrabia – chce pani...

– Wczoraj może mógłby pan uważać ten kaprys za dziwactwo, lecz dziś... dziś powinien pan domyślić się... że jest to niemal moją powinnością.

– Tak, rozumiem to – rzekł hrabia, kiedy pani Morinval, nie wiedząc o miłości Adrianny do Dżalmy, patrzyła ze zdziwieniem na hrabiego i młodą dziewczynę.

Hrabia, wychylając się z powozu i podając dziecku rękę, rzekł:

– Podaj mi rękę, malutka.

Choć mocno zdziwione, dziecko jednak mimowolnie usłuchało i wyciągnęło rączyny; wtedy hrabia podniósł je zręcznie. Dziecko, bardziej zdumione aniżeli przestraszone, nie rzekło ani słowa. Adrianna i pani Morinval zrobiły między sobą miejsce; posadzono tam dziewczynkę, która znikła natychmiast pod szalami dwóch kobiet. Wszystko odbyło się tak szybko, iż ledwie kilka osób spostrzegło to porwanie.

– Teraz, kochany hrabio – rzekła uradowana Adrianna – uciekajmy co prędzej z naszą zdobyczą.

Pan Montbron rzekł do dżokejów:

– Do pałacu!

I cztery konie ruszyły kłusem.

– Zdaje mi się, że ten dzień szczęścia jest teraz uświęcony i że już można darować memu zbytowi – rzekła Adrianna – zanim zdołam odnaleźć biedną Garbuskę, przynajmniej jej miejsce nie będzie puste.

W chwili, kiedy myśl o Garbusce wpadła Adriannie do głowy w bocznej ulicy widać było zbiegowisko tłumu.

– Popatrz, wujaszku – rzekła pani Morinval – jak się tam ludzie zbiegają! Może kazać stanąć i posłać tam dowiedzieć się?...

– Dotrzeć można by, ale daruj, moja kochana – rzekł hrabia – wkrótce już będzie szósta; przedstawienie drapieżnych zwierząt zacznie się o ósmej; ledwie będziemy mieli czas wrócić i zjeść obiad... Będę paniom tym wdzięczniejszy, gdy nie będziecie opóźniały powrotu, że zaprowadziwszy je do bramy Św. Marcina, będę jeszcze musiał udać się na pół godziny do klubu, aby oddać głos za lordem Campbellem.

– Wujaszku, więc zostaniemy same: Adrianna i ja na przedstawieniu?

– Będzie wam towarzyszył twój mąż.

– Jednak życzyłybyśmy sobie, żeby wujaszek na długo nas nie opuszczał.

– Ba! I ja, równie jak wy, ciekawy jestem zobaczyć te straszne zwierzęta i sławnego Moroka, niezrównanego pogromcę zwierząt.

W kilka minut potem powóz panny Cardoville oddalił się od Pól Elizejskich, uprowadzając małą dziewczynkę i kierując się na ulicę Anjou.

W chwili, kiedy paradny ekwipaż zniknął, zbiegowisko jeszcze powiększyło się; słychać było okrzyki politowania.

– Co tam się dzieje?

– Mówią, że jakaś biedna... garbata dziewczyna upadła z osłabienia, z głodu.

– Garbata... mała szkoda!... I tak za dużo tych garbatych...

– Garbata, czy prosta... Jeżeli umiera z głodu... – wtrącił jakiś młodzian, ledwie mogąc powściągnąć oburzenie – jest to rzecz nie mniej smutna i nie ma się z czego śmiać!

– Umierać z głodu, he! – rzekł ktoś z przechodniów – Hołota tylko, co nie chce pracować, umiera z głodu... i dobrze jej tak.

– A ja, mój panie, założyłbym się, że jest pewien rodzaj śmierci, na którą pan pewno nigdy nie umrzesz – zawołał oburzony młodzieniec.

– Co pan chce powiedzieć?... – rzekł tamten z uniesieniem. – Chcę powiedzieć, że pan nigdy nie umrze na chorobę serca, bo go nie masz.

– Mój panie! – zawołał rozgniewany przechodzień.

I nagle zakręciwszy się na piętach, mrużąc pod nosem odszedł do kabrioletu z pomarańczowym pudłem, na którym był ogromny herb baronowski.

Tym przechodniem był baron Trippeaud, właściciel fabryki, szachraj, lichwiarz.

Biedną garbatą była Garbuska, która rzeczywiście, wycieńczona głodem, upadła w chwili, kiedy szła do panny Cardoville.

Tym razem nie chodziło o nią, ale o jej siostrę Cefizę... Bachantkę, która wczoraj wróciła do Paryża, a którą Garbuska, przy pomocy Adrianny, chciała wyrwać z najokropniejszego losu.

## ROZDZIAŁ XXXIV

### PRZED WYSTĘPEM

Ogromna sala teatru przy Bramie św. Marcina napelniona była po brzegi publicznością.

Morok kończył właśnie ubieranie się w garderobie. Ciemny ubiór nadawał pogromcy zwierząt jakąś groźną postawę, żółtawa, gęsta broda szeroko spadała mu na piersi, a czerwoną krymkę otoczył długą sztuką białego muślinu. Bigot w Niemczech, komediant w Paryżu, Morok umiał równie dobrze jak jego protektorzy dostosować się do okoliczności.

W kącie garderoby siedział, patrząc z głupekowatym podziwem na pogromcę, Jakub Renepont, Leżynago. Od dnia, w którym pożar zniszczył fabrykę pana Hardy, Jakub ani na chwilę nie oddalił się od Moroka, spędzając noce na hulankach, które nie szkodziły żelaznemu organizmowi pogromcy zwierząt. Natomiast w twarzy Jakuba spostrzegać już było można wielką zmianę; jego wklęsłe policzki, marmurowa bladeść, przyćmiony, częstokroć jakby obłąkany, to znów przytłumionym ogniem pałający wzrok, dowodziły skutków rozpusty.

Napatrzywszy się przez jakiś czas na Moroka, Jakub odezwał się:

– Niech będzie co chce, ale to twoje rzemiosło jest wspaniałe... (byli już po imieniu) i przyznam ci, iż możesz się poszczycić, że w tej chwili na całym świecie jest najwyżej dwóch takich ludzi jak ty... Szkoda tylko, że nie poprzestajesz na tym rzemiośle.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– A ten spisek, na koszt którego fetujesz mnie po całych dniach i nocach?

– To zagrzewa;.. Żal ci, masz może krzywdę?

– Nie, bynajmniej! – rzekł Jakub – A cóż bym robił? Spalony gorzałką, choćbym chciał pracować, nie miałbym sił... nie mam, jak ty, marmurowej głowy i żelaznego ciała... ale usmolić się prochem zamiast czym innym... na to byłbym gotów, do tego tylko jestem zdany... a wreszcie... to nie pozwala mi myśleć...

– O czym?

– Wiesz dobrze... że gdy myślę... to tylko o jednej rzeczy... – rzekł Jakub ponuro.

– O Bachantce? Jeszcze o Bachantce? – odparł Morok ze wzgardą.

– Zawsze trochę; gdybym o niej nie myślał, wtedy już chyba nie żyłbym... albo byłbym już bez żadnego czucia... szatanie.

– Nigdy nie byłeś zdrowszy i nigdy nie byłeś dowcipniejszy... głupcze! – odpowiedział Morok obwiązując swój zawój.

Rozmowę przerwało wejście Goliata. Ogromny wzrost tego olbrzyma uwydatnił się jeszcze barczystością; potężne mięśnie, poobciążane żyłami jak postronkami, wystawały pod cielistym trykotem.

– Po coś tu wpadł jak burza? – rzekł Morok.

– Ocho! Jest tam inna burza w sali! Zaczynają się niecierpliwić i krzyczą jak opętani; ale żeby tylko na tym się skończyło.

– No! A co jeszcze?

– Śmierć nie będzie mogła wystąpić tego wieczora...

Morok odwrócił się nagle niespokojny.

– A to dlaczego? – zawołał.

– Dopiero co oglądałem ją... leży jakby przylepiona w głębi swej klatki... uszy tak stuliła, jakby je kto poobcinał... Wiesz przecież, co to znaczy.

– To wszystko? – rzekł Morok, obracając się do lustra. – I tak dosyć, bo ona jest w wściekłym napadzie! Od czasu, kiedy w Niemczech zadusiła owego białego konia, nie widziałem, żeby miała tak drapieżny wyraz, ślepie błyszczą jej jak świece.



– A więc trzeba jej włożyć na kark jej piękny kołnierzyk!  
– Tak, obrożę ze sprężyną.  
– Ale to jeszcze nie wszystko... – dodał zasepiony Goliat.  
– No, co jeszcze?...

– Ten Anglik jest tutaj!  
Morok zadrżał; opuścił ręce.  
Jakub zdziwił się jego bladością.  
– Anglik?... Jest?... Widziałeś go? – zawołał Morok. – Jesteś pewien?  
– Patrzyłem przez otwór w kurtynie i dostrzegłem go w małej łoży prawie nad sceną; chce przypatrzeć się przedstawieniu z bliska; łatwo go poznać po dużym nosie i wyniosłym czole.  
Morok wzdrygnął się.  
Człowiek ten, zwykle nieczuły jak dzikie zwierzę, był coraz bardziej przerażony. Jakub zapytał:  
– Co to za Anglik?  
– Nie odstępował mnie od Strasburga, gdzie spotkał mnie pierwszy raz – odpowiedział Morok. – Odbywał podróż małymi stacjami, podobnie jak ja, własnymi końmi, zatrzymywał się wszędzie, gdzie ja się zatrzymywałem, aby być na każdym przedstawieniu. Na dwa dni przed przyjazdem do Paryża opuścił mnie... myślałem, że już się go pozbyłem! – dodał z westchnieniem.  
Pozbyłem... co to znaczy, dlaczego tak mówisz... – rzekł Jakub zdziwiony – o tak korzystnej okoliczności, o podobnym wielbieliu.  
– Tak – odparł Morok, coraz bardziej ponury i niespokojny – ten diabeł – założył się o ogromną sumę, że zostanie pożarty podczas widowiska w jego obecności... ma nadzieję, że wygra zakład... dlatego nigdy mnie nie opuszcza.  
Pomysł Anglika wydawał się Jakubowi tak zabawny, iż pierwszy raz od dawna śmiał się do rozpuku.  
– Ależ głupcze, zastanów się – zawołał Morok – to nie jest wcale zabawne! Ponieważ muszę bezustannie śledzić najmniejsze poruszenia zwierząt, gdy wspomnę, że dwoje oczu... zawsze we mnie wlepione... czeka, kiedy najmniejsze roztargnienie odda mnie na pastwę tych zwierząt...  
– Teraz pojmuję – rzekł Jakub i także wzdrygnął się. – To przerażające.  
– Jeżeli pan nie będzie zważał, że Śmierć ma uszy stulone – rzekł grubiańsko Goliat – i uprzesz się koniecznie... to mówię ci, że Anglik wygra zakład tego wieczora.  
– Pójdiesz mi z oczu, bydlę... nie zwracaj mi głowy głupimi przepowiedniami! – zawołał Morok; – Idź lepiej i przygotuj kołnierz dla Śmierci.  
– Ale – rzekł Leżynago – czemu nie ogłosisz, że ryś jest dzisiaj chory.  
Morok ruszył ramionami:  
– Czy słyszałeś kiedy, jaka jest rozkosz gracza, gdy stawia na kartę całe swoje szczęście, swoje życie? Otóż i ja w tych codziennych widowiskach mam dziwną rozkosz w gardzeniu śmiercią w obecności drżącej, przerażonej moją śmiałością publiczności... Wreszcie, nawet w strachu, jakiego nabawia mnie ten Anglik, znajduję często, mimowolnie, jakąś straszną podnietę.  
Wszedł reżyser.  
– Czy można już dzwonić, panie Morok? – zapytał. – Uwertura będzie trwać tylko dziesięć minut.  
– Dzwon pan! – rzekł Morok.  
– Komisarz policji już dwukrotnie obejrzał podwójny łańcuch, przeznaczony dla rysia i hak z kółkiem, wkrębowany w posadzkę, na dnie jaskini; wszystko uznano za bezpieczne.  
– Tak... bezpieczne... ale nie dla mnie... – mruknął pod nosem pogromca zwierząt.  
– A więc panie Morok, można zaczynać?

– Można... – odpowiedział Morok.

Rozległ się potrójny głos dzwonka, rozpoczęto uwerturę.

Sala przedstawiała widok nader ożywiony. Oprócz dwóch łóż przed sceną, wszystkie miejsca były zajęte.

Podniesiono kurtynę.

Proscenium, po lewej stronie widowni, przedzielone było na dwie łóże; w jednej znajdowało się kilka osób, drugą połowę, bliższą sceny, zajmował Anglik, ów dziwak i amator zakładów, co wzbudzał tyle niepokoju w Moroku.

Nad łóżą Anglika na piętrze, znajdowali się państwo Morival i panna Cardoville. Ta ostatnia trzymała w ręku wielki bukiet z najpiękniejszych kwiatów indyjskich: sfetanotys, gardenia, mieszały biały matowy kolor z purpurową barwą jawańskiego hybisku i amarylli.

Proscenium pierwszego piętra, po prawej stronie od widowni, naprzeciw łóży Adrianny, było jeszcze puste.

Nagle drzwi łóży otworzyły się. – wszedł do niej mężczyzna mogący mieć koło czterdziestu lat, o czarno-miedzianej cerze, odziany po indyjsku w długą jedwabną suknię, koloru pomarańczowego, przepasany zielonym pasem, miał na głowie biały zawój; ustawivszy dwa krzesła na przedzie łóży i popatrzywszy przez chwilę to w tę, to w drugą stronę, wzdrygnął się, jego czarne oczy zaiskrzyły się i prędko wyszedł. Mężczyzną tym był Faryngea.

Uwaga publiczności jeszcze wzrosła, gdy ujrzała wchodzącego do łóży rzadkiej piękności młodzieńca, również odzianego po indyjsku, w długą suknię z białego kaszmiru z szerokimi rękawami, a na głowie w zawój szkarłatny w złote pasy, takiego koloru pas, za którym błyszczał wysadzony drogimi kamieniami pugiuał... Młodzieńcem tym był Dżalma.

Za nim ukazała się jeszcze jedna osoba.

Była to ładna, młoda blondynka, ubrana raczej okazale niż gustownie. Dwie wielkie kokardy wiśniowego koloru, z obu boków otaczały milutką twarzyczkę. Czytelnicy poznali zapewne Różę Pompon. Miała białe, długie rękawiczki, przesadnie obciążone bransoletkami. Zamiast naśladować poważne ruchy Dżahny, Róża Pompon raczej wbiegła niż weszła do łóży, posunęła z hałasem krzesło, pokręciła się, zanim usiadła, żeby ułożyć piękną suknię, potem zalotnie podała Dżalmie bukiet róż do powąchania. Faryngea wszedł ponownie, przytknął drzwi i usiadł za księciem.

Adrianna nie od razu spostrzegła księcia i jego towarzyszkę zajęta oglądaniem sceny, przedstawiającej indyjski las.

## ROZDZIAŁ XXXV

### ŚMIERĆ

Widok Róży Pompon, zawsze powabnej, mimo krzyzącego ubioru, a nade wszystko mimo śmiesznego zachowania się, lekkomyślnego i dość poufałego wobec pięknego Hindusa, który jej towarzyszył, wywołał ogólne zdziwienie; bowiem w tej właśnie chwili Róża Pompon, powodując się kokieterią, znowu podsunęła Dżalmie bukiet róż do powąchania. Lecz książę, na widok pejzażu, który przypominał mu rodzinny kraj, zamiast okazać się wrażliwy na tę zaczepkę, pozostał zamyślony, utkwivszy wzrok w scenę. Siedząca naprzeciw łoży pani Morival, spostrzegła niebawem nowo przybyłe osoby, a zwłaszcza osobliwą kokieterię Róży Pompon, nachyliwszy się do panny Cardoville, rzekła z uśmiechem:

– Najciekawszych rzeczy nie szukaj na scenie... spójrz tylko prosto, naprzeciwko.

– Naprzeciwko? – powtórzyła od niechcenia Adrianna.

I przez ciekawość rzuciła okiem we wskazaną stronę.

Spojrzała...

Oslupiała i zbladła... powodowana instynktem, przymrużyła na chwilę oczy, aby nie patrzeć i nie widzieć... podobnie jak odpycha się ostrze, które już zraniło i grozi nam jeszcze...

– Dżalma jest tu z tą kobietą... a przecież odebrał mój list – pomyślała – mój list... z którego mógł wyczytać szczęście, jakie go czekało.

Pomyślała jeszcze:

– Rodin mówił prawdę.

Tak więc panna Cardoville ze szczytu najwyższego szczęścia, została strącona w otchłań najstraszliwszych udręk, w przeciągu jednej sekundy... gdyż ledwie sekunda upłynęła, jak odpowiedziała:

– Cóż jest tak ciekawego na wprost nas, droga Julio?

– Jak to? Nie widzisz tego Hindusa, który wszedł do łoży na wprost nas?

– Ach! Rzeczywiście... widzę... widzę ich – odpowiedziała spokojnie Adrianna.

Dżalma zajęty przypatrywaniem się dekoracji, nie zważał na zaczepki Róży Pompon i nie dostrzegł jeszcze Adrianny.

– Ach! Ach! – wdzięczyła się Róża Pompon, kręcąc się na krześle i lornetując pannę Cardoville. – To mi dopiero piękność... rzadka piękność... kobieta jak anioł, z włosami rudymi, ale dziwnie pięknie rudymi, przyznać jej trzeba... Patrz, śliczny książę!

Przy tych słowach uderzyła lekko w ramię Dżalmę, który na te słowa wzdrygnął się i spostrzegł pannę Cardoville. Choć go już prawie przygotowano do tego spotkania, książę jednak został tak gwałtownie odurzony, iż chciał wstać; lecz wtem poczuł wspartą na ramieniu rękę Faryngei, który siedząc za nim, szepnął cichym głosem:

– Bądź cierpliwy... a ujrzysz tę kobietę u swych stóp... Widzisz, jak zbladła i znowu zaczerwieniła się... Nie bądź słaby... bo inaczej wszystko będzie stracone.

– Serce mi pęka... – po cichu odpowiedział Dżalma.

– Jutro będzie skakać z radości i miłości – odrzekł Metys. – Tylko pogardą podbić można dumną kobietę. Jutro... zobaczysz. drżąca i zawstydzona, stanie przed tobą i prosić cię będzie...

– Jutro... nienawidzić mnie będzie... do śmierci – odpowiedział znękany książę.

– Tak... jeżeli teraz ujrzy cię słabym... Już teraz nie wypada się cofać... Spójrz jej teraz śmiało w oczy, a potem weź bukiet tej dziewczyny i przyłóż go do ust... A natychmiast zobaczysz, jak ta dumna kobieta będzie się rumieniła, będzie bladła, Jak to było przed chwilą; a wtedy uwierzysz mi?

Dżalma w rozpaczy zmuszony próbować wszystkich środków, idąc mimowolnie za szatańskimi radami przewrotnego Faryngei, śmiało popatrzył na pannę Cardoville. Na tak oburzające naigrawanie Adrianna nie mogła się wstrzymać od widocznego zmieszania.

– Masz ją, już teraz jest twoja... – rzekł Metys – widzisz księżę, jak zadrżała... z zazdrości; jest twoja; bądź tylko cierpliwy! Niebawem przedkładać cię będzie nad młodzieńca, który siedzi za nią... gdyż to jego... dotąd kochała.

I jakby odgadując złość i nienawiść, jakie to odkrycie miało wzbudzić w sercu księcia, dodał żywo:

– Tylko bądź spokojny... nie zważaj na nią... Bądź pewny, że teraz ten młodzieniec będzie cię musiał nienawidzić.

– Co ty mu takiego opowiadasz, co go tak drażni? – Róża Pompon zwróciła się do Faryngei, udając zadaną; potem, odwróciwszy się do Dżalmy: – No, piękny księżę, jak mówią w czarnoksiężskich powieściach, oddaj mi mój bukiet. Miałeś go przy ustach, bierze mnie chętna zjeść go teraz...

Wzdychając i czule spoglądając na Dżalmę, dodała cicho:

– Ten potwór Nini-Moulin nie zwodził mnie... Wszystko to bardzo skromne, uczciwe... pod tym względem nie mam sobie nic do wyrzucenia.

Czy trzeba jeszcze dodać, że list Adrianny nie został księciu doręczony?

W tej chwili wszystkie oczy zwróciły się ku jaskini po lewej stronie sceny, poniżej łoża panny Cardoville; wszyscy niecierpliwie wyglądali ukazania się aktorów...

Straszny ryk rozjątrzonego zwierzęcia odezwał się z podziemia, do którego otwór ginął w połowie pod sztucznymi krzakami. Na ten ryk Anglik powstał w swej łoży i zatarł ręce, a jego wielkie, zielone, wytrzeszczone oczy nie opuszczały wejścia do jaskini.

Usłyszawszy ten ryk, Dżalma także zadrżał, mimo miotających nim uczuć miłości i zawiści. Widok lasu, ryk rysia, wywarły na nim głębokie wrażenie, budząc znowu pamięć rodzinnego kraju i owych srogich walk, które, równie jak wojna, mają swój straszny urok. Wkrótce ponure warczenie, jak odległy łoskot grzmotu, niemal zagłuszyło chrapliwe zgrzytanie rysia; lew i tygrys, Judasz i Kain, odpowiadały mu z głębi sceny, gdzie ustawione były ich klatki... Na ten przerażający koncert, który tyle razy obijał się o uszy Dżalmy w puszczech indyjskich, gdy stawał obozem na polowaniu lub wojnie, krew zawrzała w żyłach młodego księcia, jego oczy zaiskrzyły się. Nie było już wtedy dla niego teatru, aktorów ani Adrianny; był w lesie swego kraju... czuł przed sobą tygrysa...

– Otóż go macie!... Jest! – dał się słyszeć szmer między widzami.

W głębi sceny ukazał się Morok.

Ciekawość opanowała widzów, wszystkie oczy zwrócone były na jaskinię.

Wtem czarny ryś, odsunawszy krzaki swymi szerokimi piersiami, nagle się pokazał; na pół otworzywszy czerwoną paszczę... przeraźliwie ryknął, pokazując dwa rzędy strasznych kłów.

Miał na sobie dwa potężne żelazne łańcuchy i żelazną obrozę ze sprężyną, ale ponieważ i łańcuchy i obroza były pomalowane na czarno, nie można było ich dojrzeć. Złudzenie było zupełne... zdawało się, że ten drapieżny zwierz był całkiem swobodny w swojej jaskini.

– Moje panie – rzekł nagle margrabia – popatrzcie no na tych Hindusów... w jakim są uniesieniu.

Istotnie, na widok rysia, zapal Dżalmy doszedł do najwyższego stopnia... jego oczy skrzyły się, górna warga wywijala się konwulsyjnie i nadawała mu wyraz zwierzęcej dzikości. Faryngea również, oparty łokciami o brzeg łoża, był gwałtownie poruszony widokiem tego przypadkowego spotkania, ale z innego powodu.

– Ten czarny ryś, tak rzadki w swym gatunku – myślał – którego widzę tu w Paryżu, w teatrze, musi być tym samym, którego Malajczyk dusiciel, który wyratował Dżalmę, gdy spał, zabrał malutkiego z gniazda i sprzedał europejskiemu kapitanowi... Potęga Bohwanii jest wszędzie – dodał, zapamiętały w swym krwawym zabobonie.

– Adrianno – odezwała się margrabina – Pogromca zwierząt jest teraz blisko nas... patrz, jakie przerażenie widać w jego twarzy...

– Rzeczywiście – dodał margrabia – okropnie zbladł... mówią że gdyby na chwilę stracił przytomność umysłu, wystawiłby się na największe niebezpieczeństwo.

– Ach! To byłoby okropne! – zawołała margrabina – Gdyby został ranny...

– Albo to od każdego zranienia trzeba umierać... – odezwała się Adrianna tak obojętnym tonem, iż młoda mężatka spojrzała na nią ze zdziwieniem.

– Ach, moja kochana, mówisz straszne rzeczy!

– Cóż chcesz? Taka atmosfera nas otacza i działa na mnie.

– Patrzcie... patrzcie... pogromca wypuścił strzałę na rysia! – rzekł nagle margrabia. – Po-tem dopiero rozpocznie walkę.

Morok założył strzałę na łuk, przykląkł za załomem skały... mierzył długo... grot świsnął i zniknął w głębi jaskini, do której schronił się ryś, pokazawszy na chwilę swój groźny łeb. Ledwie strzała zniknęła, kiedy Śmierć umyślnie podrażniona przez niewidzialnego Goliata, ryknęła rozjątrzona, jak gdyby ugodził ją wymierzony cios...

Pantomima Moroka była tak wyrazista, tak naturalnie udał radość, że trafił drapieżne zwierzę, iż rześiste oklaski zabrzmiały w całej sali... Wtedy, daleko odrzuciwszy od siebie łuk, wy dobył puginał zza pasa, wziął w zęby i zaczął czołgać się, jak gdyby chciał zająć zranione zwierzę w legowisku.

Żeby złudzenie było silniejsze, ukryty Goliat znowu uderzył Śmierć żelaznym prętem, a ta, rozdrażniona, znowu odezwała się okropnym rykiem.

Pantomima Moroka stawiała się tym bardziej przerażająca, że czołgając się, zbliżał się do łoża Anglika... Pogromca zwierząt nie mógł oderwać wzroku od wielkich, zielonych oczu tego człowieka; każdy jego ruch był skutkiem magnetycznego wrażenia, jakie w nim wywoływał wzrok Anglika.

Głębokie milczenie, panujące w sali, przerwały okrzyki uniesienia, ryki rysia i odległe, straszne pomrukiwania lwa i tygrysa.

Anglik, prawie wychylony poza łożę, z otwartymi ustami, wytrzeszczywszy wielkie oczy, zdawał się ledwo łapać oddech z niespokojnej ciekawości. Sytuacja stawiała się dramatyczna.

Nagle Morok krzyknął przeraźliwym głosem, rzucając się na Śmierć, która odpowiedziała strasznym rykiem, rzucając się na swego pana z taką zapalczywością, iż Adrianna, przerażona, sądząc, że pogromca zginął już, odskoczyła w tył, zakrywając twarz rękami... Bukiet wyslizgnął się jej z rąk, upadł na scenę i potoczył do jaskini, gdzie Morok walczył z rysiem. Szybki jak błyskawica, zwinny i rzutki jak tygrys, powodując się uniesieniem miłości i dzi- kim zapałem, jaki wzbudził w nim ryk rysia, Dżalma jednym skokiem znalazł się na scenie, dobył puginału i rzucił się do jaskini po bukiet Adrianny. W tej właśnie chwili ranny Morok przeraźliwym głosem wzywał ratunku... Ryś, jeszcze bardziej rozjuszony na widok Dżalmy, targnął się, aby zerwać łańcuch; gdy mu się to nie udało, wspiął się na tylne łapy, chcąc po- chwycić Dżalmę, którego mógł właśnie dosięgnąć swymi ostrymi pazurami. Schylić się na kolana, utopić mu po dwakroć puginał w brzuchu było dziełem jednej chwili. W taki sposób Dżalma uchronił się od niechybnej śmierci. Ryś ryknął przeraźliwie, upadając całym ciałem na księcia... przez chwilę, gdy trwał jego okropny zgon, widać było tylko pomieszana, kon- wulsyjnie drgającą masę czarnych członków i zboczonych krwią białych sukien... wreszcie Dżalma podniósł się, zbladły, skrwawiony i ranny, a stanąwszy, wsparł nogę na zwłokach rysia... i trzymając w ręku bukiet Adrianny, rzucił na nią wzrok pełen bezgranicznej miłości.

Wtedy i Adrianna poczuła opuszczające ją siły, gdyż tylko nadludzka odwaga dodała jej mocy, by zostać świadkiem tego przerażającego widowiska.

## Cześć trzecia

### CHOLERA

#### ROZDZIAŁ I

#### PODRÓŻNY

Jest noc, księżyc świeci melancholijnie; pogodne niebo jest okryte gwiazdami; wieje ostry, zimny, suchy wiatr północny – jego wyjące gwałtownie podmuchy... zamiatają wzgórza Montmartru.

Na najwyższym szczycie wzgórza stoi człowiek. Jego wielki cień odbija się na kamiennym, oświetlonym przez księżyc gruncie... Podróżny, przypatrując się niezmiernemu, rozciągającemu się pod jego stopami miastu... Paryżowi... mówi:

– Nie – nie... Pan tego nie zechce. Wystarczy już dwa razy.

Pięć wieków temu mściwa ręka wszechmocnego pchnęła mnie aż tu z głębi Azji... Samotny podróżnik, pozostawiłem w moim pochodzie więcej żałoby, więcej rozpacz, trupów... aniżeli mogłyby zostawić ich niezliczone wojska wielu szerzących pożogę zdobywców... Wszedłem do tego miasta... i zostało zdziesiątkowane...

Dwa wieki temu ta sama nieubłagana ręka, która mnie wodzi po całym świecie, znowu mnie tu sprowadziła i tym razem, równie jak wtedy plaga, którą wszechmocny posyła w moje ślady, spustoszyła to miasto i najpierw dotknęła mych braci, już i tak wycieńczonych pracą i nędzą.

Braci... jerozolimskiego rzemieślnika, którego wyklął Pan. I oto znowu, trzeci raz od pięciu wieków, przybywam na szczyt wzgórza, panującego nad tym miastem. I może znowu przynoszę z sobą trwogę, śmierć i zniszczenie. A to miasto, zagłuszone wrzawą swych ucich, nocnych zabaw, nie wie... O! Nie wie że stoję przed jego bramą... Ale nie, moja obecność nie będzie nową klęską... Może gniew Pana już uspokaja się...

O Nie! Nie!... Pan będzie miłosierny...

Nie... on nie skaże na nowe męki...

Niestety! W tym mieście, moi bracia... są liczniejsi i biedniejsi niż gdzie indziej... I ja miałbym... sprowadzać na nich śmierć!... Nie, Pan ulituje się, bo, niestety! Siedmiu potomków mojej siostry nareszcie zebrało się w tym mieście. I ja miałbym przynieść im śmierć? Śmierć... zamiast spieszego ratunku, którego tak potrzebują?...

Ach! Powiedz, powiedz, Panie! Czy potomkowie mej siostry unikną przeznaczenia, które od tylu wieków ciąży nad moim rodem? Czy raczysz mi przebaczyć w nich? Czyż też będziesz mnie w nich karał? O! Spraw, żeby wysłuchali ostatniej woli swego pradziada! Owe słowa Człowieka-Boga:

Kochajcie się nawzajem... byłyby jedynym ich celem, jedynym środkiem...

Przez litość, wysłuchaj mnie, Panie... wyrwij potomków mojej siostry z rąk ich nieprzyjaciół... zacząwszy od rzemieślnika aż do królewskiego syna... Nie pozwól zniszczyć zarodu potężnego, żyźnego zjednoczenia, które, z Twej łaski, stanie się epoką w dziejach świata.

A może ich walka, ich poświęcenie, ich cnota, ich cierpienie odkupią moją winę... winę człowieka, którego sama niedola uczyniła złym i niesprawiedliwym... Panie! Ponieważ twoja wszechmocna ręka przyprowadziła mnie tu... w nieznanym mi celu... racz ukoić swój gniew... niech nie będę narzędziem twojej zemsty!... Dostyc już żałoby na ziemi! Już od dwóch lat stworzenia twoje padają tysiącami... po moich śladach... Przerzedzony już został ród ludzki, kir żałoby okrywa całą ziemię... Od Azji aż do lodowatych biegunów... przechodziłem... i wszędzie umierano... Czy słyszysz, Panie, tego długiego łkania, które z ziemi wznosi się do ciebie?... Miłosierdzia dla wszystkich i dla mnie... Niech na dzień, na jeden tylko dzień... wolno mi będzie zgromadzić potomków mej siostry... a będą ocaleni...

Mówiąc te słowa, podróżny padł na kolana... podniósł do nieba błagalnie ręce.

Nagle wiatr zaryczał z podwójną gwałtownością; jego świszczące powiewy zamieniły się w burzę. Podróżny struchlał. Przerażonym głosem... zawołał:

– Panie, wichur śmierci wściekle się sroży... zdaje mi się że tuman podnosi mnie... Panie! Czy nie wysłuchasz mej prośby?

Widmo... Och! Widmo... oto... oto znowu... jego oliwkowa twarz zżyma się konwulsyjnie... czerwone oczy przewracają się w swej oprawie... Precz!... Precz ode mnie!... Jego ręka!... Och! Zimna jak lód... uchwyciła moją rękę... Panie!... Zlituj się!...

– Idź!

– Ziemia ucieka pod moimi stopami... Otóż i brama miasta... Och! Już... Panie... jeszcze czas... Przebaczone temu śpiącemu miastu. Niech się nie budzi na krzyk trwogi, rozpacz i śmierci!... Panie, już dotykam progu bramy... Chcesz więc koniecznie... Stało się... Paryżu! Plaga już jest na twoim łonie!... Ach, przekleństwo, zawsze przekleństwo!

– Idź!... Idź!... Idź!...

## ROZDZIAŁ II

### PRZYJĘCIE

Nazajutrz po dniu, w którym nieszczęsny podróżny, zstąpiwszy z wzgórz Montmartre, wszedł do Paryża, w pałacu Saint-Dizier zapanował znaczny ruch. Księżna, wzięwszy do pomocy panią Grivois, w obszernym salonie wydawała ostatnie rozkazy. W jednym końcu salonu niedaleko kominka ustawiono rodzaj bufetu urządzonego naprędce; widać było na nim różne przysmaki do wytwornego przyjęcia.

Rzuciwszy zadowolonym okiem na wieczerzę, księżna rzekła do pani Grivois, wskazując jej poślaczane krzesło, przeznaczone dla przewodniczącego zebrania:

– Czy pod stołem położono mój szal, aby jego przewielebność mógł wygodnie otulić nogi? Zawsze skarży się na zimno...

– Tak, proszę pani – rzekła pani Grivois, zajrzawszy pod stół.

– Powiedz także, aby nalano wrzącą wodę do ogrzewaczki cynowej, na wypadek, gdyby jego przewielebności nie wystarczył szal do ogrzania nóg...

– Dobrze, proszę pani.

– Dołóż jeszcze drzewa na kominek.

– Ale, proszę pani, i tak już za dużo... niech pani zobaczy! A, zresztą, jeżeli jego przewielebności jest zawsze zimno, to znów księdzu biskupowi halfageńskiemu zawsze gorąco: ciągle poci się.

Księżna wzruszyła ramionami i rzekła:

– Czyż jego wysokość ksiądz kardynał Malipieri nie jest starszy od biskupa Halfagena?

– Rzeczywiście?

– Tak, według hierarchii jego przewielebność może cierpieć gorąco, ale bynajmniej nie wypada jego wysokości cierpieć zimna... Zrób więc, co ci mówię, dołóż drzewa na kominek. Zresztą, nic prostszego; jego wysokość jest Włochem, a jego przewielebność pochodzi z północnej Belgii; rzecz naturalna, że przyzwyczajeni są do różnych temperatur.

W chwili, kiedy księżna kończyła przegląd przygotowań, turkot powozów, rozlegających się na dziedzińcu, uświadomił jej, że osoby, których się spodziewała, już są; bez wątpienia musiały to być osoby dostojne, gdyż wbrew zwyczajowi, wyszła na ich spotkanie aż do drzwi pierwszego salonu. Istotnie był to kardynał Malipieri i biskup belgijski Halfagen; towarzyszył im ksiądz d' Aigrigny.

Ksiądz d' Aigrigny, podchodząc do księżny, rzekł półgłosem:

– Czy raczysz, pani, rozkazać, aby wprowadzono tu księdza Gabriela Rennepont, który chce przedstawić jej swoją prośbę?

– Więc ten młody ksiądz jest tutaj? – zapytała zdziwiona księżna.

– Od dwóch dni. Wezwaliśmy go do Paryża... Dowie się pani o wszystkim... Co do księdza Rodina, pani Grivois wprowadzi go tu małymi drzwiczkami od ukrytych schodów.

– I on także przyjdzie?

– Ma nam udzielić ważnych informacji. Zażądał, aby ksiądz kardynał i ksiądz biskup byli obecni przy rozmowie, gdyż w Rzymie zawiadomił ich o wszystkim ksiądz generał...

Księżna zadzwoniła, wydała rozkazy i zwróciwszy się do kardynała, rzekła z troskliwą uprzejmością:

– A wasza wysokość, czy nie raczy skosztować tego paszteciku z ostryg? – Jest gorący – dodała.

– Znam go już, księżno – rzekł kardynał, połykając ślinkę – jest wyborny i nie będę się wzdragał.



– Jakie wino będę miała zaszczyt ofiarować waszej wysokości? – pytała uprzejmie księżna.

– Trochę wina Bordeaux, jeżeli raczy pani.

I gdy ksiądz d'Aigrigny zabierał się do nalewania wina kardynałowi, księżna nie dopuściła go do tego drogiego zaszczytu i sama wykonała tę usługę.

Ksiądz d'Aigrigny zwrócił się z powagą do kardynała:

– Na szczęście, o czym zaraz powiem waszej wysokości, z powodu księdza Gabriela, gdyby pilnie nad tym nie czuwano, niższe duchowieństwo zaraziłoby się galikanizmem i gotowością do buntu przeciw temu, co oni nazywają uciskiem ze strony biskupów.

– Żeby temu zapobiec – rzekł z naciskiem kardynał – trzeba, aby biskupi podwoili surowość i zawsze pamiętali, że najpierw są Rzymianami, dopiero potem Francuzami, gdyż we Francji reprezentują Ojca Świętego i Kościół Rzymski, tak jak ambasador reprezentuje za granicą swój kraj, swego władcę i interesy narodu.

– Wówczas towarzystwo zajęłoby należne sobie miejsce, którego, niestety, nie zajmuje we Francji w tych czasach bezbożności i niewiary – mówił kardynał. – Szczęściem widziałem po drodze znaczną liczbę prałatów, których oziębłość karcilem i ożywiałem gorliwość... zalecając, aby śmiało, otwarcie wystąpili przeciw wolności druku i wyznania, mimo że zostały uznane przez obmierzłe ustawy rewolucyjne.

– Przebóg! Więc wasza wysokość nie boi się strasznych niebezpieczeństw, na które narażeni będą nasi prałaci, gdy go usłuchają? – spytała naiwnie księżna. – A owe straszne apelacje od nadużyć; gdyby wasza wysokość mieszkał we Francji, powstałby na ustawy krajowe... A to straszna rzecz... rada stanu stwierdziłaby, że polecenie waszej wysokości jest nadużyciem. – Zawsze jednak to my będziemy górą, wbrew ich wiedzy i woli... Gdy przejeżdżałem przez Lugdun... poczułem się głęboko wzruszony... wszak to prawdziwie rzymskie miasto bractwa, wszelkiego rodzaju klasztorów... niczego tam nie brak co jeszcze lepsze, przeszło trzykrotnie sto tysięcy talarów co rok zapisów dla naszego zakonu... Ach, Lugdun jest godną stolicą katolickiej Francji...

– Na nieszczęście – odparł ksiądz d'Aigrigny – nie wszystkie miasta Francji podobne są do Lugdun! Muszę nawet uprzedzić waszą wysokość, że dostrzec się daje bardzo gorszące zjawisko: niektórzy członkowie spośród niższego duchowieństwa przemysłują o odszczepieństwie, chcąc aby kościół francuski całkiem odłączył się od Rzymu, pod pozorem, że ultramontanizm zmienił pierwotną czystość nauki ewangelicznej. Pewien młody ksiądz, przedtem misjonarz, a potem proboszcz na wsi, Gabriel Rennepont, któremu nakazałem przez jego przełożonych, by się stawił w Paryżu, jest głównym orędownikiem takiej propagandy; zebrał wielu pasterzy przyległych do parafii, w której jest proboszczem i zalecając im bezwzględne posłuszeństwo biskupom, dopóki nie nastąpi jakaś zmiana w istniejącej hierarchii, zobowiązywał ich, aby używali praw obywatela francuskiego dla dopięcia prawnie tego, co oni nazywają wyzwoleniem niższego duchowieństwa.

– Tak więc ten ksiądz Gabriel występuje jako reformator. Musi to być niespokojna głowa. Czy jest niebezpieczny?

– Wszystko to jest tym gorsze – dodał ksiądz d'Aigrigny – że łagodność, miłosierdzie i prawdziwie chrześcijańskie poświęcenie księdza Gabriela wywołały, nie tylko w jego parafii, ale i w sąsiednich, prawdziwy zapal. Proboszczowie okolicznych parafii poszli za powszechnym popędem i trzeba wyznać, gdyby nie jego umiarkowanie, zaczęłaby się prawdziwa schizma.

– Ale czego spodziewasz się, wielbny ojcze, sprowadzając go tutaj? – zapytał prałat.

– Sytuacja księdza Gabriela jest powikłana, najpierw, jako spadkobierca rodziny Rennepontów...

– Przecież on zrzekł się swoich praw? – zapytał kardynał.

– Tak jest, wasza wysokość, a cesja jego, najpierw pełna wad co do formy, potem, za jego przyzwoleniem, trzeba to jeszcze powiedzieć, została doskonale sprostowana, gdyż przysiągł, że dla towarzystwa jezuitów ustępuje całkiem ze swojej części majątku. Niemniej jego wielbność ksiądz Rodin sądzi, że jeżeli wasza wysokość zaproponowałby księdzu Gabrielowi dostojne miejsce w Rzymie... może by udało się nakłonić go do opuszczenia Francji i obudzić w nim ambicje, które pewnie drzemia, gdyż wasza wysokość powiedział bardzo rozsądnie: każdy reformator musi być ambitnym człowiekiem.

– Podtrzymuję tę myśl! – rzekł kardynał.

Po krótkim milczeniu kardynał zwrócił się nagle do księdza d'Arigrigny:

– Ponieważ mówimy o księdzu Rodinie... Powiedz szczerze co sądzisz o nim?...

– Wasza wysokość zna jego zdolności... – rzekł ksiądz d'Arigrigny z wymuszonym spokojem.

– Czy uważasz, że jest ambitny? – spytał kardynał po chwili milczenia... – Czy nie sądzisz, że ma na myśli jakieś inne cele... nie tylko cel największej chwały swego zgromadzenia?... Tak... mam słuszne powody, gdy ci to mówię... – dodał.

– Ja myślę... że, jeśli by jego pozorne poświęcenie dla zgromadzenia miało jakieś skryte zamiary, należałoby wszystkimi sposobami starać się przekonać go... bo przy takich wpływach, jakie zjednał sobie w Rzymie, i to już od dawna...

Ksiądz d'Arigrigny nie dokończył. W tej chwili pani Grivois, zapukawszy najpierw, uchyliła drzwi i dała znak swej pani. Księżna odpowiedziała skinieniem głowy. W sekundę potem do salonu wszedł Rodin.

## ROZDZIAŁ III

### BILANS

Na widok Rodina dwaj prałaci i ksiądz d'Aigrigny powstali, tak dalece nakazywała szacunek rzeczywista wyższość tego człowieka; ich twarze, dopiero co skrzywione nieufnością i zawiścią wypogodziły się i zdawały uśmiechnąć się do wielebnego ojca; księżna wyszła mu naprzeciw.

– Mówiliśmy o waszej wielebności – rzekł kardynał przymilnie.

– Ach!... – odezwał się Rodin. – I co też mówiono?

– Och!... Wszystko dobre, co tylko można powiedzieć o waszej wielebności...

– Zapewne – rzekł Rodin – wasza wysokość może przyłożyć się naszej sprawie... i to bardzo poważnie... Powiem zaraz, w jaki sposób...

Potem zwracając się do księżny:

– Kazałem powiedzieć doktorowi Baleinier, aby tu przybył, bo dobrze będzie zawiadomić go o niektórych sprawach.

– Zostanie przyjęty jak zwykle – rzekła księżna.

Od przybycia Rodina ksiądz d'Aigrigny nie odezwał się słowem; zdawało się, że nurtowały go przykre myśli i że toczył sam z sobą gwałtowną, wewnętrzną walkę; na koniec, podniosłszy się, cedząc słówka przez zęby, zwrócił się do kardynała:

– Nie występuję tu z prośbą do waszej wysokości, aby był sędzią między wielebnym księdzem Rodinem a mną; nasz generał rzekł: Ja byłem posłuszny. Ale ponieważ wasza wysokość wkrótce zobaczy się z naszym przełożonym, pragnąłbym, jeżeliby raczył uczynić mi tę łaskę, aby przekazał mu wiernie odpowiedzi księdza Rodina na niektóre z pytań, jakie mu zaraz postawię.

Kardynał skinął głową. Rodin spojrział ze zdziwieniem na księdza d'Aigrigny i rzekł oschle:

– To już osądzone... Po co te pytania?

– Nie dla usprawiedliwienia siebie – mówił dalej ksiądz d'Aigrigny – ale żeby należycie przedstawić stan rzeczy jego wysokości.

– A, kiedy tak, proszę mówić... – ale unikać słów niepotrzebnych. – Rodin, wyjmując duży srebrny zegarek, spojrział na godzinę i rzekł: O drugiej muszę być u Świętego Sulpicjusza.

– Będę starał się przedstawić sprawę krótko – rzekł ksiądz d'Aigrigny, ledwie ukrywając urazę i zwrócił się do Rodina: Gdy wasza wielebność uznał za wskazane moje dotychczasowe działania zastąpić swoimi, ganiąc... może za surowo, sposób, w jaki ja prowadziłem interesy, przyznam, były skompromitowane.

– Skompromitowane? – odparł ironicznie Rodin. – Powiedz raczej wasza wielebność... stracone... gdy kazałeś mi napisać do Rzymu, że należy zrzec się wszelkiej nadziei.

– Jego wielebność ksiądz Rodin – ciągnął d'Aigrigny – zarzucał mi, że używałem tylko grubiańskich środków, gdyż jak mówił, ich gwałtowność nie zgadzała się i obrażała panujące zwyczaje... Mniejsza o to... Lecz po pierwsze... nie mogły stać się przedmiotem jakiegokolwiek dochodzenia, a wreszcie, gdyby nie zbieg nieoczekiwanych, nieszczęśliwych wypadków, skutek uświęciłby moje postępowanie. Teraz zaś... Czy mogę zapytać waszą wielebność, co sam...

– Co sam osiągnąłem? – odpowiedział Rodin. – W jakim stopniu posunąłem sprawę Renepont'ów, gdy objąłem ją po waszej wielebności, niemal straconą?... Czy to chce wiedzieć jego wielebność?

– Właśnie to – rzekł oschle d'Aigrigny.

– A więc powiem! – mówił dalej Rodin szyderczym tonem. – Ile wasza wielebność zrobił rzeczy wielkich, głośnych, wicherzących... tyle ja zrobiłem małych, niepozornych, skrytych! Tak; nie potrafiłbyś, wasza wielebność, zdobyć się na pomysły, jakie ja wprowadzam w czyn od sześciu tygodni. Ksiądz d'Aigrigny ma wielkie zdolności, będzie mi użyteczny, lecz nie jest tak wielki, żeby w potrzebie potrafił zrobić się małym... Pojmuje to wasza wielebność?

– Niezupełnie – rzekł ksiądz d'Aigrigny, rumieniąc się.

– Tym gorzej dla waszej wielebności! – rzekł Rodin. – Dowodzi to, że miałem słuszność. A więc ja miałem dosyć zdolności do wykonywania przez sześć tygodni najgłupszych czynności... tak, jak mnie wasza wielebność widzi, rozmawiałem, żartowałem z gryzетką; mówiłem o postępie ludzkości, wolności, emancypacji kobiety... z młodą, próżną dziewczyną; mówiłem o wielkim Napoleonie, a fetyszyzmie bonapartowskim ze starym, głupim żołnierzem; o sławie cesarskiej, poniżeniu Francji, o nadziei w królu rzymskim z walecznym marszałkiem francuskim, który, jeżeli ma serce pełne uwielbienia dla tego zbrodniarza, który skonał na wyspie Świętej Heleny, ma zarazem głowę tak pustą, tak wrzaskliwą jak trąba wojenna... wystarczy dmuchnąć w tę czaszkę bez mózgu kilka nut wojennych lub patriotycznych, a narobi wielkiego hałasu, wrzawy, nie wiedzieć za kogo, na co i jak. Zrobiłem jeszcze więcej... i, na honor, bardzo dobrze zrobiłem!... Mówiłem o miłostkach z młodym, dzikim tygrysem. Nie piękny to widok? Prawda? Widzieć pająka, uporczywie rozpinającego swe sieci?

Rodin uśmiechnął się znacząco.

Ksiądz d'Aigrigny zaczął żałować, że wdał się w tę walkę, jednak odezwał się znowu, nie mogąc powściągnąć ironii:

– Nie przeczę małostkowości tych środków. Zgadza się: są one naiwne... bardzo pospolite; ale to nie jest dowodem ich skuteczności.

– Co działy wszystkie te środki? – uniósł się Rodin. – Zajrzyj tylko w moją pajęczynę, a zobaczysz tam ową piękną i zuchwałą dziewicę, tak dumną niedawno ze swej piękności, rozumu, ze swej śmiałości... teraz bladą, słabą, zwyciężoną.

– Ale co z tego wyniknie dla sprawy Rennepont'ów? – spytał kardynał, zdjęty ciekawością.

– Wyniknie stąd to – rzekł Rodin – że gdy najniebezpieczniejszy, jakiego moglibyśmy mieć, nieprzyjaciel, został poważnie raniony, przeto opuści plac walki; a to już, zdaje mi się, coś znaczy.

– Ciekaw jestem dowiedzieć się – rzekł ksiądz d'Aigrigny – dlaczego ta burza namiętności miałyby przeszkodzić panie Cardioville i księciu w odziedziczeniu spadku?

– Czy z pogodnego, czy też zachmurzonego nieba błyska uderzający grom? – odparł z pogardą Rodin. – Bądź wasza wielebność spokojny, będę wiedział, gdzie rozstawić piorunochrony. Co się tyczy pana Hardy, człowiek ten żył dla trzech rzeczy: dla swoich robotników... dla przyjaciela... dla kochanki... odebrał więc trzy ciosy w samo serce. Ja zawsze godzę w serce: to jest prawne i pewne.

– Tak więc pan Hardy, jak sobie wyobrażam, poniósł dotkliwy cios w najważniejszych dla niego sprawach – rzekł ksiądz d'Aigrigny, który usilnie szukał zarzutów przeciwko Rodinowi. – Poniósł stratę w majątku, a więc tym pilniej ubiegać się będzie o spuściznę.

Ten zarzut wydawał się istotny w oczach obydwóch dostojników i księżny; wszyscy spojrzeli na Rodina z natężoną ciekawością. On zaś wziął butelkę, nalał sobie szklanek maderę i wypił duszkiem. Już od kilku chwil czuł przejmujący go dreszcz, spodziewał się, że wino go pokrzepi. Otarłszy usta brudną ręką wrócił do stołu i rzekł do księdza d'Aigrigny:

– Pan Hardy ma myśleć o pieniądzach? – Zapytaj raczej czy jest w stanie myśleć o czymkolwiek? On stracił chęć do wszystkiego. Obojętny na wszystkie powaby życia, pogrążony w odrętwieniu, czasami się tylko z niego budzi i zalewa łzami; wtedy ledwie odzywa się do otaczających go ludzi, którzy mają go w troskliwej opiece a oddałem go w dobre ręce. Zaczyna jednak okazywać wrażliwość na tkliwe współczucie, które bezustannie dla niego mają... Bo

jest dobry... poczciwy, tak poczciwy, jak słaby, i aby to wykorzystać... myślę użyć wielebności księdza d'Aigrigny, aby skończył, co jeszcze pozostaje do zrobienia.

– Mnie? – zdziwił się d'Aigrigny.

– Tak, a wtedy przyznasz, wasza wielebność, że osiągnięty przeze mnie skutek... nie jest bez znaczenia...

Potem, potarłszy ręką czoło, rzekł sam do siebie:

– To osobliwe! Pewnie to przekłete wino... którego się napiłem... nie jestem przywykły do picia. Głowa mnie trochę boli... ale to minie.

– Istotnie... oczy waszej wielebności zaczerwieniły się – rzekła księżna.

– To chyba dlatego, że za mocno wyteżałem wzrok, patrząc na usnutą przez siebie pajęczynę – odparł jezuita, chytrze się uśmiechając. – Jeszcze muszę patrzeć na nią, aby pokazać księdzu d'Aigrigny, który zbyt krótko widzi... jeszcze inne muchy... np. dwie córki marszałka Simona, co dzień smutniejsze, coraz bardziej zniechęcone, czując zimną zaporę, wznoszącą się między nimi a ojcem... On zaś... od śmierci swego ojca, wystarczy tylko słyszeć go, widzieć go miotającym się między dwiema skrajnymi myślami... Wczoraj był przekonany, że nie ma prawa zrealizować wielkiego planu, pomóc synowi uzurpatora; dziś zdaje mu się, że zhańbi się, jeżeli tego nie zrobi; ten żołnierz, ten bohater napoleoński jest teraz słaby i bardziej niepewny niż dziecko. Zobaczmy... kto jeszcze pozostał z tej bezbożnej rodziny? Jakub Rennepont? Zapytajcie Moroka, do jakiego stanu doprowadziła tego nędznika rozpusta, nad jaką stoi przepaścią!... Otóż więc mój bilans... Proszę zwrócić uwagę, w jakim stanie rozprzężenia, niemocy, znajdują się wszyscy członkowie tej rodziny, którzy przed sześcioma tygodniami stanowili tyle żywiołów potężnych, niebezpiecznych, gdyby się razem połączyli!...

W miarę jak mówił, fizjonomia i głos Rodina coraz bardziej zmieniały się: jego cera, zwykle trupia, coraz bardziej czerwieniała; na policzkach wystąpiły pręgowate plamy; oczy coraz bystrzejsze, zdały się zapadać; głos mu drżał, urywał się. Zmiana w twarzy Rodina, czego on sam zdawał się nie dostrzegać, była tak wyraźna, iż inni uczestnicy tej sceny patrzyli nań z pewnym lękiem. Nie znając przyczyny tego wrażenia, Rodin zawołał przerywanym, ciężkim głosem:

– Czy na waszych twarzach wyczytuję litość nad tym bezbożnym rodem?... Jak to? Dla obrony przed tymi gadami nie mielibyśmy prawa utopić ich w tej samej truciznie, którą dla nas sączą?... A ja wam mówię, że poświęcając tę bezbożną rodzinę, wobec wszystkich i nawet przez jej własne namiętności na cierpienia, na rozpacz, na śmierć, damy zbawienny przykład innym...

Kardynał przerwał jego uniesienie:

– Gdyby postępowanie waszej wielebności wobec tej rodziny wymagało usprawiedliwienia, już byś, wasza wielebność, usprawiedliwił je dostatecznie wypowiedzianymi przed chwilą słowy... powtarzam, że nie tylko według kazuistów zgromadzenia macie zupełne prawo, ale nawet nie ma tu nic nagannego wobec praw ludzkich.

Zwyciężony jak pozostali szatańską pewnością Rodina i doprowadzony do rodzaju bojaźliwego podziwu, ksiądz d'Aigrigny odezwał się:

– Przyznaję, że niesłusznie wątpiłem w olbrzymie zdolności waszej wielebności. Teraz widzę, że za jego sprawą można być pewnym dobrego zakończenia.

– I w tym jest przesada! – rzekł Rodin z niecierpliwością. – Wszystkie te namiętności są teraz wzburzone; lecz chwila jest krytyczna... jak alchemik, schylony nad tygłem, w którym gotuje się mikstura, może uzyskać skarb lub samemu zginąć... Ja sam mogę...

Nie dokończył, nagle chwycił się rękami za czoło z okrzykiem bólu.

Co się dzieje? – rzekł ksiądz d'Aigrigny – Od pewnego czasu wasza wielebność blednie.

– Nie wiem, co mi jest – rzekł Rodin zmienionym głosem – coraz większy ból głowy, jakiś zawrót ogłuszył mnie na chwilę.

– Siadaj, wasza wielebność – rzekła księżna z niepokojeni.

– Napij się czegoś – dodał biskup.

– To nic – odparł Rodin, chcąc sam siebie przezwyciężyć. – Mało spałem tej nocy, przemęczenie... nic innego. Mówiłem więc, że tylko ja sam mogę kierować tą sprawą... ale nie dokonać jej... wypada mi zniknąć... kryć się... ale bezustannie czuwać w ciemności, skąd będę trzymać wszystkie nici... którym kierunek... sam tylko... nadać mogę...

Znowu przerwał. Z czoła lał mu się zimny pot, czuł, jak mdlały mu nogi; pomimo uporczywej energii, rzekł:

– Czuję... że jest mi niedobrze... A przecież dziś rano byłem zdrow jak nigdy... drzę mimowolnie... zimno mi...

– Zbliź się, wasza wielbność, do ognia... ta nagła słabość – rzekł biskup, podając mu rękę – to przejdzie.

– Ten ogień rozgrzał mnie, to minie... na pocziwość! Mam też czas cackać się... Co za pech!... Chorować w chwili, kiedy sprawa Rennepont'ów ... może się powieść... Wróćmy więc do rzeczy... mówiłem waszej wielbności, księżu d'Aigrigny, że wiele możesz mi pomóc. Pani także, księżno, bo pani wzięłaś również udział w tej sprawie, jakby była twoją własną; i...

Znowu przerwał...

Tym razem krzyknął przeraźliwie, upadł na stojące obok krzesło, przechylił się konwulsyjnie w tył i chwytając rękami za piersi, zawołał:

– Ach, co za ból!...

Wtedy, rzecz straszna, jego trupia twarz okropnie się zmieniła... wklęsłe oczy zaszyły krwią i tylko źrenice błyszcząły jak ogień; drgające nerwy obciągnęły skórę na wystających kościach twarzy, która przybrała zielonkawy kolor; z półotwartych ust wydobywał się przyspieszony oddech, przerywany słowami:

– Och!... Jaki potworny ból!... Pali mnie, piecze...

Potem w napadzie maligny, zaczął się drapać paznokciami po gołych piersiach, gdyż rozszarpał na sobie kamizelkę i rozdarł czarną, brudną koszulę, jak gdyby ucisk odzieży sprawiał mu ból, którego skutkiem wił się jak wąż.

Biskup, kardynał i ksiądz d'Aigrigny podbiegli co prędzej do Rodina i otoczyli go, chcąc mu jakoś pomóc; miały nim okropne konwulsje. Nagle, zebrawszy siły, stanął na nogi, wyprostował się sztywno jak trup; z najeżonymi rzadkimi włosami na głowie, zielony na twarzy, wlepiwszy jaskrawe oczy w kardynała schwycił go konwulsyjnie obiema rękami i przeraźliwym, chrapliwym głosem zawołał:

– Kardynale Malipieri... Ta słabość napadła mnie zbyt nagle... Nie ufają mi w Rzymie... Pochodzisz z rodu Borgiów... a twój sekretarz... był u mnie dziś rano.

– Nieszczęśliwy! O czym on śmie mówić?... – zawołał kardynał, równie zdumiony jak obrażony takim posądzeniem. Usiłował wydobyć się z objęć jezuitę, którego ściśnięte, zimne ręce stwardniały jak żelazo.

– Otruto mnie... – mruczał Rodin.

I waląc się na ziemię, upadł na ręce księdza d'Aigrigny. W tej chwili do salonu wszedł doktor Baleinier.

– Ach! Doktorze! – zawołała przestraszona księżna, biegnąc mu naprzeciw – Ksiądz Rodin nagle dostał strasznych konwulsji... Chodź prędko... chodź...

– Przebóg... to oznaki... – zawołał doktor, przypatrując się z przerażeniem twarzy Rodina, która z zielonawej stawała się sina.

– Co to jest? – zapytali wszyscy razem.

– Co jest?... – odparł doktor, odskakując do tyłu, jakby nastąpił na żmiję. – To cholera!!!...

Na to straszne, magiczne słowo, ksiądz d'Aigrigny puścił Rodina, który upadł na dywan.

– Już po nim! – zawołał Baleinier – Jednak pobiegnę i przyniosę co trzeba, trzeba spróbować...

I pobiegł do drzwi.

Księżna Saint-Dizier, ksiądz d'Aigrigny, biskup i kardynał, rzucili się przerażeni do ucieczki. Wszyscy tak się cisnęli do drzwi, iż nikt nie mógł ich otworzyć. Otworzyły się w końcu, ale z zewnątrz i ukazał się... Gabriel.

– Nie wchodź... Umiera na cholere... Uciekaj!

Na te słowa, popychając do salonu biskupa, który pozostał w tyle za uciekającymi, Gabriel, wzór prawdziwego kapłana, podbiegł do Rodina. Tymczasem prałat, znalazłszy wolne przejście umknął czym prędzej.

Rodin wił się w okropnych bólach; gwałtowny upadek przywrócił mu nieco przytomność, odezwał się bowiem grobowym tonem:

– Opuuszczają mnie... żeby umarł... jak pies... Och! Podli... Ratunku... Nikt...

I przewróciwszy się konwulsyjnie na grzbiet, powtarzał jeszcze:

– Nikogo... nikogo...

Jego dzikie oczy, pałające ogniem, napotkały wielkie, niebieskie, anielskie oczy Gabriela, który, klęcząc przy nim, rzekł łagodnym, poważnym głosem:

– Jestem, ojcze... Przychodzę ci na ratunek, jeżeli możesz być uratowany... lub modlić się za ciebie, jeżeli stwórca zechce powołać cię do siebie.

– Gabriel!... – szepnął Rodin gasnącym głosem – Przebacz... daruj mi... wielkie... zło... które... ci wyrządziłem... Zlituj się... nie opuszczaj mnie!... Nie...

Nie był w stanie dokończyć; zdołał jeszcze wprawdzie podnieść się i usiąść; krzyknął głośno i upadł bez zmysłów.

Tego dnia w gazetach wieczornych pisano:

„W Paryżu wybuchła cholera... Dziś pierwszy raz objawiła się przy ulicy Babilońskiej, w pałacu Saint-Dizier”.

## ROZDZIAŁ IV

### ZARAZA

Już tydzień upłynął, odkąd Rodina dotknęła cholera, która zaczęła grasować coraz szerzej. Nastaly straszne dni...

Paryż, niedawno tak wesoły, okrył się kirem żałoby. Jednak niebo nigdy nie było bardziej lazuruowe, pogodne; słońce nigdy nie świeciło jaśniej.

W każdej chwili uderzały oczy nowe, smutne zjawiska. Ulicami przeciągały wozy z symetrycznie ułożonymi trumnami: zatrzymywały się przed każdym domem; ludzie, ubrani na czarno, czekali przed drzwiami; wyciągali ręce, jednym rzucano jedną trumnę, innym dwie, często trzy lub cztery w jednym domu, tak dalece, iż z czasem zabrakło trumien, wyczerpano cały ich zapas; wielu zmarłych na ulicy nie zostało opatrzonych, a naładowany, pełny wóz, odjeżdżał dalej.

Beuzstannie więc zapełniano trumny, dzień i noc zabijano je; raczej we dnie aniżeli w nocy, gdyż, skoro się zmierzchno, z braku karawanów, których nie starczało, pojawiał się smutny szereg naprędce urządzonych wozów pogrzebowych: taczki, wozy, tragi, fiakry, wszystko to służyło do przewożenia zwłok; podjeżdżały próżne, a wracały obciążone – i tak bez przerwy.

W owym czasie świeciło się zwykle we wszystkich oknach. Była to pora balów; te światła były podobne do nocnych zabaw weselnych, z tą tylko różnicą, że światła jarzących świec zastępowały teraz świece pogrzebowe, a zamiast wesołych śpiewów rozlegały się smutne psalmy; na ulicach zaś, zamiast śmiesznych, maskaradowych przebierańców, kołysały się tu i ówdzie wielkie, z czerwonego jak krew szkła, latarnie, z czarnymi napisami:

Ratunek dla chorych.

Z wszystkich dzielnic Paryża najokropniejszy widok przedstawiało Stare Miasto, a szczególnie plac przed kościołem N. Panny prawie co dzień bywał widownią strasznych scen. Cholera nie miała jednej postaci... miała ich tysiące. W osiem dni po nagłym zapadnięciu Rodina, zaszło na placu wiele strasznych wypadków.

Na czarnym murze arkady można było przeczytać świeżo przyklejony paszkwil; wypisano na nim następujące wyrazy:

„Zemsta... zemsta...”

Ludzi chorych, ubogich, zaniezionych do szpitala, trują tam, gdyż uważają, że zbyt wiele ich się tam ciśnie; co noc napelnione trupami łodzie płyną w dół Sekwany.

Zemsta i śmierć zabójcom ludu!”

Dwaj mężczyźni, owinięci w płaszcze i ukryci w cieniu sklepienia, przysłuchiwali się z niespokojną ciekawością szerzącemu się coraz mocniej szemraniu ludu, tłumnie zbierającego się wokół głównego szpitala.

Wkrótce doszły ich okrzyki:

– Śmierć doktorom!... Zemsta!...

– Paszkwile zaczynają skutkować – rzekł jeden. – Ogień doszedł do prochu... Niech tylko gmin rozhuka się... a wtedy będzie można go popchnąć, dokąd się będzie chciało.

– Masz rację! Cholera to nie najgorszy sprzymierzeniec Zresztą z tej strony wszystko dobrze się zapowiada; zapewniała także, że spisek republikański ma wzburzyć całe przedmieście Św. Antoniego; to dobrze dla nas, a nasza święta sprawa odniesie zwycięstwo nad rewolucyjną bezbożnością... Ruszamy do księdza d' Aigrigny!

– A gdzie go znajdziemy?

– Niedaleko stąd, chodź... chodź.



I dwaj mężczyźni oddalili się.

Znaczne zbiegowisko tłumu, zamykające przystęp do głównego szpitala, cisnęło się do krat, otaczających tę budowlę; za kratami widać było posterunek piechoty, gdyż krzyki: śmierć doktorom! – stawały się coraz głośniejsze.

Kamieniarz i Cebula, uczestnicy napadu na fabrykę pana Hardy'ego, z okazałą liczbą swych nieodstępnych towarzyszy, także znajdowali się między motłochem. Olbrzymia postać kamieniarza górowała nad innymi; mając zakrwawione oczy, rozpalone policzki, krzyczał ze wszystkich sił:

– Śmierć konowałam!... To oni trują ludzi!

– Bo to łatwiej aniżeli ich żywić – podzęgała Cebula. Od pewnego czasu w krętych ulicach słyhać było odgłos bębnow; bębniiono na alarm, gdyż groziło wybuchem zaburzenia na przedmieściu Św. Antoniego. Żołnierze, idący pod arkadę, przechodzili przed kościołem Matki Boskiej; jeden z nich, weteran z siwymi wąsami, nagle zwolnił i pozostał o krok w tyle; zdziwieni towarzysze stają i patrzą... twarz jego zzieleniała, nogi ugięły się pod nim. Szybkość ataku choroby przeraziła najodważniejszych; część tłumu, zdziwiona nagłym ustaniem bębnow, biegła ciekawa dowiedzieć się, co zaszło.

Na widok umierającego żołnierza, którego dwaj towarzysze trzymali na ręku, jeden z owych dwóch mężczyzn, którzy pod arkadą przysłuchiwali się początkom rozruchów, odezwał się do żołnierzy:

– Wasz kolega pewno napił się po drodze przy której fontannie?

Tak – odpowiedział żołnierz – miał wielkie pragnienie, napił się trochę wody na placu Chatelet. A więc został otruty – rzekł mężczyzna.

– Otruty? – odezwało się wiele głosów. – Nie ma w tym nic dziwnego – odpowiedział mężczyzna, przybierając tajemniczą minę – bo rzucają jad do fontann publicznych; dziś rano zamordowano człowieka na ulicy Bambourg: zauważono, jak wsypywał arsenik do konwi wina u pewnego winiarza.

Po tych słowach zniknął w tłumie.

Uwagę motłochu zwróciła nagle kolumna ludzi, zbliżająca się ku placowi przed kościołem Panny Marii.

## ROZDZIAŁ V

### MASKARADA

Kolumna składała się z poczwórnego rydwanu, któremu towarzyszyli konno mężczyźni i kobiety; jeźdźcy i amazonki mieli fantastyczne, eleganckie i bogate stroje; większość należała do zamożnej klasy średniej.

Rozeszła się wieść, że zbiera się maskarada dla zadrwienia z cholery i dla ożywienia ducha przerażonego ludu; natychmiast artyści, światowa młodzież, studenci, czeladź kupiecka itp. zgłosili się na to wezwanie, i mimo że dotąd jedni drugim nieznani, prędko się z sobą zbratali; wielu było takich, co dla ubarwienia uroczystości, przyprowadzili swoje kochanki; zebrana składka pokryła koszt zabawy i rano, po świetnym śniadaniu na przedmieściu Paryża wesoła kompania wyruszyła odważnie w pochód, chcąc zakończyć dzień sutym obiadem na placu przed kościołem Matki Boskiej.

Mówimy: odważnie, bo istotnie trzeba było mieć twarde serce i silny charakter, aby w takim pochodzie przebyć miasto, pogrążone w trwodze i rozpacz, wymijać co krok tragi, lektyki, karawany, wypełnione chorymi, trupami, aby wreszcie nie zważać na nich i na dodatek żartować i śmiać się z klęski, która dziesiątkowała ludność miasta.

Dwaj mężczyźni, dziwacznie przebrani za żałobnych pocztylionów, przyozdobieni ogromnymi, sztucznymi nosami, mający w kapeluszach plorezy z różowej krepy, a w dziurkach od guzików wielkie różane bukiety i fontazie z czarnej krepy, powozili rydwanem.

Na rydwanie ustawiono alegoryczne osoby, wyobrażające:

Wina – Wesołość – Miłość – Grę.

Zadaniem tych symbolicznych postaci było ożywiać pochód za pomocą żarcików, śmiechów, igraszek, przedrzeźniania, uczynić otoczenie nieczułym, a przez to nieprzystępnym dla cholery. Chciano ją tym żartobliwym sposobem pognać, uśmierzyć nastroje.

Wino miało za reprezentanta otylego Sylena, mającego skronie uwieńczone bluszczem, ryśią skórę na barkach, a w ręku wielką, pozłacaną czarę, oplecioną kwiatami.

Nini-Moulin (któż byłby odpowiedniejszy do tej roli?) co chwila opróżniał czarę, po czym obracał się i wyśmiewał z poczciwej Cholery.

Cholere przedstawiał trupowaty młodzian, owinięty do połowy w prześcieradło; jego maska z zielonej tektury, z czerwonymi, zapadłymi oczami, zdawała się pocieszenie przedrzeźniać śmierć; na głowie miał upudrowaną perukę. Tym wyobrażeniem cholery był Leżynago.

Niedostępny towarzysz Jakuba, Morok, przebrany za króla karowego, przedstawiał Grę.

Wesołość, śmiejąca się bezustannie, wywijiała koło uszu Cholery pozłacanym berłem z dzwoneczkami; Wesołością była młoda, żwawa dziewczyna, która na piękne czarne włosy nałożyła czerwoną czapkę frygijską.

Inna dziewczyna, panna Modesta Bornichoux, wspaniale wyobrażała Miłość; nie można było dobrać dla Miłości piękniejszej twarzy i kształtniejszego ciała.

Oberża, w której miała się odbyć uczta przebierańców, znajdowała się niedaleko nieszczęsnego głównego szpitala, a dochodzące stąd krzyki umierających i pijackie śpiewy biesiadników musiały nakładać się na siebie, stanowiąc niesamowitą mieszaninę.

Maski, wysiadłszy z powozu i zsiadłszy z koni, udały się na ucztę.

Uczestnicy maskarady zasiedli do stołu w wielkiej sali oberży. Są hałaśliwi, weseli; w ich wesołości przecież daje się dostrzec coś niesamowitego.

Większość biesiadników pozajmowała miejsca, każdy według swego gustu, przy swoich kochankach, a samotni lokowali się, gdzie było miejsce.

## ROZDZIAŁ VI

### ORYGINALNY POJEDYNEK

Już dwa czy trzy razy przychodził jeden z miejscowych garsonów i mówił coś po cichu do swych kolegów, wskazując gestem sufit; lecz bynajmniej nie zważali na jego przestrogi, nie chcąc zapewne psuć humoru biesiadnikom, których zapamiętała wesołość coraz bardziej rosła.

– Kto teraz będzie wątpił o naszym oryginalnym potraktowaniu tej wstrętnej cholery? Czy ośmieliła się zaatakować nasz szanowny hufiec? – rzekł okazały Kuglarz-Turek, należący do sztandarowego orszaku maskarady.

– To oznacza – rzekł sławny malarz, przebrany za Rzymianina ze szkoły Dawida – że cholera jest nędznym kolorystą, bo jej paleta ma tylko jeden ton, i to zielony... Pewno uczyła się u nudnego Jakuba, króla klasycznych malarzy, którzy są klęską dla innych rodzajów...

– Panowie! – zawołał nie mniej sławny rzeźbiarz – zakończmy krótko tę kwestię. Cholera jest marnym kolorystą, ale Zborny z niej rysownik... oddaje całą budowę ciała, uwydatnia mięśnie i żyły, a jak obiera z ciała! Przy niej Michał-Anioł byłby ledwie uczniem.

– Zresztą, panowie – rzekł Nini-Moulin z komiczną powagą – w tej klęsce zawarta jest wielka przestroga.

– Przestroga? Jaka przestroga?

Tak, panowie... zdaje mi się, że słyszę jakiś dziwny głos, wołający: Pijcie, wypróżniajcie swoje kieszenie, bawcie się, może już policzone są wasze godziny... nieszczęśliwi!!!

Po tych słowach prawowierny Sylen skorzystał z chwili roztargnienia swej sąsiadki, panny Modesty, aby wycisnąć na jej rumianych licach Amorka głośnego całusa. Przykład okazał się zaraźliwy, szmer całusów pomieszał się ze śmiechami.

– No, cholero! Piję do ciebie! – rzekł Nini-Moulin tonem drwiącego wezwania – Ty nie jesteś rozpaczą; przeciwnie, zapowiadasz nadzieję, tak, nadzieję. Iluż to mężów, ile żon liczyło tylko na jeden numer, niestety, bardzo niepewnej loterii wdowieństwa! Zjawiłaś się i oto pocieszyli się; z łaski twojej stokrotnie zwiększyła im się nadzieja swobody.

– A dla spadkobierców, jaka wdzięczność! Przeziębienie...! zbytek w jedzeniu... i oto w ciągu godziny krewny staje się szanowanym nieboszczykiem.

– A jak wiele przysięg wierności i stałości spełni się przez nią! – rzekła sentymentalnie panna Modesta. – Iluż to hultajów przysięgało słabej kobiecie, że będą ją kochać do śmierci i ani się spodziewali, że tak dotrzymają słowa.

– Panowie – zawołał Nini-Moulin – ponieważ może już dziś mamy wigilię końca świata, jak mówił sławny malarz, proponuje aby bawić się w koniec świata; żądam, aby damy zaczęły nas, aby nas wyzywały, płały nam figle, aby nam wykradały całusy, aby pozwalały sobie na wszelkie poufałości...

Z powszechnym aplauzem przyjęto propozycję Nini-Moulina i znowu zaczęła się wesoła zabawa. Pośród ogólnego zgiewku znowu wszedł garson, był bardzo błydy i zmieszany; podchodząc do gospodarza sali, rzekł po cichu wzruszonym głosem:

– Przyszli.

– Kto?

– Wiesz dobrze... tam na górę... – i wskazał sufit.

Wśród coraz większego hałasu ich rozmowa nie zwróciła niczyjej uwagi.

Spśród wszystkich biesiadników jeden tylko nie bawił się, nie pił, a był nim Leżynago: ponury, zadumany, patrząc prosto przed siebie, nie zważając na to, co się koło niego działo,

myślał o Bachantce, która bywała duszą w podobnej kompanii. Wspomnienie tej dziewczyny, którą zawsze kochał, było jedyną myślą, która w nim jeszcze czasem ożywała.

W tej chwili Morok odezwał się głośno:

– A cóż to, nie pijesz, Jakubie? A więc już masz dosyć wina? Chcesz wódki?... Każę podać.

– Nie potrzebuję ani wina, ani wódki... – odparł Jakub opryskliwie i znowu ponuro zamyslił się.

– W rzeczy samej, masz słuszość! – rzekł Morok szyderczym tonem – Dobrze robisz, że się oszczędzasz... niepotrzebnie wspominałem ci o gorzałce... w obecnym czasie... bratać się z butelką gorzałki byłoby równie niebezpieczne jak z nabitym pistoletem.

Słyszając słowa Moroka, podające w wątpliwość jego pijacką odwagę, Leżynago spojrział urażony na pogromcę zwierząt.

– Garson! – zawołał z gniewem – Dwie butelki koniaku... i dwie szklanki.

– Co chcesz zrobić? – spytał Morok, udając troskliwy niepokój. – Na co ci dwie butelki koniaku?

– Na pojedynek... – rzekł Jakub zimnym, stanowczym tonem.

– Pojedynek!? – zawołali wszyscy ze zdziwieniem.

– Tak... – odparł Jakub – pojedynek... na koniak... Mówisz, że równie niebezpiecznie jest bawić się butelką wódki jak nabitym pistoletem... Weźmy po butelce: zobaczymy, kto z nas się cofnie.

Tę dziwną propozycję Leżynaga jedni przyjęli okrzykami radości, drudzy z niejakim zaniepokojeniem.

– Panowie – rzekł z zapalem Nini-Moulin – czy pozostaniemy obojętni na szlachetny przykład, jaki daje nam zacna Cholera (wskazał na Jakuba); on powiedział: koniak... odpowiedzmy mu: poncz!...

– Tak! Tak! Poncz!...

– Poncz!!!

– Panie – wtrącił żarliwie garson – właśnie mamy miedziany kocioł, świeżo pobielony, jeszcze nie używany; zmieści się w nim co najmniej trzydzieści butelek.

– Przynieś ten kocioł... – rozkazał Nini-Moulin.

– Niech żyje kocioł! – krzyknęto chórem.

– Wlej w niego dwadzieścia butelek araku, włóż sześć głów cukru, kopę cytryn, funt cynamonu i... roznieć ogień... ogień zewsząd ogień... – dodał pisarz, krzycząc jak opętany.

Nagle znad sufitu rozległo się kilka głuchych uderzeń. Wszyscy zamilkli i spojrzeli w górę.

## Część czwarta

### CHOLERA

### ROZDZIAŁ I

### KONIAK

Po paru minutach łoskot, którym tak się przerazili biesiadnicy, rozległ się znowu, ale powtarzał się mocniej i ustawicznie.

– Garson! – zawołał jeden z biesiadników – co to za łoskot tam na górze?

Garson, spojrzawszy niespokojnie na swych towarzyszy, odpowiedział niewyraźnie:

– Panie... jest to... jest to...

– Dalibóg... pewnie ktoś złośliwy albo lokator-dziwak, wróg wesołej zabawy puka w podłogę, dając znać, abyśmy ciszej śpiewali... – rzekł Nini-Moulin.

Podczas tego zamieszania Morok zapytał o coś jednego z garsonów, po czym krzyknął przeraźliwym głosem, którym zagłuszył wrzawę:

– Proszę o głos.

– Pozwalamy... – zawołano zewsząd. Tymczasem znowu dało się słyszeć stukanie, tym razem gwałtowniejsze.

– Lokator nie jest winien – rzekł Morok z uśmiechem – niezdolny jest sprzeciwić się czemukolwiek.

– A to czego tam puka jak głuchy? – spytał Nini-Moulin, wychyliwszy szklanke.

– To nie lokator stuka – rzekł szorstko Morok – to jego trumnę zabijają...

Nastąpiło nagle i ponure milczenie,

– Jego trumnę. nie... pomyliłem się! – mówił dalej Morok – chciałem powiedzieć: ich trumnę... gdyż, „z pośpiechu dziecko razem z matką włożono do jednej trumny.

– Kobieta... – zawołała Wesołość, odwracając się do garsona... – To kobieta umarła?

– Tak, pani, dwudziestoletnia mężatka! – smutnie odpowiedział garson – Jej córeczka, którą karmiła, zmarła wkrótce po niej... a to wszystko stało się w ciągu niespełna dwóch godzin... Pan bardzo się martwił hałasem, który może przeszkadzać państwu w zabawie... Lecz nie mógł przewidzieć nieszczęścia, bo rano ta kobieta była zupełnie zdrowa; nawet śpiewała i śmiała się.

Nastąpiło głębokie milczenie, tu i ówdzie słyhać było westchnienia; uderzenia młotka zdawały się boleśnie odbijać we wszystkich sercach, wydawało się, że, odpychane dotąd bolesne myśli i uczucia zajmą miejsce dotychczasowej wesołości, tych żartów, raczej sztucznych aniżeli z serca płynących.

Nastał krytyczny moment. Należało natychmiast coś zaradzić, podtrzymać wesołe nastroje biesiadników, które już zaczynały upadać; wiele zaróżowionych twarzy pobladło, karmazynowe uszy zbieleły.

– Panowie, ale otóż i poncz! – zawołał garson, otwierając drzwi.

Na widok płonącego napoju, który miał orzeźwić osłabione umysły, zapamiętała brawa zabrzmiały w sali. Dwóch kelnerów wniosło ogromny kocioł na żelaznym drągu.

– Teraz – Leżynago zwrócił się do Moroka drwiącym tonem – zanim się poncz przepali... ruszajmy do naszego pojedynku; galeria osądzi.

I pokazując przeciwnikowi dwie butelki, które przyniósł garson, dodał:

– Wybieraj broń.

– Wybieraj pierwszy – odpowiedział Morok.

– A więc dobrze!... To twoja butelka i szklanka... Nini-Moulin osądzi strzały.

– Szranki są otwarte! – zawołał pisarz.

– Dalej więc: Cel... Pal!... – krzyczał, klaszcząc w ręce. Dwaj pijacy wypili jednym tchem po pełnej szklance wódki. Morok nawet nie skrzywił się; na jego marmurowej twarzy nie widać było żadnej zmiany; pewną ręką postawił szklankę na stole.

Jakub natomiast, chcąc postawić swoją szklankę, nie mógł ukryć lekkiego, konwulsyjnego drżenia.

– O! To dopiero dzielne picie! – krzyczał Nini-Moulin – Wychylić duszkiem kwaterkę wódki! To dopiero triumf!... Nikt z nas nie dokazałby tej sztuki... A zechciejcie mnie posłuchać, godni rycerze, i poprzestańcie na tym.

– Komenderuj tylko: Ognia... – odparł nieustraszony Leżynago. Pił trzymając butelkę lewą ręką; nagle zamknął i ścisnął palec prawej ręki, przejęty mimowolnym skurczem; włosy przylgnęły mu do zimnego czoła i przez chwilę jego twarz objawiła dokuczliwy ból. Nie przestawał jednak pić; na chwilę tylko, nie odrywając butelki od ust, opuścił ją trochę, jakby dla nabrania tchu. Ujrzał wtedy chytre spojrzenie Moroka, który ze zwykłą obojętnością, nie przestawał pić. Sądząc, że Morok z niego szydzi, Jakub podniósł nagle butelkę i jeszcze chciwiej pociągnął kilka łyków.

Lecz już opuściły go siły; ogień trawił mu płuca, ból wzmagał się... nie mógł mu się oprzeć... głowa przechyliła się w tył, szczęki zwarły konwulsyjnie, zgruchotał zębami szyjkę butelki... spazmatyczne drgania wykręciły mu członki... prawie stracił przytomność.

– Nic... to... nic... Jakubie! – zawołał Morok, którego dziki wzrok zaiskrzył się szatańską radością.

Postawiwszy butelkę na stole, pośpieszył na pomoc Nini-Moulinowi, który daremnie usiłował podtrzymać Jakuba.

Te nagle objawy nie miały żadnych oznak cholery, jednak wszyscy zlekli się: jedna z kobiet dostała gwałtownego ataku nerwowego, druga, przeraźliwie krzyknawszy, zemdląła.

Nini-Moulin zostawiwszy Jakuba na ręku Moroka, pobiegł do drzwi, chcąc zawołać doktora, gdy nagle drzwi się otworzyły...

Pisarz cofnął się, zdziwiony niespodziewanym widokiem wchodzącej osoby.

## ROZDZIAŁ II

### WSPOMNIENIA

Osobą, przed którą Nini-Moulin zatrzymał się ze zdziwieniem, była Bachantka.

Zadyszana, zbladła, z potarganymi włosami, z zapadłymi policzkami, ubrana prawie w same łańchmany, świetna niegdyś bohaterka tylu hucznych zabaw zmieniła się nie do poznania. Nędza, zmartwienie, zniszczyły tak piękne kiedyś lica. Wszedłszy do sali, zatrzymała się; niespokojnym wzrokiem usiłowała przejrzeć prawie ciemną salę, aby znaleźć tego, którego szukała... Nagle zadrżała i krzyknęła... Po drugiej stronie, na końcu długiego stołu, przy słabym świetle palącego się ponczu spostrzegła Jakuba, którego Morok i ktoś drugi ledwie mogli utrzymać, tak rzucał się w konwulsjach. Na ten widok Cefiza, wiedziona przywiązaniem, zrobiła to, co niegdyś tyle razy robiła w szale uciechy i wesołości. Zręczna, szybka, zamiast trać czas na długie okrażenie, wskoczyła na stół, przebiegła lekko między butelkami i talerzami i znalazła się przy dawnym kochanku.

– Jakubie! – zawołała, nie dostrzegając jeszcze pogromcy zwierząt i rzucając się na szyję kochanka. – To ja... to ja, Cefiza.

Ten głos, ten krzyk przeraźliwy, serdeczny, sprawił, że Jakub ocknął się; machinalnie obrócił głowę ku Bachantce, nie mogąc otworzyć oczu i westchnął; wkrótce jego zeszywniałe ciało odzyskało giętkość, konwulsje zaczęły ustępować i po chwili ocieżałe powieki podniosły się powoli; zaczął wodzić błędnymi oczami.

Cefiza, klęcząc przed kochankiem, łzami oblewała mu ręce.

– Nie z mojej winy cię opuściłam... Daruj mi...

Przestała mówić, gdyż Jakub zaczął szeptać:

– Biedna dziewczyno... i ty, jak widzę, miałaś zmartwienie... wycierpiałaś wielką nędzę... nie poznałem cię... Ja... niedawno już byłem gotów skończyć... Zawołałaś mnie... Przyszedłem do siebie na chwilę, bo... co ja czuję – przyłożył rękę do piersi – przechodzi wyobrażenie. Ale to już nieważne... teraz... Widziałem cię... spokojnie umrę.

– Nie umrzesz... Jakubie... Jestem przy tobie...

– Słuchaj, dziewczyno... Gdybym tu miał... widzisz... w żołądku... korzec rozżarzonych węgli, nie więcej by mnie pewno paliły Już przeszło miesiąc czuję trawiący mnie powoli ogień. Zresztą, to on... – i skinieniem głowy wskazał na Moroka – ten kochany przyjaciel... uwziął się podniecać we mnie ten ogień... Mimo wszystko... nie żałuję życia... Odwykłem od pracy, a wciągnąłem się... do rozpusty... Skończyłbym jak nędzny żebrak; wolę raczej pozwolić memu przyjacielowi bawić się rozżarzaniem ognia w piersiach...

– Wariat z ciebie, niewdzięcznik! – rzekł Morok, wzruszając ramionami. – Nadstawiłeś szklanekę, a ja nalałem... I dalibóg, długo jeszcze będziemy się razem bawili!

Cefiza od paru chwil nie spuszczała z oczu Moroka. Zamiast wziąć rękę, którą wyciągnął Jakub, Cefiza, ciągle klęcząc, schyliła głowę, nie mając odwagi spojrzeć na kochanka.

– Nie odpowiadasz – rzekł, nachylając się do dziewczyny – Nie chcesz wziąć mojej ręki... Dlaczego?

Biedna dziewczyna odpowiadała tylko łkaniem; ogarnięta wstydem, klęczała w postawie tak upokorzonej, tak błagalnej, iż czołem prawie dotykała nóg kochanka.

Zdumiony milczeniem i zachowaniem się Bachantki Jakub patrzył na nią z coraz większym zdziwieniem; nagle zmieniła mu się twarz, usta zaczęły drżeć i rzekł, prawie bełkocząc:

– Cefizo... znam cię... jeżeli nie weźmiesz mej ręki... to dlatego... że... – Potem zabrakło mu tchu. – Po chwili milczenia dodał przytłumionym głosem: – Kiedy przed sześcioma tygodniami brano mnie do więzienia, powiedziałaś... „Jakubie, przysięgam ci na moje życie... bę-

dę pracowała, będę żyła, jeżeli tak wypadnie, w największej nędzy... ale będę żyć uczciwie...” To mi właśnie przyrzekłaś... Teraz wiem, że nie skłamałaś...

Cefiza odpowiedziała bolesnym szlochaniem, całując kolana Jakuba i przyciskając je do piersi.

– Gdybyś wiedział... O!... Gdybyś wiedział... Posłuchaj... wszystko ci powiem... przysięgam ci, nic nie skłamię... Ten człowiek (pokazała na Moroka) nie ośmieli się zaprzeczyć... Kiedy się zjawił... powiedział mi: „Chciej pani tylko...”

– Ja ci niczego nie wyrzucam, nie mam do tego prawa... pozwól mi umrzeć spokojnie... więcej nie żądam... – mówił Jakub coraz słabszym głosem, odpychając Cefizę. Potem dodał z gorzkim uśmiechem: – Przynajmniej i ja nie mam sobie nic do wyrzucenia... wiedziałem... dobrze wiedziałem... co robię... przyjmując pojedynek... na koniak...

– Panowie, zmiłujcie się, przepędźcie tę kobietę – zawołał Morok – jej widok sprawia mojemu przyjacielowi zbyt przykre wzruszenia.

– Uspokój się, dziewczyno! – odezwało się kilka osób, głęboko wzruszonych, starając się wyprowadzić Cefizę – Zostaw go... chodź z nami, nic mu nie będzie...

– O! Panowie, panowie! – zawołała biedna dziewczyna, załamując ręce – Posłuchajcie mnie, pozwólcie sobie powiedzieć... Zrobię, co zechcecie... odejdę... lecz, na Boga, poślijcie po doktora, nie pozwólcie mu tak umierać. Jak on cierpi!... Jak straszne są jego konwulsje!

– Nie znajdzie teraz doktora!

– Lepiej, ot, tak zrobimy! – rzeki ktoś. – Naprzeciwko jest szpital; przenieśmy go tam; udzieli mu pomocy; części stołu posłużą za nosze, a przykryjemy go obrusem.

– Tak, tak będzie najlepiej! – odezwało się kilka głosów – przenieśmy go do szpitala.

Jakub, spalony wódką, udręczony widokiem Cefizy, wpadł w gwałtowne konwulsje. Było to już konanie... Trzeba go było przywiązać końcami obrusu do blatu stołu, który podjęli się nieść dwaj biesiadnicy.

Przychylono się do próśb Cefizy, która błagała, jak o ostatnią łaskę, aby mogła towarzyszyć Jakubowi do szpitala. Jakuba zniesiono na dół; Morok i Nini-Moulin, torując sobie drogę pośród tłumu, aby się dostać do szpitala, poprzedzali nosze.

Niebawem gwałtowny napływ nowych tłumów zmusił ich do zatrzymania. Znowu dzikie krzyki rozległy się na drugim końcu placu.

– Co się znowu stało? – zapytał Nini-Moulin jakiegoś obmierzłego obdartusa, który stał przed nim – Co to za krzyki?

– A! Szarpią znów truciela, podobnie jak tamtego, którego już wrzucili do wody...

– Jeżeli chcesz to zobaczyć, chodź ze mną! – dodał – ale dobrze rób kułakami... bo inaczej przyjdziemy za późno,

Ledwie wymówił te słowa, kiedy przeraźliwy krzyk rozległ się w tłumie, przez który z trudnością przeciskali się niosący chorego Leżynago. Był to krzyk Cefizy. Jakub, jeden z siedmiu dziedziców spadku rodziny Rennepont’ów, skonał w jej objęciach.

W tej samej chwili po przeciwnej stronie placu, usłyszano inny straszny krzyk.

Był to krzyk błagalny i drżący z wielkiego przerażenia, jak ostatnia obrona człowieka, pasującego się z ciosami zabójców.

Morok zadrżał.

– Piekło!... – zawołał ten zręczny morderca, który za broń zabójczą obrał pijaństwo i rozpustę – Piekło!... To głos księdza d’Aigrigny! Mordują go!...



## ROZDZIAŁ III

### TRUCICIEL

Powiedzieliśmy już, że po Paryżu krążyły najniedorzeczniejsze, przerażające wieści; mówiono nie tylko o zatruciu publicznych studzien, ale dodawano jeszcze, że schwytano zło-  
czyńców, wsypujących arsenik do naczyń z winem, jakie zwykle stoją otwarte w winiarniach  
i różnych szynkach.

Goliat wracał do Moroka, wypełniwszy zlecenie, z jakim został posłany do księdza  
d'Aigrigny, który oczekiwał na niego w domu na placu arcybiskupstwa.

Zaszedł do winiarni przy ulicy Calandre, żeby napić się, a wypiłszy dwie szklanki wina,  
zapłacił za nie. Kiedy szynkarka szukała drobnych, aby wydać mu resztę, Goliat niechcący  
oparł ręce na otworze naczynia z winem, które stało przy nim. Olbrzymi wzrost, jego odraża-  
jąca fizjonomia, dzika twarz, ściągnęły już wcześniej uwagę szynkarki i nabawiły ją niepoko-  
ju, zwłaszcza że była uprzedzona krążącymi historiami o trucicielach; a gdy jeszcze zobaczy-  
ła, że oparł ręce na naczyniu, zawołała przerażona:

– Ach! Dla Boga! Co tam wrzuciłeś do wina?! Na te słowa, bardzo głośno wymówione,  
dwaj mężczyźni, siedzący przy stole, zerwali się nagle, podbiegli do kontuaru i jeden z nich  
nieostrożnie krzyknął:

– Może to truciciel.

Goliat, nie wiedząc o nieszczęsnej pogłosce, rozpowszechnionej w tej okolicy, nie zrozu-  
miał, o co chodzi. Pijacy coraz głośniej miotali nań obelgi; on zaś, ufny w swoją siłę, wzru-  
szył ramionami i z pogardą zażądał wydania reszty, o czym przestraszona szynkarka zupełnie  
zapomniała...

– Łotrze! – zawołał jeden z mężczyzn, tak gwałtownie i natarczywie, iż na ten krzyk za-  
trzymało się wielu przechodniów.

– Należałoby go zatrzymać... – dodał ktoś.

– Chodź wytłumaczyć się na odwach.

Olbrzym, rozgniewany obelgami, nie poczuwając się do winy, rozjątrzył się do żywego  
tym niespodziewanym napadem; powalił przeciwnika w szynku i obłożył go pięściami. W  
czasie tej szamotaniny stłuczono z łoskotem kilka butelek i dwie czy trzy szyby, a szynkarka  
zaczęła krzyczeć, co sił:

– Ratunku!... Truciciel... Morderca!... Straż!... Straż!... Goliat ufny w swe herkulesowe si-  
ły, po krótkiej walce przeciwko siedmiu czy ośmiu napastnikom, powalił dwóch najzapał-  
czywszych i co tchu skoczył ku kościołowi N. M. Panny, przecinając plac kościelny, w po-  
szarpanej odzieży, z gołą głową, blady, zadyszany.

Lecz natychmiast gromada ludzi, spośród świadków zbiegowiska, puściła się w pogoń,  
krzycząc:

– Łapaj... Trzymaj... Truciciel!

Słyszając te wrzaski, widząc uciekającego człowieka, jakiś chłopak z rzeźni, niosący na  
głowie próżną nieckę, rzucił ją Goliatowi pod nogi. Ten, potknąwszy się, upadł... rzeźnik,  
sądząc, że dokonał heroicznego czynu, rzucił się na niego i powalił na bruk, wołając:

– Ratunku! Truciciel... Ratunku!

Była to dla Goliata straszna i groźna chwila... Sam jeden, w miejscu zagroczonym ze  
wszystkich stron i coraz bardziej zaciskanym, widział zewsząd rozwścieczony tłum, biegnący  
do niego z śmiertelnymi pogrózkami.

Biedny olbrzym nie upadł od razu... Przez kilka sekund zniknął prawie wśród roju zaja-  
dłych napastników; na przemian widać było potężną, rozbijającą czaszki i twarze rękę lub

ogromną, pokrwawioną głowę, do której czupryny przyczepił się jeden z napastników. Po miotającym się wokół niego tłumie widać było, jak potężnie się bronił. W końcu jednak, gdy przez tłum przedostał się do niego kamieniarz, Goliat został powalony. I, jak to się często zdarza, widok krwi płynącej potokami z ran Goliata, budził entuzjazm i podwoił zapalczywość napastników.

Sto rąk pastwiło się nad nieszczęsnym; deptano go nogami, szarpano twarz, wgnieciono piersi, gruchotano żebra.

Z zmasakrowaną twarzą, unurzany w błocie, mając poszarpaną odzież, obnażone piersi... Goliat bąknął słowa, które wydobyły mu się z ust razem z krwią:

– Zlitujcie się... Ja nie zatrąłem... Zlitujcie się... Kamieniarz widząc go zbrozonego krwią, bezładnie wymachującego rękami, zawołał z urąganiem:

– Ciuciu-babka!

Potem gwałtownie kopnąwszy go nogą w brzuch, znowu powalił nieszczęsną ofiarę, której głowa odskoczyła od bruku...

W chwili, kiedy olbrzym upadł, odezwał się jakiś głos:

– A! To Goliat!... Dajcie mu spokój... on nic nie jest winien. I ksiądz d'Aigrigny (bowiem to on był), powodowany litością, chciał się precyzyjnie do sponiewieranej ofiary, a gdy wreszcie dotarł, wtedy zbladły z gniewu, oburzony, zawołał:

– Jesteście nikczemni mordercy! Ten człowiek jest niewinny ja go znam... odpowiecie za jego życie...

Słowa te przyjęto z wielkim oburzeniem.

– Znasz tego truciciela? – zawołał kamieniarz, chwytając jezuitę za kark – może i sam jesteś trucicielem?

Gdy ksiądz d'Aigrigny szarpnął się i wydarł z rąk kamieniarza, z kieszeni wypadła mu spora, gruba butelka napelniona jakimś zielonym płynem.

Na jej widok kilka głosów zawołało:

– To trucizna... Widzicie! Ma przy sobie truciznę...

– To nie trucizna! – zawołał ksiądz.

– A więc... napij się tego... – krzyknął kamieniarz.

– Tak... tak... niech wypije! – wrzeszczał tłum.

– Nigdy! – odparł przestraszony jezuita.

I odskoczył żwawo, odepchnąwszy ręką flaszkę.

– Widzicie!... To trucizna... Boi się napić! – krzyczano. I ściśnięty ze wszystkich stron, ksiądz d'Aigrigny potknął się o ciało Goliata.

– Przyjaciele! – zawołał jezuita, który znalazł się w okropnym położeniu, choć nie był trucicielem, gdyż w butelce były sole ochronne, bardzo silne, równie niebezpieczne do picia jak trucizna. – Ludzie, mylicie się; w imię Boga zapewniam was że... się mylicie... i...

– A to co?... – powtórzył nieubłagany kamieniarz – ostatni raz... namyśl się.

– Wypić to... znaczyłoby umrzeć... – zawołał ksiądz d'Aigrigny.

– A więc jesteś trucicielem! Hej, skończmy z nim – zawołał kamieniarz, chwytając księdza za gardło.

Po tym wezwaniu utworzyły się dwie grupy:

Jedna, pod wodzą Cebuli, dobijała nogami, kamieniami, drewnianymi sandałami Goliata; wkrótce jego ciało, sponiewierane, potłuczone, nurzane w błocie, było tak nie do poznania, że straciło wszelką ludzką postać.

Cebula podarła swój kaftan, a skręcony z niego sznur uwiązano u nogi trupa i tak zawleczono go aż do bariery bulwaru.

I tam, wśród okrzyków dzikiej radości, zbroczone krwią zwłoki wrzucono do rzeki...

## ROZDZIAŁ II

### KOŚCIÓŁ KATEDRALNY

Prawie całkiem już zmierzchało, gdy pokaleczone, sponiewierane zwłoki Goliata zostały wrzucone do rzeki.

Ksiądz d'Aigrigny, ciągle oblegany przez tłum, nacierający z krzykiem: Śmierć trucicielowi! cofał się krok za krokiem, zasłaniając się od wymierzanych ciosów. Cofając się powoli, tak manewrując, żeby móc się zbliżyć do muru kościelnego, zdążył w końcu wtulić się w kąt, między filary kościelne, przy małej furtce. Opór jego podwoił zapalczywość napastników; wrzaski rozległy się z nową gwałtownością. Kamieniarz znowu rzucił się na księdza d'Aigrigny, wołając:

– Za mną, przyjaciele!... Za długo się opiera, trzeba z nim skończyć...

Ksiądz d'Aigrigny przeczuwał już swoją zgubę!...

Nagle, w chwili, kiedy kierując się instynktem zachowawczym, jeszcze ostatni raz wołał ratunku, drzwi, do których był obrócony tyłem, otworzyły się... chwyciła go czyjaś silna ręka i prędko wciągnęła do kościoła. W tym samym momencie rozpędzony kamieniarz nie zdążył zatrzymać się i wpadł prosto na osobę, która, niejako zastąpiła miejsce jezuitę. Kamieniarz stanął jak wryty, potem cofnął się parę kroków, równie jak cała reszta zdumiony tym niespodzianym zjawieniem się osoby i równie jak inni, przejęty podziwem i uznaniem na widok jego odwagi. Osobą tą okazał się ksiądz Gabriel. Młody misjonarz stał w drzwiach, na progu kościoła.

Jego twarz jaśniała tak niebiańską pięknnością, malowało się na niej tak tklliwe politowanie, iż tłum poczuł jakieś niezwykle wrażenie. Gabriel, złożywszy ręce, zawołał dźwięcznym głosem:

– Zlitujcie się... bracia!... Bądźcie ludźmi, bądźcie sprawiedliwi.

Kamieniarz, ochłonawszy z pierwszego wrażenia, zbliżył się do Gabriela i zawołał:

– Nie ma litości dla zatruwacza!... Potrzebny jest nam... Wydać go nam!... Bo, jeżeli nie, sami go weźmiemy...

– Bracia, posłuchajcie mnie... – rzekł Gabriel, wyciągając do niego ręce.

– Precz! – zawołał kamieniarz. – Truciciel ukrywa się w kościele... wejdźmy do kościoła.

Mówiąc to, kamieniarz, a za nim Cebula i część gotowych na wszystko zabijaków, postąpił ku Gabrielowi. Misjonarz, widząc jak zaciekleść tłumu rośnie, osądził, na co się zanoszą; cofnąwszy się do kościoła, zdołał mimo natarczywości napastników, utrzymać drzwi prawie przymknięte i zabarykadować je za pomocą drewnianego drąga, którego jeden koniec oparł o kamienną posadzkę, a drugi o drzwi. Podpierając drzwi, zawołał do księdza d'Aigrigny:

– Uciekaj, ojcze... uciekaj przez zakrystię, inne drzwi są pozamykane...

Znękany, osłabiony, oblany zimnym potem jezuita, czując, że mu braknie sił i sądząc, że jest już w bezpiecznym miejscu, rzucił się omdlały na krzesło. Na głos Gabriela, ledwie zdołał się podnieść i chwiejnym krokiem ruszył w stronę chóru, oddzielonego kratą od reszty kościoła.

– Prędko, mój ojcze!... – dodał Gabriel, trzymając wszystkimi siłami drzwi, do których szturmował gmin – śpiesz się Na Boga, śpiesz się!... Za kilka minut będzie już za późno... Po czym dodał z rozpaczą: – A tu samemu... samemu wstrzymać napaść tych rozszalałych... nie uda mi się...

W tej właśnie chwili, mimo nadzwyczajnej energii, z jaką trzymał drzwi, pragnąc ocalić księdza d'Aigrigny, spostrzegł, że zaczynają ustępować.

Obejrząwszy się, żeby zobaczyć, czy przynajmniej jezuita schował się za kraty, zdumiał się i przeląkł, widząc go leżącego bez ruchu kilka kroków od chóru... Gabriel, z założonymi na krzyż rękami na piersiach, stał spokojnie, nieustraszony. Wyłamawszy drzwi, napastnicy wpadli do kościoła.

Już zapadł zmierzch... Kilka srebrnych lamp rzucało tu i ówdzie słabe światło, dalej zaś było zupełnie ciemno. Wpadłszy do ogromnej, pusepnej, pustej katedry, najśmielsi nawet przelękli się, osłupieli. Religijne nawyki lub wspomnienia z dzieciństwa mają tak silny wpływ na niektórych, iż wielu z bandy kamieniarza, skoro znalazło się w kościele, natychmiast odkryło głowy i postępowało ostrożnie, aby nie robić hałasu.

Lecz wystarczył żart kamieniarza, aby wrażenie to minęło.

– Cóż to? – zawołał – Czy przyszliśmy tu śpiewać nieszpory?

Na te słowa odezwały się śmiechy.

W miarę, jak nikło pierwsze wrażenie, głosy stawały się śmielsze, a na twarzach malowała się coraz większa dzikość, tym groźniejsza, że każdy wstydził się chwilowego przestradchu.

– Tak, tak! – odezwało się kilka głosów, drżących z gniewu – trzeba nam życia jednego lub drugiego.

– Lub obydwóch...

– Bo dlaczego ten przeszkadza nam rozprawić się z trucicielem?

– Niech zginie! Niech zginie razem!

Po tym wybuchu tłuszcza rzuciła się do kraty chóru, przy której stał Gabriel.

## ROZDZIAŁ V

### MORDERCY

Kamieniarz, a za nim jego banda, zbliżając się do Gabriela, który postąpił naprzeciw nim kilka kroków, zawołał z zaiskrzonymi złością oczami:

– Gdzie jest truciciel?... Chcemy go mieć...

– A któż to powiedział wam, moi bracia, że to truciciel? – spytał Gabriel przenikliwym głosem. – Truciciel!... A gdzie są dowody?... Świadkowie?... Ofiary?...

– Dość tego!... – odpowiedział grubiańsko kamieniarz, przyskakując z groźną miną. – Od-daj go; musimy go mieć... bo, jak nie, ty zapłacisz za niego...

– A więc macie mnie. Jestem gotów! – rzekł Gabriel, podnosząc głowę i postępując na-przód ze spokojem, pełnym poświęcenia i wzniosłości. – Ja lub on – dodał – to dla was wszystko jedno: pragniecie krwi! Weźcie moją, ja wam przebaczę; nieszczęsny szal, który opanował wasz rozum...

W tej chwili tłum spostrzegł leżącego księdza.

– Mamy go! śmierć trucicielowi! – zawołano.

Misjonarz stracił już nadzieję na ocalenie jezuitę od strasznej śmierci... Mimo wszystko zawołał:

– Stójcie!... Nieszczęśni, obłąkani...

I rzucił się naprzeciw tłumowi, wyciągając ręce.

Odpowiedziano mu wrzaskiem:

– Śmierć! Śmierć!

– Chcecie jego śmierci? – rzekł Gabriel, blednąc jeszcze bardziej.

– Tak!... tak!...

– A więc niech umrze!... zawołał misjonarz nagle natchniony nową myślą – Tak, niech umiera zaraz, w tej chwili.

Przez kilka sekund nacierający zamilkli, osłupieni, ze zdziwieniem patrząc na Gabriela.

– Mówicie, że ten człowiek jest winny!... – rzekł misjonarz drżącym głosem. – Osądziliście go bez dowodów, bez świadków bo po co to wszystko?... Skoro ma umierać... Zrzucacie mu, że jest trucicielem... a gdzie są jego ofiary? Gdzie one są? Nie wiecie... Po co to wszystko? On już został osądzony... Gdzie jego obrona? To święte prawo każdego obwinionego!... Nie chcecie go słuchać... po co?... Jego wyrok już został ogłoszony... Niech i tak będzie!... Sami jesteście oskarżycielami, sami sędziami i sami katami.

– Nie... nie!... – krzyknęło zapamiętałe kilka głosów.

– Nie?... – mówił Gabriel z coraz większym zapałem – Nie? Chcecie rozlać krew, rozlećcie ją nawet w świątyni pańskiej... Bo, mówicie, to jest wasze prawo... Dopelniacie okropnej sprawiedliwości... Lecz po co aż tyle rąk, aby dobić tego i tak już konającego człowieka? Po co te krzyki? Ta zapalczywość? Te gwałty? Czy w ten sposób wykonywane są sądy ludu, sprawiedliwego, potężnego?

– Tak – odpowiedział kamieniarz – to jest nasze prawo; chcemy zabić truciciela...

Nędznik ten, z zakrwawionym okiem, rozpaloną twarzą, posunął się na czele gromady, gotowej na wszystko; zrobił rękami ruch, jakby chciał odepchnąć Gabriela.

Lecz zamiast opierać się bandycie, misjonarz pośpieszył mu naprzeciw, wziął go za rękę i rzekł śmiało:

– Chodź...

I niemal ciągnął za sobą zdumionego kamieniarza, tak że jego towarzysze przerażeni zachowaniem Gabriela, nie śmieli pójść za nim... Gabriel szybko przebiegł przestrzeń, która go

dzieliła od chóru, otworzył kratę i zaprowadziwszy kamieniarza, nie przestając go trzymać za rękę, do księdza d'Aigrigny, leżącego na posadzce, zawołał:

– Oto i ofiara... już jest skazana na śmierć, zabij ją!...

– Ja? – zawołał kamieniarz z wahaniem – Ja... sam jeden?...

– Och – rzekł Gabriel z bólem w głosie – nie ma żadnego niebezpieczeństwa, łatwo z nim skończysz... Zobacz... jak znękany cierpieniami, ledwie oddycha... Wcale ci się nie będzie opierał. Nie obawiaj się niczego!

Kamieniarz stał jak wryty, gdy tymczasem tłum, wyraźnie przejęty tym zdarzeniem, zbliżał się powoli do kraty, nie mając śmiałości jej przekroczyć.

– Uderz! – rzekł Gabriel do kamieniarza, pokazując mu uroczystym gestem tłum – Oto sędziowie... a ty jesteś katem...

– Nie! – zawołał kamieniarz odskakując na bok. – Ja nie jestem katem... nie!

Tłum zamilkł... Przez kilka chwil ani jedno słowo, ani jeden okrzyk nie zmącił głębokiej ciszy wspaniałej katedry.

Potem kilku ludzi z bandy kamieniarza zaszemrało głośno, wyrzucając mu jego tchórzstwo.

– Nie śmie dobić zatruwacza – rzekł jeden.

– Tchórz!

– Boi się!

Słyszając to szemranie, kamieniarz podszedł do kraty, otworzył ją i wskazując na zemdlonego księdza d'Aigrigny, zawołał:

– Jeżeli jest ktoś śmielszy ode mnie, niech idzie dobić go... niech się podejmie być katem... zobaczymy...

Na to wezwanie szemrania ucichły.

Nikt pojedynczo nie śmiał posunąć się i podnieść ręki na umierającego człowieka. Nagle ksiądz d'Aigrigny głęboko, chrapliwie westchnął, podniósł nieco głowę, drgnął konwulsyjnie, potem opadł na posadzkę, jakby już skonał...

Gabriel krzyknął żałośnie i upadł przy nim na kolana, mówiąc:

– Ach! Mój Boże! Nie żyje...

Wywarło to na tłumie silne wrażenie.

Na okrzyk Gabriela ludzie, którzy niedawno tak zapamiętale domagali się śmierci tego człowieka, teraz prawie rozczulali się nad nim.

– Księżę proboszczu – rzekł kamieniarz, nachyliwszy się do Gabriela... – Czy doprawdy nie ma już nadziei?...

Z niepokojem i w głębokim milczeniu oczekiwano odpowiedzi Gabriela...

– Bogu dzięki! – zawołał nagle Gabriel – Jego serce bije...

Jest nadzieja, będzie można go uratować...

– Będzie można go uratować – machinalnie powtórzył kamieniarz.

– Będzie można go uratować... – powtórzył tłum.

– Prędko, prędko! – rzekł Gabriel, obróciwszy się do kamieniarza. – Pomóż mi, bracie; przeniesiemy go do sąsiedniego domu... tam udzielią mu pierwszej pomocy...

Na widok kamieniarza, pomagającego młodemu księdzu ratować człowieka, którego niedawno chciał zamordować, tłum nagle zmienił postawę, ogarnęły go inne uczucia. Wszyscy, jeden przez drugiego, ubiegali się z ofiarowaniem swoich usług. Nieraz tak bywa; ludzie potrafią być równie skorzy do złych jak dobrych uczynków.

– Księżę proboszczu, może lepiej byłoby zanieść chorego w lektyce – rzekła Cebula.

– A gdybym tak pobiegł sprowadzić powóz – odezwał się szkaradny ulicznik, zdejmując furazerkę.

– Dobrze mówisz – rzekł kamieniarz – biegnij co żywo.

– Tak... tak!... Biegnij prędko, moje dziecko – rzekł Gabriel do ulicznika.

Kiedy chłopak przeciskał się przez tłum, ktoś odezwał się:

– Mam przy sobie flaszkę z wódką, może przyda się?

Oczekując na przybycie powozu, Gabriel usiadł na chwilę na krzeselku; tymczasem kilku ludzi usłużnie ofiarowało się przytrzymać głowę księdza d'Aigrigny; Gabriel dawał mu powoli wachać spirytus z flaszki. Po pewnym czasie spirytus wywarł skutek: jezuita ocknął się, poruszył kilka razy głową i zaczął oddychać głęboko.

– Nic mu nie będzie... będzie żył! – zawołał uradowany Gabriel – Będzie żył... moi bracia...

– Ach, całe szczęście!... – zawołało kilka głosów.

– O! Tym lepiej, moi bracia – rzekł Gabriel. – Podziękujmy Bogu, że wasz ślepy szal zamienił w uczucie litości! Bracia, padnijmy na twarz przez zbawicielem, który cierpiał za nas.

To mówiąc, sam padł na kolana. Wszyscy z uszanowaniem poszli za jego przykładem.

W kilka minut potem Gabriel, niemal w triumfie niesiony na rękach, wszedł do powozu, w którym już leżał ksiądz d'Aigrigny; jezuita powoli odzyskał przytomność. Powóz zatrzymał się przed bramą domu przy ulicy Vaugirard; chory miał już tyle siły, iż sam bez pomocy, wysiadł z powozu i wszedł do domu, do którego nie wszedł, ale my wprowadzimy czytelnika.

## ROZDZIAŁ VI

### PRZECHADZKA

Kilka dni upłynęło od czasu, gdy d' Aigrigny został tak odważnie ocalony przez Gabriela z rąk rozhukanego gminu. Trzej księża w czarnych, długich sutannach, z białymi wywinętymi kołnierzykami, w czworograniastych kapeluszach, przechadzali się miarowym krokiem po ogrodzie. Stosownie do przepisów zgromadzenia (byli to bowiem jezuici), które zabraniają spacerować tylko dwu osobom, trzej duchowni nie rozłączali się ani na chwilę.

– Bardzo się boję – mówił jeden z nich – bardzo się boję, aby wielbny ojciec, nieustannie dręczony od czasu, jak go złożyła cholera, nie nadwreżył swego zdrowia... żeby nie spowodował recydywy, która mogłaby być niebezpieczna dla jego życia.

– Dlatego też – rzekł najmłodszy z księży – przykro jest wspomnieć, że wielbny ksiądz Rodin był przedmiotem zgorszenia dlatego, że uporczywie nie chciał odbyć publicznej spowiedzi.

– Jego wielbności zdawało się, że nie jest z nim tak źle, jak sądzono – odezwał się drugi ksiądz – i że dopełni swych ostatnich powinności, skoro uzna, że zbliża się jego koniec.

– W rzeczy samej, od dziesięciu dni, jak go tu sprowadzono umierającego... jego życie, że tak powiem, było nieustannym konaniem; a mimo to żyje jeszcze.

– Mówią – rzekł następny – że ksiądz Rodin miał odpowiedzieć jego wysokości, kardynałowi Malipieri, który przybył namówić go, aby przykładowie zakończył życie, jak przystoi na syna Lojoli, naszego świętego patrona (na te słowa wszyscy trzej skłonili się jakby

wszystkimi razem poruszyła jedna sprężyna), lecz ksiądz jakoby miał odpowiedzieć: „Nie potrzebuję się publicznie spowiadać chcę żyć i będę żył”.

Po tej rozmowie nastąpiło milczenie.

Trzej jezuici przeszli długą aleję dotykającą miejsca, obsadzonego drzewami w kształcie szachownicy. Pośrodku tego miejsca, skąd alejki rozchodziły się w różne strony, na małym placu stał okrągły kamienny stół; na stole tym klęczał mężczyzna, ubrany także jak jezuita; na plecach i na piersiach miał zawieszzone dwie tablice.

Na jednej tablicy widniał napis:

„Nieuległy”.

Na drugiej:

„Cielesny”.

Jezuita, skazany, według zwyczajów zgromadzenia, na tę niedorzeczną, żakowską karę, był mężczyzną około czterdziestu lat, herkulesowej budowy, z tęgim, grubym karkiem i chociaż trzymał oczy pokornie spuszczone, z nerwowego i częstego ściągania gęstych brwi, można było wywnioskować, że jego uczucia nie bardzo godziły się z pozorną pokorą, zwłaszcza gdy ujrzał zbliżających się księży, których bardzo wielu, to trzech, to pojedynczo, przychodziło i odchodziło alejkami rozchodzącymi się z placu, gdzie był wystawiony na pokaz.

Wśród spacerujących, widać było tu i ówdzie kilka świeckich osób, a to z następującej przyczyny: jezuici mieli również w posiadaniu przyległy dom, oddzielony tylko grabowym szpalerem; wiele pobożnych osób przyjeżdżało do tego domu odprawiać rekolekcje. Pensjonariusze ci używali tu przyjemności dobrego stołu, ładnej kapliczki i nauk ojców jezuitów.

Jeden z dwóch jezuitów rzekł do najmłodszego księdza o posepnej, fanatycznej twarzy:

– Przedostatni pensjonariusz, którego przyprowadzono rannego do naszego domu pokuty, nadal okazuje się być równie dzikim, gdyż nie widzę go z innymi.

– Nie wiecie, jak on się nazywa?



– Wiem o jego pobycie od dwóch tygodni, lecz nie słyszałem, aby go nazywano inaczej niż jegomość z pawilonu.

– Jeden z naszych sług, przydany mu do pomocy, powiedział, że to człowiek niezmiernie łagodny, miły i wydaje się być pogrążony w wielkim smutku; prawie nigdy nie odzywa się.

Tak rozmawiając doszli do budynku, podobnego kształtem do magazynu.

Znajdowała się w nim kasa handlowa, do której wnoszono dochód ze sprzedaży książek, rycin, różańców, fabrykowanych przez zgromadzenie, a rozsyłanych po całej Francji; książek, po większej części bałamutnych lub kłamliwych, w których wszystko, co się jezuitom nie podobało w historii francuskiej, zostało zmienione lub wyszydzone karczemnym, stragano-  
wym stylem. Przysłuchując się z radością brzękowi talarów, jeden z ojców rzekł z uśmiechem:

– A to dziś, w dzień przynoszący najmniej dochodu, ojciec kasjer mówił mi, że dochód z pierwszego kwartału wynosił 83.000 franków.

– Przynajmniej – rzekł cierpko młody ksiądz – wiele szkodliwych środków wydarto z rąk bezbożników.

– Bezbożnicy daremnie będą się burzyć; ludzie pobożni są z nami! – odrzekł drugi jezuita.

– Wystarczy spojrzeć, mimo popłochu z powodu cholery, jak rozkupywane są bilety naszej pobożnej loterii...

– Ale wiecie, ile będzie kosztowała kadzielnica, która zostanie opłacona z dochodu loterii?

– Ojciec prokurator powiedział, że rachując w to drogie kamienie, nie przyniesie 35.000 franków... nie licząc starzyzny, którą przyjęto tylko na wagę... oszacowanej, jak sądzę, na 9.000 franków.

– Loteria ma przynieść 40.000 franków zysku; dobrze więc stoimy – rzekł drugi jezuita.

Na nieszczęście ta interesująca rozmowa została przerwana. W kracie ogrodu otworzyły się drzwi i jeden z ojców, na widok nadchodzącej osoby, rzekł:

– Ach! Jego Wysokość kardynał Malipieri idzie odwiedzić ojca Rodina.

– Oby te odwiedziny – rzekł młody ksiądz z pewnym zarozumiałstwem – okazały się bardziej skuteczne niż ostatnie.

## ROZDZIAŁ VII

### CHORY

Kardynał Malipieri, któregośmy poznali na naradzie u księżny Saint-Dizier, a który teraz udawał się do mieszkania Rodina, ubrany był po cywilnemu, okryty obszernym atlasowym płaszczem, z którego unosił się silny zapach kamfory, gdyż duchowny zaopatrzył się we wszelkie środki przeciw zarazie.

Postawa kardynała zdawała się wyrażać pewien niepokój; cera jego twarzy była żółtawa; brunatna obwódka, otaczająca jego czarne oczy, wydawała się ciemniejsza niż zwykle.

Dostojnik zamierzał już wejść do pokoju, w którym leżał chory, gdy wtem przez cienką ścianę, która go przedzielała od Rodina, usłyszał jakąś rozmowę i zatrzymał się, aby posłuchać.

– Otóż więc jestem opatrzony... muszę wstać – usłyszał słaby, ale rozkazujący głos.

– Nawet nie myśl o tym, wielebny ojcze – odpowiedział drugi, mocniejszy głos – bo to niemożliwe.

– Okaze się, czy niemożliwe – rzekł pierwszy głos.

– Ależ, wielebny ojcze... zabiłbyś się... nie jesteś nawet w stanie podnieść się... znaczyłoby to wystawić się na śmiertelny nawrót choroby... ja na to nie pozwolę...

Po tych słowach dał się słyszeć jakiś szmer, jakby szamotanie, połączone ze stękaniem, raczej gniewnym niż uzalającym się i znowu odezwał się głos:

– Nie, nie, mój ojcze, a dla większego bezpieczeństwa nie zostawię ci ubrania... Już zresztą nadchodzi godzina, w której masz zażyć lekarstwo; pójdę je przygotować.

I w tej chwili otworzyły się drzwi; kardynał ujrzał wychodzącego mężczyznę koło dwudziestu pięciu lat, niosącego pod pachą stary oliwkowy surdut i czarne wytarte spodnie, które rzucił na krzesło.

Był to pan Anioł-Modest Rousselet, pierwszy uczeń doktora Baleiniera; fizjonomia młodego praktykanta była skromna, powściągliwa; na widok kardynała okazał niejakiemu zdziwienie i dwakroć nisko mu się uklonił, nie podnosząc oczu.

– Co mówi o chorym doktor Baleinier?

– Powiada, że jest w najgorszym, jak tylko można sobie wyobrazić, stanie. Wielebny ojciec Rodin jest teraz w niebezpiecznej chwili przesilenia, w której parę godzin stanowić może o życiu lub śmierci... Doktor Baleinier poszedł po przyrządy, potrzebne do operacji, nader bolesnej i po powrocie wykona ją na chorym.

– A czy powiedziano o tym księdzu d' Aigrigny?

– Ksiądz d' Aigrigny sam jest bardzo chory, jak wiadomo waszej wysokości... od trzech dni nie podnosi się z łóżka.

– Pytałem o niego, idąc tutaj – odpowiedział prałat – i zaraz go odwiedzę. Lecz, wracając do ojca Rodina, czy powiadomiono jego spowiednika, że jest w tak niebezpiecznym stanie i ma być poddany ciężkiej operacji?

– Doktor Baleinier nadmienił mu parę słów, ale ojciec Rodin krzyknął z gniewem, że mu nie dają ani chwili spokoju, że go dręczą bez ustanku, że sam więcej niż kto inny, myśli o zbawieniu duszy i że...

– Och! Per bacco!... Nie idzie tu o niego! – zawołał kardynał, przerywając tym pogańskim wykrzyknikiem panu Rousselet i podnosząc głos – Nie idzie tu o niego, ale o dobro zgromadzenia. Trzeba koniecznie, aby wielebny ojciec przyjął sakramenta z najjawniejszą uroczystością i żeby nie tylko zakończył żywot przykładnie, po chrześcijańsku, ale żeby ten przykład był jak najgłośniejszy... Wypada, żeby wszyscy mieszkańcy tego domu, nawet obcy, byli we-

zwani na to widowisko. Bo w tych bezbożnych czasach prawdziwie chrześcijański zgon sprawi nader zbawienne wrażenie na świadkach. A nawet byłoby dobrze na wypadek śmierci przygotować się do zabalsamowania zwłok wielbego ojca; wtedy można by go przez kilka dni wystawić w kaplicy, według rzymskiego zwyczaju. Mój sekretarz poda rysunek katafalku; będzie to bardzo okazałe; ojciec Rodin, zgodnie ze swą pozycją zasłużył, aby jego pogrzeb odbył się z największą okazałością; trzeba będzie co najmniej sześć świec...

W przyległym pokoju, gdzie leżał chory, dał się słyszeć suchy odgłos, jakby coś twardego rzucono w gniewie na posadzkę.

– Pozwoli Wasza Wysokość zwrócić sobie uwagę, że tutejsze prawa sprzeciwiają się podobnym wystawom, i że...

– Prawa... zawsze prawa – przerwał rozgniewany kardynał – albo to Rzym nie ma także swoich praw? Albo to ksiądz lub zakonnik nie jest poddanym Rzymu? Czy nie czas już, żeby... Lecz, nie chcąc pewnie zapuszczać się w podobną rozmowę z młodym doktorem, mówił dalej:

– Później będzie czas pomyśleć o tym; lecz powiedz mi pan, czy po ostatniej mojej wizycie wielbny ojciec Rodin miał znowu napady maligny?

– Tak, Wasza Wysokość, tej nocy cierpiał na nią przez ponad półtorej godziny.

– Czy też pamiętałeś pan, jak mu polecono, zapisywać wszystkie słowa, które wtedy mówił?

– Tak, proszę, oto są notatki, jakie mi Wasza Wysokość kazał zrobić.

Pan Rousselet wyjął z szufladki papiery i podał je kardynałowi.

Odebrawszy spis słów, wypowiedzianych przez Rodina w malignie, kardynał okazał wielką ciekawość, chcąc dowiedzieć się, co on zawiera. Przeczytawszy, zmiął papier w rękę i rzekł, nie ukrywając złości:

– Zawsze słowa, bez związku i znaczenia... myślałby kto, że ten człowiek nawet w obłąkaniu umie panować nad sobą i jeżeli prawi głupstwa, to niewiele znaczące.

– Wprowadź mnie do ojca Rodina – rzekł po chwilowym milczeniu.

– Jestem gotów na rozkazy Waszej Wysokości – rzekł pan Rousselet, kłaniając się nisko.

I wszedł do przyległego pokoju.

Zostawszy sam, zamyślony kardynał rzekł do siebie:

– Zawsze jestem tego samego przekonania... Podczas nagłego napadu cholery, jakiemu uległ... zdawało się ojcu Rodinowi, że został otruty, a więc knuł coś niebezpiecznego i dlatego tak się wszystkiego bał. Czyżby więc słuszne były nasze podejrzenia? Czyżby silnie i skrycie starał się oddziaływać, jak się tego obawiamy, na znakomite osoby w Rzymie... ale w jakim celu? Trudno tego dociec, gdyż jego wspólnicy wiernie dochowują tajemnicy... Miałem nadzieję, że może w malignie... wymknie mu się jakie słowo... a jednak nic... nic się nie odkryło, same tylko nic nie znaczące frazesy.

Dalsze rozmyślenia przerwał mu doktor Rousselet.

– Przykro mi oznajmić Waszej Wysokości, że wielbny ojciec Rodin nie da się w żaden sposób namówić, aby przyjąć kogokolwiek; mówi, że potrzebuje teraz spokoju... Choć bardzo osłabiony, jest jednak markotny, poirytowany. Bardzo możliwe, że usłyszał Waszą Wysokość mówiącego o zabalsamowaniu go... i że...

Widząc, że kardynał zmierza ku drzwiom do pokoju chorego, dodał:

– Ależ, Wasza Wysokość, ojciec Rodin nikogo nie chce przyjąć... potrzebuje zupełnego spokoju przed operacją, która niebawem go czeka... może byłoby niebezpiecznie, gdyby...

Nie odpowiadawszy, kardynał wszedł do pokoju Rodina.

## ROZDZIAŁ VIII

### PODSTĘP

Żeby dać lepsze wyobrażenie meczarni Rodina, zmuszonego pozostać bezczynnym z powodu choroby i żeby podkreślić ważność odwiedzin kardynała Malipieri, przypomnijmy w skrócie zuchwałę zamiary dumnego jezuitę, który uważał się za następcę Sykstusa V, czekając tylko, kiedy zajmie jego pozycję. Dochrapać się przez mądre pokierowanie sprawy Renepont'ów godności generała w zgromadzeniu, potem, w razie już prawie przewidzianej abdykacji, pozyskać sobie większość głosów w kolegium kardynałów, aby zasiąść na stolicy papieskiej, a wtedy za pomocą zmian w ustawach zakonu jezuitów, zagarnąć pod władzę papieską to potężne zgromadzenie – takie były skryte marzenia Rodina. Co do prawdopodobieństwa ich spełnienia... uświęcały je liczne poprzednie przypadki, gdyż wielu prostych mnichów lub księży niespodziewanie wzniosło się do godności papieskiej.

Pośród takich okoliczności, okoliczności tak ważnych, Rodin skazany był na mękę choroby, która paraliżowała jego siły, właśnie wtedy, gdy bardziej niż kiedykolwiek należało być czynnym, czynnym wszelkimi sposobami, do jakich tylko jego umysł był zdolny.

\* \* \*

Postawszy jakiś czas nie poruszony przy drzwiach, kardynał powoli zbliżył się do łóżka Rodina. Rozgniewany tym natręctwem Rodin, chcąc uniknąć rozmowy, której z wielu względów sobie nie życzył, nagle odwrócił się do ściany i udał, że śpi. Kardynał, nie zważając na to i postanowiwszy skorzystać z osłabienia Rodina, przystawił sobie krzesło i pomimo odrazy, usiadł przy łóżku chorego.

– Jakże się masz, wielbny ojcze? – rzekł słodziutkim głosem, który przy włoskim akcentem wydawał się jeszcze bardziej obłudny.

Rodin udał głuchego, głośno chrapał i nie odpowiadał. Kardynał, chociaż w rękawiczkach, ze wstrętem jednak ujął rękę jezuitę, wstrząsnął nią i powtórzył:

– Wielbny ojcze, przecież nie śpisz... posłuchaj mnie, proszę...

Dręczony bólem, nękany natręctwem gościa, Rodin obrócił głowę, wlepił zapadłe oczy w kardynała i ściągniętymi od złośliwego uśmiechu ustami rzekł:

– A więc Wasza Wysokość obstaje przy tym, aby mnie zabalsamować... jak niedawno usłyszałem i pragniesz widzieć mnie wystawionego w kaplicy, żeby mnie w ten sposób dręczyć w śmiertelnej chorobie i przyspieszyć mój zgon...

– Jeżeli chcesz przez to powiedzieć, że ze wszystkich sił życzyłem... życzę ci chrześcijańskiego przykładnego zgonu... wtedy nie mylisz się, mój ojcze! Doskonale mnie zrozumiałeś, bowiem byłoby mi miło widzieć cię, po tak godnie spędzonym życiu, przedmiotem uwielbienia wiernych.

– A ja powiadam Waszej Wysokości – zawołał słabym głosem Rodin – że jest wielkim okrucieństwem odzywać się z takimi życzeniami w obecności chorego w tak ciężkim, jak mój stan.

Ten napad gniewu nadwątlił siły Rodina, opuścił głowę na poduszkę i zatabaczoną chustką otarł spieczoną usta.

– No, no, uspokój się, ojcze – odpowiedział kardynał ojcowskim tonem – nie miej takich zgubnych myśli; nie wątpię, że opatrność ma względem ciebie wysokie zamiary, kiedy już

cię zachowała od tak wielkiego niebezpieczeństwa... Miejmy nadzieję, że cię jeszcze wydzwignie z resztek choroby.

Rodin odpowiedział chrapliwym pomrukiem, odwracając się do ściany. Nie zmieszany kardynał mówił dalej:

– Opatrzność nie tylko wydzwignęła cię z niebezpieczeństwa, ale zrobiła więcej... To co ci powiem, jest niezmiernie ważne; posłuchaj tylko uważnie. Opatrzność sprawiła, abyś w napadzie obłąkania wyjawiał niechcący bardzo ważne rzeczy.

I z niespokojną ciekawością czekał skutków swej podstępnej zasadzki. Lecz chory, ciągle odwrócony do ściany, nawet nie okazał, że go siły opuszczają i pozostał milczący.

– Pewnie zastanawiasz się nad tymi słowami, wielebny ojcze – rzekł kardynał – postępujesz słusznie, gdyż chodzi o rzecz wielkiej wagi; tak, powtarzam, opatrzność dozwoliła, abyś podczas twego obłąkania wyjawiał najskrytsze myśli, które by ci bardzo mogły zaszkodzić... Powiem krótko, podczas ataku zeszłej nocy, odkryłeś tajny cel swych intryg w Rzymie wobec wielu członków świętego kolegium.

Wstał, nachylił się nad chorym, śledząc, jakie wrażenie jego słowa wywrą na Rodinie.

Ale on zareagował nieoczekiwanie. Jak trup, poddany działaniu stosu galwanicznego, nagle podskakuje, rzuca się i miota, tak Rodin uniósł się na łóżku, obrócił i usiadł, usłyszawszy ostatnie słowa kardynała.

– Zdradził się... – szepnął po włosku kardynał. Potem znowu usiadłszy, wlepił w jezuitę oczy, iskrzące się triumfującą radością.

Chociaż Rodin nie słyszał szeptu kardynała, nie widział jego uradowanej twarzy, pomimo swej słabości zrozumiał, jak nieroztropne było jego oburzenie, które znaczyło zbyt wiele...

– Mój ojcze, twoje mocne wzruszenie, twój przestach, utwierdza mnie w przekonaniu, niestety, w smutnym przekonaniu – rzekł kardynał, coraz bardziej zadowolony, że mu się podstęp udał i czując, że niebawem pozna sekret jezuity – dlatego teraz, chyba pojmujesz, jak ważne będzie dla ciebie zastanowić się nad najdrobniejszymi szczegółami twoich planów i twoich współników w Rzymie; tym sposobem, mój ojcze, możesz się spodziewać, że otrzymasz łaskę, zwłaszcza, jeżeli przyznasz się szczerze i jeżeli dokonasz pewnych uzupełnień, których, jak to bywa, braknie w twym wyznaniu, uczynionym w gorączce.

Rodin uspokoiwszy się z pierwszego wrażenia, zrozumiał, choć trochę za późno, że było to tylko podejście i że się skompromitował, nie słowami, lecz okazaniem przestachem, na nie-szczęście zdradzającym jego myśli.

Otarł rozpalone czoło z zimnego potu. Doznany wstrząs zwiększał jego cierpienia i pogarszał jeszcze jego i tak już niebezpieczny stan. Znekany dolegliwościami choroby i natręctwem gościa, nie mógł już dłużej siedzieć i rzucił się na poduszkę.

– Per bacco! – pomyślał kardynał, przerażony widokiem poszarzałej twarzy jezuity – żeby tylko nie skończył, nic nie powiedziałwszy i nie uszedł tak zręcznie zastawionej pułapki.

I nachyliwszy się do Rodina, rzekł:

– Miejmy nadzieję, drogi ojcze, że to przesilenie nie okaże się szkodliwe... ale ponieważ może się zdarzyć, wypadaloby więc, a chodzi przecież o zbawienie twojej duszy, żebyś mi wszystko szczerze wyznał... choćby to wyznanie miało wyczerpać wszystkie twoje siły... życie wieczne warte jest więcej niż to znikome życie.

Czyż twoje wyznania nie były dość wyraźne? Po cóż więc teraz to wahanie, żeby je uzupełnić?

– Moje wyznania były... wyraźne? Wasza Wysokość zapewniasz mnie o tym? – spytał Rodin, zacinając się po każdym słowie, tak był słaby i udręczony. – A więc... po co je powtarzać? – i drwiący uśmiech osiadł na sinych ustach Rodina.

– Po co? – zawołał z gniewem kardynał – Aby zasłużyć na odpuszczenie, albowiem tak jak udziela się rozgrzeszenia żałującemu pokutnikowi, tak na wyklęcie zasługuje zatwardziały grzesznik.

- Ja się nie zapieram – z trudnością wymówił Rodin – ale zostawcie mnie w spokoju.
- Nareszcie Bóg cię natchnął – rzekł kardynał z westchnieniem zadowolenia.
- I sądząc, że jest już bliski celu, rzekł:
  - Słuchaj tylko głosu Pana, miły bracie w Chrystusie; on będzie twoim przewodnikiem, tak więc niczemu nie zaprzeczasz?
  - Byłem... w gorączce... nie... mogę... więc... zaprzeczać... Nie mogę zaprzeczać głupstwom, jakie mogłem powiedzieć... podczas... obłąkania...
  - A jeśli te mniemane głupstwa są zgodne z faktami?...
  - Kardynale Malipieri... wasz podstęp... dorównuje nawet... mojemu cierpieniu – odparł Rodin gasnącym głosem. – Dowodem na to, że nie wyjawiałem swojej tajemnicy... jeżeli w ogóle jakąś posiadam... jest to, że chcielibyście... wymóc na mnie... abym ją wyjawiał...
- I mimo udręczenia, mimo coraz większych boleści, miał jeszcze tyle siły, że się podniósł do połowy, spojrział kardynałowi prosto w oczy i zadrwił z niego ironicznym, szatańskim uśmiechem.
- Nagle otworzyły się drzwi i wszedł ksiądz d’Aigrigny, z okrzykiem niewymownej radości:
  - Wspaniała nowina!

## ROZDZIAŁ IX

### DOBRA WIADOMOŚĆ

Po zmianach na twarzy księdza d'Aigrigny, po jego bladości, słabym chodzie, znać było, że straszne zdarzenie na placu przed kościołem wywarło fatalny wpływ na jego zdrowie. Mimo to twarz jego jaśniała triumfującą radością, kiedy wchodził do pokoju Rodina, wołając:

– Wspaniała nowina!

Rodin drgnął na te słowa; pomimo wielkiego osłabienia podniósł głowę; jego niespokojne, przenikliwe oczy zabłyśły; skinął wychudłą ręką na księdza d'Aigrigny, aby zbliżył się do łóżka i rzekł głosem tak słabym, iż ledwo było można usłyszeć:

– Czuję się bardzo słaby... Kardynał prawie mnie dobił... Lecz jeżeli ta wspaniała nowina dotyczy sprawy Rennepont'ów ... o której nic teraz nie wiem... zdaje mi się... żebym wyzdrowiał!

– Więc niech ci będzie na zdrowie, mój ojczy – zawołał ksiądz d'Aigrigny, zapomniawszy o przestrozach doktora Baleioier, który nie pozwalał jeszcze mówić z Rodinem o ważniejszych sprawach.

– Tak – powtórzył ksiądz d'Aigrigny – bądź zdrow, czytaj... i ciesz się, ojczy: zaczyna się spełniać, co zapowiadałeś.

Wydobył z kieszeni papier i podał go Rodinowi, który chwycił go chciwie drżącą ręką.

Zaledwie przeczytał pismo, natychmiast krzyknął przytłumionym, trudnym do opisanego głosem, pełnym radości:

– Jednego już nie ma... To się już zaczyna... teraz pójdzie szybko...

Potem rzucił się na poduszkę, mówiąc:

– O! Radość mnie dusi... Brak mi słów...

– O co chodzi? – zapytał kardynał księdza d'Aigrigny. Ten odpowiedział tonem pozornie żalonym:

– Jeden ze spadkobierców rodziny Rennepont'ów, biedny wyrobnik, zniszczony zbytkami i rozwiązłością, zmarł trzy dni temu, w wyniku obmierzłej rozpusty, w której chciano zażartować z cholery, zapominając, że to bicz Boży...

– Widzicie – rzekł Rodin, głosem tak słabym, że prawie nie było można go zrozumieć – kara już się zaczyna... Jeden... z Rennepont'ów zmarł... i uważajcie dobrze... ten akt zejścia... – dodał, wskazując papier, który trzymał w ręku d'Aigrigny – przyniesie kiedyś miliony zgromadzeniu jezuitów... a to... dlatego... że ja...

Same wargi dokończyły zaczęte zdanie. Od kilku chwil jego głos tak się zmienił, że nie można było nic rozróżnić; w wyniku gwałtownego wzruszenia krtani tak mu się ścisnęła, iż nie mógł wydobyć słowa.

Omdlały, bezsilny, upadł znowu na poduszkę; ledwo oddychając przyłożył chustkę do spieczonych warg; szczęśliwa nowina, jak sądził, nie uleczyła go; przez moment tylko zapomniał o bólach. Ksiądz d'Aigrigny podał choremu do wypicia kilka kropli, które podziały uspokajająco.

– Może chcesz, ojczy, żebym zawołał pana Rousselet? – spytał ksiądz d'Aigrigny, widząc wyraźne pogorszenie jego stanu.

Rodin kiwnął odmownie głową – nie mógł wydobyć z siebie ani słowa – stracił mowę.

Ksiądz d'Aigrigny otworzył drzwi do przedpokoju, w którym zastał pana Rousselet; ten oddał mu spory pakiet i rzekł:

– Przepraszam wielbego ojca, że go fatygowałem, ale powiedziano mi, żebym natychmiast oddał te papiery.

D'Aigrigny wrócił do chorego i pokazując mu listy, rzekł:

– Mam tu różne sprzeczne raporty, dotyczące członków rodziny Rennepont, na które, jak sądzę, należałoby zwrócić szczególną uwagę... bowiem moja słabość nie pozwoliła mi zająć się tym bliżej, gdyż dopiero dziś wstałem. Lecz nie wiem, wielbny ojcze – dodał – czy twój stan pozwoli mu posłuchać...

Rodin dał tym razem znak tak pełen rozpaczy, iż d'Aigrigny uznał, że byłoby niebezpiecznie sprzeciwiać się jego życzeniu; zwrócił się więc do kardynała, niezadowolonego, że nie zdołał dociec sekretów Rodina, pokazując mu list;

– Czy Wasza Wysokość pozwoli?

Ten skłonił głowę i odpowiedział:

– Drogi ojcze, wasze sprawy są także naszymi sprawami, powinniśmy zawsze radować się tym, co sprawia radość czcigodnemu zgromadzeniu jezuitów.

Ksiądz d'Aigrigny rozpieczętował kopertę; znajdowały się w niej rozmaite pisma.

Przeczytawszy pierwsze, zachmurzył się i rzekł poważnym głosem:

– To nieszczęście... wielkie nieszczęście...

Rodin obrócił głowę i spojrzał nań niespokojnym, pytającym wzrokiem...

– Floryna zmarła na cholere – rzekł ksiądz d'Aigrigny. – A co gorsze, dodał – że przed śmiercią nędznica wyznała pannie Cardoville, że od dawna ją szpiegowała z rozkazu waszej wielbności...

Rodin niecierpliwym skinieniem dał znak księdzu d'Aigrigny, aby czytał dalej.

I d'Aigrigny czytał:

– „Mówią, że marszałek od kilku dni wydaje się mniej zmartwiony, mniej smutny; ostatnim razem spędził parę godzin ze swymi córkami, co już od dawna nie zdarzyło mu się. Przykra postawa jego żołnierza Dagoberta okazuje się coraz pogodniejsza... oznaki te można uważać za dowód znacznej poprawy sytuacji marszałka.

Po piśmie poznaliśmy, że ostatnie anonimowe listy zostały zwrócone posłańcowi, nie będąc nawet rozpieczętowane przez marszałka; pomyślimy o sposobie przesłania ich inną drogą”.

Potem spojrzawszy na Rodina, dodał:

– Wasza wielbność sądzi pewnie podobnie jak ja, że to doniesienie jest niezbyt zadowalające?...

Rodin schylił głowę. Z jego pomarszczonej twarzy można było wyczytać, jak martwiło go, że nie mógł mówić; sięgnął ręką do szyi, patrząc z zalem na księdza d'Aigrigny:

– Ach!... zawołał d'Aigrigny z gniewem, przeczytawszy kolejne pismo – Za jedną pomyślną wiadomość dzisiejszy dzień przynosi wiele niepomyślnych!...

Kardynał, dzielając również niepokój Rodina, zwrócił się do księdza d'Aigrigny:

– Wielbny ojcze, co takiego jest w tym piśmie?

– Myśleliśmy, że nikt nie wie o pobycie w naszym domu pana Hardy'ego – rzekł d'Aigrigny – a należy się obawiać, żeby Agrykola Baudoin nie odkrył mieszkania swego pryncypała i nie podał mu listu za pośrednictwem któregoś z domowników... I tak – dodał z gniewem – przez ostatnie trzy dni, kiedy nie mogłem odwiedzić pana Hardy'ego w pawilonie, gdzie mieszka, jeden ze służących dał się przekupić... Jest między nimi jednooki, któremu nigdy nie ufałem... nędznik... Ale nie, nie chcę jeszcze wierzyć tej zdradzie.

– Mój drogi ojcze – rzekł kardynał – nie trzeba tracić nadziei... dobra sprawa będzie zawsze triumfować.

– Zobaczmy jeszcze to ostatnie pismo – rzekł d'Aigrigny po chwili zamyślenia. – Mam zaufanie do osoby, która mi je przysłała, tak iż nie wątpię o prawdziwości zawartych w nim szczegółów. Oby okazały się lepsze od poprzednich!



## ROZDZIAŁ X

### TAJEMNICZE PISMO

Ksiądz d'Aigrigny czytał, co następuje:

„Trzy dni temu ksiądz Gabriel de Rennepont, który nigdy nie był u panny Cardoville, zjawił się w jej pałacu o wpół do drugiej po południu; pozostał tam aż do godziny piątej. Prawie zaraz po odjeździe księdza, z pałacu wyszło dwóch służących; jeden udał się do marszałka Simona, drugi do Agrykoli Baudoina, czeladnika kowalskiego, a potem do księcia Dżalmy. Wczoraj, koło południa, marszałek Simon przybył z córkami do panny Cardoville; wkrótce potem pojawił się tam ksiądz Gabriel, w towarzystwie Agrykoli Baudoina. Między tymi osobami a panną Cardoville odbyła się narada; pozostali u niej aż do godziny wpół do czwartej. Marszałek przyjechał powozem, a wrócił z córkami pieszo; wszyscy troje wydawali się bardzo uradowani i widziano nawet, jak w bocznej alei Pól Elizejskich marszałek ucałował swoje córki z wielką czułością. Ksiądz Gabriel i Agrykola wyszli ostatni.

Ksiądz Gabriel wrócił do domu; kował, na którego z wielu powodów zwrócono szczególną uwagę, poszedł do pewnego handlarza win przy ulicy la Harpe. Udano się tam za nim; zażądał, aby mu dano butelkę wina i usiadł w osobnym pokoju; nie pił jednak i zdawał się być czymś żywo zajęty; domyślano się, że kogoś oczekuje. Istotnie, po pół godzinie przyszedł jakiś mężczyzna koło trzydziestu lat, jednooki brunet wysokiego wzrostu, ubrany w surdut kasztanowego koloru i czarne pantalone; przybył jak się zdaje z sąsiedztwa. Mężczyzna ten zasiadł przy stole razem z kowalem. Wszczęła się między nimi dość żywa rozmowa, ale nieszczęściem nic z niej nie można było usłyszeć. Po pół godzinie Agrykola Baudoin dał mężczyźnie pakiecik, który, jak się zdaje, zawierał złoto, gdyż jednooki okazywał wielką wdzięczność.

Nazajutrz rano udano się do sklepu handlarza win, czekali tam aż do wpół do pierwszej; zjawił się kował. Ponieważ działano ostrożnie, można było, podobnie jak wczoraj, wejść do pokoju i usiąść blisko kowala, nie budząc jego podejrzeń; niebawem przybył jednooki mężczyzna i oddał mu list, zapieczętowany czarnym lakiem.

Na widok listu Agrykola Baudoin zdawał się być bardzo poruszony. Potem wyszli razem ze sklepu.

Udano się w ślad za nim; jak wczoraj, jednooki mężczyzna wszedł do wiadomego domu przy ulicy Vaugirard. Agrykola szedł z nim aż do bramy, potem długo krążył wokół murów, chcąc widocznie rozpoznać miejsce; czasami coś sobie zapisywał w notesie.

Potem udał się na plac Odeon, gdzie wziął dorożkę. Ruszył stąd na ulicę Anjou do panny Cardoville. Szczęśliwym trafem w chwili, gdy widziano go wchodzącego do pałacu, powóz z liberią panny Cardoville wyjeżdżał z bramy; siedział w nim jej koniuszy z bardzo lichy ubranym człowiekiem, któremu źle patrzyło z oczu.

Koniuszy panny Cardoville wysiadł z powozu z owym mężczyzną; weszli obaj do biura agentów policyjnych; w pół godziny koniuszy wyszedł sam i wsiadłszy do powozu, kazał się wieźć do Pałacu Sprawiedliwości. Udał się do biura królewskiego prokuratora; zabawił tam blisko pół godziny, po czym wrócił do pałacu panny Cardoville.

Dowiedziano się z pewnego źródła, że tego samego dnia koło ósmej wieczorem, panowie d'Ormesson i Valbolle, znakomici adwokaci i sędzia, który odebrał wniesioną przez pannę Cardoville skargę na doktora Baleinier'a, mieli z tą panną konferencję, która przeciągnęła się do północy, a w której uczestniczyli ponadto Agrykola Baudoin i dwaj inni robotnicy z fabryki pana Hardy'ego.

Dziś u marszałka Simona był książę Dżalma; zabawił u niego koło kwadransa; potem według wszelkiego prawdopodobieństwa, obaj udali się do panny Cardoville, gdyż ich powóz zatrzymał się przed bramą jej pałacu; nieprzewidziany wypadek nie pozwolił uzupełnić tej ostatniej wiadomości.

W tej chwili dowiedziano się, że wydano rozkaz zatrzymania niejakiego Leonarda, dawnego totumfackiego barona Trippeaud. Podejrzewają go, że jest sprawcą pożaru w fabryce pana Hardy'ego; Agrykola Baudoin i jego dwaj towarzysze wskazali człowieka, uderzająco podobnego do Leonarda.

Z tego wszystkiego wynika, że od kilku dni pałac Cardoville jest ogniskiem, gdzie schodzą się i rozchodzą najczynniejsze działania, które zdają się zawsze krążyć wokół marszałka Simona i jego córek oraz wokół pana Hardy'ego, działania, których niezmordowanymi sprawcami są panna de Cardoville, ksiądz Gabriel i Agrykola Baudoin; uważamy więc ich za najbardziej niebezpiecznych.

Łatwo sobie wyobrazić, jak okropne wrażenie sprawić musiał ten donos i na księdzu d'Aigrigny, i na Rodinie... zwłaszcza na Rodinie, ciężko chorym, przykutym do łóżka i nie mogącym zdziałać właśnie wtedy, kiedy widział walącą się budowę swych intryg.

## ROZDZIAŁ XI

### PRZED OPERACJĄ

Skutkiem niesłuchanie silnej woli, jakby poruszony sprężyną, Rodin zerwał się z łóżka, unosząc z sobą prześcieradło, które wlokło się za nim jak za nieboszczykiem... W pokoju było zimno.

– Nieszczęsny... Co robisz? To śmierć! – zawołał ksiądz d'Aigrigny, chcąc zmusić Rodina do położenia się w łóżku.

Lecz ten, wyciągnawszy wychudłą rękę, twardą jak żelazo, odepchnął go z niepojętą siłą.

– Jest silny jakby w napadzie wielkiej choroby!... – rzekł ksiądz d'Aigrigny.

Rodin podszedł wolnym krokiem do biurka, gdzie było wszystko, czego potrzebował doktor Baleinier do pisania recept i zaleceń; potem usiadłszy przy biurku, wziął papier, pióro i zaczął pisać. Jego ruchy były spokojne i pewne; przypominały automatyczne kroki, jakie spostrzegamy u lunatyków. Milczący, osłupieli, nie wiedząc, czy dzieje się to na jawie, czy im się śni. Na widok tego cudu kardynał i ksiądz d'Aigrigny z otwartymi ustami patrzyli w zdumieniu na dziwnie zimną krew Rodina. Kardynał jednak podszedł do niego i rzekł:

– Ależ, ojcze... to nierozsądne...

Rodin wzruszył ramionami, obejrzał się i kiwnął, aby zbliżył się do niego i przeczytał, co napisał.

Kardynał przeczytał i oddał pismo księdzu d'Aigrigny.

– A! Jest to pełne rozsądku i talentu – rzekł z zapałem – w ten sposób zniszczy się niebezpieczny związek między księdzem Gabrielem a panną Cardoville.

– Co za myśl, Wasza Wysokość! – rzekł ksiądz d'Aigrigny – doskonała, trzeba to zrobić... może być bardzo dobrze przyjęta i...

Rodin kiwnął na księdza d'Aigrigny i dał mu list z dołączeniem małej kartki, na której napisane były słowa:

„Wykonać natychmiast, przed upływem godziny”. Ksiądz d'Aigrigny przeczytał pismo i zawołał:

– To prawda, nie pomyślałem o tym... dzięki temu korespondencja Agrykoli Baudouin z panem Hardy zamiast szkodzić, może, przeciwnie, przynieść najlepszy skutek.

Nagle otworzyły się drzwi i wszedł doktor Baleinier. Na widok siedzącego przy biurku Rodina, na pół nagiego, z bosymi nogami na posadzce, doktor zawołał tonem nagany i przestraszu:

– Ależ ojcze, i Wasza Wielbność... wszak to samobójstwo. Zaniepokojony do najwyższego stopnia, chciał mu zbadać puls u lewej ręki, którą Rodin mu podał, nie przestając pisać prawą.

– Ależ to cud! – zawołał Baleinier, licząc uderzenia pulsu. – Od ośmiu dni i jeszcze dziś rano, puls był szybki, przerywany, a teraz wzmacnia się, zaczyna być regularniejszy... nie pojmuję tego... Co tu się stało?... Nie mogę uwierzyć...

– A więc – rzekł kardynał – obejdzcie się bez operacji...

– To niespodziewane przesilenie jest chwilowe... a jego wpływ mógłby sprowadzić śmierć. Operacja będzie konieczna.

– A czy powiedział mu pan, jak bolesna jest ta operacja?...

– Mniej więcej zorientowałem go, Wasza Wysokość.

I podszedł do Rodina, który nie zwracał uwagi na ich rozmowę, prowadzoną po cichu.

– Wielbny ojcze – doktor odezwał się poważnym głosem – czy chcesz w ciągu tygodnia stanąć na nogach?

Rodin skinął potakująco, nie przerywając pisania.

– Poprawa twego stanu – ciągnął doktor – potrwa krótko, a jeżeli nie zrobimy operacji, o której już ci mówiłem, zaprawdę!... Powiadam to bez ogródek... nie ma szans na wyleczenie.

Rodin skończył pisać i podał doktorowi kartkę ze słowami:

„Dałbym sobie uciąć ręce i nogi... byle tylko żyć. Jestem gotów”.

I usiłował wstać.

– Muszę uprzedzić waszą widebność, nie dlatego, żebym straszyl, lecz żeby dać mu czas do nabrania odwagi – dodał doktor Baleinier – że operacja jest bardzo bolesna...

Rodin wzruszył ramionami i pewną ręką napisał:

„Jestem na wszystko zdecydowany”.

– Wielebny ojciec – rzekł doktor – należałoby jednak położyć się...

Rodin napisał:

„Przygotuj pan, co trzeba... ja tymczasem napiszę pilne polecenia; da mi pan znać, kiedy będzie pan gotów”.

Potem, zapieczętowawszy opłatkiem napisany list, skinął na księdza d'Aigrigny, aby przeczytał jego treść, a brzmiała ona:

„Posłać natychmiast agentowi, który pisał anonimowe listy do marszałka Simona”.

Wreszcie wstał. Lecz już sprawdzały się przewidywania doktora; ledwie przez sekundę mógł ustać na nogach i znowu padł na krzesło... Wtedy spojrział zmartwiony na doktora Baleiniera a jego oddech stawał się coraz cięższy. Doktor usiłował go pocieszyć.

– Bądź spokojny, wielebny ojciec... Ale trzeba się pośpieszyć... Wesprzyj się na mnie i na księdzu d'Aigrigny.

Z ich pomocą Rodin zdołał dostać się do łóżka; usiadłszy w nim, wskazał ręką, aby mu podano papier i pióro; po czym pisał dalej na kolanach.

– Nie będzie krwi – rzekł doktor Baleinier – lecz będą gorsze rzeczy... Racz więc wasza wielbność – zwrócił się do księdza d'Aigrigny – przysłać mi trzech zakonników, którzy mi posłużą za pomocników; racz także wezwać pana Rousselet, aby przyszedł ze swymi przyrządami.

Ksiądz wyszedł.

Kardynał zbliżył się do doktora i rzekł po cichu, wskazując Rodina:

– On jest w niebezpiecznym stanie?

– Tak, Wasza Wysokość, ale jeśli wytrzyma operację... Ma ciężki oddech, dusi go w pierśsiach, ale jest szansa.

W tej chwili wszedł Rousselet, trzymając pod pachą duże kwadratowe pudło; zbliżył się do stołu i na marmurowym blacie rozstawił swoje przyrządy.

Niebawem weszli do pokoju trzej jezuici, którzy rano przechadzali się po ogrodzie.

## ROZDZIAŁ XII

### KAŻŃ

Wielebni ojcowie – doktor Baleinier zwrócił się do przybyłych – dziękuję za waszą uprzejmość... czeka tu panów prosta przysługa, a przy pomocy Bożej, ta operacja ocali wielebnego ojca Rodina.

Trzej zakonnicy wzniesli oczy ku niebu, po czym skłonili się wszyscy razem.

Na twarzy Rodina nie pokazał się najmniejszy znak strachu; jego twarz była spokojna, zimna jak u trupa; tylko małe oczki jeszcze mocniej zaiskrzyły się w swych głębokich jamach; przez krótką chwilę wodził wzrokiem po obecnych; wzięwszy pióro w zęby, złożył i zapieczętował inne pismo, położył je na nocnym stoliku i wreszcie kiwnął na doktora, zdając się mówić:

Jestem gotów.

– Trzeba najpierw zdjąć koszulę i kaftan, mój ojcze. Czy to ze wstydu, czy z innej przyczyny, Rodin zawahał się przez chwilę... ale tylko przez chwilę... bo gdy doktor powtórzył:

– Koniecznie trzeba, wielebny ojcze...

Rodin rozebrał się przy pomocy doktora, który chcąc uspokoić wstydlivość pacjenta, rzekł:

– Wystarczy tylko odsłonić piersi waszej wielebności, lewy i prawy bok.

Po chwili przystąpił do operacji. Było to rzeczywiście dość proste. Doktor dał każdemu ze swych czterech pomocników rodzaj stalowego trójnogu, mającego koło dwóch cali średnicy i trzech wysokości. Jego środek wypełniony był mocno watą; narzędzie to należało trzymać lewą ręką za drewniany trzonek.

W prawej ręce każdy trzymał blaszaną rurkę; na jednym końcu rurki przylutowane były wywinięte brzegi, żeby można było wygodnie przyłożyć usta, drugi zaś koniec rozszerzony był w kształcie trąbki, tak, że mógł posłużyć za nakrywkę.

Uzbroiwszy swych pomocników, doktor kazał im podejść do Rodina, którego łóżko zostało wytoczone na środek pokoju. Dwóch stało z jednej, dwóch z drugiej strony. Cztery knoty zapalanej bawełny, urządzone tak, że paliły się wolno małym płomieniem, zostały przyłożone do piersi chorego.

Nazywa się to pospolicie mokszą. Operacja kończy się, gdy skóra powoli spali się... trwa to siedem do ośmiu minut. Mówią, że ból amputacji jest niczym w porównaniu z bólem moksy, a zwłaszcza, kiedy trzeba ją kilkakrotnie powtórzyć.

Rodin z nieustraszoną odwagą przypatrywał się przygotowaniom do operacji; lecz za pierwszym przyłożeniem płomieni wyciągnął się i zwinął jak wąż; nie mógł nawet skarżyć się na ból, bo brakło mu głosu. Tymczasem po obu bokach piersi widać już było cztery szerokie, krwawe rany... tak mocno i głęboko było już przypalone ciało... Zanim miał się znowu położyć na łóżku boleści, aby powtórzono operację, dał znak, wskazując kałamarz i pióro, że chce pisać.

Można mu było darować to dziwactwo.

Doktor podał mu tabliczkę, Rodin oparł na niej papier i napisał, co następuje, jakby mu nagle zaświtała nowa myśl:

„Lepiej nie tracić czasu... Natychmiast uprzedzić barona Trippeaud o rozkazie zatrzymania, wydanym przeciw jego totumfackiemu Leonardowi, aby go ostrzegł”.

Był to dziwny i straszny widok, wstrząsający i niemal fantastyczny.

Trzej księża w czarnych długich sukniach, nachyleni nad ciałem, bardziej przypominającym trupa niż żyjącego człowieka, z ustami przyłożonymi do rurek przytkniętych do piersi Rodina, jakby ssali krew lub odprawiali nad nim jakieś czary. Ostra, odrażająca woń przypa-

lanego ciała rozchodziła się po pokoju... każdy słyszał trzask... był to odgłos skóry pękającej od ognia.

Znosząc te straszne tortury, Rodin czerpał odwagę i siłę w nadziei... i niewątpliwie w pewności, że będzie żyć... Taki był hart tego niezłomnego charakteru, taka siła umysłu, że nawet pośród niepodobnych do opisanego męczarni, trzeźwość myśli nie opuszczała go ani na chwilę... Podczas rzadkich przerw Rodin myślał o sprawie Rennepont'ów, obmyślał szansę jej wygrania, układał skuteczne środki działania, czując, że nie było minuty czasu do stracenia. Pomimo bólu, leżąc na wznak, zaczął znowu pisać; wziął tabliczkę w lewą rękę, podniósł ją i pisał prawą. Na pierwszej kartce napisał kilka znaków; były to cyfry, które wymyślił dla własnego użytku i wyrażał nimi sekrety, o których nie chciał nikomu udzielić wiadomości. Mimo potwornego cierpienia przyszła mu nagle do głowy jakaś ważna myśl; musiał ją zanotować obawiając się zapomnieć podczas kolejnych tortur, które zmusiły go do przerywania pisania dwa czy trzy razy; pisał jednak dalej na drugiej kartce, po czym podał ją księdzu d'Aigrigny. „Prześlę Aigrigny'emu B. do Faryngei, od którego odbierze raport o wydarzeniach ostatnich dni; Niech B. przybędzie tu niezwłocznie z tą wiadomością”.

Ksiądz d'Aigrigny wyszedł spieszenie, aby wykonać polecenie. Kardynał zbliżył się nieco do łóżka operowanego. Na dany przez doktora znak, czterech pomocniczy znów przyłożyli usta do rurek i szybko zaczęli rozniecać ogień. To ponowienie tortur było tak okropne, iż mimo niesłychanej władzy nad sobą Rodin zazgrzytał straszliwie zębami, rzucił się konwulsyjnie i tak mocno nadał piersi, iż skutkiem gwałtownego spazmu wydobył z nich wreszcie przeraźliwy krzyk bólu... ale ten krzyk był już wolny, dźwięczny.

– Piersi są już wolne!... – zawołał triumfująco doktor Balemier.

– Jest ocalony... płuca już zaczynają pracować... głos wraca... już wrócił... Dmuchać panowie, dmuchać... a ty, wielbny ojciec – uradowany zwrócił się do Rodina – jeżeli tylko możesz, krzycz... wyjdź... nie wstydz się... to ci ulży... Odwagi tylko i cierpliwości, teraz już ręczę za ciebie... Cudowne uleczenie... ogłoszę je, otrąbić każę!...

Słyszając, że jest ocalony, Rodin, choć teraz jego cierpienia były może najdotkliwsze w ciągu całej operacji, gdyż ogień dochodził do ostatniej warstwy skóry, wypogodził swe oblicze, był prawie piękny szatańską pięknnością. W cierpiącej twarzy przebijała duma dzikiego triumfu; widać było, jak ten potwór czuje się znowu silny, potężny, że myślał już o strasznych nieszczęściach, jakie sprawi jego zmartwychwstanie... I chociaż wiał się jeszcze jak zmija pod piekącymi płomieniami, wymówił... pierwsze słowa:

– Powiedziałem... tak... powiedziałem, że będę żył!...

– I mówiłeś prawdę, mój ojciec – zawołał doktor, macając puls chorego. – Otóż już masz puls, jak należy, pewny, regularny, płuca są wolne. Skutek operacji jest pełny: będziesz zdrow...

W tej chwili dopaliły się ostatnie włókna bawełny; odjęto trójnogi i na chudych piersiach Rodina odsłoniły się cztery szerokie, zaskorupiałe rany. Pod zwęgloną, kurcząca się jeszcze skórą widać było czerwone, żywe ciało...

Rodin opuścił oczy na rany, przypatrywał im się w milczeniu potem uśmiechnął się szatańsko; nie zmieniając położenia, rzuciwszy tylko okiem na księdza d'Aigrigny, wskazał mu rany, rachując powoli jedną po drugiej i wskazując na nie palcem:

– Księżo d'Aigrigny... co za wróżba, proszę tylko spojrzeć!... Jeden Rennepont... dwóch Rennepont'ów ... trzech Rennepont'ów ... czterech... A gdzie jest piąty? Ach!... To tutaj... ta rana liczy się za dwie... to bliźniaki...

I uśmiechnął się.

– Tak, ród bezbożnych zostanie starty na proch, podobnie jak kawałki mego ciała zostały spalone na popiół... Ja to mówię... to nastąpi... podobnie jak powiedziałem, że będę żył... i żyję.

## Część piąta

### NĘDZA

#### ROZDZIAŁ I

##### WYSTĘPEK I CNOTA

Od chwili, kiedy Rodin został przywrócony do życia, upłynęły dwa dni.

Jest około trzeciej po południu; promień słonecznego światła przedzierający się otworem przez drzwi na wpół w ziemię wpuszczonego sklepiku, zajmowanego przez matkę Arseni, handlarzkę węgla i warzyw, przedstawiał dziwną sprzeczność z ciemnością tej piwnicy.

Promień padał prosto na makabryczny przedmiot...

Pośród wiązek drewna, tuż przy stosie węgla, stało stare łóżko; pod okrywającym je prześcieradłem widać było zakrzepłego trupa. Były to zwłoki matki Arseni, zmarłej na cholere; zakończyła życie przed dwoma dniami; ponieważ odbyło się mnóstwo pogrzebów, więc jeszcze nie przyszła kolej na pochowanie jej.

Teraz ktoś usiłował wyłamać drzwi od korytarzyka, prowadzącego do sklepiku; drzwi nie opierały się; weszła jakaś młoda kobieta i przez chwilę stała nieruchomo. Po krótkim wahaniu zrobiła kilka kroków; jasny promień oświecił jej rysy; była to Bachantka. Od śmierci Jakuba twarz Cefizy zmieniła się; była bardzo blada, jej piękne, czarne włosy były w nieładzie, nogi bose, podarta spódniczyna ledwie okrywała jej nagość, a na piersiach miała tylko kawałek chustki. Podchodząc do łóżka rzuciła obojętnym, prawie okrutnym okiem na prześcieradło.

Wzięła koszyk i napełniła go węglem; rozglądając się jeszcze tu i ówdzie, spostrzegła w kącie glinianą fajerkę, porwała ją z dzikim zadowoleniem.

– To jeszcze nie wszystko... jeszcze za mało – mówiła, szukając czegoś niespokojnie.

Wreszcie przy małym, żelaznym piecyku, zobaczyła puszkę blaszaną, w której było krzesiwo i zapalki. Wziąwszy puszkę, włożyła ją do koszyka.

Przechodząc obok zwłok biednej węglarki, rzekła z wymuszonym uśmiechem:

– Okradam cię... biedna Arseni... ale ta kradzież nie na długo mi posłuży.

Cefiza wyszła ze sklepiku, przymknąwszy drzwi; przebiegła małe podwórko, oddzielające frontowy korpus od budynku, w którym miał swoją kryjówkę Rodin.

Weszła na schody, prowadzące do mieszkania, zajmowanego niegdyś przez Rodina. Dom był tak zniszczony, że w wielu miejscach, nie tylko przez dach, ale i przez dziury w pułapie lał się deszcz. Na sienniku siedziała Garbuska, podparta łokciami na kolanach, cienkimi, zwiedłymi rękami zakrywszy twarz. Słyszając wejście Cefizy podniosła głowę; jej blada, łagodna twarz wydawała się jeszcze bardziej wynędzniała, udręczona cierpieniami i zmartwieńiami, nędzą; wlepiła w siostrę oczy zapadłe od łez, z wyrazem smutnej tkliwości.

– Mam już, co potrzeba... siostró – rzekła Cefiza przytłumionym głosem. – W tym koszyku znajduje się koniec naszej nędzy.

Potem, pokazując rzeczy, złożone na podłodze, rzekła:

– Pierwszy raz w swoim życiu... dopuściłam się... kradzieży... i to przejęło mnie wstydem... to pewne, że nie jestem stworzona ani na złodziejkę, ani na coś jeszcze gorszego. Szkoda – dodała z gorzkim uśmiechem.

Po krótkim milczeniu Garbuska rzekła do siostry:

– Cefizo... moja droga... chcesz więc koniecznie umrzeć?

– Po co się wahać? – odpowiedziała stanowczym tonem Cefiza. – Jeśli chcesz, zastanówmy się jeszcze, rozpatrzmy ponownie moje położenie; choćbym nawet chciała zapomnieć o swej hańbie i o wzgardzie umierającego Jakuba, co mi pozostaje? Żyć... to znaczy umierać powoli, z niedostatku, znam to dobrze... wolę umrzeć od razu... Drugie wyjście jest takie, że dla utrzymania się przy życiu mogę bawić się dalej haniebnym rzemiosłem, jakiego już spróbowałam... a tego właśnie nie chcę... to jest jeszcze gorsze...

Potem, nie dając sobie przerwać, dodała:

– Przychodzi cholera... wszystkich zabija, a nas... zostawia. Widzisz więc, że lepiej samej o sobie pomyśleć – dodała, uśmiechając się z goryczą... – A zresztą i ty, choć mówisz inaczej, biedna siostrze... ty tak samo jak ja masz chęć skończyć... Czy wolisz raczej umierać... od dzielnie?...

– Egoistko! – rzekła Garbuska z uśmiechem rozdzierającym serce – Jakie miałabym powody bardziej niż ty lubić życie? Czy ktoś by mnie żałował?...

– Mimo wszystko jednak do końca pełniłam to, co było moją powinnością – dodała – Agrykola już mnie nie potrzebuje... ożenił się... kocha, jest kochany... jego szczęście jest zapewnione... Pannie Cardoville też nic nie pozostaje do życzenia. Piękna, bogata, szczęśliwa, a ja zrobiłam dla niej wszystko, co istota taka jak ja mogła zrobić. Ci, co byli dla mnie dobrzy, są szczęśliwi... czemu więc nie miałabym teraz odpocząć... jestem tak skołatana... A kiedy wreszcie mogłam udać się do pałacu panny Adrianny, jej tam nie było!... Na co więc mogę liczyć?...

Nie mogła dokończyć i z drżeniem zakryła rękami twarz.

– A ja zaprzedałam się, jak tyle nieszczęśliwych, gdy im zabraknie pracy lub gdy zarobek nie wystarcza... a głód zacznie dokuczać zbyt gwałtownie... – odpowiedziała Cefiza – Tylko zamiast żyć, jak tyle innych, z hańby, ja z niej umieram... bo moja hańba dręczy mnie... Jakub skonał na moim ręku, gardząc mną... a wiesz przecież, jak go kochałam! – dodała z uniesieniem – Kochałam go tak, jak tylko raz w życiu można kochać!...

– Niech więc spełni się nasz los!... – zamyśliła się Garbuska.

– Droga siostrze, nigdy mi nie powiedziałaś, dlaczego odeszłaś od panny Cardoville... – rzekła po chwili Cefiza.

– Niech to będzie sekret, który poniosę z sobą do grobu, Cefizo – odpowiedziała Garbuska, spuszczając oczy.

I z gorzką radością myślała o tym, że wkrótce zostanie uwolniona od tego strachu, który zatruwał ostatnie dni jej smutnego życia.

– Siostrze... uściskajmy się – rzekła Cefiza – i odwagi! Garbuska rzuciła się w objęcia siostry.

Zapanowało długie, uroczyste milczenie, przerywały je tylko łkania obu sióstr.

– O, Boże! Tak się kochać... I rozstać się... na zawsze – przerwała Cefiza – jednak to okrutne.

– Rozstać się... – zawołała Garbuska i jej blada, łzami oblana twarz zajaśniała nagle nadzieją – rozstać się, siostrze. O! Nie, nie! Pójdziemy tam wysoko, tam niczym są ludzie, tam panuje Bóg... Chodźmy tam, siostrze, będzie nam tam lepiej... nie zwlekajmy.

Mówiąc to wskazała na czerwony blask zachodzącego słońca padający na szyby.

Cefiza, równie przejęta religijnym uniesieniem, schwyciła siostrę za ręce i wpatrując się w nią ze wzruszeniem zawołała:

– Siostrze, jaka jesteś teraz piękna!



- Za późno przychodzi ta piękność – smutnie uśmiechnęła się Garbuska.
  - Nie, siostrze, wyglądasz na tak szczęśliwą... że tracę wszelkie skrupuły, jakie dotąd miałam wobec ciebie.
  - A więc pospieszmy się – rzekła Garbuska, pokazując fajerkę.
  - Bądź spokojna... to nie potrwa długo – rzekła Cefiza.
- I poszła po fajerkę, nałożoną węglem, którą zostawiła w kącie izdebki, a teraz wystawiła ją na środek.
- Potem, uśmiechając się z gorzką ironią, dodała:
- No, i co... siostrze, pozatykamy drzwi i okna, żeby nie dostało się powietrze... Co to za zbytki!... Pieścimy się jak damy!
  - W takiej chwili możemy sobie pozwolić na wygodę – rzekła Garbuska, usiłując żartować tak jak Cefiza.
- I obie siostry z zimną krwią zaczęły skręcać słomę w powrósła, żeby można nimi było pozatykać szpary w drzwiach i w oknie.

## ROZDZIAŁ II

### SAMOBÓJSTWO

Siostry ze spokojem przygotowywały się do śmierci. Nieszczęsna chwila zbliżała się, ich zawsze spokojne twarze wydawały się ożywione wzruszeniem, które towarzyszyło planowanemu samobójstwu.

– Teraz... – rzekła Garbuska – Podaj fajerkę...

Uklękły przed fajerką, napełnioną węglem; ale Cefiza, biorąc siostrę pod rękę, zniewoliła ją do wstania, mówiąc:

– Pozwól mi rozniecić ogień... to należy do mnie...

– Ależ, Cefizo...

– Wiesz, siostrzo, jakiego bólu głowy nabawia cię zawsze swąd żarzących się węgla.

Na tę naiwną przymówkę, choć Cefiza mówiła serio, siostry nie mogły powstrzymać smutnego uśmiechu.

– Doprawdy – rzekła Cefiza. – Po co niepotrzebnie masz sobie zadawać podwójną mękę?...

Potem, pokazując siostrze siennik, w którym było jeszcze trochę słomy, dodała:

– Idź, połóż się, siostrzyczko... Gdy węgiel rozpali się, przyjdę i usiądę przy tobie.

– Tylko pośpiesz się, Cefizo.

– Za pięć minut wszystko się skończy.

Zapanowało milczenie...

Słychać było jedynie dmuchanie Cefizy i lekki trzask węgla, który już zaczynał wydawać mdły, duszący zapach.

Cefiza, czując już lekki zawrót głowy, wstała i podeszła do siostry.

– Już pali się...

– Siostrzo – spytała Garbuska – jak się położymy? Chciałabym być tuż przy tobie... aż do końca...

– Pozwól, niech ostatni raz ucałuję twoje piękne włosy – rzekła Cefiza, przytulając do ust piękny, jedwabisty warkocz, który wieńczył bladą twarz Garbuski – a potem już spokojnie umrzemy...

– Jak myślisz, na którym cmentarzu nas pochowają? – spytała Garbuska.

– A na co ci to pytanie?

– Bo mnie najbardziej podobałby się Père-Lachaise... byłam tam z Agrykolą i jego matką... Co za śliczny widok... wszędzie drzewa... kwiaty... marmury... Czy wiesz, że umarli... mieszkają piękniej niż żywi... i że...

– Co ci jest, siostrzo?... – rzekła Cefiza do Garbuski, która nagle umilkła.

– Czuję zawrót głowy... zaczynają mnie boleć skronie.. – odparła Garbuska. – A ty, jak się czujesz?

– I mnie zaczyna trochę kręcić się w głowie; to dziwne, u mnie postępuje to wolniej niż u ciebie.

Było to zrozumiałe; choć mocno osłabiona troskami i nędzą, Bachantka, będąc silniejszej budowy, naturalnie później niż słabowita, delikatna Garbuska musiała poczuć skutki zaczadzenia.

Po chwili Cefiza, kładąc rękę na czole Garbuski, której głowa oparta była na jej kolanach, odezwała się:

– Nie odpowiadasz, moja siostrzo... jesteś chora, prawda?

– Nie – rzekła Garbuska słabym głosem – powieki ciężą mi jak ołów... słabnę coraz bardziej... widzę... że mówię coraz wolniej... ale nie czuję jeszcze niczego. Sądzisz, że Agrykola bardzo będzie mnie żałował... i długo będzie o mnie myślał? Szczęściem, umieram z preko-

naniem, że nigdy nie będzie mnie potrzebował; ożenił się z bardzo piękną, miłą dziewczyną; kochają się nawzajem... jestem pewna... że będą szczęśliwi.

Głos jej słabnął coraz bardziej... Nagle wzdrygnęła się i szepnęła:

– Siostró... uściśnij mnie mocno... Och! Boję się... widzę... wszystko... ciemnoblękitne... wszystko się ze mną kręci...

Kiedy Cefiza lekko uściśnęła siostrę, chcąc wstać, ta przytrzymała ją.

– Jak ty cierpisz, biedactwo... – zadrżała Cefiza.

– Och! Tak... w tej chwili... mocno cierpię... Nie odchodź ode mnie... Proszę cię... zostań ze mną...

– A ja... nic... jeszcze nic... – mówiła do siebie Cefiza, rzucając rozdrażnionym wzrokiem na fajerkę... – Ach... może... jednak – dodała ze złośliwą radością – zaczynam się dusić i... zdaje mi się... że moja głowa... rozłupie się...

Zamilkły, zabójczy gaz wypełnił izbę i odurzył nieszczęsne. Nagle Garbuska poruszyła się konwulsyjnie, ledwie wydobywając z siebie słowa:

– Agrykolo... panno de Cardoville... Och! Żegnam was... Agrykolo... żegnam...

Jej łagodna twarz nie była bledsza niż zwykle, tylko przymknięte oczy już nie widziały; półśmiech, pełen smutku i dobroci błakał się jeszcze przez chwilę na fiołkowych ustach; wydających jeszcze słaby oddech... potem usta jej zdrętwiały.

– Ale ty nie powinnaś umierać przede mną... – przeraźliwie zawołała Cefiza, okrywając pocałunkami stygnącą twarz Garbuski.

– Siostró... moja kochana... Zaczekaj na mnie... zaczekaj...

Garbuska nie odpowiedziała; jej głowa opadła na siennik.

– Mój Boże! Przysięgam ci... to nie moja wina, że nie umieramy razem!... – zawołała z rozpaczą Cefiza, klęcząc przed posłaniem, na którym leżała wyciągnięta Garbuska. – Umarła! – mówiła przerażona – Umarła... wcześniej niż ja... Siostró – dodała obejmując szyję Garbuski – Ale i ja... idę razem z tobą...

Nagle na schodach rozległy się czyjeś kroki. Cefiza miała jeszcze tyle przytomności, że usłyszała szelest i głosy. Nie przestając klęczyć nad ciałem siostry, podniosła głowę. Szelest zbliżał się coraz bardziej; niebawem ktoś zawołał, tuż za drzwiami:

– Wielki Boże! Jaki śwąd!...

I w tej chwili drzwi zachwiały się w zawiasach, a tymczasem ktoś inny wołał:

– Otwórz!... Otwórz!...

– Wejdą... uratują mnie... a moja siostra umarła!... Och! Nie... nie będę tak podła, żeby ją przeżyć.

Była to jej ostatnia myśl. Zebrawszy resztkę sił podbiegła do okna, otworzyła je... i w chwili, kiedy czyjaś silna ręka otwierała drzwi, nieszczęsna dziewczyna rzuciła się na podwórko z wysokości drugiego piętra. W tej chwili na progu pokazali się Adrianna i Agrykolo. Nie zważając na duszący zapach, panna de Cardoville wpadła do izby i zobaczywszy fajerkę zawołała:

– Biedaczka!... Zabiła się!...

– Nie... Wyskoczyła oknem – zawołał Agrykolo, gdyż, kiedy się drzwi łamały, widział postać ludzką ginącą za oknem.

Lecz nie rozumiejąc przyczyny przerażenia Agrykoli, Adrianna która spostrzegła w ciemności Garbuskę, odpowiedziała:

– Nie... jest tutaj...

I wskazała na bladą twarz leżącą na sienniku Garbuski, przy której padła na kolana. Chwyciwszy za rękę biedną wyrobnicę, wyczuła, że były już zimne... Prędko przyłożywszy rękę do serca nie poczuła już jego bicia... Jednak po chwili, gdy do izdebki weszło nieco świeżego powietrza, zdawało się Adriannie, że czuje słabe uderzenia serca. Zawołała więc:

– Jej serce bije, prędko, ratunku, panie Agrykolo, biegnij po pomoc, po doktora... Szczęściem... mam flakonik ze spirytusem.

– Tak... tak... ratunku dla niej i dla tamtej... jeżeli jest jeszcze czas – rzekł zrozpaczony kowal i pobiegł ku schodom, zostawiając pannę Cardoville klęczącą przed posłaniem, na którym leżała już prawie martwa Garbuska.

## ROZDZIAŁ III

### WYZNANIE

Żywe wzruszenie okryło rumieńcem twarz panny de Cardoville, zmizerniała ze zmartwienia. Po chwili Garbuska odzyskała przytomność.

\* \* \*

Od opisanego wcześniej zdarzenia w teatrze przy Bramie Św. Marcina, kiedy Dżalma z narażeniem życia rzucił się na czarnego rysia tuż przed oczyma panny de Cardoville, młoda arystokratka doświadczyła wielu, głęboko przejmujących trosk. Zapominając o zazdrości i upokorzeniu na widok Dżalmy, afiszującego się publicznie z godną pogardy kobietą, Adrianna, zafascynowana na chwilę bohaterskim postępkim księcia, pomyślała:

– Mimo najgorszych pozorów Dżalma kocha mnie jeszcze, kiedy odważył się narazić prawie na śmierć, żeby uratować mój bukiet.

A jednak czuła zazdrość wobec rywalki, tym boleśniejszą, tym bardziej upokarzającą, że rywalka ta żadną miarą nie mogła się z nią równać.

Wcześniej tego samego dnia, kiedy Adrianna, dowiedziawszy się wreszcie o miejscu zamieszkania Garbuski, postanowiła pójść do niej, Agrykola Baudoin, znajdujący się wówczas w pałacu Cardoville, aby pomówić o sprawach pana Hardy'ego, prosił ją, aby pozwoliła sobie towarzyszyć na ulicę Klodoweusza, gdzie udali się razem. Przybyli w samą porę dzięki przytomności Adrianny i jej zręcznemu podstępowi, wyrobnica dała się przekonać, że Cefiza została przeniesiona do najbliższego ambulansu, gdzie udzielono jej pomocy i jak się zdawało, nie tracono nadziei, że wyzdrowieje.

Garbuska powoli przychodziła do siebie; nie od razu wszystko rozumiała, co do niej mówiono, dlatego i tę bajkę przyjęła bez najmniejszego podejrzenia, nie wiedząc także, że w towarzystwie panny Cardoville jest również Agrykola.

– To pani Cefiza i ja zawdzięczamy życie – odezwała się, zwróciwszy się do Adrianny. – Pani, klęczącej przy tym łożu nędzy, na którym obie z siostrą chciałyśmy umrzeć... bo Cefizę... jak mnie pani zapewnia... również uratowano?

– Tak, bądź spokojna, moja droga, dopiero co powiedziano mi, że odzyskała przytomność. Lecz powiedz mi – dodała panna Cardoville – nim powzięłaś ten rozpaczliwy krok, pisałaś do mnie, prawda?

– Tak, pani.

– Niestety! – rzekła ze smutkiem Adrianna. – Nie otrzymawszy odpowiedzi, sądziłaś pewno, że o tobie zapomniałam... że okazałam się okrutnie niewdzięczna wobec ciebie?

– Sądziłam, że słusznie obraziła się pani z powodu mojego nagłego zniknięcia.

– Ja... obrazić się!... Niestety! Twojego listu... po prostu nie otrzymałam...

– A przecież pani wie, że pisałam?

– Tak, wiem nawet i o tym, że pisałaś go u mego dozorca; nieszczęściem, oddał on list jednej z moich służących, Florynie, mówiąc, że list był od ciebie.

– Florynie? Tej pannie, niegdyś dla mnie tak dobrej?

– Floryna zdradziła mnie niegodziwie; zaprzedałszy się moim wrogom, służyła im za szpiega. Ale umarła, ona także... taka młoda... taka piękna!... Mimo błędu, jej śmierć głęboko mną wstrząsnęła; bowiem z żalem wyznała swoje błędy; dzięki jej wyznaniu przekonałam się,

jak słuszny był twój wstręt do tego nędznika, którego ja ciągle broniłam przed twoimi podejrzeniami.

– Rodin... – rzekła Garbuska, wzdrygnąwszy się.

– Tak, on – odpowiedziała Adrianna – ale nie mówmy teraz o tych ludziach... Myśl o nich zepsułaby mi radość oglądania ciebie... chwała Bogu, coraz lepiej z tobą... głos twój już jest silniejszy a lica zaczynają się rumienić. Bogu dzięki, jestem szczęśliwa, że cię znalazłam!... Tyle ci chcę powiedzieć!

– A czym mogłam sobie zasłużyć na takie zaufanie? – zapytała zdziwiona Garbuska.

– Delikatność twojego serca, prawość twego charakteru – odpowiedziała Adrianna, dodając z wahaniem... – Zresztą, jesteś kobietą... – i jestem pewna, że lepiej niż ktokolwiek inny pojdziesz, co cierpię i będziesz mi współczuć.

– Współczuć, pani? – spytała Garbuska, której zdziwienie jeszcze wzrosło – Pani... która jesteś tak wielką damą i której wszyscy zazdroszczą... ja, tak niewiele znacząca, mam pani współczuć?

– Powiedz raczej, kochana przyjaciółko – rzekła Adrianna po krótkim milczeniu – najdotkliwsze są te udreki, których nie śmiemy nikomu wyjawić z obawy, aby nie szydzono lub nie pogardzano nami... Jak bowiem można żądać, aby się nami zajmowano lub żałowano w cierpieniach, których same przed sobą nie śmiemy wyznać, gdyż same przed sobą rumienimy się za nie.

– Och! Tak, pani, to straszna rzecz, takie zmartwienie, za które człowiek musi się wstydić!...

Myśl, że panna Cardoville wie o jej miłości do Agrykoli, zrazu przykra, wkrótce zamieniła się w sercu Garbuski, dzięki szlachetnemu instynktowi tej dobrej istoty, w tkliwy żal, który dowodził jej przywiązania, uwielbienia wobec Adrianny.

– Może – myślała – pokonana wpływem, jaki wywiera na mnie serdeczność mojej dobrodziejki, złożę jej wyznanie, którego bym nikomu nie uczyniła, wyznanie, o którym sądziłam niedawno, że je z sobą poniosę do grobu... byłby to przynajmniej dowód mojej wdzięczności dla panny Cardoville. Nie mogę jednak tego zrobić... Zresztą, chociaż cenię sobie jej przywiązanie, ona nigdy nie zdoła pojąć całej okropności położenia takiej istoty jak ja, ukrywającej na samym dnie serca miłość tak pełną rozpacz i śmieszność. Nie... nie... i mimo jej delikatności, żalując mnie mimo woli będzie razić mnie, bo tylko cierpiący sami mogą się pocieszać... Niestety! Czemu nie dała mi umrzeć?

– Drogie dziecko – rzekła Adrianna ze smutkiem – jeżeli wybieram tę właśnie chwilę do przykrego dla mnie zwierzenia... robię to dlatego, że spodziewam się, iż kiedy mnie wysłuchasz, przywiążesz się tym bardziej do życia, gdy dowiesz się, jak bardzo potrzebne jest mi twoje przywiązanie... twoja pociecha...

Na te słowa Garbuska usiłowała się podnieść, w końcu usiadła, podparłszy się ręką i spojrzała zdziwiona na pannę Cardoville.

– Moja opiekunka – myślała – uczyniła przykre dla siebie wyznanie, prosi mnie o pocieszenie, mnie... biedną istotę...

– Kocham... – mówiła Adrianna z wybuchem długo tłumionego żalu – kocham... a nie jestem kochana... Moja miłość jest godna politowania... pożera mnie... zabija... a ja nie śmiem nikomu powierzyć tej nieszczęsnej tajemnicy.

– Podobnie jak ja... – powtórzyła Garbuska, wlepiwszy oczy w Adriannę.

Pomyślała przy tym:

– Ona... królowa... mimo swojej piękności, bogactwa i rozumu... cierpi równie jak ja... I podobnie jak ja, jest nieszczęśliwa... kocha... ale nie jest kochana...

– Tak... podobnie jak ty... kocham... ale nie jestem kochana... – zawołała panna Cardoville.

– Czyż więc nie miałam racji, że tylko tobie będę się mogła zwierzyć?... Bo wycierpiawszy podobne udreki, ty jedna potrafisz je zrozumieć.

– Pani, wzgardzona?... Ach! Nie mogę w to uwierzyć! – zawołała Garbuska.

– W to, co ty ledwie mogłaś powierzyć swemu dziennikowi, prawda? A więc dobrze, dowiedz się o wszystkim... Floryna wyznała mi przed śmiercią swoją podłość. Wykrała twoje papiery co prawda zmuszona do tego przez ludzi, którym musiała być posłuszna... ale przeczytała twój dziennik... A ponieważ nie wygasły w niej jeszcze prawdziwe uczucia, to co przeczytała a w czym malowała się twoja przedziwna rezygnacja, twoja smutna, czysta miłość, wszystko to wstrząsnęło nią tak mocno, iż jeszcze na łożu śmierci potrafiła przytoczyć mi niektóre fragmenty; tym sposobem wyjaśniła mi przyczynę twego nagłego zniknięcia; sądziła bowiem, że obawa przed rozgłoszeniem twej miłości do Agrykoli była przyczyną twego odejścia.

– Pani, to mnie przeraża...

– Uspokój się, dziecko; widzisz, jak broń złych ludzi zwraca się często przeciwko nim samym, gdyż, kiedy dowiedziałam się o przyczynie twego zniknięcia, jeszcze mocniej cię pokochałam. Usiłowałam wszelkimi sposobami odnaleźć cię; w końcu, po długich poszukiwaniach, właśnie dziś rano osoba, którą zobowiązałam, aby cię odszukała, dowiedziała się, że mieszkasz tutaj. Pan Agrykola był właśnie u mnie i prosił, aby mógł udać się ze mną.

– Agrykola! – zawołała Garbuska, składając ręce – przyszedł...

– Tak, moja droga, uspokój się... Kiedy udzielałam ci pierwszej pomocy... on tymczasem zajął się twoją siostrą... wkrótce go zobaczysz. Mówię ci tylko, że nie powinnaś chcieć umierać, gdyż ludzie, którzy cię kochają i których ty kochasz, jeszcze cię potrzebują.

– Sądziłam, że jest pani szczęśliwa. Agrykola ożenił się z dziewczyną, którą kocha i która, jak się spodziewam, uszczęśliwi go. Komu więc mogłam być potrzebna?

– Przede wszystkim mnie, wiedz o tym... A potem, kto ci powiedział, że Agrykola nie będzie cię potrzebował? Kto ci zapewnił, że jego szczęście lub jego rodziny będzie trwało zawsze i nie dozna żadnych niepowodzeń? A nawet i wtedy, gdyby wszyscy, co cię kochają, mieli być ciągle szczęśliwi, czy ich szczęście byłoby pełne bez ciebie? A twoja śmierć, którą by może sobie wyrzucali, czy nie pozostawiłaby wiecznego żalu po tobie?

– To prawda... – przytaknęła Garbuska.

– Biedne dziecko! Jak sama mówisz, opanował cię jakiś szal. Dlatego nie śmiem ci wyrzucić, że na chwilę we mnie zwątpiłaś. Bo jak mogłabym cię ganić? Czyż sama nie miałam myśli o odebraniu sobie życia?

– Czy to możliwe?... Pani? – zawołała Garbuska.

– Tak... myślałam o tym... gdy przyszli mi powiedzieć, że konająca Floryna życzy sobie mówić ze mną... wysłuchałam jej; jej wyznania zmieniły moje postanowienie; ponure, niezdolne dla mnie życie, nagle się rozjaśniło. Poczucie obowiązku dodało mi nowych sił, wy dobyłam się z odretwienia; przy pomocy księdza Gabriela, nieoszacowanego księdza... prawdziwego ideału chrześcijanina... odważnie podjęłam walkę.

Kiedy Adrianna kończyła opowiadanie, dały się słyszeć szybkie kroki po schodach i odezwał się młody, świeży głos:

– Ach! Mój Boże! Biedna Garbuska!... Przychodzę w samą porę! Gdybym przynajmniej mogła w czymś pomóc!

I za chwilę do pokoju weszła Róża-Pompon. Wkrótce też wrócił Agrykola i wskazując otwarte okno, usiłował dać Adriannie do zrozumienia, że nie należy mówić biednej wyrobnicy o nieszczęśliwej śmierci Bachantki. Panna Cardoville nie spostrzegła czy nie rozumiała jego znaków. Omal nie wyskoczyło jej serce, gdy poznała dziewczynę, którą widziała w teatrze razem z Dżalmą, która była przyczyną strasznych udręk, jakie cierpiała od tego nieszczęsnego wieczoru. Jeżeli zdziwienie panny Cardoville było głębokie, nie mniej zdumiała się Róża-Pompon. Nie tylko poznała w Adriannie piękną dziewczynę ze złocistymi włosami, która znajdowała się naprzeciw niej w teatrze, ale miała ważne powody życzyć sobie tego tak nieoczekiwanego spotkania; niepodobna też pominąć złośliwy, triumfujący wzrok, jaki niby od niechcenia rzuciła na Adriannę. Pierwszą myślą panny Cardoville było wyjść; ale nie tylko

dużo by to ją kosztowało, żeby miała porzucić Garbuskę w tej chwili i tłumaczyć się przed Agrykolą, jaki jest powód tego nagłego odejścia, lecz dodatkowo zatrzymała ją trudna do pojęcia, mimowolna ciekawość, pomimo obrażonej dumy i gniewu. Została więc.



## ROZDZIAŁ IV

### RYWALKI

Łatwo sobie wyobrazić zdziwienie i pomieszanie panny Cardoville, gdy Róża-Pompon wesołym i swobodnym tonem zwrócił się do niej:

– Cieszę się, że panią tu zastaję; musimy porozmawiać z sobą... Chcę tylko wprzód ucałować Garbuskę, jeśli pani pozwoli. Agrykola, nie zwracając uwagi na tupet gryzetki, szepnął Adriannie:

– Niestety, pani... już po niej... Cefiza wydała ostatnie tchnienie... nie odzyskawszy przytomności.

– Biedna dziewczyna! – rzekła Adrianna z rozrzewnieniem, zapominając na chwilę o Róży-Pompon.

– Trzeba ukryć tę wiadomość przed Garbuską, a dopiero potem, powoli, ostrożnie, zawiadomić ją – rzekł Agrykola. – Szczęście, że tamta nic o tym nie wie.

Tu wskazał wzrokiem na Różę-Pompon, siedzącą w kucki przy Garbusce.

– Ach! Garbusko – mówiła prędko i z uczuciem, a jej piękne oczy zaszklily się łzami – czy to możliwe, żebyś miała popełnić takie głupstwo?... Alboż to biedni ludzie nie pomagają sobie?... Nie mogłaś przyjść do mnie?... Wiedziałaś przecież, że co moje, to i twoje...

– Wiem, że jesteś litościwa – rzekła Garbuska, która wiedziała od siostry, że Róża-Pompon, jak tyle podobnych jej kobiet, miała dobre serce.

A Róża-Pompon zrobiła nadętą minę i ciągnęła dalej:

– Bądźcie spokojne. Niech tylko znajdę się w lepszym stanie, a zaraz poczują to moje mniej szczęśliwe przyjaciółki; bo też pięknie byłoby zachować szczęście tylko dla siebie! Pozwól więc jeszcze raz ucałować cię serdecznie... i nie martw się już... Cefiza niech też się nie martwi... rozumiesz?... Jestem teraz z wami.

I serdecznie uściskała Garbuskę.

A więc takie było to stworzenie, dla którego poświęcił ją Dżalma?

Jeżeli pierwsze uczucia Adrianny na widok Róży-Pompon były dość przykre, zastanowienie jednak nasunęło jej pewne wątpliwości, które rychło zamieniły się w miłą nadzieję. Powątpiewanie Adrianny co do gorącej miłości księcia dla takiej Róży-Pompon przemieniło się w pewność, w zupełne niedowierzanie; obdarzona przenikliwym umysłem i zbyt wielką przezornością, zaczęła domyślać się, że te pozorne związki, tak niepojęte ze strony księcia, musiały ukrywać w sobie jakąś tajemnicę; zastanowiwszy się nad tym, poczuła odradzającą się nadzieję. W miarę, jak ta błoga myśl rosła w umyśle Adrianny, w jej sercu zaczynała budzić się jakaś tęsknota...

Róża-Pompon, raz jeszcze ucałowawszy Garbuskę, wstała i zwracając się do Adrianny, którą zmierzyła zuchwale od stóp do głowy, rzekła natrętnie:

– Teraz, pani, możemy porozmawiać.

– Służę pani – odpowiedziała Adrianna z szlachetną prostotą.

Na widok triumfującej miny Róży-Pompon, słysząc jej odezwanie się do panny Cardoville, Agrykola, powiedziawszy kilka ciepłych słów Garbusce, nadstawił ucha i na chwilę osłupiał, słysząc bezczelność gryzetki, potem podszedł do niej i rzekł po cichu:

– Czyś ty zwariowała? Czy wiesz, z kim mówisz?...

Adrianna obawiając się jakiejś krepującej wzmianki o Dżalmie w obecności Agrykoli, dała mu znak i odpowiedziała gryzette:

– Gotowa jestem wysłuchać panią, ale nie tutaj... Rozumie pani, dlaczego...

– Słusznie... mam przy sobie klucz... jeżeli pani chce... przejdźmy do mnie...

To: do mnie wymówione było chełpliwym tonem.

– Chodźmy więc, kiedy chce pani zrobić mi zaszczyt przyjęcia mnie u siebie... – odparła panna de Cardoville miłym głosem, lekko się skłoniwszy, tonem tak uprzejmym, iż Róża-Pompon, mimo swojej rubaszości, nie wiedziała, jak się ma zachować.

– Proszę wybaczyć, że pójde naprzód, żeby pokazać pani drogę, bo też w tym baraku można kark skrócić – powiedziała, przyciskając łokcie do ciała i przygryzając usta, aby pokazać, że też umie pięknie mówić.

I dwie rywalki wyszły z poddasza, gdzie pozostali Agrykola z Garbuską.

Po paru chwilach gryzетка z panną de Cardoville znalazły się w „apartamentach” Filemona. Osobliwe to mieszkanie znajdowało się w tym samym malowniczym nieładzie, w jakim Róża-Pompon zostawiła je, gdy Nini-Moulin zabrał ją i zawiózł na miejsce tajemniczego spotkania. Róża-Pompon mimo swej śmiałości, doznała silnego, niespokojnego wrażenia od chwili, kiedy znalazła się sam na sam z panną de Cardoville; po pierwsze rzadka piękność młodej arystokratki, jej zachowanie, uprzejmy i godny zarazem sposób, jakim odpowiedziała na rubaszne wyzwanie gryzетки, zaczynały jej imponować; nadto Róża-Pompon, dobra zresztą dziewczyna, wzruszyła się bardzo, gdy usłyszała pannę de Cardoville, nazywającą Garbuskę swoją siostrą, swoją przyjaciółką. Mimo to jednak, nie chcąc okazać, że ulega z krzywdą miłości własnej, usiłowała zachować swój ton i zamknąwszy drzwi na rygiel zwróciła się do Adrianny:

– Proszę usiąść.

Panna de Cardoville wzięła od niechcienia krzesło, tymczasem Róża-Pompon, pragnąc okazać swą gościnność, zawołała:

– Nie bierz pani tego krzesła; brakuje mu nogi.

Adrianna sięgnęła po inne.

– I tego niech pani nie rusza, bo poręcz się nie trzyma – znowu zawołała Róża-Pompon.

Mówiła prawdę, gdyż poręcz krzesła została w ręku panny de Cardoville, która ją ostrożnie położyła na krześle, mówiąc:

– Sądzę, że równie swobodnie będziemy mogły porozmawiać stojąc.

– Jak się pani podoba – odpowiedziała Róża-Pompon, podpierając się pod boki, chcąc tym ukryć zmieszanie.

I zaczęły rozmowę...

## ROZDZIAŁ V

### ROZMOWA

Po krótkim namyśle Róża-Pompon odezwała się do Adrianny:

– Powiem pani od razu, co mam na sercu: nie byłabym pewnie pani szukała; lecz kiedy ją spotkałam, rzecz naturalna, że skorzystam ze sposobności.

– Ależ, pani – rzekła Adrianna łagodnie. – Czy mogłabym przynajmniej poznać temat rozmowy, którą mamy prowadzić?

– Tak, moja pani – rzekła Róża-Pompon – najpierw proszę nie sądzić, że jestem biedna albo nieszczęśliwa i chcę pani urządzać sceny zazdrości, jako osoba wzgardzona... Niedoczekanie pani... Dzięki Bogu, nie mogę skarżyć się na pięknego księcia (tak go przezwałam); przeciwnie, bardzo mnie uszczęśliwił; jeżeli go opuściłam, to wbrew jego woli; tak mi się podobało.

Mówiąc to, mimo udawanego spokoju, mając wielki ciężar na sercu, głośno westchnęła.

– Tak, pani – ciągnęła dalej – porzuciłam go, bo mi się tak podobało, mimo że szalenie się we mnie rozkochał, tak dalece nawet, iż gdybym chciała, to by się ze mną ożenił; tak, ożeniłby się... tym gorzej, jeżeli to, co mówię, martwi panią... chociaż kiedy pierwszy raz panią zobaczyłam, chciałam jej oczy wydrapać... Ale gdy przed chwilą widziałam panią, tak dobrą dla biednej Garbuski, doznałam czegoś takiego... Na koniec, powiem jasno: nienawidzę pani i zasługuje pani na to... – dodała, tupiąc nogą.

To, co Adrianna usłyszała, powinno było zadowolić ją zupełnie. Zgodnie z tym, co nazywają przyjętym zwyczajem, będąc już pewna, że serce Dżalmy nie przestawało bić dla niej, zapewne mało powinna dbać o to, czy książę, w uniesieniu gorącej młodości, uległ chwilowej, przemijającej słabości dla tej istoty. Ale Adrianna miała inne serce... Nie pojmowała rozłączenia duszy i ciała; jej młoda, czysta i namiętna miłość była niezmiernie surowa w wymaganiach, wymaganiach tak słusznych w obliczu natury, jak śmiesznych i niedorzecznych w oczach ludzi.

Została więc zaspokojona tylko w połowie... chociaż ze słów Róży-Pompon i jej obrażonej miłości mogła już przekonać się, że Dżalma nigdy nie czuł do gryzетки najmniejszego przywiązania.

Żale Róży-Pompon, smutne i zabawne jednocześnie, nie zgadzały się z tym, co poprzednio powiedziała o szalonej miłości Dżalmy; ale Adrianna, bynajmniej nie wytykając tych sprzeczności, rzekła łagodnie:

– Mylisz się, pani, jak mi się zdaje, gdy sądzisz, że to ja jestem przyczyną jej zmartwienia; ale w każdym razie szczerze żałowałabym, gdyby ktokolwiek źle się z panią obchodził.

– Mylisz się, pani, jeżeli sądzisz, że mnie ktoś bił – zawołała Róża-Pompon – Och! Jeszcze by też!... Nie, to zupełnie co innego...ale...jestem pewna, że gdyby nie pani, przyszłoby do tego, iż piękny książę pokochałby mnie trochę... bądź co bądź, warta jestem tego. A potem... między kochankiem a... kochankiem jest różnica... ja nie jestem wymagająca; ale nawet ani tego... – i Róża-Pompon przygryzła różowy paznokieć swego palca. – Ach! Kiedy Nini-Moulin przyszedł po mnie, przynosząc klejnoty i koronki, aby mnie skłonić do pójścia z nim, słusznie mówił, że na nic mnie nie naraża...

– Nini-Moulin? – zapytała panna de Cardoville, coraz bardziej zaciekawiona – Kto to jest Nini-Moulin?

– Taki moralny pisarz... – odpowiedziała nadąsana Róża-Pompon – wydusza pieniądze od starych bigotów; niby za pisanie o moralności... Piękna ta jego moralność!...

Słowa: moralny pisarz bigotów naprowadziły Adriannę na ślad nowego spisku Rodina lub księdza d'Aigrigny, spisku, którego ona i Dżalma o mało nie padli znów ofiarą; zaczynała odgadywać prawdę i spytała:

– Ależ, pani, pod jakim pozorem ten człowiek uprowadził cię stąd?

– Przyszedł po mnie, mówiąc, że nie mam się czego bać, że idzie tylko o to, abym się bawiła, abym była wesoła, miła; wtedy pomyślałam sobie: Filemon daleko, nudzę się tu sama, to będzie coś zabawnego, co na tym stracę?... Och! Nie wiedziałam, na co się narażałam – dodała z westchnieniem. – I oto Nini-Moulin wiezie mnie pięknym powozem; zatrzymujemy się na Placu Palais-Royal; ponury mężczyzna o żółtej cerze siada przy mnie na miejscu Nini-Moulina i prowadzi mnie potem do ładnego księcia. Gdy go ujrzałam... Ach! Jaki piękny, ale to taki piękny, iż nie wiedziałam, co mam powiedzieć, a przy tym miał taką miłą, dobrą twarz... Zaraz więc pomyślałam sobie: właśnie też potrafisz tu pozostać cnotliwą... Nie spodziewałam się, że tak będzie... pozostałam cnotliwą... niestety!

– Jak to, żałuje pani tego, że pozostałaś cnotliwą?...

– Albo ja wiem, dlaczego piękny książę trzymał mnie u siebie? Dlaczego zabierał mnie w powozie na spacer i na widowiska? Ha!... Może to należy do dobrego tonu w jego kraju, mieć zawsze przy sobie ładną dziewczynę, po to, aby nie zwracać na nią najmniejszej uwagi...

– Więc dlaczego pani pozostała w tym domu?

– Ach, mój Boże!... Pozostałam – rzekła Róża-Pompon, znowu tupiąc nogą ze złości – pozostałam, bo, nie wiedząc, jak to się stało, mimo woli zaczęłam kochać księcia, a co dziwniejsze, ja, co jestem wesoła jak zięba... kochałam go, bo był smutny, i naprawdę szczerze go kochałam. Wreszcie pewnego dnia, nie mogąc już wytrzymać... rzekłam sobie: niech się dzieje co chce, Filemon zapewne nie będzie mi wierny, jestem tego pewna...

Potem, pomilczawszy chwilę, dodała:

– Ale... nie... nie powiem pani tego... byłabyś zbyt zadowolona...

Wreszcie, po dłuższej przerwie, ciągnęła dalej, patrząc na pannę de Cardoville z rozculeniem i szacunkiem.

– Dobrze, a więc... na złość, powiem pani, bo na co milczeć, powiem o wszystkim!... Zaczęłam mówić z panią, udając, że książę chce się ze mną żenić, a kończę, mimowolnie, wyznaniem, że niemal wypędził mnie od siebie. Ale doprawdy nie moja w tym wina; pomiesza mi się zawsze, kiedy chcę skłamać... Posłuchaj więc, pani, oto szczerza prawda: Kiedy spotkałam panią u biednej Garbuski, z początku rozgniewałam się jak indyczka... lecz kiedy usłyszałam panią, taką piękną, tak wielką damę, jak mówiłaś do tej biednej wyrobnicy jak do swej siostry, daremnie się srożyłam, gniew mnie opuścił... Mówię to nie tylko z powodu tego tygrysa, którego zabił dla ciebie w cyrku... ale od tego czasu, gdybyś pani wiedziała, mój Boże, o wszystkich głupstwach, jakie on wyrabiał z pani bukietem; a potem, wszystkie noce przepędzał nie kładąc się, często płakał w salonie, gdzie, jak mi opowiadano, pierwszy raz panią zobaczył... wie pani.. przy oranżerii – A pani portret, który zrobił z pamięci na zwierciadle, i wiele innych rzeczy. Na koniec ja, która go kochałam i która to wszystko widziałam, z początku strasznie się złościłam, a potem było to dla mnie tak rozczulające, że nie mogłam wstrzymać się od łez... O, tak... tak... uważaj tylko pani... jak teraz, choć nic nie widzę, tylko myślę o biednym księciu. Ach, pani... masz tak łagodną minę, tak dobrą, nie czyni go więc nieszczęśliwym, kochaj go choć troszkę, tego biednego księcia... Bo cóż by to pani szkodziło, gdybyś go pokochała?

Nie wiem, co Adrianna chciała odpowiedzieć na tę nieoczekiwaną prośbę Róży-Pompon, gdyż nagle odezwał się na schodach przeraźliwy, skrzeczący głos, jak należało sądzić, chcący naśladować koguta.

Adrianna wzdrygnęła się ze strachu, niebawem jednak twarz Róży-Pompon, dopiero co pełna żalu, wzruszona litością, teraz zajaśniała radością i dziewczyna, poznawszy hasło, zawołała klaszcząc w ręce:

– To Filemon! Ach, ten wariat, jaki on zawsze zabawny; Wiecznie go się trzymają żarty, a mnie to zawsze bawi!

I otarła ostatnią łzę, śmiejąc się do rozpuku z żarcików Filemona, które wydawały jej się zawsze świeże, zabawne, chociaż wszystkie już znała.

Nie chcąc przedłużać kłopotliwej i śmiesznej sytuacji, Adrianna podeszła do drzwi i otworzyła je ku zdumieniu Filemona, który ujrawszy ją, cofnął się o parę kroków.

Filemon, tęgi zuch, wysoki brunet, wracający z podróży, miał na głowie biały baskijski kaszkiet; czarna, wielka broda spadała mu falisto na jasnoniebieską kamizelkę; inne rzeczy, które rozbawiły Adriannę, były to: waliza, z której wyglądały nogi i głowa gęsi oraz ogromny biały królik, żywy, w klatce, którą trzymał w ręku.

– Ach, biały królik, jakie ma piękne, czerwone oczy!

Kiedy Róża-Pompon, klęcząc przed klatką, unosiła się nad królikiem, Filemon uderzony widokiem wspaniałej postaci panny de Cardoville, zdjawszy kaszkiet, uklonił się z uszanowaniem. Adrianna odkłoniwszy mu się grzecznie zeszła po schodach i znikła. Filemon, zdziwiony zarówno jej urodą jak szlachetną miną i pełną godności postawą, a nade wszystko ciekawy, skądi u licha, Róża-Pompon miała podobne znajomości, zapytał:

– Kochany kotku swego Mon-mona (Filemona), kim była ta piękna dama?

– To moja przyjaciółka, jeszcze z pensji... wielki satyrze rzekła niedbale Róża-Pompon, drażniąc jednocześnie królika.

Potem rzuciwszy okiem na skrzynkę, którą Filemon postawił przy klatce, dodała:

– Założyłabym się, że znów przywozisz mi powidła z winogron...

– Mon-mon przywozi coś lepszego niż powidła swemu kochanemu kotkowi – rzekł student i wycisnął dwa głośnie całusy na rumianych policzkach Róży-Pompon, która wreszcie wstała

– Mon-mon przywozi swoje serce.

– Znam je – rzekła gryzетка, delikatnie kładąc palec na końcu różowego noska i lekko pogroziła mu.

## ROZDZIAŁ VI

### POCIECHA

Zaraz po wyjściu Adrianny Agrykolo ukląkł przy posłaniu Garbuski i rzekł ze wzruszeniem:

– Jesteśmy sami... mogę więc wyznać ci szczerze, co mam na sercu. Zastanów się nad tym, co zrobiłaś... to straszne... umierać z nędzy... z rozpaczy... i nie wezwać mnie, nie dać znaku życia...

– Agrykolo!... Posłuchaj...

– Nie... nie ma dla ciebie usprawiedliwienia... Mój Boże... po cóż nazywać się bratem i siostrą, po co dawać sobie przez piętnaście lat najszczerze dowody przywiązania, a potem, w nieszczęściu chcieć umrzeć, nie myśląc o tych, których się zostawia... i nie myśląc, że odbierać sobie życie to to samo, co powiedzieć im: jesteście niczym dla mnie?

I zwróciwszy się do Garbuski, która patrzyła nań z córa większym zdziwieniem, rzekł wzruszony:

– Jestem zbyt otwarty; trudno znieść takie postępowanie; robię ci wyrzuty, przyganiam... a sam nie jestem taki, jak mówię.

– Nie rozumiem...

– Serce mi się kraje, gdy pomyślę, ile złego ci wyrządziłem. Nie?... Przecież to prawda... gdy na przykład, powodując się nieszczęsnym przyzwyczajeniem jeszcze z czasów dzieciństwa, ja, który cię kochałem, szanowałem jak siostrę, obrażałem cię po sto razy na dzień... dając ci tak obraźliwe przezwisko... zamiast nazywać cię twoim własnym imieniem?

Garbuska spojrzała na kowala z przerażeniem, bojąc się, czy nie dowiedział się o jej nieszczęsnej tajemnicy.

– Albo moja matka... czy nie chodziła do ciebie radzić się w sprawie mego ożenku; mówić ci o rzadkiej urodzie mojej narzeczonej, prosić cię, abyś zobaczyła tę dziewczynę, abyś zbadła jej charakter, w nadziei, że twój instynkt ostrzegłby cię... gdybym dokonał niewłaściwego wyboru? Powiedz, czy moja matka była tak okrutna? Nie... to ja dręczyłem twoje serce.

Tu znowu obudziła się obawa Garbuski; niewątpliwie Agrykolo wie o jej tajemnicy. O mało nie umarła ze wstydu; jednak oddalając od siebie przeświadczenie o tym, mówiła słabym głosem:

– Rzeczywiście... Agrykolo... nie twoja matka prosiła mnie o to... to ty... i... byłem ci wdzięczna za ten dowód zaufania...

– Ty... byłaś mi wdzięczna... biedna dziewczyno – zawołał kowal, wyraźnie wzruszony – nie... to nieprawda; bo ja naraziłem cię bardzo... byłem bezduszny... nie zdając sobie sprawy... mój Boże!

– O! Boże!... – jęknęła dziewczyna, zakrywając rękami twarz – Wiesz o wszystkim!

– Tak... wiem – rzekł kowal z szacunkiem – wiem o wszystkim... i nie chcę, abyś wstydziała się uczucia, które poczytuję sobie za zaszczyt i którym szczyję się; tak, wiem, i powtarzam sobie z radością, z uczuciem dumy, że najlepsze, najszlachetniejsze serce bije dla mnie, należy do mnie... i zawsze będzie do mnie należeć.

Mówił z coraz większym uniesieniem:

– Bądź spokojna, moja kochana Magdaleno, bądź spokojna, będę zawsze godnym twej zaszczytnej miłości; wierz mi, że przyniesie mi ona tyle szczęścia, ile łez kosztowała ciebie... Dlaczego więc ta miłość miałaby być dla ciebie powodem stronienia ode mnie, dlaczego miałabyś się jej wstydzić i obawiać? Czymże jest taka miłość, jaką pojmuje twoje dobre serce? Czyż nie jest bezustannym wyrazem wzajemnego poświęcenia, tkliwości, głębokiego szacunku, wzajemnego zaufania

Im dłużej mówił, tym większej śmiałości nabierała Garbuska... Bała się ponad wszystko wyjawienia swej tajemnicy, w tym sensie, żeby jej nie przyjęto z szyderstwem, pogardą lub upokarzającym politowaniem, a tymczasem przeciwnie, na szczerej twarzy Agrykoli malowały się radość i szczęście; Garbuska wiedziała, że on nie umie udawać, dlatego, już teraz nie wstydząc się, zawołała... również z pewnym rodzajem dumy:

– Mój Boże! Każda szczerą i czystą miłość ma w sobie coś pięknego, dobrego i pocieszającego, że w końcu zawsze znajduje serdeczne przyjęcie, gdy ci, którzy ją poczuli, zdołają wytrzymać pierwsze burze; będzie więc zawsze zaszczytem i dla serc, które były jej przedmiotem... Dziękuję, Agrykolo; dzięki twoim słowom, które podnoszą mnie we własnych oczach, czuję, że zamiast wstydzić się tej miłości, powinnam szcycić się nią... Moja dobrodziejka ma rację... Ty masz rację; dlaczego więc miałabym się wstydzić? Czyż moja miłość nie jest szczerą i prawdziwą? Popatrz... czy moje oczy unikają twoich... przypatrz się tylko, czy kiedyś w życiu wyglądałam na szczęśliwszą... a przecież niedawno chciałam umrzeć.

Od kilku już chwil ta wzruszająca scena miała świadka. Kowal i Garbuska byli tak bardzo przejęci, iż nie spostrzegli Adrianny de Cardoville, stojącej na progu izby.

Adrianna również nie posiadała się z radości: Dżalma pozostał jej wierny, Dżalma kochał tylko ją. Niegodziwe pozory, których była krótkotrwałą ofiarą, były oczywiście nowym spiskiem Rodina i pozostawało tylko dociec celu tych perfidnych knowań.

– Widzisz więc, moja przyjaciółko – rzekła Adrianna – jak to intrygi podłych ludzi wychodzą często na ich własną szkodę. Wreszcie więc jesteśmy znowu razem i szczęśliwsze niż kiedykolwiek, a ta świadomość dodaje nam nowych sił przeciw naszym wrogom.

– Bogu dzięki... – rzekł kowal.

– Pozwól, panie Agrykolo, przypomnieć sobie, że jutro masz się spotkać z panem Hardy'm.

– Nie zapomniałem o tym, jak również o wspaniałej ofierze, jaką jest pani gotowa uczynić dla niego. Jego odpowiedź na mój list, którą udało mu się przesłać po kryjomu, była krótka choć pełna smutku; zgadza się na spotkanie i jestem pewny, że go skłonię... do opuszczenia miejsca jego pobytu, a może i przyprowadzę z sobą; okazywał mi zawsze wielkie zaufanie, wierzył w moją życzliwość dla niego!

– Dobrze, bądź dobrej myśli, panie Agrykolo – rzekła Adrianna, zarzucając swoją salopę na ramiona Garbuski i starannie ją otulając: – Jedźmy, bo już się ściemnia. Jak tylko wrócimy do domu, dam panu list do pana Hardy'ego.

Wkrótce potem młoda wyrobnica, prowadzona przez Agrykolę i Adriannę, zeszła po schodach i wsiadłszy do powozu, usilnie prosiła, aby mogła zobaczyć Cefizę; daremnie Agrykolo odpowiadał, że na razie jest to niemożliwe.

\* \* \*

Dowiedziawszy się od Róży-Pompon, że z ludzi, otaczających księcia Dżalmę, nie można ufać nikomu, Adrianna znalazła pewny sposób przesłania do niego listu jeszcze tego samego wieczora.

## Część szósta

### W PAJĘCZEJ SIECI

#### ROZDZIAŁ I

#### DWA POWOZY

Był wieczór, tego samego dnia, w którym panna de Cardoville przeszkodziła w samobójstwie Garbuski.

Wybiła jedenasta, wiatr dał gwałtownie i pędził grube chmury, które zakrywały blade światło księżyca. Zdyszane konie powoli ciągnęły dorożkę pod ostrą spadziścią ulicy Białej, niedaleko od rogatki, gdzie stał dom, zamieszkały przez księcia Dżalmę.

Powóz zatrzymał się. Woźnica, klnąc pod nosem na tak długi kurs, zbliżył się do owej spadziści, wykręcił na koźle, nachylił się do okna z przodu powozu i odezwał się nadąsany do osoby, którą wiózł:

– Czy to już wreszcie będzie koniec?

– Uważaj na małą furtkę z daszkiem, jak ją zobaczysz, pojedź jeszcze ze dwadzieścia kroków i potem zatrzymaj się... przy murze – odpowiedział niecierpliwie krzykliwy głos, z wyraźnym włoskim akcentem.

– A to ci dopiero, ten diabeł niemiecki będzie mną kręcił, jak jakim głupcem – mruczał pod nosem woźnica.

Po chwili znowu się zatrzymał.

– Już minąłem numer 50, jest furtka z daszkiem – rzekł. – Czy to tutaj?

– Tak, to tutaj... – odezwał się głos z powozu. – Podjedź jeszcze ze dwadzieścia kroków, potem zatrzymasz się. Idź i zapukaj trzy razy do furtki.

– A gdzie to, co miało być na wódkę? – krzyknął woźnica.

– Jak mnie zawiesz na przedmieście Św. Germana, gdzie mieszkam, dostaniesz dobry napiwek.

– A teraz?

– Powiesz człowiekowi, który ci otworzy: Czekają na pana i przyprowadzisz go do powozu.

– Chyba mi go wszyscy diabli nadali – rzekł woźnica – ten diabeł niemiecki ma jakieś szachrajstwa z masonami albo z przemytnikami, bo jesteśmy blisko rogatki... warto by go zaskarżyć za to, że mnie tu sprowadził aż z ulicy Vaugirard.

Zbliżywszy się do furtki, zapukał, jak mu kazano, najpierw trzy razy, potem zaczekał i znów trzy razy. Kiedy otworzyły się drzwi, woźnica ujrzał mężczyznę średniego wzrostu, okrytego płaszczem. Mężczyzna ten wyszedł na ulicę, zamykając za sobą furtkę.

– Czekają na pana – rzekł woźnica – mam zaprowadzić pana do powozu.

I idąc przed nim, zaprowadził go do dorożki.

Potem zaczął przechadzać się wzdłuż muru, gdzie była furtka. Po kilku minutach usłyszał w dali turkot powozu, który niebawem zatrzymał się w niedalekiej odległości po przeciwnej stronie ogrodu.



– Chyba jakiś prywatny powóz – rzekł woźnica. Konie raczej i dobrane, wleciały pędem po tej przykłej pochyłości.

Podszedł do powozu: zaprzęg był pyszny, z parą dorodnych, ślicznych koni; stangret trzymał prosto bicz, oparłszy go trzonkiem na kolanie i ani się ruszył.

– Oj, kolego, szkaradny czas dla tak pięknych koni – rzekł dorożkarski woźnica do dumnego pańskiego stangreta, który nie pokazał nawet, że słyszy, jak mówią do niego.

– On nie rozumie po francusku... to Anglik... poznałem od razu po koniach – rzekł woźnica tłumacząc sobie jego milczenie; a widząc nieco dalej lokaja olbrzymiego wzrostu, stojącego przy drzwiczkach powozu, powtórzył: – Nieprawda, kolego, jaki szkaradny czas?

I ten również nie odpowiedział słowa.

– A to obaj są Anglicy... – podchwycił filozoficznie woźnica i chociaż nieco zdziwiony zdarzeniem przy furtce, znowu rozpoczął przechadzkę, zbliżając się do dorożki.

W tym czasie mężczyzna w płaszczu i drugi, z włoskim akcentem, nadal prowadzili rozmowę, jeden, siedząc w fiakrze, a drugi stojąc na zewnątrz, oparty ręką o drzwi.

– A tak – mówił głos z powozu – to rzecz umówiona?

– Tak, proszę Waszej Wysokości – odparł mężczyzna w płaszczu – ale tylko wtedy, jak orzeł stanie się wężem.

– A w przeciwnym razie, jak odbierzesz drugą połowę krucyfiks z słoniowej kości, który ci dałem...

– Proszę Waszej Wysokości, będę wiedział, co to ma znaczyć.

– Staraj się nie stracić jego zaufania.

– Zasłużę na nie, zachowam je, ręczę Waszej Wysokości, gdyż uwielbiam i szanuję tego człowieka, silniejszego umysłem, odwagą i wolą... od najpotężniejszych ludzi na świecie... Ukłąłem przed nim jak przed jednym z trzech bóstw, które pośredniczą między Bohwanią a jego czcicielami... Co mi będzie rozkazano... wykonam wszystko... Bohwania na mnie patrzy.

– Nie wątpię w twoją godność... wiem, że jesteś żywą, rozumną zaporą między księciem i wielu występnyymi interesami i dlatego tylko, że mi mówiono o twojej gorliwości, o twojej zręczności w strzeżeniu tego młodego Hindusa, a przede wszystkim, mając wzgląd na twoje ślepe posłuszeństwo, chciałem zawiadomić cię o wszystkim. Wszak jesteś fanatykiem tego, któremu służysz... i to dobrze... Rad jestem widzieć człowieka nam oddanego... Co do nagrody za twoją usłużność, wiesz... moje obietnice...

– Nagroda... już ją mam, proszę Waszej Wysokości... dobro sprawy, której służę, jest rekojmią mojej gorliwości i ostrożności. Zapewniam Waszą Wysokość, że prawdziwy myśliwy woli jednego szakala niż dziesięć listów, jednego tygrysa przedkłada nad dziesięć szakali, jednego lwa nad dziesięciu tygrysów.

– Rozumiem... Jesteś rozsądny. Pamiętaj zawsze o tym, co mi powiedziałeś i staraj się być coraz godniejszym zaufania tego, dla kogo pracujesz.

– Czy prędko będę mógł go widzieć?

– Za dwa, najdalej za trzy dni; wczoraj łaska niebios ocaliła go...

– Czy Wasza Wysokość będzie się z nim widział?

– Tak, przed odjazdem wstąpię pożegnać się.

– A więc Wasza Wysokość raczy mu przekazać nowinę, o której nie zdążyłem zawiadomić go, bo to się stało dopiero wczoraj. Poszedłem do ogrodu umarłych... wszędzie pogrzeby, pochodnie, palące się pośród ciemnej nocy... rzucające światło na groby... Bohwania uśmiechnął się w swym hebanowym niebie. Myśląc o tym świętym bóstwie nicości, patrzyłem z radością, jak znoszono z wozu mnóstwo trumien. Ogromny dół pochłaniał je w swoją paszczę jak w piekło... Wtem spostrzegłem tuż przy mnie, w świetle pochodni, starca... płakał... Tego starca... już widziałem... to Żyd... jest stróżem owego domu... przy ulicy... Św. Franciszka... o którym Wasza Wysokość wie.

Tu mężczyzna w płaszczu wzdrygnął się i zamilkł.

– Tak... wiem... ale co ci... że tak się zaciąłeś?

– Chyba dlatego, że w tym domu... znajduje się od stu pięćdziesięciu lat... portret mężczyzny... mężczyzny... którego napotkałem niegdyś w Indiach nad Gangesem.

I mężczyzna w płaszczu znowu zadrżał i zamilkł.

– W rzeczy samej, dziwny zbieg...

– Tak, proszę Waszej Wysokości... dziwny zbieg okoliczności... i nic dziwnego...

– Otóż, proszę Waszej Wysokości, Żyd, ciągle płacząc, rzeki do grabarza. – A co z trumną? – Dobrze mówiliście; znalazłem ją w drugim rzędzie drugiego dołu – odpowiedział grabarz – właśnie był na niej znak z siedmiu czarnych punktów. Ale jak mogliście wiedzieć i o miejscu, i znaku tej trumny? – Niestety, nie przyda ci się ta wiadomość – rzekł stary Żyd ze smutkiem. – Widzicie więc, że dobrze wiem, gdzie jest ta trumna. – W tyle, za wielkim grobem z czarnego marmuru, zakopana bardzo płytko; ale pośpieszcie się. Pośród zamieszania nikt nie spostrzeże – mówił grabarz. – Dobrzeście mi zapłacili, a zatem chciałbym, żeby się wam udało to, co chcecie zrobić.

– I co ten Żyd zrobił z trumną oznaczoną siedmioma czarnymi punktami?

– Proszę Waszej Wysokości, szło za nim dwóch ludzi, niosących mary, osłonięte firankami; zapalił latarnie i poszedł na wskazane przez grabarza miejsce, a za nim ci ludzie... Szereg karawanów przeszkodził mi i straciłem Żyda z oczu, choć puściłem się za nim w trop między groby; nie mogłem go jednak odnaleźć...

– Istotnie, to ciekawe, ale co on chciał zrobić z tą trumną?...

– Mówią o nim, że używa trupy do robienia czarów...

– Och! Te niedowiarki zdolne są do wszystkiego... nawet do związków z szatanem... Zresztą, zobaczymy... może to odkrycie okaże się ważne...

W tej chwili na odległej wieży zegar wybił północ.

– Północ!... Już północ?...

– Tak, proszę Waszej Wysokości.

– Muszę już wracać... Bądź zdrow... Tak więc zapewniasz mnie: gdy nastąpi sposobność, skoro odbierzesz drugą połowę krucyfiksu, którą ci dałem, dotrzymasz swej obietnicy?

– Na Bohwanię, przysięgam Waszej Wysokości.

– Nie zapomnij także, że dla większej pewności, osoba, która odda ci drugą połowę krucyfiksu, winna powiedzieć... Czy pamiętasz? Co powinna powiedzieć?

– Proszę Waszej Wysokości, powinna powiedzieć: Od czary do ust bardzo daleko.

– Bardzo dobrze... Bądź zdrow. Tajemnica i wierność!

– Tajemnica i wierność, proszę Waszej Wysokości – odpowiedział mężczyzna w płaszczu.

Po chwili powóz odjechał, uwożąc kardynała Malipieri. To on bowiem był towarzyszem rozmowy mężczyzny w płaszczu. Ten ostatni, a był to Faryngea, wrócił do furki ogrodu należącego do domu, zamieszkałego przez księcia Dżalmę. W chwili, kiedy miał włożyć klucz w zamek, spostrzegł ze zdziwieniem, że drzwi się otwierają i wychodzi jakiś mężczyzna.

Faryngea, skoczywszy do nieznajomego, schwycił go za kołnierz, wołając:

– Kto jesteś?... Skąd idziesz?

Nieznajomy bezskutecznie usiłował wyrwać się z rąk Faryngel i krzyknął na całe gardło:

– Piotrze, na pomoc!

Piotr, stojący w pobliżu, natychmiast przyleciał, a był ogromnego wzrostu, chwycił Metysa za kark, odrzucił go w tył o kilka kroków.

– Teraz, mój panie – rzekł nieznajomy do Faryngei, poprawiając ubranie – gotów jestem odpowiedzieć na twoje pytania... chociaż obszedłeś się grubiańsko ze swym znajomym... Tak, jestem Dupont, były rządcą dóbr Cardoville... wszak to ja pomogłem wyratować cię podczas rozbicia okrętu, na którym przybyłeś do Francji.

– Ale, panie... co tu robisz? Po co tak skrycie zakradłeś się do tego domu? – spytał Faryngea tonem opryskliwym i podejrzliwym.

– Zapewniam cię, mój panie, że nie ma nic skrytego w moim postępku; przybyłem tu w powozie panny de Cardoville, mojej drogiej pani i z wyraźnego jej polecenia... tak jest, przybyłem z jej listem do księcia Dżalmy, jej krewnego – odparł z godnością pan Dupont.

Na te słowa Faryngea zadrżał i zamilkł ze złości, a potem rzekł:

– A po co to, mój panie, po co ta wizyta o tak późnej godzinie, po co było zakradać się furtką?

– Mój panie, przybyłem tak późno, bo taki był rozkaz panny de Cardoville, a wszedłem tą furtką, bo według wszelkiego prawdopodobieństwa, gdybym się udał do bramy, nie mógłbym dostać się do księcia...

– A któż to panu tak rozpowiedział o zwyczajach księcia? – rzekł Faryngea, nie mogąc ukryć złości.

– Jeżeli zostałem dokładnie powiadomiony o zwyczajach księcia, muszę wyznać, mój panie, że braknie mi podobnych wiadomości o zwyczajach jego sługi – odpowiedział Dupont z żartobliwą miną – bo zapewniam pana, że nie spodziewałem się zastać go na tej drodze... tak jak pan nie spodziewał się pewno spotkać tu ze mną.

To powiedziawszy, skłonił się dość filuternie i wsiadł do powozu, który spiesźnie odjechał, zostawiwszy Faryngeę zdziwionego i niezbyt zadowolonego.

## ROZDZIAŁ II

### SPOTKANIE

Nazajutrz, po wypełnionym przez pana Dupont zleceniu do księcia Dżalmy, ten przechadzał się niespokojnie po małym salonie. Salon ten, jak wiadomo, łączył się z oranżerią, gdzie Adrianna pierwszy raz ukazała się młodemu księciu. Szczęście tak szybko i tak wyraźnie działa na młody, gorący organizm; Dżalma, jeszcze wczoraj ponury, pełen rozpacz, teraz wyglądał zupełnie inaczej... Prędko się przechadzając, nagle zatrzymał się, wydobył z zana-drza mały, starannie złożony papier i przyłożył go do ust z najwyższą radością; nie mogąc pohamować swego szczęścia, krzyknął dźwięcznym głosem i jednym skokiem stanął przed wielką szybą dzielącą salon od oranżerii. Dziwna moc wspomnienia, dziwne złudzenie umy-słu, zajętego ciągle jednym i tym samym, sprawiło, iż zdawało się Dżalmie, że rzeczywiście widzi ubóstwiany obraz Adrianny za przezroczystym szkłem.

Temu zachwycającemu obrazowi Dżalma przypatrywał się w głębokim milczeniu.

Młody Hindus nie był sam. Faryngea baczny okiem śledził wszystkie ruchy księcia. Na jego twarzy widać było podejrzliwy niepokój. Nie mógł się mylić; nic innego tylko list Adrianny, oddany wczoraj wieczór przez pana Dupont, sprawił ten szal radości: pewno dowied-ział się, że jest kochany.

Wczoraj, rozstawszy się z panem Dupont, bardzo niespokojny, pośpieszył co żywo do księcia, chcąc być świadkiem wrażenia, jakie na Dżalmie sprawił list panny de Cardoville; ale zastał salon zamknięty. Zapukał, nikt mu nie odpowiedział. Wtedy, choć była już głęboka noc, wysłał list do Rodina i doniósł tak o odwiedzinach pana Dupont jak też o przypuszczal-nyim ich celu.

Kilka razy, na próżno jednak, ostrożnie pukał do pokoju Dżalmy; o wpół do dwunastej książę zadzwonił i rozkazał, żeby powóz był gotowy na wpół do trzeciej.

– Radość Waszej Książęcej Mości zdaje się być bardzo wielka; racz zdradzić jej przyczynę swemu najniższemu i najwierniejszemu słudze, aby i on także mógł cieszyć się – próbował nawiązać rozmowę.

Książę nie odpowiedział. Po kilku chwilach milczenia zatrzymał się i spytał:

– Która teraz jest godzina?

– Już blisko druga, mości książę – odezwał się Faryngea. Książę podniósł oczy, zroszone łzami radości i odpowiedział wyrazem serca, przepelnionego miłością i szczęściem:

– Och! Szczęście... szczęście... Jakże jest dobry, jak wielki Bóg...

– Powiedziałem, Wasza Książęca Mość, że idąc za radami swego wiernego niewolnika... który radził udawać gorącą miłość dla innej kobiety, zmusiłeś pannę de Cardoville, że, cho- ciał tak dumna, sama jednak do niego się garnie... Czy nie przewidziałem tego?

– Tak... przewidziałeś – odparł Dżalma, nie przestając patrzeć na Metysa z tą samą dobro- cią.

Zdziwienie Faryngei zwiększyło się; książę zwykle, choć nie obchodził się z nim surowo, jednak okazywał mu pewną, zwykłą w swym kraju, wyniosłą powagę i nigdy nie zwracał się do niego z taką łagodnością; poczuwając się do zła, jakie wyrządził księciu, nie dowierzając, jak wszyscy źli ludzie, sądził przez chwilę, że jego pan krył jakąś zasadzkę; mówił więc dalej z mniejszą już pewnością:

– Wierz mi, Wasza Książęca Mość, że jeżeli tylko potrafisz korzystać z okoliczności, dzień ten pocieszy cię za wszystkie wycierpiane przykrości. Wasza Książęca Mość strasznie cier- piałeś; ale nie sam... ta dumna dziewczyna również... cierpiała...

– To dziwne... – rzekł Dżalma sam do siebie, rzuciwszy na Metysa przenikliwy wzrok, ale nadal pełen dobroci.

– To bardzo dziwne!

– Nie, lecz powiedz, ponieważ twoje rady tak dobrze mi posłużyły... co myślisz o przyszłości?...

– O przyszłości, proszę Waszej Książęcej Mości?

– Tak... za godzinę będę u panny de Cardoville...

– To sprawa bardzo ważna, proszę Waszej Książęcej Mości... Przyszłość zależeć będzie od tego pierwszego widzenia.

– O tym właśnie myślałem...

– Wierz mi, Wasza Książęca Mość... kobiety ubiegają się tylko za śmiałym mężczyzną, który oszczędza im kłopotu odmowy.

– Wy tłumacz się jaśniej...

– To znaczy, proszę Waszej Książęcej Mości, pogardzają kochankiem słabym, mdlejącym, który pokornym głosem prosi o to, co powinien wziąć gwałtem...

– Ależ ja dziś odwiedzam pannę de Cardoville pierwszy raz.

– Wierz mi, Wasza Książęca Mość, jakkolwiek to wydaje się dziwne, jednak jest rozsądne... Przypomnij sobie książę przeszłość... grając rolę nieśmiałego kochanka, czy sprowadziłeś do swych stóp tę dumną dziewczynę? Nie, dokazałeś tego dopiero, udając miłość ku innej kobiecie... A więc nie trzeba być słabym... lew nie wzdycha jak jaka synogarlica. Wierz mi, Wasza Książęca Mość, bądź tylko śmiałym... tylko śmiałym... a jeszcze dziś będziesz sułtanem, uwielbianym przez tę dziewczynę, której urodę podziwia cały Paryż...

Po chwili milczenia Dżalma, kiwając głową z wyrazem tkliwego politowania, rzekł łagodnie:

– Dlaczego chcesz mnie zdradzać? Dlaczego tak złośliwie doradzasz mi użycie gwałtu, podejścia... wobec tego anioła czystości... wobec dziewczyny, którą szanuję jak własną matkę? Czy nie dosyć jeszcze, żeś się oddał moim wrogom, co mnie bez przerwy ścigają?

Gdyby Dżalma rzucił się na Metysa z podniesionym sztyletem, nie tyle by to zdziwiło go, zmieszało, a może mniej przstraszyło, niż gdy usłyszał Dżalmę, mówiącego o jego zdradzie tonem łagodnej przygany.

Faryngea cofnął się o krok, jak gdyby myślał o obronie.

Młody książę mówił dalej z tą samą spokojną łagodnością:

– Nie obawiaj się niczego... wczoraj zabiłbym cię... lecz dziś uszczęśliwiona miłość czyni mnie wyrozumiałym, łaskawym; lituję się nad tobą, żałuję cię, musiałeś być bardzo nieszczęśliwy... kiedy stałeś się tak złym.

– Ja, Mości Książę? – rzekł Faryngea z większym jeszcze zdumieniem.

– Posłuchaj mnie, nie chcę, abys nadal był podstępny zdrajca: chcę uczynić cię dobrym... Ten dzień obdarza mnie boskim szczęściem, ty też będziesz błogosławić ten dzień... Co mogę dla ciebie uczynić? Czego żądasz? Złota?... Będziesz miał złoto...<sup>1</sup> Chcesz przyjaciela, którego przyjaźń pocieszy cię i oddaliwszy z myśli wszelkie cierpienia, które cię czyniły tak złośliwym, uczyni cię dobrym?... Jestem królewskim synem, chcesz, abym ci był przyjacielem? Będę nim, pomimo zła... nie... za to zło, jakieś mi wyrządził... będę dla ciebie szczerym przyjacielem; błogo mi będzie pomyśleć: w dniu, w którym anioł powiedział mi, że mnie kocha, moje szczęście było bardzo wielkie: rano miałem nieprzebranego wroga; wieczorem jego nienawiść zmieniła się w przyjaźń... Tak, wierz mi, Faryngeo, to nieszczęście czyni złym; bądź odtąd szczęśliwym...

W tej chwili wybiła godzina druga. Była to chwila wyjazdu na spotkanie z Adrianną.

Zbliżywszy się do Faryngei, wyciągnął do niego rękę i rzekł:

– Podaj mi rękę...

Metys, którego czoło oblewał zimny pot, twarz zbladła, zmieszał się, potem pokonany, oczarowany, z drzeniem podał księciu rękę, który ją uściskał i rzekł krajowym zwyczajem:

– Podajesz rękę uczciwie w rękę uczciwego przyjaciela... Ta ręka będzie zawsze dla ciebie otwarta... Do widzenia, Faryngeo... Czuję się teraz godniejszy uklęknąć przed aniołem.

I wyszedł, udając się do Adrianny. Pomimo swej dzikości, pomimo nieubłaganej nienawiści dla rodu ludzkiego, znękany szlachetnymi i łaskawymi słowami księcia Dżalmy, ponury sekciarz Bohwanii pomyślał ze strachem:

– Dotknąłem jego ręki... jest on teraz dla mnie święty...

Lecz po zastanowieniu zawołał:

– Tak... ale nie jest on świętym dla tego, który, jak mi powiedziano tej nocy, ma na niego czekać przy bramie...

Pobiegł do przyległego, wychodzącego na ulicę pokoju, uchylił firankę i rzekł z niepoko-  
jem:

– Jego powóz odjeżdża... człowiek zbliża się... Piekło... powóz odjechał, już nic nie widzę.

## ROZDZIAŁ III

### OCZEKIWANIE

Łatwiej pojąć niż odmalować uczucia, jakich na przemian doznawała panna de Cardoville w miarę, jak zbliżała się chwila rozmowy z Dżalmą. Ich zbliżenie tyle napotykało dotąd bolesnych przeszkód, Adrianna wiedziała, że ich nieprzyjaciele są tak przebiegli, jak zdradzieccy, iż powątpiewała jeszcze o swym szczęściu.

Co chwila mimowolnie spoglądała na zegar; już tylko kilka minut...

Nareszcie wybiła ta wytęskniona godzina. Każde uderzenie zegara długo rozlegało się w sercu Adrianny. Lecz w miarę jak różnica najpierw przedłużała się do kilku minut... do kwadransa... dwudziestu minut i więcej... Adrianna czuła coraz większy niepokój; dwa czy trzy razy, cicho, na palcach zbliżała się do drzwi salonu i nadśluchiwała...

Lecz nic nie było słycać...

Nie mogąc przewyciężyć mimowolnej obawy ani chcąc zrzec się tej ostatniej nadziei, wróciła do kominka, potem zadzwoniła. Siwy, czarno ubrany lokaj otworzył drzwi i z uszanowaniem, w milczeniu czekał na rozkazy swej pani; ta odezwała się spokojnym głosem:

– Andrzej, poproś Hebe, aby dała ci flakonik, który zostawiłam na kominku w moim pokoju i przynieś mi go.

Lokaj skłonił się; Adrianna dodała z obojętną miną, wskazując na zegar:

– Czy ten zegar dobrze idzie?

Lokaj wyjął swój zegarek i rzekł:

– Tak, proszę pani... wyregulowałem go z zegarem na Tuileryach.

– To dobrze!... Dziękuję ci... – rzekła Adrianna.

Służący ukłonił się znowu i wyszedł z salonu. Znów nastała cisza...

Rzuciwszy zboląły wzrok na portret wiszący przed nią na ścianie, rzekła po cichu żalonym głosem:

– O! Moja matko!

Ledwie wymówiła te słowa, gdy turkot powozu, wjeżdżającego na Dziedziniec pałacu, lekko zatrzęsł oknami. Adrianna zadrżała, nie mogła wstrzymać okrzyku radości; serce jej wyskoczyło naprzeciw Dżalmy; bowiem tym razem wyczuła, że to on przyjechał. Była zresztą tak pewna, jakby go już zobaczyła.

Usiadła. Ręka jej drżała jak liść. Mocny odgłos kilkorga drzwi, które jedne po drugich otwierano przed księciem, potwierdził wkrótce jej przewidywania. Wreszcie otworzyły się złociste podwoje salonu i ukazał się książę. Lokaj postawił na stole kryształowy flakonik, po czym zamknął drzwi. Książę i panna de Cardoville zostali sami.

## ROZDZIAŁ IV

### ADRIANNA I DŻALMA

Książę zbliżył się wolno do Adrianny.

Pomimo gwałtownej namiętności, jego niepewny, nieśmiały krok dowodził silnego wzruszenia. Nie śmiał jeszcze spojrzeć na Adriannę; bladość okryła mu twarz a jego piękne ręce, złożone na piersiach z religijnym uszanowaniem, oznaczającym w jego kraju cześć, mocno drżały, zatrzymał się kilka kroków przed Adrianną, schyliwszy lekko głowę.

Adrianna wstała i odezwała się drżącym głosem:

– Książę, jestem szczęśliwa, że go tu mogę przyjąć – potem, wskazawszy portret na ścianie, dodała jakby przedstawiała księcia trzeciej osobie:

– Książę... moja matka...

Była to subtelna myśl Adrianny, chcącej dać poznać księciu, że przy jej rozmowie z Dżalmą obecna będzie jej matka. Było to zabezpieczenie siebie i księcia od zapędów pierwszego spotkania, tym bardziej niebezpiecznego, że oboje wiedzieli o swej gorącej i wzajemnej miłości; że oboje byli od nikogo i niczego niezależni... Książę zrozumiał dyskretną aluzję i dlatego, gdy Adrianna wskazała mu portret swej matki ruchem pełnym szczerości, wdzięku i prostoty, schylił się z uszanowaniem przed portretem i rzekł dźwięcznym, a przy tym miłym głosem, zwracając się do obrazu:

– Kochać cię i uwielbiać będę jak własną matkę, matka także będzie w moich myślach obok swej córki.

Siadając Adrianna rzekła do Dżalmy, wskazując mu krzesło; – Proszę usiąść... kuzynie... i pozwól mi cię tak nazywać, bo uważam za zbyt etykietalną formę książę i nawzajem proszę nazywaj mnie także kuzynką... A teraz pomówmy po przyjacielsku.

– Tak, droga kuzynko – odparł Dżalma, zarumieniwszy się przy tych słowach.

– Ponieważ przyjaciele winni być wobec siebie otwarci – rzekła Adrianna – najpierw więc muszę ci oświadczyć, kuzynie, że mam żal do ciebie – dodała, spojrzawszy z uśmiechem na księcia.

On, zamiast usiąść, stał oparty o kominek, w postawie pełnej wdzięku i szacunku.

– Tak, mój kuzynie... – mówiła dalej Adrianna – spodziewam się, że przebaczysz mi ten żal... a zatem, czekałam na ciebie... spodziewając się nieco wcześniej twego przybycia...

– Moja kuzynko, zarzucisz mi może, że nie zjawiłem się trochę później.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– W chwili, kiedy wychodziłem z mieszkania, jakiś nieznany mężczyzna zbliżył się do powozu... i powiedział z taką szczerością, iż, musiałem mu uwierzyć: – Możesz ocalić życie człowiekowi, który był ojcem dla ciebie... Marszałek Simon znajduje się w wielkim niebezpieczeństwie... lecz, chcąc mu pomóc, trzeba udać się ze mną natychmiast...

– To była zasadzka – zawołała Adrianna – ledwie godzinę temu marszałek Simon był tutaj.

– On?... – zawołał uradowany Dżalma – a więc nie doznam smutku w tym szczęśliwym dniu.

– Ale, kuzynie – zapytała Adrianna – jakim sposobem nie dałeś wprowadzić się w błąd temu posłańcowi?

– Na mój rozkaz wsiadł do mego powozu. Niespokojny o marszałka i w rozpacz, że upłynie wiele czasu, który miałem spędzić z tobą, droga kuzynko, zadawałem temu człowiekowi różne pytania.

I często nie wiedział, co ma odpowiedzieć. Wtedy przyszło mi na myśl, że to jakaś pułapka. Przypomniawszy sobie, ile już razy i różnymi sposobami usiłowano oddalić nas od sie-



bie... zmieniłem natychmiast drogę. Na tę decyzję towarzyszący mi człowiek opuścił powóz, nie ukrywając złości; pomyślawszy jednak o marszałku Simon, czułem jeszcze niepokój, który ty, kochana kuzynko, oddalasz na szczęście ode mnie.

– Ci ludzie są nieubłagani – pomyślała Adrianna – ale nasze szczęście będzie silniejsze od ich nienawiści.

Po krótkim milczeniu rzekła ze zwykłą szczerością:

– Jak mogłeś odważyć się pokazywać publicznie z...

– Z tą dziewczyną... rzekł Dżalma, przerywając jej.

– Tak, mój kuzynie...

– Nie znając krajowych obyczajów ani zwyczajów – odpowiedział nie zmieszany Dżalma, gdyż mówił prawdę – obłąkany rozpaczą i zdradzieckimi radami człowieka, zaprzędanego naszym wrogom, sądziłem, jak mnie zapewniał, że udając w twej obecności miłość dla innej, wzbudzę w tobie zawiść i że...

– Dostyc już, kuzynie, rozumiem wszystko – przerwała Adrianna. – Jeszcze jedno słowo, choć jestem pewna szczerości twej odpowiedzi; czy nie odebrałaś listu, który napisałam do ciebie z rana tego dnia, kiedy widziałam cię w teatrze?

Dżalma nie odpowiedział; twarz jego nagle się zasepiła i przybrała tak groźny wyraz, że Adrianna zlekła się.

Lecz niebawem to gwałtowne oburzenie minęło; czoło Dżalmy znowu się wypogodziło.

– Byłem łaskawszy niż mi się zdawało – rzekł do Adrianny, przypatrującej mu się ze zdziwieniem. – Chciałem przybyć do ciebie... godny ciebie... moja kuzynko. Przebaczyłem człowiekowi, który dla usłużenia naszym wrogom, podał mi wtedy i jeszcze potem podawał, zgubne rady... Teraz jestem pewien, że to on ukrył przede mną twój list...

– Tak więc minęła już niebezpieczna przeszłość. Och! Tak! Już jest daleko za nami! – zawołała panna de Cardoville z radością.

I oddalając z serca ostatnie smutne myśli dodała:

– Do nas teraz należy przyszłość, cała przyszłość... przyszłość czysta, szczęśliwa, pogodna... Nic jej już nie potrafi zmącić...

## ROZDZIAŁ V

### ODWIEDZINY

Pan Hardy, jak już powiedziano, mieszkał w pawilonie domu pokuty przy ulicy Vaugirard, zajmowanego przez jezuitów. Zajmował mieszkanie na dole pawilonu, wychodzącego frontem na ogród; był to przezorny wybór, wiadomo bowiem, jak przebiegle i zręcznie jezuita potrafili użyć środków, aby sprawiać mocne wrażenie na osobach, które zamierzali zniewolić.

Była blisko druga godzina po południu. Chociaż przyświecało piękne, kwietniowe słońce, jednak jego promienie nie dochodziły przez wysoki mur do tej części ogrodu, ciemnej, wilgotnej, zimnej jak piwnica, do której prowadziły drzwi do pokoju, w którym przebywał pan Hardy.

Na ścianie, naprzeciw łóżka, zawieszony był duży krucyfiks ze słoniowej kości, na tle z czarnego aksamitu; na kominku stał zegar w hebanowej oprawie, ze smutnymi godłami ze słoniowej kości: klepsydrą, kosą czasu, trupimi głowami itp.

Na ścianach, zamiast obrazów, pozawieszane były tablice z napisami, których treść była równie niewesoła.

Zobaczmy, co czytał pan Hardy za każdym razem, we dnie i w nocy, gdy błogi sen uciekł spod zaczerwienionych od łez powiek:

„Prędko będzie po tobie na tym padole... obejrzyj się...”

„Kiedy wstajesz rano, pomyśl, że może nie doczekasz wieczora”.

„Któż przypomni cię sobie po twej śmierci?”

„Całe to doczesne życie pełne jest nędzy, pogardzaj sam sobą i życz sobie, aby inni tobą gardzili”.

Wyobraźmy sobie teraz pana Hardy'ego, zranionego, przeniesionego do tego domu, gdy serce miał udręczone tyloma tak srogimi ciosami. Przy troskliwej i nadskakującej opiece, dzięki biegłej pomocy doktora Baleiniera, prędko zagojono jego rany, jakie odniósł, rzuciwszy się na ratunek podczas pożaru fabryki. Wielebni ojcowie skorzystali z jego niemocy, aby pod chwalebny pozorem zamknąć go w tym więzieniu i otoczyć przygnębiającą atmosferą.

Wkrótce jego osłabiony umysł odnalazł słuszność w owych zgubnych dla niego maksymach. Tak więc czytał dalej:

„Nie trzeba liczyć na przyjaźń żadnego stworzenia na świecie”.

– I w rzeczy samej został niegodziwie zdradzony.

„Człowiek urodził się, aby żył w udręczeniu”.

– I rzeczywiście, żył w udręczeniu.

„Odpoczynek można znaleźć tylko w zaparciu się własnej myśli”.

– I tylko uśpienie umysłu przyniosło mu ulgę w zmartwieniach.

Mówić temu nieszczęśnikowi, w jego trudnym stanie, o rozrywkach, zabawach, znaczyłoby to samo, co wymóc na nim, aby się wyrzekł tego wszystkiego; tak się też stało. Ksiądz d'Aigrigny nie starał się z początku pozyskać jego zaufania, nie mówił słowa o jego zmartwieniach; lecz za każdym razem, kiedy się z nim widział, starał się okazywać mu tkliwą życzliwość. Ich rozmowy, z początku rzadkie, potem stawały się coraz częstsze, dłuższe; posiadając dar miódopłynnej wymowy, wymowy ujmującej i przekonywującej, ksiądz d'Aigrigny obierał zwykle za temat smutne maksymy, które często wpadały w oko i myśli pana Hardy'ego. Zręczny, roztropny, przezorny, wiedząc, że do tego czasu pensjonariusz pałał miłością, czcią dla wszystkiego, co sprawiedliwe i dobre, zaczął od bezustannego przypominania mu niecných zdrad, jakich doświadczył, chcąc stłumić w nim wszelką nadzieję; zamiast wskazywać mu te zdrady jako wyjątek w życiu, zamiast starać się uspokoić, pokrzepić

tę znękaną duszę; zamiast radzić, aby starał się zapomnieć o zmartwieniach, o dolegliwościach, aby szukał pociechy w pełnieniu powinności względem ludzkości, względem swych braci, których tak kochał i wspierał, ksiądz d'Aigrigny drażnił jego krwawe rany, malował mu ludzi w najgorszych kolorach, przedstawiał ich jako obłudnych niewdzięczników i tym sposobem zdołał umocnić w nim nieuleczalną rozpacz.

Taki był moralny i fizyczny stan pana Hardy, gdy za pośrednictwem przekupionego sługi odebrał od Agrykoli Baudoina list, w którym ten nalegał na spotkanie. Nadszedł wreszcie dzień tego spotkania. Na dwie czy trzy godziny przed chwilą wyznaczoną na odwiedzin Agrykoli, ksiądz d'Aigrigny wszedł do pokoju pana Hardy'ego.

Podchodząc do niego nadał swej twarzy wyraz jak najłagodniejszy, najżyczliwszy, wzrok jego był pełen uprzejmej dobroci i łaskawości, a głos nigdy jeszcze nie był równie ujmujący i słodki.

– Czy zadowolony jesteś, mój synu, z usług otaczających cię ludzi?

– Tak, ojcze.

– Tak nas to cieszy, gdy widzimy, że czujesz się dobrze; w naszym ubogim domu, mój synu, iż chcielibyśmy zawsze uprzedzać twoje życzenia.

– Niczego nie pragnę... mój ojcze... niczego prócz snu. Jak dobroczynny jest sen – dodał z pewnym znużeniem.

– Sen... to zapomnienie. A na tym padole lepiej jest zapominać aniżeli przypominać sobie, bo ludzie są tak niewdzięczni, złośliwi, niemal każde wspomnienie jest goryczą, czyż nie tak, mój synu?

– Niestety! Aż nadto prawda, mój ojcze.

Nie dokończył i zakrył ręką oczy.

– Niestety, mój synu – rzekł ksiądz d'Aigrigny czułym głosem. I wyborny ten komediant rzucił się na kolana przy krześle chorego. – Niestety, jakże to przyjaciel, co cię tak niegodziwie zdradził, mógł nie poznać twego dobrego serca?... Lecz tak zwykle bywa, na ziemi... a ten niegodny przyjaciel!...

– Och, mój Boże!... Czy znajdę kiedyś pociechę? – zawołał nieszczęśliwy.

– Ależ znajdziesz ją, mój dobry, zacny synu – zawołał ksiądz d'Aigrigny, nadal grając rolę czułego powiernika – czy możesz w to wątpić?... Och! Jak błogi będzie ten dzień, w którym ostatnie więzy, które cię jeszcze krępują na tej nieczystej ziemi, zostaną zniszczone, a ty, mój synu, staniesz się jednym z nas. Mój kochany, biedny synu, gdyby twoja pokora pozwoliła ci porównać to, czym byłeś w dniu twego przybycia do nas, z tym, czym teraz jesteś... zdumiałbyś się... Jaka różnica, mój Boże! Dawniej byłeś zawsze niespokojny, wzdychałeś z rozpacz, a teraz spokojnie pędzisz życie... Czy tak nie jest?

– Ach! – rzekł pan Hardy, chwilę się zastanawiając, gdyż pamięć jego, podobnie jak umysł, mocno już osłabła... – Ma przyjść Agrykola, zdaje się, że miło mi będzie spotkać się z nim.

– Otóż więc, mój synu, twoje spotkanie z nim będzie próbą, o której mówię... Obecność tego godnego młodzieńca przypomni ci owo tak czynne, tak zajęte życie, które dawniej pędziłeś; może te wspomnienia wzbudzą w tobie żal przy tym cichym odpoczynku, jakiego teraz zażywasz; może znowu zechcesz puścić się w zawód, pełen wszelkiego rodzaju trosk, może zechcesz zawiązać nową przyjaźń, wejść w nowe związki, wrócić do zgiełku i żyć, jak żyłeś przedtem. Jeżeli żądze takie obudzą się w tobie, będzie to znak, że jeszcze nie dojrzałeś do życia na osobności... wtedy bądź im posłuszny, synu; szukaj znowu rozrywek, zabaw, uciech...

– Ja, mój ojcze, wrócić do tego świata, w którym tyle ucierpiałem?... W którym pozostawiłem moje ostatnie złudzenia?... Ja... miałbym się mieszać do jego uciech, jego rozkoszy... Ach!... To okrutne szyderstwo...

– To nie jest szyderstwo, mój synu... może się zdarzyć, że widok, słowa tego uczciwego młodzieńca obudzą w tobie myśli, o których teraz sądzisz, że się już na zawsze zatarły. Mój kochany synu, niepodobna znaleźć takiej jak twoja szlachetności... ale właśnie w imię szlachetności człowiek ten przyjdzie wymagać od ciebie nowych ofiar; tak... bo takie, jak twoje serce, przeszłość obowiązuje i prawie niepodobieństwem będzie ci odmówić usilnym naleganiom twoich pracowników... Będą cię namawiali, abys niezwłocznie zajął się wzniesieniem z gruzów fabryki, abys znowu zaczął zakładać to, co przed dwudziestu laty wznosiłeś w pełni sił, w całym zapale swej młodości; abys rozpoczął na nowo owe handlowe stosunki, w których twoją nieposzlakowaną uczciwość tyle razy skrzywdzono, żebyś znowu przyjął na siebie wszelkiego rodzaju kajdany, które wielkiego, jak ty, przedsiębiorcę przywiązują do życia, pełnego trosk, trudów i niepokoju... i to za jakie wynagrodzenie!...

– Dosyć!... Och!... Proszę... dosyć!... – zawołał pan Hardy słabym głosem. – Czuję wielki zawrót głowy wtedy, gdy słyszę cię, ojczy, mówiącego o problemach takiego życia... głowa... ledwie nie pęknie... Och!... Nie... nie... spokoju... tak... przede wszystkim... powtarzam ci, choćby to nawet miał być spokój grobowy...

– Lecz jak oprzesz się namowom tego człowieka?... Obdarowani mają wpływ na swych dobroczyńców... Nie będziesz mógł oprzeć się jego prośbom...

– Bądź łaskaw, mój ojczy, kazać mu powiedzieć... że jestem chory... że nie mogę go przyjąć.

– Posłuchaj tylko, mój synu, w obecnych czasach panują wielkie, nieszczęsne przesady w stosunku do naszego zgromadzenia. Przez to samo już, że dobrowolnie pozostałeś pośród nas, będąc tu przypadkiem przyniesiony, gdy byłeś umierający... gdyby wiedziano, że nie pozwalasz mówić z sobą, chociaż przyrzekłeś, sądzono by, że to my ci przeszkadzamy; a chociaż jest to podejrzenie niedorzeczne, może jednak powstać, a my nie chcemy do niego upoważniać... Lepiej zatem byłoby przyjąć tego młodego robotnika...

– Ojczy, żądasz rzeczy przechodzących moje siły... W tej właśnie chwili czuję, jak jestem słaby... już ta rozmowa odebrała mi siły.

– Ależ, synu, ten człowiek przyjdzie; przypuścmy, iż powiem mu, że nie chcesz widzieć się z nim; on mi nie uwierzy...

– O! Mój ojczy, zlituj się nade mną; zapewniam cię, iż nie chcę widzieć się z kimkolwiek... jestem bardzo słaby.

– A więc! Co robić?... A gdybyś tak napisał... oddałoby się mu list... wyznaczyłbyś mu czas na spotkanie... jutro na przykład.

– Ani jutro, ani kiedykolwiek – zawołał nieszczęśliwy, doprowadzony do ostateczności – nie chcę nikogo widzieć... chcę być sam... zawsze sam... wszak to nikomu nie szkodzi... nie mogę mieć przynajmniej tej swobody?

– Jak chcesz... Pisz albo przyjmij tego człowieka – surowo rzekł d'Aigrigny, wnosząc z wzmagającego się znużenia pana Hardy, że w tym przypadku może użyć surowości, aby później znowu wrócić do łagodności.

– Napiszę... wielebny ojczy... napiszę... lecz dla miłości Boga błagam cię... nie mogę zebrać myśli... podyktuj mi...

I drżącą ręką otarł łzy.

Książd d'Aigrigny podyktował mu następujące słowa:

„Kochany Agrykolo, doszedłem do przekonania, że spotkanie nasze do niczego nie prowadzi... posłuży tylko do rozjątrzenia na wpół zapomnianych cierpień, o których przy pomocy boskiej i pociesze religijnej postaram się zupełnie zapomnieć... Cieszę się pełnym spokojem, otoczony troskliwością zacnych osób i dzięki miłosierdziu Boga spodziewam się po chrześcijańsku spędzić resztę dni z dala od świata, którego próżność poznałem... Nie na zawsze żegnam się z tobą; lecz do zobaczenia, Agrykolo... pragnę kiedyś osobiście powiedzieć ci, jak serdecznie życzę wszelkiego dobra tobie i twoim godnym towarzyszom. Bądź pośredni-

kiem między nimi a mną; kiedy będę mógł cię przyjąć, napiszę do ciebie; bądź zawsze przekonany, że cię serdecznie Kocham...”

– Zadowolony jesteś z listu? – zapytał ksiądz, zwracając się do pana Hardy.

– Zadowolony.

– Podpisz więc.

– Dobrze.

Nieszczęśliwy podpisał list, zupełnie wycieńczony i opuścił się na krzesło.

– To jeszcze nie wszystko, mój synu – rzekł d’Aigrigny, wyjąwszy papier z kieszeni – trzeba, żebyś podpisał nowe upoważnienie na imię naszego szanownego brata, dla skończenia wiadomych interesów.

– Ojciec... nie mogę przeczytać tego dzisiaj...

– A jednak to konieczne, mój synu, wybac mi moje natręctwo... ale my ubodzy, a...

– Podpiszę.

– Nie przeczytawszy, nie można podpisać.

– Dlaczego?... Daj, daj!... rzekł pan Hardy, zniecierpliwiony upartym natręctwem jezuity.

– Jeżeli koniecznie chcesz, to dobrze – rzekł duchowny, podając mu papier.

Hardy podpisał i westchnął głęboko, jakby zrzucił z siebie wielki ciężar. W tej chwili zapukał służący, wszedł i zwrócił się do księdza d’Aigrigny:

– Pan Agrykola Baudoin pragnie widzieć się z panem Hardy; mówi, że kazano mu przyjść dzisiaj.

– Dobrze... niech zaczeka – odpowiedział d’Aigrigny ze zdziwieniem pomieszanym z gniewem i gdy służący wyszedł, starając się ukryć mocne niezadowolenie, rzekł do fabrykanta: – Pocziwy rzemieślnik, jak widać, niecierpliwie oczekuje widzenia z tobą... przyszedł bowiem o dwie godziny wcześniej niż mu wyznaczyłeś.

Z tymi słowami wyszedł. Zostawszy sam, pan Hardy opuścił się z krzesła na podłogę, upadł na kolana i z płaczem zawołał:

– O Boże, Boże mój... Zabierz mnie stąd, jestem zanadto nieszczęśliwy!...

Potem, oparłszy głowę o poduszkę, zakrył twarz rękami i gorzko zapłakał...

Nagle dał się słyszeć jakiś hałas, który stawał się coraz głośniejszy; później czyjeś szamotanie się; wkrótce drzwi otworzyły się z łoskotem i ksiądz d’Aigrigny, potknąwszy się, wpadł do pokoju. Agrykola pchnął go silną ręką.

– Mój panie... jak śmiesz dopuszczać się gwałtu! – zawołał ksiądz, blednąc ze złości.

– Na wszystko się odważę, abym tylko widział pana Hardy’ego – odpowiedział kowal i rzucił się ku swemu dawnemu panu, który klęczał obok krzesła.

## ROZDZIAŁ VI

### AGRYKOLA BAUDOIN

Ksiądz d'Aigrigny, z trudem hamując gniew, rzucał groźne spojrzenia na Agrykolę, a zarazem z niepokojem spoglądał na drzwi, jakby lękając się wejścia drugiej osoby, której obecności także się obawiał. Kował, spojrzawszy na swego pryncypała, cofnął się z bolesnym zdziwieniem... blade, wychudłe rysy twarzy pana Hardy'ego przejęły go politowaniem, pomieszanym z gniewem.

Agrykola nie wiedział jeszcze, jak zmieniła się moralna strona nieszczęśliwego pana Hardy. Ksiądz d'Aigrigny pierwszy przerwał milczenie i wymawiając z przyciskiem każde słowo, rzekł do swego lokatora:

– Rozumiem, mój synu, że po stanowczym, koniecznym twoim życzeniu nieprzyjmowania tego... pana... jego widok przykre czyni na tobie wrażenie... spodziewam się więc, że przez uszanowanie... albo chociaż przez wdzięczność dla ciebie... człowiek ten (i wskazał na kowala) oddali się i położy koniec tej nieprzyzwoitej scenie, która i tak zbyt długo się przeciągnęła.

Agrykola nie odpowiedział księdzu, odwrócił się do niego tyłem i zbliżywszy się do fabrykanta, na którego spoglądał przez kilka chwil z czułą tkliwością, rzekł:

– Ach, mój Boże!... Jakżem szczęśliwy, że pana widzę, chociaż na twojej twarzy maluje się jeszcze głębokie cierpienie! Jak słodkie, radosne wrażenie wywiera na mnie pański widok. Wszyscy moi towarzysze drogo by zapłacili, gdyby choć jedną minutę mogli znajdować się na moim miejscu!... Gdybyś pan wiedział o wszystkim, o co prosili, abym ci powtórzył... gdyż do kochania, szanowania ciebie, wszyscy mamy... jedno serce!...

Ksiądz d'Aigrigny rzucił na pana Hardy spojrzenie wyrażające: I co, nie mówiłem? Potem z niecierpliwością zbliżywszy się do Agrykoli, rzekł:

– Powiedziałem już, że pana obecność tutaj jest niestosowna.

– Na miłość boską, czcigodny ojcze – z pewnym ożywieniem zawołał pan Hardy – wybac Agrykoli, uniosło go przywiązanie do mnie; ale ponieważ już jest tutaj i chce przekazać mi pewne wiadomości, dotyczące mnie, pozwól mi pomówić z nim przez kilka minut.

– Pozwolić? – zawołał d'Aigrigny z udanym zdziwieniem. – Dlaczego prosisz o pozwolenie? Czy nie możesz robić, co ci się podoba? Czy nie ja radziłem, żebyś przyjął tego pana? Czy nie ty sam stanowczo odmówiłeś spotkania z nim?

– Prawda...

Po tych słowach, księdzu nie wypadło zostać dłużej; wstał, uściśnął rękę pana Hardy'ego i rzekł ze znaczącym skinieniem głowy:

– Do zobaczenia, mój synu... Nie zapominaj o naszej rozmowie i o tym, co ci powiedziałem.

– Do zobaczenia, czcigodny ojcze... bądź spokojny – odpowiedział pan Hardy.

Jezuita wyszedł. Agrykola nadzwyczaj zdumiony, nie dowlekał ani słuchowi, ani wzrokowi... Czy istotnie to jego dawny Pan, który z taką uniżonością i pokorą nazywał księdza d'Aigrigny czcigodnym ojcem? Im dłużej wpatrywał się w rysy jego twarzy, tym więcej spozstrzegwał w nich śladów ogólnego wycieńczenia znużenia i serce ścisnęło mu się boleśnie... Starając ukryć smutek, rzekł:

– Nareszcie, panie, będziesz nam przywrócony!... Znowu będziesz z nami i pośród nas... Ach! Twój powrót uszczęśliwi wielu... pocieszysz, uspokoi... pokochalibyśmy cię bardziej niż dawniej, gdyby to było możliwe!

Hardy smutno potrzęsnał głową.

– Powtarzam ci, przyjacielu – rzekł – już przeżyłem siebie; w krótkim czasie postarzałem się o dwadzieścia lat; nie mam już ani sił, ani woli, ani odwagi, aby wziąć się jak dawniej dój pracy; zrobiłem, co mogłem, dla dobra innych... spłaciłem swój dług... i teraz zostało mi tylko jedno życzenie... żyć w samotności... f jedna nadzieja... pociecha w religii!

– Jak to – zawołał Agrykola – chce pan żyć tutaj, w tym ponurym ustroniu, bardziej niż z nami, z ludźmi, którzy cię ta kochają!... Myślisz, że tutaj, z podstępными jezuitami, będziesz szczęśliwszy niż w zbudowanej na nowo fabryce, która piękniej jeszcze niż dawniej zakwitnie?... Ach! To niemożliwe!

– Nie ma już dla mnie szczęścia na ziemi – przerwał Harda z goryczą.

Po krótkim wahaniu Agrykola rzekł głosem, drżącym ze wzruszenia:

– Panie Hardy, oszukują cię... nikczemnie cię tu oszukują?

– Co chcesz przez to powiedzieć, przyjacielu?

– Chcę powiedzieć, że jezuita, otaczający cię, mają zgubne zamiary... Ale, mój Boże! Czy nie wiesz, panie Hardy, gdzie się znaj dujesz?

– U zacnych zakonników.

– U twoich najzaciętszych nieprzyjaciół!

– Nieprzyjaciół? – Pan Hardy uśmiechnął się ze smutną obojętnością. – Nie mam się co lękać nieprzyjaciół... nic mi nie można odebrać, bo ja nic już nie mam!

– Chcą cię pozbawić ogromnej sukcesji – zawołał kowal – taki jest ich zamiar, ułożony z piekielną chy treścią; córki marszałka Simona, panna de Cardoville, pan i Gabriel, mój przybrany brat... wszyscy członkowie twojej rodziny omal nie padli już ofiarą ich intryg; wierz mi, ci mnisi pragną tylko skorzystać z twego zaufania...

– Przyjacielu, po cóż wspominać o przeszłości? – łagodnie odparł pan Hardy. – Jeżeli dobrze czyniłem, Bóg mnie nagrodzi..., Ale sam nie powinienem pysnić się... powinienem czołem w proch. uderzyć; bo szedłem nie prawdziwą drogą, jaką wskazał najwyższy... duma może popchnęła mnie w błędy... łzami, samotnością. poniżeniem powinienem okupić swoje grzechy... Tak, w tej nadziei, że Bóg zmiłuje się nade mną... że moje cierpienia posłużą na korzyść dla tych, którzy grzeszyli jeszcze więcej ode mnie, znajduję jedyne ukojenie!

Agrykola nie wiedział, co odpowiedzieć, z niemą trwogą spoglądał na pana Hardy'ego, gdy ten słabym głosem wymawiał; ostatnie słowa; nie pojmował, jakim urokiem, jakimi czarami udało się jezuitom zniszczyć, w proch zetrzeć, uczynić bezpłodną. jedną z najpiękniejszych natur, jedno z najwspanialszych serc!... Wreszcie przerwał milczenie i wyjąwszy z kieszeni list panny de Cardoville, na którym opierał swoją ostatnią nadzieję, podał go panu Hardy'emu.

– Oto – rzekł – list, który jedna z pańskich krewnych” znana ci z nazwiska, poleciła mi oddać.

– Na co ten list?

– Błagam pana, przeczytaj go. Panna de Cardoville czeka na odpowiedź.

Rzecz jest bardzo ważna.

W głosie Agrykoli było tyle szczerości, jego szlachetna i otwarta twarz miała wyraz tak czulego przywiązania, że po raz. pierwszy w czasie pobytu u jezuitów pan Hardy poczuł, jak ożywcze ciepło powoli przenika do jego serca; zdawało mu się, że ożywczy promień słońca rozproszył wreszcie zimną mgłę, która tak długo go otaczała... Podał rękę Agrykoli i rzekł wzruszony:

– Dziękuję... dziękuję, mój przyjacielu!... To nowy dowód twego przywiązania... Twój żal... rozrzewnia mnie... smutno mi, ale nie ciężko, przeciwnie, czuję się nawet lepiej.

– Błagam pana, przeczytaj ten list. Panna de Cardoville kazała mi, abym zaręczył na wszystko, co zawiera.

Ulegając usilnym prośbom Agrykoli, pan Hardy niemal odruchowo wziął list, rozpieczętował i zaczął czytać. Powoli na jego twarzy ukazała się radość, wdzięczność i prawie uniesienie. Kilkakrotnie przerywał czytanie i zwracając się do Agrykoli, powtarzał:

– To piękne!... Szlachetne!..

Skończywszy czytać, westchnął smutno i rzekł:

– Jakie piękne serce! Ile dobroci, rozsądku! Jakie wzniosłe myśli! O, nigdy nie zapomnę jej wspaniałych ofiar. Daj Boże, żeby choć ona była szczęśliwa... na tym opłakanym świecie.

– Powrócić do świata, w którym tyle ucierpiałem! Opuścić to spokojne, ciche ustronie! – mówił w zadumie – Nie... nie mogę... nie powinienem!

– O! Ja sam nie spodziewałem się przekonać pana – zawołał kowal z wzrastającą nadzieją i przyprowadziłem potężniejszego pomocnika – aby dokończył dzieło zaczęte przez mnie, rozkaż, a przyjdzie tu.

– O kim mówisz, przyjacielu?

– I tę szczęśliwą myśl poddała nam panna Cardoville, dowiedziawszy się, w czyje dostałeś się ręce; znając przebiegłość i chytrą otaczających ciebie, rzekła:

„Znam człowieka, którego święte powołanie powinno natchnąć pana Hardy pełnym zaufaniem. Nieprzeciętny ten człowiek jest naszym krewnym, on sam omal nie padł ofiarą naszych wrogów”.

– Ale kim jest ten człowiek? – zapytał Hardy.

– Ksiądz Gabriel de Rennepont, mój przybrany brat – zawołał kowal z dumą – szlachetny, pobożny człowiek. Ach, panie Hardy, gdybyś go wcześniej poznał, serce twoje zamiast rozpacz, opanowałaby nadzieja. Jego pociecha zwyciężyłaby twój ból.

– Gdzie jest ten ksiądz? – zapytał pan Hardy.

– Tam, w przedpokoju. Ksiądz d’Aigrigny, ujrawszy go ze mną, wpadł w wściekłość: kazał nam pójść precz; ale mój dobry Gabriel odpowiedział, że może wypadnie mu rozmówić się z panem w bardzo ważnych sprawach i dlatego nie wyjdzie.

– Przyjacielu... nie... ja nie wiem... boję się – mówił pa Hardy z wzrastającym wahaniem, ale już ożywiony, pokrzepiony przyjazną postawą kowala, który, korzystając z tej chwili, pobiegnął ku drzwiom, otworzył je i zawołał:

– Gabrielu, bracie... mój drogi bracie, chodź tutaj. Pan Hardy chce się z tobą widzieć!

– Przyjacielu – odparł pan Hardy, jeszcze wahając się, ale jakby rad z tego, że Agrykola nie czekał jego odpowiedzi: – Przyjacielu, co robisz?

– Wzywam naszego wspólnego obrońcę! – odpowiedział Agrykola, nie posiadając się z radości i przekonany o pomyślnym skutku wdania się Gabriela w tę sprawę.

Wkrótce do pokoju wszedł Gabriel.



## ROZDZIAŁ VII

### PRAWDZIWI CHRZEŚCIJANIN

Powiedzieliśmy już, że przy wielu pokojach, które zajmowali lokatorzy domu jezuitów, umieszczone były różne kryjówki, a to dla ułatwienia szpiegowania, którego ani na chwilę nie zaniechali ci szanowni ojcowie wobec swych pensjonariuszy: tak było i z panem Hardy; obok jego mieszkania urządzono tajemną kryjówkę, w której pomieścić się mogły dwie osoby.

W kryjówce znajdowali się Rodin i ksiądz d'Aigrigny. Obaj weszli tu w połowie rozmowy Agrykoli z panem Hardym. Dzięki niezłomnej wytrwałości swego charakteru, który dał mu dość sił do wytrzymania straszliwie bolesnej kuracji doktora Baleiniera, Rodin nie lękał się już o swoje zdrowie.

Ksiądz d'Aigrigny, niespokojny, zzymający się ze złości, patrząc na Rodina, rzekł po cichu:

– Gdyby nie piekielny list panny de Cardoville, usiłowania kowala nic by nie wskórały. Ta przeklęta dziewczyna będzie zawsze i wszędzie przeszkodą, o którą rozbijać się będą wszystkie nasze zabiegi! Ach! Mój ojciec, rozpacz mnie ogarnia o przyszłość.

– Nie ma powodu – odparł oschle Rodin – byle tylko w arcybiskupstwie nie zwlekano ze spełnieniem moich rozkazów! – A jeżeli, na nasze nieszczęście, to nastąpi?

– I wtedy jeszcze poradzę wszystkiemu... lecz w takim razie koniecznie, najdalej za pół godziny, muszę mieć w rękę papiery, o których mówiłem.

– Już od dwóch, trzech dni powinny być gotowe i podpisane, gdyż stosownie do danego mi polecenia, pisałem je tego samego dnia, w którym stawiano moksy wielebnemu ojcu... i...

Rodin, zamiast prowadzić dalej rozmowę, wlepił oczy w ukryty w ścianie otwór i zaczął przypatrywać się pilnie, co działo się w pokoju obok, potem kiwnął ręką na księdza d'Aigrigny, aby nic nie mówił.

Obaj, zaczajeni w kryjówce, wypatrzyli każde poruszenie i wysłuchali każde słówko z następującej rozmowy:

– Otóż... proszę pana, mój brat – rzekł Agrykola do pana Hardy'ego, przedstawiając mu Gabriela – to najlepszy, najgodniejszy ksiądz, jakiego może pan sobie wyobrazić... Racz go wysłuchać, a odrodzisz się nadzieją, szczęściem i zostaniesz nam przywrócony. Posłuchaj go, a zobaczysz, jak on zedrze maskę zwodzicielom, którzy cię oszukują; tak, tak, zedrze im maskę, bo on także był ofiarą tych nędzników, prawda, Gabrielu?

Młody misjonarz skinął głową na kowala, aby miarkował swoje uniesienie i odezwał się do pana Hardy miłym głosem:

– Jeżeli w swym przykrym położeniu uzna pan za pożyteczne rady brata w Chrystusie, jestem na pańskie usługi... A zresztą, pozwól pan sobie powiedzieć, że mam dla niego wielki szacunek i jestem szczerze życzliwy.

– Mnie, mości księżu? – rzekł pan Hardy.

– Wiem, panie – odparł Gabriel – o twojej dobroci dla mego przybranego brata; znana jest mi pańska życzliwość i nieoszacowana

troskliwość o dobro jego pracowników, oni też kochają i uwielbiają pana; oby ich szczerą wdzięczność, oby wewnętrzne przeświadczenie, że byłeś miły Bogu, którego nieskończona dobroć cieszy się wszystkim, co dobre, była dla pana nagrodą za wszystko, co dla nich uczyniłeś, oby stała się zachętą do dobrodziejstw, jakie im jeszcze wyświadczysz...

Pan Hardy przez chwilę pogrążył się w myślach, jakie wzbudziły w nim słowa księdza Gabriela. Podczas jego milczenia Agrykola niechcący rzucił oczyma na niektóre maksymy, porozwieszane po ścianach pokoju; chwyciwszy Gabriela za rękę, zawołał, wskazując na ściany:

– Mój bracie... poczytaj to... pojmiesz, co to wszystko znaczy... Jaki człowiek, mój Boże, pozostawiony sam jeden z tak smutnymi zasadami, nie wpadłby w rozpacz najstraszniejszą i może nawet nie posunął się do samobójstwa?... Ach! To okropne to niegodziwość – dodał z oburzeniem – przecież to moralne zabójstwo.

– Jesteś młody, mój przyjacielu – odparł pan Hardy, smutnie potrząsając głową – byłeś zawsze szczęśliwy; lecz dla mnie, niestety... i prawdopodobnie dla wielu ludzi są aż nadto prawdziwe; na tym świecie wszystko jest nicością, niedołą, udęczeniem, bo człowiek na to się urodził, aby cierpieć!... Nieprawda, czcigodny księżu? – zwrócił się do Gabriela.

Ten także przypatrywał się „radom”, które wskazywał mu kowal; młody ksiądz nie mógł się wstrzymać od gorzkiego uśmiechu, pomyślawszy, jak haniebną rachubę miano na celu w wyborze podobnych zasad. Odpowiedział:

– Nie, nie, panie, nie wszystko jest na tym świecie nicością, kłamstwem, niedołą, obłudą... Nie... Bóg, którego najwyższą istotą jest ojcowska dobroć, nie ma upodobania w cierpieniach swych stworzeń, które chciał mieć kochającymi się nawzajem i szczęśliwymi...

– Ach! Mój bracie – dodał, wskazując na maksymy, porozwieszane na ścianach – co to za fałszywy kierunek nadano świętym słowom.

Tu są myśli zemsty, wzdardy, śmierci, rozpaczy, kiedy przeciwnie, słowa Chrystusa tchnęły pokojem, przebaczeniem, miłością i nadzieją...

– Och! Wierzę ci, księżu... – zawołał pan Hardy w uniesieniu – wierzę i muszę wierzyć.

– Och, mój bracie!... – odparł Gabriel, coraz bardziej wzruszony – Wierz mi, że Bóg zawsze jest dobry, litościwy, kochający ludzi; wierz w Boga, który ubolewa nad swymi dziećmi. Nie potrzebuje on naszego poniżenia i bezczynności!... Nie, nie tak Bóg chce!... Wstań, mój bracie... – dodał, biorąc serdecznie za rękę pana Hardy’ego, który wstał, jakby był posłuszny szlachetnemu magnetyzmowi – Wstań... bracie, wszyscy robotnicy błogosławią cię i wzywają: porzuć ten grób... chodź... chodź na otwarte powietrze... na słońce... porzuć to duszące powietrze, a idź na zdrowe, ożywiające, pełne swobody; porzuć to ponure więzienie, a chodź do domu ożywionego śpiewami robotników; chodź do tego ludu pracowitego; otoczony przez matki, dzieci, starców, witających cię z płaczem radości; gdy wrócisz, tam zmartwychwstaniesz, tam się znowu odrodzisz; wtedy poczujesz, że Bóg wybrał cię dla niesienia szczęścia bliźnim.

– Gabrielu... mówisz prawdę... tobie to... Bogu... nasi robotnicy winni będą powrót swego dobroczyńcy – zawołał Agrykola, rzucając się w objęcia Gabriela i z rozczuleniem przyciskając go do serca. – Ach! Teraz się już niczego nie boję... znowu odzyskamy naszego dobroczyńcę!

– Tak, masz rację; to jemu winien będę... jemu, zacnemu kapłanowi, winien będę moje zmartwychwstanie... tu bowiem byłem żywcem pogrzebany w grobie – rzekł pan Hardy stając prosto na nogach, z zarumienioną twarzą, rześkim spojrzeniem, on, co przed chwilą jeszcze był taki blady, taki złamany.

– Tak więc... nareszcie mamy pana naszego dobrodzieja – zawołał kowal – teraz już w to nie wątpię.

– Pomówimy o tym wszystkim z twoim godnym, szlachetnym bratem – rzekł pan Hardy. – Idź, proszę cię, podziękuj pannie de Cardoville i powiedz jej, że jeszcze tego wieczora będę miał zaszczyt odpisać jej.

– Ach, panie, nie posiadam się z radości, serce mi mało nie wyskoczy – cieszył się Agrykola, chwytając się na przemian za serce, to za głowę i nie wiedząc; potem raz jeszcze uściśkał Gabriela i szepnęła mu do ucha:

– Najdalej za godzinę... wrócę... ale już nie sam... z towarzyszami... zobaczysz... nie mów nic panu Hardy; już ja wiem, co zrobię.

I odszedł, nie posiadając się z radości. Ksiądz Gabriel i pan Hardy pozostali sami.

\* \* \*

Całej tej scenie przyglądali się, zaczajeni w kryjówce, Rodin Hardy i ksiądz d'Aigrigny.

– Co wasza wielbność o tym myśli? – rzekł ksiądz d'Aigrigny.

– Ja myślę, że zbyt spóźniają się z przysłaniem papierów z arcybiskupstwa i że ten here-  
tyk-misjonarz może wszystko zniweczyć – odparł Rodin, gryząc do krwi paznokcie.

## ROZDZIAŁ VIII

### WYZNANIE

Gdy Agrykola wyszedł, pan Hardy, podchodząc do Gabriela, rzekł:

– Mości księżu...

– Proszę mówić, mój bracie... nadałeś mi to imię... trzymam się go – odpowiedział młody misjonarz, podając rękę panu Hardy'emu.

Ten ścisnął ją serdecznie i rzekł:

– Więc dobrze, mój bracie, twoje słowa dodały mi otuchy, przypomniały mi obowiązki, które w zmartwieniu zaniedbałem; oby mi teraz nie zabrakło sił w nowych przedsięwzięciach... bo, niestety, nie wiesz jeszcze o wszystkim.

– Co przez to chcesz powiedzieć?... – spytał Gabriel z ciekawością.

– Posłuchaj mnie, mój bracie – mówił Hardy – całą moją tkliwość, poświęcenie, wszystko, co mi w sercu pozostało, zawarłem w dwóch istotach: w przyjacielu, którego uważałem za szczerego i w delikatniejszym jeszcze przywiązaniu... przyjaciel zawiódł mnie w przykry sposób... i w kobiecie, która poświęcając dla mnie swoje obowiązki, miała tyle odwagi i za to ją tym bardziej szanuję, że naszą miłość poświęciła spokojowi swej matki i na zawsze opuściła Francję... Niestety! Obawiam się, aby to zmartwienie nie okazało się zbyt trudne do ukojenia i żeby nie pozbawiło mnie sił na drodze nowych przedsięwzięć, które zamierzam podjąć. Wyznaję moją słabość... jest wielka... i przeraża mnie tym bardziej, że nie wolno mi pozostać bezczynnym odludkiem, dopóki jeszcze zdołam zrobić cokolwiek dla ludzkości! Oświeciłeś mnie, mój bracie, na drodze moich powinności... czuję jednak, że siły mnie opuszczają, gdy chcę wyjść na ten świat, pusty i zimny dla mnie na zawsze.

Potem, wstydzając się tego powrotu słabości, dodał żalonym głosem, zasłaniając twarz rękami:

– O! Wybacz... wybacz moją słabość... Ale gdybyś wiedział, co to jest biedna istota, która żyła tylko sercem, a której naraz wszystkiego zabrakło! Cóż powiesz; szuka wszędzie, wokół siebie, do czego by się mogła przywiązać, i jej wahania, jej niepewność, nawet jej bezwładność... wierz mi, są godniejsze litości niż wzgardy.

W tym pokornym wyznaniu było coś tak wzruszającego, tak przemawiającego do serca, że ksiądz Gabriel rozczulił się prawie do łez.

– O! Zobaczysz, przekonasz się – odparł z uniesieniem – jak słodka czeka cię radość. Modlić się za to, co się kocha... modlić się za to, co się kochało... a tak, po co dręczyć się wspomnieniami o kobiecie, którą kochałeś, której miłość była ci tak droga?... Dlaczego odpychać od siebie to wspomnienie? Ach, mój bracie, przeciwnie, daj przystęp tej myśli, żebyś ją oczyścił... spraw, aby po miłości ziemskiej nastąpiła miłość niebiańska... miłość chrześcijańska, miłość brata dla siostry... A potem, jeżeli ta kobieta była występna, jakże miło ci będzie modlić się za nią... a Bóg, wzruszony twymi modlitwami, przebaczy jej błędy. Czy nie jest to wielką pociechą?...

– Ach, rozumiem cię! – zawołał pan Hardy – Modlić się... to to samo co kochać... modlić się, to przebaczać... – zamiast złorzeczyć... to mieć nadzieję, zamiast rozpaczać; wreszcie modlitwa... to łzy, spadające na serce jak dobroczynna rosa... zamiast łez, co je pieką... Tak, rozumiem cię, ty nie mówisz: cierpieć znaczy to samo, co modlić się... Masz rację, gdy mówisz: mieć nadzieję, przebaczać, to modlić się... tobie więc winienem, że wrócę teraz znowu do życia, bez żadnej obawy...

Potem, ze łzami w oczach, pan Hardy wyciągnął rękę do Gabriela, wołając:

– Ach! Mój bracie... Ocaliłeś mnie, tobie zawdzięczam powrót do życia.

\* \* \*

Rodin i ksiądz d'Aigrigny, jak wiadomo, z ukrycia towarzyszyli tej scenie; Rodin, chciwie się przysłuchując, nie opuścił ani słowa. W chwili, kiedy Gabriel i pan Hardy rzucili się sobie w objęcia, Rodin oderwał swoje jaszczurcze oczy od otworu, przez który im się przypatrywał. W twarzy jezuita można było wyczytać wyraz szatańskiej radości i triumfu. Przeciwnie, ksiądz d'Aigrigny, którego zmieszało zakończenie tej sceny, nie pojmując uradowanej miny swego towarzysza, przypatrywał mu się z wielkim zdziwieniem.

– Mam sposób! – rzekł nagle Rodin krótkim, stanowczym głosem.

– Co wielbny ojciec przez to rozumie? – spytał zdumiony ksiądz d'Aigrigny.

– Trzeba posłać, tylko natychmiast, po powóz i konie.

– A na co powóz i konie? – zapytał d'Aigrigny.

– Żeby wywieźć pana Hardy'ego.

– Wywieźć? – odparł ksiądz d'Aigrigny, sądząc, że Rodinowi coś się pomieszało w głowie.

– Tak – powtórzył Rodin – Wasza wielbność zawiezie go wieczorem do Saint-Herrem.

– Jego?... Do tej odludnej pustyni?

I księdzu d'Aigrigny zdawało się, że śni...

– Tak... tak... pana Hardy'ego... teraz... kiedy dopiero co Gabriel...

– Nie minie godzina, a pan Hardy będzie błagał na klęczkach, abym wywiózł go z Paryża, na koniec świata, na pustynię, gdziekolwiek...

– A Gabriel?...

– A list, który mi przyniesiono przed chwilą z arcybiskupstwa?...

– Ale niedawno mówiłeś, Wasza wielbność, że jest już za późno, skąd teraz...

– Niedawno jeszcze nie znałem sposobu... teraz mam go – rzekł krótko Rodin.

Po tych słowach opuścili kryjówkę.

## ROZDZIAŁ IX

### ODWIEDZINY

Zbyteczna może będzie uwaga, że Gabriel przez wrodzoną skromność ograniczył się do użycia samych szlachetnych sposobów, aby wyrwać pana Hardy'ego z zabójczego wpływu jezuitów; wielka i piękna dusza młodego misjonarza nie chciała poniżyć się do wyjawiania ich podłych intryg. Użyłby tego ostatecznego sposobu wtedy, gdyby przenikliwie, zbawienne słowa nie zdołały przełamać zaślepienia fabrykanta.

– Praca, modlitwa i przebaczenie! – mówił z uniesieniem pan Hardy, ściskając Gabriela – Tymi trzema słowami przywróciłeś mi życie i nadzieję...

Ledwie wymówił te słowa, gdy otworzyły się drzwi; wszedł służący i w milczeniu podał młodemu księdzu list w wielkiej kopercie i natychmiast wyszedł bez słowa. Gabriel, nieco zdziwiony, wziął list i najpierw spojrzał nań od niechcenia; potem, spostrzegłszy szczególną pieczęć, śpiesznie otworzył kopertę, wyjął z niej i przeczytał pismo złożone w kształcie urzędowej depeszy, na której widniała pieczęć z czerwonego laku.

– O mój Boże!... – zawołał z przykrością.

Potem zwrócił się do pana Hardy'ego, który stał zamyślony

– Daruj mi pan...

– Co się stało? Odebrałeś jaką nieprzyjemną nowinę?... spytał z zajęciem pan Hardy.

– Tak... bardzo smutną... – rzekł ksiądz Gabriel zmartwiony.

Potem dodał mówiąc do siebie:

– Więc po to... wezwano mnie do Paryża... mój Boże... nie raczono nawet zapytać mnie ani pozwolono wytłumaczyć i wydano na mnie wyrok, nie dając możliwości usprawiedliwienia się.

Po krótkim milczeniu westchnął, z zupełnym poddaniem się woli boskiej:

– Mniejsza o to... powinienem być posłuszny... będę posłuszny... jak nakazują moje śluby.

Pan Hardy, patrząc na młodego księdza z niespokojną ciekawością i zdziwieniem, rzekł z przejęciem:

– Opuuszczasz mnie, Gabrielu... znowu zostawiasz mnie samego?

– Tak mi nakazuje konieczność. Chciałbym jednak dowiedzieć się, w jaki sposób ten list do mnie tu się dostał... Poza tym muszę być posłuszny odebranemu rozkazowi... Mój brat, Agrykola, przyjdzie tu niebawem; powie mi o twoim postanowieniu i wskaże mieszkanie, w którym znowu będę mógł widywać się z tobą, jeżeli zechcesz.

Pan Hardy nie śmiał więcej nalegać, aby mu ksiądz Gabriel odkrył powód swego zmartwienia i odpowiedział:

– Pytasz, kiedy się znowu zobaczymy? Już jutro, bo zaraz dziś opuszczę ten dom.

– A więc do jutra, mój bracie – rzekł Gabriel, ściskając rękę pana Hardy.

– Do widzenia... do jutra, mój drogi zbawco! O, nie zapomnij tylko przyjść, bo ja jeszcze bardzo będę potrzebował twej pomocy, gdy przyjdzie mi stawiać pierwsze kroki w otwartym świecie... ja, co byłem tak długo unieruchomiony w ciemnościach...

– A więc do jutra – rzekł Gabriel – a tymczasem: odwaga, nadzieja i modlitwa...

Może kwadrans upłynął od wyjścia Gabriela, gdy wszedł służący i oddał list.

– Od kogo ten list? – żywo zapytał pan Hardy.

– Od pensjonariusza tego domu, proszę pana – odpowiedział sługa, kłaniając się nisko.

Był to człowiek ponurej, podejrzanej fizjonomii, włosy miał gładko, płasko przylizane, mówił po cichu i zawsze miał oczy spuszczone; czekając na odpowiedź, złożył ręce na krzyż i kręcił palcami.

Pan Hardy rozpieczętował list i zaczął czytać:

„Panie!

Dopiero dziś, w tej chwili i to przypadkiem, dowiedziałem się, że razem z nim znajduję się w tym szacownym domu; długa choroba, którą przebyłem, zupełna samotność, w jakiej dotąd żyję, usprawiedliwia moją niewiedzę o naszym sąsiedztwie. Chociaż tylko raz w życiu spotkaliśmy się z sobą, jednak okoliczność, która niedawno pozwoliła mi widzieć pana, była dla niego tak ważna, iż nie sądzę, abyś pan o niej zapomniał.

Ta właśnie okoliczność wzbudziła we mnie tak głębokie i pełne szacunku uczucie dla pana, iż nie mogę przewyciężyć chęci przesłania mu mego uszanowania, zwłaszcza kiedy się dowiaduję, że dziś opuszcza pan ten dom, jak mi o tym doniósł Gabriel, człowiek, którego uwielbiam i jak tylko można, najbardziej szanuję.

Mam nadzieję, że w chwili, kiedy opuszcza pan ten dom i wraca do świata, mogę spodziewać się, że przyjmie pan łaskawie moją prośbę, może natrętną prośbę biednego starca, skazanego na głęboką samotność, który nie może już mieć nadziei spotkania się z panem pośród odmetów świata, który na zawsze opuścił...

Oczekując pańskiej odpowiedzi miło mi jest zapewnić pana o moim uczuciu wysokiego szacunku, z jakim pozostaję

Jego najniższym sługą  
*Rodin.*”

Po przeczytaniu tego listu i złożonego pod nim podpisu; pan Hardy usiłował przypomnieć sobie nadawcę, ale nadaremnie; badał różne okoliczności swego życia, które mogłyby mieć jakiś związek z tym listem, nie mógł jednak sobie przypomnieć, żeby kiedyś miał do czynienia z osobą o takim nazwisku.

Po długim zamyśleniu rzekł do służącego:

– Czy to pan Rodin dał ci ten list i polecił zanieść do mnie?

– Tak, panie.

– A... któż to jest ten pan Rodin?

– Jest to zacny staruszek, który niedawno wyszedł z ciężkiej i długiej choroby, która o mało go nie sprzątnęła. Dopiero od kilku dni zaczął przychodzić do zdrowia, ale zawsze jest taki smutny, taki słaby, iż przykro patrzeć na niego, i to wielka szkoda, bo nie ma w całym domu tak godnego, tak poczciwego człowieka... z wyjątkiem chyba pana dobrodzieja, który jest równie dobry jak pan Rodin – dodał służący kłaniając się z pochlebną miną.

– Proszę przekazać panu Rodinowi, że jeżeli zechce pofatygować się do mnie, będę go oczekiwał.

– Pójdę go natychmiast zawiadomić – rzekł służący i ukłoniwszy się wyszedł.

Wkrótce wrócił i rzekł:

– Pan Rodin jest w przedpokoju, proszę pana.

– Poproś go tutaj.

Rodin wszedł, ubrany w czarny sukienny szlafrok, trzymając w ręku starą jedwabną czapkę.

Miało się ku wieczorowi. Pan Hardy wstał i wyszedł naprzeciw Rodinowi, którego twarzy jeszcze nie mógł rozpoznać; lecz gdy wielebny ojciec zbliżył się do okna, gdzie było więcej światła, pan Hardy, lepiej się przypatrzawszy, nie mógł wstrzymać lekkiego okrzyku zdziwienia, przypomniawszy sobie przykre, pamiętne dla niego zdarzenie.

## ROZDZIAŁ X

### MODLITWA

Przypomnijmy, że Rodin pojechał do pana Hardy'ego, do fabryki, z wizytą, żeby odkryć mu niegodziwą zdradę Blessaca; był to straszny cios dla pana Hardy'ego, po którym zaledwie w kilka minut doznał drugiego, nie mniej dotkliwego, bowiem w obecności Rodina dowiedział się o niespodziewanym odejściu kobiety, którą ubóstwiał. Można zatem wyobrazić sobie, jak okrutna musiała być dla niego obecność Rodina, skoro przypominała mu tak bolesne wydarzenia. Uspokoiwszy się, rzekł do Rodina ze smutkiem:

– W rzeczy samej, nie spodziewałem się spotkać pana w tym domu.

– Niestety! – odparł Rodin z westchnieniem – Ja również nie spodziewałem się aby tu zakończyć moje smutne życie, gdy pojechałem, nie znając pana, w zamiarze przysłużenia się uczciwemu człowiekowi...

– Istotnie, wielką mi pan wtedy wyświadczył przysługę... i może w owej tak przykrej dla mnie chwili nie dość wyraziłem swoją wdzięczność... bo w tej samej chwili, kiedy odkrył mi pan zdradę pana Blessac...

– Zasmuciła pana inna bardzo dotkliwa wiadomość – przerwał Rodin – nie zapomnę nigdy owej biednej, przerażonej kobiety, która, nie zważając na moją obecność, przybyła, aby zawiadomić pana, że osoba bardzo mu bliska nagle wyjechała z Paryża.

– Tak, i zapomniawszy pożegnać się z panem, spiesznie wyjechałem – dodał pan Hardy, smutnie zamyślony.

– Czy wie pan – rzekł Rodin po krótkim milczeniu – że zdarzają się czasami dziwne zbiegi okoliczności?

– O jakich okolicznościach pan mówi?

– Wtenczas właśnie, kiedy przyszedłem aby przestrzec pana, że go zdradzono, i to tak haniebnie... ja sam także...

I Rodin zaciął się, jak gdyby nie pozwalało mu mówić jakieś gwałtowne wzruszenie; na jego twarzy, malowała się tak wielka udręka, że pan Hardy rzekł z politowaniem:

– Cóż to panu?...

– Daruj mi pan – odparł Rodin, gorzko się uśmiechając. – Dzięki szlachetnym radom księdza Gabriela zdołałem pojąć, co to jest rezygnacja; przy tym jednak, czasami jeszcze, przy pewnych wspomnieniach, czuję dotkliwe udręki. Mówiłem więc panu – rzekł nieco pewniejszym głosem – że nazajutrz, kiedy przybył do pana, aby powiedzieć, że zwodzą pana... ja sam padłem ofiarą obrzydłego oszustwa. Przybrany syn, biedne, opuszczone dziecko, które przyjąłem za swoje... – tu znowu się zaciął, drżącą ręką przetarł oczy i rzekł: – Przebacz mi... że mówię mu o zmartwieniach, zgoła dla pana obojętnych... Przebacz pan natrętne żale biednego, znękanego starca...

– Panie! Zbyt wiele sam wycierpiałem, żeby czyjeś zmartwienie mogło być mi obojętne – odpowiedział pan Hardy. – Zresztą pan nie jesteś dla mnie obcy... wyświadczyłeś mi prawdziwą przysługę... i obaj czujemy wielki szacunek dla młodego księdza...

– Dla księdza Gabriela! – zawołał Rodin, przerywając mu. – Ach! Panie! To mój zbawca... mój dobroczyńca... Gdyby pan wiedział o jego poświęceniu dla mnie, o jego troskliwości podczas mojej długiej choroby, której mnie nabawiło okropne zmartwienie... gdyby pan wiedział, jak życzliwe i pocieszające dawał ani rady!...

– Czy ja o tym nie wiem?... Ach, panie – zawołał pan Hardy – wiem... wiem bardzo dobrze, jak zbawienne są jego rady.



– Prawda, że nauki pochodzące z jego ust pełne są łaskawości i słodyczy – mówił Rodin z uniesieniem – prawda, że są pocieszające? Uczą kochać, wzbudzają nadzieję, zamiast wpajać obawę i strach?

– O! Modlitwa, modlitwa... to ksiądz Gabriel objawił mi całą jej moc i dobrodziejstwo, lecz zarazem straszne obowiązki, jakie na nas wkłada.

– Rzeczywiście... obowiązki te są wielkie i święte... odparł pan Hardy z zamyśleniem.

– Czy zna pan życie Rance'a? – spytał nagle Rodin.

– Założyciela opactwa trapistów? – rzekł Hardy, zdziwiony pytaniem – Słyszałem kiedyś o pobudkach jego nawrócenia.

– Właśnie nie miał żadnych pobudek, nie wie pan o tym? Jest to tym bardziej zadziwiający przykład potęgi modlitwy... i niemal boskiego stanu zachwyty, do którego można doprowadzić dusze religijne... Taka jest pouczająca, tragiczna historia pana Rance'a... Lecz daruj mi pan... boję się, abym nie nadużył jego cierpliwości i nie zabrał mu drogiego czasu...

– Ależ z ciekawością wysłucham pana.

– Pan Rance był człowiekiem światowym – zaczął Rodin, pilnie wpatrując się w pana Hardy'ego. – Człowiek wojskowy, młody, gorący, piękny, kochał się w pannie wysokiego urodzenia. Co stało na przeszkodzie ich połączeniu, tego nie wiem; to tylko wiadomo, że miłość ich była skryta, ale szczęśliwa; pan Rance co wieczór odwiedzał potajemnie swoją kochankę. Była to, jak mówią, owa namiętna miłość, jakiej tylko raz doświadcza się w życiu. Sama nawet tajemnica i ofiara, jaką czyniła z siebie nieszczęśliwa dziewczyna, zapominając o wszelkich obowiązkach i zasadach, zdawały się nadawać jeszcze większy urok tej występnej miłości. Tak więc, w cieniu tajemnicy, kochankowie spędzili dwa lata w szale serca, w upojeniu rozkoszy.

Słyszając te słowa pan Hardy poczuł gorący dreszcz, pierwszy raz od dawna czoło jego okrył piekący rumieniec; mimo woli gwałtownie zabiło mu serce; przypomniał sobie, że jeszcze niedawno doznawał podobnego szału gorącej, utajonej miłości.

Zaczynało się ściemniać, Rodin jednak, rzuciwszy z ukosa okiem na pana Hardy'ego, spostrzegł, jak jego słowa sprawiły na nim mocne wrażenie, więc mówił dalej:

– Czasem jednak, pomny na niebezpieczeństwo, grożące jego kochance, gdyby związek ich został odkryty, Rance chciał go zerwać, lecz dziewczyna upojona miłością rzuciła się na szyję kochanki, groziła mu w słowach pełnych namiętności, że wyjawí wszystko, że nie będzie na nic zważała, gdyby pomyślał o porzuceniu jej. Rance, zbyt zakochany, żeby oprzeć się natarczywym prośbom kochanki, ulegał jej i oboje, idąc za popędem rozkoszy, zapominali o całym świecie. Nadszedł nieszczęsny dzień: pan Rance, zmuszony pójść na wojnę, opuszcza ukochaną; lecz po krótkotrwałej wyprawie wraca, bardziej jeszcze niż przedtem rozkochany.

Napisał do niej potajemnie, że przybędzie niemal równocześnie ze swym listem i tak się stało; było to w nocy; idzie ukrytymi schodami, prowadzącymi do kochanki, wchodzi, mając serce przepelnione radością. Lecz... kochanka... właśnie tego dnia rano zmarła.

– Ach!... – zawołał pan Hardy, z przerażenia zakrywając twarz.

– Tak... umarła – ciągnął Rodin – leżała na katafalku. Dwie świece paliły się obok; Rance nie wierzy, nie chce uwierzyć, że umarła; pada na kolana przed katafalkiem; w zaślepionej miłości bierze rękoma tę piękną, tak ukochaną, ubóstwianą głowę, chce ją ucałować... Lecz głowa ta odłącza się od reszty ciała... i pozostaje mu w ręku... Tak – mówił Rodin, widząc, że Hardy zbladł, osłupiał z przestachu – tak, umarła tak nagle, tak niespodziewanie, że nie zdążono nawet opatrzyć jej na śmierć sakramentami. Po śmierci lekarze chcąc przekonać się o nieznanym przyczynie zgonu, odbyli sekcję na jej pięknym ciele.

Pan Hardy, miotany różnego rodzaju wrażeniami i myślami, już to o śmierci, już o rozkoszy, o miłości, to znowu o strachach, okropnościach, nie wiedział, co się z nim dzieje i osłupiał chwytając słowa Rodina z ciekawością, udręką i trwożą.

– A Rance? – rzekł wreszcie zmienionym głosem, ocierając czoło, zroszone zimnym potem.

– Rance – mówił dalej Rodin – wyrzekł się świata, zamknął się na osobności, tak iż żywy duch nie mógł się do niego dostać. Straszne były te pierwsze dni jego samotności... krzyczał w rozpacz i szaleństwie, tak, iż z daleka można go było słyszeć... dwa razy chciał odebrać sobie życie, aby uniknąć strasznych widm...

– Miał widzenia – rzekł pan Hardy, z coraz większym zaciekawieniem i przestraszaniem.

– Tak – mówił uroczyście Rodin – i to straszne widzenia.

Dziewczyna z jego powodu zmarła w grzechu śmiertelnym, pokazywała mu się wśród wiecznego ognia? Na niegdyś tak pięknej, a teraz zeszepeconej piekielnymi mękami twarzy, widział rozpaczliwy uśmiech potępieńców... Zgrzytała zębami, załamywała ręce z bóleści. Płakała krwawymi łzami i zrozpaczonym głosem krzyczała na swego uwodziciela: Bądź przeklęty, ty, który mnie zgubiłeś... przeklęty... przeklęty...

Wymawiając ostatnie słowa, Rodin postąpił ku panu Hardy, za każdym krokiem grożąc gestami. Pan Hardy, złożony ręce, wytrzeszczając oczy ze strachu, cały drżąc, zdawał się jeszcze słuchać Rodina, chociaż ten już przestał mówić... i nie myśląc o tym, powtarzał: Przeklęty!... Przeklęty!... Przeklęty!...

Nagle zawołał jakby w obłąkaniu:

– I ja także... będę pewno przeklęty! Ta kobieta, której dałem powód do zapomnienia o świętych obowiązkach, którą uczyniłem śmiertelnie grzeszną w oczach boskich... ta kobieta, kiedyś również pogrążona w wiecznych płomieniach, załamując ręce z rozpacz, płacząc krwawymi łzami... z głębi piekła będzie wołać na mnie: ...Przeklęty... przeklęty... przeklęty! Kiedyś – dodał z wielkim strachem – kiedyś... a kto wie, może już teraz, może w tej chwili, przeklina mnie... gdyż podróż przez ocean... może była nieszczęśliwa! Może utonęła! Może okręt rozbił się! Któż to wie? O, mój Boże!... Może i ona już nie żyje... może umarła... a umarła w śmiertelnym grzechu... potępiona! Przebóg!... Zlitujcie się... nad nią... nieszczęśliwą... nieszczęśliwą przeze mnie... Ach, mój Boże!... Niech cały twój gniew spadnie na mnie, byleś ulitował się nad nią... to ja jestem winien... ja zgrzeszyłem...

I jak obłąkany, załamując ręce, padł na kolana.

– Nasz anielski ksiądz Gabriel – rzekł znowu Rodin – mówił o słodczy modlitwy...

– Tak, tak... modlitwy...

– A więc, drogi panie, wysłuchaj mnie do końca a przekonasz się, że to modlitwa ocaliła pana Rance'a... i uczyniła go świętym. Owe straszne udręki, o których ci mówiłem, okropne widma... wszystko to rozproszyła, ukorzyła modlitwa, ona to zmieniła je w niebiańskie rozkosze. Rance, wycierpiawszy piekielne męki, dzięki modlitwie, jak mówił ksiądz Gabriel, doznał rajskiej pociechy...

– Rajskiej pociechy? – powtórzył pan Hardy, słuchając chciwie.

– Pewnego dnia, kiedy pogrążony był w największych męczarniach, pewien ksiądz... dobry ksiądz, drugi Gabriel, dostał się do pana Rance'a. O! Opatrzność!... W kilku dniach zapoznaje tego nieszczęśnika ze świętymi tajemnicami modlitwy... Zdawało się, jakby Rance został przemieniony... ustały jego udręki; modli się i im więcej się modli, tym bardziej jego żarliwość, jego nadzieja wzmagają się... czuje, że Bóg go wysłuchał. Zamiast zapomnieć o tej ukochanej kobiecie... spędza godziny na rozmyślaniu o niej, na modlitwach o jej zbawienie. Tak zamknięty w swej ciemnej celi, sam jeden, z tymi miłymi wspomnieniami, spędza dni, noce, na modleniu się za nią... w niewymownym, gorącym, że tak powiem, prawie... miłosnym zachwycie.

– Nie sposób opisać niemal zmysłową energię, z jaką Rodin wymówił słowa: miłosnym zachwycie.

– A co jeszcze robił... Co więcej robił w swej samotni? zawołał pan Hardy, całkiem już owładnięty przez jezuitę.

– Najpierw – rzekł Rodin, wymawiając z wolna słowo po słowie – zostaje... zakonnikiem.

– Zakonnikiem... powtórzył melancholijnie pan Hardy.

– Tak – ciągnął dalej Rodin – zostaje zakonnikiem, potem... ponieważ i w największej samotności jego myśl doznaje często roztargnienia z powodu spraw materialnych, zmysłowych, naznacza sobie posty, umartwienia, poskramia wszystko, co w sobie spostrzega cielesnego, aby się stać czystym duchem i żeby wydobywająca się z jego piersi modlitwa była piękna, czysta jak płomień i wznosiła się do stwórcy jak miła woń kadzideł...

– O! Jakie miłe... Jakie upajające marzenie! – zawołał coraz bardziej oczarowany pan Hardy – Byle tylko skutecznie modlić się za ubóstwianą kobietę... skazać siebie na męki, umartwiać ciało...

– Tak... tak – przerwał Rodin – ale bądź pewny, że to nie marzenie... Tak więc, po strasznych widzeniach, gdy został zakonnikiem, nastąpiły widzenia czarowne... Ileż to razy po całych dniach postów i przepędzeniu nocy na modlitwie, na umartwieniu ciała, upadł na posadzkę swej celi!... Wtedy po zniszczeniu materii następowało natężenie ducha... Niewysłowiona rozkosz ogarniała jego zmysły... niebiańskie śpiewy dochodziły do zachwyconego ucha... światło nie z tego świata przeniknęło zamknięte powieki; potem, po cudownych dźwiękach, tajemniczej muzyki, przy jasnym świetle, przy którym światło słoneczne jest blade, widział ukazującą mu się ubóstwianą kobietę... Dzięki modlitwom kochanka, których zbawiciel wysłuchał łaskawie, już nie płakała... nie załamywała pięknych rąk w piekielnych konwulsjach. Nie, nie... zawsze piękna... o, tysiąc razy piękniejsza niż była na ziemi... piękna wieczną pięknnością aniołów... uśmiechała się do swego kochanka z niewymowną tkliwością, mówiła do niego łagodnym, pełnym wdzięczności głosem:

Twoje modlitwy, twoje surowe życie ocaliły mnie...

I otoczona światłością, nie posiadając się z radości, nachylała się i swymi ustami pachnącymi nieśmiertelnością, dotykała warg zachwyconego zakonnika... niebawem dusze ich łączyły w pocałunkach rozkoszy gorącej jak miłość, czystej jak łaska, niezmiernej jak wieczność...

– Och!... zawołał Hardy, całkiem prawie obłąkany... – poświęciłbym całe życie na modlitwę... na posty, byłem mógł zasłużyć choć na jedną chwilę z tą, którą oplakuję... którą stale ubóstwiam....

Widząc, że pan Hardy znajduje się już w takim stanie, jak sobie życzył, wielbny ojciec zapukał dwa razy, oglądając się ku drzwiom. W tej chwili nieszczęsny kochanek, doszedłszy do najwyższego stopnia ekstazy, zawołał błagalnym, zdradzającym pomieszanie głosem:

– Celi... grobu... i nieziemskiego szczęścia z nią...

Otworzyły się drzwi i wszedł ksiądz d'Aigrigny, niosąc na rękę płaszcz. Za nim postępował służący z latarnią.

\* \* \*

W jakieś dziesięć minut po tej scenie, kilkunastu mężczyzn, silnych, o rumianych twarzach, prowadzonych przez Agrykolę, wchodziło na ulicę Vaugirard, zmierzając wesołym krokiem ku domowi wielbnych ojców jezuitów. Była to delegacja dawnych pracowników pana Hardy'ego; szli, chcąc mu podziękować za jego wkrótce spodziewany powrót; Agrykole szedł na czele. Wtem spostrzegł z daleka pocztowy powóz, wyjeżdżający z dziedzińca domu; konie biegły galopem, poganiane przez pocztyliona. Czy to przypadkiem, czy instynktownie, im bardziej powóz zbliżał się do nadchodzących robotników, tym mocniej ścisnęło się serce Agrykoli... Wreszcie uczucie to stało się tak silne, iż zamieniło się w straszne przypuszczenie i w chwili, kiedy powóz, którego okna były zasłonięte, miał przejeżdżać obok, kowal, idąc za przecuciem, zawołał, skoczywszy przed konie:

– Przyjaciele! Za mną!

– Pocztylion!... Dziesięć ludwików!... Szybciej!... Tratuj ich kołami, na nic nie zważaj! – zawołał z powozu d’Aigrigny.

Właśnie wtedy cholera zbierała największe żniwo; pocztylion słyszał o morderstwach, o trucicielach; przerażony niespodziewanym napadem Agrykoli, z całej siły uderzył go batem w głowę i zamoczony kowal upadł na bruk; spiąwszy konia, na którym siedział, ostrogami, a trzy pozostałe żywo zaciąwszy, pocztylion ruszył galopem i wkrótce powóz zniknął z pola widzenia, a tymczasem towarzysze Agrykoli, którzy nie zrozumieli ani jego zachowania, ani co do nich mówił, przyskoczyli do niego i zaczęli go cucić.

## ROZDZIAŁ XI

### WSPOMNIENIA

W kilka dni po tym nieszczęsnym wieczorze, kiedy udało się Rodinowi usunąć z Paryża pana Hardy'ego, zaszły jeszcze inne wypadki.

Marszałek Simon, od przybycia do Paryża, zamieszkiwał z córkami dom przy ulicy Trzech Braci. Powróciwszy do Paryża po długim wygnaniu, pomimo szczęścia z posiadania swych córek, głęboko przeżywał śmierć ich matki, którą kochał do szaleństwa.

Wkrótce też złośliwe zabiegi Rodina rzuciły ziarno niepokoju w jego duszę. Na skutek potajemnych intryg jezuitów prowadzonych na dworze i w Rzymie, jeden z emisariuszy, zdolny do wzbudzenia zaufania swymi dawnymi zasługami i dokumentując słowa świadectwami i dowodami, udał się do marszałka Simona z propozycją:

– Syn cesarza umiera jako ofiara chytrych planów. Ty, marszałku, jeden z najwierniejszych przyjaciół cesarza, ty jeden może zdołasz wyrwać nieszczęśliwego księcia z jego wolnego konania. Listy, które tu widzisz, dowodzą, że potajemnie będzie można skontaktować się z osobą, posiadającą największy wpływ wśród ludzi, otaczających króla rzymskiego, a ta osoba dałaby się nakłonić do ułatwienia księciu ucieczki. Możesz więc, za pomocą niespodziewanego, śmiałego kroku wydobyć księcia stąd, gdzie powoli umiera.

Niepewność, co mu wypada czynić, którą jeszcze pogarszały pewne okoliczności, o których później powiemy, przykre wspomnienie tragicznej śmierci ojca, który skonał na jego rękę, równie przykre wspomnienie o żonie, zmarłej na obcej ziemi i wreszcie zmartwienie, jakie co dzień dręczyło go, gdy widział coraz większy smutek Róży i Blanki, nie mogąc dojść jego przyczyny; wszystko to stanowiło udrękę marszałka Simona; dodajmy na koniec, że mimo wrodzonej odwagi, jakiej dał tyle świetnych dowodów w dwudziestoletnich wojnach, myśl o chorobie, której ofiarą padła jego żona, mimowolnie budziła w nim trwogę; ten żelazny człowiek, który w tylu bitwach gardził śmiercią, czuł nieraz, jak chwiały się jego niezłomny charakter, na widok klęski, jaka okrywała żałobą cały Paryż.

Gdy jednak panna de Cardoville zgromadziła wokół siebie członków rodziny, aby ich uzbroić przeciwko intrygom wspólnych nieprzyjaciół, serdeczność Adrianny dla Róży i Blanki zdawała się wywierać na ich troski tak zbawienny wpływ, iż marszałek, zapominając na chwilę o przykrych myślach, zaczynał się cieszyć tą szczęśliwą przemianą.

## ROZDZIAŁ XII

### GAPA

Wybiła druga po południu.

Drzwi domku, w którym mieszkał marszałek Simon ukryte w ścianie, wychodzące do sionki, skąd prowadziły na podwórko, otworzyły się powoli i wszedł nimi jakiś mężczyzna; niósł pełen kosz drzewa, które zaczął wolno, symetrycznie układać w skrzyni; strawiwszy tak kilka minut, przysunął się nieznacznie do drugich drzwi, znajdujących się niedaleko kominka i zdawał się nadstawiać pilnie ucha, jakby chciał usłyszeć czyjąś rozmowę w sąsiednim pomieszczeniu.

Człowiek ten, używany do niższych posług, miał minę tak głupią, jak tylko można sobie wyobrazić; obowiązkiem jego było nosić drzewo, zamiatać, chodzić na targ po wiktuały itp. Dagobert, pełniący niejako obowiązki marszałka dworu, przezwiał go gapą; co Dagobert powiedział żartem, to inni słudzy podchwycili na stałe i słusznie nazywali tego niedołęgę gapą, bo jego niezgrabność, rozlazłość, głupkowatość, a nawet potwornie spłaszczona twarz, rozdęty nos, wytrzeszczone oczy na nic lepszego, niż to przezwisko, nie zasługiwały. A jednak, gdy ten niedołęga, nadstawiwszy ucha, przysłuchiwał się ciekawie, czy ktoś nie rozmawia w przyległym pokoju, iskra przenikliwej pojętności ożywiała jego zazwyczaj tępawy wzrok i zdawała się ostrzegać, że nie jest on tak głupi, jak się pozornie wydawał. Tak przez jakiś czas podsłuchując, ostrożnie zapukał do drzwi. Nikt mu jednak nie odpowiedział. Wtedy zawołał skrzeczącym głosem:

– Czy panienki nie potrzebują drzewa do kominka?

Wziąwszy kosz, już zabierał się do wyjścia, gdy ukryte drzwi, prowadzące na boczne schodki otworzyły się ostrożnie i wszedł Dagobert.

Zdziwiony obecnością Gapy, zmarszczył czoło i zawołał opryskliwie:

– Co ty tu robisz?

Na to nagłe pytanie, widząc jak Ponury, idąc za swym panem, najeżył sierść i zaczął warczeć, Gapa, czy to rzeczywiście przestraszony, czy też udając przerażenie, krzyknął bojaźliwie; żeby nadać więcej prawdopodobieństwa swemu przestrachowi, upuścił na posadzkę kosz, napełniony do połowy drzewem, jakby mu go przestrach i zaskoczenie wytrąciły z rąk.

– Odejdiesz stąd wreszcie? – krzyknął rozgniewany żołnierz.

I chwyciwszy go za ramię, popchnął w stronę drzwi, kiedy tymczasem Ponury, stuliwszy spiczaste uszy i najeżywszy sierść na karku, usiłował przyśpieszyć wyjście niedołęgi. Dagobert zamknął na rygiel i na klucz drzwi, prowadzące do pokoju panien. Następnie przysunął się do łóżka marszałka, gdzie wisiała broń, zdjął parę pistoletów, które marszałek zwykle miewał przy sobie na wojnie, a które były wprawdzie spuszczone, ale nabite, powyjmował ostrożnie pistony z zamków i nie mogąc powstrzymać głębokiego westchnienia, powiesił z powrotem na miejscu; już miał odejść, gdy przyszła mu jeszcze inna myśl, bo zdjął ze ściany indyjski kindżał z bardzo ostrym końcem, wydobył go ze złocistej pochwy i podłożywszy pod brązowe okucie nogi łóżka, złamał koniec ostrza i włożywszy do pochwy, zawiesił ponownie. Zamierzał już otworzyć drzwi, ale podszedł powoli do kominka i oparł się łokciem na marmurze, smutny i zamyślony.

W postawie dawnego grenadiera widać było smutek i wielkie zmartwienie. Mówił sam do siebie:

– Co to ma znaczyć?... Co by to była za przyczyna? Trudno przypuszczać żeby go tak dręczyły te listy... to dopiero byłaby nikczemność... on gardzi nimi... jednakże... ale nie... on nie jest taki.

I znowu zaczął przechadzać się po pokoju. Nagle Ponury podniósł uszy obrócił głowę ku drzwiom, prowadzącym na boczne schody i zawarczał. Po chwili ktoś zapukał.

– Kto tam? – zapytał Dagobert.

Nie odpowiedziano, ale ponownie odezwało się pukanie. Zniecierpliwiony pobiegł prędko i otworzył, ujrawszy znowu gapia-niedołęgę.

– Czemu nie odpowiadasz, kiedy pytam, kto puka? – rzekł rozgniewany żołnierz.

– Panie Dagobercie, ponieważ niedawno wypędził mnie pan, nie odzywałem się z obawy, żebym pana nie rozgniewał, gdybym powiedział, że znowu tu jestem.

– O, ośle, prawdziwy ośle! – irytował się Dagobert, ściskając pięści – Po co tu przylazłeś? Czy cię kto przysłał?

– Jużci tak, pański syn... jest tam na dole i chce mówić z panem, ale natychmiast.

– Chodź za mną...

Gapa był posłuszny; lecz nim zamknął drzwi, sięgnął do kieszeni, wydobył z niej skrycie list i rzucił go za siebie, nie oglądając się; wrócił się następnie do Dagoberta, pewnie dlatego, żeby odwrócić jego uwagę.

– Pański syn jest na podwórzu panie Dagobercie. Nie chciał iść ze mną na górę.

To mówiąc zamknął drzwi, sądząc, że list został na posadzce w pokoju marszałka.

Lecz nie zwrócił uwagi na stojącego za nim Ponurego. Czy to przez roztropność, chcąc wyjść na końcu, czy też przez uszanowanie dla dwunożnego stworzenia, dobre psisko wyszło z pokoju ostatecznie, a ponieważ doskonale i wiernie aportował, widząc, że z rąk Gapy upadł list, podjął go delikatnie w pysk i wyszedł z pokoju tuż za posługaczem.

## ROZDZIAŁ XIII

### ANONIMY

Powiemy niebawem, co się stało z listem, który Ponury trzymał w pysku i dlaczego oddalił się od swego pana, gdy ten wyszedł do Agrykoli. Dagobert od kilku dni nie widział syna; najpierw więc serdecznie go uściskał, potem zaprowadził do pokoju na dole, pod gabinetem marszałka, bo tam było jego mieszkanie, składające się z dwóch pokoi.

– Jak się miewa twoja żona? – spytał.

– Jest zdrowa, ojcze, przesyła ukłony – odpowiedział kowal.

Widząc smutek na twarzy Agrykoli, Dagobert rzekł:

– Jak widzę, masz zmartwienie! Czy coś niepomyślnego spotkało cię od czasu, jak nie widzieliśmy się?

– Tak, ojcze; widziałem się z nim, mój brat Gabriel także się z nim widział i mówił mi, och, mówił, jak to on mówi, głosem serca... i tak go ożywił, taką wzbudził w nim nadzieję, że pan Hardy postanowił wrócić do nas; wtedy ja, nie posiadając się z radości, biegnę z tą nowiną do kolegów, którzy na mnie czekali, chcąc się dowiedzieć wyników mego spotkania z panem Hardym; wracam z nimi, aby podziękować mu za jego pamięć. Byliśmy już może o sto kroków od jego mieszkania u jezuitów, kiedy spostrzegłem jadący naprzeciw nam powóz; nie wiem, ale jakieś przecucie mówiło mi, że to wywożą pana Hardy'ego.

– Przemocą! – rzekł oburzony Dagobert.

– Nie – z żalem odpowiedział Agrykola – nie; księża jezuiti są aż nadto przezorni i zręczni. Nie mogąc oprzeć się popędowi, rzuciłem się przed konie, wzywając na pomoc moich towarzyszy; lecz pocztylion, rozpędziwszy konie, uderzył mnie w głowę biczyskiem, upadłem zamoczony... Gdym przyszedł do siebie, powóz był już daleko.

– I co wtedy, moje dziecko?

– Pobiegłem czym prędzej do naszego anioła stróża, do panny de Cardoville; opowiedziałem jej wszystko ze szczegółami. „Trzeba natychmiast rzekła – biec w ślad za panem Hardy'm. Weźmiesz mój powóz i pocztowe konie; pan Dupont będzie ci towarzyszył”.

W godzinę później wpadliśmy już na drogę za panem Hardy'm, bowiem dowiedzieliśmy się od pocztyliona, po jego powrocie, że udał się w stronę Orleanu; pędzimy za nim aż do Etampes; tam powiadają nam, że udał się w bok, do domu, leżącego na osobności, w dolinie, odległej o cztery mile od pocztowego traktu; że ten dom zwany Doliną Pustelni, należy do jezuitów. Im dalej się zapuszczamy, tym dziksze okolice, aż strach zdejmuje, myślałby kto, żeśmy o sto mil od Paryża. W końcu stajemy przed starym, wielkim domem; gdzieś tam tylko widać w ścianach małe okienka: dom leży u stóp wysokiej góry, pokrytej samymi skałami. W życiu nie widziałem nic tak dzikiego, tak smutnego. Wsiadamy z powozu, dzwonię, po jakimś czasie otwiera drzwi ksiądz d'Aigrigny, spostrzega mnie, cofa się i znika; lecz w pięć minut potem widzę się z panem Hardym.

– I co dalej?

Agrykola kiwnął smutnie głową i rzekł:

– Skoro ujrzałem jego twarz, przekonałem się, że próżne były wszystkie nasze zabiegi i nadzieje, wszystko się już skończyło; pan Hardy, obróciwszy się do mnie, rzekł łagodnym, ale stanowczym głosem: „Pojmuję, a nawet nie mam za złe pobudek, które tu pana sprowadzają; lecz postanowiłem już żyć w odosobnieniu; powziąłem takie postanowienie z własnej woli, rozmyślnie, albowiem myślę o zbawieniu duszy; zresztą powiedz pan swoim towarzyszom, że rozporządzenia mej dobrej woli będą takie, iż będą się cieszyć dobrą po mnie pamiątką”. A gdy chciałem coś powiedzieć, pan Hardy przerwał mi: „To daremne, przyjacielu, moje posta-



nowienie jest niezłomne; nie piszcie do mnie, bo wasze listy pozostałyby bez odpowiedzi...” Wtem wszedł ksiądz d’Aigrigny. „Wielebny ojcze, rzekł do niego pan Hardy, czy będziesz łaskaw odprowadzić pana Baudoin?” Dał mi ręką znak pożegnania i oddalił się. Wszystko się więc skończyło, straciliśmy go już na zawsze.

– Tak – rzekł Dagobert – jezuici opętali go, jak tylu innych.

– Wtedy – mówił dalej Agrykola – w rozpaczy, co miałem dalej robić?... Wróciłem tu z panem Dupontem. Oto, co jezuici zrobili z panem Hardy’em.

– Och, jezuici... – rzekł Dagobert, zzymając się i nie mogąc ukryć wzburzenia – im więcej mam z nimi do czynienia... tym bardziej się ich boję... Ale nie mówmy już o tym, mam tu znów inne zmartwienia i obawy.

– Przerażasz mnie, ojcze! – rzekł Agrykola. – Co tu się dzieje?

– Posłuchaj tylko, gdyby nie ty..., i te biedne dziewczyny, dawno bym już w łeb sobie palnął...

– Ależ... co się stało, ojcze?

– Już od kilku dni nie wiem, co się dzieje z marszałkiem, ale on mnie przeraża. Jakiś zły duch wziął się znowu, aby prześladować i dręczyć tę rodzinę. To już staje się nie do wytrzymania... Najpierw jestem pewny, że anonimowe listy, które przez jakiś czas już ustały, znowu się pojawiły.

– Co to za listy? Pierwszy raz o nich słyszę.

– Wiadomo ci, jak marszałek Simon nienawidził tego zaprzańca, księdza d’Aigrigny; kiedy się dowiedział, że ten zdrajca tu jest i że ściga dwie biedne sieroty, tak samo, jak prześladował ich matkę... do samej śmierci... i że został księdzem, myślałem, że marszałek wścieknie się ze złości... Chciał koniecznie osobiście poszukać tego renegata... jednak udało mi się go powstrzymać.

– Powinien gardzić tym szubrawcem.

– A anonimowe listy?

– Jakie listy? Nie rozumiem... Co to ma znaczyć?

– Dowiedz się więc o wszystkim; marszałek, który jest tak szlachetny i prawy, uspokoiwszy się z pierwszego oburzenia, sam poznał, że znieważać renegata od chwili, jak ten nikczemnik przebrał się za księdza, byłoby prawie tym samym, co znieważać kobietę lub starca; pogardzał więc nim, zapominał o nim, ale cóż, od tego czasu, prawie co dzień przychodziły z poczty jakieś listy, a w tych listach starano się wszelkimi sposobami drażnić gniew marszałka przeciwko renegatowi, przypominając wszystko zło, jakie wyrządził jemu lub innym członkom jego rodziny. Na koniec wyrzucano marszałkowi nikczemność, tchórzostwo, że się nie mści na tym wrogu, na tym prześladowcy swojej żony i dzieci, który co dzień naigrawa się z niego bezczelnie.

– A te listy?... Od kogo pochodzą?...

– Nie wiem... Zdaje się jednak, że muszą pochodzić od nieprzyjaciół marszałka, a on nie ma innych nieprzyjaciół, prócz jezuitów.

– Ależ, nie wydaje mi się, żeby listy, pobudzające marszałka do zemsty na księdzu d’Aigrigny, były pisane przez jezuitów, baliby się o swojego członka!

– Tak też i ja myślałem...

– Dziwna i niejasna sprawa! Biedny marszałek!

– A jego córki! Widzi je coraz smutniejsze, zmartwione, kiedy tymczasem nie można do cieć przyczyny ich przygnębienia. – Po chwili zastanowienia żołnierz mówił dalej: – Przy tym jednak tylko tobie mogę powiedzieć... niedawno poszedłem do marszałka... i wyjąłem pistony z zamków pistoletów...

– Ach!... Ojcze... – zawołał Agrykola – czyżbyś obawiał się?...

– Widziałem go wczoraj w takim stanie, że wszystkiego należy się spodziewać i trzeba być ostrożnym.

– Cóż się więc stało?

– Od jakiegoś czasu prowadzi potajemne rozmowy z pewnym jegomościem, wyglądającym na dawnego wojskowego. Wczoraj wieczorem przyszedł ten jegomość; zabawił do jedenastej; po jego wyjściu poszedłem do marszałka, chcąc się dowiedzieć, czy nie potrzebuje czego; zastałem go bardzo bladego, ale przynajmniej był spokojny; podziękował mi za troskliwość, wróciłem więc na dół do swego mieszkania. Otóż, gdy byłem u siebie, słyszę, jak marszałek przechadza się prędko po pokoju, jak gdyby był bardzo niespokojny; wkrótce zdaje mi się, że z trzaskiem przewraca meble. Przerażony biegnę; gdym się pokazał, pyta mnie, zagniewany, czego chcę i rozkazuje, abym natychmiast wyszedł. A ponieważ jest z natury dobry, bierze mnie po chwilę za rękę i rzecze: Przebacz mi, że nabawiam cię takiego niepokoju, poczciwy Dagobercie; w tej chwili właśnie niepotrzebnie uniosłem się, ale tak straciłem głowę, iż byłbym chyba wyskoczył oknem, gdyby było otwarte.

Nie chciał mi jednak wyjaśnić przyczyny swego uniesienia.

– Pojąć tego nie mogę! – zdumiał się Agrykola. – Marszałek... człowiek tak silnego charakteru... tak się unosić aż do zapomnienia się!...

Nagle, usłyszawszy kogoś idącego szybkim krokiem przez podwórze, Dagobert obejrzał się i spostrzegł marszałka Simona, bladego, z obłąkanym wzrokiem, trzymającego w ręku list, który zdawał się czytać z ogromnym przejęciem.

## ROZDZIAŁ XIV

### ZŁOTE MIASTO

Kiedy marszałek Simon chodził po podwórzu niespokojnym, prędkim krokiem, czytając anonimowy list, odebrany za pośrednictwem Ponurego, Róża i Blanka znajdowały się w pokoju, do którego, podczas ich nieobecności, wszedł na chwilę Gapa.

Smutek wywiera na twarzy człowieka ten sam skutek co i lata: wyciska na niej piętno starzenia się. W ciągu kilku miesięcy Róża i Blanka dojrzały zupełnie i wyglądały jak dorosłe panny.

– Droga siostrzo – rzekła łagodnie Blanka, po kilku chwilach ciszy, w ciągu których widzieć można było łzy, napływające jej do oczu – o czym tak myślisz? Wyglądasz na bardzo zatroskaną.

– Myślę... o złotym mieście... o naszych marzeniach – odezwała się Róża cichym, smutnym głosem.

Blanka zrozumiała gorycz tych słów; bez słowa rzuciła się siostrze na szyję, roniąc łzy.

– Kto wie? – rzekła po chwili, ocierając łzy – Może kiedyś zawita do nas szczęście.

– Niestety, skoro nie potrafimy być szczęśliwe przy naszym ojcu... czy możemy spodziewać się szczęścia kiedy indziej?

– Tak... kiedy się połączymy z naszą matką – rzekła Blanka, podnosząc oczy ku niebu.

– A może wtedy skończą się troski naszego kochanego ojca; może będzie weselszy.

– Niestety! Mój Boże! My go tak bardzo kochamy... Lecz w jego obecności zawsze jesteśmy tak przestraszone, tak smutne, iż może zdaje mu się, że go nie kochamy...

Mówiąc to i chcąc obetrzeć łzy, Róża wzięła chustkę z koszyczka z robótkami; wtem wypadł z niej papier, złożony w kształcie listu.

Na ten widok siostry wzdrygnęły się, przycisnęły do siebie, a Róża szepnęła:

– Znowu list!... Och... boję się... Pewnie będzie taki jak tamte...

Otworzyły go jednak i przeczytały:

„Nie przestawajcie czcić swego ojca, kochane dzieci, bo jest bardzo nieszczęśliwy, i to wy, niechcący, nabawiacie go wszystkich zmartwień; nie potraficie sobie wyobrazić, jak okropnym dlań ciężarem jest wasza obecność, lecz, Niestety, znosi on to wszystko z obowiązku ojcowskiego; jego cierpienia są teraz okropniejsze niż kiedykolwiek; szczególnie zaś wystrzegajcie się okazywania mu tkliwego przywiązania, bo to mu więcej ciąży niż przynosi zadowolenia; każda z waszych pieszczot jest dla niego ciosem sztyletu, w was widzi przyczynę swoich udęk.

Bądźcie cierpliwe i miejcie nadzieję, bo najmocniejszym moim życzeniem jest uczynić wkrótce miłość waszego ojca wolną od wszelkich zmartwień, a wtedy nastaną szczęśliwe i błogie dni!... Może już wkrótce...

Spalcie ten list tak samo, jak robiłyście z poprzednimi”. Przeczytawszy list, dziewczęta przez jakiś czas zatopione w smutnych myślach, milczały, potem Róża nagle wstała, podeszła do kominka i rzuciła list w ogień, mówiąc ze strachem:

– Trzeba spalić ten list... bo mogłoby stąd wynikać jakieś nieszczęście.

– Niestety! To nie nasza wina... Matka wychowała nas w surowym kraju, na dalekiej północy, jak mogła...

– Czy przypominasz sobie, kiedy ojciec zaprowadził nas do naszej kuzynki, panny Adriannej, jak mówił z podziwem: „Czy uważacie, moje dzieci? Jaka panna Adrianna jest piękna, jaka mądra, jaka szlachetna, jak wspaniale ma serce, a przy tym jaka przyjemna, miła!”

– I pewnie dlatego, moja Róziu, ojciec porównując nas z kuzynką i tylu innymi ładnymi pannami, nie może się nami pochlubić... A on, który jest tak kochany i poważany, chciałby pewnie mieć nas piękne, żeby poszczycić się swymi córkami.

Nagle Róża, kładąc rękę na ramieniu siostry, rzekła z niepokojem:

– Posłuchaj... słuchaj... jak ktoś głośno mówi w pokoju ojca.

– Nie wypada tu dłużej zostawać... chodźmy do sypialnego pokoju...

– Dlaczego?

– Niechcący słyszałybyśmy słowa ojca, a on pewnie nie spodziewa się, że jesteśmy tutaj.

– Ach! Mój Boże!... rzekła Blanka, blednąc i mimowolnie się zatrzymując – To do Dagoberta tak głośno mówi...

– Coś się stało... że tak podnosi głos na Dagoberta, który mu nigdy nie dał powodu do gniewu?...

Gdy rozległ się łoskot czegoś rzuconego czy też złamanego ze złości, biedne sieroty tak się przestraszyły, iż pobladłe i drżące pobiegły do swego pokoju.

## ROZDZIAŁ XV

### RANIONY LEW

A oto scena, której odgłos tak mocno przestraszył Różę i Blankę:

Najpierw będąc sam w pokoju, marszałek Simon, rozjątrzony do najwyższego stopnia, zaczął w uniesieniu chodzić niespokojnie po pokoju. Jak lew zraniony, drażniony i dręczony miota się wściekle w klatce, tak właśnie marszałek Simon, ledwie chwytając oddech, biegał szybko po pokoju, zginając się, jakby go uciskał ciężar gniewu.

Wreszcie stanął, podszedł do kominka i tak gwałtownie zadzwonił, że urwana taśma od dzwonka została mu w ręku. Na dzwonek przybiegł z pośpiechem służący.

– Powiedziałeś Dagobertowi, że chcę z nim rozmawiać? – zawołał marszałek.

– Spełniłem rozkaz Waszej Księżęcej Mości, ale pan Dagobert odprowadził syna do bramy.

Służący wyszedł a marszałek znów zaczął chodzić po pokoju, mnąc ze złością list, który trzymał w ręku. Ten list podał mu Ponury, który widząc go wracającego do domu, zabiegł mu drogę łaszcząc się. Wreszcie otworzyły się drzwi i wszedł Dagobert.

– Tak dawno kazałem cię wołać, a doczekać się ciebie nie mogę – zawołał gniewnie marszałek.

– Daruj mi, panie generale, ja tylko odprowadziłem syna... i...

– Czytaj no, mój drogi – rzekł porywczo marszałek, nie dając mu skończyć i pokazując list.

– To nowa niegodziwość... po tylu innych – rzekł obojętnie Dagobert, a przeczytawszy uważnie list, rzucił go w ogień palący się na kominku.

– Ten list jest podły... ale mówi prawdę – rzekł marszałek. – A wiesz, kto mi doręczył ten list? – To twój pies był tak usłużny.

– Mój pies, Ponury?...

– Tak – odparł marszałek z pewnym żalem – to jakiś nowy żarcik twego pomysłu?

– Panie generale, nie mam wcale ochoty do żartów – rzekł Dagobert – nie mogę pojąć, jak to się mogło stać... Ponury wprowadził bardzo dobrze aportuje, musiał znaleźć list w domu i podał go... ale...

– A kto zostawił tu ten list? A więc okazuje się, że jestem otoczony zdrajcami? Jak widzę, nie dajesz na nic baczości, ty, do którego miałem pełne zaufanie...

– Panie generale... zechciej mnie wysłuchać... a dopiero wtedy...

Lecz marszałek, bynajmniej nie chcąc go słuchać, ciągnął dalej:

– Jak to?... Dwadzieścia pięć lat wojowałem, stawiałem czoła armiom, walczyłem zwycięsko z najgroźniejszymi wrogami, oparłem się ciosom maczug... a miałbym ulec od ciosów szpilek? Jak to? Ścigany aż wewnątrz własnego domu, napastowany, dręczony w każdej chwili jakąś nieznaną mi, zawziętą nienawiścią! Mylę się, kiedy mówię nieznaną... Jestem pewny, że sprawcą tego wszystkiego jest d'Aigrigny, renegat. Jednego tylko mam wroga na świecie... a jest nim ten człowiek... muszę wreszcie z nim skończyć...

– Ależ, niech pan generał pamięta, że to ksiądz, i że...

– Co z tego, że jest księdzem? Widziałem go walczącego pałaszem; już potrafię napędzić temu zdrajcy wojskowego ducha!...

– Panie generale, nie mogę spokojnie znieść tego, co pan powiedział: że nie możesz na nikim polegać; może byś wreszcie uwierzył, że są tacy, którzy umieją cenić swoje poświęcenie dla pańskiego dobra i którzy rzuciliby się w ogień dla pana, a... ja właśnie należę do nich... zresztą chyba wie pan o tym.

Te proste słowa wypowiedziane z głębokim wzruszeniem, nieco uspokoiły marszałka.

– Masz rację, nie powinienem wątpić w ciebie; uniosłem się gniewem; ten niegodziwy list odjął mi władzę nad sobą... Przyznaję, że postąpiłem niesprawiedliwie, jestem dziwak... niewdzięcznik wobec ciebie!...

Po chwili twarz marszałka znów się zasępiła.

– Do tego doszło... że mną pogardzają, że mają mnie za nic.

– Ależ... chciał perswadować żołnierz.

– Tak jest, posłuchaj. Chciałem się o tym przekonać; dziś rano idę do generała Havrincourta; był razem ze mną pułkownikiem w gwardii cesarskiej: jest to człowiek o nieposzlakowanym charakterze.

– I co się stało?

– Havrincourt okazał się obojętny, nieczuły, zaczął robić ceremonie; na moje zapytanie odpowiedział oziębło: „Nie słyszałem, panie marszałku, żeby miała być puszczone jakaś potwarz wobec pana”. Ja mu o serdeczności, o zaufaniu, jakie mi dawniej okazywano, kiedy teraz postępują ze mną jak z obcym. Zapytuję, skąd taka zmiana? On, wciąż chłodny, ostrożny, odpowiada: „Są to rzeczy, tak delikatne, panie marszałku, iż niepodobna mi dać panu w tej mierze wyjaśnienie”. Serce mi skoczyło z oburzenia i żalu. Cóż miałem robić? Wyzwać pana Havrincourta byłoby szaleństwem; przyzwoitość nakazywała mi przerwać tę rozmowę, która aż nadto potwierdziła moje obawy. Czy znajduję chociaż jakiś odpoczynek, jakieś szczęście w swoim domu? Nie. Wracam do niego, już czekają na mnie anonimowe nikczemne listy, a nadto – dodał z bólem – zastaję własne dzieci, coraz bardziej obojętne dla mnie, oziębłe... Tak – mówił, widząc zdumienie Dagoberta – a przecież nie wiedzą, jak mi są drogie.

– Panie generale!... Pańskie córki... obojętne? – rzekł osłupiały Dagobert – Pan czynisz im taki zarzut?

– Ty je bronisz... słusznie, sprawiedliwie... bo też one bardziej kochają ciebie aniżeli mnie – marszałek mówił z coraz większym żalem. – Tysiąc razy zazdrościłem ci, tak, boleśnie zazdrościłem czulej ufności, jaką ci okazywały moje dzieci, kiedy tymczasem przy mnie są zawsze przestraszone, nieśmiałe. – Potem, widząc Dagoberta, biegnącego do drzwi, prowadzących do pokoju Róży i Blanki, zapytał:

– Dokąd idziesz?

– Idę po córki pana generała.

– A to w jakim celu?

– Chcę je przyprowadzić tutaj i powiedzieć im: Moje dzieci, wasz ojciec myśli, że go nie kochacie... Nic więcej im nie powiem... a wtedy sam się przekonasz, panie generale...

– Zostań tu – rzekł marszałek tak stanowczym tonem, iż przywykły do posłuszeństwa żołnierz spuścił oczy i z miejsca się nie ruszył. – Co chcesz zrobić? Powiedzieć moim córkom, iż zdaje mi się, że mnie nie kochają? Wzbudzić w nich udawaną tkliwość, której te biedne dzieci nie czują... nie ich to wina... bez wątpienia ja jestem temu winien.

– Ach! Dla Boga, panie generale – zawołał Dagobert – jeżeli tak traktujesz sprawę... racz zauważyć, że one są jeszcze poufalsze z Ponurym niż ze mną... Jesteś ich ojcem... a jakkolwiek dobry byłby ojciec, zawsze wzbudza dla siebie respekt. Poufałe ze mną? Przez Boga żywego! Piękna historia! Jakiegoż to żądasz od nich uszanowania dla mnie, który, wyłączając chyba siwe wąsy i ze sześć stóp wzrostu, jestem dla nich prawie jak stara niańka, która je wykołysała... A potem trzeba już powiedzieć wszystko; jeszcze przed śmiercią swego zacnego ojca, już pan generał był smutny... zamyślony... dzieci spostrzegaly to... i to co pan generał uważa za oziębłość z ich strony, jestem pewny, że jest to niepokój o pana... Zdaje mi się, panie generale, że błędnie myślisz i postępujesz; użalasz się, że córki cię niezbyt kochają...

– Użalam się, bo cierpię – rzekł marszałek z żalnym uniesieniem – tylko ja sam... znam swoje cierpienia.

– Tak, zaiste! Dostyc już... rzekł Dagobert, z trudem hamując wzruszenie – to też rzeczywiście, na co się przyda bronić pańskie dzieci, które o niczym innym nie myślą, tylko żeby kochać pana generała... na co więc się to przyda i co pomoże ich obrona przeciw pańskiemu nieszczęsnemu zaślepieniu?

Marszałek obruszył się niecierpliwie, po czym, starając się nie tracić zimnej krwi, dodał:

– Muszę przypomnieć sobie koniecznie... wszystko, co jestem ci winien... i nie zapomnę tego... choćby nie wiem, co robił...

– A jednak nie przestajesz, panie generale, dręczyć się – zawołał Dagobert, już nie hamując się – Wiesz, panie generale, jaki będzie skutek takiego postępowania? Taki, że pan, ciągle dręcząc smutkiem swoje dzieci, przyspieszysz ich śmierć, rozumiesz to, panie generale... a wcale nie po to przyproważyłem je tu zdrowe z tak daleka...

– Znowu zarzut?...

– Tak, bo to niewdzięczność dla mnie z pańskiej strony, kiedy swym postępowaniem stajesz się sprawcą nieszczęścia własnych dzieci...

– Wyjdź natychmiast, wyjdź, mówię – zawołał marszałek, nie posiadając się z gniewu i tak straszny z oburzenia i bólu, iż Dagobert, spostrzegłszy z żalem, że za daleko się posunął, rzekł:

– Panie generale, zbłądziłem... Uchybiłem panu... racz mi przebaczyć... ale...

– Niech będzie, przebaczam ci i proszę, zostaw mnie samego – odpowiedział marszałek, ledwie mogąc się uspokoić.

– Ale proszę, błagam pana generała – pozwól mi pan... na chwilkę tylko...

– Ponieważ tak się upierasz, zatem ja wyjdę, a ty zostań – rzekł marszałek, postępując w kierunku drzwi.

Słowa te wymówił w taki sposób, iż Dagobert nie śmiał już więcej naprzykrzać się; zmartwiony, zwiesił głowę, patrzył jeszcze przez jakiś czas w milczeniu na marszałka z pokorną, błagalną miną; lecz gdy ojciec Róży i Blanki znowu uniósł się gwałtownie, widząc, że już nic swymi prośbami nie wskóra, oddalił się powolnym krokiem.

\* \* \*

Ledwie parę minut upłynęło od wyjścia Dagoberta, kiedy marszałek, długo pogrążony w milczeniu, kilka razy zbliżył się do drzwi, prowadzących do pokoju córek, wahając się i pasując z sobą. Wreszcie sam siebie przemógłszy, otarł czoło zroszone zimnym potem, usiłował pokryć swoje wzburzenie i wszedł do pokoju, gdzie niedawno schroniły się Róża i Blanka.

## ROZDZIAŁ XVI

### PROŚBA

Dagobert miał słuszną, gdy bronił swoje dzieci, jak zwykł mawiać o Róży i Blance; jednak pozorny chłód wobec ojca usprawiedliwiał jego obawy i czynione Dagobertowi wyrzuty. Jednak, mimo oziębłości córek, która go tak dręczyła, przywiązanie marszałka do nich było tak silne i głębokie, iż sama myśl o opuszczeniu cieniu ich i wynikający z niej żal, napelniały bólem jego serce, skazywały je na ciągłą walkę między ojcowską miłością, dla której nie mógł się odważyć na oddalenie od dzieci, a obowiązkiem, który uważał za święty. Odgłosy ostrej rozmowy marszałka z Dagobertem były tak wielkie, iż dochodziły przez salon, choć niezbyt wyraźnie, do uszu obu sióstr, ukrytych w sypialnym pokoju. Dlatego w momencie wejścia ojca, na ich bladych twarzach malował się niepokój. Na widok ojca wstały z uszanowaniem, lecz pozostały przytulone i całe drżące. A przecież na twarzy ojca nie widać było gniewu ani surowości; był wyraźnie zmartwiony, a wyraz jego twarzy zdawał się błagać usilnie i mówić:

– Moje dzieci... jestem wielce zmartwiony, przychodzę do was, uspokójcie mnie, kochajcie... gdyż dłużej nie wytrzymam... stanie się coś złego...

Wyraz twarzy marszałka był tak przekonujący i przejmujący, iż ochłonawszy z pierwszego przestraszenia, sieroty chciały rzucić mu się w objęcia, lecz przypomniawszy sobie zalecenia tajemniczego listu, mówiące, jak przykre były dla ojca oznaki ich przywiązania, wstrzymały się. Okrutnym również zrzędzeniem losu marszałek także pałał chęcią otwarcia swych ramion dla uściskania dzieci. Patrzył na nie z rzewną czułością; czynił nawet ruchy, jakby chciał je przywołać do siebie. Lecz biedne dzieci, sparaliżowane przewrotnymi radami, pozostały milczące, niewzruszone. Na tę pozorną nieczułość marszałek poczuł, że braknie mu odwagi; już nie mógł dłużej wątpić; córki nie rozumiały ani jego straszego udręczenia, ani rozpaczliwej miłości.

– Zawsze ta sama obojętność – pomyślał – nie myliłem się.

A jednak ukrywając swoje uczucia, zbliżył się do córek i rzekł spokojnie:

– Dzień dobry, moje dzieci...

– Dzień dobry, ojciec – odpowiedziała Róża, mniej strachliwa od siostry.

– Nie mogłem odwiedzić was... wczoraj – rzekł marszałek nieco zmieszany – byłem zajęty, miałem ważne interesy... dotyczące służby... Wreszcie nie macie mi chyba za złe... żem o was zapomniał? A gdybym był zmuszony oddalić się na jakiś czas mówił powoli – przebaczylibyście mi także... nie martwiłybyście się moją nieobecnością, prawda?

– Bardzo by nas martwiło... gdybyś sobie dla nas, ojciec, czynić miał jakikolwiek przy-  
mus... rzekła Róża, przypomniawszy sobie listy, które mówiły, jaką to ojciec czyni z siebie ofiarę dla nich, gdyż ze względu na nie nie może nigdzie wyjechać.

Po tej bojaźliwej odpowiedzi, w której marszałek spostrzegł tylko grzeczną obojętność, już nie wątpił, że córki mają dla niego niewiele przywiązania. Twarz jego przybrała wyraz tak boleśnie przejmujący, w jego wzroku malowało się takie udręczenie i rozpacz, iż Róża i Blanka, przestraszone, przejęte żalem, idąc za mimowolnym odruchem, rzuciły się ojcu na szyję i pokryły twarz pocałunkami. Marszałek Simon nie powiedział ani słowa; córki także nic nie mówiły i wreszcie wszyscy troje zrozumieli się... Próżne obawy, fałszywe powątpiewania, kłamliwe, przewrotne rady, wszystko znikło.

Marszałkowi brakło słów do wyrażenia swych uczuć. Całując czoła, włosy swych córek, płacząc, wdychając, śmiejąc się, czuł się jak nowo narodzony, nie posiadał się ze szczęścia; a potem zawołał:



– Przecież was znowu znalazłem... albo raczej... nie, nie, nigdy was nie straciłem... Kochałyście mnie... Och, już teraz... od tej chwili, nie wątpię w to...

– O, mój ojcze!... Więc kochasz nas tak samo, jak my ciebie Kochamy? – zawołała Róża z czarującą naiwnością.

– A więc będziemy mogli często, bardzo często, co dzień rzucić ci się na szyję, uściskać cię, ucałować, okazać ci naszą radość, że jesteś z tobą?

– Pokazać ci, ojcze, skarby przywiązania i miłości, które zgromadziłyśmy dla ciebie w głębi naszych serc, niestety, bardzo smutnych, żeśmy ich dotąd nie mogły użyć?

– Będziemy mogły powiedzieć ci otwarcie, na cały głos, wszystko, cośmy dotąd po cichu sobie myślały i nie mogły ci powiedzieć?

– Tak, będziecie mogły... wszystko będziecie mogły – rzekł marszałek – lecz któż wam dotąd przeszkadzał... moje dzieci?... Ale nie, nie odpowiadajcie... dosyć o przeszłości.. wiem o wszystkim... rozumiem wszystko... moje zajęcia... tłumaczyłyście je po swojemu... tak was zasmucały... ja zaś, po swojemu tłumaczyłem wasz smutek... Możecie to sobie łatwo wyobrazić, gdyż... ale uważajcie tylko, bo nie mogę spamiętać wszystkiego, co do was mówię. Myślę tylko o tym, aby wam się przypatrzeć, to mi zajmuje myśli... to mi miesza wzrok... to prawdziwy szal radości!

Niepodobna opisać dumy dziecięcej, jaka się malowała na twarzach obydwóch dziewcząt, kiedy ojciec trzymając swe rycerskie ręce lekko oparte na ich dziewczyczych piersiach z radością liczył przyspieszone z uciechy bicie ich serca.

Wtem za otwartymi drzwiami dało się słyszeć chrapliwe westchnienie i wszyscy troje, uszczęśliwieni, obejrzeni się; niebawem ukazał się Dagobert, a przy nim nieodstępny towarzysz, Ponury. Stary żołnierz, ocierając oczy i wąsy małą chustką, stał nieruchomo, jak bożek Terminus; gdy się w końcu zbliżył, obróciwszy się do marszałka, kiwnął głową i wymówił ochryplymi głosem, gdyż pocziwemu starcowi wzruszenie nie pozwalało mówić:

– A co, panie... generale... czy... nie mówiłem?...

– Daj spokój – marszałek dał znak skinieniem, które Dagobert zrozumiał. – Ty byłeś lepszym ode mnie ojcem, stary przyjacielu; chodźże prędko ucałować je. Już teraz nie jestem zazdrosny.

I podał rękę żołnierzowi, który ją ścisnął serdecznie, kiedy tymczasem dziewczynki rzuciły mu się na szyję, a Ponury, swoim zwyczajem, chcąc być także uczestnikiem radości, wspiął się na łapach i oparł przednimi na plecach swego pana. Tę ogólną radość przerwało po chwili szczekanie Ponurego.

Szczęśliwa grupa rozdzieliła się, wszyscy obejrzeni się i ujrzeli niedołączną postać Gapy. Mina jego była jeszcze bardziej głupkowata niż zwykle; stał w drzwiach przyczajony, wytrzeszczając oczy, trzymając w ręku kosz do drzewa i skrzydło pod pachą.

Rozśmieszał on zawsze smutne dziewczęta, zasłużył więc w tej chwili na łaskę marszałka, który rzekł wesoło:

– Co nam powiesz?

– Nie, mości książę, to nie ja – odparł Gapa – to lokaj powiedział mi, abym powiedział panu Dagobertowi, gdy zaniósę drzewo, żeby powiedział księciu jegomości, gdyż ja niosłem je w koszu na górę, że pan Robert pragnie widzieć się z nim.

Słyszając bezsensowne przemówienie Gapy dziewczęta śmiały się do rozpuku.

Na nazwisko: pan Robert marszałek mimowolnie wzdrygnął się. Pan Robert był tajnym emisariuszem Rodina, namawiającym marszałka do walki o oswobodzenie Napoleona II.

Po chwilowym milczeniu marszałek, którego oblicze jaśniało wciąż uszczęśliwieniem i radością, rzekł do Gapy:

– Poproś pana Roberta, aby chwilę zaczekał na mnie na dole... w gabinecie...

– Tak, mości książę – odpowiedział Gapa, kłaniając się do samej ziemi.

Wyszedł, a marszałek rzekł do córek wesoło:

– Musicie wiedzieć, że w takim dniu, w takiej chwili, jak obecna, nie opuszcza się swych dzieci... nawet dla pana Roberta.

Marszałek usiadł przy biurku i dał znak Dagobertowi, aby zbliżył się.

Pisząc list, zwrócił się jednocześnie do żołnierza, uśmiechając się i tak cicho, aby córki nie słyszały, powiedział:

– Czy wiesz, na co byłem prawie zdecydowany, zanim tu przyszedłem?

– A na cóż by takiego pan generał był zdecydowany?

– W łeb sobie wypalić... Że teraz żyję, zawdzięczam to moim dzieciom...

I powiedziawszy to, pisał dalej. Usłyszawszy to zwierzenie, Dagobert szepnął:

– Ale pewnie by się to nie udało panu generałowi... Powyjmowałem pistony...

Za całą odpowiedź marszałek wskazał mu swoje córki oczyma pełnymi radości i szczęścia; potem, zapieczętowawszy list, oddał go żołnierzowi i rzekł:

– Oddaj to panu Robertowi... zobaczę się z nim jutro.

Dagobert wziął pismo i wyszedł.

Marszałek wróciwszy do córek, rzekł wesoło, wyciągając do nich ręce:

– Teraz, moje panny, należą mi się dwa piękne całusy, za to, że dla was poświęcił pana Roberta... Czy nie zasłużyłem na to? Róża i Blanka rzuciły się ojcu na szyję.

## ROZDZIAŁ XVII

### RUINY OPACTWA ŚCIĘCIA ŚW. JANA

Słońce już zaszło... W głębi niezmiernego lasu świerkowego, pośród ponurej puszczy, wznoszą się ruiny opactwa niegdyś pod wezwaniem Ścięcia św. Jana. Wznosząc się nad stertę gruzów, stoi tam jeszcze kolosalna, tu i ówdzie poobtrącana ponura statua kamienna na równie obtłuczonej i okrytej roślinami podstawie. Przedstawia ona człowieka, któremu ucięto głowę. Odziany w starożytną togę, trzyma w ręku półmisek, a na tym półmisku leży głowa... To jego własna głowa. Jest to statua św. Jana Chrzciciela, ściętego z rozkazu Herodiady. Panuje uroczysta cisza. Nagle, w cieniu gęstych wierzchołków drzew, których niezliczone pnie giną w niezmiernych przepaściach... ukazuje się jakaś postać... To kobieta. Idzie wolno ku ruinom... depta nogami niegdyś błogosławioną ziemię... Jest blada, ma smutny wzrok, powiewa na niej długa suknia; chód jej jest powolny, chwiejny. Nad strumieniem, prawie pod statua Ścięcia Św. Jana leży wielki kamień. Na ten kamień pada kobieta, znużona, ledwie oddychając.

A przecież już od wielu dni, od wielu lat, wielu wieków, idzie... idzie... niezmordowana...

Lecz po raz pierwszy... czuje takie nieprzewyciężone znużenie... Pierwszy raz poczuła brak sił ta, co przebiegła równym krokiem, bezpiecznie, ruchomą ławę spiekłych pustyń, kiedy tymczasem rozpalone zawieje ich piasków pochłaniały całe karawany podróżnych...

Ogarniała ją wielka, niezmierna radość...

Lecz podniebienie jej coraz bardziej schnie, gardło pała ogniem...

Spostrzega strumień i rzuca się na kolana, chcąc orzeźwić się jego czystą jak kryształ wodą. Cóż się dzieje? W tym głębokim zwierciadle... spostrzega, że się zestarzała... Ona, co więcej niż od osiemnastu wieków, po całym świecie i przez tyle pokoleń, wlokła swą niezmienną młodość... Zestarzała się... może nareszcie mieć nadzieję, że umrze... Głowa, którą męczennik trzyma w ręku... zdaje się przez swoje granitowe powieki, na w pół przymknięte śmiercią, rzucać na tułającą się Żydówkę spojrzenie pełne miłosierdzia i litości. A to właśnie ona, Herodiada, w okrutnym szale pogańskiej uciechy, zażądała, aby jej przyniesiono głowę świętego męczennika! I to przy stopach rzeźby męczennika pierwszy raz... od tylu wieków... ciężące Herodiadzie przekleństwo nieśmiertelności zdaje się być z niej zdjęte. O, niedocieczona tajemnico! O, boska nadziejo – zawołała kobieta – nareszcie gniew boski dobiega kresu... Ręka Przedwiecznego sprowadza mnie do stóp tego świętego męczennika... u jego stóp zaczynam być stworzeniem ludzkim... A to za karę, za jego śmierć Zbawiciel skazał mnie na wieczną tułaczkę...

– O, mój Boże! Pozwól, abym nie tylko ja doznała odpuszczenia winy... Ów rzemieślnik, czy podobnie jak ja, może mieć nadzieję, iż zakończy swoją odwieczną wędrówkę?

– Panie!... Gdzie on jest?... Czy już odjąłeś mi zdolność, którąś mnie obdarował, widzenia go, słyszenia nawet w największej odległości? O! Panie!... Powróć mi ten dar boski, w tej najważniejszej dla nas chwili... bo w miarę, jak czuję ludzkie dolegliwości, które błogosławię jako koniec mojej wieczności, moich cierpień, wzrok mój traci zdolność widzenia, a ucho słyszenia mężczyzny, tułającego się po świecie”.

Zapadła noc... ciemna... burzliwa...

Prośba tułającej się Żydówki została może wysłuchana... Nagle zamknęły się jej powieki... złożyły się ręce... i pozostała klęcząc... pośród rozwalin... nieruchoma jak posąg grobowy...

I wtedy miała nadzwyczajne widzenie...

## ROZDZIAŁ XVIII

### WIDZENIE HERODIADY

Na szczycie wysokiej, skalistej, stromej góry wznosi się krzyż. Wielka figura Chrystusa na krzyżu wznosi się nad Kalwarią; wierzchołek góry jest płaski, rozległy, nie okrywa go żadna roślina. Chrystus wydaje się blady przy czarno-błękitnych obłokach, które zewsząd zakrywają niebo i od horyzontu ku górze są coraz ciemniejsze, fioletowe... Zachodzące słońce rzuca długie smugi złowieszczonego... krwawo-czerwonego światła...

Jak tylko spojrzeć okiem, dzika pustynia! Nie widać śladu roślin... piasek, kamienie, jak odwieczne łożysko po wyschłym oceanie!

Nad tą dziką okolicą panuje śmiertelna cisza.

Tę Kalwarię zbudował pokutujący, wielki grzesznik; wiele złego wyrządził innym ludziom... i żeby uzyskać odpuszczenie swych zbrodni, wyczołgał się na kłęczkach i zostawszy pustelnikiem, żył aż do śmierci pod tym krzyżem, ledwie tylko osłonięty słomianym dachem.

Słońce coraz bardziej zachodzi... Nagle na spadzistym zboczach słychać łoskot kamieni. Kamienie te poruszyły stopy podróżnego, który, przebywszy równinę, od godziny już wspina się na stromą górę. Podróżnego jeszcze nie widać, ale już słychać jego wolne, pewne kroki. Na koniec... zdąża na szczyt góry, a jego wysoka postać odbija się na zachmurzonym niebie. Podróżny jest blady jak trup; przez wysokie czoło ciągnie się od jednej do drugiej skroni czarna smuga. To rzemieślnik z miasta Jeruzalem.

Rzemieślnik ten, rozbestwiony nędzą, niesprawiedliwością, uciskiem, nie mając litości nad mękami człowieka-Boga, dźwigającego krzyż, odepchnął go od swego domu... krzycząc niemiłosiernie:

Idź... idź... idź...

I od tego dnia Bóg-mściciel rzekł podobnie do rzemieślnika z miasta Jeruzalem:

Idź... idź... idź...

I on chodzi... wiecznie chodzi.

Nie ograniczywszy do tego swej kary, stwórca chciał niekiedy przydać śmierć do kroków tułającego się mężczyzny, aby niezliczone grobowce były znakami jego wędrówki po świecie.

Przejęty gorzką rozpaczą, głęboką jak ocean, rzemieślnik z Jerozolimy usiadł pod Kalwarią. W tej chwili ostatni promień zachodzącego słońca, przedarłszy się przez tumany chmur do horyzontu, rzucił na grzbiet góry żywy blask, jak łunę pożaru. Wtedy Żyd – tułacz podparł ręką schylone czoło, rozrzucone powiewem wieczornego wiatru włosy zakryły mu bladą twarz; rozgarnąwszy je ręką, wzdrygnął się ze zdziwienia, on, którego już nic nie zdołało zadziwić. Chciwym wzrokiem przypatrywał się długiemu kosmykowi włosów, który trzymał w ręce. Włosy te, niedawno czarne jak heban... posiwiały. On także, podobnie jak Herodiada, zestarzał się. Bieg jego lat, wstrzymany przed osiemnastu wiekami, znowu się poruszył. Podobnie jak tułająca się Żydówka, on także mógł wreszcie oczekiwać śmierci. Rzuciwszy się na kolana, wznosił ręce i twarz ku niebu... chcąc prosić Boga, aby mu wyjaśnił tę tajemnicę, która budziła w nim nadzieję. Wtedy pierwszy raz oczy jego zobaczyły Chrystusa na krzyżu, panującym nad Kalwarią, tak samo jak tułająca się Żydówka wlepiała swój wzrok w granitową powiekę świętego męczennika.

– O! Zbawicielu!... – zawołał – Twoja karząca ręka sprowadza mnie do stóp tego ciężkiego krzyża, który Ty dźwigałeś, zmęczony trudami. O! Chrystusie! Gdy chciałeś zatrzymać się” i odpocząć na progu mego ubożego domu, wtedy ja, w bezlitosnej zatwardziałości, odepchną-

łem Cię, mówiąc: „Idź!... idź!...” Oto teraz po moim tułaczym życiu, jestem nareszcie przed tym krzyżem... i oto na koniec moje włosy bieleją. O! Chrystusie! Jeżeli w twej boskiej dobroci przebaczyłeś mi, jeżeli już stanął u kresu mej wiecznej podróży, czyliż nareszcie Twoja niebiańska łaska obdarza mnie pożądanym grobowym spoczynkiem, który, niestety, dotąd był mi niedostępny?... O! Jeżeli łaska Twoja zstępuje na mnie... niech także zstąpi na niewiastę, która równą mojej ponosi karę!... Miej także opiekę nad ostatnimi potomkami mego pokolenia. Jakież los ich czeka? Panie, już jeden z nich, jeden tylko, którego zniszczyło nieszczęście, zniknął z tej ziemi. Czy to dlatego zbiały moje włosy? Czy moja zbrodnia wtedy dopiero będzie zmazana, gdy na tym świecie nie pozostanie ani jeden potomek naszej przeklętej rodziny?

Och! Powiedz... powiedz, Panie, czy uzyskam odpuszczenie wraz z nimi? Czy za moją zbrodnię i oni ponieść muszą karę?...

\* \* \*

Po zmierzchu nastąpiła burzliwa, czarna noc... Żyd, klęcząc u stóp Kalwarii, modlił się żarliwie.

## Część siódma

### PAJĄK ZWYCIEŻA!

#### ROZDZIAŁ I

#### RADA

Nazajutrz po pojednaniu się marszałka Simona z córkami w pałacu Saint-Dizier rozegrała się następująca scena:

Księżna z największą uwagą słuchała przemawiającego Rodina. Wielebny ojciec, według zwyczaju, stał oparty o kominek trzymając ręce w kieszeniach swego tabaczkowego surduta. Na trupiej twarzy jezuita malowało się wielkie zadowolenie.

Księżna Saint-Dizier, w skromnym ubiorze, odpowiednim dla tego typu dewotki, nie spuszczała oka z Rodina, który zupełnie wyrugował księdza d'Aigrigny z jej pobożnego serca.

– Tak, pani – mówił Rodin – mamy wyborne nowiny z naszego domu Saint-Herem. Pan Hardy... ten niedowiarek... ten libertyn, wszedł nareszcie na łono naszego kościoła apostołsko-rzymskiego. Łaska niebios zmiękczyła tego zatwardziałego bezbożnika i to tak dalece, iż w ascetycznym zapale chciał już złożyć śluby, wiążące go na stałe z naszym świętym zgromadzeniem.

– Czy to być może, mój ojcze? Tak prędko? – rzekła zdziwioną księżna.

– Człowiek ten, z natury tak wątpliwy, tak delikatny, w tej chwili jest prawie całkiem zrujnowany, tak na ciele jak na umyśle. A przeto surowe życie, umartwienie ciała, boskie rozkosze ekstazy utworzą mu drogę do wiecznego życia prędzej, aniżeli spodziewać się było można, a co, jak się zdaje, nastąpi za kilka dni... gdyż...

I tu zrobił złowieszczą minę...

– Tak prędko?

– Niemal z pewnością można się tego spodziewać; mogłem więc na mocy przysługującej mi dyspensy kazać przyjąć tego pokutnika in articulo mortis, za członka naszego zgromadzenia, któremu, według wymagań naszej ustawy, pozostawi wszelki swój teraźniejszy i przyszły majątek... tak, iż teraz nie potrzebuje troszczyć się o nic, tylko myśleć o zbawieniu duszy... jest to więc kolejna ofiara wolnomyślniej filozofii, wyrwana ze szpon szatana.

– Ach, ojcze – zawołała zdziwiona dewotka – to cudowne nawrócenie!... Właśnie mówił mi ksiądz d'Aigrigny, jak to wasza wielbność musiała walczyć z wpływem księdza Gabriela.

– Ksiądz Gabriel – rzekł Rodin – został ukarany za mieszanie się do spraw, nie dotyczących go i za inne jeszcze przekroczenia... Zażądałem zawieszenia go w obowiązkach duchownych... jego zwierzchnik zawiesił go i odwołał z probostwa... Mówią, że dla spędzenia czasu obiega ambulansę chorych na cholere i udziela chrześcijańskiej pociechy; tego mu zabronić nie można... Lecz od tego chodzącego pocieszyciela czuje się o pół mili odszczepieństwo...

– Wielebny ojcze, jesteś świętym Janem Chryzostomem – zawołała księżna z zapalem – zasługujesz, aby cię nazwać Złotoustym.

– Ach, dajże mi, księżno, spokój – rzekł Rodin opryskliwie, wzruszając ramionami – ja, złotousty... zbyt sine mam usta i zbyt czarne zęby... Żartuje sobie księżna ze swoimi złotymi ustami...

– Skromność waszej wielebności niech mi raczy darować – rzekła pokornie dewotka – nie mogłam sobie odmówić okazania mego podziwu, bo, prawie tak jak wasza wielebność przepowiedziałeś... czyli przewidziałeś niedawno, już dwóch członków rodziny Rennepont'ów przestało liczyć się w sprawie dziedzictwa...

– Tylko proszę się nie śpieszyć zbyt z pochwałami – rzekł niecierpliwie Rodin. – A siostrzenica księżny? A Hindus, a córki marszałka? Czy oni też przestali ubiegać się o dziedzictwo?

– Nie, bez wątpienia.

– Widzi więc księżna; nie traćmy czasu na winszowanie sobie przeszłości; myślmymy o przyszłości... Wielki dzień zbliża się... Pierwszy czerwca już niedaleko... dałby Bóg, żebyśmy nie ujrzeli czterech pozostałych członków tej rodziny, żyjących w grzesznym zaślepieniu i zagarniających cały spadek...

– Najtrudniej będzie pewnie z Adrianną...

– Może, gdyby się udał nasz plan, może, powtarzam, posłużyłby nam za środek... do nawrócenia jej – rzekł Rodin ze zjadliwym uśmiechem – bo dotąd, od chwili, gdy na nieszczęście zbliżyła się do Hindusa, zdaje się, że nic nie zdoła pomieszać ani zmącić wesela tych dwojga... nawet ostry ząb Faryngei ugryźć go nie może... Lecz miejmy nadzieję, że sprawiedliwy Bóg położy koniec ich występnemu szczęściu.

Rozmowę przerwał ksiądz d'Aigrigny, który wszedł do sali z triumfującą miną i jeszcze w drzwiach zawołał:

– Zwycięstwo!

– Co mówisz, wasza wielebność? – zapytała z pośpiechem księżna.

– Odjechał... tej nocy – rzekł uradowany ksiądz d'Aigrigny.

– Kto taki? – odezwał się Rodin.

– Marszałek Simon – odpowiedział, nie posiadając się z radości, ksiądz d'Aigrigny.

– Czy posiadasz, ojcze, dokładne wiadomości?

– Dopiero co widziałem się z Robertem – odparł d'Aigrigny – prawie do końca nie mógł przełamać wahań marszałka... Wczoraj, przeciwnie niż dotąd, gdy wydawał się załamany, zastał go tak uradowanym, iż zapytał, skąd ta zmiana.

– No i co? – spytali razem Rodin i księżna.

– Jestem teraz najszczęśliwszym człowiekiem na świecie odpowiedział marszałek – gdyż jadę pełen radości i szczęścia: dokonać świętego obowiązku.

– A cóż mogło spowodować tę nagłą zmianę w zachowaniu marszałka? – zamyśliła się księżna.

– Trudno dociec – rzekł Rodin z zastanowieniem – lecz mniejsza o to, dość, że odjechał; trzeba tymczasem, nie tracąc ani chwili, działać na jego córki... Czy zabrał z sobą tego przekłętą żołnierza?

– Nie... – rzekł ksiądz d'Aigrigny – nie, na nieszczęście... wie już z doświadczenia, że nie może nikomu, poza nim, dowierzać i podwoił ostrożność, a człowiek, który by w najgorszym razie mógł usłużyć nam w tej sprawie... niedawno zapadł na cholere.

– Kto to taki? – zapytała księżna.

– Morok... mogłem liczyć na niego w każdym przypadku... a jego właśnie straciliśmy... bo, jeżeli uda mu się wygrzebać z cholery, bać się znowu trzeba, żeby nie uległ innej strasznej chorobie.

– O czym wasza wielebność mówi?

– Przed kilkoma dniami ugryzł go pies z jego własnej menażerii i nazajutrz u tego właśnie psa pokazały się oznaki wścieklizny.

- Ach, to okropne zawołała księżna – a gdzie jest teraz ten człowiek?
- Zaniesiono go na razie do jednego z przenośnych ambulansów w Paryżu, gdyż dotąd wystąpiły tylko objawy cholery...
- Co się tyczy anonimowych listów – rzekł nagle Rodin – jest okoliczność, o której dobrze będzie wiedzieć waszej wielbności.
- O co chodzi?
- Oprócz listów, które wasza wielbność zna, marszałek odebrał jeszcze inne, o których wasza wielbność nie wiedział, a w których starano się wszelkimi sposobami rozjątrzyć jego złość przeciw waszej wielbności, przytaczając wszystkie powody, dla których powinien go nienawidzić.
- Ksiądz d’Aigrigny spojrział na Rodina w osłupieniu i zawołał, mimowolnie rumieniąc się:
- Ależ w jakim celu... wasza wielbność tak działał?
- Najpierw, żeby odwrócić od ciebie podejrzenia, jakie obudzić mogłyby te listy; potem, aby rozdrażnić złość marszałka aż do szaleństwa. To wszystko powinno było zmusić go do tego szalonego, awanturniczego przedsięwzięcia, które jest skutkiem i karą jego bałwochwaltwa dla nędznego uzurpatora.
- Niech i tak będzie – rzekł ksiądz d’Aigrigny z wymuszoną miną – lecz zwracam waszej wielbności uwagę, że marszałek, rozdrażniony do ostateczności, pamiętając o naszej wzajemnej nienawiści... może mnie szukać i spotkać się ze mną...
- Doprawdy? – rzekł Rodin z największą wzdrganą – Czy wasza wielbność jeszcze pamięta o tym... o tym głupim punkcie honoru? Czy jeszcze sukienka waszej wielbności nie przygasa tego ślicznego zapachu? Ten rębacz, którego biedną, pustą je próżna beczka mózgowicę rozstroilem, wymawiając kilka słów czarodziejskich dla głupich junaków: Honor wojskowy... przysięga... Napoleon II, ten rębacz mógłby dopuścić się przeciwko waszej wielbności jakiegoś gwałtu, a wtedy trzeba by dobrze panować nad sobą. Jako przełożony waszej wielbności – mam prawo zapytać go, jak postąpiłby, gdyby marszałek Simon podniósł nań rękę...
- Panie!... – zawołał ksiądz d’Aigrigny.
- Nie ma tu panów, tu są księża. Lub, jeżeli byłoby to znośniejsze dla waszej wielbności, gdyby go spoliczkował – mówił dalej Rodin z uporczywą flegmą.
- Ksiądz d’Aigrigny pobladł, ścisnął zęby, mało nie oszalał na samo wspomnienie takiej obelgi, gdy tymczasem Rodin, który pewnie nie bez celu zadawał takie pytania, pilnie zważał na znaczące symptomy, objawiające się mimowolnie we wzburzonej fizjonomii byłego pułkownika. Na koniec ksiądz d’Aigrigny, odzyskując powoli zimną krew, odpowiedział spokojnym, wymuszonym tonem:
- Gdyby miała mnie spotkać podobna krzywda, prosiłbym Boga, aby raczył mnie obdaroować rezygnacją i pokorą.
- I zapewne Pan Bóg wysłuchałby prośby waszej wielbności – rzekł oziębło Rodin, zadowolony z próby, jaką przeszedł szczęśliwie ksiądz d’Aigrigny.
- Wszedł lokaj, niosąc na tacy zapieczętowane w wielkiej kopercie pismo, które podał księżnie. Księżna przebiegła je szybko oczyma i niebawem okrutne zadowolenie zabłysło na jej twarzy.
- Jest nadzieja – zawołała, zwracając się do Rodina – prośba jest zgodna z prawem i przechodząc przez instancje, coraz bardziej nabiera mocy; skutki mogą być takie, jakich sobie życzymy. Słowem, mojej siostrzenicy lada dzień zagrozić może największa nędza... Jej, która jest tak marnotrawna... Jakie to zamieszanie... jaki cios!...
- A więc, trzeba działać – rzekł Rodin – i to działać szybko; chwila zbliża się; nienawiść, nieufność są podrażnione... Nie ma czasu do stracenia.
- Co się tyczy nienawiści – wtrąciła księżna – panna de Cardoville mogła była przewidzieć, jaki będzie skutek procesu, który próbowała wytoczyć w sprawie, jak ona, nazywa, zatrzymania jej w szpitalu i zamknięcia panien Simon w klasztorze Panny Marii. Bogu dzięki,



wszędzie mamy przyjaciół; wiem z dobrych źródeł, że będą usunięte na bok te wszystkie krzyki, z braku dostatecznych dowodów, pomimo zawziętości niektórych członków parlamentu, którzy będą za to notowani i to dobrze notowani...

– W takich okolicznościach – dodał Rodin – oddalenie się marszałka ułatwia nam wszelkie sposoby działania; trzeba teraz niezwłocznie wpłynąć na jego córki.

– Ale w jaki sposób? – spytała księżna.

– Trzeba spotkać się z nimi – rzekł Rodin – pomówić, wybadać je... a dopiero potem działać, jak wypadnie.

– Ale żołnierz nie opuści ich ani na chwilę – rzekł ksiądz d'Aigrigny.

– To – mówił dalej Rodin – trzeba mówić z nimi w obecności żołnierza i pozyskać go sobie.

– Jego!... To próżna nadzieja! – zawołał ksiądz d'Aigrigny. – Wasza wielbność nie zna tego człowieka.

– Ja jestem zawsze ostrożny... miałem już groźniejszego wroga... – jezuita uśmiechnął się pokazując czarne zęby... – miałem do czynienia z cholerą.

– Ale jeżeli będzie uważać waszą wielbność za wroga... nie zechce go przyjąć; a wtedy jak dostać się do córek marszałka? – rzekł ksiądz d'Aigrigny.

– Nie wiem jeszcze – odparł Rodin – ale ponieważ chcę dotrzeć do nich... więc dotrę. W każdym razie... racz pani być gotowa jutro rano towarzyszyć mi.

– Dokąd, wielbny ojcze? Do marszałka?

– Niezupenie do niego; pani wsiądzie do swego powozu, ja wezmę dorożkę; ja będę starał dostać się do dziewcząt; tymczasem pani zaczeka na mnie kilka kroków od domu marszałka; jeżeli mi się powiedzie, jeżeli będę potrzebował pomocy, przyjdę do pani powozu; odbierze pani ode mnie instrukcje i nikt nie będzie wiedział żeśmy się umówili.

– Niech tak będzie wielbny ojcze; ale powiem szczerze, boję się, gdy pomyślę o spotkaniu waszej wielbności z tym grubiańskim żołnierzem – rzekła księżna.

– Pan Bóg będzie czuwać nad swoim sługą – odparł Rodin.

– Co do waszej wielbności – dodał, zwracając się do księdza d'Aigrigny – natychmiast prześlij wiadomej osobie przygotowaną już notę do Wiednia, z oznajmieniem o bliskim przyjeździe marszałka. Wszystko zostało przewidziane.

## ROZDZIAŁ II

### SZCZĘŚCIE

Dwa dni minęły od wyjazdu marszałka Simona. Jest ósma rano; Dagobert, idąc ostrożnie, na palcach, żeby nie sprawić hałasu, przechodzi przez salon, prowadzący do pokoju Róży i Blanki; zbliżając się do drzwi, nadstawia ostrożnie ucho, co też słychać u dziewcząt. Ponury postępuje krok w krok za swoim panem. Na twarzy żołnierza widać niepokój jest czymś zajęty; zbliżając się do drzwi, mówi cichym głosem:

– Byleby tylko biedne dzieci nie usłyszały czego... tej nocy. To by je przeraziło, lepiej, gdyby nie wiedziały o tym wypadku, a przynajmniej, żeby to odwlekło się jak najdłużej.

Wkrótce słychać było tak głośne śmiechy, że żołnierz, ucieszony tym objawem radości, tak rzadkim u jego dzieci, jak je zwykle nazywał, rozrzewnił się; łzy na chwilę zrosiły mu oczy, gdy pomyślał, że przecież biedne sieroty cieszą się, jak na ich wiek przystało. Wreszcie odezwał się:

– Dzień dobry, moje dzieci... nie przyganiając, powiem, że jesteście dziś, moje panny, bardzo opieszale, późno wstajecie.

– Nie jesteśmy temu winne, Augustyna jeszcze nie przyszła... – rzekła Róża – czekamy na nią.

– Otóż masz – pomyślał Dagobert i rzekł zakłopotanym tonem, bo nie umiał kłamać: – Moje dzieci, wasza guwernantka wyszła dziś rano... pojechała na wieś... więc dobrze zrobicie, gdy się same ubierzecie.

Odchodząc, mówił do siebie: – Muszę wygrzmocić po uszach tego przekłętą Gapę, bo taki osioł, taki gaduła może wszystko wypaplać. – Przewisko domniemanego głupca nastęrcza nam sposobność wyjaśnienia przyczyny wesołości dziewcząt, która tak ucieszyła Dagoberta, śmiały się z tego niezgrabiasza. Blanka, czesząc włosy siostry, upuściła grzebień; gdy się schyliła po niego, uprzedziła ją Róża i podała, mówiąc:

– Gdyby się złamał, włożyłabyś go pewnie do kosza.

I zaczęły śmiać się do rozpuku. Słowa te przypomniały im zachowanie Gapy. Utracił kiedyś uszko od filizanki, gdy skarciła go za to guwernantka pańien, odpowiedział:

– „Niech pani będzie spokojna, włożyłem to uszko do kosza z uszami”.

– Co, co? Do kosza z uszami?

– Tak, proszę pani, chowam tam wszystkie uszka, które zdarzy mi się stłuc.

– Żał mi tylko... że ojciec nie słyszy, jak się tak śmiejemy.

– To prawda... Przychodzi mi jeszcze jedna myśl. Będziemy pisać do niego, jednak pod jego adresem tu, w Paryżu, Dagobert odda listy na pocztę, a gdy ojciec wróci, będziemy razem czytać nasze listy.

– Masz rację, to będzie wspaniałe. Ile to zabawnych rzeczy będziemy miały do opisanego, on tak się cieszy widząc naszą radość.

– Jak pięknie mówił, żegnając się z nami, prawda, siostrze? „Zamiast martwić się moim odjazdem, moje dzieci, cieszcie się raczej i bierzcie go za powód słusznej chluby. Opuszczam was, jadę dokonać zaszczytnego, wspaniałego dzieła. Posłuchajcie, co wam powiem: wyobraźcie sobie, że jest gdzieś tam biedna, nieszczęśliwa sierota; cierpiąca, przez wszystkich opuszczona, że ojciec tej sieroty był moim dobroczyńcą, że przysięgałem, że się poświęcę dla dobra jego syna... i że jego synowi grozi śmiertelne niebezpieczeństwo... Powiedzcie mi teraz, moje dzieci, czy smuciłybyście się, widząc mnie odjeżdżającego, aby udzielić pomocy tej nieszczęśliwej sierocie?”

– Och! Nie, nie, kochany ojciec – odpowiedziałyśmy – nie byłybyśmy twoimi córkami!

Dziewczęta były już ubrane i wyszły spiesźnie do salonu przywitać się z Dagobertem.

– Ach! Podśluchiwałeś nas, jaki ciekawy – rzekła wesoło Róża, widząc, iż żołnierz stoi tuż przy drzwiach.

– Tak, podśluchiwałem was, moje dzieci, i jednej tylko rzeczy żałuję, że nie mam. tak długich uszu jak Ponury, żebym mógł więcej usłyszeć

– Dajże już spokój... co też on opowiada – rzekła Róża, kładąc piękną rękę na siwych wąsach Dagoberta, aby mu zakryć usta. – Gdyby to pani Augustyna usłyszała...

– Trzeba było ją widzieć, kiedy byłyśmy smutne – rzekła Blanka – jaka była niespokojna, jak się martwiła, jak starała się nas rozweselić.

– Ileż to razy widziałam łzy w jej oczach – dodała Róża – O! Ona nas naprawdę kocha i my też ją bardzo Kochamy... Ty nic nie wiesz, Dagobercie, a my mamy pewien projekt, skoro tylko ojciec wróci...

– Ach! Dagobercie – rzekła wesoło Blanka, grożąc palcem żołnierzowi – mam wielkie pojęcie, że zalecałeś się do naszej guwernantki.

– Ja... zalecać się? – rzekł żołnierz.

Wymówił te słowa głosem tak oburzonym, że obie nie mogły wstrzymać się od głośniego śmiechu. Wesołość ich doszła do najwyższego stopnia, gdy drzwi salonu otworzyły się. Gapa, postępując kilka kroków do środka, wrzasnął, że przybył:

– Rodin.

Niepodobna opisać zdziwienia dziewcząt i gniewu żołnierza na tę niespodziewaną wizytę.

Przyskakując do Gapy, Dagobert chwycił go za kołnierz i zawołał:

– Kto ci pozwolił wprowadzać tu obcych ludzi... mnie wprzód nie zawiadomiwszy?

– Daruj pan, daruj, panie Dagobercie! – wołał Gapa, rzucając się do nóg i wyciągając ręce z miną równie głupkowatą, jak błagalną.

– Precz... precz stąd, i ty także... ty przede wszystkim – dodał z groźną miną, zwracając się do Rodina, który już zbliżał się do panien, uśmiechając się dobrotliwie.

– Uniżony pański sługa... – odezwał się pokornie, kłaniając się.

– Panie Dagobercie – zawołał Gapa przestraszonym głosem – daruj mi pan, zem tu wprowadził tego jegomościa; ale straciłem głowę, tak mi się pomieszało, z powodu nieszczęścia pani Augustyny...

– Jakie nieszczęście? – zawołały natychmiast Róża i Blanka, zbliżając się do Gapy, bardzo niespokojnie.

– A pójdziesz ty mi precz! – krzyknął Dagobert, wstrząsnawszy Gapą za kołnierz, chcąc go zmusić do wstania.

– Panienki – pośpieszył Gapa z odpowiedzią, mimo wściekłości żołnierza – panią Augustynę napadła tej nocy cholera i zaraz ją...

Nie zdążył dokończyć, Dagobert rzucił się nań z pięściami.

Zwracając się następnie do Rodina, rozogniony, z iskrzącymi się z gniewu oczami, pokazał jezuicie drzwi, mówiąc piorunującym głosem:

– No, teraz ty... a jeżeli mi się sam nie wyniesiesz...

– Uniżony pański sługa – rzekł Rodin, cofając się i kłaniając się dziewczętom.

## ROZDZIAŁ III

### POWINNOŚĆ

Rodin dokonując powoli odwrotu, pod ogniem rozjątrzonego wzroku Dagoberta, cofał się do drzwi, z ukosa rzucając przenikliwymi oczyma na sieroty, widocznie przejęte przez umyślną nieostrożność Gapy. Dagobert nakazał mu, aby w obecności dziewcząt nic nie mówił o guwernantce; głupiec, prawie zawsze mówił i robił inaczej niż mu przykazano.

Róża podeszła do żołnierza i zapytała:

– Mój Boże! To prawda, że naszą biedną Augustnę zabrała cholera?

– Nie... nic o tym nie wiem... nie wierzę w to – odpowiedział żołnierz z wahaniem – a wreszcie, na co wam ta wiadomość?...

– Dagobercie – rzekła Róża – chodzi tu o świętą powinność, nie dopełnić jej byłoby podłością z naszej strony.

– Powiadam wam, że nie wyjdziecie stąd – zawołał żołnierz w najwyższym gniewie.

– Drogi przyjacielu – rzekła Blanka śmiało i z pewnym uniesieniem, które okryło jej piękną twarz żywym rumieńcem – ojciec, wyjeżdżając, dał nam piękny przykład wdzięczności i poświęcenia, czy darowałby nam, gdybyśmy miały zapomnieć o jego nauce?

– Jak to? – krzyknął Dagobert, nie posiadając się z gniewu i postępując ku siostrom – Sądźcie, że gdyby wasza guwernantka zachorowała, pozwoliłbym wam iść do niej, pod pozorem spełnienia obowiązku?... Waszym obowiązkiem jest żyć, żyć dla ojca... i dla mnie w dodatku.

– Dagobercie, nie wzbraniaj nam – mówiła Blanka – na pewno sam zrobiłbyś dla nas to, czego wzbraniaasz nam dopełnić wobec innych.

Dagobert dotąd jakby barykadował przejście jezuitów i siostrom; teraz, wzruszając ramionami, usunął się i rzekł ze spokojem:

– Jaki też ze mnie stary głupiec. Idźcie, moje panny, idźcie... jeżeli tylko znajdziecie panią Augustynę w domu, pozwalam wam zostać przy niej.

Nie wiedząc, co mają powiedzieć na takie zapewnienie Dagoberta, dziewczęta stanęły nieruchome.

– Jeżeli naszej guwernantki nie ma w domu, to gdzie jest? – zapytała Róża.

– Sądźcie może, że wam powiem, teraz, gdy widzę, jak się zapaliły. Nie chcę, abyście stąd wychodziły i nie wyjdziecie, choćby mi przyszło zamknąć was w tym pokoju – zawołał żołnierz; potem, przypomniawszy sobie, że to nieszczęsna nieostrożność Gapy była przyczyną przykrego zdarzenia, dodał w rozjątrzeniu:

– O! Muszę ja kij połamać na grzbiecie tego ciemięgi... Z tymi słowami, zwrócił się ku drzwiom, gdzie stał w milczeniu Rodin.

Na widok jezuitę, o którym na chwilę zapomniał, gniew Dagoberta wzmógł się i rzekł brutalnie:

– Jeszcze tu jesteś?

– Drogi panie, przyszedłem tu z zamiarem pomówienia z nim.

– Nie mam czasu na rozmowy... wynoś się, a prędzej.

– Mniejsza więc o to, niech i tak będzie, mój panie – rzekł Rodin, stojąc już na progu – Nie będę się już panu dłużej naprzykrzał; wybacz pan moje natręctwo... Przyniosłem nowiny... nowiny od marszałka Simona... przyszedłem...

– Wiadomość od ojca! – zawołała Róża podchodząc do Rodina.

– Jakie to szczęście, że znowu mogę przynieść tym pannom pocieszającą nowinę; znowu oglądam je takie same jak je ostatni raz widziałem, zawsze miłe, ładne, mniej smutne aniżeli

owego dnia, kiedy po nie przybył do tego bezecnego klasztoru, gdzie je niegodziwie zatrzymano. Jakże je widziałem uszczęśliwione... rzucające się w objęcia zacnego ojca!...

Te kilka słów przypomniało Dagobertowi i dziewczętom usługi, jakie rzeczywiście wyświadczył im Rodin; chociaż marszałek słyszał, jak panna de Cardoville mówiła o Rodinie jako o człowieku bardzo niebezpiecznym, jednak nie powiedział o tym Dagobertowi; lecz ten, nauczony doświadczeniem i mimo tylu przyjaznych dla jezuitów pozorów, czuł ku niemu nieprzewyciężoną odrazę; dlatego też rzekł:

– Jesteś złośliwy i chytry, ale ja nie jestem rekrutem.

– Ja jestem złośliwy, chytry, ja? – obruszył się Rodin z miną niewiniątka.

– I jak jeszcze... Myślisz, że mnie zwiedzisz swymi jedwabnymi słówkami? O, nie zmylą mnie one... Posłuchaj tylko: Jeden z waszej bandy ukradł mi mój krzyż... ty mi go zwróciłeś... mniejsza o to, niech ci będzie... Ktoś inny od was uprowadził te dzieci... ty ich poszedłeś szukać... to też prawda... Oskarżałeś zaprzańca d'Aigrigny... i to prawda.. ale to wszystko dowodzi tylko dwóch rzeczy: pierwsza jest ta, że byłeś takim niegodziwcem, iż należałeś do spisku tamtych łotrów... druga, że byłeś na tyle bezczelny, że ich oskarżyłeś; obie te rzeczy są podłe, haniebne... jesteś dla mnie człowiekiem podejrzanym. Wynoś się, wynoś prędko, twój widok nie może być zdrowy dla tych dzieci.

– Miałem zaszczyt oznajmić panu cel mego przybycia, mój panie.

– Wiadomość od marszałka Simona, nieprawda? – rzekł żołnierz.

– Tak właśnie, drogi panie; jestem szczęśliwy, że mogę przynieść nowiny od marszałka – odpowiedział Rodin, znowu zbliżając się do dziewcząt.

– Ależ do stu katów! Mój panie – zawołał Dagobert piorunującym głosem – przykro mi będzie przemocą wyrzucić człowieka w twoim wieku! Skończy się to wreszcie, czy nie?

– No, no – rzekł Rodin łagodnym tonem – nie gniewaj się pan na takiego starego człowieka, jak ja. Czy na to zasługuję, o cóż się tu gniewać?... Niech i tak będzie... chodźmy do pana... powiem panu, co mam powiedzieć... a pewno będziesz żałował, że mi nie pozwoliłeś mówić w obecności tych panien, będzie to karą za twoją złość...

Rodin, ukrywając swoją złość, znów się skłonił i przeszedł przed Dagobertem, który przymknął drzwi, skinąwszy na dziewczęta, aby zostały w pokoju.

– Dagobercie, jakież to nowiny od ojca? – rzekła Róża widząc go wracającego po kwadransie.

– Otóż!... Stary ten czarownik wie rzeczywiście, że marszałek odjechał i że odjechał z radością; mówi, że zna pana Roberta. Skąd on to wszystko wie?.. Nie mogę pojąć – dodał żołnierz – ale przez to samo już nie powinienem mu ufać.

– A jakież są te nowiny od ojca? – zapytała Róża.

– Jeden z przyjaciół tego starego nędznika (nie mogę go inaczej nazwać), zna waszego ojca i spotkał go o dwadzieścia pięć mil stąd; wiedząc, że ten człowiek jedzie do Paryża, marszałek miał mu polecić, żeby wam albo sam oświadczył, albo też kazał oświadczyć, że czuje się dobrze i że spodziewa się wkrótce wrócić do was...

– Ach! Co za szczęście! – zawołała Róża z radością.

– Widzisz więc, Dagobercie, że niesłusznie podejrzewałeś tego staruszka – dodała Blanka – tak ostro go potraktowałeś.

– Być może... jednak wcale tego nie żałuję...

– Rozumiem, Dagobercie, twoje przywiązanie do nas czyni cię podejrzliwym – rzekła Róża przymilnym głosem – dowodzi to, jak bardzo nas kochasz. I chyba nie odmówisz swoim dzieciom...

– Dobrze więc, mówcie, zobaczymy... – rzekł Dagobert, patrząc to na jedną, to na drugą – Muszę się mieć na baczności. Jestem pewny, że idzie o coś takiego, na co trudno będzie pozwolić...

Chciały już mówić, gdy wtem zapukano z lekka do drzwi.

- Kto tam? – zapytał Dagobert.
  - Ja, Justyn, panie Dagobercie – odezwał się głos za drzwiami.
  - Co chciałeś? – spytał Dagobert.
  - Panie Dagobercie – odpowiedział Justyn – na dole, przed domem, jakaś dama czeka w powozie; przysłała lokaja dowiedzieć się, czy może widzieć się z księciem i z pannami. Powiedzieliśmy jej, że księcia nie ma w domu, ale panny są; chce widzieć się z nimi... mówiąc, że przybywa po kweście.
  - Ta dama przybywa po kweście – rzekła Róża – pewnie kwestuje na ubogich; powiedziano jej, że jesteśmy w domu; nie możemy więc odmówić jej przyjęcia... Chyba mam rację?
  - Jak uważasz, Dagobercie? – dodała Blanka.
  - Dama... to dobrze... to przecie już nie to, co ten stary czarownik, który był tu przed chwilą – rzekł żołnierz – a wreszcie nie odejdę od was. Potem zwrócił się do Justyna: Poproś tę damę.
- Po chwili podwoje salonu otworzyły się i weszła księżna Saint-Dizier, uprzejmie się ukłoniwszy; trzymała w ręku woreczek z czerwonego aksamitu, z jakimi zwykle chodzą kwestarki.

## ROZDZIAŁ IV

### KWESTA

Księżna Saint-Dizier umiała, gdy zachodziła potrzeba, przybrać jak najbardziej ujmującą powierzchowność. Dagobert, mimo cierpko-kwaśnego humoru, Róża i Blanka, pomimo zwykłej ich wiekowi nieśmiałości, poczuli uszanowanie i ufność do księżny; ta, zbliżywszy się do dziewcząt, uprzejmie je przywitała i rzekła przymilnie:

– Mam zaszczyt mówić z pannami Ligny?

Róża i Blanka, nie przywykłe do słuchania tak szanownego nazwiska ojca, zarumieniły się i spojrzały na siebie, nie odpowiadając.

Dagobert, chcąc je wyręczyć, rzekł do księżny:

– Tak, pani, te panny są córkami marszałka Simona.

Ona zaś rzekła tkliwym, zgodnym z przybraną rolą tonem:

– Przychodzę do pań prosić o miłosierdzie nad nieszczęśliwymi ofiarami cholery; jestem jedną spośród dam, opiekunek dobroczynności i jakikolwiek może być wasz dar, przyjmę go z wdzięcznością...

– Dziękujemy pani, że tak łaskawie daje nam sposobność do dobrego uczynku – rzekła uprzejmie Blanka.

– Pani – rzekł z uszanowaniem Dagobert – racz odpocząć, zanim Róża wróci z woreczkiem...

– Prócz ojca, nie mamy lepszego, bardziej przywiązanego do nas przyjaciela nad Dagoberta – rzekła Blanka, zwracając się do księżny...

– Chętnie w to wierzę – odpowiedziała dewotka – gdyż panienka, równie miła jak jej siostra, okazujecie się nader godne takiego poświęcenia... Poświęcenia – dodała księżna, zwracając się do Dagoberta – równie zaszczytnego dla tych, którzy je wzbudzają jak i dla tych, którzy go spełniają...

– Tak, pani, na honor – rzekł Dagobert – szczycę się nim i chlubię, bo jest czym... Ale, otóż i Róża...

Dziewczyna wyszła z pokoju, trzymając w ręku zielony, jedwabny woreczek, hojnie napełniony.

– Chciałybyśmy, aby nasza jałmużna przyniosła choć małą ulgę tym, dla których kwestuje pani – rzekła Róża – bo na pewno okropne muszą być cierpienia tych nieszczęśliwych.

– Tak, bardzo dotkliwe – smutno rzekła dewotka – to tylko przynosi pociechę w ich cierpieniach, że wiele osób okazuje im litość i miłosierdzie... Ja, jako kwestarka, lepiej niż ktokolwiek inny mogę ocenić tyle szlachetnych poświęceń, które także rozszerzają się, że tak powiem, jak zaraza... gdyż...

– Słyszycie, moje panny, słyszycie – zawołał Dagobert triumfując i przerywając księżnie. – Rozumiecie, co mówi ta pani? Niekiedy poświęcenie staje się rodzajem zarazy... nie ma zaś nic gorszego nad zarazę...

Nie dokończył, wszedł bowiem służący i oznajmił, że ktoś ma do niego pilny interes i chce się z nim natychmiast widzieć. Księżna doskonale ukryła zadowolenie z tego zdarzenia, które było potajemnie przygotowane, aby oderwać na chwilę żołnierza od dziewcząt. Przechodząc obok dziewcząt, Dagobert szepnął im:

– Słuchajcie tej pani, moje dzieci, nic lepszego nie możecie uczynić – i wyszedł, z uszanowaniem skłoniwszy się księżnie. Wszedł, a dewotka zwróciła się do dziewcząt:

– Nie zrozumiałam dobrze ostatnich słów zacnego przyjaciela pań... albo raczej, zdaje mi się, że on źle sobie tłumaczył moje słowa... Kiedy mówiłam o szlachetnej zarazie poświęce-

nia, wcale nie myślałam ganić tego uczucia, przeciwnie, wielce je szanuję. Byłam pewna, że takie serca jak wasze zrozumieją mnie – rzekła – ani wątpić, że i poświęcenie się ma także swoją zarazę, ale jest to szlachetna, heroiczna zaraza!... Gdybyście panie wiedziały, ilu to przejmujących zdarzeń bywam co dzień świadkiem, ile uczynków, pełnych odwagi, wzruszyło mnie nieraz do żywego! Tak, tak, dzięki niech będą za nie Bogu – dodała księżna Saint-Dizier. – Wszyscy bratają się w miłosiernych uczynkach.

– I ci ludzie tak się poświęcają dla obcych, nieznanym sobie – rzekła Róża ze wzruszeniem i zdziwieniem.

– Bez wątpienia. – Powiem paniom, że wczoraj aż do łez się wzruszyłam; odwiedziłam ambulans, prowizorycznie urządony... właśnie o kilka kroków stąd... Jedna sala była prawie całkiem wypełniona biednymi ludźmi, których tam niemal przyniesiono konających; wtem widzę wchodzącą kobietę, jedną z moich przyjaciółek, a z nią jej dwie córki, ładne i miłosierne, jak panie; matka i obie córki, podobnie jak pokorne sługi boskie, stają na rozkazy lekarzy na usługi tych nieszczęśliwych.

– Pewnie pojmujecie panie, że w pierwszym rzędzie dopełniających dzieła ludzkości znajdują się osoby duchowne... Właśnie dziś rano, w szpitalu, o którym paniom mówię... a który znajduje się niedaleko stąd... zdziwiłam się na widok młodego księdza... co mówię!... Nie księdza, ale anioła, który, zda się, zstąpił z nieba, aby udzielić tym wszystkim biednym kobietom pociechy religijnej... O, tak, ten młody ksiądz jest prawdziwie anielską istotą... bo, gdybyście tak jak ja wiedziały, kim jest ksiądz Gabriel!...

– Ksiądz Gabriel! – zawołały dziewczęta, spoglądając na siebie ze zdziwieniem i radością.

– Znać go, panie? – zapytała dewotka z udanym zdziwieniem.

– Czy go znamy?... On nam ocalił życie... jakżebyśmy go nie znały!

– Ma długie blond włosy – dodała Blanka z żywością.

– A oczy niebieskie, tak piękne, tak dobre, iż patrząc na niego, rozczulić się trzeba.

– Nie ma wątpliwości... to musi być on – mówiła księżna – a więc możecie sobie wyobrazić, jakie tam mają dla niego poszanowanie i jaki on wzbudza zapał we wszystkich, którzy go widzą. Ach! Gdybyście panie słyszały, jeszcze dziś rano, z jakim tkliwym podziwem, z jakim uwielbieniem mówił o tych zacnych kobietach, które, jak się wyraził, mają tyle szlachetnej odwagi, iż spieszą doglądać, pocieszać inne kobiety, swoje siostry, w tych miejscach cierpienia!...

– Pani – rzekła żywo Róża, której serce zabiło mocniej wobec usłyszanych słów – nie mamy już matki; nasz ojciec jest nieobecny... pani ma tak piękną duszę, tak szlachetne serce, iż najlepiej do niej udać możemy się... z prośbą o radę.

– O jaką radę, kochana pani? – spytała księżna – Tak... moje dziecko, pozwól, że cię tak nazwę, bo to będzie bardziej naturalne w waszym i moim wieku.

– Nam także będzie miło – rzekła Blanka, po czym dodała – miałyśmy guwernantkę; okazywała nam zawsze najwyższe przywiązanie; tej nocy zapadła na cholere...

– Och! To straszne! – rzekła księżna z udanym żalem.

– Pierwszą naszą myślą było natychmiast biec do niej; szczerze panią zapewniamy, żeśmy tak chciały; lecz Dagobert tak nas kocha, iż zaraz boi się o nas...

– Trzeba darować temu dobremu człowiekowi – rzekła dewotka – lecz jego obawa, jak same panny stwierdzacie, jest niepotrzebna. Od ilu już dni odwiedzam szpitale, wiele moich przyjaciółek robi to samo, a przecież dotąd żadna z nas nie poczuła najmniejszego znaku choroby... która, zresztą, nie jest zaraźliwa; już to teraz dowiedziono... dlatego, bądźcie panie spokojne...

– Pani, czy to niebezpieczne, czy nie – rzekła Róża – powinnyśmy odwiedzić naszą guwernantkę.

– Tak sędzę, moje dzieci; bo inaczej może posądziłaby was o niewdzięczność, potem – dodała księżna Saint-Dizier ze skrucą – nie chodzi tu jedynie o pozyskanie sobie szacunku lu-



dzi, trzeba także myśleć o zasłużeniu łaski Bożej... i dla swych krewnych... bo utraciliście matkę, nieprawda?

– Tak, pani, niestety!

– Przyjęła ostatnie sakramenta?

– Pani, my żyliśmy daleko, w kraju prawie bezludnym... – odpowiedziała smutnie Róża. – Nasza mama umarła na cholere... w całej okolicy nie było księdza... aby jej udzielił ostatniej religijnej pociechy...

– Ach! Moje dzieci! – rzekła dewotka, udając serdeczny żal. – Niestety!... Wasza matka, mimo wszystkich jej cnót, jeszcze nie weszła do raju.

– Co pani mówi?

– Na nieszczęście umarła, nie przyjąwszy sakramentów, tak że dusza jej błąka się między czyścowymi duszami, oczekując chwili łaski Najwyższego... Jej zbawienie może być przyspieszone przez modlitwy, które się co dzień odmawia za odkupienie pokutujących dusz.

A widząc po smutnych twarzach dziewcząt, że jej obłudne słowa wywarły wrażenie, jakiego sobie życzyła, dodała:

– Nie trzeba rozpaczać, moje dzieci; prędzej czy później stwórca powoła waszą matkę do raju; a zresztą, możecie przyspieszyć chwilę zbawienia jej najukochańszej duszy...

– My, pani? A w jaki sposób zdołamy pozyskać tę łaskę?

– Dobrymi postępками i uczynkami. I tak, na przykład, nie możecie być w jego oczach miłsze niż gdy okażecie przywiązanie i wdzięczność dla swej guwernantki; tak, jestem pewna, taki dowód gorliwości, prawdziwie chrześcijański, jak mówi ksiądz Gabriel, skutecznie przyczyniłby się do wybawienia waszej matki, gdyż Zbawiciel w swej dobroci szczególnie upodobał sobie modlitwy córek za ich matki i ofiarowane niebu piękne, święte uczynki.

– Ale jak się dowiedzieć, gdzie jest nasza guwernantka? – rzekła Róża.

– Dowiemy się o wszystkim... zdajcie się tylko na mnie – rzekła dewotka – wrócę tu znowu... i razem pomyślimy, jak należy postąpić... tak, naradzimy się, aby jak najprędzej wybawić duszę waszej biednej matki...

Ledwie wymówiła ostatnie słowa, kiedy wszedł żołnierz, uradowany, zadowolony. Z wielkiej radości nie spostrzegł wzruszenia sierot. Księżna Saint-Dizier, chcąc odwrócić jego uwagę, rzekła wstając i idąc w jego stronę:

– Bądź pan spokojny; powiedziałam im wszystko, co wypadało powiedzieć; rozumiemy się bardzo dobrze...

Te słowa zupełnie uspokoiły Dagoberta, a księżna Saint-Dizier, serdecznie pożegnawszy się z dziewczętami, wróciła do powozu i pośpieszyła do Rodina, który czekał na nią w drodze chcąc się dowiedzieć wyniku jej rozmowy z dziewczętami.

## ROZDZIAŁ V

### AMBULANS

Wśród wielkiej liczby ambulansów, otwartych naprędce w różnych częściach Paryża, jeden urządzono na dole obszernego domu przy ulicy Mont Blanc. Przynoszono tam ubogich chorych. Dwa dni upłynęły od wizyty księżny Saint-Dizier. Osoby, które dobrowolnie podjęły się usługiwać i doglądać w nocy chorych miały być zastąpione przez inne, pełniące te obowiązki we dnie.

– Co słyhać, panowie? – odezwał się jeden z nowoprzybyłych. Czy spośród tych, których mamy zastąpić, nikt nie zachorował?

– Przyszło nas wczoraj jedenastu... A dziś zostało dziewięciu...

– Ach! To fatalne...

– Jedna z tych ofiar... dwudziestopięcioletni młodzieniec, oficer kawalerii na urlopie... został jakby piorunem ugodzony... Zmarł niemal w ciągu kwadransa.

– A kto drugi zmarł tej nocy?

– Och! To była okropna śmierć!... Trzy dni temu przyprowadzono człowieka, o którym sądzono, że zapadł na cholere... był to ów pogromca zwierząt, który zwabiał cały Paryż pod Bramę Św. Marcina.

– Wiem... Morok.

A więc, wystaw pan sobie, że u tego Moroka... dodatkowo objawiła się druga straszna choroba – wścieklizna.

– Wściekł się?

– Tak... wyznał, że przed kilkoma dniami został pokąsany przez wielkiego psa, którego chowa w swej menażerii... Na nieszczęście, wyznał to dopiero po ukazaniu się pierwszych objawów choroby, która kosztowała życie innego nieszczęśnika.

– Jak to się stało?

– Morok zajmował pokój z trzema innymi chorymi. Ogarnięty rodzajem gwałtownego obłąkania, zrywa się z łóżka ze strasznym krzykiem... i wypada jak wariat na korytarz... Nieszczęśnik, którego żałujemy, zastępuje mu drogę. Morok rzuca się na niego, gryzie go, szarpie zębami... i wreszcie pada w okropnych konwulsjach. Ofiara Moroka zmarła tej nocy w strasznych mękach, gdyż wstrząs był tak gwałtowny, iż natychmiast nastąpiło zapalenie mózgu.

– A Morok, także umarł?

– Nie wiem... musiano go wczoraj przenieść do szpitala, skrepowawszy go w chwili osłabienia, jakie następuje zwykle po takim gwałtownym napadzie; zanim mógł być przeniesiony, zamknięto go w osobnym pokoju.

– Ach! Mój Boże! – rzekł jeden z rozmówców, wyjrzawszy oknem – Popatrz no, jakie śliczne panienki wysiadły z tego powozu; jakie podobne do siebie! Rzadko zdarza się widzieć takie podobieństwo.

– Zapewne bliźniaczki... Biedne dziewczynki! Ubrane są w żałobę...

– Zdaje się, że idą tutaj.

W rzeczy samej, wkrótce Róża i Blanka weszły nieśmiało do przedpokoju, chociaż w ich wzroku widać było głębokie przejęcie.

– Czego panie sobie życzą?

– Czy tu jest, proszę pana, ambulans przy ulicy Mont-Blanc? – spytała Róża.

– Tak, pani.

– Powiedziano nam, że przed kilkoma dniami przywieziono tu panią Augustynę Tremblay. Czy mogłybyśmy ją zobaczyć?

– Powiniennem przedzić panią, że niebezpiecznie jest wchodzić do sal, gdzie są chorzy.

– To nasza przyjaciółka, którą chciałybyśmy zobaczyć – odpowiedziała Róża łagodnym, ale stanowczym głosem, z którego poznać było, że nie zważa na niebezpieczeństwo.

– Zresztą nie mogę zapewnić, czy osoba, o którą pani pyta, tu się znajduje; lecz jeżeli zechce pani pofatygować się do pokoju na lewo, tam zastanie pani siostrę Martę; ona powie wszystko, co panią interesuje.

– Dziękuję panu – rzekła Blanka, mile się ukloniwszy i weszła z siostrą do wskazanego pokoju.

Nagle straszny zgiełk, pomieszany z okrzykami przerażenia, rozległ się w sąsiednich pokojach; prawie w tej chwili dwoje drzwi, wychodzących do przedpokoju, gwałtownie się otworzyło i wielu chorych, w większości na wpół obnażonych, pobladłych, wynędzniałych, biegło do przedpokoju krzycząc:

– Ratujcie! Ratujcie! Wściekły!...

W chwili, kiedy ostatni z uciekających, ledwo dostawszy się do drzwi, czołgał się na skrwawionych rękach i nogach, gdyż jako słabszego inni, mocniejsi, przewrócili go i pokaleczyli, ukazał się Morok, sprawca takiego zamieszania.

Straszny to był widok... udartym kawałkiem prześcieradła miał przepasane biodra, blady, z posiniaczonym ciałem, na głowie najeżyła mu się ruda czupryna; przewracał obłąkanymi, zaszłymi krwią, błyszczącymi jak szkło oczyma; z ust toczyła się piana; raz po raz krzyczał chrapliwym, przeraźliwym głosem; na rękach wyprężyły mu się krwią nabrzmiałe żyły jak powrozy, które, zdawało się, pękną od takiego naprężenia; skakał jak drapieżny, dziki zwierz, wyciągając przed siebie rozwarte pięści, jak drapieżne szpony. Otoczono go zewsząd. Rzucił się wtedy do okna, chcąc je wyłamać i dostać się na dziedziniec; lecz nagle zatrzymał się i odskoczył na widok blasku szkła, gdyż wszyscy chorzy na wściekliwość mają wstręt do błyszczących przedmiotów, a zwłaszcza do szkła.

Nagle spostrzegł małe drzwiczki, prowadzące do gabinetu, w którym znajdowała się siostra Marta i dokąd weszły Róża i Blanka. Sądząc, że zdoła ujść w tę stronę, pociągnął z całej siły za klamkę i udało mu się, mimo oporu od środka, uchylić je.

## ROZDZIAŁ VI

### WŚCIEKLIZNA

Liczni świadkowie tej sceny byli przerażeni.

– Już po siostrze! – krzyczeli.

– Nie utrzymają drzwi...

– Z tego gabinetu nie ma innego wyjścia!

– A z siostrą są dwie młode panny w żałobie...

– Nie można pozostawić bez ratunku kobiet wobec napaści tego szaleńca!...

– Już za późno...

W tej chwili odezwały się głosy:

– Jest ksiądz Gabriel!

– Schodzi z piętra... usłyszał pewno krzyki i biegnie na ratunek.

Przewidując, jak wielkie nieszczęście mogło wyniknąć z ucieczki pogromcy zwierząt, młody misjonarz, nie zważając na nic, przybiegł w nadziei, że może uda mu się zapobiec niebezpieczeństwu.

Z jego polecenia wszedł za nim sanitariusz, trzymając w ręku fajerkę, napelnioną żarzącymi węglami, w której grzało się do białości kilka kawałków żelaza, używanych do przypalania niektórych przypadków cholery, kiedy już nie było innych środków leczenia.

Pogromca zwierząt, wyężdżając ostatnie siły, zdołał już prawie otworzyć drzwi, które z drugiej strony siostra Marta i dwie siostry przytrzymały z całych sił, ledwie żywe ze strachu.

Usłyszawszy kroki Gabriela, Morok zwrócił się nagle ku niemu i zaniechawszy dobijać się do gabinetu, skoczył z rykiem jak dziki, drapieżny zwierz do misjonarza. Tymczasem siostra Marta i sieroty, nie znając przyczyny nagłego cofnięcia się napastnika i korzystając z tej sposobności, przymknęły szybko drzwi, zasunęły rygiel i zabezpieczyły się od napaści. Morok, z obłąkanym krokiem, ze ściśniętymi konwulsyjnie zębami, rzucił się na Gabriela; wyciągnął ręce, chcąc go chwycić za gardło; misjonarz, wytrzymałszy mężnie pierwszy napad, szybkim spojrzeniem na przeciwnika odgadł jego zamiar i w chwili, kiedy ten miał się na niego rzucić, schwycił go za ręce i ugiął silnie ku ziemi. Głowa Moroka zwiśla mu na ramię; oczy zamknęły się... Misjonarz, sądząc, że nastąpiło chwilowe osłabienie i że nieszczęśliwy może upaść, zwolnił uścisk... Czując się wolny, chytry jak zawsze Morok porwał się nagle, chcąc znów rzucić się na Gabriela. Zaskoczony tą niespodzianą napaścią, Gabriel zachwiał się. Zdobył się jednak na wysiłek, raz jeszcze natężył mięśnie i zdołał powalić Moroka, przytrzymując kolanami. Poskromiwszy go, obrócił głowę w kierunku drzwi, chcąc zawołać pomocy, gdy Morok rzucił się gwałtownie i schwycił go zębami za rękę... Na to straszne, bolesne ukąszenie, misjonarz nie mógł powstrzymać okrzyku bólu i przestraszu... daremnie też usiłował wyrwać się; Morok trzymał go za rękę ściśniętymi konwulsyjnie zębami jak kleszczami...

Wtem z łoskotem otworzyły się drzwi; kilku mężczyzn, dowiedziawszy się od przestraszonych chorych, w jakim niebezpieczeństwie znajduje się ksiądz Gabriel, przybiegło mu na ratunek. Zjawił się także posługacz z fajerką i rozpalonymi do czerwoności żelazami; spostrzegłszy go, Gabriel krzyknął:

– Prędko, prędko, pośpiesz się z tymi żelazami...

Szczęściem, jeden z mężczyzn miał wehnianą kołdrę; w chwili, kiedy udało się w końcu misjonarzowi wyrwać rękę z zębów Moroka, kołdrę zarzucono na głowę szaleńca i skrepowano go bez żadnych przeszkód, mimo że się gwałtownie szamotał. Wtedy Gabriel podniósł się, rozdarł rękaw sutanny i obnażywszy lewą rękę w miejscu, gdzie widać było głęboką ranę, broczącą krwią, dał znak posługaczowi, aby się zbliżył, schwycił rozpalone do czerwoności

żelazo i bez namysłu przyłożył je do rany, z heroicznym spokojem, którym zdumieli się wszyscy obecni. Lecz niebawem czoło Gabriela pokryło się kroplami potu; jego długie włosy przylgnęły do skroni; twarz zbladła... zachwiał się... i stracił przytomność. Musiano go przenieść do przyległego pokoju, aby mu udzielić pomocy.

\* \* \*

Wkrótce po strasznym pojedynku Gabriela z Morokiem, Róża i Blanka, zmieszane, przestraszone, w towarzystwie siostry Marty weszły do obszernej sali, w której złożono wiele kobiet, nagle zapadłych na cholere.

Siostra Marta towarzyszyła córkom marszałka Simona; powiedziawszy po cichu kilka słów, pokazała im ustawione rzędami łóżka po obu stronach przepierzenia, potem udała się na drugi koniec sali. Jakkolwiek dziewczęta miały mocne postanowienie nie zrażać się przykrym widokiem cierpiących, jednak na widok smutnej sali, straciły na chwilę odwagę; bolesne przecucie wzbudziło w nich żal z powodu zbytnej nieroztropności; zresztą od kilku minut zaczynały odczuwać zimny, coraz mocniej przejmujący dreszcz; potem bolesne łupanie w skroniach; lecz, nie znając się na tych symptomach, przypisywały je skutkom przestachu, jakiego doznały z powodu Moroka i obie, Róża po jednej stronie przepierzenia, Blanka po drugiej, zaczęły szukać nieszczęśliwej guwernantki.

Gabriel przeniesiony do pokoju lekarza, mającego nadzór nad szpitalem, odzyskał wkrótce przytomność. Rana, wcześniej przypalona, nie mogła już pociągnąć za sobą szkodliwych skutków; gdy go opatrzone, chciał wrócić do sali kobiet, tam bowiem udzielał ostatniej pociechy pewnej umierającej, kiedy dano mu znać o wielkim niebezpieczeństwie, jakie mogło wyniknąć z szaleństwa Moroka.

Siostry nadal szukały swojej przyjaciółki. Chód ich stawał się coraz bardziej chwiejny, idąc dalej, musiały przytrzymywać się łóżka, koło których przechodziły.

Czując już zawroty i ból głowy, nie bardzo wiedziały, co się z nimi dzieje...

Niestety, biedne sieroty prawie równocześnie zapadły na cholere. Skutkiem nadzwyczajnego fizjologicznego zjawiska, często spotykanego u bliźniaków, i tym razem tajemna przyczyzna, usposobiwszy ich organizmy do zupełnie jednakowych reakcji, zdawała się upodabniać je do dwóch kwiatów na jednej łodydze, które razem się rozwijają, wzrastają, razem wędzną i giną.

Nosiły już na zmienionych twarzach śmiertelne piętna zarazy, gdy wychodziły z sali, którą przebiegły, daremnie szukając guwernantki.

Róża i Blanka, aż do tej chwili rozdzielone przepierzeniem, ciągnącym się przez całą długość sali, nie widziały się... lecz gdy wreszcie spotkały się, nastąpiła scena, na widok której serce się krajało z żalu.

## ROZDZIAŁ VII

### ANIOŁ STRÓŻ

Gdy sieroty stanęły naprzeciw siebie, już bardzo słabe, mdlejące, ledwie ustać mogły na nogach... krzyk obopólnego przerażenia wydobył się z ich piersi; widząc wielką zmianę na swych twarzach, zawołały razem:

– Siostró... i ty też jesteś chora?...

– Ach! Na Boga! Rózo!... Jak ty zbladłaś!...

– Tak samo jak ty, siostró...

– Bylebyśmy tylko umarły razem...

– Moja kochana siostró... nasz sen... sprawdza się! – zawołała nagle Róża, niemal w obłąkaniu, rzucając się na szyję siostry. – Patrz... patrz... nasz anioł stróż idzie do nas...

W tej właśnie chwili do sali wszedł Gabriel.

– O, nieba!... Kogo widzę!... Córki marszałka Simona! – zawołał.

Przyskoczył i przyjął biegnące dziewczęta w swoje objęcia; już nie mogły o własnych siłach utrzymać się na nogach; opuściły głowy, wzrok słabnął, z piersi z trudem wydobywał się oddech; wszystko zapowiadało zbliżającą się śmierć...

Siostra Marta również znalazła się przy nich; przy jej pomocy Gabriel zaniósł sieroty na łóżko dyżurującego lekarza.

Z obawy, aby widok ich żalostnej agonii nie sprawił przykrego wrażenia na pozostałych, siostra Marta zasunęła firankę i siostry zostały odgradzone od innych chorych.

Podczas pierwszego ataku choroby sieroty chwyciły się mocno rękami, które tak się zwały, iż trudno było je rozłączyć; w takim stanie i ułożeniu udzielono im pierwszej pomocy lekarskiej... Gabriel, stojący przy ich łóżku, nachylony nad nimi, patrzył z ciężkim sercem... Poczul dreszcz przerażenia; mimo hartu ducha, gdy się zastanowił nad przeznaczeniem sierot, nad śmiercią Jakuba Rennepont'a, nad niegodziwym uprowadzeniem pana Hardy'ego przez jezuitów, którzy, uwięziwszy go w odludnej klauzurze Saint-Herem, już prawie przy skonaniu, zrobili go członkiem swego zgromadzenia – pomyślał sobie, że już czterech członków z rodziny uległo kolejno zbiegowi tragicznych okoliczności; z przerażeniem myślał, jakim sposobem obmierzłym interesom jezuitów pomaga tak przychylnie zrządzenie losu?... O! jaką, zamiast zdziwienia, byłby przejęty zgrozą, gdyby wiedział, w jak dużym stopniu Rodin i jego poplecznicy przyczynili się do śmierci Jakuba Rennepont'a, nasławszy Moroka, aby rozwijał jego nieszczęsny nałóg, gdyby wiedział, jak księżna Saint-Dizier przyspieszyła zgon biednych sierot, podsycając ich szlachetne uczucie miłosierdzia...

Róża i Blanka, ocknąwszy się na chwilę z bolesnego letargu, otworzyły oczy, już zamglone, przygasłe; potem obie, w coraz większym rozgorączkowaniu wlepiły zachwycony wzrok w anielską twarz Gabriela.

– Siostró – odezwała się Róża osłabianym głosem – czy widzisz anioła... tego, który pokazywał nam się we śnie?...

– Przyszedł po nas.

– Aniele... święty aniele... módl się za naszą matkę... i za nas...

Gabriel, do tej chwili zdumiony, osłupiały z żalu, zanosząc się od łez, nie mógł słowa wymówić; lecz usłyszawszy ostatnie słowa sierot, zawołał:

– Kochane dzieci, dlaczego wątpicie w zbawienie waszej matki?... Ach! Nigdy czystsza, świętsza dusza nie wzniosła się do stwórcy...

– Nasz ojciec – rzekła Blanka, wzdrygnąwszy się i dalej mówiła raz rozsądnie, raz w malignie, tak że jej widok przejąłby boleścią najtwardsze serce – Niestety! Już nas nie zastanie,

gdy wróci... Przebacz nam, kochany ojcze... myślałyśmy, że dobrze zrobimy... Chciałyśmy, podobnie jak ty, spełnić dobry uczynek, poszłyśmy odwiedzić i pocieszyć naszą guwernantkę...

– Udałyśmy się tu, nie uprzedzając Dagoberta... niech ojciec nie wyrzuca mu tego.

– Święty aniele – podchwyciła Blanka słabnym głosem – pokaż się także... Dagobertowi... i powiedz mu, że prosimy go abym nam przebaczył... że swoją śmiercią... zmartwiłyśmy go...

– Ach! Jakie to straszne... takie młode... a żadnej nadziei ocalenia... – mówił po cichu Gabriel, zakrywając twarz rękami. – Panie, Panie, niezgłębione są twoje wyroki... Niestety! Po cóż zsyłasz tak okropną śmierć na te dzieci?...

Róża westchnęła i rzekła zamierającym głosem:

– Prosimy... pogrzebać nas... razem... abyśmy... po śmierci... jak za życia... były... razem...

I konające siostry obróciły oczy i wyciągnęły ręce do Gabriela.

– O! Święte męczenniczki najwznioślejszego poświęcenia – zawołał misjonarz, podnosząc do nieba zalane łzami oczy – skarby niewinności i czystości, idźcie do nieba!... Kiedy, niestety, Bóg was powołuje do siebie, jak gdyby ziemia okazała się was niegodna.

– Siostro!... Ojcze!...

To były ich ostatnie słowa.

Potem dobywając ostatnich sił, siostry jak gdyby chciały się do siebie przytulić; omdlałe ich powieki otworzyły się na wpeł, jakby raz jeszcze chciały się zobaczyć, opadły im ręce i głębokie westchnienie wydobyło się z otwartych ust. Róża i Blanka umarły.

Gabriel i siostra Marta ukłękli przy śmiertelnym łożu i modlili się. Wtem usłyszano straszny krzyk. Do sali wbiegł Dagobert zadyszany, obłąkany. Na widok Gabriela i miłosiernej siostry, klęczących przy ciałach jego dzieci, żołnierz osłupiał, przeraźliwie krzyknął, chciał jeszcze postąpić... lecz daremnie, gdyż, zanim Gabriel zdążył podbiec do niego, upadł i jego siwa głowa odbiła się od posadzki.

\* \* \*

Była noc... ciemna, burzliwa noc. Pierwsza godzina po pół nocy wybiła na kościele Montmartre. W tym właśnie dniu wyprowadzono na cmentarz Montmartre trumnę, która zgodnie z życzeniem Róży i Blanki, zawierała ich zwłoki... Pośród grubej pomroki, zakrywającej miejsca spoczynku umarłych, widać błakające się światło. To grabarz. Przechadza się ostrożnie, z latarką w rękę. Towarzyszy mu mężczyzna, otulony płaszczem; schylił głowę; płacze. To Samuel. Samuel... stary Żyd... stróż domu przy ulicy Św. Franciszka.

W nocy, po pogrzebie Jakuba Rennepont'a, który umarł pierwszy spośród siedmiu spadkobierców i pochowany został na innym cmentarzu, Samuel także przyszedł i prowadził potajemną rozmowę z grabarzem... aby za cenę złota uzyskać jego łaskę... Szczególną, przerażającą łaskę!

Świecąc latarką po ziemi i wokół siebie, pokazując Żydowi świeżo usypaną mogiłkę pod starym cisem, grabarz rzekł:

– To tutaj.

– Wiesz na pewno?

– Tak... dwa ciała w jednej trumnie... to nie tak często się zdarza.

– Niestety!... Obie w jednej trumnie! – westchnął Żyd.

– Kiedy znasz już miejsce... czego chcesz jeszcze? – zapytał grabarz.

Samuel nie odpowiedział.

Padł na kolana, schylił pobożnie głowę nad ziemią, okrywającą dół, potem wstał, podszedł do grabarza i przez jakiś czas mówił mu coś po cichu... do ucha... skrycie... choć nikogo, prócz nich, nie było na cmentarzu. Wszczęła się tajemnicza rozmowa, którą noc pokryła swoją ciemnością. Grabarz, przestraszony tym, czego żądał Żyd, zrazu wzdragał się, lecz gdy ten zaczął nalegać, prosić, płakać, gdy wreszcie, ofiarując mu złoto, brzęknął nim, grabarz dał się w końcu nakłonić; choć drżąc z bojaźni wobec tego, co obiecywał Samuelowi, rzekł przestraszonym głosem:

– Jutrzejszej nocy... o drugiej...

– Będę tu, za tym murem – rzekł Samuel, pokazując mur, w tym miejscu niezbyt wysoki; – na znak... rzucę trzy razy kamykiem.

– Dobrze, rzuć trzy razy kamykiem – powtórzył grabarz, ocierając zimny pot z czoła.

Samuel zaś, mimo podeszłego wieku, gramoląc się, przelazł przez mur i zniknął. Grabarz wrócił do domu szybkim krokiem, jakby go ścigało jakieś widmo.

\* \* \*

Wieczorem tego samego dnia, w którym Róża i Blanka zostały pochowane, Rodin napisał dwa listy.

Pierwszy list, pisany do Rzymu, zawierał tylko te słowa:

„Kto od siedmiu odejmie pięć, pozostanie mu tylko dwa. Proszę to oznajmić księciu kardynałowi; niech i on nie zatrzymuje się... bo, co do mnie, ja postępuję”..

Drugi list, pisany zmienionym charakterem, adresowany by do marszałka Simona.

Składał się z kilku następujących wyrazów:

„Jeżeli czas jeszcze po temu, wracaj prędko, bo córki twoje nie żyją. Dowiesz się, kto był przyczyną ich śmierci.”



## ROZDZIAŁ VIII

### UPADEK

Było to nazajutrz po śmierci córek marszałka. Panna Cardoville nic jeszcze nie wiedziała o nieszczęsnej śmierci swoich kuzynek; twarz jej jaśniała największym szczęściem. Nigdy jeszcze nie widziano jej piękniejszej. W pobliżu Adrianny widać Garbuskę; zajęła ona znowu w jej domu swoje dawniejsze miejsce; młoda wyrobница nosiła żałobę po siostrze. W zachowaniu i postępowaniu panny de Cardoville nie było widać ani śladu zalotności, niemniej co chwila rzucała okiem w zwierciadło, jakby chciała sprawdzić swój wygląd; poprawiwszy lok, wyprostowała zmarszczki, powstałe z zagięcia się grubej materii sukni na piersiach, po czym zwróciła się do Garbuski z uśmiechem:

– A więc dobrze! Ciesz się, droga przyjaciółko, że uważasz mnie dziś za piękniejszą niż kiedykolwiek...

– Tylko... – rzekła Garbuska.

– Tylko co?

– Tylko – jeżeli cię nigdy nie widziałam piękniejszej... nigdy też nie widziałam na twojej twarzy śmielszego postanowienia niż w tej chwili... Wyglądasz tak, jakbyś gotowała się na jakąś wojowniczą wyprawę.

– Zgadłaś, moja kochana – zaśmiała się Adrianna ściskając Garbuskę – muszę cię ucałować za to, żeś mnie tak trafnie odgadła; bo jeżeli mam napastliwą minę, to dlatego, że oczekuję na moją kochaną ciotkę.

– Na księżną Saint-Dizier? – zawołała Garbuska z pewnym lękiem. – Na tę wielką damę, która ci tyle sprawiła przykrości?

– Właśnie na nią; chciała pomówić ze mną, a ja zrobię sobie zabawę, przyjmując ją u siebie... – dodała panna Cardoville, śmiejąc się głośno. – A nie potrafisz wyobrazić sobie, kochana przyjaciółko, jak piekielną zawiść, jak zgryźliwą rozpacz wywołuje w podeszłej, otyłej kobiecie... widok kobiety młodej, świeżej, zgrabnej... i szczupłej! Zobaczysz, jak to ją będzie bolało...

Wszedł służący.

– Księżna Saint-Dizier kazała zapytać, czy pani ją przyjmie?

– I owszem.

Garbuska chciała wstać i wyjść z pokoju.

Adrianna zatrzymała ją.

– Zostań, droga przyjaciółko...

– Chcesz tego?

– Tak... chcę... i to na przekorę, na złość... – rzekła Adrianna, uśmiechając się – chcę pokazać księżnie Saint-Dizier... że mam bliską przyjaciółkę... że wreszcie, pod każdym względem czuję się szczęśliwa...

Ledwie Adrianna wymówiła te słowa, kiedy weszła księżna, z zadartą do góry głową, z imponującą miną, dumna.

Adrianna, nie postąpiwszy ani kroku, aby przyjąć ciotkę, wstała tylko z sofy, lekko skłoniła się, potem z miną pełną godności usiadła, wskazując księżnie krzesło, stojące przed kominem, przy którym siedziała Garbuska.

– Proszę usiąść, pani.

Księżna zaczerwieniła się i rzuciła pogardliwe spojrzenie na Garbuskę, która, dopełniając ściśle polecenia Adrianny, tylko lekko się skłoniła, ale nie ofiarowała jej swego miejsca.

– Rozmowa, której sobie z panną zażyczyłam – rzekła księżna – ma być poufna,

– Nie mam tajemnic wobec mojej najlepszej przyjaciółki może więc pani mówić w jej obecności.

– Chcę mówić z panną w cztery oczy; czy to jasne? – rzekła zniecierpliwiona dewotka do siostrzenicy,

– Daruj mi pani, ale nie rozumiem – rzekła Adrianna tonem zdziwienia. – Magdzia, która mnie zaszczyca swoją przyjaźnią, raczy być obecna przy rozmowie, którą pani życzyła sobie odbyć ze mną.

– Ależ, moja panno! – rzekła z oburzeniem księżna.

– Pozwól mi pani przerwać – rzekła znowu Adrianna jak najłagodniejszym tonem. – Żeby usunąć wszelkie obiekcje pani co do zaufania wobec przyjaciółki, pragnę oświadczyć, że znane jej są wszystkie „cnotliwe” wiarołomstwa... wszystkie intrygi... jakimi raczyłaś i o mało nie zgubiłaś mnie... pani.

– Coś podobnego! – rzekła księżna z oburzeniem. – Nie wiem, czy to dzieje się na jawie, czy mi się śni...

– Ach! Na Boga! – Adrianna udała przestrah. – Pewno uderza pani krew do głowy... gdyż twarz pani zbyt się rumieni... zapewne jesteś zbyt ściśnięta... O! Chyba może to powiedzieć kobieta kobiecie – tak, pani jesteś... zbyt zasznurowana?...

– Ślicznie dziękuję pani za jej „ciepłe” uczucia dla mnie; oceniam je tak, jak na to zasługują i jak powinienam, i dłużej nie czekając, spodziewam się, że będę mogła tego dowieść,

– Zobaczmy, zobaczmy, proszę pani – odpowiedziała wesoło Adrianna. – Powiedz to pani zaraz... Jestem bardzo niecierpliwa... bardzo ciekawa... Wiem przecież, że... od pani wszystkiego mogę się spodziewać... i jestem na wszystko przygotowana.

– Być może, moja panno – rzekła księżna – a gdybym na przykład... powiedziała ci... że w ciągu dwudziestu czterech godzin, do jutra... przywiedziona zostaniesz... do nędzy...

Tego Adrianna nie przewidywała, więc usłyszawszy słowa księżny mimowolnie oniemiała, zdjeta żywym zdziwieniem, zaś Garbuska wzdrygnęła się. Ochłonawszy, Adrianna uśmiechnęła się spokojnie, co wprawiło dewotkę w zdumienie.

– Więc dobrze! Szczerze, otwarcie wyznaję pani, tak, zdziwiłam się... gdyż spodziewałam się usłyszeć jakąś niecną potwarz w czym pani tak celujesz, sądziłam, że dowiem się o jakiejś dobrze uknutej, szkaradnej intrydze... Lecz czy mogłam spodziewać się, że pani przywiązuje tak wielką wagę do tak błahej rzeczy?...

– Zbiednieć... całkiem zbiednieć... – zawołała księżna – upaść w tak krótkim czasie, od dziś do jutra, pannie, tak zuchwale rozrzutnej; widzieć nie tylko wszystkie dochody, ale i ten pałac, te meble, konie, klejnoty, widzieć wszystko aż do dziwacznych strojów, którymi się tak chęłpisz... wszystko zajęte. I to panna nazywasz błahą rzeczą?...

Adrianna, coraz spokojniejsza, nadal pogodna, już miała odpowiedzieć zawiedzionej księżnie, gdy wtem drzwi salonu uchyliły się i bez uprzedniego zapowiedzenia wszedł książę Dżalma.

Nigdy nie wydawał się piękniejszy i nigdy większe szczęście nie malowało się na jego twarzy.

Na widok księcia twarz Adrianny zajaśniała radością i dumą; trudno też opisać triumfujące spojrzenie, jakie rzuciła księżnie Saint-Dizier.

## ROZDZIAŁ IX

### WSPOMNIENIE

Księżna, milcząc przez jakiś czas, przypatrywała się kolejno z ukrytą nienawiścią i zazdrością tym dwom istotom, tak pięknym, tak młodym, tak w sobie nawzajem rozkochanym i szczęśliwym; nagle wzdrygnęła się, jak gdyby ważne wspomnienie niespodzianie przyszło jej na myśl i na chwilę zadumała się głęboko.

– Kochany kuzynie, oto jedna z moich krewnych, o której ci już mówiłam, a której mam zaszczyt przedstawić cię... księżna Saint-Dizier...

Dżalma skłonił się.

– Księżna Saint-Dizier raczyła właśnie łaskawie zawiadomić mnie o zdarzeniu dla mnie jak najpomyślniejszym...

Niespodziewane zjawienie się Dżalma musiało pewnie zmienić jej pierwotne zamiary, gdyż księżna Saint-Dizier odpowiedziała z przymilnym uśmiechem:

– Martwiłoby mnie bardzo, księżę, gdybym miała pozbawić moją kochaną siostrzenicę przyjemności oznajmienia ci wkrótce szczęśliwej nowiny, o której wspomina, a o której, jako życzliwa krewna... pośpieszyłam ją zawiadomić... A oto dokumenty – księżna podała Adrianie jakieś papiery – które, spodziewam się, zupełnie przekonają ją o prawdziwości tego, co powiedziałam.

– Tysięczne dzięki, kochana ciotko – rzekła Adrianna, biorąc papier z demonstracyjną obojętnością – ta ostrożność, te dowody były zbyt cenne; wie pani dobrze, że zawsze wierzę jej słowu... gdy chodzi o jej życzliwość dla mnie.

Jakkolwiek nieświadomy wyrafinowanych intryg, ubarwionych okrucieństw cywilizacji, Dżalma, przez instynkt czy te przecucie, poczuł niechęć dla księżny Saint-Dizier.

Po chwili księżna znów zabrała głos i mówiła dalej słodziutkim głosem:

– Mój Boże, nie uwierzyłbyś, księżę, jak się ucieszyłam, dowiedziawszy się o jego szanownych uczuciach dla mojej siostrzenicy, bo nie wiesz może o tym, księżę, że uwalniasz mnie przez to od wielkiego kłopotu.

Dżalma nie odpowiedział, ale ze zdziwioną miną spojrział na pannę de Cardoville.

Księżna spostrzegłszy to nieme zapytanie księcia, odpowiedziała:

– Jaśniej to wytłumaczę; słowem, pojmujesz, księżę, że, będąc najbliższą krewną tej kochanej wariatki... – wskazała wzrokiem Adriannę – byłam mniej więcej odpowiedzialna za jej przyszłość, a tu właśnie księżę w samą porę przybywasz z drugiego końca świata, aby szczerze zająć się jej przyszłością, która mnie tak przerażała...

I księżna, rzuciwszy szatański wzrok na Adriannę, z wyzywającą miną czekała na jej odpowiedź.

– Słuchaj dobrze, drogi kuzynie, co mówi moja kochana ciotka – odezwała się dziewczyna, uśmiechając się – od chwili, odkąd ta życzliwa krewna widzi nas razem, szczęśliwych, dusza jej jest przepelniona radością. Proszę tylko, bądź przez chwilę cierpliwy – a sam osądzisz. – Potem dodała: Nie wiem, dlaczego, ale z powodu tej wylewności mojej drogiej ciotki przypominam sobie, co mówiłaś, kuzynie, o pewnych gatunkach żmij w twoim kraju, które często bezskutecznie kęszą, wyłamują sobie zęby, a sącący się jad połykają, tak iż same padają ofiarą trucizny, którą chciały wsączyć w innych...

Dewotka rzuciła nieubłaganym wzrokiem na siostrzenicę i rzekła nie zmieszana:

– Nie pojmuję sensu tej historii; a księżę co na to powie?

Dżalma nic nie powiedział; oparty łokciem o kominek rzucał na księżnę coraz bardziej ponury i przenikliwy wzrok; mimowolna nienawiść do tej kobiety wzmagająca się.

– Ach! Moja kochana ciociu – rzekła Adrianna porzućmy te niedorzeczności. Wyjaw nam więc te miłe uczucia, jakie w tobie budzi widok naszego szczęścia.

– Dobrze, moja miła; najpierw wieszuję księciu, że przybył z głębi Indii, aby zająć się tobą... z pełnym zaufaniem... zamknąwszy oczy... tobą, biedne dziecko, którą musiano zamknąć jako wariatkę (żeby oględnie nazwać twoje rozpasanie), wiesz dobrze, że z powodu pięknego chłopca, którego znaleziono ukrytego u ciebie... Ale pomóż mi... Czyżbyś już miała zapomnieć jego nazwisko? Tego pięknego chłopca, poetę, niejakiego Agrykolę Baudoin, którego znaleziono w kryjówce obok twojej sypialni... haniebne zgorszenie, o którym cały Paryż mówił... Tak, kochany księżę, nie zaślubisz kobiety nieznannej... Moją siostrzenicę zna cały Paryż.

I gdy na te niespodziewane, zgrozą przejmujące słowa, Adrianna, Dżalma i Garbuska, chociaż różnymi powodowani uczuciami, zamilkli przez chwilę ze zdziwienia, księżna, nie uważając już za potrzebne ukrywać swej piekielnej radości i triumfującej złości, zawołała, zerwawszy się zaczerwieniona, z iskrzącymi oczyma, do Adrianny:

– Tak, wzywam cię, abys zaprzeczyła, że musieliśmy zamknąć cię pod pozorem obłąkania. Że znaleziono u ciebie owego rzemieślnika, twego kochanka, ukrytego w sypialnym pokoju...

Na to potworne oskarżenie twarz Dżalmy, przezroczyta i żółta jak bursztyn, nagle zbladła i zsiniała; postawa jego stała się w tej chwili tak groźna i dzika, iż Garbuska zadrżała z przestachu. Młody Hindus stracił panowanie nad sobą, opanował go wściekły szał, czuł w sobie niesłychane wzburzenie. Byłby zabił księżną za to, że obwiniała Adriannę o zdradę, zabiłby Adriannę, że można ją było podejrzewać o tak szkaradny postępek, Garbuskę, gdyż była świadkiem oskarżenia; na koniec targnęłoby się na siebie samego, aby nie przeżyć tak strasznego zawodu. Lecz... o cudo!... Jego krwiożerczy, pomieszany wzrok napotkał spojrzenie Adrianny, spojrzenie pełne godności, spokojne i pogodne, i natychmiast, jak ciemność przed światłem słońca, tak zapamiętała wściekłość znikła jak błyskawica z twarzy Hindusa... Tak więc podła intryga księżny Saint-Dizier rozbiła się o pełen godności i szczerości wyraz oblicza panny de Cardoville.

Dżalma, usiadłszy na kobiercu, u stóp panny de Cardoville, w postawie pełnej wdzięku i uszanowania, oparł brodę na dłoni i pogrążony w milczeniu, uwielbieniu, zaczął skrycie przypatrywać się Adriannie, która nachylona ku niemu, uśmiechając się, uszczęśliwiona przyglądała mu się tak rozkochanym wzrokiem, jakby nie było przy niej duszącej się z zawiści dewotki. Księżna Saint-Dizier, zgryziona, złamana, wypowiedziawszy ledwie kilka niezrozumiałych słów, drżącym ze złości głosem, a potem zupełnie straciwszy panowanie, szybko podeszła ku drzwiom. A w tej chwili Garbuska, obawiając się nowej zasadzki, nowego spisku lub jakiegoś chytrego podstępu, postanowiła wyjść za nią aż do powozu. Gniew księżny Saint-Dizier, gdy spostrzegła, że Garbuska idzie za nią i pilnuje jej, wydał się Adriannie tak komiczny, że nie mogła powstrzymać głośnego śmiechu; przy akompaniamencie więc tej pogardliwej uciechy, sina ze złości dewotka opuściła dom, w który spodziewała się wnieść smutek i ból.

## ROZDZIAŁ X

### PRÓBA

Adrianna i Dżalma zostali sami.

Ufność Dżalmy, powstała w jego sercu po pierwszym zapamiętłym oburzeniu, gdy usłyszał z ust księżny niegodziwą potwarz, była tak wielka, tak silna, iż zostawszy sam z Adrianną, nie powiedział ani słowa o tym podłym oskarżeniu. Kochankowie jakby nie pamiętali sceny wywołanej przez księżnę. Taką samą wzdargę okazali dla papierów, które miały przekonać Adriannę o jej nagłym ubóstwie.

– Osamotnieni... – zaczęła Adrianna – otoczeni zasadzkami, kłamstwami, oszukiwani, kochaliśmy się, mój przyjacielu... lecz od tej chwili, w przeciągu tego czasu, w którym żyliśmy oderwani od wszystkiego i od wszystkich, nauczyliśmy się szanować i ufać sobie wzajemnie... Zajęci sami sobą, nie doznając żadnej przeszkody od ludzi... zdołaliśmy oprzeć się wszelkim pobudkom namiętności, aby mieć potem prawo oddać im się bez żalu. Dlatego, Dżalmo... wierzę ci i ty mi wierzysz... Znajduję w tobie to, co ty znajdujesz we mnie, prawda?... Naszej miłości braknie tylko uświęcenia... Ślub jest konieczny; połączy nas na całe życie!...

– Słyszac cię mówiącą o naszym szczęściu – rzekł głęboko wzruszony Dżalma – mówiącą o nim z tak szczerą i spokojną czułością, zdaje mi się, że widzę matkę, zajmującą się bezustannie przyszłością swego ukochanego dziecka... Co obraża ciebie, obraża także mnie; co oburza ciebie, mnie również oburza... Nie, nie, nasza miłość nie może podlegać pospolitym prawom świata.

Adrianna słuchała tych słów z niewymowną radością, wdzięcznością i dumą. Potem, kładąc rękę na piersi, jakby chciała poskromić gwałtowne bicie serca, rzekła, wpatrując się z miłością w księcia:

– Zawsze ten sam... zawsze dobry, sprawiedliwy, wielki!... O, moje serce, moje serce!... Jak mocno bije!... Jak się szczyli i weseli!... O, tak, czuję, ile szczęścia, cudownego żywienia przyniesie nasze połączenie! Na zawsze znikną łzy, udręki, cierpienia!

Hindus rzucił się do nóg dziewczyny i zawołał błagalnie:

– Po cóż oddać ten dzień... ten wielki dzień... dzień, w którym połączymy się... na co czekać?

– Mój przyjacielu, jeszcze kilka dni... a połączymy się przed obliczem boskim.

– Ale tymczasem piekło!... Ty nie wiesz, że kiedy po każdym dniu spędzonym z tobą, opuszczam twój dom... nie wiesz, że myśl o tobie idzie za mną, otacza mnie, pali; co noc wołam cię, tęsknię, szlocham... choć wiem przecież, że mnie kochasz, że jesteś moją! A do tego jeszcze, gdy widzę cię... gdy widzę cię co dzień piękniejszą, co dzień bardziej ubóstwianą... a jednak, gdy cię muszę opuszczać... nie, ty tego nie możesz wiedzieć...

## ROZDZIAŁ XI

### SZATAŃSKI POMYSŁ

Rodin przechadzał się po pokoju sypialnym, w domu przy ulicy Vaugirard.

– Od strony Rzymu – rozważał – jestem spokojny, wszystko postępuje... zrzeczenie się jest już prawie gotowe... i jeżeli tylko będę mógł zapłacić umówioną sumę, księżę kardynał zapewnia mi dziewięć głosów większości na pierwszym konklawe... naszego generała mam za sobą... Niemniej niepokoi mnie trochę korespondencja, jaką ksiądz d'Aigrigny, jak mówią, prowadzi z Malipierim... niepodobna było pochwycić ją...

I Rodin ścisnął usta owym strasznym uśmiechem, który twarzy jego nadawał szatański wyraz.

– Pogrzeb owego wolnomyśliciela, filozofa, przyjaciela robotników, odbył się wczoraj w Saint-Herem. Franciszek Hardy zmarł w napadzie obłąkanej egzaltacji... Miałem wprawdzie jego zapis; ale to jest pewniejsze...

– Pozostaje jeszcze ruda i jej amant... dziś mamy dwudziesty siódmy maja; pierwszy czerwca zbliża się... Wydawało się księżnej, że znalazła dobry sposób; i ja bym tak samo sądził. Mądrze było przypomnieć odkrycie Agrykoli Baudoin u tej wariatki, gdyż tygrys indyjski oszalał z dzikiej zazdrości; tak, to prawda, ale ledwie rozkochana gołębica zagruchała swym różowym dziobkiem... niedołęzny tygrys zwinął się przy jej nogach i schował pazurki...

– Dlaczego, kiedy tę rudą dziewczynę przyrównuję do gołębicy, przychodzi mi na myśl owa baba Sainte-Colombe, której nadskakuje brzuchaty Jakub Dumoulin, a którą, jak się spodziewam, zapędzi do naszej owczarni ksiądz Corbinet? Tak, skąd mi przychodzi na myśl ta megiera?... Często sądziłem, że jak niespodziany traf przywodzi nam na myśl rymy, podobnie bywa, że zaród najlepszej myśli zawiera się w, jednym słowie, w niedorzecznym zbliżeniu wyobrażeń, jak to ostatnie... Sainte-Colombe, szkaradna czarownica... i piękna Adrianna de Cardoville.

Rodin wyprostował się, złożył ręce na krzyż z triumfem i zawołał:

– Och! W tych tajemnych obrotach umysłu jest coś pięknego, godnego podziwu... Ileż to niepojętych związków w ludzkich myślach... częstokroć początek ich bywa w bardzo błahym słowie, a koniec stanowi świetną, wielką myśl.

– Tak... warto spróbować... im dłużej się zastanawiam, tym projekt ten wydaje mi się lepszym...

Wtem turkot pocztowego powozu, zajeżdżającego na dziedziniec domu, zwrócił uwagę Rodina.

Daszek nad schodami, prowadzącymi do sieni, przed którą zatrzymał się powóz, nie pozwolił mu zobaczyć wysiadającej osoby.

– Mniejsza o to – rzekł, odzyskując zimną krew – zaraz dowiem się, kto przyjechał. A tymczasem trzeba napisać do tego głupca Jakuba Dumoulin, może mi być użyteczny. Mam go w ręku, musi być posłuszny.

Usiadł przy biurku i zaczął pisać.

Nagle zapukano do drzwi, zamkniętych na dwa spusty, wbrew ustawom zgromadzenia; bo też, coraz bardziej pewny swego wpływu i znaczenia, Rodin często wyłamywał się spod reguł zakonu. Wszedł służący i oddał Rodinowi list. Ten wziął list i zanim go rozpieczętował, zapytał:

– Co to za powóz zajechał na podwórze? Kto to przyjechał?

– Ten powóz, proszę wielbnego ojca, przybył z Rzymu – odpowiedział kłaniając się sługa.

– Z Rzymu!... – rzekł Rodin i mimo woli jakiś niepokój odbił się na jego twarzy; potem, uspokoiwszy się, ciągle trzymając list nie rozpieczętowany, dodał:

– Od kogo ten list?

– To z naszego domu Saint-Herem, wielbny ojciec.

Rodin przyglądał się pismu z największą uwagą i poznał charakter księdza d'Aigrigny, na którego nałożył obowiązek, aby był przy panu Hardym w ostatnich chwilach jego życia.

List był krótki, zawierał następujące słowa:

„Wysyłam umyślnego do waszej wielbności z zawiadomieniem o wypadku, może bardziej osobliwym, aniżeli ważnym; po pogrzebie Franciszka Hardy'ego trumna, zawierająca jego zwłoki, czasowo postawiona została w krypcie, pod naszą kaplicą, zanim można byłoby przenieść ciało na cmentarz pobliskiego miasta dziś rano, kiedy nasi ludzie zeszli do grobu, aby poczynić potrzebne przygotowania... trumna znikła”.

Rodin poruszył się niespokojnie, przestał czytać, myślał... myślał... i rzekł:

– W rzeczy samej osobliwa to rzecz... Trumna znikła?...

Czytał dalej:

„Wszelkie poszukiwania były daremne, nie można było odkryć; gdzie się podziała; jak wiadomo waszej wielbności, kaplicca stoi odosobniona, a ponieważ nie było przy niej straży, przeto można było zakraść się do niej tak, iż nikt tego nie spostrzegła zauważyliśmy tylko na ziemi, zwilżonej deszczem, świeże ślady czterokołowego powozu; lecz w pewnej odległości od kaplicy ślady te znikły w piasku i mimo wszelkich usiłowań nie zdołaliśmy nic dalej odkryć”.

– Któż by mógł wykraść to ciało? – zastanawiał się Rodin – i komu zależałoby na wykradzeniu tych zwłok?

Myślał, myślał, a potem z zaciekawieniem czytał dalej:

„Szczęściem akt zejścia spisany został w należytej, urzędowej formie”.

Skończywszy czytanie, Rodin jeszcze przez jakiś czas zastanawiał się, mówiąc sam do siebie:

– D'Aigrigny ma rację; jest to wypadek raczej osobliwy niż ważny; a jednak daje do myślenia... tak... Trzeba to zbadać...

Odwracając się do służącego, podał mu kartkę zaadresowaną do Jakuba Nini-Moulina, mówiąc:

– Każ natychmiast zanieść ten list i niech posłaniec zaraz żąda odpowiedzi.

– Wielbny ojciec Cabocini przybył w tej chwili z Rzymu ze zleceniem do waszej wielbności od ojca generała.

Na te słowa krew wzburzyła się w Rodinie, nie dał jednak poznać swego poruszenia.

– A gdzie jest wielbny ojciec Cabocini?

– W sąsiednim pokoju, wasza wielbność.

– Poproś go i zostaw nas samych – rzekł Rodin.

W minutę później do pokoju wszedł ojciec Cabocini.

## ROZDZIAŁ XII

### SOCJUSZ

Wielebny ojciec Cabocini, jezuita z Rzymu, był to niski, najwyżej trzydziestoletni człowieczek, tłuściutki, puciołowaty. Nieufny, ostrożny, okiem i uchem baczny na wszystko jak stary wilk, który zwietrza i przewąchuje wszelki napad, zasadzkę, podejście. Rodin jak żyw nigdy jeszcze nie był tak ściskany i całowany; coraz bardziej obawiając się podstępny kryjącego się zapewne pod tak gorącymi uściskami, usiłował wszelkimi sposobami uniknąć dowodów przesadnej czułości rzymskiego jezuitę, ale ten nie puszczał go i całował, dopóki sił starczyło. Nareszcie, zadyszany odczepił się od szyi Rodina, który zmęczony tymi pieszczotami, rzekł gderliwie:

– Sługa uniżony, mój ojczy, służa uniżony... nie ma potrzeby ściskać się tak mocno...

Lecz mały jezuita, nie odpowiedział na tę przyganę, wlepił weń jedyne oko i zawołał z uniesieniem:

– W końcu oglądam to cudne światło naszego świętego zgromadzenia, mogę przycisnąć je do swego serca...

I odetchnąwszy, chciał znowu przyczepić się do Rodina; ale ten usunął się żywo, zasłaniając się rękami jak od napaści.

Cabocini byłby upadł przed Rodinem na kolana, gdyby mu ten nie przeszkodził, przytrzymując go za ręce i mówiąc z niecierpliwością:

– A to już byłoby bałwochwalstwem, wielebny ojczy, dajmy pokój moim przymiotom, a mówmy o celu podróży waszej wielebności: jakież on jest?

– Ten cel, kochany ojczy, ten cel napełnia mnie szczęściem i czułością; starałem się godnie okazać waszej wielebności tę czułość, bo serce moje jest przepelnione, przez całą drogę ledwie je mogłem powstrzymać, gdyż zawsze tu dążyło, do waszej wielebności; ten cel unosi mnie, zachwyca... ten cel...

Cabocini wydobyl z pugilaresu list, zapieczętowany trzema pieczęciami, ucałował go z uszanowaniem, a potem podał Rodinowi, który podobnie pocałował go, odpieczętował z wielkim niepokojem.

Podczas czytania listu nie było widać żadnej zmiany na twarzy jezuitę, był spokojny, obojętny, chyba tylko szybsze bicie żył na skroniach zapowiadało jego wewnętrzny niepokój. Chowając list do kieszeni, Rodin spojrział chłodno na przybysza i rzekł:

– Stanie się tak, jak każe najdostojniejszy ksiądz generał.

– Tak więc, wielebny ojczy – zawołał Cabocini z nowym wylaniem – to więc ja mam być cieniem światła waszej wielebności, drugim nim samym; to ja będę miał szczęście nie oddalać się od niego we dnie ani w nocy, krótko mówiąc, być jego socjuszem, bowiem, po daniu waszej wielebności możliwości nieposiadania przez jakiś czas socjusza, stosownie do życzenia waszej wielebności, nasz najdostojniejszy generał uważał za rzecz właściwą przysłać mnie z Rzymu do pełnienia tych obowiązków przy waszej wielebności; jest to łaska niespodziewana, która napełnia mnie wdzięcznością dla księdza generała i czułością dla waszej wielebności, mego kochanego, godnego ojca.

– Doskonale zagrane – pomyślał Rodin – ale mnie nie tak łatwo podejść; tylko w królestwie ślepych jednooki może być królem.



## ROZDZIAŁ XIII

### PANI DE LA SAINTE-COLOMBE

Otrzymałszy od Rodina szczegółowe instrukcje, Nini-Moulin udał się z wizytą do pani de la Sainte-Colombe.

Wejźmy do przybytku, w którym ta dama prowadziła z Nini-Moulinem dość dziwną rozmowę:

– Co, u diabła... od dziś aż do jutra, mój gołąbku? – zawołała od niechcienia – Co też ty mówisz, ja już więcej niż rok nie słyszałam, żeby o niej mówiono... O! tak... niemniej jednak, kiedy się spotkała z Antoniną miesiąc temu, powiedziała, gdzie teraz mieszka.

– A więc... czy nie można by jej odszukać?

– Tak... szalopucie, ale cóż chcesz? Rozpoczynać znowu takie interesy, kiedy już trochę od nich odwykłam, to nie będzie dobre...

– Jak to! Moja piękna przyjaciółko! Ty, taka dobra, co pracujesz tak pilnie wokół swego zbawienia... wahasz się zrobić kilka kroków... nieprzyjemnych... choćby i takie były, kiedy chodzi o dokonanie przykładowego czynu... o wyrwanie młodej dziewczyny ze szponów diabła...

Tu papuga Barabasz rzuciła dwa wyraźne przekleństwa.

Pani Sainte-Colombe zwróciła się z gniewem do papugi:

– Cicho, ty... (Tu wymówiła wyraz równie sprośny jak papuga). A to jakby umyślnie... Wczoraj, z jej powodu zawstydzić się musiał ksiądz Corbinet... A będziesz ty cicho!...

– Ale dlaczego koniecznie tę dziewczynę, a nie inną, mój kochany? Czy dlatego, że ona jest jakąś osobliwością?

– Tak, zapewne, moja przyjaciółko, bo inaczej ta biedna matka, obłąkana... którą chcą przywrócić do zdrowych zmysłów, nie odzyskałaby ich, jak tego pragną...

– Obiecuję... i zrobię lepiej.. pójdę natychmiast, pójdę, gdzie trzeba i zrobi się jeszcze prędzej... Jeszcze tego wieczora będę wiedziała, jak sprawa wygląda, i czy będzie można...

Potem zwracając się do pokojówki, która właśnie weszła, rzekła:

– Moja miła, powiedz Ratyzkonowi, aby mi sprowadził dorożkę i daj mi aksamitny kapelusz z piórami.

Kiedy służąca wyszła, Nini-Moulin zbliżył się do Sainte-Colombe i rzekł czułym tonem:

– Przynajmniej będziesz pamiętać, moja piękna, że tego wieczora nie mówiłem ani słowa o naszej miłości... będziesz pamiętała o tym?

W tej chwili Sainte-Colombe zdjęła swój zawój; nagle się odwrócił i wsadziła ten strój na łysą czaszkę Nini-Moulin z głośnym śmiechem.

Pisarz okazał wielkie zadowolenie z tego poufatego dowcipu i w chwili, kiedy służąca wracała z szalem i kapeluszem swej pani, czule pocałował zawój.

\* \* \*

Nazajutrz po tej scenie, Rodin z triumfującą twarzą, osobiści oddał list na pocztę. Na liście był adres:

Pan Agrykola Baudoin,  
przy ulicy Brise-Miche, N. 2, w Paryżu  
(Bardzo pilne).

## ROZDZIAŁ XIV

### ZWIERZENIA FARYNGEI

Wbrew zwyczajowi, Dżalma nie poszedł tego dnia do panny de Cardoville. Uprzedziła go wczoraj, iż prosi, aby jej zostawił pełną swobodę przez cały dzień, żeby mogła go poświęcić na przygotowania do ślubu. Dla Hindusa, przywykłego do spędzania całych dni w towarzystwie Adrianny, ten dzień spędzony poza jej domem, wydawał się wiecznością. Jego namiętna miłość doszła już do najwyższego stopnia. Dręczony niecierpliwością, wpadający w rodzaj odrętwienia, w które zanurzał się umyślnie, aby uchronić się od myśli, które go tak nękały, Dżalma leżał na sofie, zakrywszy twarz rękami, jakby chciał uniknąć jakiegoś zwodniczego widma. Wtem wszedł Faryngea, bez pukania, co się nigdy nie zdarzało. Na niespodziewany odgłos wchodzącego, Dżalma wzdrygnął się, podniósł głowę i obejrzał się wkoło ciekawie, lecz ujrawszy zbladłego, zmieszanego niewolnika, wstał co żywo i zawołał:

– Co się stało?

Po krótkim milczeniu, jakby przezwyciężając jakieś wahanie, Faryngea rzucił się księciu do nóg i rzekł niewyraźnie, z ciężką rozpaczą w głosie, niby błagając:

– Jestem bardzo nieszczęśliwy... Zmiłuj się nade mną, panie!

– Co się stało? Mów!

Metys przybrał taką minę, jakby miał spalić się ze wstydu:

– Panie, zlituj się nade mną, nie śmieję się ze mnie, najsrozsze męki nie wymogłyby ze mnie tego wyznania... lecz ty, panie, królewski syn, raczyłeś powiedzieć swemu niewolnikowi: Bądź moim przyjacielem...

– A ten przyjaciel... jest ci wdzięczny za zaufanie – dokończył Dżalma.

– Zdradzona miłość... ściąga na siebie taką wzgardę, tyle dotkliwych szyderstw... – rzekł z goryczą Faryngea.

– Ale czy jesteś pewny, że cię zdradzają? – spytał łagodnie Dżalma.

– Ta kobieta... wyznaczyła schadzkę innemu mężczyźnie, którego przedkłada nade mnie... jestem aż nadto pewny...

Księżę, kładąc rękę na ramieniu służącego, rzekł:

– Posłuchaj mnie... posłuchaj, co ci powiem... Na tę schadzkę... która, jak mówisz, ma przekonać cię o niewinności... lub zdradzie kobiety, którą kochasz... na tę schadzkę... musisz pójść.

– Och! Może rzeczywiście – rzekł Metys ponurym głosem, uśmiechając się złośliwie – tak... pójdę...

– Ale nie pójdziesz sam...

– Panie, nie rozumiem, o czym mówisz? – Kto pójdzie ze mną?...

– Ja...

– Ty, panie?...

– Pójdę z tobą na tę schadzkę i jeżeli nie mylą mnie moje przeczucia... zdaje mi się, że fałszywe pozory dręczą cię niepotrzebnie.

\* \* \*

Późnym wieczorem, otuliwszy się płaszczami, wsiedli obaj do fiakra.

Faryngea powiedział stangretowi, żeby jechał do domu pani Sainte-Colombe.

## ROZDZIAŁ XV

### WIECZÓR W DOMU PANI SAINTE-COLOMBE

Podczas przejazdu z ulicy Clichy na ulicę Docheleu, gdzie mieszkała pani Sainte-Colombe, Faryngea udawał, że pogrążony jest w smutnej zadumie; potem odezwał się nagle przytłumionymi głosem:

– Panie... jeżeli się przekonamy, że jestem zdradzony... wtedy koniecznie muszę się zemścić. Pozwól, żebym sam poszedł na tę schadzkę...

Po tych słowach ruszył się z miejsca, jakby chciał wyskoczyć z powozu.

Dżalma schwycił go za rękę, nie pozwalając wysiąść.

– Zostań... nie opuszczę cię... jeżeli zostałeś zdradzony, nie przelejesz krwi; wzgarda zemści się za ciebie... a przyjaźń pocieszy.

Zdawało się, że słowa Dżalmy wywarły głębokie wrażenie na Faryngei. Dżalma tymczasem, przy słabym świetle latarni, czynił przygotowania do użycia podejścia lub siły dla rozbrownienia sługi, gdy ten, znienacka się oglądając i odgadując zamiar księcia, nagle wy dobył zza pasa sztylet i zwrócił się do księcia tonem uroczystym i zarazem groźnym:

– Ten sztylet jest straszny, kiedy użyje go zdolna ręka... w tej flaszcze jest bardzo subtelna trucizna, jak wszelkie trucizny w naszym kraju.

Pokręcił nieznacznie ukrytą sprężynką, a natychmiast wierzch gałki rękojeści otworzył się i pokazała się szyjka małej kryształowej flaszeczki, ukrytej w rękojeści zabójczej broni.

– Wystarczy wziąć dwie lub trzy krople tej trucizny – rzekł – a nastąpi powolna śmierć... spokojna... bez żadnych boleści... w ciągu kilku godzin...

I podał sztylet księciu.

W chwili, kiedy Dżalma chciał odpowiedzieć, powóz zatrzymał się przed domem pani Sainte-Colombe. Dobrze zamaskowani, weszli do ciemnego przedsionka. Drzwi natychmiast zamknęły się za nimi. Faryngea powiedział kilka słów do odźwiernego, który coś mu odpowiedział, oddał klucz od wejścia. Dwaj Hindusi weszli do mieszkania pani Sainte-Colombe. Mieszkanie to miało dwa wejścia, a trzecie, ukryte wyjście prowadziło na dziedzińiec. Faryngea, prędko otwierając drzwi, wszedł pierwszy, nie oglądając się. Dżalma szedł za nim. Znaleźli się w wąskim korytarzyku, w zupełnej ciemności. Prowadząc Dżalmę dość długo manowcami, otwierając kolejno i zamykając kilkoro drzwi, nagle zatrzymał się i rzekł cicho do księcia:

– Panie, decydująca chwila zbliża się... – poczekajmy tu trochę.

Po tych słowach nastąpiło głębokie, niczym nie przerwane milczenie. Dżalma usłyszał, jak Faryngea oddalał się od niego, potem, jak nagle otworzono i znowu zamknięto drzwi na dwa spusty. To nagle zniknięcie Faryngei zaczynało go niepokoić. Nagle głos służącego odbił się o jego uszy i kiedy nie mógł poznać, gdzie się znajduje, usłyszał następujące słowa:

– Panie... powiedziałaś mi: Bądź moim przyjacielem; ja postępuję po przyjacielsku... użyłem podstępu, żeby cię tu sprowadzić... Twoja ślepa namiętność nie pozwoliłaby ci ani mnie wysłuchać, ani udać się tu za mną... Księżna Saint-Dizier wymieniła Agrykolę Baudoina... kochanka Adrianny de Cardoville... Posłuchaj... zobacz, osądź sam...

Zdawało się, że głos ten odzywa się z rogu pokoju. Dżalma, znajdując się ciągle w ciemności, poznał za późno, w jaką dostał się pułapkę, zadrzał ze złości i niemal ze strachu.

– Faryngeo... – zawołał – gdzie ja jestem?... Gdzie ty jesteś?... Zaklinam cię, otwórz, chcę stąd natychmiast wyjść...

Zrobił kilka kroków, lecz trafił na mur okryty jedwabnym obiciem, szedł przy nim po omacku, spodziewając się, że znajdzie drzwi; znalazł je istotnie; ale były zamknięte... na

próżno szarpał klamką, chciał wyrwać zamek; drzwi wytrzymały wszelkie jego próby. Książę był coraz niespokojniejszy; drżącym z gniewu głosem zawołał Faryngeę. Nie usłyszał odpowiedzi; było ciemno i głucho.

Wtedy zaszło coś niesamowitego...

Słabe światło w przyległym pokoju stopniowo rozjaśniało się. Dżalma spostrzegł małe, okrągłe okienko w ścianie, którym przedostawało się światło.

Pokój, który mógł widzieć tym otworem, przy słabym, lecz coraz bardziej powiększającym się świetle, był bogato umeblowany. Po chwili weszła do niego kobieta; nie można było rozpoznać dobrze ani jej figury, ani twarzy, gdyż starannie otuliła się salopą z kapturem dziwnego kształtu, ciemnego koloru. Na widok tej salopy Dżalma zadrżał. Patrzył wciąż ze zdumieniem na to, co działo się w pokoju. Kobieta, którą spostrzegł, weszła z największą ostrożnością i niemal ze strachem; najpierw podeszła do okna, odsunęła firankę i wyjrzała na ulicę; potem wróciła powoli do kominka, przy którym stała jakiś czas zamyślona, ciągle starannie okryta salopą. Wtem spostrzegł, jak nagle, opuściwszy kominek, poszła w stronę szafy i stanąwszy przed jej zwierciadlanym oszkleniem, zrzuciła z siebie okrywającą ją salopę. Dżalma, jakby piorunem uderzony... struchlał... Nieoczekiwanie ujrzał przed sobą pannę de Cardoville... Tak, zdawało mu się, że widzi Adriannę de Cardoville... taką, jak ją widział wczoraj, ubraną tak samo, jak w czasie wizyty u niej księżny Saint-Dizier...

Słowem, była to panna de Cardoville... nie mógł mieć złudzeń i rzeczywiście już ich nie miał. Gorący pot oblał twarz Dżalmy; szal odurzonego uniesienia wzmagał się w nim coraz bardziej, nie mógł tchu złapać... stał jak wryty... patrzył, nie myśląc, nie zastanawiając się. Dziewczyna, ciągle odwrócona tyłem, oddaliwszy się od zwierciadła, zniknęła mu na chwilę z oczu.

– Acha! Czekaj na Agrykolę Baudoina, swego kochanka... – odezwał się wtedy tajemniczy głos, zdający się wychodzić ze ściany ciemnego pokoju, w którym znajdował się Dżalma.

Widział, jak dziewczyna znowu się pokazała; lecz tym razem miała już na sobie biały, długi szlafroczek, który jednak pozwalał widzieć obnażone ramiona, a na nich rozpuszczone długie loki złocistych, pięknych włosów. Postępowała ostrożnie zmiernając w kierunku drzwi, których Dżalma nie mógł dojrzeć.

W tej chwili czyjaś niewidzialna ręka powoli uchyliła drzwi do pokoju, ktoś zatrzymał się i zapukał parę razy.

– To Agrykola Baudoin... słuchaj i patrz – odezwał się znowu ten sam głos.

Uniesiony okrutnym gniewem, wściekły, postradawszy rozum, wyłącznie tylko pałający zemstą, Dżalma wy dobył z pochwy sztylet, który zostawił mu Faryngea, potem niewzruszony czekał.

Wtedy ujrzał dziewczynę, przechodzącą przez przedpokój i pytającą cicho:

– Kto tam?

– Ja!... Agrykola Baudoin – odezwał się za drzwiami silny, męski głos.

Ledwie dziewczyna odsunęła rygiel, ledwie Agrykola przekroczył próg, kiedy Dżalma, skoczywszy jak tygrys, uderzył jednocześnie, tak bowiem szybkie były jego ciosy i młodą kobietę, która padła nieżywa i Agrykolę, który, choć nie został śmiertelnie raniony, zachwiał się i upadł przy trupie nieszczęsnej ofiary.

Ta straszna scena, szybka jak błyskawica, działa się w dość ciemnym miejscu; wtem słabe światło, oświetlające przyległy pokój, nagle zgasło, w chwilę później Dżalma poczuł w ciemności żelazną dłoń, chwytającą go za rękę i usłyszał głos Faryngei:

– Już pomściłeś się... chodź... tu jest bezpieczne schronienie, nie obawiaj się niczego.

Dżalma, odurzony, jakby stracił zmysły, nie opierając się, pozwolił służącemu prowadzić się w głąb mieszkania, które miało dwa wyjścia.

\* \* \*

Kiedy Rodin unosił się, podziwiając niewyczerpaną żywotność swych myśli, wysłał Jakuba Dumoulin do pani Sainte-Colombe, nie odkrywając mu prawdziwego celu poselstwa, które do tego się tylko ograniczało, aby zażądać od doświadczonej kobiety, ażeby postarała się o piękną, zgrabną, rudowłosą dziewczynę; jeśliby taką znaleziono, ubiór we wszystkim podobny do tego, jaki miała na sobie Adrianna, a który opisała Rodinowi księżna Saint-Dizier, miał rozwiązać resztę złudzeń Dżalmy.

Reszta jest już znana; biedna dziewczyna o imieniu Sozjo odgrywała rolę Adrianny, sądząc, że robi to dla żartu.

Co się tyczy Agrykoli, odebrał on list, w którym wzywano go, aby pośpieszył z odwiedzinami, które mogły okazać się bardzo ważne dla panny de Cardoville.

## ROZDZIAŁ XVI

### MAŁŻEŃSKIE ŁOŻE

Łagodne światło, z kulistej, alabastrowej lampy, zawieszanej na trzech srebrnych łańcuchach u sufitu, oświecało sypialnię Adrianny de Cardoville. Puste łóżko, ze słoniowej kości, nabijane perłową masą, kryje się pod zwojami muślinu i drogich koronek. Jest jedenasta wieczór. Drzwi ze słoniowej kości prowadzące do łazienki otwierają się z wolna. Wchodzi Dżalma. Upłynęły już dwie godziny, odkąd popełnił podwójne zabójstwo i uniesiony szaloną zadróżką zabił Adriannę. Nigdy nie wchodził do sypialni dziewczyny; wiedząc jednak, że jest na pierwszym piętrze, łatwo się tu dostał.

Po kilku minutach ponurej zadumy Dżalma padł na kolana, wznosząc oczy ku niebu.

Na twarzy Dżalmy nie widać było żadnej gwałtownej namiętności, nie można było dostrzec ani nienawiści, ani rozpacz, ani dzikiej radości z nasyconej zemsty... lecz jedynie wyraz głębokiego żalu.

Przez jakiś czas zanosił się łkaniem; łzy spływały mu po policzkach.

– Umarła!... Umarła!... – powtarzał przytłumionym głosem – Umarła... ona, co jeszcze dziś rano spoczywała w tym pokoju... taka szczęśliwa... zabiłem ją. Teraz, kiedy już umarła, jakie znaczenie ma jej zdrada?... Nie powinienem zabijać jej... Zdradziła mnie... kochała mężczyznę, którego także zabiłem... Niestety!

Widocznie nie umiałem podobać się jej bardziej niż on – dodał z rozrzewnieniem i zgrzyotą.

Z żalu zakrył twarz rękami; potem, otarłszy łzy, rozmyślał dalej:

– Dobrze wiem, że i sobie muszę odebrać życie... lecz moja śmierć... już nie wróci jej życia...

I wstając z trudem, wy dobył zza pasa zboczony krwią sztylet Faryngei, wyjął z jego rękojeści kryształową flaszeczkę z trucizną a skrwawione ostrze odrzucił na gronostajowy kobierzec, którego nieskalana białość została splamiona. I śmiało przyłożył flaszeczkę do ust. Po wypiciu kilku kropel postawił ją na małym stoliku, stojącym przy łóżku Adrianny.

– Płyn jest ostry, pałący – rzekł spokojnie. – Teraz jestem pewien, że umrę... O! Niech przynajmniej zdąży jeszcze nacieszyć się widokiem i zapachem tego pokoju... aby móc złożyć głowę na tym samym łóżku, na którym spoczywała jej głowa...

I padł na kolana przed łóżkiem, na którym wsparł rozpalone czoło.

W tej chwili drzwi, prowadzące do łazienki, skrzypnęły lekko na zawiasach i weszła Adrianna...

Dziewczyna odprawiła już swoje służące, które towarzyszyły jej przy przebieraniu się na noc.

Gdy otworzywszy drzwi, stanęła różową nóżką, atlasowym tylko pantofelkiem przysłoniętą, na gronostajowym kobiercu, była piękna aż do upojenia; szczęście błyskało z jej oczu, jaśniało na czole i wyrażało się w całej postawie... wszystkie przeszkody, związane ze słubem, zostały usunięte, za dwa dni miała już należeć do Dżalmy...

Drzwi z kości słoniowej obróciły się na zawiasach; pierwsze kroki dziewczyny po gronostajowym kobiercu były tak ciche, iż Dżalma, wsparty czołem na łóżku, nic nie słyszał... Lecz nagle okrzyk zdziwienia i przerażenia obił się o jego uszy... Ujrzał przed sobą Adriannę... Widząc przestrach i zdumienie w osłupiałej twarzy Dżalmy, ciągle klęczącego bez ruchu, z głową zwieszoną na piersi, Adrianna, nie obawiając się już podstępu z jego strony, podeszła i zawołała zmienionym głosem, wskazując na sztylet:

– Drogi przyjacielu, jak się tu dostałeś? Co się stało?... Co znaczy ten sztylet...

Dżalma nie odpowiedział.

Obecność Adrianny wydawała mu się początkowo przywidzeniem, które przypisywał obłąkaniu zmysłów, już pomieszanych w wyniku zażytej trucizny. Lecz gdy usłyszał miły głos dziewczyny, poznał, że to nie było złudzenie i że rzeczywiście przed jego oczyma stała panna de Cardoville. Nie mógł zrozumieć cudu tego zmartwychwstania. Posuwając się na kolanach ku Adriannie, wznosił do niej drżące ręce, nie mogąc wymówić słowa. Przeczuliła, że tkwi w tym jakaś straszna tajemnica. Wreszcie Dżalma, załamując ręce, zawołał głosem, który niepodobna opisać:

– Ty żyjesz?...

– Żyjesz?... – powtórzyła zdumiona dziewczyna.

– Więc to nie ty byłaś... Więc to nie ciebie... zabiłem... Bóg jest dobry i sprawiedliwy!

– Ale co się stało? Kogo zabiłeś?...

– Albo ja wiem?... Kobietę... podobną do ciebie, a potem mężczyznę, o którym myślałem, że jest twoim kochankiem, było to przewidzenie... sen... straszny sen; ty żyjesz, bo przecież cię widzę!

Zanosząc się, płakał z radości.

– Sen? O, to nie był sen! Na tym sztylcie jest krew! – zawołała Adrianna, wskazując drżącą ręką na sztylet. – Wyraźnie widzę krew...

– Tak... dopiero co rzuciłem ten sztylet, decydując się zażyć truciznę... przekonany, że zabiłem ciebie.

– Ty?... rzekła Adrianna, pobladła jak śmierć – Ty zażyłeś truciznę?...

– Tak...

– To nieprawda! – zawołała z przerażeniem Adrianna.

– Spójrz – rzekł Hindus.

I obrócił twarz do łóżka, w stronę, gdzie stał stolik z kości słoniowej, a na nim kryształowy flakonik.

Nie zastanawiając się, pędem szybszym jak myśl, a może i szybszym niż wola, Adrianna skoczyła do stolika, chwyciła flaszeczkę i podniosła ją chciwie do ust. Aż do tej chwili Dżalma klęczał; teraz krzyknął przeraźliwie, jednym skokiem stanął przy dziewczynie i wyrwał z jej rąk flaszeczkę...

– Nie przeszkodzisz mi... już wypilałam tyle co ty – rzekła Adrianna.

Zapanowało dramatyczne milczenie.

Adrianna i Dżalma patrzyli na siebie bez słowa, przerażeni. Do obojga zbliżała się śmierć... Pograżony w strasznej rozpacz, gdy pomyślał, że Adrianna także umrze, Dżalma poczuł, że mu braknie sił; westchnął głęboko, twarz zakrył rękami; nogi się pod nim ugięły; usiadł na łóżku...

– Już... – zawołała z przerażeniem dziewczyna, padając na kolana obok Dżalmy – już zbliża się śmierć... zakrywasz przede mną twarz...

Oderwała ręce Dżalmy od twarzy, aby mu się przyjrzeć... jego twarz była zalana łzami.

– Ale ty... ty!... – szepnął Hindus przejmującym głosem.

– Nie chodzi o mnie... – odpowiedziała Adrianna – ty zabiłeś, zmażemy więc oboje twoją zbrodnię... Nie wiem, co i jak się stało, lecz przysięgam na naszą miłość... w tym musi kryć się jakaś potworna tajemnica!

– W skrajnej rozpacz, w obłędzie, uwierzyłem w złudzenie... Widziałem... przychodzi mężczyzna... ty wybiegasz do niego... Wtedy, straciwszy głowę, ugodziłem kobietę... i zaraz potem zadałem cios mężczyźnie... widziałem ich oboje padających; wtedy przyszedłem, aby tutaj umrzeć... i... znowu cię widzę... widzę, żeby się stać przyczyną twojej śmierci... Och! Nieszczęście! Nieszczęście! Ty musisz umrzeć przeze mnie...

I Dżalma, mężczyzna, okazujący zawsze tak silny charakter, zaczął głośno płakać, zanosząc się jak małe dziecko.

– Dostyc już łez, kochany – zawołała niemal wesoło Adrianna – zapomnijmy o łzach; radujmy się... Uspokój się; nie... nie... nasi wrogowie nie będą triumfowali.

– Adrianno... opamiętaj się!... Zastanów się nad tym, co mówisz...

– Wiem, co mówię... zachowałam zdrowy rozsądek... Słuchaj mnie, mój aniele... teraz wszystko rozumiem. Wpadłeś w piekielną zasadzkę, którą przygotowali ci niegodziwcy, popełniłeś zabójstwo. W tym kraju... musisz wiedzieć, zabójstwo... okrywa hańbą... lub zasługuje na rusztowanie... I jutro... a może jeszcze tej nocy, zostałbyś aresztowany; dlatego nasi wrogowie ułożyli sobie: taki mężczyzna jak Dżalma nie czeka rusztowania, odbiera sobie życie. Kobieta jak Adrianna de Cardoville nie przeżyje hańby lub śmierci kochanka... zabije się... lub umrze z rozpaczy... Tak więc... straszna śmierć czeka jego... straszna śmierć dla jego kochanki... a dla nas... pomyśleli ci piekielni ludzie... dla nas zostaje ogromne dziedzictwo, o które się ubiegamy...

– Lecz dla ciebie! Tak młodej, tak pięknej, tak czystej... taka straszna śmierć... a te potwory triumfują – zawołał Dżalma. – Tak więc sprawdzi się, co zaplanowali...

– Oni się myślą... – zawołała panna de Cardoville – nasza śmierć nie będzie straszna, będzie rozkoszna... bo ta trucizna działa powoli a ja kocham cię, Dżalmo...

Wypowiadając te słowa cichym i drżącym z miłości gestem, Adrianna, opierając się łokciami o kolana Dżalmy, tak się do niego zbliżyła, że poczuł na twarzy ognisty oddech dziewczyny...

Na to odurzające wrażenie na przejmujące spojrzenie wielkich oczu Adrianny, której na wpół otwarte, koralowe usta coraz mocniej nabrzmiewały, Hindus zadrżał na całym ciele, jakiś piekący ogień przebiegł wszystkie jego członki... zawrzała w nim młodzieńcza krew, zapomniał o wszystkim – i o rozpaczy, i o bliskiej śmierci.

– O! Mój ukochany... mój drogi... jaki jesteś piękny! – zawołała Adrianna z uwielbieniem.

– Widzisz, samo niebo chce, abyśmy należeli do siebie i nic już nie przeszkodzi naszej zachwycającej rozkoszy... bowiem dziś rano mąż cnotliwy, który miał pobłogosławić nasz związek, odebrał ode mnie i w twoim imieniu hojny dar, który uszczęśliwi na zawsze wielu biednych. Więc czego masz żałować, mój aniele? Nasze śmiertelne dusze wzniosą się w miłości do Boga, który jest przecież samą miłością.

– Adrianno...

– Dżalmo...

\* \* \*

Przeźrocyste, opadające firanki okryły jak mgła ich śmiertelne łoża.



## Część ósma

### 1 CZERWCA

#### ROZDZIAŁ I

#### SPOTKANIE

Adrianna i Dżalma zakończyli życie 30 maja.

31 tego miesiąca w wigilię dnia wyznaczonego na ostateczne spotkanie spadkobierców Mariusza Rennepont'a, rozegrała się następująca scena: Było koło południa. Ksiądz d'Aigrigny trzymał w ręku poranną gazetę i wśród paryskich nowin czytał:

„Godzina jedenasta wieczorem. – Wypadek równie haniebny jak tragiczny napełnił zgrozą całą okolicę przy ulicy Richelieu: popełniono podwójne zabójstwo, młodej dziewczyny i młodego robotnika. Dziewczyna została zabita sztyletem; istnieje jeszcze nadzieja ocalenia życia robotnika. Zbrodnię tę przypisuje się zazdrości. Sąd prowadzi śledztwo. Szczegóły podamy jutro”.

Ksiądz d'Aigrigny rzucił gazetę na stół i zamyślił się.

– To nie do wiary – rzekł z gorzką zawiścią, myśląc o Rodinie. – Więc osiągnął cel, jaki sobie wyznaczył, nie zawiódł się prawie w żadnym ze swych przewidywań... Cała rodzina została wytępiona jedynie skutkiem gry namiętności, tak dobrych jak i złych, którymi on potrafił pokierować. Stało się, jak powiedział!... I wkrótce pewnie ziściłaby się może ta jego piekielna ambicja, gdyby od dawna już, bez jego wiedzy, nie czuwano nad skrytymi zabiegami tego niebezpiecznego człowieka... Ach! – triumfował ksiądz d'Aigrigny – Och! Ty brudny człowiecze, chcesz grać rolę Sykstusa Piątego?... I jeszcze, nie zadowolając się tym zuchwałym przewidzeniem... chcesz, jeżeli tylko ci się uda, zniweczyć, wytępić nasze zgromadzenie, jak sułtan janczarów. Ach, to ty mnie złamałeś, upokorzyłeś, zgniotłeś swoją zuchwałą wzgardą... Poczekaj!... – dodał z powściąganą radością – Poczekaj, zbliża się dzień odwetu... tylko ja jestem powiernikiem woli naszego generała; nawet ojciec Cabocini, przysłany tu jako doradca, nic o tym nie wie... Los ojca Rodina jest w moim ręku!...

Nagle przerwano księdzu d'Aigrigny te rozważania; usłyszał, jak otwierano drzwi przyległych pokoi, przez które wchodziło się do niego. Ksiądz d'Aigrigny poruszył się i zaczerwienił jak karmazyn. Przed nim stanął marszałek Simon. A za nim, w cieniu, spostrzegł trupią twarz Rodina. Ten, rzuciwszy na księdza d'Aigrigny wzrokiem szatańskiej przebiegłości, znikł prędko; drzwi zamknęły się za nim, d'Aigrigny i marszałek zostali sami. Trudno było poznać ojca Róży i Blanki; jego siwe włosy były zupełnie białe.

Ksiądz d'Aigrigny rychło zrozumiał, na co się zanosi. Będąc z jezuitą sam na sam, marszałek Simon szybkim ruchem zrzucił płaszcz z ramion; a d'Aigrigny ujrzał u jego pasa, zrobionego z jedwabnych chustek Róży i Blanki, dwie szpady. Marszałek, ciągle milcząc, odpaśł chusty, położył obie szpady na stole i założywszy ręce na piersiach, postąpił z wolna ku księdzu. Rodin, wychodząc, jakby przez zapomnienie, zamknął drzwi na dwa spusty. Dwaj mężczyźni stali naprzeciw siebie, twarz w twarz, a żaden nie wymówił jeszcze słowa. Na twarzy marszałka widać było straszną rozpacz; jego spokój, nieprześlągany jak przeznaczenie, był straszniejszy aniżeli gwałtowne oburzenie.

– Moje dzieci nie żyją – rzekł wreszcie do jezuita, głosem powolnym, ponurym, pierwszy przerywając milczenie – muszę więc zabić cię.

– Panie – zawołał d’Aigrigny – wysłuchaj mnie... nie wiesz...

– Muszę cię zabić – powtórzył marszałek, nie dając mu dokończyć. – Od dwudziestu lat jesteś moim złym duchem... Dostyc tego, musisz to przyplacić swoim życiem... tak... muszę mieć twoje życie... Będę je miał... Będziemy się bić na śmierć tu, w tym pokoju, a ponieważ mam pomścić swoją żonę i dzieci... jestem spokojny.

– Panie – odpowiedział chłodno ksiądz d’Aigrigny – zapominasz, że mój stan zabrania mi bić się. Dawniej mógłbym przyjąć wyzwanie, jakieś mi uczynił... dziś moje położenie zmieniło się.

– Zatem... odmawiasz? – zapytał marszałek, zbliżając się do niego.

– Doprawdy; nic mnie do tego nie zdoła zmusić.

– Zobaczymy – rzekł marszałek.

I ręka jego spadła na policzek d’Aigrigny’ego.

Jezuita krzyknął zapalczywie; cała krew rzuciła mu się do spoliczkowanej twarzy; odwaga tego człowieka, był bowiem odważny, została dotknięta; jego dawna waleczność przemogła, oczy mu się zaiskrzyły i ścisnąwszy pięści, postąpił krok w kierunku marszałka, wołając:

– Szpady!... Szpady!...

Zaślepiiony gniewem, rzucił się do stołu, na którym leżała druga szpada, chwycił ją i krzyknął:

– Ha!... Pragniesz krwi?... Więc dobrze... będziesz miał krew... twoją...

– Przecież!... – zawołał marszałek.

Lecz jeszcze raz rozsądek ostudził popędliwy zapał księdza d’Aigrigny, znowu przypomniał sobie, że ten niebezpieczny pojedynek mógłby dogadzać zamierzeniom Rodina, którego los trzymał w swoich rękach, opuścił więc koniec szpady, mówiąc:

– Z powodu swego stanu nie wolno mi przelewać krwi. Przebacz, stwórcu, moje uniesienie, przebacz także memu bratu, który pobudził mnie do gniewu.

To mówiąc, zgiął koniec szpady i ostrze pękło na dwoje. Marszałek Simon nie powiedział słowa, nie ruszył się z miejsca, wiedział bowiem, że pojedynek nie odbędzie się; lecz nie namyślając się długo i naśladując przykład jezuita, także nastąpił na swoją szpadę, złamał ją, następnie podniósł połowę, odwiązał z szyi czarną chustkę, owinał w nią złamany koniec i zrobiwszy naprędce jakby rękojeść, rzekł:

– Walczmy na pugiwały.

Jezuita przerażony zimną krwią i zawziętością marszałka, zawołał:

– Ależ to piekło...

– Nie... to ojciec, któremu zamordowano dzieci – rzekł marszałek ponurym głosem i mimowolnie łzy zrosiły mu oczy, które niebawem znów się zaiskrzyły.

– Ależ to straszne... na noże... nie... nie... nigdy.

– Więc muszę ci chyba plunąć w twarz, aby napędzić choć trochę krwi, która ci jeszcze pozostała w żyłach – zawołał rozjątrzony marszałek.

– O! Tego już nadto!... – rzekł z zapalczywością jezuita, podnosząc kawałek ostrza szpady, leżącego przy nogach. – Tego już za wiele...

– Tego za mało! – rzekł groźnie marszałek – Dla ciebie, Judaszu... I plunął mu w twarz. D’Aigrigny, doznawszy takiej obelgi, stracił głowę, zapomniał swoich obiekcjach. W mgnieniu oka, zdjawszy również czarną chustkę z szyi, owinał nią ostrze złamanej szpady i rzucił się na marszałka, który mężnie wytrzymał napaść. W tej strasznej walce wymierzano i odbierano ciosy; posiniałe głowy schylały się, ręce wyteżały się jak żelazne szyny lub zwijały jak węże. W pewnym momencie przeciwnicy upadli i potoczyli się jeden na drugiego.

Głos ugodzonego śmiertelnie marszałka wymówił jeszcze te słowa:

– Moje dzieci!... Dagobercie!...

– Zabiłem go – rzekł d’Aigrigny słabym głosem – lecz czuję... że też zostałem śmiertelnie trafiony...

I oparłszy się jedną ręką o posadzkę, drugą pomacał piersi. Sutanna była podarta ostrzem szpady, lecz krew nie mogła wytrysnąć.

– Och! Umieram... umieram... tchu mi braknie – wyszeptał, a zmienione rysy twarzy zapowiadały bliską śmierć.

W tej chwili w zamku obrócił się klucz. W progu ukazał się Rodin i wsunawszy głowę, rzekł pokornym głosem:

– Można wejść?

Usłyszawszy tę straszną ironię, d’Aigrigny usiłował podnieść się, chcąc rzucić się na Rodina, lecz upadł na rękę z głuchym jękiem; krew zalewała mu płuca.

– Ach! Piekielny potworze – złorzeczył cicho, zwracając się do Rodina, posiniały ze złości i bólu – To ty jesteś przyczyną mej śmierci!

– Zawsze powtarzałem ci, wielbny ojcze, że twój animusz wojskowy będzie zgubny dla ciebie – odpowiedział Rodin z piekielnym uśmiechem. – Kto miecza dobywa, od miecza ginie. A zresztą marszałek Simon miał dziedziczyć po córkach. Mówiąc między nami... cóż chcesz, mój ojcze?... Jak miałem postąpić?... Należało poświęcić ciebie dla dobra naszego zgromadzenia, tym bardziej, skoro wiedziałem, co ty dla mnie, wielbny ojcze, przygotowałeś na jutro. Mnie zaś nie tak łatwo można podejść.

– Och! – jęczał w agonii d’Aigrigny, któremu mdlały już powieki – Oby Bóg zlitował się nade mną... jeżeli już nie jest za późno... Niestety!... W tej ostatecznej chwili jestem wielkim grzesznikiem...

– Już czas wołać o ratunek.

I Rodin wybiegł z krzykiem i przerażoną miną na dziedziniec. Na jego krzyk zbiegli się ludzie. Rodin nie odstąpił księdza d’Aigrigny, aż do momentu, gdy ten wydał ostatnie tchnienie.

\* \* \*

Wieczorem Rodin, sam jeden w swojej izbie, przy świetle lampki, pogrążył się w zamyśleniu przed obrazem, wyobrażającym Sykstusa V. Północ bila powoli na wieży. Gdy zegar wybił ostatni raz, Rodin wstał i wyprostował się w całej dzikiej okazałości swego piekielnego triumfu i zawołał:

– Mamy więc pierwszy czerwca... nie ma już Rennepont’ów !... Zdaje mi się, że słyszę wybicie godziny na kościele Św. Piotra w Rzymie.

W tym czasie, kiedy pogrążony w dumnym uniesieniu, przypatrywał się z rozkoszą portretowi Sykstusa V, ojciec Cabocini poszedł odwiedzić Faryngeę i dając mu odłamek krucyfiksu z kości słoniowej, z dobroduszną miną i zwykłą sobie żartobliwością zwrócił się do niego ze słowami:

– Jego przewielebność kardynał Malipieri, gdy wyjeżdżał z Rzymu, polecił mi, abym to panu oddał, dopiero dziś... 31 maja.

Metys, który na ogół nigdy się nie wzruszał, zadrzał; twarz jego zasepiła się i wlepiwszy przenikliwy wzrok w jednookiego księdza odparł:

– O której godzinie wielbny ojciec Rodin udaje się jutro na ulicę Św. Franciszka?

– Bardzo wcześnie.

– Czy pójdzie najpierw do kaplicy na modlitwę?

– Tak, pójdzie, bo taki jest zwyczaj naszych wielbnych ojców.

– Wielbny ojciec śpi razem z nim?

- Jako jego socjusz zajmuję sąsiedni pokój.
  - Mogłoby zdarzyć się – rzekł Faryngea po chwili milczenia – że wielebny ojciec, pogrążony w myślach o wielkich sprawach, jakie go obecnie zajmują, zapomniałby udać się do kaplicy... Przypomnij mi, wasza wielebność, ten pobożny obowiązek.
  - Bądź pan spokojny, na pewno to zrobię... rzekł Cabocini. Obaj mężczyźni rozstali się.
- Wróciwszy do siebie, ojciec Cabocini dowiedział się, że w nocy przybył z Rzymu goniec, który przywiózł listy dla Rodina.

## ROZDZIAŁ II

### WIERNY SŁUGA

Kaplica wielebnych ojców przy ulicy Vaugirard była wspaniała; ołtarz świecił się pozłotą i kryształami, 1 czerwca rano, przy kropielnicy, w ciemnym zakątku, klęczał Faryngea. Ukryty w ciemności, był głęboko zadumany, gdy wtem usłyszał stąpanie; nadchodził Rodin, a za nim socjusz, dobry ojciec Cabocini. Rodin umoczył palce w kropielnicy, przy której klęczał Faryngea. Rodin krótko pomodlił się, śpieszył się bowiem na ulicę Św. Franciszka. Przeżegnawszy się wstał, skłonił się z uszanowaniem ołtarzowi i szedł w stronę drzwi, a za nim socjusz. Kiedy zbliżał się do kropielnicy, spostrzegł Metysa, który skłonił się z uszanowaniem.

Rodin wyciągnął rękę, chcąc umoczyć ją w kropielnicy; lecz Faryngea oszczędził mu fatygi, podając kropidło, które zwykle znajdowało się w święconej wodzie.

Rodin zwilżył palce, podniósł je do czoła, na którym nakreślił znak krzyża i otworzywszy drzwi, wyszedł.

Przed wyjściem zwrócił się szeptem do Faryngei:

– O drugiej, u mnie...

Sądząc, że także może użyć kropidła, które niewzruszony Faryngea ciągle trzymał w ręce, ojciec Cabocini wysunął palce, lecz Metys cofnął kropidło; zawiedziony jezuita pośpieszył za Rodinem.

W miarę jak dorożka zbliżała się do dzielnicy zwanej Bagna, gdzie znajdował się dom Rennepont'ów, gorączkowy niepokój i rozpierająca żądza triumfu coraz wyraźniej malowały się na twarzy Rodina. Dorożka zatrzymała się przed okutą bramą starego domu przy ulicy Św. Franciszka. Rodin wyskoczył z dorożki, żwawy jak młodzieniec i gwałtownie zastukał do bramy, gdy tymczasem ojciec Cabocini, mniej zwinny, wysiadł ostrożnie. Nikt nie odpowiadał. W końcu furtka przy bramie otworzyła się; ukazał się Samuel, stary Żyd, stróż domu... Twarz starca wyrażała głęboki ból i smutek; widać było na niej ślady łez, które jego zgrzybiałe, drżące ręce ocierały jeszcze, gdy otwierał bramę.

– Kim panowie jesteście? – spytał.

– Jestem pełnomocnikiem księdza Gabriela Rennepont'a, jedyne żyjącego spadkobiercy z rodziny Rennepont'ów – odpowiedział Rodin przyśpieszonym głosem. – Ten pan to mój sekretarz – wskazał na księdza Cabocini, który uklonił się nisko.

Samuel przyjrawszy się uważnie Rodinowi, rzekł:

– W rzeczy samej, przypominam sobie pana. Proszę panów za mną.

I poszedł w kierunku domu w ogrodzie, dając znak wielebnym ojcom, by udali się za nim.

Jezabel, żona Samuela, stała stroskana w drzwiach; starzec, przechodząc koło żony, rzekł po hebrajsku:

– A firanki żałobnego pokoju?

– Są zasunięte...

– A żelazna szkatułka?

– Jest przygotowana – odpowiedziała Jezabel również po hebrajsku.

Po tych słowach, niezrozumiałych dla Rodina i ojca Cabocini, Samuel i Jezabel, mimo malującego się na ich twarzach przygnębienia, spojrzeli na siebie dziwnie i uśmiechnęli się zło-wieszczo.

Wkrótce Samuel, poprzedzając dwóch księży, wszedł po schodach na ganek, następnie do sieni, w której paliła się lampa; Rodin, obdarzony doskonałą pamięcią, zmierzał prosto ku czerwonej sali, gdzie za pierwszym razem zebrali się spadkobiercy, ale Samuel zatrzymał go:

– Nie, nie tam pójdziemy tym razem. Wziąwszy lampę, wszedł na ciemne schody, gdyż okna domu, od półtora wieku zamurowane, nie przepuszczały światła.

– Ależ – rzekł Rodin – ostatnio... zebraliśmy się w sali na parterze...

– Dziś zgromadzimy się na górze – odpowiedział Samuel. I zaczął zwolna wstępować na schody.

– Dokąd to? Na górę?... – niecierpliwił się Rodin, idąc za nim.

– Do żałobnego pokoju... – rzekł stary Żyd.

– Cóż to za żałobny pokój? – pytał zdumiony Rodin.

– Miejsce łez i śmierci... – odparł starzec. I szedł dalej, pośród ciemności, która była coraz większa, gdyż mała lampa ledwie ją rozjaśniała.

– Ależ... – mówił Rodin, coraz bardziej poirytowany – po co tam idziemy?...

– Tam są pieniądze – odpowiedział Samuel.

– Czy prędko dojdziemy? – ciągle dopytywał się Rodin.

– Otóż i jesteście.

– Nareszcie! To dobrze – rzekł Rodin.

– Bardzo dobrze – odpowiedział Żyd.

I wyprzedzając Rodina, wskazał ręką wielkie drzwi, z których dochodziło słabe światło. Rodin wszedł śmiało do pokoju, a za nim wkroczył ojciec Cabocini i stary Samuel.

Zamknięte okna, stanowiące cztery ściany pokoju, okryte były ołowianą blachą, przedziurawioną siedmioma okrągłymi otworami, układającymi się w krzyż.

Ponieważ tylko tymi otworami dochodziło światło, słabo oświetlając pokój, przeto paliła się w nim lampa, stojąca pod ścianą na wielkiej konsoli z czarnego marmuru. Wydawało się, że jest to pokój pogrzebowy; naokoło same obicia lub czarne, obszyte bielą firanki. Nie było tu żadnego innego sprzętu.

Na marmurowej konsoli stała szkatułka z kutego żelaza z XVII wieku, przepięknej, ażurowej roboty; prawdziwa stalowa koronka.

Samuel, zwracając się do Rodina, który ocierając czoło brudną chustką, rozglądał się wkoło ciekawie, bynajmniej nie przestraszony, rzekł:

– Wola testatora, jakkolwiek może wydać się panu śmieszna, jest święta... – co do mnie... spełnię ją co do joty... jeżeli pan pozwoli.

– Nic słusniejszego – odparł Rodin – ale co będziemy tu robić?

Dowiesz się pan niebawem. Jesteś pełnomocnikiem jedyne go spadkobiercy, księdza Gabriela de Rennepont?

– Tak, panie, oto moje dowody – odpowiedział Rodin.

– Żeby na próżno nie tracić czasu – rzekł Samuel – zanim nadejdzie urzędnik sądowy, pokażę panu inwentarz gotówki spadku Rennepont'ów, zamkniętego w tej żelaznej szkatułce; kapitał pobrałem wczoraj z Banku Francuskiego.

– To tu są pieniądze! – zawołał Rodin, podbiegając ku szkatułce.

– Tak, panie – odpowiedział Samuel – oto ich spis; pański sekretarz będzie czytał sumy; ja będę pokazywać ich dowody, będziecie je panowie przeglądać po porządku, a potem złożę je znowu do szkatułki, którą oddam panu w obecności urzędnika.

– Doskonale, ze wszech miar – rzekł Rodin. Samuel podał spis księdzu Cabocini, zbliżył się do szkatułki, przycisnął sprężynę, której Rodin nie dostrzegł; ciężkie wieko uniosło się i w miarę, jak ksiądz Cabocini wymieniał jakąś sumę, Samuel pokazywał jej pokwitowanie Rodinowi, który po dokładnym obejrzeniu oddawał je na powrót staremu Żydowi. Przebiegało to bardzo sprawnie. Gdy Rodin przeliczył ostatni z pięciuset bankowych banknotów tysiącfrankowych, oddając je Samuelowi, rzekł:

– Zgadza się... ogółem: dwieście dwanaście milionów sto siedemdziesiąt pięć tysięcy franków.

Można sobie wyobrazić, jaka musiała go opanować radość, jakie ogarnęło go szczęście; gdyż na chwilę wstrzymał oddech, zamknął oczy, poczuł jakąś duszność, tak że musiał oprzeć się na ramieniu ojca Cabociniego, mówiąc z pewnym zdziwieniem:

– To dziwne... sądziłem, że będę wytrwałszy na wszelkie wzruszenia. Lecz to, którego teraz doznaję, oszałamia mnie, aż mąci mi się w głowie.

Naturalna siność jezuity spotęgowała się; zaczął trząść się konwulsyjnie, tak iż ojciec Cabocini przytrzymał go, wołając zaniepokojony:

– Drogi ojcze... opamiętaj się... uspokój... nie trzeba pozwalać tak bardzo unosić się urokowi szczęścia.

Kiedy jednooki ojciec okazywał Rodinowi ten nowy dowód czulej troskliwości, Samuel tymczasem na powrót układał w żelaznej szkatułce ogromne sumy.

Rodin, dzięki swojej niepokonanej energii i niewymownej radości, jaką czuł, widząc, że już, już zbliża się do upragnionego celu, powstrzymał ten chwilowy napad słabości i prostując się, spokojny i dumny, rzekł do księdza Cabocini:

– To nic, to minie... nie umarłem na cholere; na pewno nie umrę z radości.

I rzeczywiście, chociaż okropnie zsiniał, jednak twarz jego wyrażała wielką dumę i zadowolenie.

Ksiądz Cabocini widząc, że Rodin przyszedł do siebie, jakby się zmienił; mimo że był mały, pękaty, jednooki, jego twarz, niedawno tak dobroduszna, stała się nagle tak poważna, surowa, iż spojrzawszy nań, Rodin cofnął się o krok.

Wielebny ojciec Cabocini wyjął z kieszeni list i pocałowawszy go z uszanowaniem, rzucił wzrokiem na Rodina i dźwięcznym, surowym głosem czytał:

„Po otrzymaniu niniejszego reskryptu wielebny ojciec Rodin przekaze całą swoją władzę wielebnemu księdzu Cabocini, który od tej chwili sam będzie w mocy, równie jak wielebny ojciec d’Aigrigny, przejąc spadek Rennepont’ów, jeżeli w swej wiecznej sprawiedliwości, Pan Bóg chce, aby ten majątek, niegdyś zdradziecko wydarty naszemu zgromadzeniu, został nam zwrócony.

Nadto jeszcze, wielebny ojciec Rodin, strzeżony przez jednego z naszych ojców, którego wyznaczy ojciec Cabocini, zostanie przewieziony do naszego domu w mieście Laval, gdzie w wyznaczonej celi pozostanie w odosobnieniu i pod ścisłym nadzorem aż do nowego rozkazu”.

Ksiądz Cabocini podał list Rodinowi, aby ten mógł zobaczyć podpis generała zakonu.

Samuel, zainteresowany tą sceną, pozostawiwszy szkatułkę otwartą, zbliżył się kilka kroków.

Rodin nagle zaczął się głośno śmiać... śmiechem radości i triumfu. Ojciec Cabocini patrzył nań ze zdziwieniem i gniewem a Rodin, jeszcze bardziej zuchwały i przybrawszy dumną minę, z większą niż kiedykolwiek wzgardą odepchnął ręką papier, który mu podał ksiądz Cabocini i zapytał:

– Jaką datę ma ten list?

– 17 maja – odparł Cabocini.

– Proszę – Rodin wyjął jakiś papier z zatłuszczonego pugilaresu – oto breve, które otrzymałem tej nocy z Rzymu; pochodzi ono z dnia 18 i zawiadamia mnie, że zostałem mianowany generałem naszego zakonu. Proszę przeczytać.

Cabocini wziął pismo, przeczytał i struchlał. Potem z największą pokorą oddał reskrypt Rodinowi, zginając przed nim kolano. Tak spełnił się ambitny zamiar Rodina. Niemy świadek tej sceny, Samuel, uśmiechnął się i także z triumfującą miną zamknął szkatułkę.

Ten metaliczny szcęk przywrócił Rodina do rzeczywistości; rzekł więc krótko do Samuela:

– Słyszałeś?... Do mnie... tylko do mnie należą te miliony. I niecierpliwie wyciągnął chciwe ręce po żelazną szkatułkę jakby chciał wziąć ją w posiadanie przed przyjściem urzędnika. Lecz wtedy i Samuel zmienił się; złożywszy ręce na krzyż, wyprostowawszy pochyloną wie-

kiem sylwetkę, okazał się imponujący i groźny; oczy, coraz żywsze, rzucały błyskawice gniewu i zawołał uroczystym głosem:

– Ten majątek, z początku mała część dziedzictwa najszlachetniejszego z ludzi, którego intrygi synów Loyoli doprowadziły do samobójstwa... ten majątek stał się królewskim majątkiem, dzięki rzadkiej uczciwości trzech pokoleń wiernych sług... ale nie będzie on nagrodą za kłamstwa, obłudę... i zabójstwa. Nie, nie... Bóg w swej wiecznej sprawiedliwości nie dopuści do tego.

– Mój panie, o czym ty mówisz? – zapytał zuchwale Rodin.

Samuel nie odpowiedział; wyciągnął tylko rękę ku głębi sali.

Wtedy Rodin i ksiądz Cabocini ujrzeli przerażające widowisko. Draperie, okrywające ściany, rozsunięły się, jak gdyby pociągnęła je czyjaś niewidzialna ręka. Sześć trupów, ułożonych jakby w pieczarze, oświetlonej grobowym, błękitnym światłem srebrnej lampy, leżało na czarnych całunach, w długich czarnych szatach.

Byli to: Jakub Rennepont, Franciszek Hardy, Róża i Blanka Simon, Adrianna i Dżalma. Wydawało się, jakby spali, powieki ich były zamknięte... ręce złożone na piersiach.

Ksiądz Cabocini, cały drżąc, przeżegnał się i cofnął aż do przeciwległej ściany, o którą oparł się, zakrywając twarz rękami. Rodin, przeciwnie, z pobielającą twarzą, z wytrzeszczonymi oczyma, najeżonymi włosami na głowie, podszedł ku zwłokom. Zdawało się, że ci ostatni Reneponfowie dopiero rozstali się z życiem, tylko co zasnęli wiecznym snem.

– Otóż masz ich... tych, których zamordowałeś... – rzekł Samuel przerywanym głosem. – Tak, twoje niegodziwe zabiegi przyprawiły ich o śmierć... potrzebowałeś bowiem ich śmierci. Za każdym razem, kiedy pod ciosem twej nienawiści... padł jeden z członków tej nieszczęsnej rodziny... zdołałem dostać jego szczątki... Niestety!... Wszyscy mają razem spoczywać w jednym grobie. Och! Bądź przeklęty... przeklęty... przeklęty, ty, który ich zabiłeś... lecz majątek ujdzie twoich zabójczych rąk.

Rodin cofnął się przerażony... przez kilka sekund drżał konwulsyjnie; lecz ochłonawszy z pierwszego wrażenia, odzyskał przytomność umysłu, a z nią dawną energię, ową piekielną uporczywość charakteru, która nadawała mu tyle władzy. Surowy, ironiczny, zwrócił się do Samuela i rzekł chrapliwie:

– Nie mam potrzeby pokazywać panu aktów zgonu... masz je pan tu, w oryginale.

I wskazał ręką na sześć trupów.

Na te słowa swego zwierzchnika wielbny ojciec Cabocini przeżegnał się z przestachu, jak gdyby zobaczył szatana.

– Och! Mój Boże! – rzekł Samuel – Więc zupełnie oddaliłeś się od niego...

– Tak, panie – rzekł Rodin ze strasznym uśmiechem – to, wystawa żywych woskowych figur, nic więcej. Mój spokój dowodzi mojej niewinności. Przystąpmy do rzeczy, bo muszę się śpieszyć; mam gości o drugiej. Znieśmy na dół tę szkatułkę.

I skierował kroki ku szkatułce. Oburzony do najwyższego stopnia, Samuel wyprzedził Rodina i mocno przycisnąwszy gałkę na wieczku szkatułki, zawołał:

– Ponieważ twoja szatańska dusza nie zna wyrzutów sumienia... może więc wściekłość ukaranej chciwości potrafi ją zachwiać... majątek twych ofiar ujdzie twoich rąk, splamionych krwią.

Ledwie wymówił te słowa, kiedy przez szczeliny ażurowej szkatułki zaczął wydobywać się dym i lekka woń palącego się papieru rozeszła się po pokoju...

Rodin zrozumiał, co się dzieje...

– Ogień!... – zawołał, rzucając się na szkatułkę, przymocowaną do masywnej marmurowej konsoli.

– Tak... ogień... – rzekł Samuel – za chwilę... z tego ogromnego skarbu zostanie tylko popiół... i lepiej, że się obróci w popiół, aniżeli miałby się dostać tobie i twoim braciom... Skarb



ten nie jest mój... mam jednak prawo zniszczyć go, ponieważ Gabriel Rennepont pozostanie wiernym przysiędze, którą złożył.

Rodin próbował ugasić ogień, rzucając się na szkatułkę i okrywając ją sobą; na próżno! Gdzieniedzie wydobywały się jeszcze płomyki niebieskiego dymu... i wreszcie wszystko zgasło!

Skończyło się...

Wtedy Rodin, ledwie dysząc z rozpaczy, obrócił się, wsparł ręką na konsoli... i pierwszy raz w życiu zapłakał... Rzęsiste łzy... łzy bezsilnej wściekłości... puściły się strumieniami po jego trupiej twarzy.

Nagle okropne bóle, mimo że usiłował powściągnąć je, zaatakowały go z taką gwałtownością, iż upadł na kolana i chwytając się obiema rękami za piersi, jęczał, jeszcze usiłując się uśmiechnąć:

– To nic... nie cieszcie się... to spazmy... ale ja zawsze jestem... generałem zgromadzenia... ale... och!... Jaki ból... Jak okropnie piecze! – wił się, dręczony strasznym bólem – Od chwili... jak wszedłem... do tego... przekłętą domu... nie wiem, co się ze mną dzieje... Już od dawna... samymi jarzynami... wodą i chlebem... które sam zawsze... kupuję... Sądziłbym... że zostałem otruty... ale triumfuję... dlatego nie umrę... tak... nie umrę... jak nie umarłem... przedtem... bo nie chcę umierać... jeszcze nie...

Potem konwulsyjnie załamując ręce:

– Ogień... trawi mi wnętrzności... Chciano... mnie otruć... dziś... Lecz gdzie?... Kto?...

Krzyknął przeraźliwie, jakby coś sobie nagle przypomniał: – Ach!... Faryngea, dziś rano... święconą wodą, którą mi podał... on zna zdradliwe trucizny... Tak... To on... on się widział z Malipierim... O, szatan... To mi dogodził... to jego sztuczka... O!... skończyło się... umieram... Będą mnie żalowali... głupcy... O!... Piekło!... Tak... nie wiedzą... co tracą... Ale ja palę się!... Ratunku!...

Pośpieszono mu na ratunek. Jednocześnie usłyszano szybkie kroki na schodach; niebawem doktor Baleinier, a z nim księżna Saint-Dizier pokazali się w drzwiach. Księżna usłyszawszy rano o śmierci księdza d'Aigrigny, przybiegła zapytać Rodina, co się stało. Gdy rzuciła okiem na przerażające widowisko, spostrzegła Rodina wijącego się w okropnych mękach, potem, przy świetle przyćmionej lampy ujrzała sześć trupów... a między nimi ciała swej siostrzenicy i dwóch sierot, które wysłała na śmierć... struchlała, osłupiała... rozum jej nie mógł znieść takiego widoku... Rozejrzawszy się powoli wokół siebie, wzniosła oczy ku niebu i zaczęła śmiać się szalonym śmiechem... Dostała pomieszania zmysłów...

Kiedy przerażony doktor Baleinier trzymał głowę konającego Rodina, w drzwiach ukazał się Faryngea i zatrzymawszy się w cieniu, rzucił dziki wzrok na trupa Rodina, mówiąc do siebie:

– Chciał zrobić się głową jezuickiego zgromadzenia, żeby je zniszczyć... Mnie zgromadzenie to zastępuje Bohwanie... Byłem tylko posłuszny kardynałowi...

## Epilog

### ROZDZIAŁ I

#### W CZTERY LATA PÓŹNIEJ

Od opisanych wypadków upłynęły cztery lata.

Gabriel Rennepont pisał do księdza Józefa Charpentier, wikariusza probostwa parafii Saint-Aubin, wioski w Salonii, list następującej treści:

*„Folwark Vive-Eaux.  
2 czerwca 1836 r.*

Chcąc napisać do ciebie, kochany Józefie, usiadłem wczoraj przy moim starym, czarnym stoliku, który znasz; okno mego pokoju, jak ci wiadomo, wychodzi na dziedziniec folwarku. Siadłem więc przy stoliku, gdy przypadkiem przez otwarte okno, zważ, co zobaczyłem: ty, mój kochany Józefie, co tak wspaniale rysujesz, ślicznie przeniósłbyś tę scenę na papier. Słońce już zaszło; pod wielką gruszą, przytykającą do muru stodoły, siedział na kamiennej ławce mój przybrany ojciec, Dagobert, poczciwy żołnierz, którego tak kochasz. Wydawał się zamyślony; białą głowę zwiesił na piersi i roztargnioną ręką głaskał starego Ponurego, który położył głowę na kolanach swego pana; przy Dagobercie siedziała jego żona, moja zacna przybrana matka, zajęta szyciem, a przy nich, na ławeczce, Aniela, żona Agrykoli, karmiąca swe najmłodsze dziecię, gdy tymczasem Garbuska, trzymając starsze dziecko, uczyła je sylabizować.

Agrykola tylko co wrócił z pola, zaczynał wyprzęgać woły; z rozrzewnieniem, z ręką wspartą na jarzmie, pod którym uginały swe silne karki dwa piękne czarne woły, spoglądał na żonę i dzieci.

Jakiż to piękny widok! Sędziwa twarz poczciwego żołnierza... miła fizjonomia przybranej matki; świeża, śliczna twarz Anieli, uśmiechającej się do niemowlęcia, łagodna melancholia Garbuski, opierającej co chwila usta na jasnej, rozkosznej główce starszego synka Agrykoli; wreszcie sam Agrykola, piękny, dzielny mężczyzna, którego cała postać zdaje się oddychać prawością szlachetnej duszy...

O, przyjacielu, patrząc na to grono istot tak szczęśliwych, szlachetnych, tak się kochających, żyjących teraz w szczęśliwym ustroniu naszej ubogiej Salonii, serce moje z wdzięcznością wzniosło się ku Bogu.

Lecz, niestety! Przykry wypadek zachmurzył pogodę tego obrazu.

Usłyszałem nagle żonę Dagoberta:

– Cóż to, mężu, ty płaczesz?...

Na te słowa Agrykola, Aniela, Garbuska wstali i otoczyli żołnierza; na wszystkich twarzach malował się niepokój... wtedy on prędko podniósł głowę i istotnie widać było kilka łez, toczących się po policzkach starca.

– To nic, moje dzieci – rzekł rozczulonym głosem – to nic... ale dziś jest... pierwszy czerwca... a cztery lata temu...

Nie skończył, a gdy podniósł ręce, aby otrzeć łzy widać było, jak trzymał brązowy łańcuszek, na którym wisiał medalion. Była to jego najdroższa relikwia, bo przed czterema laty, prawie umierając z rozpacz, w jakiej pograżyła go strata dwóch aniołów, o których ci tyle

razy opowiadałem, znalazł na szyi zmarłego marszałka ten medalion, który tak długo nosiły jego dzieci. Wybiegłem z pokoju, żeby także pomóc w ukojeniu smutku tego poczciwego człowieka... Wtedy stanęły mi w myśli owe nieszczęsne ofiary strasznych i tajemnych wypadków.

Ach! Mój przyjacielu, gdybyś wiedział, jak szlachetne były serca tych nieszczęsnych! Gdybyś wiedział, jak wspaniałe były zamiary młodej panny, w której biło tak szlachetne serce, tak światły umysł, tak wielka dusza... W wigilię swej śmierci, pod koniec rozmowy, której sekret nawet przed tobą, kochany przyjacielu, muszę zachować, powierzyła mi znaczną sumę, mówiąc ze zwykłą słodyczą i dobrocią:

– Mówią, że mnie przywiodą do ubóstwa... może im się to nawet uda. To, co ci powiem, pozostanie przynajmniej dla biednych nieszczęśliwych... Daj... daj im wiele... Uszczęśliw, jak będziesz mógł najwięcej. Niech nie tylko ja jedna będę szczęśliwa.

Uznałem, że małą częśćkę z tego, co mi panna de Cardoville dała na miłosierne uczynki, mogę przeznaczyć na zakupienie tej kolonii na imię Dagoberta. Tak, przyjacielu, taki jest początek naszego mienia; gospodarz, właściciel tej kolonii, rozpoczął naszą naukę o ziemi; nasz rozsądek, czytanie mądrych księzek o wiejskim gospodarstwie, dokończyły jej; Agrykola z doskonałego rzemieślnika stał się wytrawnym rolnikiem, ja go gorliwie naśladowałem; wzięłem się do pługa, bez ujmy dla mego stanu, bo ta chlebobajna praca jest potrójnie święta, albowiem i ten Bogu służy i chwali Go, kto użyźnia ziemię, którą On stworzył. Dagobert, po ukojeniu swych zmartwień, pokrzepił swoje nadwątlone zdrowie przy wiejskim życiu; on, stary żołnierz, stał się już niemal rolnikiem. Mogłeś ocenić niedawno, podczas spędzonych u nas wieczorów, delikatny, wdzięczny umysł Garbuski, wyjątkowy poetycki talent Agrykoli, piękne macierzyńskie uczucia jego matki, zdrowy rozsądek jego ojca, niewinny, naturalny wdzięk Anieli; powiedz mi, kochany przyjacielu, czy można było kiedy połączyć razem tyle wspaniałych żywiołów szczerzej przyjaźni. Ileż to długich zimowych wieczorów przepędziliśmy przy iskrzącym się ogniu palącego się na kominie chrustu, czytając i rozbierając trochę księzek, zawsze nowych, zawsze niewyczerpanych, co zagrzewają serce i uszlachetniają duszę... Ani wątpić, mój przyjacielu, że to życie, zamknięte w kręgu rodzinnym, nie udzielające się na zewnątrz dla szczęścia i polepszenia bytu naszych braci, jest może nieco samolubnym szczęściem; lecz, niestety, braknie nam środków i chociaż potrzebujący zawsze znajdzie miejsce u naszego stołu i przytułek pod naszym dachem, zrzec się jednak musimy wielkiej myśli o szerszej pomocy. Szczupły dochód z naszego gospodarstwa wystarcza tylko na skromne potrzeby rodziny.

A przy tym, gdy pomyślę o urzeczywistnieniu wspaniałej wizji mego pradziada, mogącej urzeczywistnić się tylko przy pomocy wielkich środków, a którą panna de Cardoville chciała zrealizować z pomocą Franciszka Hardy, księcia Dżalmy, marszałka Simona, jego córek i mojej, kiedy pomyślę o niezmiernym źródle wszelkiego rodzaju żywotnych sił, jakich takie stowarzyszenie mogło dostarczyć; kiedy pomyślę o jego wielkim wpływie na pomyślny rozwój całej ludzkości, mój gniew, moja nienawiść uczciwego człowieka i chrześcijanina przeciw temu obmierzłemu stowarzyszeniu bardziej się jeszcze zwiększa.

Z tyłu świetnych zamiarów cóż pozostało?... Siedem grobów... Bo i mój jest już wykopany w tym grobowcu, który Samuel kazał zbudować w miejsce domu przy ulicy Św. Franciszka i którego postanowił być stróżem... wiernym aż do końca.

\* \* \*

Napisałem już mój list do ciebie, gdy odebrałem twój. Tak więc, twój biskup nie tylko zabronił ci mnie odwiedzać, ale nawet pisać do mnie. Twój czuły, szczery żal do żywego mnie

wzruszył, mój przyjacielu. Często rozmawialiśmy z sobą... i wiem, że przysięgłeś przestrzegać prawa; wypada ci ulec i być posłusznym; wszelka przysięga jest święta dla uczciwego człowieka. Biedny, dobry Józefie, chciałbym, abyś znalazł zadośćuczynienie zerwanych ze mną tak serdecznych stosunków... Jestem mocno wzruszony... słabo mi się robi... tak... cierpię... bo wiem, ile ty musisz znieść...

Niepodobna mi pisać dalej... byłbym może przykry dla tych, których rozkazy powinniśmy szanować.

Ponieważ tak trzeba, list ten będzie ostatni; bądź zdrów, miły mój przyjacielu, bądź zdrów na zawsze. Serce mi się kraje z bólu...

*Gabriel de Rennepont.*”

## ROZDZIAŁ II

### ODKUPIENIE

Wszystko zapowiadało piękny, ciepły, letni dzień!... W połowie pochyłości wzgórza kępa starych wierzb tworzyła naturalną altanę, a na ich grubych korzeniach, pokrytych gęstym mchem, siedzieli mężczyzna i kobieta; ich zbielałe włosy, zgrzybiałe zmarszczki, zgarbione postaci, znamionowały późną starość...

A przecież ta kobieta jeszcze niedawno była młoda, piękna i długie czarne włosy okrywały jej blade czoło. A mężczyzna tak jeszcze niedawno był w pełnej sile wieku.

Z miejsca, w którym odpoczywali, widać było dolinę, jezioro, las, a za lasem wznoszące się, jakby powykrawane, wyszczerbione wierzchołki niebieskawych gór, spoza których miało wzejść słońce.

Ten obraz, osłonięty bladą przezroczyścią świtu, był jednocześnie pogodny, melancholijny i uroczyستی...

– O, moja siostrze! – zwrócił się starzec do kobiety, która spoczywała obok niego pod kępą starych wierzb – O, moja siostrze, ileż to razy... od tylu wieków, ręka Przedwiecznego rzucała nas w przestrzeń świata i oddzieleni przebiegaliśmy świat od jednego do drugiego bieguna; ileż to razy byliśmy świadkami budzącej się przyrody, z ciągłym uczuciem nieukojonego żalu! Niestety! Widzieliśmy kolejny dzień, który nam przebiec trzeba było... od wschodu do zachodu... przydany bez pożytku do minionych już dni, których na próżno powiększał liczbę, bo śmierć zawsze uciekała przed nami.

– Lecz, co za szczęście! Mój bracie, od jakiegoś czasu Przedwieczny chciał, żeby tak jak dla innych stworzeń, każdy dzień był także dla nas krokiem ku śmierci. Chwała mu za to!... Chwała niech będzie za to!...

– Niestety! Moja siostrze, pewnie także... ostatni potomek mego przeklętego rodu... swoją śmiercią ma dokonać mego odkupienia... Bo nareszcie objawiła się wola Boska: Uzyskam przebaczenie, gdy ostatni z potomków mego rodu zniknie z ziemi... Jemu darowana została łaska dokonania mego odkupienia... jemu, który tyle zrobił dla zbawienia mych braci.

– Miej nadzieję, mój bracie... Pomyśl, że po pokucie następuje przebaczenie, po przebaczeniu nagroda... Zbawiciel ukarał w tobie i w twoim potomstwie rzemieślnika, którego nieszczęście i niesprawiedliwość złym uczyniły, powiedział ci: Idź!... Idź!... Bez końca i odpoczynku, i próżny będzie twój pochód; każdego wieczora, rzucając się do spoczynku na twardej ziemi nie będziesz bliższym kresu, jak byłeś rano, rozpoczynając ten wieczny chód... Tak, przed wieki, nielitościwi ludzie powiedzieli do rzemieślnika: Pracuj... pracuj... pracuj... bez ustanku i odpoczynku, a twoja praca dla wszystkich użyteczna, tylko dla ciebie będzie bezowocna, i co wieczór, rzucając się na twardą ziemię, nie będziesz bliższy szczęścia i wypoczynku, jak byłeś przy obudzeniu się ze snu, po całodziennej pracy.

– Tak, siostrze, czuję to, twoje słowa są prorocze... tak... zanim zamkniemy nasze ociężałe powieki, zobaczymy przynajmniej jutrzeńkę tego cudownego, pięknego dnia... Och, nie... nie wylewam już łez żalu nad moimi potomkami, męczennikami, których poświęcili na ofiarę wieczni nieprzyjaciele ludzkości. Tak, chwała potomkom mego rodu, że byli ostatnimi ofiarami faryzeuszy, fałszywie tłumaczących słowa Chrystusa, którzy śmiało utrzymywać, wobec niewyczerpanych skarbów stworzenia, że Bóg stworzył człowieka do łez, niedoli i nędzy... Nie, nie! Człowiek stworzony jest dla szczęścia, pracy i miłości bliźniego!...

– O! Mój bracie... twoje słowa są także prorocze... Jutrzeńka tego pięknego dnia... zbliża się... jak zbliża się wschód tego dnia, który, przez miłosierdzie Boskie, będzie ostatnim dniem naszego życia... ziemskiego życia...

- Ostatnim... moja sestro... nie potrafię powiedzieć, jakie uczucie ogarnia mnie; zdaje mi się... jak zbliża się wschód tego dnia; czuję, jak tchnienia mej duszy chcą ulecieć ku niebu.
- Och! Jakie szczęście... mój bracie... umieram...
- Moja sestro... i moje oczy zamykają się... Już nam przebaczone... już przebaczone...
- Och!... Bracie... oby to boskie odkupienie objęło wszystkich... tych, którzy cierpią... na tej ziemi...

*KONIEC*